Judith Lennox

Serce nocy



Prószyński i S-ka

Judith Lennox

Serce nocy

Przełożyła
Ewa Horodyska

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału
THE HEART OF THE NIGHT

Copyright © 2009 Judith Lennox
All rights reserved

Projekt okładki
Jacek Pasternak

Redaktor prowadzący
Renata Smolińska

Redakcja
Ewa Witan

Korekta
Jolanta Tyczyńska

ISBN 978-83-8097-259-9

Warszawa 2010

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
02–697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28
www.proszynski.pl

Dla Alexis – z wyrazami miłości

Podziękowania

Wyrazy wdzięczności i uznania kieruję do Moniki z GoPoland oraz Marty, Hanny, Marcina i Katie, bez których mój pobyt w Polsce nie byłby tak owocny i fascynujący. Wdzięczna jestem również Marion z Headline, Bettinie z Piper i mojej agentce Margaret Hanbury. Oraz Iainowi, z miłością jak zawsze, za to, że przebył ze mną tak długi odcinek tej drogi.

Część pierwsza

PRZYJACIÓŁKI

Kwiecień 1936 – sierpień 1939

Rozdział 1

Kay Garland poznała Mirandę Denisow w domu przy Charles Street w Mayfair. Miranda była olśniewająco piękna, miała wysokie czoło, pięknie zarysowane kości policzkowe i pełne usta. Lśniące, kręcone czarne włosy, uczesane z przedziałkiem z boku, opadały jej na ramiona, a roziskrzone ciemne oczy kontrastowały z magnoliowo jasną cerą. Wyglądała na więcej niż szesnaście lat. Choć Kay, która nosiła głównie ubrania szyte w domu, a nieliczne klejnoty odziedziczyła po matce, niewiele wiedziała o tych sprawach, zauważyła, że sukienka Mirandy jest prosta, lecz wykwintna, droga i z gustownymi dodatkami. W sposobie bycia Miranda wydawała się sympatyczna i uprzejma, acz nieco powściągliwa.

Kay znalazła się w domu przy Charles Street po raz drugi. Ubiegała się o posadę damy do towarzystwa u panny Denisow, przeczytawszy ogłoszenie w rubryce „Oferty pracy" w „Timesie". Podsunął jej to ogłoszenie Brian, znajomy, który pracował w antykwariacie przy Charing Cross Road. „Dżentelmen poszukuje dystyngowanej i wykształconej angielskiej damy w wieku 18–20 lat jako towarzyszki dla córki. Wymagana gotowość do odbywania podróży". Kay nigdy nie wyjeżdżała dalej niż na wyspę Wight i pragnęła podróżować. Marzyła o podróżach.

Pierwszą rozmowę przeprowadziła z nią gospodyni Denisowów. Pani Ingram, sympatyczna kobieta pochodząca z Yorkshire, zadawała pytania dociekliwe i bezpośrednie. Miss Garland ma osiemnaście lat, nieprawdaż? Jakie otrzymała wykształcenie, do której szkoły uczęszczała? Czy cieszy się dobrym zdrowiem? Czy ktoś z jej rodziny chorował na gruźlicę? Matka panny Denisow, Angielka z pochodzenia – jak wyjaśniła pani Ingram – zmarła właśnie na gruźlicę.

Pani Ingram opisała Kay jej przyszłe obowiązki, na wypadek gdyby została zatrudniona jako dama do towarzystwa panny Denisow. Miałaby uczęszczać z panną Denisow na rozmaite lekcje i spotkania, a także odbywać z nią podróże. Nie musiałaby chodzić na wieczorne przyjęcia, tańce oraz oficjalne kolacje, gdyż ciotka panny Denisow, madame Lambert, pełniła funkcję przyzwoitki przy podobnych okazjach. Pan Denisow wymagałby również od przyjętej kandydatki kształcenia córki w zakresie języka angielskiego – godzina lub dwie codziennie rano powinny wystarczyć.

Teraz, tydzień później, Kay została wezwana na pierwsze spotkanie z Mirandą Denisow. Liczba kandydatek zmniejszyła się do trzech, jak poinformowała pani Ingram, wprowadzając Kay do bawialni.

Pokój, w którym siedziała Miranda, był urządzony z wielkim przepychem. Sofy i krzesła miały wygięte czerwonobrunatne oparcia i poręcze wypolerowane do miękkiego, delikatnego połysku. Błękitno-złote adamaszkowe zasłony z lambrekinami ocieniały podłużne skrzydłowe okna. Na ścianach wisiały olejne obrazy, a na podłodze leżał piękny perski dywan. Na sofie zasiadała dama w średnim wieku, wystrojona w liliową szyfonową suknię; została przedstawiona Kay jako madame Lambert.

Po wzajemnej prezentacji wymieniono uprzejmości. Następnie madame Lambert badawczo przyjrzała się Kay.

– Wydaje się pani bardzo młodą osobą, jeśli wolno mi to powiedzieć, panno Garland.

– Oczywiście, że jest młoda, *tante* Soniu – wtrąciła Miranda z lekkim zniecierpliwieniem. – Gdybym pragnęła towarzystwa jakiejś zrzędliwej starej dziwaczki, poprosiłabym, aby papa zatrudnił kolejną guwernantkę. – Odwróciła się do Kay i po raz pierwszy uśmiechnęła. – Proszę mi opowiedzieć o sobie, panno Garland. Gdzie pani mieszka?

– W Pimlico, u ciotki.

– Ma pani jakąś posadę, prawda? Pani Ingram wspomniała mi o tym. Czy nie lubi pani swojej pracy?

Kay była obecnie zatrudniona jako guwernantka czworga dzieci u niejakiej pani Harrison. Dama ta nie należała do zwolenniczek przymusowej edukacji: dzieci powinny się uczyć tylko wówczas, gdy

same tego chcą. Wysiłek, jaki Kay wkładała w próby zachęcenia Storme'a, Syrie, Lionela i Orlanda Harrisonów, by zechcieli się nauczyć czegokolwiek o Wojnie Dwóch Róż albo ułamkach złożonych, doprowadzał ją często do skrajnego wyczerpania.

– Nieszczególnie – przyznała. – Bardzo bym chciała robić coś innego.

– A co pani lubi robić?

– Moja droga Mirando…

Miranda zignorowała wtręt madame Lambert.

– Proszę mi powiedzieć, panno Garland.

– No cóż, lubię grać w tenisa i jeździć na rowerze…

– Na rowerze! Ach, jakże chciałabym pojeździć sobie na rowerze! Papa mi nie pozwala, mówi, że to nie przystoi damie.

Nie sposób sobie wyobrazić Mirandy Denisow, uznała Kay, z jej doskonale ułożonymi włosami, ubranej w kremową sukienkę z plisowanej wełny, jak śmiga rowerem przez kałuże – co Kay robiła nieustannie. Podjęła:

– Przepadam też za kinem i teatrem, no i za książkami, oczywiście. Potrafię godzinami szperać w antykwariacie, a pani? Och, a najbardziej chyba lubię po prostu rozmawiać, wie pani, takie rozmowy, które trwają aż do późnego wieczoru. Nie ma niczego milszego, prawda?

Zapadło milczenie. Kay poczuła lekki niepokój. „Odpowiadaj na pytania zwięźle i uprzejmie" – radziła jej ciocia Dot, gdy dzień wcześniej rozmawiały o tym spotkaniu. Być może, nie po raz pierwszy zresztą, nie zdołała powściągnąć języka.

Po chwili Miranda powiedziała:

– Sądzę, że bardzo dobrze pasujemy do siebie, czyż nie, panno Garland?

Kay poczuła dreszcz emocji.

– Czy to znaczy, że dostałam tę posadę?

– Ależ naturalnie.

– Mirando, *chérie*, twój ojciec… – *Tante* Sonia zmarszczyła brwi.

– Papie spodoba się panna Garland, jestem tego pewna, *tante* Soniu. – Miranda zbyła obawy ciotki pstryknięciem palcami. – Te inne były takie nudne. – W jej uśmiechu krył się jakiś porozumiewawczy

błysk, gdy zerknęła na Kay. – Tak, wydaje mi się, że pasujemy do siebie.

Deszcz wciąż padał, kiedy po skończonej rozmowie Kay wyszła od Denisowów. Narastało w niej radosne podniecenie, gdy spieszyła do domu, by podzielić się nowiną z ciocią Dot.

Ciocia Dot pracowała w czasopiśmie dla kobiet, gdzie odpowiadała na listy czytelniczek pod pseudonimem Kuzynka Freda. Wiele z jej korespondentek straciło narzeczonych lub mężów podczas pierwszej wojny światowej. Niektóre żyły w ubóstwie i osamotnieniu. Gdy Kay była młodsza, ciocia Dot czytała jej czasami ich listy. Niezależnie od tego, na czym polegał problem, Kay zawsze radziła, by wzięły sobie psa. Sama bardzo chciała mieć pieska, lecz nie mogła, ponieważ musiałby przez cały dzień siedzieć sam w domu. Ciocia Dot odpisywała zazwyczaj autorkom listów, że praca jest najlepszym balsamem dla znękanej duszy i że czułość i zrozumienie można znaleźć w przyjaźni. Następnie zdejmowała okulary, przecierała je, wzdychała i mówiła: „Biedactwo. Samotność to straszna rzecz, Kay".

Choć ciocia Dot nigdy nie wyszła za mąż, postępowała zgodnie z własnymi zaleceniami i miała mnóstwo znajomych i przyjaciół. Kolacje w jej domu w Pimlico były pełne rozmachu, a przy niewielkim stole w jadalni zasiadało czasami nawet dwanaście osób. Ciocia Dot miała znajomych w rozmaitym wieku i różnej narodowości. Należały do nich zarówno jej koleżanki z redakcji czasopisma, jak i członkowie przeróżnych stowarzyszeń propagujących pacyfizm, socjalizm oraz Ligę Narodów, które wspierała. Przychodzili artyści, powieściopisarze i poeci, wielu z nich klepało biedę. Zjawiała się terapeutka z Austrii, właściciel włoskich delikatesów, a także francuskie małżeństwo, które Dot poznała w Étaples, gdzie pracowała w czasie wojny jako pielęgniarka, a które na początku lat dwudziestych przeprowadziło się do Londynu i założyło niedużą szkołę; od uczniów wymagano, by w poniedziałki, środy i piątki mówili wyłącznie po francusku. Kay opuściła tę szkołę w wieku lat dwunastu z biegłą znajomością języka francuskiego. Oprócz starych znajomych przy stole mogła się znaleźć kobieta,

z którą Dot nawiązała rozmowę w sklepie, albo dziewczyna, którą Kay poznała na górnym piętrze autobusu. Wszyscy oni przychodzili do cioci Dot na kolację.

Dni, które nastąpiły po rozmowie Kay w sprawie posady, wypełniło pośpieszne pranie, szycie i pakowanie. Miranda miała wyruszyć do Paryża w następnym tygodniu wraz z pozostałymi domownikami – dowiedziała się Kay od pani Ingram. Pan Denisow przebywał już w Paryżu i oczekiwał, by wszyscy przyjechali do niego, gdy tylko kwestia osoby towarzyszącej dla Mirandy zostanie rozstrzygnięta. Najprawdopodobniej, dodała pani Ingram, nie zamierza w najbliższej przyszłości wracać do Londynu.

Był kwiecień, zimny i wietrzny w Londynie, lecz na kontynencie zapewne kwitła wiosna. Kay wygrzebała bawełniane sukienki, lekki płaszcz przeciwdeszczowy, cienkie spodnie, kostium kąpielowy oraz gumowy czepek do pływania. Ciocia Dot uszyła jej na maszynie wieczorową suknię. Należało zacerować pończochy i rękawiczki, a także wyszukać jakiś elegancki kapelusz, na wypadek gdyby Kay miała chodzić z Denisowami do kościoła.

Składając wymówienie dotychczasowej pracodawczyni, Kay z najwyższym trudem stłumiła pełen satysfakcji uśmiech. Kilka dni później, pierwszy raz opuszczając dom, by podjąć pracę u Denisowów, poczuła nagłe ukłucie w sercu i mocno uścisnęła ciocię Dot.

Gdy dotarła do wspaniałej rezydencji w Mayfair, musiała przypomnieć samej sobie, że należy teraz do grona tutejszych mieszkańców. Pani Ingram zaprowadziła ją do pokoju na drugim piętrze. Ściany zdobiła tapeta w roślinne wzory i stało tam łóżko, szafa, komoda oraz toaletka z umywalnią. Kay rozpakowała swój bagaż. Jej stroje zdawały się obijać o siebie w obszernej szafie.

Ktoś zapukał do drzwi i weszła Miranda.

– Znalazłam panią! – wykrzyknęła. Ucałowała Kay w oba policzki i rozejrzała się. – Co za nędzna klitka. Nasz dom w Paryżu jest znacznie ładniejszy, zobaczy pani.

– Uważam, że to uroczy pokój.

– Chyba widać stąd ogród. – Miranda wyjrzała przez okno na ogródek zajmujący całe podwórze, wyłożony kamiennymi płytkami

i otoczony przyciętym bukszpanowym żywopłotem. Potem znowu popatrzyła na Kay. – Tak się cieszę, że pani tu jest! Papa chciał zatrudnić kolejną guwernantkę, ale się nie zgodziłam. Jestem o wiele za dorosła na guwernantki. Ostatnia nieustannie miała katar. Ilekroć się odezwała, pociągała nosem.

Kay parsknęła śmiechem.

– W porównaniu z nią zapewne wypadam korzystnie. Przynajmniej nie pociągam nosem.

– A poprzednia, mademoiselle Fournier, biła mnie linijką po palcach, kiedy myliłam się na lekcji. Czasami aż do krwi.

– Przyrzekam, że nigdy nie uderzę pani linijką. Nie popieram kar cielesnych, podobnie jak moja ciocia Dot.

– Dot? Jakie zabawne imię.

– To zdrobnienie od Dorothy. Ciocia Dot jest młodszą siostrą mojej matki. Wychowała mnie po jej śmierci. Bo mój ojciec zginął na wojnie, zanim się urodziłam.

– Kiedy zmarła pani matka?

– Miałam wówczas trzy lata – odparła Kay.

– Zatem ja spędziłam z moją mamą sześć lat więcej. Pamięta pani swoją?

– Tylko trochę. Miała jasne włosy jak ja. Mieszkałyśmy w Hampshire. W naszym ogrodzie rosły jabłonie i przypominam sobie, jak leżałam na trawie, patrzyłam na ich kwiaty i myślałam, że wyglądają jak śnieg. A jaka była pani matka?

– Bardzo piękna. Czy chciałaby pani zobaczyć jej fotografię, panno Garland?

– Kay. Proszę mi mówić Kay. I bardzo chętnie obejrzę fotografię.

Miranda zaprowadziła ją do swojej sypialni. W przestronnym, wysokim pokoju były dwa podłużne okna otwierane pionowo, obramowane ciemnoróżowymi zasłonami. Tapety na ścianach miały niebieskawofiołkowy odcień, a pod ścianami stały krzesła z ciemnoróżowymi aksamitnymi obiciami. Na komodzie ustawiono mnóstwo rozmaitych lalek. Jeszcze inne siedziały w nogach łóżka. Były to drogie staroświeckie lalki o woskowych lub porcelanowych twarzyczkach, wystrojone w aksamit i koronki.

– Należały do mojej mamy – wyjaśniła Miranda. – Kolekcjonowała je, gdy była małą dziewczynką. Niektóre są bardzo stare. Podobają ci się? Bo ja chwilami je lubię, a chwilami ich nienawidzę. – Podniosła lalkę w czerwonym płaszczyku. – Zgadnij, kto to jest.

– Czerwony Kapturek, prawda?

– Czasami tak – uśmiechnęła się Miranda. – Ale czasami…

Szybkim ruchem palców obróciła głowę lalki i miejsce buzi dziewczynki zajęła pomarszczona twarz staruszki. Jeszcze jeden obrót i pojawiło się trzecie oblicze, wilk o czerwonych oczach, z wyszczerzonymi kłami.

– Kiedy byłam mała – podjęła Miranda – ta lalka budziła we mnie strach. Bałam się, że w nocy wilk może ożyć i mnie pożreć. Niemądre dziecko. – Odłożyła lalkę na komodę i podsunęła Kay fotografię oprawioną w ramki. – Oto moja mama. Czyż nie była piękna?

– Bardzo. – Kay przyjrzała się uważnie znękanej twarzy o smutnym wyrazie i ciemnych oczach. – Musisz strasznie za nią tęsknić.

– Niezbyt często ją widywałam. *Maman* ciągle chorowała. Zazwyczaj przebywała w jakimś uzdrowisku albo sanatorium.

– A twój ojciec? Jest w Paryżu, prawda?

– Tak, wkrótce go poznasz.

– Czy jeździsz wszędzie tam, gdzie on?

– Wszyscy mu towarzyszymy. Papa lubi, żeby każdy był na miejscu. – Miranda odstawiła fotografię z powrotem na toaletkę. – Tak bardzo pragnęłam mieć kogoś, z kim mogłabym porozmawiać. *Tante* Sonia przez cały czas tylko narzeka. Zostaniemy przyjaciółkami, prawda, Kay? – W ciemnych oczach Mirandy mignął cień niepokoju.

– Z całą pewnością – odparła Kay.

Kilka dni później wyjechały do Paryża. Miały odbyć podróż do Francji pociągiem Złota Strzała, który odjeżdżał z Victoria Station o jedenastej przed południem.

Kay i Miranda wraz z *tante* Sonią zajęły przedział w pierwszej klasie. Madame Lambert miała na sobie futro, a na głowie różowy

aksamitny kapelusz przybrany piórami. Drżała i skarżyła się na zimno.

Siedząc w wagonie, Kay z trudem powstrzymała się od pogładzenia dłonią puszystego obicia. Nie pozwoliła też sobie wziąć do ręki cukiernicy, by dotknąć opuszkami palców godła otoczonego napisem „Pullman Car Company Limited". Gdy pociąg opuścił dworzec, Kay dostrzegła najpierw czarne od sadzy magazyny i bocznice, a później tyły domów i wszystko to, co było zazwyczaj ukryte – kosze na śmieci, pranie wiszące na sznurach i małe ceglane wygódki – teraz wystawione na widok pasażerów. Potem Londyn umknął z pola widzenia i jego miejsce zajęły faliste, zielone krajobrazy Kentu.

Pociąg zwolnił, dojeżdżając do stacji w porcie Dover. Upajającym, ekscytującym doświadczeniem było wejście na prom i uczucie, jakie budziło kołysanie się i unoszenie morskich fal pod pokładem. Steward zaprowadził panie do prywatnej kajuty. *Tante* Sonia z jękiem opadła na koję.

– Idziemy na pokład, ciociu – powiedziała szybko Miranda i ująwszy Kay pod rękę, wyciągnęła ją z kajuty.

Stanęły przy relingu i wpatrywały się w znikające w oddali wybrzeże Anglii. Nad rozmigotanym morzem polatywały mewy. Dmuchał porywisty wiatr i Kay cieszyła się, że ma na sobie szal i gruby wełniany płaszcz. Miranda otulona była w miękkie jasne futro. Postawiła kołnierz, by osłonić twarz.

W trakcie przeprawy zwiedzały prom. Napiły się kawy w sali restauracyjnej, rozmawiając przy tym o innych pasażerach i wymyślając dla nich nazwiska i zawody. Pod koniec podróży wróciły na pokład. Kay dostrzegła Francję po raz pierwszy jako zamazaną szarą plamkę na horyzoncie. Później, stopniowo, z mgły zaczęły się wyłaniać brzeg, miasto i port. Gdy Kay zeszła z promu, czuła się przez chwilę zdezorientowana, bo samo nabrzeże zdawało się falować jak morze. Z zachwytem i niedowierzaniem pomyślała: oto ja, Kay Garland, nareszcie w obcym kraju. Podczas podróży koleją przez równiny Pas-de-Calais była oczarowana wszystkim, od czerwonych dachów wiejskich domków po sklepowe szyldy – *boulangerie*, *tabac*, *épicier*, co brzmiało znacznie bardziej

ekscytująco niż „piekarnia”, „sklep tytoniowy” czy „artykuły spożywcze”.

Przy Gare du Nord czekały auta i zawiozły panie do domu Denisowów w Ósmej Dzielnicy. Był to wysoki, okazały budynek z balkonami z kutego żelaza. Wnętrza umeblowano w podobnym zbytkownym stylu, jak przy Charles Street. Pokój Kay na trzecim piętrze utrzymany był w odcieniach bladej zieleni i bieli. Wyglądając przez okno na ulicę, widziała spieszących się przechodniów i słyszała klaksony samochodów. Odczuwała pragnienie, tak intensywne, że niemal bolesne, by spenetrować ulice tego nieznanego, magicznego miasta.

Najpierw jednak musiała napisać do cioci Dot i zawiadomić, że dotarła bezpiecznie do celu. Wyjęła papeterię i na kartce wpisała datę 10 kwietnia 1936, adres Denisowów oraz słowo „Paryż”, podkreślone tryumfalnie trzy razy.

Tamtego wieczoru przy kolacji Kay poznała ojca Mirandy. Konstantin Denisow był mężczyzną o imponującej posturze, wysokim, dobrze zbudowanym, barczystym, o szerokiej klatce piersiowej i grubym karku. Miał głęboki, mocny głos i zwrócił się do Kay po francusku, poprawnie, choć z ciężkim akcentem. Panna Garland powinna jadać obiady z członkami rodziny, wyjąwszy umówione spotkania towarzyskie, oznajmił; zaszczytem będzie możliwość prowadzenia konwersacji z rodowitą Angielką. Pan Denisow podziwiał Anglików, naród śmiały i praktycznie myślący. Było dla niego ważne, by jego córka mówiła dobrze po angielsku – wszak to, poza wszystkim, ojczysty język jego żony, matki Mirandy. Kochał Anglię, pragnąłby mieszkać w domku na wsi, sadzić jabłonki i hodować świnie. Niestety, niemal przez cały rok interesy zatrzymywały go na kontynencie.

Kolacja z rodziną Denisowów w niczym, jak się przekonała Kay, nie przypominała kolacji w domu cioci Dot. Nie było przyjacielskiego rozdzielania gulaszu i placka ani hałaśliwych, lecz dobrodusznych dyskusji o polityce i najnowszych książkach. Dyskretny sposób podawania posiłków, a także ustawienia porcelany, szkła i sreber wzbudziły w Kay nagłą niepewność, czy potrafi odpowiednio się zachować przy stole i czy wieczorowa suknia z brązowego aksamitu,

z bufiastymi rękawami, uszyta przez ciocię Dot, okaże się wystarczająco elegancka. Cieszyła się, że jej stopy, które uważała za brzydkie, ponieważ były dość długie i szczupłe, podobnie jak cała reszta ciała, są ukryte pod jadalnianym stołem.

Konstantin Denisow kierował przebiegiem rozmowy. Wszyscy milkli, kiedy się odzywał. Raz czy dwa Kay wyczuła jego twarde, inteligentne, badawcze spojrzenie. W trakcie deseru sekretarz Konstantina, Luca, wszedł do pokoju, by zawiadomić pracodawcę, iż ktoś do niego telefonuje, na co pan domu wstał od stołu. *Tante* Sonia i Miranda zdawały się odprężać w chwilach jego nieobecności.

Przez kilka następnych dni Kay zapoznawała się z porządkiem codziennych zajęć Denisowów. Służba i pracownicy stanowili kosmopolityczną zbieraninę: angielska gospodyni, francuski kucharz, niemiecki szofer, włoski sekretarz. Choć sam Konstantin Denisow był Rosjaninem, w jego domu przeważnie mówiło się po francusku.

Pan domu zazwyczaj wychodził rano w swoich sprawach, zanim Kay i Miranda wstały o ósmej. *Tante* Sonia, która jadała śniadanie w łóżku, pojawiała się na dole o dziesiątej, ziewająca i nadal nieco *déshabillée*. Przez następną godzinę Kay uczyła Mirandę angielskiego, podczas gdy *tante* Sonia układała bukiety i omawiała z panią Ingram jadłospis. Miranda mówiła już po angielsku prawie bez obcego akcentu, spędzały więc czas na wspólnym czytaniu Szekspira. Oprócz francuskiego i angielskiego Miranda znała biegle niemiecki, a także całkiem nieźle włoski i rosyjski.

O pierwszej jadły lunch z *tante* Sonią albo w restauracji, albo w domu. Popołudnia zajmowały im zakupy, składanie wizyt, gra w tenisa i lekcje baletu. Miranda uwielbiała taniec. Ilekroć ojciec był z niej niezadowolony, nie pozwalał jej pójść na lekcję i była wówczas bardzo nieszczęśliwa.

O czwartej po południu siadały z *tante* Sonią do podwieczorku. Raz na dwa tygodnie dostarczano do domu Denisowów kosz delikatesowy od Fortnuma i Masona z Londynu, zawierający ciasto z bakaliami, dżem cytrusowy Cooper's Oxford oraz syrop cukrowy firmy Tate and Lyle. Po podwieczorku Miranda odpoczywała przez godzinę, następnie zaś przebierały się do kolacji. O wpół do dziewiątej Kay jadła kolację z całą rodziną. Jeśli Konstantin, Miranda

i *tante* Sonia wychodzili wieczorem z wizytą albo na bal, któraś z pokojówek przynosiła Kay tacę z posiłkiem do pokoju.

Tante Sonia miała pokojowego pieska o imieniu Frou-Frou, który nieustannie zerkał zza fałd kreacji z jedwabiu i szyfonu, noszonych przez jego panią w ciągu dnia. Wieczorami Sonia przybierała dramatyczny wygląd, spowita w czarny lub pąsowy atłas. W obecności Konstantina *tante* Sonia zawsze zachowywała się z szacunkiem i dokładała wszelkich starań, by go zadowolić, starając się zatuszować każde uchybienie. Gdy jednak Konstantina Denisowa nie było w domu, ciocia wylegiwała się na ulubionej sofie z Frou-Frou i pudełkiem czekoladek pod ręką, liżąc od czasu do czasu palec wskazujący, by przewrócić stronę czasopisma. Prośby Mirandy o spacer lub wyjście na zakupy kwitowane były pełnym znużenia zdaniem: „Ale ja jestem taka zmęczona, *chérie*" albo: „Moja biedna głowa, tak bardzo mnie boli". Od początku Kay nie miała wątpliwości, że Miranda nie przepada za *tante* Sonią. I choć ta zwracała się do dziewczyny „moja droga" i „kochanie", i obsypywała ją całusami, nie potrafiła powściągnąć irytacji, kiedy Miranda narzekała lub odpowiadała hardym tonem.

Tydzień po przyjeździe do Paryża Kay wróciła właśnie do domu, skąd wymknęła się po cichu, by nadać list, gdy nagle usłyszała z bawialni krzyki Konstantina. Nakładały się na nie bojaźliwe pobekiwania *tante* Soni: „Ależ Kostia, mój skarbie!". A potem dało się słyszeć uderzenie i bolesny pisk.

Spojrzawszy w górę, Kay dostrzegła Mirandę pochyloną nad balustradą. Podbiegła do dziewczyny. Miranda przycisnęła palec do ust, nakazując milczenie. Piętro niżej drzwi bawialni otworzyły się gwałtownie. Miranda złapała Kay za rękę i szepcząc: „Prędko, nie mogą nas zobaczyć!" – wciągnęła ją po schodach na wyższe piętro.

– Co się stało? – spytała Kay.

– Coreilowie, *une famille trés snob*, nie przyjęli zaproszenia na kolację. Papa wini za to *tante* Sonię. – W głosie Mirandy pobrzmiewała nuta zadowolenia. – Jest wściekły. Mam nadzieję, że wyrzuci ją na ulicę.

– Ależ, Mirando – zaprotestowała Kay, wstrząśnięta. – Przecież to twoja ciotka.

Miranda otworzyła drzwi i obydwie weszły do jej pokoju.

– Nie – odparła. – Ona nie jest tak naprawdę moją ciotką. Kiedyś, dawno temu, była metresą mojego ojca, nic więcej.

– Metresą? – Kay szeroko otworzyła oczy.

– Tak, jego kochanką. – Miranda usiadła na sofie z pozłacanymi oparciami. – Trudno w to uwierzyć, prawda? Jest taka gruba, brzydka i głupia. Ale tak, została jego kochanką. Gdy mój ojciec ją poznał, była żoną nieszczęsnego monsieur Lamberta. Biedak zmarł kilka lat później i trudno się temu dziwić, przy takiej żonie. Śmierć zapewne przyniosła mu ulgę. Oczywiście Sonia nie dzieli już łoża z papą. On ma teraz inną kochankę. Conrad mówi, że jest bardzo ładna. – Conrad był szoferem. Miranda parsknęła śmiechem. – Nie rób takiej zgorszonej miny. Czyżbyś się nie domyśliła?

Kay pokręciła głową.

– Myślisz zapewne, że jestem podła, wyrażając się w ten sposób o Soni, ale ona tylko udaje, że mnie lubi. Wie, że gdyby ojciec zauważył, jak bardzo ta kobieta mnie nie cierpi, musiałaby odejść, a nie ma dokąd pójść. Znosimy się nawzajem tylko dlatego, że musimy. Kiedy wyjdę za mąż i opuszczę dom, już nigdy nie zamienimy ani słowa. – Miranda zmarszczyła brwi. – Nie cierpię jej, bo bez przerwy mnie szpieguje. Wtrąca się w moje sprawy. Podsłuchuje, kiedy rozmawiam przez telefon, czasami otwiera moje listy. Raz przyłapałam ją na czytaniu mojego pamiętnika.

– Może po prostu ma taki sposób bycia – zauważyła Kay. – Może chce się upewnić, że nic ci nie grozi.

– Nie, nie sądzę. Ma nadzieję, że wykryje coś paskudnego na mój temat i doniesie ojcu. Myśli, że wtedy będzie ją wolał ode mnie. Mówiłam ci, że jest głupia. Czasami podbiera mi pieniądze z portmonetki.

– Jesteś pewna? – Kay była zbulwersowana.

– Nigdy nie pamiętam, ile mam pieniędzy, więc trudno być pewną. Ale ona ciągle narzeka, że brakuje jej gotówki i czasami moja portmonetka okazuje się pusta. Nie sądzę, by ojciec dawał jej zbyt dużo. Bo właściwie dlaczego? Ona do niczego się nie przydaje. I jest okropnie skąpa. Kiedy ojca nie ma, nosi ohydne, stare, pocerowane pończochy. Raz, kiedy ten jej paskudny piesek stłukł wazon,

powiedziała mojemu ojcu, że zrobił to jeden ze służących. Papa go odprawił. Czy to nie podłe z jej strony? A ja naprawdę mam dość siedzenia w domu. „Taka jestem zmęczona, *chérie*… boli mnie głowa, kochanie" – Miranda w niesamowicie trafny sposób naśladowała jękliwe narzekania Soni.

Potem uklękła na sofie i wyjrzała przez okno. Wydała pełne niezadowolenia westchnienie.

– Och, mam już naprawdę dość tego domu! Może jutro zrobimy coś ekscytującego, Kay?

– Co masz na myśli?

Miranda tylko się uśmiechnęła.

– Jutro poznasz moich przyjaciół.

Przyjaciele Mirandy mieszkali przy Rue Daru. Miranda spotkała ich po raz pierwszy w katedrze Świętego Aleksandra Newskiego, gdzie czasami bywały z *tante* Sonią na nabożeństwie. Ozdobne wieże katedry zwieńczone były złocistymi kulami; podobiznę świętego na frontonie ułożono ze złotych i kolorowych mozaikowych płytek. Wielu rosyjskich emigrantów osiedliło się w tej dzielnicy Paryża, gdy ich świat runął w 1917 roku, po obaleniu cara.

Ojciec pogardzał współtowarzyszami z emigranckiego środowiska, wyjaśniła Miranda, gdy szły od krawcowej na Rue Daru. Uważał, że są żałośni, godni politowania i żyją wyłącznie przeszłością. Gdyby *tante* Sonia dowiedziała się o wizytach w domu przy Rue Daru, natychmiast położyłaby im kres. Miranda nauczyła się jednak z biegiem lat wykradać dla siebie jedną czy dwie godziny swobody. *Tante* Sonia była bardzo leniwa i często dawała się przekonać, by dziewczyna została sama u krawcowej albo na lekcji baletu. Sonia mogła ściśle przestrzegać godziny spotkania z Mirandą po lekcji albo przymiarce, była jednak zbyt głupia, by zdawać sobie sprawę, że wizytę u krawcowej można załatwić w pół godziny albo że lekcja baletu trwa jedną godzinę, a nie dwie. Miranda wykorzystywała ów skradziony czas, aby lepiej poznać ludzi z Rue Daru.

– *Madame* Baranowa wydaje przyjęcie w każdą środę po południu – poinformowała. – To wspaniała zabawa. Goście śpiewają, grają

i opowiadają rozmaite historie, a jedzenie jest pyszne. – Miranda wzięła Kay pod ramię. – Teraz, kiedy tu jesteś, będzie mi znacznie łatwiej.

Aleksandra Baranowa była żoną generała, który walczył w armii carskiej. Bawialnia madame Baranowej nie była szczególnie przestronna, lecz mimo to Kay naliczyła ponad trzydzieści osób siedzących na sofach, krzesłach, podłodze i parapetach. W oknach wisiały ciężkie zasłony z ciemnoczerwonego aksamitu, wytarte na zagięciach. Na stolikach i gzymsie kominka stały kobaltowobłękitne ceramiczne ozdoby i puzderka z laki, zawierające zdjęcia uśmiechniętych dziewcząt w barwnych ludowych strojach oraz fotografie chłopców w marynarskich ubrankach i dziewczynek o sarnich oczach, w bluzkach ze sztywnymi kołnierzykami i długich białych spódniczkach. Pokój miał w sobie jakąś spłowiałą wytworność, cudzoziemski czar.

Kay została przedstawiona żołnierzom, poetom i muzykom. Pewien książę zaczął jej opowiadać o swoim dzieciństwie w Rosji: o skrzypieniu śniegu pod butami w zimie i motylach tańczących latem nad łanami falującej złocistej pszenicy na polach, które otaczały dwór. Raz uczestniczył w polowaniu na wilki: ojciec posadził go przed sobą na siodle i jechał wraz z nim przez las, gdzie każda gałąź uginała się pod ciężarem śniegu, a słońce pokazywało się tylko jako rozmyty biały krążek umieszczony nisko na perłowoszarym niebie. Książę i jego żona mieszkali niegdyś w Petersburgu, w pałacu otoczonym lipami i bzami. Uciekli z Rosji po rewolucji. Wraz z wieloma innymi rosyjskimi uciekinierami osiedlili się najpierw w Berlinie, przejadając pieniądze uzyskane ze sprzedaży biżuterii, przemyconej do Niemiec w podszewce płaszcza. W tamtych czasach, powiedział książę, można było dobrze się urządzić w Berlinie, jeśli miało się złoto albo obcą walutę. Miasto, w którym zawsze czuło się ducha wolności, pełne było ożywionych – acz zubożałych – teatrów, galerii sztuki, sal koncertowych i kabaretowych. Otaczali ich przyjaciele, więc uciekinierzy nie czuli się samotni. W Berlinie można było kupić rosyjskie gazety i książki. Teraz już nie, dodał książę ze smutkiem; Berlin uległ zmianie.

W połowie lat dwudziestych, gdy gospodarka niemiecka zaczęła dochodzić do siebie i Berlin stał się zbyt drogi, przenieśli się do Paryża. Niedługo po przybyciu do Francji księżna zmarła.

– Myślę – wyjaśnił książę – że kiedy mieszkaliśmy w Berlinie, moja żona wierzyła, iż pewnego dnia wrócimy do domu. Po przeprowadzce do Paryża straciła nadzieję. Lekarz stwierdził, że umarła na grypę, ale ja od początku byłem przekonany, iż pękło jej serce.

Zapytał Kay, czy tęskni za Londynem.

– Trochę – odparła – ale zawsze chciałam podróżować.

Książę uśmiechnął się smutno.

– Ja również, kiedy byłem młody. Podróż to wielka przyjemność, gdy się wie, że można potem wrócić do domu.

O trzeciej zjedli ciasto z serem i tartę z wiśniami, popijając je herbatą podaną na rosyjski sposób, w szklankach, z łyżeczką konfitur. Następnie zapadła cisza, gdy mężczyzna z czarną brodą grał na pianinie, a potem młoda kobieta recytowała wiersz. Później zaś madame Baranowa poprosiła Mirandę, żeby zaśpiewała. Miranda czystym, melodyjnym głosem odśpiewała francuską piosenkę, przy której akompaniował jej brodaty mężczyzna. Wszyscy byli czarujący, zajmujący i bardzo uprzejmi, lecz Kay wyczuwała w nich cień smutku, coś, co przypominało smugę czarnego bazaltu w bryle granitu.

To właśnie Aleksandra Baranowa – dla bliskich przyjaciół Szura – opowiedziała Kay więcej o życiu Konstantina Denisowa. Był mądrzejszy niż inni, przyznała madame Baranowa. Zorientował się w porę, skąd wieje wiatr, i zainwestował w przedsiębiorstwa za granicą, dlatego po wybuchu rewolucji nie został, jak wielu jego rodaków, bez środków do życia. Wraz z rzeszą rosyjskich emigrantów przeniósł się po wojnie do Berlina. W okresie wielkiej inflacji, kiedy ładne, młode mieszkanki stolicy sprzedawały się za cenę gorącego posiłku, Konstantin Denisow wykupił całą ulicę. Po kilku latach sprzedał domy za dziesięciokrotnie wyższą cenę i dzięki temu stał się bardzo bogatym człowiekiem.

Kay wkrótce uświadomiła sobie wyraźnie, że Miranda, choć od urodzenia rozpieszczana i wychowywana w zbytku, jest bardzo samotna. Wszyscy koło niej skakali, lecz rzadko miewała chwile tylko dla siebie. Każdą czynność musiała wykonywać pod czyimś bacznym spojrzeniem. Pod pewnymi względami Miranda była dziecinna jak na swój wiek – te lalki i jej niewiedza, jak kupić bilet na pociąg, zrobić grzankę albo przyszyć guzik. Kay natomiast uczono dawać sobie radę z podobnymi sprawami od wczesnego dzieciństwa, wracała pieszo ze szkoły do pustego domu i sama szykowała sobie podwieczorek, mając dziewięć lat. Potrafiła się poruszać po Londynie i pracowała na swoje utrzymanie, odkąd skończyła szkołę. Ale Miranda zdobyła znacznie więcej mądrości życiowej. W wieku szesnastu lat wiedziała, kim jest metresa i czym się zajmuje. Przy wspólnikach ojca w interesach, mężczyznach dwa lub trzy razy od niej starszych, dziewczyna była czarująca i pewna siebie, nawet odrobinę zalotna. Obłudny, wyrafinowany świat Mirandy zdumiewał, a niekiedy nawet szokował Kay.

Całym domem rządził niepodzielnie pan Denisow. Było to pierwsze zetknięcie Kay z władzą absolutną. Konstantin przyglądał się czujnie nie tylko swoim interesom, ale i gospodarstwu. Był potężny, błyskotliwy i niestabilny. Jego nastrój mógł ulec zmianie w jednej chwili pod wpływem czyjejś niefortunnej wypowiedzi, zmarszczenia brwi lub uśmiechu w nieodpowiedniej chwili: wówczas uprzejmość i wielkoduszność przechodziły nagle w wilczy warkot. Konstantin Denisow miał w sercu bryłę lodu, która wzbudzała w Kay nieufność. Ranienie innych ludzi nie sprawiało mu bólu. Było mu wszystko jedno, czy zrujnuje konkurenta, czy zabroni Mirandzie przejażdżki; w ten sposób zdobywał przewagę albo pokazywał innym miejsce w szeregu. Większość ludzi wzdragałaby się przed wyrzuceniem na bruk starego pracownika albo doprowadzeniem kogoś z rodziny do łez. Ale nie Konstantin. Kay nigdy nie dostrzegła u niego ani odrobiny żalu czy wyrzutów sumienia.

Miał skłonność do nagłych wybuchów gniewu. Raz Kay widziała, jak cisnął porcelanową figurką w lustro; jedno i drugie się stłukło. Innym razem uderzył sekretarza z taką wściekłością, że Luca odbił się od ściany i ogłuszony osunął na podłogę. Gdy *tante* Sonia

usiłowała go uspokoić pochlebstwem i przeprosinami, zachowywał się w sposób obelżywy i okrutny. Miranda, pobladła i milcząca, starała się ukrywać podczas napadów gniewu ojca, lecz gdy tylko Konstantin dostrzegł, jak córka wymykała się na palcach z pokoju, kierował na nią całą siłę swego złego humoru.

Gdy atak furii mijał, Konstantin stawał się odprężony i spokojny, jakby doznał ulgi. Wykorzystywał swój gwałtowny charakter do roztaczania kontroli nad domownikami, utrzymywania ich w stanie nerwowego napięcia, gdy starali się go zadowolić, zazdrośni o osobę będącą aktualnym faworytem. W domu Denisowów królowały spiski i oszustwa, ludzie w jednej chwili tracili pracę i lądowali na ulicy, gdy nagle wypadali z łask.

Miranda niezmiennie okazywała ojcu uprzejmość i szacunek. Starała się go zająć, rozerwać, zabawić. Czasami Konstantin wychodził naprzeciw jej gestom i nazywał ją swoją gołąbeczką. Rozpieszczał córkę prezentami, niekiedy nieprzewidywalnymi – jak bransoletka od Aspreya, zegarek od Cartiera czy też towarzyszka, z którą mogła spędzać czas. W innych chwilach, gdy Miranda źle oceniła nastrój ojca, odtrącał ją ze złością. „Czego chcesz, co próbujesz wydobyć ode mnie? – warczał. – Znam te twoje sztuczki. Jesteś taka sama jak wszystkie kobiety, uważasz mnie za głupca, który nie przejrzy twoich gierek". Kiedy ojciec z niej szydził, Miranda płakała. Kiedy prawił jej komplementy, była radosna i beztroska. Jakie to dziwne, pomyślała Kay, bać się kogoś, a jednocześnie go kochać. Kiedyś nie uznałaby tego za możliwe.

Miranda doskonale prezentowała się w towarzystwie, gdy ojciec pragnął się popisać piękną córką. Przy stole dokładała starań, by zabawić finansistów i przemysłowców, których zapraszał do domu. Musiała precyzyjnie wyważyć sposób postępowania, flirtować, lecz zawsze z umiarem, inaczej ojciec mógłby uznać, że zachowuje się jak dziwka. A gdyby nie czarowała gości, zarzuciłby jej, że stroi fochy. Nic zatem dziwnego, że często po wyczerpującym wieczorze zakradała się na górę i kładła na łóżku Kay, zmęczona i bliska łez, nie dbając o to, jak bardzo pogniecie kosztowną sukienkę od Vionneta. „Opowiedz mi o swojej szkole, Kay. Opowiedz mi o cioci Dot. Opowiedz o księgarni Briana przy Charing Cross Road". Głos Kay,

mówiącej o sprawach spokojnych i zwyczajnych, wpływał kojąco na dziewczynę.

Jej przygody – z których zwierzała się Kay, a później, gdy się lepiej poznały i nabrały zaufania do siebie nawzajem, przeżywała w obecności Kay i za jej aprobatą – stanowiły próbę ułożenia życia na własny sposób, z dala od czujnego ojcowskiego oka. Był to również zuchwały gest sprzeciwu. Pod pewnymi względami Miranda wdała się w ojca. Obydwoje potrafili być bezwzględni i uparci.

Kay zajmowała w domu nietypową pozycję, jako ktoś zawieszony między stanowiskiem służącej a przyjaciółki rodziny. Zastanawiała się czasami, czy Konstantin Denisow, kupując towarzyszkę dla córki, spodziewał się, że połączy je nić przywiązania. A ponieważ wydawało jej się, iż interesowało go wyłącznie to, co dotyczy jego osoby – czyli zarabianie i gromadzenie pieniędzy – myślała, że nic nie zauważył.

Niemądrze z jej strony: Konstantin Denisow widział wszystko.

Po dwóch miesiącach pobytu w Paryżu wyjechali do Pragi. Spędzili tam miesiąc, następnie zaś udali się na dwutygodniowe wakacje na Lazurowe Wybrzeże. Potem wrócili do Paryża. Podróże, ciągłe podróże. Nie dało się przewidzieć, na jak długo zatrzymają się w danym mieście czy miasteczku. Czasami Kay i Miranda wiedziały o wyjeździe z tygodniowym wyprzedzeniem, kiedy indziej natomiast po powrocie z popołudniowych zakupów zastawały dom w stanie zamętu, pokojówki biegały w górę i w dół po schodach z naręczami poskładanej odzieży, podczas gdy męska służba wynosiła kufry pełne rzeczy do czekających już samochodów. Przenosiny te wymuszone były interesami pana Denisowa. Jego najrozmaitsze inwestycje – w nieruchomości, węgiel, zboże, banki – rozciągały się po całej Europie. Pogłoska o kłopotach albo korzystnej okazji w Londynie czy Berlinie sprawiała, że domownicy natychmiast pakowali bagaże. Wystarczyła wzmianka o niestabilności finansowej austriackiego banku i już siedzieli w pociągu do Wiednia.

Dziewczęta nigdy nie zostawały zbyt długo same, kiedy spacerowały po parku albo siedziały przy kawiarnianym stoliku pod markizą. Miranda, w ciemnych okularach, z głową przechyloną na

bok, obserwowała chłopców z pewnej odległości. „*Pas mal*” – mówiła czasami z odcieniem aprobaty. Albo: „Nie, nie, ten nie jest godny uwagi”, i jej badawcze spojrzenie wędrowało dalej. Młodzieńcy bywali przystojni i czarujący, nieśmiali i żywiołowi. Byli wśród nich studenci, żołnierze na przepustkach oraz urzędnicy z rządowych biur, banków i prywatnych firm. Prawili komplementy, częstowali dziewczęta papierosami i proponowali wspólną kawę, podczas gdy one posyłały im ujmujące uśmiechy i błyskały oczami. Cała procesja mężczyzn, w każdym mieście, do którego zawitały, przemierzając Europę; przelotne spotkania przetykane wybuchami śmiechu, tylko dla zabawy, nic poważnego. Miranda zapominała o nich w chwili, gdy domownicy pakowali się i znowu ruszali w drogę.

Dopóki nie poznała Oliviera.

Rozdział 2

W kwietniu 1937, rok po ich pierwszym spotkaniu, Miranda i Kay znowu przyjechały do Paryża z resztą domowników. Choć od pojawienia się Kay pobyt w każdym mieście stał się dla Mirandy przyjemniejszy, zawsze najbardziej lubiła stolicę Francji. Często rozmyślała, jaki to cudowny traf, że właśnie Kay odpowiedziała na ogłoszenie ojca. Pasowały do siebie doskonale. Te same rzeczy wydawały im się zabawne, te same absurdalne. Nigdy nie brakowało im tematów do rozmowy, a gdy Miranda czuła się nieszczęśliwa, Kay zawsze potrafiła ją pocieszyć. Uparte domaganie się w wieku lat szesnastu, by wolno jej było mieć damę do towarzystwa zamiast guwernantki, stanowiło pierwszy wypadek, kiedy stawiła czoło ojcu. Aż ją mdliło ze strachu. W trakcie tej rozmowy nastąpiła chwila, w której sprawa stanęła na zbyt dobrze znanym Mirandzie ostrzu noża. Czy ojciec krzyknie, zwymyśla ją, uderzy w twarz? Ale ku jej bezbrzeżnej uldze, wybuchnął śmiechem, powiedział, że jest do niego podobna i cieszy go, że córka ma charakter.

Park Monceau znajdował się niedaleko paryskiej rezydencji Denisowów. Tamtego kwietniowego dnia, w południe, wszędzie pachniały bzy. Za zakrętem ścieżki Miranda dostrzegła siedzącego na ławce młodego człowieka. Siedział tam również poprzedniego dnia i przewracał strony „Le Temps”, a w jego pozie była jakaś swoboda i pewność siebie, która przyciągnęła uwagę Mirandy, kiedy przechodziły z Kay w pobliżu.

Teraz zauważyła kątem oka, że młodzieniec wstaje, składa gazetę i wsuwa ją do kieszeni marynarki. Był wysoki, szeroki w ramionach i wąski w biodrach, a jego ciemne, lśniące, kręcone włosy miały brunatnokasztanowy odcień.

– Mamy towarzystwo – szepnęła Miranda do Kay. – Kim dzisiaj będziemy? Powiedzmy, że ja jestem mademoiselle Dupont, a mój ojciec ma sklep… niech pomyślę, z rękawiczkami. Ty, Kay, jesteś miss Smith. Moją angielską… hm...

– Korespondencyjną przyjaciółką – podsunęła Kay.

– *Bonjour, mademoiselles* – przemówił ciemnowłosy młodzieniec. – Czy mogłyby mi panie powiedzieć, która godzina?

Miranda zerknęła na swój mały, złoty zegarek.

– Wpół do pierwszej, *m'sieur*.

– Dziękuję. Piękny dzień, nieprawdaż? – Wyciągnął rękę. – Czy mogę się przedstawić? Nazywam się Olivier Roussel.

Miranda podała ich fikcyjne nazwiska i opowiedziała historyjkę o sklepie z rękawiczkami. Mousieur Roussel uśmiechnął się i mruknął:

– Z rękawiczkami, jakie to interesujące. – Następnie oznajmił, że on sam kręci filmy.

– Brzmi ekscytująco – powiedziała Miranda. – A teraz proszę wybaczyć, *m'sieur*, musimy iść, bo inaczej spóźnimy się na umówione spotkanie.

– Oczywiście. – Uśmiech, kiwnięcie głową, wzajemne *au revoir*, a później, kiedy uznały, że znajdują się już dostatecznie daleko, obydwie wypuściły z płuc powietrze i oparły się o siebie, chichocząc.

Następnego dnia zobaczyły go znowu w tym samym miejscu, na tej samej ławce. Miał gazetę wetkniętą w kieszeń marynarki. Na widok dziewcząt wstał.

– Mademoiselle Dupont, miss Smith, bardzo mi przyjemnie spotkać panie ponownie. Miałem nadzieję, iż będziecie panie tędy przechodziły.

– Doprawdy, monsieur Roussel? Dlaczego?

– Być może przypominacie sobie panie, że wspomniałem wczoraj, iż zajmuję się kręceniem filmów. Niestety, mam w tej chwili pewien kłopot.

– Och, przykro to słyszeć.

– Zawiodła mnie odtwórczyni głównej roli. Zachorowała i teraz muszę znaleźć kogoś, kto ją zastąpi. Pomyślałem, że pani,

mademoiselle Dupont, znakomicie odegrałaby rolę, o której wspomniałem.

Miranda przystanęła w cętkowanym cieniu klonu. Monsieur Roussel dodał:

– Gdyby panią interesowała praca tego rodzaju.

– To zależy.

– Naturalnie. Od czego, jeśli wolno spytać?

– Mówiąc „praca tego rodzaju", co właściwie ma pan na myśli?

– Ach, tak – zaczął – ma pani prawo być ostrożna. Obcy mężczyzna wyskakuje zza krzaka w parku i prosi, by zagrała pani w jego filmie. Brzmi to co najmniej podejrzanie, nieprawdaż? – Wyjął wizytówkę z wewnętrznej kieszeni marynarki i wręczył Mirandzie. Następnie dodał: – Słowo „film" jest tutaj może nieco na wyrost. To właściwie reklama przedstawiająca zalety telefonu. – Wzruszył ramionami. – Trzeba brać taką pracę, jaka się nadarzy. Większość moich filmów to krótkie, informacyjne produkcje. Reklamy dla prywatnych przedsiębiorstw, dokumenty dla rządu, wychwalające pracowitość naszych rybaków albo producentów win. Czasami pouczający obrazek na temat wyrobu cementu albo tkania wstążek, tego typu rzeczy. Aha, i śluby, oczywiście; podekscytowana panna młoda przybywa do kościoła, a następnie goście weselni siedzą przy śniadaniu we wspaniałej rodzinnej rezydencji. – Z żalem rozłożył ręce. – Chodzi o pieniądze. Kiedyś, mam nadzieję, że już niebawem, zacznę kręcić pełnometrażowe filmy. Proszę się zatem nie lękać. Wszystko, co pani powiedziałem, jest prawdą.

Położył nacisk na ostatnim zdaniu. Miranda zaczerwieniła się lekko.

– Pan rękawicznik – podjął gładko Olivier Roussel – musi mieć nadzwyczajne szczęście w interesach, jeśli kupuje córce kostiumy od Chanel.

Miranda uniosła brwi.

– Jest pan bardzo dobrze zorientowany.

– W moim zawodzie należy wiedzieć co nieco o wszystkim. – Uśmiechnął się szerzej. – Może pozwoli pani zaprosić się na lunch i wtedy zaczniemy od nowa.

– Niestety, jesteśmy umówione. – Co za piękne, brązowe oczy, pomyślała Miranda, czując ukłucie w sercu, i tyle w nich iskierek

śmiechu. Dlatego dodała: – Ale znajdziemy czas na kawę. *Tante* Sonia nie będzie nam miała za złe drobnego spóźnienia. To jej da sposobność wypicia drugiego aperitifu.

Poszli do kawiarni, którą Olivier znał, w bezpiecznej odległości od Pól Elizejskich i Fouqueta, gdzie czekała na nie Sonia. Przy kawie opowiedział im o branży filmowej, nie tak olśniewającej, jak ludzie skłonni byli przypuszczać. Większość czasu poświęcał na wypraszanie pieniędzy od finansistów albo namawianie kogoś, by pożyczył fotel z epoki Ludwika XIV, potrzebny jako rekwizyt. W tym krótkim filmiku dla towarzystwa telefonicznego Miranda musiałaby tylko podnieść słuchawkę i udawać, że gawędzi z przyjaciółką. To łatwe. Kilka minut pracy, choć powinien uprzedzić, że kilkuminutowe nagranie zajmuje czasami długie godziny.

– A czy ten film… czy ta reklama będzie wyświetlana w kinach? – zapytała Miranda.

– Tak, taki mamy plan – odparł. – Czy to stwarza jakiś problem?

– Nie, skądże. Nie ma żadnego problemu.

– Ale, Mirando… – wtrąciła Kay.

– Żadnego problemu – powtórzyła i spytała zaciekawiona: – Dlaczego właściwie wybrał pan mnie?

– Ponieważ kiedy pojawi się pani na ekranie, ludzie będą na panią patrzyli. Nie zdołają oderwać oczu – odparł z powagą.

Później, gdy zmierzały pośpiesznie do Fouqueta, Kay powiedziała:

– Mirando, ten film… Co na to twój ojciec?

– Nic mu nie powiem.

– Nie musisz. Wszyscy cię zobaczą.

– Tak. – Westchnęła, wyobrażając to sobie. – Jak cudownie.

– Gdyby się dowiedział…

– Nie dowie się. Papa nie chodzi do kina.

– Ale może cię rozpoznać ktoś ze znajomych.

Miranda widziała, że Kay jest zmartwiona. Wzięła ją pod ramię i powiedziała uspokajająco:

– Pewnie wyświetlą ten… reklamowy film w dwóch czy trzech obskurnych norach, w najuboższych dzielnicach Paryża. Będę mocno umalowana i inaczej uczesana. A poza tym słyszałam, że na filmach ludzie nigdy nie wyglądają tak jak w rzeczywistości. Nawet jeśli

rozpozna mnie jakiś znajomy ojca, nie odważy się mu powiedzieć. Niczego więc nie ryzykujemy, *chérie*, jestem tego pewna. Wystąpię w filmie, Kay. Czy to nie wspaniałe?

Film Oliviera Roussela kręcono w pomieszczeniach magazynu w Belleville, robotniczej dzielnicy Paryża. Magazyn był rozległy i ciemny, a pod jedną jego ścianą zgromadzono mieszaninę przedmiotów – zardzewiałe auto, jakieś meble, maszyny i urządzenia. Miranda musiała sama zrobić sobie makijaż w biurze Oliviera, zerkając w lusterko własnej puderniczki. Biuro było wydzielonym pokoikiem w obrębie magazynu, bardzo ciasnym, dość zakurzonym, z jednym maleńkim okienkiem pod samym sufitem. Z warsztatu naprzeciw zalatywało benzyną, a pręgowany kot chłeptał mleko ze spodka.

– Odstrasza szczury – wyjaśnił Olivier, gdy Kay pochyliła się, by pogłaskać zwierzaka. – Są tu cholernym utrapieniem. Tuż obok jest skład cukru i to je przyciąga.

Istotnie, niezbyt olśniewające.

Krótką dramatyczną scenkę pocięto na fragmenty, na przykład zdania. Każdy ruch, każdy gest miał znaczenie. A ileż to zajmowało czasu! Ujęcie uśmiechniętej Mirandy odbierającej telefon dopiero po półgodzinnych próbach zyskało aprobatę Oliviera. Modulacja głosu w pytającym „Halo?” została poddana niekończącym się ćwiczeniom.

Chuderlawy młodzieniec o imieniu Benoît krążył po sali, regulując oświetlenie i manipulując przełącznikami aparatury rejestrującej dźwięk. Drobna, szczupła dziewczyna o imieniu Agnès, wyglądająca bardzo szykownie w czarnym płaszczu i berecie, usiadła obok Oliviera i zapisywała coś w notesie, drżąc z zimna. Co pewien czas dzwonił telefon w przyległej oficynie i Agnès ześlizgiwała się ze stołka i biegła, by odebrać, potykając się na betonowej podłodze na swych wysokich obcasach, a potem wykrzykiwała pytania skierowane do Oliviera, a raz podała mu słuchawkę ze słowami: „Olivierze, to Sylvie w sprawie płatności i nalega na rozmowę z tobą”.

Listonosz dostarczył przesyłki, a potem przed otwartymi drzwiami zwolniła furgonetka, której kierowca wysunął głowę przez okno

i zawołał: „Hej, Olivierze, Jacques mówi, że może zrobić osiemnastkę!" – a Olivier pomachał w odpowiedzi. W całym tym zamęcie wydawał się spokojny, kompetentny i panował nad sytuacją. Sprawdzał obraz w obiektywie kamery, wydawał polecenia Agnès i Benoît, stawał obok Mirandy, dotykał jej ramienia, a później pokazywał ruchy, które powinna wykonać. Gdy wreszcie zaczęło się kręcenie filmu, zamknięto drzwi i w magazynie zapanowała niezmącona cisza. Blada twarz Mirandy zajaśniała w mroku niczym wschodzący księżyc i ta chwila wydała się Kay magiczna.

Po zakończeniu zdjęć Olivier zaprosił dziewczęta na lunch. Kay zatelefonowała do *tante* Soni i zawiadomiła ją, że zasiedziały się u modystki i teraz pójdą coś przekąsić. Kłamstwa płynęły gładko z jej ust, gdy tak stała w biurze Oliviera, otoczona stertami scenariuszy, listów i książek telefonicznych. „Jaka umiejętność najbardziej się pani przydała jako damie do towarzystwa, panno Garland? Zdolność łgania w żywe oczy".

Kay czuła, jak po drugiej stronie telefonicznego przewodu wrodzone lenistwo madame Lambert zmaga się z jej głęboko zakorzenioną podejrzliwością. W końcu *tante* Sonia odpowiedziała:

– Dobrze. O trzeciej, nie później, panno Garland. Konstantin napomknął, że może dziś wrócić wcześniej.

Usiedli w pięcioro w małej restauracji wciśniętej między warsztat samochodowy a fabrykę papieru. Ale stek i sałatka były dobre, podobnie jak czerwone wino. Miranda zabawiała towarzystwo, naśladując znajomych rodziny Denisowów, gwiazdy filmowe, a na koniec Kaczora Donalda, co rozśmieszyło wszystkich do łez. Olivier napełnił kieliszki i położył na stoliku otwartą paczkę papierosów, którymi poczęstowali się Benoît i Agnès. Ani Kay, ani Miranda nie paliły; Miranda wciąż powtarzała, że przy *tante* Soni wiele może ujść na sucho, jeśli wykaże się nieco sprytu, ale nos to ona ma jak wyżeł i natychmiast wyczuje dym papierosowy.

Olivier, jak większość mężczyzn, był zbyt pewny siebie i dlatego Miranda, traktując go jak kolejnego czarującego znajomego, to zachęcała go, to odpychała na przemian.

Czasami, kiedy się spotykali, dziewczęta zgadzały się pójść z nim na kawę. Innym razem Miranda kręciła głową, spoglądała na zegarek, wzdychała lekko i mówiła: „*Désolée*, nie dzisiaj…". Przyjmował to zawsze z dobrą miną, a odchodząc, uśmiechał się i kiwał ręką na pożegnanie. Nigdy nie protestował przeciw stałej obecności Kay, nie próbował odciągnąć od niej Mirandy, traktował obydwie troskliwie i uprzejmie, jakby darzył je jednakową sympatią. Ale Miranda była przekonana, że to właśnie ona go pociąga. Świadczył o tym wyraz jego oczu i to, jak przy każdej sposobności muskał dłonią jej ramię, przepuszczając ją w drzwiach albo podsuwając krzesło. Mężczyźni kochali się w niej, odkąd skończyła piętnaście lat, i nie była aż tak naiwna, by nie rozpoznać symptomów.

Lubiła Oliviera, bo był przystojny, zabawny i inteligentny, nie taki napuszony i zadufany w sobie, jak większość znanych jej panów. Podobał jej się sposób, w jaki unosiły się kąciki jego ust, przybierając kształt małych, pogodnych półksiężyców. Podobało jej się, jak chodził sprężystym krokiem, pełnym powściąganej energii. Różnił się od mężczyzn, którzy siadali do stołu z jej ojcem, tych, z którymi rozmawiała i tańczyła, a których ojciec uważał jeśli nie za równych sobie, to przynajmniej godnych akolitów lub użytecznych współpracowników. Zabiegali o jej względy z własnych powodów – ponieważ jej pragnęli albo dlatego że związek z córką Konstantina Denisowa wydawał im się korzystny. Nudziły ją ich zjadliwe dowcipy i lekceważące uwagi pod adresem współbiesiadników. Uznałaby Oliviera za niefrasobliwego lekkoducha, gdyby nie widziała go przy pracy. Był wówczas skupionym, przejętym, poważnym perfekcjonistą.

Miranda uświadomiła sobie, że wyczuwa w nim przynależność do jednego miejsca. Ona sama nie przywiązywała się szczególnie do licznych domów i mieszkań, które zmieniała w ciągu całego dotychczasowego życia. Pojęcie „domu" oznaczało dla niej miejsce pobytu otaczających ją osób. Mógł to być wagon pociągu, apartament w hotelu, a nawet wnętrze samochodu. Olivier wydawał się inny. Czuł się – co zauważyła już w pierwszych dniach znajomości

– nieodłącznie związany z Paryżem. Trudno byłoby go sobie wyobrazić w jakimkolwiek innym mieście.

Czasami, gdy udało im się wymknąć spod kurateli *tante* Soni, szli we troje do kina. Siadała wtedy na fotelu między Kay i Olivierem. Kino było dla Mirandy miejscem, w którym dokonuje się przemiana. Wchodziłeś z blasku dnia w mrok zalatujący papierosowym dymem, stęchlizną i kurzem zbyt rzadko czyszczonych obić i tapicerki. Otaczały cię zakochane pary i bezrobotni szukający zacisznego schronienia. Gdy jednak rozsuwała się kurtyna i zaczynała rozbrzmiewać muzyka, przenosiłeś się w inny świat. A potem, gdy wychodziłeś na ulicę, dzienne światło i widok ludzi spieszących do swoich codziennych spraw były dla ciebie wstrząsem, ponieważ nadal przebywałeś częściowo w tamtym innym świecie.

W kinie Olivier nie zawsze zdołał powstrzymać się od mruknięcia: „Niezdarne ujęcie. Mógł to zrobić lepiej", albo, gdy coś wywarło na nim wrażenie: „To oświetlenie, widzisz, dodaje całej scenie dramatyzmu. Czarne cienie i to światło reflektora wędrujące po ścianie". Miranda zerkała na niego i dostrzegała w jego oczach uniesienie.

Olivier nie miał wielu krewnych, jedynie starszego brata w Ameryce Południowej, którego nie widział od lat. Jego ojciec był profesorem literatury, matka prowadziła pracownię ceramiczną w letnim domku w Île-de-France. Po śmierci rodziców Olivier sprzedał domek. Połowę uzyskanej sumy wysłał Marcowi do Brazylii, a za swoją część spadku sfinansował spółkę filmową. „Wiele razy dochodziłem do wniosku – wyznał Mirandzie – że równie dobrze mogłem podrzeć banknoty na strzępki i wrzucić do Sekwany. Ale przecież nie można było nie skorzystać z okazji".

Miranda również korzystała z okazji. Owego magicznego przedpołudnia w magazynie Olivier wiele ją nauczył. Jak ustawić się przed kamerą, jak przekazywać emocje okrągłemu szklanemu oku obiektywu, jak nadać wagę każdemu słowu, czy byłaby to reklama telefonów, czy najwybitniejszy film, jaki nakręcono. Miranda w zamian starała się go zabawiać. Była w tym dobra: wiedziała, jak się przypodobać mężczyźnie. Uśmiechała się, gdy żartowali, i sama opowiadała małe, niewinne żarciki. Przytaczała zabawne anegdoty

lub parodiowała kogoś z grona wspólnych znajomych. Trochę flirtowała. Ot, tego rodzaju rzeczy.

Olivier powiedział jej, że ma talent, ale w pierwszej chwili nie uwierzyła. Znajdowali się w jego biurze. Na półkach i podłodze piętrzyły się segregatory i stosy scenariuszy. Na biurku stała maszyna do pisania Olivetti i leżała taca wypełniona otwartymi listami oraz notatkami na temat rozmów telefonicznych. Do ścian przypięto plakaty filmowe, nieco wystrzępione na brzegach: *Zéro de Conduite*, *L'Atalante*.

– Nie jesteś jeszcze dobra – stwierdził – ale możesz to osiągnąć dzięki ćwiczeniom, dzięki nauce. Masz coś w sobie. Pewną klasę. To niezwyczajna cecha i nie powinnaś jej zmarnować.

Obojętnie wzruszyła ramionami.

– Ojciec nigdy mi nie pozwoli zostać aktorką. Tego talentu, o którym wspominałeś, nie warto nawet brać pod uwagę.

– Przecież nie będziesz wiecznie mieszkała z ojcem.

– Będę, dopóki nie wyjdę za mąż.

Przyjrzał się jej uważnie.

– Ile ty naprawdę masz lat, Mirando?

Wcześniej powiedziała mu, że ma dwadzieścia jeden. Uważała, iż daje jej to przewagę. „Osiemnaście" wydawało się zbyt młodym wiekiem, niemal dziecięcym. Miała więc dwadzieścia jeden, tyle samo co Kay, jej przyjaciółka z Anglii.

– Dwadzieścia? – spróbował zgadnąć.

Pokręciła głową, nieco skonsternowana.

– Powiedz, że masz przynajmniej osiemnaście.

– Skończyłam w kwietniu.

– Co za ulga. Przez chwilę myślałem, że będę musiał cię odesłać pod opiekę niani. A Kay?

– Prawie dwadzieścia. Mówię prawdę, Olivierze. Z ręką na sercu. – Miranda nakreśliła znak krzyża na piersi.

Olivier pragnął nakręcić porządny film, pełnometrażowy i fabularny, zamiast reklam i dokumentów. Miał scenariusz, który napisał jego przyjaciel. Dał go Mirandzie do przeczytania; przemyciła maszynopis do domu w fałdach sukni i przekartkowała nocą w łóżku.

– Wszystko zależy od scenariusza – oznajmił. – Nie zrobisz dobrego filmu na podstawie złego scenariusza. Choć możliwa jest sytuacja odwrotna.

– Ale ty nakręcisz znakomity film, prawda, Olivierze?

– Tak, jeśli będę miał na to szanse.

– A co ci jest do tego potrzebne?

– Och – odparł z wymuszonym uśmiechem – pieniądze. Wciąż te pieniądze.

Olivier wiele czasu poświęcał poszukiwaniom funduszy na produkcję filmów, co – jak wyjaśnił – było bardzo kosztowne. Pewnego razu, gdy siedzieli w kawiarni i opowiadał im o rozmowie, którą miał odbyć tego samego przedpołudnia z potencjalnym sponsorem, a wydawał się przy tym jakby… no cóż, pomyślała Miranda, nieco mniej pogodny niż zwykle, zdjęła szmaragdową bransoletę i pchnęła po stole w jego stronę.

– Proszę, weź to – powiedziała. – Przypuszczam, że jest warta sporo pieniędzy. Nikt nie zauważy, że zniknęła. Sprzedaj ją, żeby nakręcić swój film.

Olivier, zazwyczaj tak elokwentny, milczał przez długą chwilę, a potem odezwał się łagodnym tonem:

– To bardzo, bardzo szlachetne z twojej strony i bardzo mnie wzrusza twój gest, ale w żadnym razie nie mogę tego przyjąć. – Ujął dłoń Mirandy i pieczołowicie zapiął bransoletę z powrotem na jej nadgarstku.

Najdłuższego dnia w roku wszystkie dziewczęta włożyły sukienki w kwiaty i sandały, i opalały nogi w parkach. *Tante* Sonia leżała w łóżku z bólem głowy, zasłony w oknach były zaciągnięte, a pokój wypełniała woń olejku lawendowego.

W restauracji na Montparnasse Olivier świętował znalezienie sponsora swojego filmu, pogodnego, rumianego Belga Vincenta Charliera, który na widok Mirandy i Kay zerwał się z krzesła, a następnie ucałował ich dłonie. Stolik znajdował się w ogródku na dziedzińcu, pod markizą w zielono-białe pasy. Ciemnoróżowe róże pięły się po murku otaczającym ogródek, a na obrusie walały się

okruchy chleba i stały puste kieliszki po winie. Benoît, Kay i Agnès dyskutowali o polityce, Olivier zaś omawiał z monsieur Charlierem kwestię, gdzie umieści akcję filmu i kto w nim zagra.

– Twoja bohaterka – zauważył monsieur Charlier. – Piękna i nieuchwytna Camille. Musisz mi powiedzieć, Olivierze, kogo widzisz w tej roli.

– Jeszcze jej nie pytałem. Mam nadzieję, że uda mi się ją namówić.

Monsieur Charlier podążył oczyma za spojrzeniem Oliviera. Uśmiechnął się szeroko i wykrzyknął:

– Proszę wybaczyć, nie wiedziałem, że jest pani aktorką, mademoiselle Denisow!

– Nie jestem aktorką – bąknęła Miranda – grałam tylko w krótkiej reklamie telefonów…

– Wiesz co, Vincent – przerwał jej Olivier – może wrócimy do mojego biura i wtedy ci zademonstruję, co potrafi mademoiselle Denisow. – Przywołał kelnera, rzucił na stolik kilka banknotów i wszyscy opuścili restaurację.

Monsieur Charlier miał auto, dużego peugeota. Wcisnęli się do środka – Kay z przodu obok kierowcy, a z tyłu Agnès, Benoît, Olivier i Miranda. Podczas jazdy, gdy monsieur Charlier ostro brał zakręty, Miranda zdawała sobie sprawę z bliskiej obecności Oliviera, który wyciągnął ramię wzdłuż oparcia, niemal dotykając jej szyi, i wyczuwała ciepło jego ciała, napierającego na nią, ilekroć peugeot wchodził w zakręt. Czasami na balach i przyjęciach pozwalała partnerom w tańcu na pocałunek, żeby sprawdzić, jak to jest, lecz dotychczasowe doświadczenia okazały się nieciekawe, nawet odstręczające. Pomyślała, że gdyby Olivier ją pocałował, byłoby to znacznie milsze.

W magazynie Olivier zamknął szerokie frontowe drzwi, rozwinął płachtę ekranu i wyświetlił monsieur Charlierowi reklamę telefonów. Puścił ją trzy razy i na końcu Belg zaczął bić brawo z okrzykiem: „Narodziła się gwiazda!”. Miranda pomyślała, że jest trochę pijany.

Później, po rozlicznych całusach i uściskach dłoni, monsieur Charlier wyszedł. Podczas gdy Kay rozmawiała z Agnès i Benoît, Miranda weszła do biura Oliviera i zamknęła za sobą drzwi. Następnie usiadła na biurku, kiwając nogami.

– Chyba wiesz, że papa na to nie pozwoli?

Wcześniej niewiele opowiadała Olivierowi o swoim ojcu. Podejrzewała, iż uważa on Konstantina Denisowa za surowego *pater familias*, którego można z czasem ułagodzić.

– Jeśli chcesz, żebym z nim porozmawiał, przekonam go…

– Nie, to się na nic nie zda.

– Co właściwie chciałabyś robić w życiu, Mirando? – Przyjrzał się jej z namysłem.

– Nie wiem. Zawsze sądziłam, że po prostu wyjdę za mąż.

– A czym się zajmiesz do tego czasu? Możesz zarobić na życie, pracując jako aktorka. Nie jest to łatwe, ale możliwe, jeśli okażesz się dostatecznie dobra.

– Czy jestem dostatecznie dobra, Olivierze?

– Jeszcze nie.

Miranda wydęła usta.

– W takim razie dlaczego chcesz, żebym zagrała w twoim filmie? Nic nie wiem o aktorstwie. Nie mam pojęcia, dlaczego powiedziałeś coś takiego monsieur Charlierowi.

– Nie będziesz mnie zbyt wiele kosztowała. Nowicjuszom płaci się mniej.

Wiedziała, że Olivier się z nią droczy. Ale gorący błysk w jego oku wzbudził w niej emocje, wskazywał, że wszystko może się zdarzyć, że może zdarzyć się coś wspaniałego.

– Aktorki muszą być piękne, prawda? – spytała.

– Och, może byś się nadała.

– Czy tylko dlatego się ze mną spotykasz? – Wydęła usta w zaokrąglonym, pąsowym *moue*. – Ponieważ chcesz, żebym wystąpiła w twoim filmie?

– Chodzi o flirt – odparł ze spokojem. Położył dłonie na biurku tuż obok niej, jego oczy zamigotały chłodno. – Potrafisz nieźle flirtować, Mirando.

– Czy to cię obraża, mój drogi?

– Nie – odrzekł z uśmiechem Olivier. Pochylił się i musnął ustami jej usta. – W najmniejszym stopniu.

Tamtego lata 1937 roku nie można było już myśleć, że w Europie pływano tylko łodziami po Sekwanie i opalano się na Lazurowym Wybrzeżu. Francja znajdowała się w stanie lęku i niezdecydowania, jak Olivier wyjaśnił Kay pewnego popołudnia, gdy siedzieli w Ogrodzie Luksemburskim. Ludność kraju dopiero musiała dojść do siebie po ranach wojennych. Nie odważyła się walczyć, gdy rok wcześniej niemieckie wojska wmaszerowały do ponoć zdemilitaryzowanej strefy Nadrenii. Po jednej stronie Francji leżały Niemcy, po drugiej – Włochy. Dwóch dyktatorów, Hitler i Benito Mussolini. Och, i jeszcze Hiszpania, oczywiście, pogrążona od roku w wojnie domowej. Olivier, paląc papierosa i mrużąc oczy w blasku słońca, oznajmił ponuro, że nie wygląda to zbyt obiecująco.

– A co z Anglią? – spytała Kay.

– Anglia nie chce o niczym wiedzieć. Nie potrafi rozstrzygnąć, kto jest gorszy: faszyści czy bolszewicy. Nie chce, by wciągnięto ją w kolejną europejską masakrę, jak w tysiąc dziewięćset czternastym.

Ojciec Kay zginął w owej pamiętnej masakrze na kontynencie. Kay była pacyfistką.

Zobaczyli to w kronikach filmowych. Wrzaski opętanego Hitlera i dumny krok nadętego Mussoliniego, a potem eksplozję przemocy, odwagi i przelew krwi w Hiszpanii. A raczej: zobaczyli to Kay i Olivier. Miranda wolała kupować słodycze albo poprawiać makijaż w trakcie kronik filmowych; nigdy też nie czytała gazet ani nie przesiadywała w pokoju pani Ingram, słuchając wiadomości z radia.

Po miesiącu spędzonym na Lazurowym Wybrzeżu telefon Konstantina Denisowa wezwał domowników z powrotem do Paryża. W sierpniu miasto świeciło pustkami. Każdy, kogo było na to stać, uciekał nad morze albo na wieś. Gdy Miranda zatelefonowała do biura Oliviera, nikt nie podniósł słuchawki, nawet nadąsana Agnès.

Dzwoniła codziennie, przez tydzień. Było to dla niej upokarzające – nigdy nie uganiała się za mężczyznami, to oni uganiali się za nią. Wreszcie pewnego popołudnia, gdy zatelefonowała z kawiarni, jej serce załomotało gwałtownie, gdy w słuchawce odezwał się głos Oliviera.

– Halo, kochanie – powiedziała.

– Miranda? Gdzie jesteś?

– Tutaj, w Paryżu. A ty gdzie się podziewałeś?

– Odwiedzałem ciotkę w Normandii. Zbyt długo sypiałem i za dużo jadłem. Masz dzisiaj wolny czas po południu?

– Jak najbardziej.

– Więc przyjedź na Marais. Spróbuję znaleźć jakieś miejsce.

Miranda i Kay wzięły taksówkę. Olivier czekał na nie w kawiarni; wstał, gdy weszły. Był opalony i miał na sobie stare sztruksowe spodnie oraz białą płócienną koszulę, rozpiętą pod szyją. Ktoś inny mógł wyglądać w takim stroju niechlujnie, lecz jemu było w tym wszystkim do twarzy.

Nie ma czasu na kawę, oznajmił, jest praca do wykonania. Na zewnątrz ulice Marais były puste i wąskie, stały wzdłuż nich wąskie kamienice z zasłoniętymi oknami. Mroczne cienie niczym sińce zbierały się w zakamarkach murów. Gorące powietrze zakrzepło, trudno było zaczerpnąć tchu. Miranda miała na sobie sukienkę bez rękawów; czuła, jak słońce wgryza się w jej odsłonięte ramiona. Słońce i granatowoczarne cienie hipnotyzowały ją, nadając domom i ulicom zjawiskowy, tajemniczy wygląd.

– W Paryżu jest mnóstwo różnych bram – stwierdziła, rozglądając się, Kay.

– Ach, ale to musi być właściwa brama – odparł Olivier – wyjątkowa brama, ta, w której bohater i bohaterka po raz pierwszy się pocałują.

Dlatego właśnie znaleźli się w Marais, najstarszej dzielnicy Paryża.

Najpierw były wysokie czarne drzwi, a potem brązowe z mosiężną kołatką w kształcie lwiego łba. A dalej szarozielone, obłażące z farby, przed którymi Olivier stał przez kilkanaście minut, pogrążony w myślach. Co chwilę przystawał, żeby zrobić zdjęcie, podobnie jak Kay ze swoim aparatem Box Brownie. Jeszcze jedne drzwi, tym razem niebieskie, z rozbłyskowymi szybkami w kształcie słońca. Na stopniach przed frontowym wejściem stały doniczki z geranium o szkarłatnych kwiatach.

Kay poprosiła Oliviera, żeby zrobił jej zdjęcie z Mirandą. Ustawiły się na schodkach, a on nacisnął przycisk.

– A teraz wy dwoje – zaproponowała Kay.

Miranda założyła włosy za uszy i osłoniła dłonią oczy od słońca. Olivier przysunął ją do siebie. Poczuła palce dotykające jej talii. Kay zrobiła im zdjęcie, a Miranda się zaśmiała.

Kay oddaliła się nieco i zniknęła za rogiem ulicy. Miranda, zgrzana i trochę zmęczona, pomyślała: jakie to ma znaczenie? Brama to tylko brama.

– Posłuchaj – Olivier łagodnie poprowadził ją w cień, gdzie było chłodniej. – Zamknij oczy. Zasłoń je dłońmi. O, właśnie tak. A teraz wyobraź sobie, że jest mroźna styczniowa noc. Brukowane ulice pokrywa lód. Jesteś silnym, odważnym mężczyzną… – Uciszył ją, gdy zaczęła chichotać. – Tak, kiedyś byłaś żołnierzem, ale ostatnio znalazłaś się w trudnej sytuacji. Coś się jednak nieoczekiwanie wydarzyło, dałaś się wplątać w spisek i teraz depczesz po piętach podwójnemu agentowi. Śledziłaś go w Czechosłowacji, a później na Węgrzech. Obecnie znajduje się we Francji. Posiada niebezpieczne informacje. Jeśli wpadną w niewłaściwe ręce, może wybuchnąć następna wojna. Musisz go powstrzymać za wszelką cenę, lecz on ci się wymyka. Wiesz, że nie powinnaś spuszczać go z oczu, lecz gdy docierasz do Paryża, musisz spotkać się z przyjaciółką.

– Jaką przyjaciółką?

– Piękną Camille, oczywiście.

– Dlaczego? – spytała Miranda, zerkając na niego.

– Ponieważ jesteś w niej zakochana, oczywiście. Choć widziałaś ją zaledwie kilka razy, może w nocnym klubie albo w teatrze, darzysz ją uwielbieniem. To najpiękniejsza kobieta, jaką znasz, a znasz ich wiele. Zachwycająca, urzekająca istota, dla której mężczyzna gotów jest zabić, umrzeć, oszaleć.

– Och. – Miranda odsłoniła oczy.

– Dlaczego wzdychasz?

– Bo tak bardzo chciałabym nią być.

– No więc?

– Olivierze – oświadczyła poważnym tonem – ojciec powiedział mi dziś rano, że pod koniec tygodnia opuszczamy Paryż. Mamy jechać do Berlina.

– A nie możesz po prostu mu powiedzieć, że wolisz zostać tutaj?

– Nie, nie. Papa nigdy by na to nie pozwolił.

– Gdybyś wyjaśniła…

– Drogi Olivierze, ty tego nie rozumiesz. Jeśli on zauważy, że na czymś mi zależy, od razu nabiera podejrzeń.

– Bo wiesz, miałem pewne plany.

– Naprawdę? – Jej serce biło szybko.

Rozsunięte palce Oliviera dotknęły jej biodra.

– Myślałem o rzeczach, które moglibyśmy robić razem.

– Takich jak film?

– Tak. Ale… hm, nie tylko.

Jego oczy miały barwę brunatnych kasztanów ze złotymi plamkami. W takich oczach, pomyślała Miranda, można się zatracić.

– Nie tylko? – powtórzyła.

– Jeszcze to i owo. – Pocałował ją lekko w usta.

– Ten film… – podjęła. – Twój bohater, Christophe. Mówiłeś, że jest zakochany w Camille…

Olivier zerknął w głąb ulicy, jakby mógł tam dostrzec swojego bohatera wędrującego w lodowatym mroku zimowej nocy.

– A zatem – powiedział – Christophe wraca do Paryża i poszukuje Camille, lecz nie może jej znaleźć. Potem, pewnego wieczoru, zauważa ją, przemierzając Marais. Ona w pierwszej chwili go kokietuje, udaje nadąsaną, zagniewaną, że ją wcześniej zlekceważył. Ale później… jak myślisz, Mirando, co się dzieje dalej?

– Nie wiem.

– Mówiłem ci: on ją całuje. – Tym razem pocałunek trwał dłużej.

– Och – westchnęła, gdy odsunęli się od siebie. – Rozumiem. Więc to tak. Cóż za śmiałość z jego strony.

– Prawda?

Uśmiechnęła się sztywno i afektowanie.

– W filmach wszystko jest takie proste, a w prawdziwym życiu takie trudne.

– O, niekoniecznie – zaoponował. – Całowanie się to całkiem prosta rzecz, jeśli się przyłożyć.

I zademonstrował, co ma na myśli, muskając ustami jej wargi, najpierw miękko i badawczo. Chwilę później ściskał ją w ramionach, aż zabrakło jej tchu i zapomniała o słońcu, ulicznym kurzu i gamach

wygrywanych na pianinie w sąsiednim domu; istniało tylko jego ciepłe ciało, smak jego ust i zapach skóry, i pragnęła, by Olivier całował ją po wiek wieków, przenigdy nie wypuszczając jej z objęć.

W Berlinie panowała jesień. Niebo miało stalowoszary kolor, mżawka nie ustawała ani na chwilę. Liście sfruwały z drzew w Tiergarten, powietrze było zimne. Pewnego ranka, wyprowadzając Frou-Frou na spacer, Kay zauważyła na ulicy, jak psina otrząsa się i drży, jakby też dokuczał jej chłód.

Denisowowie zatrzymali się w dużym mieszkaniu przy Lietzenburgerstrasse, na południe od Kurfürstendamm. Miranda narzekała, że w Berlinie nie ma nic ciekawego do roboty – żadnych lekcji tańca, a sukienki w sklepach są takie sztywne i skromne, zapięte pod szyję i z długimi rękawami. Przy tej pogodzie spacery po parku lub przejażdżki łodzią po Sprewie nikomu nie sprawiały przyjemności. Jadły więc kiełbaski z rusztu z sosem kupione na straganie przy Berlinerstrasse albo wędrowały leniwie wzdłuż Unter den Linden, głównej ulicy miasta, udekorowanej dla uczczenia wizyty Mussoliniego flagami i kolumnami zwieńczonymi faszystowskim orłem ze swastyką w szponach. Chowały się po sklepach, by nie musieć jak inni przechodnie oddawać nazistowskiego pozdrowienia, ilekroć ulicą przechodził mężczyzna w mundurze SS-mana. Jadały podwieczorki w hotelu Adlon, zabawiając się wymyślaniem różnych głupstw na temat innych gości, a także oglądały filmy w Ufa-Palast am Zoo – przeważnie przesłodzone dramaty kostiumowe, z których się wyśmiewały po wyjściu z kina, przedrzeźniając ckliwe dialogi i narażając się na pełne dezaprobaty spojrzenia innych widzów.

Od przyjazdu do Berlina nie zdążyli się jeszcze zadomowić, lecz pozostali na etapie nieustannych zmian. Telefon dzwonił bez przerwy, a posłańcy co chwila przynosili depesze. W powietrzu wisiała zapowiedź kolejnej rychłej przeprowadzki. „Jakieś nudne interesy papy” – odpowiadała zdawkowo Miranda na pytania Kay.

Pewnego popołudnia Kay natknęła się na tarasie na sekretarza Konstantina, Lucę, który palił papierosa i obgryzał paznokcie. Posłał jej krzywy uśmiech i powiedział po włosku coś, czego nie zrozumiała.

Poczęstowała go miętówką – niewiele brakowało, żeby z jego paznokci już nic nie pozostało – on zaś, biorąc cukierka, powiedział:

– Proszę mieć się na baczności, panno Garland.

– Co pan ma na myśli, Luca? – Popatrzyła na niego zaskoczona.

Zgasił niedopałek papierosa w doniczce z kwiatem.

– Pozory mogą mylić – mruknął. – Zwłaszcza pozory wielkiego bogactwa. Czasami robi się mnóstwo rzeczy na pokaz, a niewiele się pod tym kryje. – Znieruchomiał i ukradkiem zerknął w stronę drzwi. – Mówię to jedynie dlatego, że powinna się pani zabezpieczyć na przyszłość, panno Garland.

Odwrócił się na pięcie i opuścił taras. Kay widziała go wtedy po raz ostatni. Następnego dnia pani Ingram poinformowała ją, że Luca został zwolniony.

I był jeszcze herr Reimann. Na początku nie zwracały na niego szczególnej uwagi – po prostu jeszcze jeden partner Konstantina w interesach; mężczyzna w średnim wieku, krępy, o czerwonej twarzy, z niedogolonym zarostem i sporym brzuszkiem, a więc ktoś, do kogo Miranda miała się wdzięcznie uśmiechać i udawać, że słucha jego długich, nadętych opowieści o sławnych ludziach, których znał, zapewne głównie starych, grubych nazistach, jak przypuszczała Miranda.

Ale herr Reimann pojawiał się w salonie również przed obiadem oraz w te wieczory, gdy Konstantin, Miranda i *tante* Sonia wychodzili dokądś na kolację. Pewnego dnia został zaproszony na lunch do mieszkania Denisowów. Później, gdy Kay i Miranda wymykały się na spacer, usłyszały ze zgrozą, że herr Reimann nalega, by im towarzyszyć – jakże mu się poszczęściło, że miał sposobność pospacerować z dwiema tak uroczymi młodymi damami! Bez przerwy mówił o sobie i musiały udać, że wchodzą do sklepu z damską bielizną, żeby się go pozbyć.

Pewnego przedpołudnia po śniadaniu, obie w płaszczach przeciwdeszczowych i z parasolami, wyruszyły do ogrodu zoologicznego. Gdy przekraczały ozdobną bramę, Miranda opowiedziała Kay o przyjęciu, w którym uczestniczyła poprzedniego wieczoru.

– Co za ponure domiszcze – oznajmiła na koniec. – I te kobiety! Zupełnie pozbawione gustu.

Z parasolki Kay spływały krople deszczu. Zwierzęta kryły się w głębi podmokłych, upstrzonych kałużami wybiegów, zniechęcone pogodą. Antylopy drżały pod drzewami; guziec szukał żołędzi, posapując, podczas gdy deszcz obmywał jego szczeciniastą skórę.

– A mężczyźni? – spytała Kay.

Miranda wykrzywiła twarz.

– Strasznie nudni. Przez cały czas rozmawiają o interesach i polityce. – Spojrzała w górę, na ołowiane niebo. – Chodźmy do akwarium.

Prześliznęły się przez tłumy matek popychających wózki oraz grupy uczniów i uczennic trzymających się za ręce. W akwarium krokodyle sunęły po wodzie, wystawiając oczy i nozdrza nad powierzchnię.

– Gdy byłam mała – zaczęła Miranda – mama często mnie tu przyprowadzała. Później, w nocy, bałam się, że pod moim łóżkiem czai się krokodyl. Robiłam tyle zamieszania, że moja niania traciła cierpliwość i dawała mi klapsy. – Miranda zmrużyła oczy, zaglądając do zbiornika. – Herr Reimann był na przyjęciu wczoraj wieczorem – dorzuciła. – Tańczyłam z nim.

– Deptał ci po palcach?

– Trochę. – Miranda przygryzła dolną wargę. – Przypuszczam, że on chce się ze mną ożenić.

– Co za okropny pomysł.

– Prawda? I… i obawiam się, że ojciec życzyłby sobie, abym wyszła za mąż za tego człowieka.

– Przecież on jest starszy od ciebie o całe dekady! – Kay popatrzyła na nią z przerażeniem.

Miranda wzruszyła ramionami z miną mówiącą: „no cóż, takie jest życie”. Odeszły od krokodyli i skierowały się w stronę pomieszczenia z tropikalnymi rybami. Ośmiornica przylgnęła różowawo-kremowymi mackami do szklanej szyby akwarium, a między kamieniami przewinął się węgorz morski. Ławica maleńkich opalizujących, błękitnych rybek zamigotała w wodzie, jakby ktoś rozsypał garść szafirów.

– Herr Reimann jest bardzo bogaty – powiedziała Miranda. – To właściciel banku. A tata ma jakieś kłopoty z pożyczkami i kredytami hipotecznymi, nie wiem dokładnie, w czym rzecz, to wszystko jest takie nudne. Musi pożyczyć pieniądze od herr Reimanna. – Jej usta wykrzywił lekki, osobliwy uśmiech. – A on w zamian żąda… mnie.

– Czy ojciec rozmawiał o tym z tobą?

– Tata z nikim nie rozmawia, Kay, sama wiesz. Komenderuje, wydaje rozkazy. Ale nie, dotąd nic nie mówił. – Miranda zaczęła się bawić guziczkami przy rękawiczce. – Wczoraj wieczorem, gdy zeszłam na dół, zanim jeszcze wybraliśmy się na to przyjęcie, kazał mi wrócić do pokoju i przebrać się w inną suknię. Powiedział, że ta, którą miałam na sobie, z fiołkowego atłasu, głęboko wycięta na plecach, jest nieodpowiednia. I że herr Reimann nie pochwala u kobiet nieskromnego wyglądu. Nieskromnego! Czy słyszałaś kiedykolwiek podobny absurd? – Głos Mirandy brzmiał spokojnie, lecz w jej oczach błysnął lęk.

– Wyjaśniłaś herr Reimannowi, że nie ma u ciebie szans?

– Nie mam odwagi. – Miranda wydawała się teraz przestraszona. – Papa byłby na mnie wściekły. Zrobiłby mi coś okropnego, wiem o tym.

– Trudno sobie wyobrazić coś okropniejszego niż małżeństwo z tym człowiekiem.

– To prawda – zaśmiała się Miranda. – Zawsze trafiasz w sedno, moja droga Kay. Muszę być sprytna i trzymać herr Reimanna na dystans. Będę udawała niewiniątko, trzepotała rzęsami i powtarzała: „Ach, herr Reimann, jaki pan jest mądry”. On to lubi. Zatańczę z nim i pozwolę wziąć się pod ramię, gdy pójdziemy na spacer. Może zgodzę się na przelotnego całusa, choć mdli mnie na samą myśl. To tak, jakby się całowało odrażające zwierzę.

– Na przykład krokodyla.

– Nie, krokodyl jest za mało owłosiony. Pamiętasz tego guźca jedzącego żołędzie? Herr Reimann ma kłujący podbródek i siorbie, kiedy je zupę. Jeśli spróbuje mnie znowu pocałować, wyobrażę sobie, że całuję guźca. – Miranda zaśmiała się nerwowo.

– Nie martw się. Aż tak źle nie będzie. – Kay ścisnęła ją za rękę.

Miranda ściszyła głos.

– Wczoraj wieczorem wpadłam na pewien pomysł. Jeśli tata każe mi wyjść za niego, ucieknę. Zostanę słynną aktorką. Moja twarz znajdzie się na plakatach, a nazwisko będzie jaśniało nad wejściami do kin. – Jej oczy rozbłysły. – Czyż to nie byłoby cudowne?

Kiedy wróciły w końcu na Lietzenburgerstrasse, w apartamencie Denisowów panowało zamieszanie. Konstantin zjawił się w domu wcześniej, w towarzystwie kilku nieoczekiwanych gości. Pokojówki biegały tam i z powrotem, nosząc obrusy i srebra stołowe. *Tante* Sonia, okryta jedwabnym szalem zsuwającym się z ramion, przeszyła dziewczęta pełnym wściekłości spojrzeniem.

– Gdzieście się podziewały? Myślałam, że umówiłyście się na spotkanie z fräulein Schmidt. – Fräulein Schmidt była córką jednej z przyjaciółek Soni. – Telefonowałam, ale was tam nie było.

– Mylisz się, *tante* Soniu – odrzekła Miranda. – To jutro mamy się spotkać z fräulein Schmidt.

Sonia obrzuciła ją podejrzliwym spojrzeniem.

– Konstantin był zły, że was nie zastał w domu. Wini za to mnie, bardzo niesprawiedliwie. – Kosmyk włosów wysunął się z jej koafiury i zawisł na czole niczym wyblakły znak zapytania. – Natychmiast musisz się przebrać, Mirando. Gdy będziesz gotowa, przyjdź do bawialni. Jest tutaj herr Reimann.

Miranda wydała odgłos przypominający chrząkanie guźca.

– Co? – spytała Sonia. – Co powiedziałaś?

– Nic, *tante* Soniu. – Miranda poklepała się po piersi. – To tylko lekki kaszel.

Znalazłszy się w swoim pokoju, Kay zdjęła mokry płaszcz, zrzuciła buty i wyciągnęła się na łóżku. Zamknęła oczy. Była zmęczona; co chwila zapadała w drzemkę. Przez jej umysł przepływały oderwane obrazy: migotliwe błękitne rybki w akwarium, obojętne i bezlitosne ślepia krokodyla, a także, nieoczekiwanie, wspomnienie plaży na wyspie Wight, gdzie spędziła raz wakacje z ciocią Dot – czysta, chłodna wizja lśniącej wstążki brunatnych wodorostów, które falowały w skalnej sadzawce. Odgłos szybkich kroków wyrwał ją ze snu.

O ósmej Kay zeszła do bawialni. Miranda siedziała na sofie obok herr Reimanna. Miała na sobie suknię z pąsowego jedwabiu, wyciętą na plecach i ramionach. Najwyraźniej postanowiła zlekceważyć polecenia ojca – i preferencje herr Reimanna – w kwestii skromnego ubioru. Ale gość nie wydawał się urażony. Na zewnątrz wiatr przybrał na sile i ostre igiełki deszczu kłuły okienne szyby.

Kay została przedstawiona gościom Konstantina.Herr Neumann i herr Fischer pracowali u herr Reimanna. Towarzyszyły im małżonki. Ucałowano dłonie pań, nalano szampana. O wpół do dziewiątej wszyscy przeszli do jadalni. Na stole, gzymsie kominka i kredensach ustawiono kandelabry, tak że w całym pokoju migotały punkciki światła.

Kay siedziała między Neumannami. Herr Neumann był zdenerwowany i mówił za dużo. Jego żona wydawała się bardziej powściągliwa; jej małe niebieskie oczka śmigały nieustannie to tu, to tam, oceniając umeblowanie. Oznajmiła z aprobatą, że pokój jest bardzo ładny; trzeba mieć szczęście, by znaleźć taką jadalnię w tej dzielnicy Berlina. Jadalnia w jej własnym domu była znacznie mniejsza.

Wokoło dały się słyszeć różne dźwięki: szelest taftowej wieczorowej sukni *tante* Soni, pociąganie nosem, gdy frau Neumann badała końcem noża solę na swym talerzu, skrzypnięcie i syk korka wyciąganego z butelki wina, brzęk naczyń z rżniętego szkła, a wszystko przeplatane ożywioną, szybką paplaniną Mirandy.

Konstantin Denisow mówił mało. Potrafił sprawować kontrolę przez milczenie. W jego milczeniu kryło się coś, co budziło niepokój u ludzi, którzy je zauważali. Jeśli zaś chodzi o tych, którzy niczego nie dostrzegli – jak na przykład gadatliwy herr Neumann – oczy pana domu wędrowały ku niemu od czasu do czasu, zatrzymywały się, po czym przesuwały ponownie. Jak gdyby sporządzał notatkę w jakimś rejestrze myślowym.

Wszyscy z wyjątkiem Konstantina odnosili się do herr Reimanna niemal czołobitnie. Denisow był jedynie uprzejmy, stwarzając wrażenie, że słucha, gdy jego gość opowiadał o swoim domku w stylu alpejskim w Garmisch-Partenkirchen, piwnicy z winami w domu w Grünewaldzie oraz zmianach na lepsze, jakie zaszły

w Berlinie od 1933 roku, kiedy herr Hitler doszedł do władzy. Herr Reimann wydawał się szczególnie gorącym zwolennikiem redukcji bezrobocia i staranniejszego sprzątania ulic. Kay wyobraziła sobie miotłę sunącą wzdłuż chodników i wymiatającą pogniecione strony „Berliner Tageblatt" wraz z bezrobotnymi mężczyznami w niebieskich kombinezonach.

Herr Reimann rozpoczynał każdą historyjkę od słów: „Pamiętam, jak byłem w Kolonii…" – albo w Dreźnie, albo we Frankfurcie – w których to chwilach Kay starannie unikała drwiącego spojrzenia Mirandy. Podczas monologów właściciela banku *herr* Neumann nie przestawał popijać, jego żona zaś bawiła się sznurem korali, który miała na szyi. Powieki *tante* Soni opadały co kilka chwil i tylko Miranda, pochylona naprzód, z podbródkiem opartym na stulonej dłoni, wtrącała od czasu do czasu: „Jakież to fascynujące" albo „Doprawdy, herr Reimann? Jaki pan jest mądry" – z szeroko otwartymi oczami i wyrazem naiwnego zachwytu, który sprawiał, że coś wewnątrz Kay zaczynało bulgotać i groziło wykipieniem.

Nareszcie przyszła pora deseru. Należało tylko przebrnąć przez pikantne przekąski, a po deserze kobiety będą mogły wstać od stołu. Herr Reimann zaczął mówić:

– Pamiętam, jak bank prowadził negocjacje z hutą stali w Breslau… – przerywając tylko na chwilę, by przełknąć, raczej hałaśliwie, łyżkę puddingu.

Miranda dotknęła czubka nosa, zadzierając go lekko w górę, przez co upodobnił się do ryjka – prosięcia albo guźca – i wtedy Kay parsknęła śmiechem, który powstrzymywała przez cały wieczór.

Zapanowała nagła, pełna zgorszenia cisza.

Konstantin Denisow zareagował pierwszy.

– Czyżby coś panią rozbawiło, panno Garland?

Kay oblała się rumieńcem. Wpatrywali się w nią wszyscy prócz Mirandy, która wbiła oczy w talerz, a jej ramiona dygotały.

Konstantin naciskał:

– Przepraszam, panno Garland. Może pragnęła nam pani o czymś powiedzieć?

Otrzeźwiło ją to na tyle, że bąknęła:

– Obawiam się, że coś utkwiło mi w gardle. Proszę wybaczyć… – i pospiesznie odeszła od stołu.

W łazience umyła ręce zimną wodą i opłukała twarz. To nie było nawet zabawne – cały wieczór upłynął w niezbyt miłej atmosferze i aż nazbyt dobrze zdawała sobie sprawę, że zachowała się wręcz fatalnie. Mimo to na wspomnienie dyrektora banku chrząkającego niczym guziec znowu zachciało jej się śmiać. Odetchnęła głęboko kilka razy, przyjrzała się swej twarzy w lustrze, zebrała siły i wróciła do jadalni.

Konstantin popatrzył na nią, gdy weszła.

– O, panna Garland. Mam nadzieję, że doszła pani do siebie. – Jego uśmiech, a także zimny wyraz oczu przywiódł Kay na myśl krokodyle w ogrodzie zoologicznym. Pan domu zwrócił się do pozostałych gości. – Traktujemy pannę Garland jak członka rodziny, panie i panowie. Podróżuje z nami wszędzie. Lubi zwiedzać. Nieprawdaż, panno Garland?

– Tak, panie Denisow.

– Nawet przy takiej pogodzie. Gdzie pani bawiła dzisiaj tak długo?

– Poszłyśmy z Mirandą do zoo, panie Denisow. – Kay zmusiła się, by spojrzeć mu w oczy.

– Ach, do zoo. Miło się dowiedzieć, że moja córka przejawia tak żywe zainteresowanie przyrodą.

– Ale ten deszcz, fräulein Garland – odezwała się życzliwie frau Fischer. – Obawiam się, że się pani przeziębi.

Kay odwróciła się do niej.

– O nie, deszcz mi nie przeszkadza. W Anglii pada bardzo często.

– Rzeczywiście. – Konstantin znowu się uśmiechnął. – Życzyłem sobie angielskiej towarzyszki dla mojej córki, rozumiecie państwo. Zawsze podziwiałem Anglików. Są tacy uczciwi i szczerzy. Wysoko sobie cenią… jak oni to określają? *Fair play*. Porządni ludzie. Czy wyraziłem się poprawnie, panno Garland?

– Tak, panie Denisow. – Kay stłumiła nagły dreszcz.

Nazajutrz rano usiadła do śniadania sama. Panna Denisow obudziła się w nocy z bólem zęba, wyjaśniła pani Ingram, więc *madame*

Sonia zawiozła ją do dentysty. W środy Kay miała wolne popołudnia i *madame* Sonia poprosiła panią Ingram, by przekazała, że panna Garland może mieć wolny cały dzień.

Napisała więc kilka listów, a potem pojechała tramwajem do Galerii Narodowej. Po paru godzinach oglądania obrazów zjadła lunch – chleb, jajko na twardo i sałatę. Później przespacerowała się po sklepach przy Potsdamer Platz. Nie bawiła się dobrze, choć powinna. Ten dzień zaczął się źle i nadal miała wrażenie, że coś jest nie w porządku. *Tante* Sonia nigdy nie wstawała wcześnie, a gdyby Mirandę w nocy rozbolał ząb, nie poszłaby przecież do Soni.Poszłaby do pani Ingram, która miała klucz od kredensu, gdzie trzymano olej goździkowy i aspirynę, albo zajrzałaby do Kay, szukając współczucia.

Kay kupiła pół tuzina pocztówek i usiadła do pisania przy kawiarnianym stoliku. Jedną do cioci Dot, jedną do Briana z księgarni przy Charing Cross Road, dwie do szkolnych koleżanek, jedną do Benoît, z którym się zaprzyjaźniła.

I jedną do Oliviera. *Cher Olivier* – napisała i jej pióro zawisło niepewnie nad kartką. Chciała napisać: „Drogi Olivierze, jeśli kochasz Mirandę, musisz dać jej to wyraźnie do zrozumienia, ponieważ obawiam się, że wydarzy się coś niedobrego i będzie dla niej za późno, żeby uciec".

W końcu jednak napisała: „Drogi Olivierze, marzymy o powrocie do Paryża. W Berlinie bez przerwy pada deszcz. Twoja Kay".

Wysłała pocztówkę i zerknęła na zegarek. Dochodziła piąta; Miranda zapewne jest już w domu. Kay wsiadła do tramwaju i wróciła do mieszkania Denisowów. W przedpokoju złożyła parasolkę i umieściła ją na stojaku. Zaledwie weszła do holu, uświadomiła sobie, że w mieszkaniu panuje niezwykła cisza. Służba nie biegała tam i z powrotem, nie było słychać szczękania naczyń w kuchni ani *tante* Soni trajkoczącej przez telefon. A Miranda nie zbiegła po schodach na powitanie.

– Nareszcie w domu, panno Garland.

Słysząc głos Konstantina Denisowa, Kay odwróciła się gwałtownie.

Stał w drzwiach bawialni. Zdawał się wypełniać sobą framugę. Podchodząc do Kay, zadał pytanie:

– Proszę mi powiedzieć, panno Garland, kim jest ten mężczyzna?

Podsunął jej fotografię. Spojrzała na nią i zobaczyła Mirandę i Oliviera, których sama sfotografowała w Marais.

Przez chwilę stała kompletnie zdezorientowana. A potem poczuła strach.

– To ja zrobiłam to zdjęcie – szepnęła.

– Tak przypuszczałem.

– Ale… było w moim pokoju.

– Sonia je znalazła.

Teraz do lęku dołączyło się oburzenie:

– Szperała w moich rzeczach?

– Na moje polecenie. Pakowała pani walizkę.

– Walizkę? – Kay była oszołomiona. – Opuszczamy Berlin?

– To pani opuszcza mój dom, panno Garland. Zwalniam panią.

Doznała wstrząsu. Powiodła oczami za spojrzeniem Konstantina i dostrzegła swoją małą brązową walizkę, której przedtem nie zauważyła, stojącą obok kredensu z marmurowym blatem. Konstantin odezwał się po chwili:

– Mężczyzna na fotografii. Ten, który otacza ramieniem moją córkę. Chcę wiedzieć, kto to.

– Nie pamiętam jego nazwiska.

– Może zechce pani bardziej się postarać.

Zaschło jej w gardle.

– Nie, nie potrafię sobie przypomnieć. To był po prostu jakiś przypadkowy znajomy. Nikt szczególny.

– Rozumiem. – Umilkł. – A zatem nie mamy sobie chyba już nic więcej do powiedzenia.

– Miranda…

– Nie widzę powodu, dla którego miałaby się pani spotkać z moją córką.

– Proszę, panie Denisow, niech mi pan pozwoli przynajmniej się z nią pożegnać!

– Myślałem, że wyraziłem się jasno – powiedział Konstantin łagodnym tonem. – Ma pani zły wpływ na moją córkę, panno Garland, bardzo zły wpływ. Musi pani odejść natychmiast.

Jej serce łomotało, z trudem wydobyła głos.

– W tej chwili?

– Oczywiście, w tej chwili.

– Ale dokąd mam iść? Co mam zrobić?

– Doprawdy nie wiem. – Wykonał lekceważący gest i odwrócił się od niej. – To już nie moja sprawa.

Nie mogła poczynić żadnych przygotowań i nie zostawiono jej czasu na zarezerwowanie pokoju w hotelu albo biletu na pociąg. Jej ruchy stały się dziwnie sztywne, gdy przechodziła przez hol i podnosiła walizkę.

Przemierzyła korytarz i zeszła po schodach. Gdy znalazła się na zewnątrz, smagnął ją bicz zimnego deszczu. Zapomniała o parasolce, lecz nie potrafiła się zdobyć na to, by po nią wrócić. Maszerowała przez chwilę, a zauważywszy tramwaj, weszła do wagonu. Usiadła obok kobiety z koszykiem na zakupy, oparła walizkę o kolana i pomyślała: Wrócę i zaczekam na Mirandę… Znajdę jakieś miejsce, w którym będę mogła się zatrzymać i napiszę do Mirandy, gdzie mnie szukać… Zatelefonuję…

Widziała jednak wyraźnie, że nic nie wskóra. Konstantin w żadnym razie nie wpuści jej do mieszkania. Przechwyci każdy list, zabroni córce odbierać telefony. Każe *tante* Soni pilnować Mirandy we dnie i w nocy.

Tramwaj dowiózł pasażerów na Pariser Platz. Kay stała niezdecydowana w deszczu, z walizką w ręku, próbując się zastanowić, co dalej. Przez głowę przemknęła jej myśl o grubych, bladych palcach Soni grzebiących w szufladach jej komody i wspomnienie zimnej furii w oczach Konstantina Denisowa. Czuła mdłości, szok i być może lekki wstyd. Postąpiła nieuczciwie. Przez długi czas nie przestrzegała najistotniejszych poleceń pana domu.

Nad wszystkim przeważało jednak niedowierzanie, że ten rozdział jej życia skończył się tak nagle. Zerknęła na zegarek. Było wpół do siódmej. Wpół do siódmej, a ona nie miała gdzie się podziać tej nocy. Wtem pojawiła się myśl, której towarzyszyła tęsknota niemal nie do zniesienia: że musi wrócić do domu. Nieoczekiwanie zapragnęła znaleźć się w swoim dobrze znanym pokoju w domu cioci Dot, wśród starych malowanych mebli, obok półki z podniszczonymi książkami czytanymi od dzieciństwa. Chciała pojechać do domu; chciała stać przy zlewozmywaku i obierać ziemniaki, podczas gdy

ciocia Dot miesza w garnkach i obie rozmawiają o tym, jak minął dzień.

Ruszyła Wilhelmstrasse w stronę Anhalter Bahnhof. Na dworcu rozbrzmiewały ostre dźwięki gwizdków i unosiła się gryząca woń dymu. Pod wpływem spóźnionego szoku Kay nagle osłabła; nogi ugięły się pod nią, tak że musiała usiąść na ławce. Przeczesała palcami mokre włosy. Grupki żołnierzy gromadziły się w hali dworcowej; kilkunastu chłopców ubranych w jasny brąz i czerń, barwy Hitlerjugend, otaczało stragan ze słodyczami. Tak wiele mundurów – Kay czuła się nie na swoim miejscu i obco. Łzy napłynęły jej do oczu, gdy wstała i zaczęła iść przez halę w kierunku kasy biletowej, by przeczytać rozkład jazdy wiszący na ścianie.

Tego wieczoru odjeżdżał z Berlina pociąg z wagonami sypialnymi. Gdyby go złapała, mogła rano znaleźć się w Brukseli. Później musiała dotrzeć następnym pociągiem do Dieppe, a stamtąd przeprawić się promem przez kanał La Manche. I byłaby nareszcie w Anglii, w domu.

Wróciła na ławkę i otworzyła walizkę, żeby poszukać małej puszki, która pierwotnie zawierała miętówki, a w której trzymała pieniądze zaoszczędzone z pensji. Jej rzeczy osobiste – swetry, pończochy, książki, przybory do pisania – leżały razem w nieładzie, jakby *tante* Sonia wrzucała wszystko byle jak.

Kay nie mogła jednak znaleźć puszki. Przejrzała zawartość walizki ponownie, tym razem staranniej. Wzbierała w niej panika, którą starała się opanować. Musi gdzieś tu być, jesteś po prostu zmęczona i zdenerwowana, dlatego jej nie widzisz, powtarzała sobie. *Tante* Sonia nie mogła jej przeoczyć; puszka znajdowała się razem z paszportem w szufladzie z bielizną. Paszport, o Boże, gdzie paszport? Rozdygotanymi rękami przerzucała rzeczy, aż wreszcie z wielką ulgą dostrzegła granatową okładkę między kartkami książki.

W nagłym przypływie Kay natchnienia przesunęła ręką po wyściółce, na wypadek, gdyby puszka wśliznęła się pod spód przez rozdarty szew. Nic z tego. Rozłożyła walizkę na płasko i przekładała każdy przedmiot po kolei do wieka. Puszki naprawdę nie było.

Pomyślała, że będzie zmuszona pojechać do mieszkania Denisowów. Jej jedyna biżuteria – pierścionek zaręczynowy matki

i wisiorek z akwamarynem, prezent od cioci Dot na ostatnie urodziny – znajdowały się tam razem z pieniędzmi. Nie miała wyboru. Bez pieniędzy nie mogła wrócić do domu. Zgarnęła ubrania do walizki.

I zamarła, zatrzaskując wieko. W jej głowie odezwał się echem głos Mirandy: „Czasami *tante* Sonia podbiera mi pieniądze z portmonetki". Wydała cichy jęk przerażenia i kilku przechodniów obejrzało się w jej stronę.

Dopiero po chwili zmusiła się, by otworzyć torebkę i policzyć monety, które miała przy sobie. Wówczas zdała sobie sprawę z powagi sytuacji: pozostawiono ją na łasce losu w Berlinie, bez pieniędzy, którymi mogłaby opłacić pokój w hotelu albo bilet kolejowy, i nie miała pojęcia, jak dostać się do domu.

Przesiedziała na ławce jeszcze kilka minut, zbierając się na odwagę. Może Konstantin porozmawia w tej sprawie z *tante* Sonią. Trudno jej było to sobie wyobrazić, ale musiała przynajmniej spróbować.

Dźwignęła walizkę i ruszyła z powrotem do mieszkania Denisowów.

Rozdział 3

Wkrótce po egzaminach końcowych opiekun naukowy Toma Blacklocka, doktor Peacock, zaprosił go do swego pokoju w Trinity Hall. Przy herbacie i bułeczkach z rodzynkami zagadnął Toma na temat jego przyszłości. Czy zamierza prowadzić badania naukowe, a może interesuje go praca wykładowcy? Doktor Peacock zadał to pytanie nieśmiałym tonem, jakby mu nie wypadało okazywać takiej ciekawości. Tom odparł pogodnie i szczerze, iż nie ma zielonego pojęcia. Planuje spędzić tej jesieni parę tygodni na wycieczkach i wspinaczce w górach Cairngorm, lecz poza tym… Doktor Peacock odchrząknął i powiedział:

– Pewien mój znajomy, pan Miles Culbone, który napisał ważną pracę na temat wczesnośredniowiecznego handlu wełną w hrabstwie East Anglian, poszukuje odpowiedniej osoby do skatalogowania jego księgozbioru i do pomocy w badaniach. Czy byłby pan zainteresowany?

Tydzień później Tom pojechał do Suffolk, do domu Milesa Culbone'a – Zimnej Gwiazdki. Dom stał na uboczu, w lesie, osiem kilometrów od Lavenham. Deszcz padał bez przerwy i woda ściekała z opon samochodu Toma, gdy sunął naprzód podjazdem.

Na widok Zimnej Gwiazdki aż zagwizdał z podziwu. Niewidoczny z drogi dom zdawał się wyrastać wprost z otaczającego go łagodnego, wilgotnego pejzażu. Był duży, w kształcie litery L, z dachem o trzech szczytach. Pod okapem biegły rzeźbione deski, które nabrały z czasem srebrzystobrunatnego koloru. W tynku między pionowymi dębowymi belkami wyryto obrazki – ptaka, żołądź i męskie oblicze okolone rozwichrzonymi włosami z liści.

Gospodyni pana Culbone'a, pani Bowles, wprowadziła Toma do środka. Na końcu przepastnego holu znajdowała się nisza

z kominkiem i kamiennymi siedzeniami po obu stronach. Przemierzając wnętrze domu, Tom musiał chwilami pochylać głowę, żeby nie zawadzić o belkę albo framugę. Niektóre drzwi były wielkie jak w siedzibie olbrzyma, a znowu inne – maleńkie. Sufity opadały, podłogi zaś sprawiały wrażenie, jakby zostały położone ukośnie. Co pewien czas, spoglądając przez okno, Tom zauważał wąskie, ceglane ścieżki i przemoczone, ociekające wodą krzewy w pustym ogrodzie.

Pani Bowles przedstawiła Toma przyszłemu pracodawcy. Miles Culbone był chudy, siwy i przygarbiony. Trudno było określić jego wiek dokładniej niż przez stwierdzenie, że mieści się gdzieś między pięćdziesiątką a siedemdziesiątką. Sprawiał wrażenie człowieka starzejącego się już od chwili narodzin. Miał na sobie workowaty tweedowy garnitur z szarą kamizelką i rdzawoczerwoną muszką, a oczy częściowo ukrywał za okularami w szylkretowej oprawie. Wydawał się podenerwowany, jakby rozmowa stanowiła dla niego ciężką próbę.

Wymiana zdań trwała krótko, pan Culbone nie lubił obcych w domu, ale ta praca musiała zostać wykonana, już dostatecznie długo ją odkładał, a ponadto jego wzrok… Doktor Peacock zapewnił go o trzeźwości, uczciwości i pracowitości Toma. Zajęcie nie należało do trudnych, no i, niestety, pan Culbone nie mógł zaoferować zakwaterowania. Aha, Tom będzie również zobowiązany odbywać podróże na zlecenie pracodawcy.

Tom odważył się zapytać, czy pan Culbone miałby coś przeciw temu, że on od czasu do czasu weźmie tydzień, może nawet dwa wolnego i pojedzie w góry uprawiać wspinaczkę. Nie, nic, odparł pan Culbone z rozdrażnieniem, obecność nieznajomych osób w domu go męczy i nie sprawi mu kłopotu, jeśli Tom co jakiś czas wyjedzie na urlop. Bezpłatny, oczywiście.

Następnie zaprowadził Toma do biblioteki mieszczącej się w obszernym, wysokim pokoju. Są tu chyba tysiące książek, pomyślał Tom. Część z nich oprawiono w skórę ze złoconymi tłoczeniami, a w grzbiety wpleciono ozdobne kapitałki. Były tam również niepozorne, sfatygowane woluminy, liczące na oko setki lat, całe tomy listów i protokołów z sesji wyjazdowych sądu oraz historie

hrabstw – Suffolk, Norfolk, Cambridgeshire – wręcz odstręczających rozmiarów. Z teczek wysypywały się sterty dokumentów.

– To nadzwyczajne. – Tom zagwizdał z podziwu.

Pan Culbone wzdrygnął się gwałtownie.

– Będę wymagał od pana absolutnej ciszy podczas pracy, panie Blacklock. Nie zdołam prowadzić badań, jeśli zostanę zmuszony do wysłuchiwania nieustannych hałasów.

Tom przeprosił. Pan Culbone dodał z nutą samozadowolenia:

– Przypuszczam, że mój księgozbiór dotyczący tematu handlu wełną w hrabstwie East Anglian zajmuje czołowe miejsce w kraju.

– A skatalogowanie tych książek i dokumentów to moje zadanie?

– Tak, panie Blacklock. Oczywiście, będzie pan pracował pod moim nadzorem. Tomy umieszczone na najwyższych półkach są dla mnie niedostępne. Dni wspinaczki mam już za sobą, rozumie pan. – Łagodnemu żartowi towarzyszył chrapliwy śmiech. – Wymagałbym również od pana – dodał pan Culbone – zinwentaryzowania nabytków mojego brata. Mój starszy brat Carlyon za życia dużo podróżował. Przedmioty, które zgromadził, na nic mi się nie przydadzą. Domyślam się, że mają pewną wartość i zamierzam je sprzedać.

Tom przyjął tę posadę po części dlatego, że jeszcze nie wymyślił, co innego mógłby robić, a także dlatego, że zakochał się w Zimnej Gwiazdce. Znalazł pokój do wynajęcia w Lavenham i przewiózł rzeczy z Cambridge do Suffolk swoim starym mg. Następnego dnia zaczął pracę. Przedpołudnia spędzał w bibliotece. Nadzór Milesa Culbone'a przejawiał się w przesadnym niepokoju i przejęciu, zaleceniach zachowania szczególnej ostrożności przy tym a tym woluminie oraz głośnych westchnieniach lub nerwowych podskokach, ilekroć Tomowi zdarzyło się kichnąć lub upuścić pióro na podłogę. Pan Culbone najwyraźniej nie potrafił zostawić swojego podwładnego samemu sobie. Miał zwyczaj cicho krążyć po domu, materializować się bez uprzedzenia w pokoju, w którym Tom pracował, i zaglądać mu przez ramię w sposób mogący wrażliwszą osobę wytrącić z równowagi.

Miles Culbone poinformował Toma, że pierwotny dwór postawiono w tym miejscu w trzynastym wieku i z biegiem lat był często

rozbudowywany. Okres największego rozkwitu Zimnej Gwiazdki przypadł na czternaste i piętnaste stulecie, kiedy handel wełną w East Anglian osiągnął punkt szczytowy. W owych czasach dom zapewne rozbrzmiewał rodzinnymi pogwarkami i śmiechem służby oraz wieśniaków pracujących na polach. Teraz w bibliotece ciszę zakłócało jedynie skrzypienie pióra Milesa Culbone'a.

Jak się wydawało, miał niewielu krewnych i żadnych przyjaciół. Tom dowiedział się od pani Bowles, że raz czy dwa w roku przyjeżdża kuzynka, niejaka pani Fielding. Większość korespondencji pana Culbone'a była skierowana do innych historyków i antykwariuszy. Na adres Zimnej Gwiazdki przychodziły listy z zagranicznymi znaczkami, a od czasu do czasu listonosz przynosił paczkę.

Codziennie o pierwszej pan Culbone i Tom robili sobie przerwę na lunch. Pan Culbone zasiadał w jadalni, gdzie usługiwała mu pani Bowles, podczas gdy Tom zjadał w ogrodzie kanapki zapakowane przez swoją gospodynię, panią Hooper. Ogród Zimnej Gwiazdki obejmował kilka hektarów. Gałęzie buków kołysały się na wietrze, a brunatna rzeczka o brzegach zarośniętych trzciną przepływała przez północne obrzeża posiadłości. Południowa przechadzka, niezależnie od pogody, stanowiła dla Toma niezbędne antidotum na wymuszoną poranną powściągliwość. W ogrodzie mógł hałasować do woli. Często, maszerując przez trawnik, przyłapywał się na gwizdaniu lub głośnym śpiewie. Choć niekiedy, spoglądając w stronę domu, odnosił wrażenie, że dostrzega w oknie zarys bladej twarzy swojego pracodawcy.

Podczas jednego z tych spacerów Tom natrafił na krąg marmurowych kolumn ustawionych na polanie w brzozowym zagajniku. Kolumny wyglądały jak odbicie bladych, smukłych pni drzew. W pierwszej chwili uznał, że to pozostałości letniego domku lub ogrodowej altany, lecz gdy podszedł bliżej, zauważył między nimi podłużny marmurowy kształt. Na jego górnej części umieszczono wyrzeźbioną podobiznę dziecka. Grobowiec, pomyślał Tom, z posągiem.

Marmurowe dziecko leżało jakby uśpione, z zamkniętymi oczami i spokojnym wyrazem twarzy. Na wygiętych ustach gościł być może

lekki cień uśmiechu. Opadłe liście, pożółkłe od nadchodzącej jesieni, przylgnęły do fałdów marmurowej tkaniny, okrywającej figurę dziecka. U góry katafalku wyryto napis: „Wzniesiono w roku żałoby, 1880, CC". Kim był CC? – zadał sobie pytanie Tom. I jakie tragedie sprawiły, że nastąpił rok żałoby? Przypuszczalnie utrata ukochanego syna lub córki. Czy coś więcej?

Zagadnięty w tej kwestii Miles Culbone okazał powściągliwość i brak zainteresowania. Pomnik postawił jego świętej pamięci stryj. Chłopiec umarł wcześnie – zapewne na jakąś chorobę, pan Culbone tego nie pamiętał. To się stało dawno temu.

Gospodyni udzieliła Tomowi szerszych informacji. Pani Bowles wyjaśniła, że dziecko było jedynym spadkobiercą Charlesa Culbone'a, który ożenił się z miłości w późnym wieku. Jego żona zachorowała i zmarła w dziesiątym roku małżeństwa. Chłopczyk, zaledwie ośmioletni, zginął niecałe dwa miesiące po śmierci matki. Utopił się w rzeczce, która wezbrała po rzęsistym deszczu. Przypuszczano, że pośliznął się na błotnistym brzegu, kiedy łowił ryby. Dziesięć lat po utracie żony i syna nieszczęsny pan Culbone sam umarł, pozostawiając Zimną Gwiazdkę w spadku młodszemu bratu Stephenowi, ojcu obecnego właściciela.

Po południu Miles Culbone pracował samotnie w swej bibliotece, podczas gdy Tom brał się do katalogowania egipskich artefaktów. Carlyon Culbone, starszy brat Milesa, był wybitnym egiptologiem. Większą część życia spędził za granicą, mieszkał w Kairze i uczestniczył w badaniach archeologicznych, pozostawiając dom pod opieką Milesa. Znaleziska, które przywiózł z Egiptu, zapełniły trzy pokoje. Część wyrobów z gliny, biżuteria i skarabeusze, rzeźby z brązu, malowidła i papirusy nadal spoczywały w skrzyniach, do których zapakowano je kiedyś. Do obowiązków Toma należało zidentyfikowanie każdego przedmiotu i nadanie mu numeru. Z chwilą sporządzenia odpowiedniego katalogu miał zostać wezwany pracownik Sotheby's, żeby oszacować wartość zbiorów. Tom zaczął się zastanawiać, co Carlyon Culbone by sobie pomyślał, gdyby wiedział, że dorobek jego życia, zapakowany w skrzynki po herbacie, zostanie sprzedany na aukcji.

Pod koniec pierwszego miesiąca spędzonego w Zimnej Gwiazdce Miles Culbone wysłał Toma w interesach do Londynu. Dowiedział się o średniowiecznym psałterzu, który właściciel chciał sprzedać prywatnie. Tom miał obejrzeć księgę i gdyby była w dobrym stanie, zaoferować odpowiednią cenę. Pan Culbone wydawał się bardziej niż zwykle strapiony na myśl o powierzeniu Tomowi pieniędzy, więc Tom litościwie zaproponował, że zawiezie go do Londynu, by mógł osobiście dokonać transakcji. „Automobilem? – przeraził się pan Culbone. – Nie, nie, to absolutnie wykluczone".

Podobne zlecenia dotyczyły Norwich i Oksfordu, a w końcu października Miles Culbone zawiadomił Toma, że ma teraz pojechać do Berlina. Czy zna choć trochę język niemiecki? Tom odparł, że całkiem nieźle. Rok przed studiami w Cambridge spędził lato w Niemczech i Austrii. Pan Culbone wyjaśnił, że pewien niemiecki naukowiec, z którym koresponduje od kilku lat, zaoferował mu dwie książki – piękne szesnastowieczne wydanie „Retoryki i poetyki" Arystotelesa oraz wczesnego Erazma. Oczy Culbone'a, które miały kolor Morza Północnego zimą, zalśniły. Jego korespondencyjnemu znajomemu bardzo zależało na sprzedaży. Tom miał pozyskać woluminy po dobrej cenie.

Kilka dni później Tom wyruszył w podróż do Niemiec. Dotarłszy do Berlina, pierwsze kroki skierował do mieszkania starego przyjaciela, Williego Beckera. Poznał go latem 1933 roku, kiedy Willi studiował medycynę. Spędzili razem miesiąc na wspinaczce w austriackich Alpach. Teraz Willi pracował jako lekarz w szpitalu Charité.

Podczas lunchu wymienili się nowinami ze swego życia. Willi – zażywny, jowialny i dobroduszny – zaręczył się niedawno z pewną dziewczyną, Iloną Kruger.

– Prawdziwa bogini – mówił Willi, gdy wgryzali się w kanapki z ciemnego chleba z kiełbasą i grzybami, popijając je piwem. – Włosy koloru masła, a skóra delikatna jak u mleczarki. Mieszka w Dahlem z rodzicami. Jest jedynaczką i pilnują jej jak oka w głowie. Ilona popiera czystość przed ślubem, więc musiałem się jej oświadczyć. Gdybym tego nie zrobił, tobym chyba oszalał. – Willi odgryzł spory kęs chleba z kiełbasą. – Doprowadza mnie do obłędu. Szybki całus w policzek, muśnięcie dłoni i już pędzi do domu, do

Mutti. Więc się pobieramy w przyszłym roku. Oczywiście przy moim szczęściu, gdy tylko stanie się moja w obliczu prawa, wybuchnie jakaś wojna i znowu zacznę żyć w celibacie, odkomenderowany daleko stąd.

– Myślisz, że coś takiego wkrótce nadejdzie?

Willi wzruszył ramionami, co mówiło: „Spójrz na plakaty na murach, posłuchaj przemówień w radiu, przyjrzyj się oficerom SS na ulicach i trupim główkom na ich czarnych czapkach. Zobacz, co zrobili naziści z wolnym, cywilizowanym Berlinem".

– Wszystko na to wskazuje, nieprawdaż? – odparł cicho. – Może jeszcze rok czy dwa przed nami. A może zdarzy się coś, co temu zapobiegnie. Ale ja chyba od dawna się tego spodziewam.

– Co będzie z tobą, Willi? Co zrobisz?

– Dam sobie radę. W końcu jestem lekarzem. – Willi wytarł talerz skórką chleba i uśmiechnął się szeroko. – Może jednak nie dojdzie do wojny. Może pobierzemy się z Iloną i będziemy mieli gromadkę dzieci o włosach koloru masła. Wypijmy za to. – Wzniósł swój kufel.

O trzeciej po południu Tom zastukał do drzwi korespondencyjnego znajomego pana Culbone'a, doktora Brucka, w dzielnicy Charlottenburg. Ocenił, że Bruck przekroczył pięćdziesiątkę. Był niski, drobnej budowy i skromnie ubrany, lecz posługiwał się nienaganną angielszczyzną, zapraszając Toma do niedużego saloniku.

– Bardzo przepraszam, że nie rozpaliłem w kominku… uchybiłem wymogom gościnności…

Tom zapewnił doktora Brucka, że brak ognia zupełnie mu nie przeszkadza i że jego własna rodzina rzadko rozpala w kominku przed wieczorem.

– W której części Anglii mieszka pana rodzina, panie Blacklock? – spytał doktor Bruck.

– W Cambridge. Tam też studiowałem.

– Ach, Cambridge. – Herr Bruck uśmiechnął się promiennie.

– Był pan w Cambridge?

– Dwukrotnie, w odwiedzinach u znajomego w Trinity Hall. A teraz przyniosę panu kawę, panie Blacklock… nie, nie, nalegam.

Doktor Bruck zniknął w kuchni. Podczas jego nieobecności Tom rozejrzał się po pokoju. Zauważył niewątpliwe oznaki ubóstwa –

wystrzępione łaty na sofie i dywaniku, a także kliny z gazet zatykające szczeliny w miejscach, gdzie framugi okienne zbutwiały. Strumienie deszczu ściekały po szybach i wkradały się do środka, zmiękczając gazetowe kliny na papkę.

Doktor Bruck wrócił z dzbankiem kawy i talerzem herbatników. Rozlał kawę do filiżanek, a następnie pokazał Tomowi książki.

– Zapewne zgodzi się pan ze mną, że to doskonałe egzemplarze.

Obydwa woluminy były w idealnym stanie. Tom wręczył doktorowi Bruckowi zapieczętowaną kopertę, którą otrzymał od Milesa Culbone'a przed wyjazdem z Zimnej Gwiazdki.

Doktor Bruck otworzył kopertę i przeliczył zawarte w niej banknoty. Po chwili milczenia odezwał się cicho:

– Panie Blacklock, to nie jest kwota, którą uzgodniłem z pańskim pracodawcą.

– Jest pan tego pewien? – Tom zmarszczył brwi.

– Najzupełniej. Ustalona suma była znacznie wyższa.

– Bardzo mi przykro. Pan Culbone zapewne popełnił omyłkę.

– Omyłkę? – Gospodarz posłał mu gorzki uśmiech. – Nie, nie sądzę.

Tom wpatrywał się w Brucka szeroko otwartymi oczyma.

– Nie rozumiem.

Niemiec westchnął.

– Obawiam się, że pan Culbone dostrzegł sposobność zakupu książek po okazyjnej cenie.

– Na pewno nie. Na pewno by tak nie postąpił.

– Zdarzało mi się w przeszłości prowadzić interesy z pana pracodawcą. Przywiązuje… powiedzmy, dużą wagę do pieniędzy. Taki już ma charakter.

Tom umilkł. Czy pan Culbone byłby zdolny wykorzystać sytuację kolegi-kolekcjonera, któremu się nie wiedzie? Hojność nie należała do cech, które skłonny byłby przypisywać Milesowi Culbone'owi.

Doktor Bruck podjął:

– Nie jestem, rozumie pan, wielkim kolekcjonerem. Posiadam niewielki księgozbiór, w którym każdy tom ma dla mnie szczególne znaczenie. Te dwie księgi znajdowały się w moim posiadaniu przez wiele lat. Arystotelesa wyszukałem jeszcze jako młodzieniec, podczas

pierwszego pobytu we Florencji. Ośmielę się powiedzieć, że pan Culbone domyślił się, iż dokonuję sprzedaży zmuszony życiową koniecznością. Ma, oczywiście, słuszność. Muszę się zgodzić na wyznaczoną cenę, bo nie istnieje dla mnie inny wybór.

Tom poczuł zakłopotanie, a zaraz potem gniew.

– Wrócę do Zimnej Gwiazdki – zaproponował. – Powiadomię pana Culbone'a, że nie zgodzi się pan przyjąć ani pensa poniżej uzgodnionej sumy.

– Nie, panie Blacklock – zaprotestował łagodnie doktor Bruck. – To bardzo uprzejme z pana strony, ale nic pan nie wskóra. Pan Culbone może czekać, a ja nie.

– To okropne... po prostu oburzające.

– Nie ma w tym pańskiej winy. Pan Culbone po prostu wykorzystuje możliwości rynku, który obecnie działa na jego korzyść. To są czarne dni, ale może sam jestem sobie winien, że znalazłem się w takim położeniu. Nie przewidziałem dość wcześnie, co się wydarzy. Wciąż żywiłem nadzieję, że sytuacja zmieni się na lepsze, a tymczasem wszystko szło ku gorszemu. – Dolał Tomowi kawy do filiżanki. – Pozwolę sobie wyjaśnić. Straciłem posadę na uniwersytecie. Oficjalnie nie dlatego, że jestem Żydem, ale dlatego, że uznano mnie za zbędny naddatek. Niemniej… – Wzruszył ramionami.

– Nie mógłby pan znaleźć sobie innej posady, jeśli nie w Niemczech, to może za granicą?

Doktor Bruck uśmiechnął się smutno.

– Próbowałem. Napisałem niezliczone listy do najrozmaitszych instytucji, wyliczając swoje rozliczne osiągnięcia, lecz żaden nie przyniósł efektu. Obawiam się, że jest zbyt wielu takich jak ja, zbyt wielu żydowskich profesorów ubiegających się o zbyt małą liczbę stanowisk. Gdybym był młodszy albo gdybym był matematykiem bądź fizykiem… ale specjalista od średniowiecznej literatury niemieckiej? Niemiecka literatura jakoś ostatnio nie ma wzięcia.

Tom uniósł się z krzesła.

– Bardzo mi przykro. Mogę pana tylko przeprosić.

– Mam więcej szczęścia niż inni. Otrzymuję skromną emeryturę, dzięki której nie umrę z głodu. Proszę jeszcze zostać, panie

Blacklock, napijmy się kawy i pomówmy o weselszych sprawach. Co pan studiował na uniwersytecie?

Tom wyszedł z mieszkania Brucka godzinę później i skierował się w deszczu ku stacji kolejowej. Był wściekły na Milesa Culbone'a, że ów go wykorzystał i postawił w tak niewdzięcznym położeniu. Nieuczciwość, pomyślał sobie, i wyrachowanie.

Pojechał S-Bahnem do centrum miasta, gdzie pospacerował godzinę czy dwie, odwiedzając znajome miejsca. Obdzwonił kolegów, których poznał w trakcie poprzedniego pobytu, lecz z marnym skutkiem. Rudi był skrzypkiem i grał w berlińskiej filharmonii, która tego wieczoru dawała koncert, a Stefan – jak poinformowała Toma małżonka tamtego – wyjechał w interesach do Hamburga. Inna przyjaciółka, Leni, opuściła kraj. Była komunistką, przypomniał sobie Tom; życie w Berlinie okazało się w tych czasach niewiele łatwiejsze dla komunistów niż dla Żydów.

Wywieszki w oknach sklepów i kawiarni – „Aryjski sklep" albo „Żydzi niemile widziani" – dodatkowo pogorszyły jego nastrój. O dziewiątej wieczorem wszedł do lokalu przy bocznej uliczce tuż za Alexanderplatz. Zabierał się właśnie do smażonej ryby z ziemniakami, kiedy zobaczył tę dziewczynę. Siedziała sama przy stoliku niedaleko od niego. Była młoda i ładna, i Tom zadał sobie pytanie, czy czeka na kogoś. Miała krótkie, falujące włosy barwy pośredniej między złotem a jasnym brązem, potargane i nastroszone przez wiatr. Była ubrana w dżersejową sukienkę oliwkowozielonej barwy, a wokół szyi zawiązała jedwabny szalik. Obok jej krzesła stała nieduża walizka, na której leżał złożony płaszcz przeciwdeszczowy. Na stoliku obok filiżanki kawy leżała otwarta książka. Tom pomyślał, że ta dziewczyna sprawia wrażenie stanowczej i niezależnej, jakby samotne przesiadywanie wieczorami w kawiarniach nie stanowiło dla niej problemu.

Jego uwagę, oprócz sposobu bycia, zwróciła powolność, z jaką nieznajoma popijała kawę. On również, kiedy był spłukany, tkwił często nad filiżanką kawy godzinę lub dłużej, byle posiedzieć w cieple. Pod pretekstem przyniesienia soli z kontuaru przeszedł obok jej stolika i zerknął na książkę. Kończąc posiłek, zauważył, że

dziewczyna wyjmuje z torebki portmonetkę i zaczyna pod stołem przeliczać drobne.

Tom dojadł kolację, a potem wstał i ruszył przez salę w kierunku nieznajomej. Kiedy spojrzała na niego, dostrzegł, że jej oczy nie są niebieskie, jak się spodziewał, lecz zielonoorzechowe. Rysy, które widział jedynie z profilu, miała regularne, twarz otwartą i przyjazną. Jej nos upstrzyła konstelacja złocistych piegów.

– Przepraszam bardzo, ale chyba jest pani Angielką? – zapytał.

– Skąd pan wie?

Musnął dłonią książkę.

– „Bez echa”[1]. Czytałem to.

– I podobało się panu?

– Owszem. Choć fabuła jest nieco naciągana.

– Tak pan uważa? – rzuciła zimno. – Mnie się bardzo podoba.

– Nazywam się Tom Blacklock. – Wyciągnął rękę.

– Kay Garland.

– Czy mógłbym się do pani przysiąść?

– Hm…

– Proszę się zgodzić. Daję słowo, że jestem bardzo miły i godny zaufania.

– Naprawdę, panie Blacklock? – Parsknęła śmiechem.

– I miałem dość wyczerpujący dzień, dlatego tak wielką ulgę sprawia mi spotkanie kogoś z Anglii. Czy mógłbym zafundować pani następną kawę? Sam chciałbym się napić, a przyjemniej byłoby w towarzystwie.

Po krótkich namowach pozwoliła postawić sobie kawę. Tom przyniósł dwie filiżanki i usiadł przy stoliku. Panna Garland zapytała go, od jak dawna przebywa w Berlinie.

– Przyjechałem dziś rano – wyjaśnił. – A wracam jutro.

– Zatem to dość krótka wizyta.

– Obawiam się, że tak. A pani, panno Garland?

– Mam nadzieję, że niebawem wrócę do domu.

– Czy przyjechała pani do Berlina na urlop?

– Nie. Pracowałam tutaj.

Nie udzieliła bardziej szczegółowych wyjaśnień, ale łapczywie wypiła kawę. Tomowi nagle coś przyszło do głowy.

– To wstyd odwiedzić Niemcy i nie skosztować ani kawałka *Apfelkuchen*. Czy mogę pani przynieść choć odrobinę, panno Garland?

– Nie, dziękuję.

– Nonsens. Ja stawiam. – Zanim zdążyła go powstrzymać, wrócił do kontuaru.

Kiedy ponownie zjawił się przy stoliku, panna Garland wydawała się zirytowana.

– To doprawdy zuchwałe z pana strony, panie Blacklock.

– Przepraszam, ale nie chciałbym, żeby moja rodaczka głodowała.

– Nie jestem głodna. – Zaczerwieniła się gwałtownie.

Mimo to pochłonęła ciasto do ostatniego okruszka. Skończywszy jeść, westchnęła.

– To było wspaniałe. Przepyszne. Dziękuję panu.

Zapytała go, co porabia w Berlinie. Tom opowiedział jej krótko o Milesie Culbonie i Zimnej Gwiazdce.

– Pan Culbone musi być niezwykłym człowiekiem.

– O, tak. I niegodnym zaufania, obawiam się. – Tom wyjaśnił, w jaki sposób Miles Culbone oszukał doktora Brucka.

Panna Garland zmarszczyła brwi.

– To podłe z jego strony.

– Prawda? Podłe i nikczemne. Po południu myślałem, żeby od razu złożyć wymówienie, gdy tylko wrócę do Suffolk.

– A teraz? Zmienił pan zdanie?

– Pytanie brzmi: co innego mógłbym robić?

– W sensie kariery zawodowej?

– Chyba nie nazwałbym sporządzania katalogu biblioteki Milesa Culbone'a karierą. Uczciwie mówiąc, było to raczej unikanie kariery. Nienawidzę samej myśli o zamknięciu w jakiejś kancelarii.

– A nauczanie?

– To oczywista droga. Mój ojciec jest wykładowcą na uniwersytecie.

– Domyślam się, że może to pana odstręczać – powiedziała współczującym tonem. – Niemal jakby był pan skazany na taki, a nie

inny los. Jest w tym coś przygnębiającego.

– Właśnie. Sam nie ująłbym tego lepiej. A pod pewnymi względami praca u pana Culbone'a mi odpowiada.

Następnie rozmowa zeszła na tematy rodzinne. Rodzice panny Garland nie żyli. Tom opowiedział jej o swoich rodzicach i młodszej siostrze Minnie. Później zapytał pannę Garland o jej zawód.

– Byłam zatrudniona u pewnej rodziny, państwa Denisowów. Dotrzymywałam towarzystwa córce pana Denisowa, Mirandzie.

– Pracowała pani jako dama do towarzystwa? To bardzo wiktoriańskie. – Tom zmarszczył brwi. – Więc zatrudniła panią rodzina…

– Zwolniono mnie. – Spuściła oczy i wydawała się przybita. – Dzisiaj po południu. – Jej długie, smukłe palce zabębniły o brzeg filiżanki. – Powtarzam sobie, że nie zrobiłam nic złego, może jednak zrobiłam. Trudno mieć pewność.

– Jak długo pani u nich pracowała?

– Od marca zeszłego roku. Myślałam, że mnie polubili. Ale zostałam wyrzucona z dnia na dzień… i jeszcze ta sprawa z pieniędzmi. Zaczynam myśleć, że nie polubili mnie wcale.

– Z pieniędzmi? Co było z pieniędzmi?

– Ach, to nie ma znaczenia. Nic ważnego. Ale boję się, że Miranda będzie za mną tęskniła. Że będzie się czuła samotna. – Wydawała się mocno strapiona. – O Boże, co za okropne zamieszanie!

– Co pani teraz zrobi? Wróci do domu?

– Tak, najszybciej, jak będę mogła.

– Co panią powstrzymuje? – Tom pomyślał o garstce drobnych w jej portmonetce i wolno popijanej filiżance kawy. Zapytał prosto z mostu: – Czy ma pani pieniądze na podróż?

Nie odpowiedziała. Tom drążył dalej:

– Ale ma pani gdzie przenocować, prawda?

Wydało mu się, że nieco opuściła ramiona.

– Szczerze mówiąc, nie. Zostały mi dwie marki i dwadzieścia dwa fenigi. Zna pan przyzwoite miejsce, w którym mogłabym spędzić noc za dwie marki i dwadzieścia dwa fenigi?

– Obawiam się, że nie znam. A gdyby nawet istniało takie miejsce, wątpię, aby było przyjemne.

– Och. – Na twarzy panny Garland odmalowało się przygnębienie, a po chwili, starając się robić dziarską minę, dziewczyna dodała: – W każdym razie, już postanowiłam, co zrobię. Jutro, gdy tylko otworzą sklepy, sprzedam swój aparat fotograficzny i zegarek.

– A dziś wieczorem?

– Posiedzę tu najdłużej, jak się da, a potem prześpię się na ławce w Tiergarten.

– To zupełnie niedorzeczny pomysł – oznajmił Tom.

Rzuciła mu gniewne spojrzenie.

– W tych okolicznościach wydaje mi się jak najbardziej rozsądny. Poza tym nie mam wyboru. – Jej twarz znowu sposępniała. – Ilekroć przyjeżdżaliśmy do Londynu, zanosiłam moją pensję do banku. W mieszkaniu Denisowów były moje ośmiotygodniowe zarobki. I zostały skradzione.

– Czy domyśla się pani, kto je zabrał? – Przyjrzał jej się uważnie. – Chyba tak, prawda? Więc może pani odzyskać pieniądze. Boi się pani stanąć twarzą w twarz z tą osobą? Jeśli pani zechce, pójdę z panią.

Jej oczy zabłysły.

– Nie boję się, panie Blacklock. Ale jest za późno, bo Denisowowie wyjechali. Kiedy się zorientowałam, że w walizce nie ma pieniędzy, wróciłam do mieszkania, a wówczas dowiedziałam się od dozorcy, że wszyscy wyjechali i mieszkanie zostało zamknięte.

– Wie pani, dokąd się udali?

– Nie mam pojęcia – odrzekła bezradnie. – Mogli pojechać dokądkolwiek, do Paryża, Rzymu, Wiednia, do każdego miasta w Europie.

Tom gwizdnął.

– Więc zostawili panią na lodzie.

– Można to tak określić.

– Byłoby zatem lepiej, żeby zatrzymała się pani tam, gdzie ja.

Miała wyraźnie zgorszoną minę.

– Panie Blacklock, to absolutnie wykluczone.

– Miles Culbone nie jest zbyt hojny, jeśli chodzi o wydatki, inaczej bym zaproponował, że pożyczę pani pieniądze na wynajęcie pokoju w hotelu. Zatrzymałem się u przyjaciela. Willi pracuje nocami w szpitalu i pozwolił mi spać w swoim łóżku. Może pani zająć łóżko,

a ja prześpię się na sofie w pokoju obok. A rano kupię pani bilet i pojedziemy najwcześniejszym pociągiem do Brukseli. Zapiszę pani mój adres i odda mi pani pieniądze, gdy tylko będzie je miała.

– To bardzo wielkodusznie z pana strony, ale…

– Lepsze to niż spanie na ławce w parku, tak mi się wydaje. I chyba lepsze niż sprzedaż aparatu fotograficznego.

Po chwili milczenia powiedziała:

– Nie rozumiem, dlaczego chce pan dla mnie coś takiego zrobić.

– Ponieważ gdyby moja siostra znalazła się sama w Berlinie, pragnąłbym, żeby ktoś zrobił dla niej to samo. – Spojrzał na zegarek. – Idziemy?

Tom Blacklock był wysoki i atletycznie zbudowany. Proste ciemnobrązowe włosy miał nieporządnie rozwichrzone i odrzucał je z czoła szybkim ruchem dłoni. Ciemnoniebieskie oczy były inteligentne i rozbawione. Ubierał się niedbale, w niedopasowane rzeczy – brązowe sztruksowe spodnie, niebieską koszulę i szarą marynarkę wytartą na łokciach – jakby rano wkładał na siebie te rzeczy, które mu pierwsze wpadły w ręce.

I był bardzo uparty. Podstępem nakłonił Kay do zjedzenia z nim posiłku, odrzucił jej najzupełniej racjonalny pomysł ze sprzedażą aparatu i spaniem w Tiergarten, jakby to nie było nawet warte rozważenia, a następnie przymusił do spędzenia nocy w jego towarzystwie. Spędzenia nocy… Idąc z nim ciemną ulicą po opuszczeniu kawiarni, Kay była przerażona własnym postępowaniem. Już przyjęcie poczęstunku od zupełnie obcego mężczyzny wydawało się lekkomyślnością, a pójście do jego mieszkania stanowiło szczyt głupoty.

Mimo to nie czuła lęku. Instynktownie zaufała Tomowi i nie sądziła, by to zaufanie wypływało wyłącznie z ulgi, jakiej doznała, napotkawszy rodaka w obcym i raczej przerażającym mieście. Wyczuwała, że Tom jest uczciwym człowiekiem. Ponadto plan z aparatem i ławką wydawał się raczej beznadziejny. Stanowczo odpędziła od siebie niepokojące myśli, że może zostać zniewolona, zamordowana, poćwiartowana i zakopana w ogródku na tyłach

posesji, i udała się z Tomem Blacklockiem do mieszkania jego przyjaciela w Wilmersdorf.

Składało się z dwóch pokoi i oba wyglądały bardzo nieporządnie. Pan Blacklock, któremu ów bałagan nie wydawał się niczym niezwykłym, stąpał pośród tych wszystkich rupieci, jakby na co dzień widywał podłogi zastawione brudnymi naczyniami, zarzucone książkami i gazetami, ubraniami, płytami bez okładek; stał tam również szkielet. Kay przypomniała sobie, że przyjaciel pana Blacklocka jest lekarzem, co zapewne wyjaśniało obecność tak niezwykłej ozdoby.

Mimo zmęczenia źle spała tej nocy. Nie tylko z powodu obcego łóżka oraz świadomości, że zaledwie kilka metrów od niej znajduje się nieznajomy mężczyzna – ściany były cienkie i od czasu do czasu słyszała poskrzypywanie sofy, kiedy poruszał się we śnie. Różne myśli kłębiły się w jej głowie i usiłowała nad nimi zapanować. Obrazy wydarzeń minionego dnia przewijały się wciąż na nowo: jej przerażenie, gdy odkryła, że została bez pieniędzy, osobliwe i zatrważające doświadczenie, gdy wróciła do mieszkania Denisowów i przekonała się, że wszyscy wyjechali, że tak łatwo wymazali ją ze swego życia – i wreszcie najgorsze, czyli zimna pogarda w oczach Konstantina Denisowa, gdy mówił: „Wywiera pani zły wpływ na moją córkę, panno Garland, bardzo zły wplyw". Nikt dotychczas tak na nią nie patrzył. I miała nadzieję, że nigdy nie spojrzy. Mimo to, z punktu widzenia pana Denisowa, rzeczywiście wywierała na nią zły wpływ. Nie powinna była pozwolić Olivierowi na rozmowę z Mirandą. Nie powinna była pozwolić Mirandzie odwiedzić magazynu, w którym Olivier kręcił filmy, jadać z nim obiadów ani się w nim zakochać. A jednak nawet teraz, po tym wszystkim, co zaszło, nie potrafiła tak naprawdę żałować swego postępowania.

Zadawała sobie pytanie, czy do jej klęski nie przyczyniła się skrycie destrukcyjna atmosfera Berlina. Czy wszystkie te szepty, lęk przed powiedzeniem lub zrobieniem czegoś niewłaściwego – czy to nie tkwiło w niej zbyt długo i nie znalazło ujścia w owym fatalnym ataku śmiechu przy stole u Konstantina Denisowa.

Nad ranem zapadła w drzemkę, z której obudził ją – jak się wydawało, po kilku chwilach – Tom Blacklock, który potrząsał jej

ramieniem i powtarzał, że musi wstawać, jeśli mają zdążyć na pociąg. W drodze na dworzec, a później siedząc na ławce i czekając, aż jej wybawca kupi bilety, Kay znowu poczuła tę dojmującą pustkę, niedowierzanie, że tak niezwykły, wspaniały rozdział życia dobiegł końca. Ilekroć pomyślała o Mirandzie, ściskało jej się serce. Gdzie ona była? Dokąd pojechała? Co się z nią stanie? Czy ojciec zmusi ją do małżeństwa z herr Reimannem? I czy one dwie jeszcze się kiedyś spotkają?

Przyjazd pociągu przynajmniej odwrócił jej uwagę. Wszystkie miejsca w przedziale trzeciej klasy były zajęte i Kay z Tomem siedzieli ściśnięci na drewnianej ławce. Obok ulokowała się matka z czworgiem małych dzieci; naprzeciw siebie mieli parę w średnim wieku, żołnierza w mundurze marynarki wojennej oraz dwóch mężczyzn z niewielkimi walizeczkami – prawdopodobnie domokrążców. Tom Blacklock kupił w dworcowym bufecie kawę i bułki; zjedli bułki i wypili kawę, gdy pociąg ruszył. Domy, biura i fabryki Berlina umykały do tyłu, a ludzie na ulicach stali się kukiełkami, ginąc w porannej mgle i dymie z kominów. Wreszcie przedmieścia się skończyły i rozpoczęli podróż przez wiejskie okolice, szarobrunatne i jesiennie mokre, z rozsianymi tu i ówdzie gospodarstwami i osadami.

Podróż upłynęłaby im miło i spokojnie, gdyby nie fakt, że się posprzeczali. Tom Blacklock wydobył z plecaka pognieciony egzemplarz „Manchester Guardian". Był tam artykuł o wojnie domowej w Hiszpanii. Kay przeczytała go, zerkając Tomowi przez ramię, i wygłosiła najzupełniej nieszkodliwą uwagę, iż to dobrze, że Wielka Brytania postanowiła się do tego nie wtrącać. Wówczas przemówił dość gwałtownym tonem:

– A ja myślę, że to cholerny wstyd.

Obrzuciła go gniewnym spojrzeniem.

– Z pewnością nie chciałby pan, żebyśmy sprzedawali Hiszpanii broń?

– Dlaczego nie?

– Bo to by tylko przedłużyło wojnę… to by pogorszyło sprawę!

Domokrążcy podliczali zarobki w swoich notesach, marynarz spał – w końcu nie było jeszcze dziewiątej rano. Kobietę w średnim wieku

pochłaniała lektura powieści, jej mąż zaś przeglądał „Der Stürmer”. Matka rozdzielała jabłka między dzieci.

Tom zniżył głos.

– A Guernica? Uważa pani, że stanie z boku pomogło komukolwiek stamtąd?

Wcześniej tego samego roku niemieckie samoloty zbombardowały miasto Guernica w Kraju Basków w Hiszpanii, zabijając ponad półtora tysiąca ludzi.

– Oczywiście, że nie – odparła Kay. – To było straszne. Odrażające. I…

– I?

– Cóż, zawahałam się nieco, przyznaję.

– Aha! – zauważył irytująco tryumfalnym tonem.

– Ale – dodała pospiesznie – skoro inny kraj robi coś złego, nie oznacza to, że i my powinniśmy postępować tak samo.

– Jak może być czymś złym pomoc demokratycznie wybranemu rządowi, atakowanemu przez juntę wojskową?

– Ponieważ ten, kto sprzedaje broń, umożliwia ludziom zabijanie się nawzajem – zwróciła mu uwagę na rzecz oczywistą.

– A jeśli wojna potoczy się po myśli nacjonalistów? Jeśli zwycięży Franco i jego ludzie? Wojny domowe są najgorsze. Reperkusje ciągną się przez lata, nawet dziesiątki lat. Ponadto inne kraje już się zaangażowały. Proszę spojrzeć na Niemcy, Rosję. I na Brygady Międzynarodowe.

– Chyba nie myślał pan o… – Zerknęła na niego szybko.

– Myślałem o tym. Myślałem o wyjeździe do Hiszpanii. – Teraz to on wydawał się zirytowany, być może na samego siebie. – Nic jednak nie zrobiłem.

Kay wykorzystała swoją chwilową przewagę.

– Sytuacja i tak jest już wystarczająco zła i nie należy jej pogarszać. Nie powinniśmy się wtrącać. Czy ktokolwiek spoza Hiszpanii naprawdę rozumie, co tam się dzieje?

– Może nie. Ale czy twierdząc, że nie ma to z nami nic wspólnego, nie dajemy zielonego światła, hm… – Zniżył głos do szeptu. – Powiedzmy, pewnym agresywnie nastawionym narodom, żeby robiły, co im się żywnie podoba?

– Są inne sposoby, aby pomóc – zauważyła. – Lepsze.

– Co pani ma na myśli?

– Ligę Narodów, oczywiście.

Tom popatrzył na nią z wyższością.

– Liga Narodów straciła cały swój autorytet.

To bezceremonialne lekceważenie organizacji, którą Kay i ciocia Dot zawsze gorąco popierały, spotęgowało jej irytację.

– Trzeba próbować – powiedziała z pasją. – Nie można się tak po prostu poddać.

Do przedziału wszedł konduktor i obydwoje umilkli, gdy sprawdzał bilety. Kiedy wyszedł, Tom odezwał się cicho:

– Już jest mniej demokratycznych państw niż dziesięć lat temu. Jeśli pozwolimy, by tak łatwo odrzucano demokrację, jaką możemy mieć nadzieję na przyszłość?

– Nie chcę następnej wojny, to wszystko. Byłaby czymś potwornym. Zrujnowałaby nam życie. A może wybuchnąć tak łatwo, czuję to.

Krajobraz za oknem pociągu był typowo wiejski: gospodarstwa, pola i łąki. Wszystko wyglądało tak schludnie i porządnie – zaorane pola, przystrzyżone żywopłoty, stadko białych kóz skubiących trawę na przykościelnym cmentarzu.

– Wczoraj na dworcu kolejowym – podjęła Kay – właśnie to czułam. Jakby ludzie pogodzili się z faktem, że będzie wojna. Nie dziś, nie jutro, lecz kiedyś w przyszłości, może bliskiej. Wszystkie te mundury. Nawet dzieci je noszą. I nagłówki na pierwszych stronach gazet. Przez głośniki nadawano jedno z jego przemówień. Wie pan. – Miała na myśli Hitlera, lecz w zatłoczonym przedziale, przy tuzinie nieznajomych, nie odważyła się wymówić tego nazwiska. – Zupełnie jakbyśmy zmierzali ku uznaniu wojny za nieuniknioną, a nawet dopuszczalną. Nie minęło jeszcze dwadzieścia lat od zakończenia tamtej, najstraszliwszej w dziejach ludzkości. Wydaje się, że ludzie o tym zapomnieli. Uważam, że powinniśmy zrobić wszystko, absolutnie wszystko, żeby coś takiego więcej się nie powtórzyło.

– Oczywiście, ma pani słuszność. – Tom zmarszczył brwi. – Ale problem w tym, jaki jest najlepszy sposób, by zapobiec wojnie, nieprawdaż?

W tym miejscu najwyraźniej uznał dyskusję za zakończoną. Pochylił się nad krzyżówką i wyjął pióro z kieszeni marynarki. Poirytowana Kay odszukała miejsce, w którym przerwała czytanie „Bez echa". Ale powieki zaczęły jej ciążyć i zapadła w sen.

Gdy się obudziła kilka godzin później, poczuła się lepiej. Dojeżdżali do Hanoweru. Zjedli ostatnie bułki, a Kay znalazła na dnie torebki pół tabliczki czekolady, którą po oderwaniu kawałków srebrnej folii podzieliła na pół. Dwie godziny później, na granicy belgijskiej, do przedziału wszedł nazistowski funkcjonariusz, żeby sprawdzić paszporty. Potem przesiedli się do następnego pociągu.

Po opuszczeniu Niemiec odczuli ulgę, która w połączeniu ze znużeniem wywołanym podróżą oszołomiła ich nieco i złagodziła chłód, jaki wkradł się między nich. Grali w niemądre gry słowne, takie jak „ciepło, zimno" i „sklepik mojej babci", po angielsku, francusku i niemiecku, a Kay chwilami przyłapywała się na śmiechu.

W Brukseli mieli dwie wolne godziny do odjazdu pociągu, zjedli więc kolację w knajpce niedaleko dworca. W maleńkiej łazience Kay przeczesała grzebieniem rozwichrzone włosy i pomyślała o Anglii, Londynie, cioci Dot. Wyobraziła sobie tęsknie, jak zwija się w kłębek we własnym łóżku i śpi tak długo, jak zechce.

Dojechali do Dieppe, gdzie wsiedli na nocny prom. Nie było ich stać na kajutę, siedzieli więc na pokładzie w części wydzielonej dla pasażerów, razem z innymi podróżnymi o zaczerwienionych oczach. Martwa fala kołysała morzem i prom to się unosił, to opadał.

Było zimno i Kay otuliła się płaszczem.

– Bardzo lubię nocne promy – powiedziała do Toma. – Można sobie wyobrazić, że się płynie dokądkolwiek, prawda?

– Dokąd chciałaby pani popłynąć?

Zastanowiła się głęboko.

– Chciałabym pożeglować wokół greckich wysp. Zobaczyć Morze Egejskie. Czy to nie byłoby cudowne?

– Owszem, jest.

– Pan to zrobił?

– Na studiach, podczas letnich wakacji. Brałem udział w wykopaliskach archeologicznych na Krecie. A później trochę podróżowałem.

– Wątpię, czy kiedykolwiek jeszcze pojadę w jakieś fascynujące miejsce – powiedziała z przygnębieniem.

– Dlaczego?

– Ponieważ muszę zarabiać na życie. I nie przypuszczam, by ktoś teraz zechciał mnie zatrudnić jako damę do towarzystwa. Widzi pan, nie mam referencji. Prócz tego i tak nie wyobrażam sobie towarzyszenia komuś innemu niż Miranda.

– Co w takim razie pani zrobi?

– Nie wiem. – Kay zadrżała. – Nie myślałam o tym. Nie wiem nawet, jak się wytłumaczę przed ciocią Dot.

– W kwestii utraty pracy?

– Tak. – Spojrzała na niego. – Powiedzieć panu, dlaczego pan Denisow mnie zwolnił?

– Jeśli pani chce.

– Uznał, że miałam na Mirandę zły wpływ. Ale tak naprawdę myślę, że dlatego, iż zaśmiałam się w nieodpowiedniej chwili. A to mu się nie spodobało.

Rozmawiali jeszcze trochę, a potem Tom zamknął oczy i usnął, wciśnięty w róg siedzenia. Kay w końcu również zapadła w sen. Raz obudziła się podczas przeprawy i z zakłopotaniem przekonała się, że jej głowa spoczywa na jego ramieniu. Ciepło i bliskość innej ludzkiej istoty były jednak tak krzepiące, że się nie odsunęła, lecz zamknęła oczy i spała dalej.

O świcie dotarli na Victoria Station. Kay postanowiła natychmiast pożyczyć od cioci Dot pieniądze, które była dłużna Tomowi, i oddać je jak najprędzej. Wymienili się adresami, uścisnęli sobie dłonie i każde ruszyło w swoją stronę. Kay siedziała w wagonie kolejki podziemnej z walizką u nóg, a pociąg przetaczał się z łoskotem przez mroczny tunel. Ze stacji Pimlico miała blisko do domu.

Otworzyła furtkę i przeszła na tyły ogródka. Przez kuchenne okno dostrzegła jakiś ruch wewnątrz. Była w domu – i gdy przekroczyła jego próg, przepełniło ją poczucie, że tak właśnie powinno być oraz przemożna ulga. Ciocia Dot miała na sobie strój roboczy: szarą spódnicę i szmaragdowozielony sweter. Jej ciemne włosy, siwiejące na skroniach, zwinięte były w mały kok nad karkiem. Stała z puderniczką w ręce i malowała usta. Na widok Kay otworzyła

szeroko oczy i powiedziała tylko: „Kay. Kochanie”. A potem jej twarz rozjaśnił uśmiech, odłożyła szminkę, podeszła do Kay i wzięła ją w objęcia.

1 Powieść autorstwa Rosamond Lehmann, wyd. w 1927 roku (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

Rozdział 4

Po odprawieniu Kay Konstantin Denisow zapytał Mirandę o nazwisko mężczyzny na zdjęciu – tego, który ją obejmował.

– Sonia podejrzewa, że się w kimś zakochałaś. Czy to prawda? Czy to ten mężczyzna? – Postukał palcem w fotografię. – Powiedz mi, jak się nazywa, Mirando.

– Nie – odparła. – Nie powiem.

Coś twardego i okrutnego pojawiło się w oczach ojca. Zasyczał jak wąż.

– Kimkolwiek jest, nie będziesz miała z nim już nigdy do czynienia. Masz poślubić herr Reimanna.

– Nie – oznajmiła zimno. – Nigdy. A na jego dalsze nalegania wykrzyknęła w końcu, że jeśli będzie próbował zmusić ją do małżeństwa, obrazi herr Reimanna w sposób tak ordynarny, że ten nigdy więcej nie zechce na nią spojrzeć. Wtedy ojciec uderzył ją tak mocno, że krew pociekła z rozciętej wargi, a do oczu napłynęły łzy.

Nienawidziła płakać w jego obecności. Wolała zachować łzy na nocną porę, kiedy tak bardzo tęskniła za Olivierem i Kay, że niemal rozdzierało jej to serce. Nocami zanosiła się od płaczu, a jej żal i samotność przemieniały się niczym w procesie alchemicznym w słoną wodę spływającą po policzkach. Martwiła się o Kay, opuszczoną i samotną w Berlinie. Modliła się o bezpieczny powrót swojej przyjaciółki do domu. Lubiła wyobrażać ją sobie żyjącą szczęśliwie w Londynie.

Kilka dni później wyjechali z Niemiec do Szwajcarii. Miranda i jej ojciec mieli wspólny przedział w kolejowym wagonie. Wyglądała przez okno, postawiwszy kołnierz futra, by ukryć siniec na twarzy, a oślepiający poblask ośnieżonych gór przebijał się przez ciemne

szkła przeciwsłonecznych okularów. Trzymała się kurczowo okruszka pociechy, że ojciec nie zna nazwiska Oliviera.

W myślach odtworzyła wydarzenia, które doprowadziły do katastrofy. Spotkanie w parku, kręcenie filmu w magazynie, długie lunche i kradzione półgodziny. Wiedziała, że stały się nieostrożne, ona i Kay. Powinna była ukryć radość, jaką czuła od chwili, gdy Olivier ją pocałował. Jej twarz niewątpliwie promieniała, co wzbudziło podejrzenia *tante* Soni. Ta doświadczona kobieta szybko i słusznie domyśliła się przyczyny owego szczęścia – to miłość. Przeszukała najpierw pokój Mirandy, a potem pokój Kay, rozglądając się za dowodami. Znalazła fotografię i zaniosła ją Konstantinowi Denisowowi.

Popełniła błąd, uznając, że ojciec Mirandy pochwali ją za to odkrycie. Nie pochwalił; przeciwnie, obarczył Sonię winą. Uznał, że dwie osoby z jego otoczenia, a mianowicie jego córka i Kay, zaczęły ukradkiem podważać jego autorytet, i postąpił w sposób bezwzględny, jak zwykle w takich okolicznościach. Oddalił *tante* Sonię na drugi dzień po zwolnieniu Kay, co przyniosło Mirandzie odrobinę satysfakcji.

W Genewie Denisowowie zajmowali apartament ze wspaniałym widokiem na jezioro, niedaleko Ogrodu Botanicznego. Jako przyzwoitkę dla Mirandy zatrudniono madame Cloutier, zgorzkniałą kobietę o stalowoszarych oczach i wyrazie twarzy równie przyjemnym jak pułapka na szczury. Mirandzie wolno było wyjść na spacer do parku lub zaglądać do okolicznych sklepów. Ojciec zabronił jej brania lekcji baletu. I nie mogła, oczywiście, chodzić do kina.

Na początku snuła plany. Napisze do Kay, zadzwoni do Oliviera i wyjaśni, co się stało. Albo ucieknie. Z biegiem dni jednak jej nadzieje się rozwiewały. Madame Cloutier obserwowała ją niczym jastrząb. Żadnych listów, żadnych telefonów. Kto zresztą miałby pisać lub telefonować, jeśli nikt, na kim jej zależało, nie znał miejsca ich pobytu? Wszystkie listy kładziono na srebrnej tacy na stoliku w przedpokoju, gdzie czekały, by je ostemplowano i wysłano. Gdy Miranda ukryła list do Kay pod stosem innych, madame Cloutier znalazła go i podarła na jej oczach. Aparat telefoniczny znajdował się w gabinecie, a kiedy ojciec wychodził z domu, zamykał drzwi na

klucz. Poza mieszkaniem Miranda nigdy nie była sama. Madame Cloutier trwała u jej boku od wyjścia z domu do powrotu, ponura i pełna dezaprobaty, przyczepiona niczym pijawka. Próba wymknięcia się pewnego ranka zakończyła się spoliczkowaniem Mirandy przez jej strażniczkę oraz karą wymierzoną przez ojca.

Mijały tygodnie. Miranda pogrążała się z powrotem w nudzie, którą czuła, zanim zamieszkała z nimi Kay. Dni składały się z drobnych, nieciekawych zajęć. Czas wlókł się w nieskończoność. Potrafiła przesiedzieć godzinę w odrętwieniu, spoglądając przez okno na gałęzie kołyszące się w podmuchach wiatru.

Nocami, kiedy towarzyszyły jej tylko usadowione na komodach lalki o szklistym spojrzeniu, uświadamiała sobie, że nigdy nie czuła się tak szczęśliwa jak wówczas, gdy Kay była jej towarzyszką. Żal po utracie tego szczęścia wydawał się niemal nie do zniesienia. Zastanawiała się, czy Kay czuje to samo co ona – że utraciła cząstkę jej samej. Czy Olivier myślał choć trochę o ich pocałunku, czy może nie przywiązywał do niego żadnej wagi. I czy znalazł inną odtwórczynię roli w swoim filmie.

Choć próbowała obmyślić jakiś plan ucieczki, wszystkie drogi były przed nią zamknięte. Gdyby nawet spróbowała, ojciec by ją odnalazł. Gdyby w jakiś sposób dotarła do Oliviera i okazałoby się nawet – wielkie „nawet" – że on także ją kocha, nie mogliby żyć razem. Jej ojciec nie spoczęłby ani na chwilę, póki by ich nie wyśledził. Co wówczas zrobiłby z Olivierem? Zniszczyłby go, w tej sprawie Miranda nie miała najmniejszych wątpliwości. A co do przyjaciółki – czy potrafiłaby odnaleźć ów domek w Londynie, gdzie Kay mieszkała z ciocią Dot? Była tam dwukrotnie w towarzystwie Kay, gdy razem przyjechali do Anglii, lecz pojechały wówczas taksówką i nie zapamiętała adresu. Tak czy inaczej, Kay z pewnością wróciła do tego życia, które prowadziła, zanim się poznały. Czy znalazłoby się w nim miejsce dla przyjaciółki? W najczarniejszych nastrojach Miranda mocno w to wątpiła.

Wiedziała, że znalazła się w potrzasku. Często wyobrażała sobie, jak idzie w dół po niezliczonych stopniach. Im niżej, tym bardziej szare stawało się powietrze. W dole widziała tylko ciemność. Podstawę schodów skrywał mrok.

Jej bunt wypalił się i zgasł. Przyjęła postawę posłusznej córki, starając się zadowolić inteligentnego, okrutnego, potężnego, nieprzewidywalnego człowieka, który od początku zdominował jej życie. Zasiadając do obiadów z ojcem i jego wspólnikami w interesach, widziała siebie z pewnego oddalenia, jak flirtuje i kokietuje mężczyzn. Kwestia przyzwyczajenia, pomyślała. I lęk przed ojcem, oczywiście. Sama sobie przypominała lalki z sypialni. Wyglądała nierzeczywiście, czuła się nierzeczywiście, na przemian zamykała i otwierała małe czerwone usta, uśmiechając się, gdy jej kazano, jak ją nauczył Olivier przed kamerą, i poruszała gładkimi białymi ramionami, jakby poruszał nimi kto inny. Jak gdyby coś niezbędnego do życia – mózg, serce, dusza – zostało jej odebrane i zatrzaśnięte w jakimś pudle.

Czasami, kiedy czuła się naprawdę bardzo samotna, tęskniła nawet za *tante* Sonią.

Przestała jeść. Dzięki temu ponownie poczuła się rzeczywista – chwila głodu, przelotny apetyt na gorące, posmarowane masłem ziemniaki albo *sachertorte* uświadamiał jej, że mimo wszystko żyje. Ponadto, co innego mogła zrobić? Próżno byłoby walczyć z ojcem, który potrafił krzyczeć głośniej, przeinaczał jej słowa i rzucał z powrotem w twarz, i mógł ją powalić jednym uderzeniem. Odmawiając jedzenia, odkryła metodę cichego buntu, dokuczliwą dla Konstantina Denisowa, który nie znosił grymaszenia przy posiłku. Ten człowiek zawdzięczający wszystko wyłącznie sobie zachował jeszcze dość wiejskiego ducha, by uważać marnotrawienie pokarmów za coś oburzającego. Podczas obiadu Miranda nabierała łyżeczkę tego lub plasterek owego i obserwowała, czy rozzłościła ojca. Odczuwała wewnętrzny tryumf. A i tak nie miała ochoty na jedzenie. Czuła się nieszczęśliwa, miała mdłości, ale głód znikał w chwili, gdy siadała przy stole, z ojcem po jednej stronie i żelaznooką madame Cloutier po drugiej.

Nieco później jednak sprawy wymknęły jej się z rąk. To, co na początku służyło jako broń, stało się wewnętrznym przymusem. Jedzenie budziło w niej wstręt – wstążka białego tłuszczu przy baranim kotlecie, niebieskawe chrząstki w czerwonym steku. Pewnego ranka zemdlała w kościele. Posłano po lekarza, który ją

ostukał, osłuchał, pouczył i przepisał miksturę. Tydzień później wyjechali ze Szwajcarii na południe Francji. Miranda miała wydobrzeć w Nicei, odzyskać apetyt i przybrać na wadze w łagodniejszym klimacie, ale siedząc na balkonie w bladym zimowym słońcu, owinięta w futro, myślała tylko o tym, jak inaczej było ostatnim razem, kiedy towarzyszyła jej Kay, a ona sama, by czuć się szczęśliwa, musiała tylko wyobrazić sobie następne spotkanie z Olivierem.

Po powrocie do Anglii Kay trudno było się zaadaptować. Domek cioci Dot wydawał się taki ciasny, a dawne życie, które półtora roku wcześniej pozostawiła za sobą, nawet się nie oglądając, odczuwała jako bezbarwną rutynę. Tęskniła za Mirandą – nagłe rozstanie było bolesne i wytrąciło ją z równowagi. Straciła kogoś, z kim dzieliła najgłębsze przemyślenia i uczucia, osobę będącą dla niej niemal jak siostra. A prócz tego, mówiąc zupełnie szczerze, brakowało jej poczucia uprzywilejowania, do którego przywykła jako towarzyszka Mirandy Denisow. Nie rezerwowano już dla niej stolików w restauracjach. Nie witano jej z uśmiechem w najdroższych sklepach.

Nie potrafiła się zdecydować, co robić dalej, i podejmowała dorywcze prace, które jej nie odpowiadały. Umawiała się na jedno spotkanie z adoratorami, którzy okazywali się zupełnie nie w jej guście. A potem jedna z przyjaciółek cioci Dot poinformowała ją, że pewna szkoła poszukuje nauczycielki francuskiego. Kay złożyła podanie i po rozmowie wstępnej zaproponowano jej posadę.

Oaklands School mieściła się w pełnym zieleni zakątku Hampstead. Obszerny, dość zaniedbany budynek stał w rozległym ogrodzie. Koedukacyjna szkoła o swobodnym i niekonwencjonalnym charakterze przemówiła do Kay. Obowiązywała tu zasada, że nie odmawia się przyjęcia żadnego dziecka. Niektórzy rodzice wysyłali dzieci do Oakland, ponieważ nie chciała ich przyjąć żadna inna placówka. Część tych dzieciaków, nawet jeszcze nie nastoletnich, została wyrzucona z różnych szkół nawet kilka razy. Sprawiali kłopoty, byli trudni, wymagający i wyczerpujący. Inni – wrażliwi,

nieśmiali albo nerwowi – nie potrafili sobie poradzić w normalnej hałaśliwej szkole z internatem. Nigdy nie było wiadomo, co przyniesie następny dzień i co się nazajutrz wydarzy. Kay nawet się to podobało.

Nikomu nie przeszkadzało, że nie miała nauczycielskich kwalifikacji. Personel składał się z najrozmaitszych dziwaków i idealistów. Roger Lancaster, dyrektor, i jego żona Virginia pasowali do obydwu kategorii. Kay często tłumiła śmiech, kiedy podczas porannego zebrania Roger, niski, pulchny i łysiejący, dźwięcznie oznajmiał, że jego szkoła jest kagankiem wolności i oświecenia. Wysoka, chuda Virginia stanowiła przeciwieństwo męża i była wiecznie skrępowana. Układała plany lekcji i uczyła muzyki, a także przyjmowała nowych nauczycieli.

Kay zaadaptowała się dość szybko. Zaczęła się umawiać z Laurence'em, który uczył w Oaklands sztuk plastycznych. Praca sprawiała jej przyjemność i żyła dobrze z nauczycielami i uczniami. Ale czasami w nocy, tuż przed snem, przypominała jej się paryska kafejka albo plaża na Lazurowym Wybrzeżu. Gdzie jest Miranda i co teraz robi? Czy nadal obserwuje chłopców w parku, mrużąc oczy z rozbawieniem? *Pas mal*, Kay, *pas mal*.

Przyjaźń z Tomem Blacklockiem wynagrodziła jej nieco brak towarzystwa Mirandy. Napisała do niego, by zwrócić pieniądze za podróż z Berlina, i zaproponowała spotkanie podczas jego najbliższej bytności w Londynie. I że tym razem ona zafunduje mu kawę i ciastko. Odtąd ich przyjaźń rozkwitła. Spotykali się od czasu do czasu na drinka i często sprzeczali – Tom był uparty i miał ugruntowane poglądy – a mimo to jakoś nigdy nie pokłócili się ostatecznie. Lubiła go: był interesujący i zabawny, a to w szarzyźnie życia po odysei z Mirandą wiele dla niej znaczyło.

Denisowowie wrócili do Berlina. Podczas balu, gdy tańczono poloneza i długi wąż par podążał za wodzirejem między krzesłami, za kotary, przez ogród i z powrotem do domu, Miranda dostrzegła swoje odbicie w lustrzanej ścianie galerii.

Zatrzymała się tak gwałtownie, że następna para niemal na nią wpadła. Podeszła do lustra i wyciągnęła rękę, by dotknąć szklanej tafli. To nie mogła być ona, ta wychudła, blada istota. Nie wyglądała jak ona. Ale miała na sobie białą suknię ze złotą wstążką wokół dekoltu. I wisiorek z rosyjskim bursztynem na szyi.

Jej partner – nie pamiętała jego nazwiska, Friedrich von Jakiśtam? – zapytał:

– Co się stało? Czy coś jest nie w porządku?

– Nic się nie stało – odparła. Nie mogła przecież wyjaśnić: „Zdawało mi się, że widzę ducha".

Podprowadził ją do krzesła przy oknie.

– Proszę tu zaczekać – powiedział.

Polonez, hałaśliwy teraz i bezładny, przetoczył się obok, pozostawiając tylko echo wesołości. Przez szybę Miranda dostrzegła balkon. Otworzyła drzwi i wyszła na zewnątrz. Powietrze było zimne i ostre, nocne niebo upstrzone gwiazdami. Miranda popatrzyła znad balustrady z kutego żelaza na ścieżki, posągi i czarne zarysy potężnych drzew.

Friedrich von Jakiśtam wrócił z kieliszkiem wina i małym srebrnym pucharkiem.

– Proszę to wypić – powiedział, wręczając Mirandzie kieliszek.

Pół tuzina łyków. Liczyła je, by się uspokoić.

– Przeziębi się pani – dodał i zdjął marynarkę, którą narzucił jej na ramiona.

Gdy dopiła wino, podsunął jej srebrny pucharek. Omal nie powiedziała: „Nie, dziękuję, nie jestem głodna", ale sprzeciw wymagałby zbyt wiele wysiłku, więc nie protestowała. Pucharek zawierał parę łyżeczek lodów. Gdy włożyła odrobinę do ust, roztopiły się na języku, pozostawiając słodki, cytrynowy smak.

Czuła zimno lodów, ciężar męskiej marynarki, ciemność skrywającą ogród, a także lęk, niemal przerażenie. Sama siebie nie poznawała. Przemieniała się w jakąś nieznaną istotę.

Siłą woli skoncentrowała się na mężczyźnie stojącym obok. Wydawał jej się dość stary, musiał mieć przynajmniej trzydzieści lat, może nawet czterdzieści. Był wysoki, szeroki w ramionach, o jasnej karnacji, rudawozłotych włosach i niebieskoszarych oczach. Jego

przystojna, jakby wyrzeźbiona twarz wydawała się nieco surowa, uznała Miranda. Uniósł głowę, spoglądając w niebo.

– W Berlinie prawie nie widać gwiazd – powiedział. – Jest tutaj tak wiele ulicznych latarni, że zaćmiewają gwiazdy. W Prusach Wschodnich, skąd pochodzę, można zobaczyć tysiące gwiazd.

– Proszę mi opowiedzieć o swoim domu.

– To najpiękniejsze miejsce na ziemi, fräulein Denisow. Nie ma drugiego takiego. – Uśmiech złagodził jego surowe rysy. – Ale zapewne każdy tak myśli o rodzinnym domu.

– Ja nie mam domu – oznajmiła. – Nigdzie nie zatrzymujemy się na dłużej.

– Musi jednak istnieć jakieś miejsce, które pani ciepło wspomina, fräulein – odparł łagodnie. – Na przykład jakiś budynek, który darzy pani przywiązaniem.

– Nie ma takiego.

– Współczuję pani. Pałac Sommerfeld stoi nad jeziorem. Chciałbym, żeby pani mogła go zobaczyć. Jezioro połyskuje w promieniach słońca. Nie wyobrażam sobie piękniejszego miejsca na świecie.

Miranda wyobraziła sobie, jak żegluje po srebrzystym jeziorze. Nad jej głową szybują ptaki i zanurza końce palców w wodzie. Jakiż wówczas czułaby spokój.

– Trzciny falują w podmuchach wiatru – mówił dalej. – Kiedy wędruje się ścieżką przez moczary, otaczają człowieka zewsząd dźwięki niczym tysiąc szepczących głosów.

Umilkł. Miranda spojrzała na srebrny pucharek i ze zdumieniem zauważyła, że jest pusty.

Później odczuwała doń pewną wdzięczność, ponieważ te cytrynowe lody okazały się punktem zwrotnym w jej życiu. Od tamtego dnia zaczęła zmuszać się do jedzenia. Na początku było to trudne, lecz nie ustawała w wysiłkach. Wziąć kęs jedzenia do ust, pogryźć, przełknąć, nie wyobrażać sobie, jak zalega ciężko wokół jej bioder i biustu. Najłatwiej szło jej z owocami: plasterek kupionej poza sezonem brzoskwini, cząstka pomarańczy.

Przeraziła ją zjawa, którą zobaczyła tamtego wieczoru w lustrze. Wyglądało to tak, jakby stopniowo wymazywała samą siebie, zacierając z rozmysłem własną tożsamość. Kurczyła się, jakby powoli zanikała. Dostrzegła jednak, że wyrzeczenie nie oznacza jeszcze zwycięstwa. Jeśli była słaba, nie mogła odwzajemnić się ciosem za cios. Zwyciężyłaby tylko wówczas, gdyby zdołała dowieść ojcu, że jest wystarczająco silna, by przeżyć bez niego – gdyby to nie on, lecz ona wybierała sobie zajęcia, przyjaciół, kochanków.

Jedzenie przychodziło jej łatwiej, jeśli zajmowała uwagę czymś innym. Kiedy nie miała z kim rozmawiać, czytała przy stole. Madame Cloutier mamrotała coś o złych manierach, lecz Miranda wyczuwała, że jej mentorka tak naprawdę nie wkłada w to serca. Może madame Cloutier, podobnie jak sama Miranda, znużyła się już długimi, monotonnymi posiłkami, podczas których jej podopieczna unikała jedzenia, jak tylko mogła. Jeśli towarzyszył im przy stole pan Denisow, co uniemożliwiało czytanie, Miranda udawała, że jest kimś innym. Było to dawne przyzwyczajenie, wypraktykowany sposób ucieczki. Stawała się grubą żoną jednego ze wspólników ojca, na której falowały fałdy tłuszczu i sznury pereł, albo panią Ingram, siadającą z poskrzypywaniem gorsetu, wyprostowaną jak struna. Bywała postacią z książki albo filmu – pokojówką, hrabiną, zagranicznym szpiegiem.

Friedrich, hrabia von Kahlberg, wstąpił z wizytą do Denisowów dwa dni po rozmowie na balkonie.

– Czy ma pan rodzinę? – zapytała Miranda.

– Matkę – odparł. – Ojciec zginął na wojnie. Nie mam braci ani sióstr, ale za to mnóstwo ciotek, wujów i kuzynów.

– Ja miałam przyjaciółkę – wyznała. – Angielkę o imieniu Kay. Czasami udawałyśmy, że jesteśmy siostrami.

– Była do pani podobna?

– Ani trochę. Angielka w każdym calu, wysoka, jasnowłosa, o pięknej cerze. – Miranda uśmiechnęła się lekko. – Ale miałyśmy wspólne zainteresowania i lubiłyśmy się razem pośmiać.

– I co się z nią stało?

– Mój ojciec ją odesłał.

– Zapewne tęskni pani za nią. Przyjaźnie zawarte we wczesnej młodości często trwają do końca życia. Ja nadal koresponduję z przyjaciółmi, których poznałem w szkole.

Przyjrzała mu się uważnie. Robił dobre wrażenie, był poważny i dobrze wychowany.

– Nie potrafię wyobrazić sobie pana jako ucznia – oświadczyła. – Z całą pewnością był pan bardzo poważnym małym chłopcem.

– Tak mnie pani widzi? Jako osobę pełną powagi? – Pokręcił głową, uśmiechając się smutno. – I zapewne staruszka. Muszę się pani wydawać bardzo stary.

– Czy mogę zachować się impertynencko, hrabio von Kahlberg, i zapytać, ile pan ma lat?

Skłonił się lekko.

– Może pani być tak impertynencka, jak tylko się pani podoba, fräulein Denisow. Mam trzydzieści sześć lat. – Po chwili milczenia zapytał: – Czy pani zdaniem istnieje między nami zbyt duża różnica wieku?

– O czym mówimy?

– O przyjaźni, oczywiście. Mogę się uważać za pani przyjaciela, nieprawdaż, fräulein Denisow?

– Ależ tak, hrabio, z całą pewnością.

Mówił niewątpliwie szczerze, rozsądnie, może nieco zbyt poważnie. Może również trochę onieśmielająco. Od czasu do czasu jednak dostrzegała w jego oczach iskierki uśmiechu – jakby mignął jej wśród gałęzi drzewa jakiś rzadki ptak. Zachowywał się oficjalnie, a jego maniery i pewność siebie pasowały do tytułu i otoczenia, w którym wyrósł. Prowadził rzeczową, przemyślaną rozmowę, nigdy nie paplał bez celu i nie plotkował. Odnosił się uprzejmie do Konstantina podczas balów i wieczornych przyjęć, ale nie należał do jego ulubieńców. Nie prowadzili razem interesów, nie należał do tłumu dworaków przy stole Denisowów. Okazywał lodowatą uprzejmość madame Cloutier, witał ją w sytuacjach towarzyskich ze stukaniem obcasów i ukłonami, a jednocześnie – jak zauważyła Miranda – wyraźnie dawał do zrozumienia, że nią pogardza.

Pokazał Mirandzie fotografię białego pałacu nad jeziorem. Naliczyła dwanaście wysokich, podłużnych okien we frontowej fasadzie

budynku. Przez ogród we francuskim stylu biegła dróżka aż do klasycznego frontonu. Po jednej stronie widać było żywopłot i drzewa. Pałac Sommerfeld wznosił się pośród rozległych włości, w otoczeniu drobnych gospodarstw rolnych na Mazurach, w Prusach Wschodnich. Cudowne krajobrazy, mówił Friedrich, jeziora, lasy i zagajniki, łąki i niskie, falujące pagórki. Ze wszystkich pór roku najbardziej lubił jesień, kiedy liście brzóz nabierały złotej barwy, a odlatujące dzikie gęsi kreśliły na bladoniebieskim niebie literę V. Podczas najzimniejszych, najciemniejszych miesięcy zimowych jeziora zamarzały i śnieg zasypywał lasy i łąki.

Friedrich von Kahlberg odwiedzał Berlin dwa razy w roku, aby podtrzymać kontakty z przyjaciółmi i znajomymi, odbyć rozmowę ze swoim pośrednikiem handlowym oraz bankierem, a także kupić książki, pójść do teatru i opery. Zazwyczaj jego wizyty w mieście były krótkie, tego roku jednak zatrzymał się nieco dłużej. Gdy Miranda zapytała dlaczego, odparł: „Są pewne sprawy, które wypełniają mi czas".

Na przyjęciu w willi w Grünewald przyniósł jej słodycze, owoce, orzechy.

– Karmi mnie pan jak małpkę w zoo – powiedziała żartobliwie.

– Nic podobnego. Ale zauważyłem, że pani tak woli. Że nie przepada pani za długimi obiadami i wystawnymi kolacjami.

To prawda. Lata spożywania posiłków w towarzystwie ojca nauczyły ją przełykania każdego kęsa ostrożnie i w napięciu. Łatwiej było jeść w ruchu, kiedy miała czymś zajęte myśli – w ten sposób mogła zaskoczyć sama siebie. Zarumieniła się.

– Przykro mi, że to się aż tak rzuca w oczy.

– Nie musi pani przepraszać, fräulein Denisow. – Jego głos brzmiał łagodnie, wyraz twarzy miał życzliwy. – Ja również nie lubię przepychu i blichtru. Czasami obowiązki zmuszają mnie do uczestniczenia w bankietach i tym podobnych wydarzeniach, ale wolę prostotę i szczerość. Miło mi, że się zgadzamy w takich sprawach.

W najchłodniejszej, najciemniejszej porze roku mgła spowijała lasy i pola otaczające Zimną Gwiazdkę. Płowożółte pozostałości trybuli i jeżyn na obrzeżach bieliła szadź, a przy brzegach stawów trzeszczał lód. Zmrok zapadał wcześnie, więc Miles Culbone musiał, chcąc nie chcąc, zapalać lampy gazowe i naftowe już po południu. Gdy Tom wracał o szóstej do wynajętego mieszkania, wiejskie dróżki tonęły w smolistych ciemnościach, a złoty sierp księżyca jaśniał nisko, kryształowo czysty na czarnym zimowym niebie.

Tom zamierzał spędzić Boże Narodzenie z rodziną w Cambridge, a potem wyjechać w szkockie góry. Tydzień przed świętami Zimną Gwiazdkę odwiedziła pani Fielding, kuzynka Milesa Culbone'a. Była sympatyczną, ładną, roztargnioną kobietą po pięćdziesiątce i zawsze zatrzymywała się, by porozmawiać z Tomem, choć nie potrafiła zapamiętać jego imienia.

Nazajutrz po wizycie pani Fielding Tom pracował w bibliotece, gdy weszła gospodyni, pani Bowles, by zawiadomić pana Culbone'a, że na półeczce pod lustrem w łazience znalazła ślubną obrączkę i zaręczynowy pierścionek z brylantem. Zapewne pani Fielding zdjęła biżuterię, chcąc umyć ręce, i zapomniała zabrać. Miles Culbone spojrzał znad biurka, mruknął: „Och, cóż za niedogodność", a następnie, gdy pani Bowles nalegała, zaproponował, by włożyła obrączkę i pierścionek do koperty i odesłała pani Fielding. Kiedy pani Bowles wyraziła sprzeciw, podkreślając wartość biżuterii oraz możliwą zawodność poczty w okresie świątecznym, pan Culbone uciął ze zniecierpliwieniem: „Więc chyba będzie musiała odebrać je następnym razem".

W porze lunchu Tom znalazł panią Bowles i zaofiarował się, że sam odwiezie pierścionki pani Fielding. Zamierzał, jak wyjaśnił, pojechać przed świętami do Londynu, a Esher, gdzie mieszkała pani Fielding, leży niemal po drodze. Pani Bowles wyraziła ulgę, ukroiła mu spory kawałek placka z owocami i gdy jadł, paplała o relacjach rodzinnych Culbone'ów. Pani Fielding miała trzy córki, Laurę, Nicolę i Edith – urocze dziewczynki, teraz już oczywiście są dorosłe, więc rzadziej towarzyszą matce podczas wizyt w Zimnej Gwiazdce. Szkoda, dodała z żalem pani Bowles; obecność dziewcząt w domu sprawiała jej przyjemność.

Dzień przed Wigilią Tom pojechał do Esher. Zrobiło się przenikliwie zimno, mróz krążył wśród cieni. Esher było zamożnym podmiejskim osiedlem, a bliskość Londynu oraz przyjemna, tonąca w zieleni okolica sprawiały, że przyciągało bogatych finansistów i ludzi interesu. Znajdowały się tam kluby golfowe, klub krykieta i wille otoczone trawnikami, krzewami oraz kortami tenisowymi.

Panie Fielding mieszkały przy Laurel Court, ślepej uliczce odchodzącej od Claremont Lane. Wawrzynowy żywopłot okalający frontowy ogród zasłaniał budynek. Tom zaparkował auto, przeszedł na drugą stronę uliczki i zerknął znad furtki w stronę domu, który, jak się okazało, miał dwuspadowy dach, kryty czerwoną dachówką, i podłużne okna.

Tom nacisnął dzwonek; gdy nikt się nie pojawił, zadzwonił ponownie. Wrócił na ulicę, zamierzając napisać krótki list i wrzucić go wraz z pierścionkami do skrzynki pocztowej, gdy usłyszał czyjś głos:

– Dzień dobry! Może panu w czymś pomóc?

Uniósł oczy i zobaczył przed sobą dziewczynę. Jej powierzchowność, zapierająca dech w piersi uroda sprawiła, że na chwilę oniemiał. Całą jego świadomość wypełniła twarz w kształcie serca, okolona ciemnymi puklami wyzierającymi spod ronda kapelusza. Nieoczekiwanie dla samego siebie Tom wykrztusił:

– Czy my się spotkaliśmy? Czy ja pani już gdzieś nie widziałem?

– Nie przypuszczam – odparła z uśmiechem.

– Panna Laura Fielding? – Spróbował na chybił trafił.

– Jestem panną Edie Fielding. Laura jest obecnie panią Radcliffe. Czy pan jej szuka?

– Nie, szukam pani matki. Nazywam się Tom Blacklock. Pracuję u Milesa Culbone'a.

– Biedak – zauważyła oschle.

Spostrzegł, że dziewczyna dźwiga dużą paczkę owiniętą w szary papier.

– Pomóc pani z tym? – zapytał.

– Jak to miło z pana strony. – Paczka zaciążyła mu w ramionach. – Prezenty gwiazdkowe – wyjaśniła dziewczyna, otwierając furtkę. –

Zawsze odczuwam ulgę, kiedy sklepy wreszcie się zamykają i wiem, że jeśli o czymś zapomniałam, nic już na to nie poradzę. A pan?

Panna Fielding otworzyła frontowe drzwi i weszła na werandę. Za drugimi, wewnętrznymi drzwiami znajdował się korytarz.

– Hej, hej, mamo! Wróciłam! – zawołała. Nie uzyskawszy odpowiedzi, obróciła się do Toma: – Proszę wejść, panie Blacklock. Niech pan położy paczkę tutaj. Mógłby pan zamknąć drzwi? Jest przeraźliwie zimno.

Z trudem wystarczyło miejsca na paczkę na szafce z wieszakiem w holu, obłożonej płaszczami, szalikami, rękawiczkami i parasolami. Górę wieszaka zdobiły gałązki ostrokrzewu, a drewnianą poręcz przy schodach oplatały serpentyny.

Panna Fielding zrzuciła płaszcz. Miała na sobie szarą wełnianą spódnicę i fiołkową dzierganą bluzkę. Zdjęła kapelusz i potrząsnęła lokami.

– Zapomniałam, czego pan sobie życzy, panie Blacklock.

– Nie zdążyłem wyjaśnić. Przywiozłem to pani matce. – Tom sięgnął do kieszeni i wyjął kopertę z obrączką i pierścionkiem. – Zostawiła je w Zimnej Gwiazdce.

Panna Fielding zajrzała do koperty.

– Wielkie nieba, znowu to samo! Mama gubi swoje pierścionki w najdziwniejszych miejscach. Raz zostawiła je w toalecie u Harrodsa. Chyba są zaczarowane, bo zawsze do niej wracają. To bardzo uprzejme z pana strony, panie Blacklock. Może pan tu zaczeka, a ja poszukam mamy.

Wprowadziła go do salonu. Wykuszowe okna, obramowane zasłonami w kwiaty, wychodziły na frontowy ogród. Na jednym z foteli leżała zwinięta w kłębek różowa robótka ręczna, więc Tom usiadł na drugim.

Edie wróciła po kilku minutach.

– Mama pojechała na dworzec po Laurę i Helen, więc musi pan, niestety, zadowolić się moją osobą. Napije się pan herbaty? A może sherry?

– Nie chcę pani sprawiać kłopotu.

– Sama miałam ochotę na kieliszek sherry.

– Doskonale, proszę więc o sherry.

Panna Fielding nalała trunku do kieliszków.

– Od wieków nie byłam z Zimnej Gwiazdce. Mama tam jeździ, choć nie znosi wuja Milesa.

Otworzyły się drzwi i do pokoju weszła młoda kobieta. Ciemnowłosa i urodziwa, była niewątpliwie jedną z sióstr Edie. Miała na sobie spodnie i pąsową bluzkę. Jej włosy były nieco potargane.

– Masz może aspirynę, Edie? – spytała. – Potwornie boli mnie głowa, a w łazience nic nie znalazłam. Gdzie mama? I gdzie, u licha, jest Muriel?

– Mama pojechała na dworzec. A Muriel poszła się położyć. Mówi, że brzuch ją boli.

– Muriel jest patentowanym leniem i tylko to jej dolega. A Dan się spóźnia. Jest po prostu nieodpowiedzialny. – Wyglądała na rozgniewaną. Wtem zauważyła Toma, który wstał z fotela. – Kim pan jest?

– Nazywa się Tom Blacklock – wyjaśniła Eddie. – Panie Blacklock, to moja siostra, pani Hetherington.

– Bardzo mi miło – powiedziała zdawkowym tonem.

– Pan Blacklock pracuje u wuja Milesa.

– Dobry Boże, jak to ponuro brzmi. – Z góry dobiegł płacz i na jej twarzy odmalowała się udręka. – O rety. Aspiryna, kochanie – zwróciła się do Edie.

– W mojej torebce.

– Czy byłabyś tak cudowna i pomogła niani? Ja po prostu muszę wziąć gorącą kąpiel, jestem zupełnie rozbita, a one zawsze płaczą jednocześnie.

Gdy siostra wyszła z pokoju, Edie powiedziała:

– Bliźniaczki wrzeszczą bez przerwy, biedna Nicky nie ma ani chwili spokoju. Proszę zaczekać, wracam za minutę. – I również pospieszyła na górę.

Pod nieobecność sióstr Tom przespacerował się po pokoju, oglądając rodzinne fotografie. Były wśród nich oprawione w srebrne ramki zdjęcia trzech dziewczynek w odświętnych sukienkach i z kokardami we włosach, a także nowsze portrety. Jeden przedstawiał Nicky w białej sukni i welonie, z Edie i Laurą, zapewne w roli druhen, po bokach. Było tam również wykonane zapewne

niedawno zdjęcie siedzącej na plaży Edie w letniej sukience i słomkowym kapeluszu.

Tom odwrócił się, słysząc kroki. Edie tuliła w ramionach niemowlę owinięte białą wełnianą chustą.

– To jest Cherry – powiedziała. – Prawda, że śliczna?

Wydał kilka odpowiednio pochlebnych pomruków. Powinien był patrzeć na dziecko, lecz jego oczy nieustannie powracały do twarzy dziewczyny.

Na zewnątrz zawarczał silnik samochodu. Edie podeszła do okna.

– O, widzę mamę i Laurę. – Pomachała energicznie. – I Dan wreszcie przyjechał. – Ponownie wyszła z pokoju. Tom usłyszał jej głos:

– Witaj, mamo! Całe szczęście, że wróciłaś, bo Cherry zaraz zacznie ryczeć wniebogłosy, a Nicky bierze kąpiel. Cudownie cię widzieć, Lauro, kochanie, świetnie wyglądasz. No i Helen, moja ulubienica. Jak się miewasz, skarbie?

Tom zobaczył dwa zaparkowane samochody, małego austina i nieco większego wolseleya. Tym razem czekał dłużej, podczas gdy dom rozbrzmiewał echem kroków i dziecięcego płaczu. Wreszcie do salonu weszła pani Fielding.

– Ach! – wykrzyknęła na widok Toma. – Jakże mi przyjemnie pana poznać. Ale to bardzo nieuprzejmie z naszej strony, że zostawiłyśmy pana samego. – Patrzyła na niego z pewnym zdziwieniem. – Czy jest pan znajomym Edie?

– Nazywam się Tom Blacklock. Pracuję u pana Culbone'a.

– A tak, przypominam sobie! To miło, że pan do nas wstąpił, panie Blacklock.

– Zostawiła pani w domu pana Culbone'a pierścionek i obrączkę. Pomyślałam, że je pani przywiozę.

Obdarzyła go promiennym uśmiechem.

– Ależ jestem niemądra. A pan jest taki życzliwy.

Edie pojawiła się na chwilę w drzwiach, po czym ruszyła na poszukiwanie Muriel, by kazać jej zaparzyć herbatę. Pani Fielding zwróciła się ponownie do Toma:

– Jakie są pana plany na święta, panie… bardzo przepraszam…

– Blacklock – przypomniał Tom. – Spędzam Boże Narodzenie z rodziną w Cambridge, a później jadę do Szkocji pochodzić po górach.

– Wspaniale – zauważyła z roztargnieniem. – Choć często się zastanawiam, czy nie lepiej byłoby obchodzić święta w styczniu zamiast w grudniu? Styczeń to taki niemiły miesiąc i mielibyśmy coś, co by nas podniosło na duchu. No ale czy można zmieniać datę narodzin naszego Pana?

Od odpowiedzi uratowały Toma podniesione głosy dobiegające z korytarza. Do pokoju weszli Nicky i Dan. Nicky mówiła z rozdrażnieniem:

– Jesteś niemożliwy, przecież wiesz, jakie bliźniaczki są nieznośne o tej porze – na co Dan, przystojny brunet o gniewnym wyrazie twarzy, odpowiedział dość gwałtownym tonem:

– Tłumaczyłem ci, że zabiegam o umowę z Simmondsem. Czego ode mnie oczekujesz? Żebym wyszedł w połowie spotkania z dyrektorem naczelnym?

Pani Fielding odezwała się kojąco:

– Danielu, mój drogi, wydajesz się bardzo zmęczony. Musisz usiąść i chwilę odpocząć. A oto i herbata. Muriel, może by tak pokroić świąteczny tort? Pan Hetherington zjadłby kawałek, nieprawdaż, drogi Danielu? I pan również, panie… hm…

– To bardzo uprzejme z pani strony – odparł Tom – ale…

– Spóźnimy się do Travisów – wtrąciła nadąsana Nicky. – Jedyne porządne świąteczne przyjęcie, czekałam na nie całe wieki.

– Mówiłem ci, że dojedziemy do domu na czas.

– Dzieci nie dadzą się uspokoić po podróży…

– Przecież za coś płacimy tej cholernej niańce, prawda?

– Dan! – Nicky wyglądała na zgorszoną.

– Niania i bliźniaczki muszą tu zostać na noc – oznajmiła stanowczo pani Fielding. – Odwiozę je jutro rano. Idźcie na to przyjęcie, kochani, bawcie się dobrze i niczym się nie martwcie.

Kątem oka Tom dostrzegł w przedpokoju fiołkową bluzkę. W zamieszaniu wywołanym wejściem pokojówki niosącej tacę z tortem i ciastkami udało mu się wymknąć.

– Przepraszam – szepnęła Edie. – Dzisiaj jest tu trochę jak w domu wariatów.

– Lepiej już sobie pójdę – powiedział.

– Musi pan? – Zdjęła z wieszaka jego płaszcz i szalik. Gdy mu je podawała, poczuł jej zapach, przywodzący na myśl bukowe lasy, błękitne dzwonki i wiosnę. Edie zerknęła na niego figlarnie. – Muszę powiedzieć, że nie wygląda pan na kogoś, kto by pracował u wuja Milesa.

– A jak powinien wyglądać człowiek, który pracuje u Milesa Culbone'a?

– Stary, siwy i zasuszony. To musi być okropnie nudne utknąć tak na odludziu. Jak pan to znosi?

– Chwilowo mi to odpowiada. I dom jest nadzwyczajny.

– Prawda? Zawsze za nim przepadałam. Mama ma nadzieję, że jedna z nas odziedziczy Zimną Gwiazdkę po śmierci wuja. Dlatego go odwiedza, żeby mu przypomnieć, iż jesteśmy jego najbliższymi krewnymi. – Edie wzruszyła ramionami. – Przepraszam za te szczere słowa, ale jestem zwolenniczką uczciwego postępowania, a pan? Nawiasem mówiąc, czy to pana samochód, tam, po drugiej stronie drogi?

– Tak. Chciałaby go pani obejrzeć?

– Bardzo.

Narzuciła płaszcz i wyszli z domu.

– Co za urocze autko – westchnęła, obchodząc mg dookoła.

– Potrafi pani prowadzić?

– Jeszcze nie. Mama zaproponowała, że mnie nauczy, ale sama jeździ fatalnie i obawiam się, że w końcu będę wszystko robiła źle. Dan też się zaofiarował, ale on jest zawsze bardzo zajęty, a poza tym ma paskudne usposobienie.

Tom odchrząknął.

– Jeśli pani chce, mogę panią nauczyć.

Spojrzała na niego, unosząc brwi.

– Sądzi pan, że byłby dobrym nauczycielem, panie Blacklock?

– Czemu nie miałbym być?

– Wydaje mi się to nieco trudne, zważywszy że pan mieszka w Suffolk, a ja w Surrey, ale to miło z pana strony.

Widząc, że dziewczyna obejmuje się ramionami, Tom powiedział:

– Jest zimno, powinna pani wrócić do domu.

– I wysłuchiwać kłótni Nicky i Dana? – Zmarszczyła brwi. – Czy to nie zabawne, że niektórzy ludzie, chociaż tak się kochają, jakby z rozmysłem denerwują się nawzajem?

– Obydwoje sprawiają wrażenie dość impulsywnych.

– Nicky jest niewątpliwie najbardziej porywcza z nas trzech. Jak pan myśli, czy to dobra cecha? Bohaterki filmów o miłości często takie bywają. Co jest tego przeciwieństwem? Łagodna? Uległa? – Zrobiła minę. – Jak to nudno brzmi.

– Pogodna – podsunął.

– Tak, to już lepsze. – Obejrzała się na dom. – Chyba powinnam wrócić w wir walki. Ogromnie miło było mi pana poznać, panie Blacklock, i bardzo dziękuję za odwiezienie pierścionków mamy. Zwłaszcza teraz, przed świętami, kiedy z pewnością ma pan mnóstwo zajęć.

Nie zwlekaj, Tom, pomyślał, a głośno zapytał:

– Czy lubi pani chodzić do teatru, panno Fielding?

– Bardzo lubię.

– Co się pani najbardziej podoba?

– Dramaty… komedie…

– Cóż za zbieg okoliczności, mnie również. Może postarałbym się dostać bilety na jakieś przedstawienie na West Endzie. Moglibyśmy omówić lekcje prowadzenia samochodu.

Edie się uśmiechnęła.

– O jakim terminie pan myślał?

– Nie będzie mnie do dziesiątego stycznia. Dwunasty wypada w sobotę, prawda? Może wtedy?

– Niestety, ten wieczór mam już zajęty.

– Więc następna sobota… nie, chwileczkę…

Parsknęła śmiechem.

– Ma pan pióro i kawałek papieru?

Wyjął pióro z kieszeni marynarki i znalazł w schowku w samochodzie pognieciony rachunek za benzynę. Edie zapisała na nim kilka cyfr.

– To mój numer telefonu – powiedziała. – Niech pan zadzwoni po świętach.

Maszerując śpiesznie przez Piccadilly, Kay przystanęła, by zerknąć na swoje odbicie w szybie wystawowej. Bladozielona wełniana bluza z golfem, szare spodnie, granatowy płaszcz i włóczkowy beret. Palcami poprawiła grzywkę, wyjęła z torebki szminkę i schowała ją z powrotem, mówiąc do siebie: „Przecież to tylko Tom". Dziarskim krokiem ruszyła dalej.

Dostrzegła go w kącie basenu, na stoliku stała szklanka piwa.

– Jak się miewasz, Tom?

Wstał, by ją uścisnąć.

– Bardzo dobrze. A ty?

– Zdrowa jak rybka.

– Co ci zamówić?

Poprosiła o małe gorzkie piwo. Kiedy wrócił od barowej lady, Kay uniosła szklankę.

– Za obalenie tyranów. – Gdy Tom zawtórował jej toastowi, zagadnęła: – Jak tam pan Culbone?

– Tak samo jak zawsze. A co u ciebie? Jak szkoła?

– Wciąż jest kagankiem wolności i oświecenia – odrzekła z uśmiechem.

– A ty nadal jesteś jaroszką?

– Tylko w szkole. Po powrocie do domu natychmiast przyrządzam sobie kanapkę z bekonem i pochłaniam ją w błyskawicznym tempie. A potem mam straszne wyrzuty sumienia. – Przyjrzała mu się uważnie. – Tom, czy wszystko w porządku? Wydajesz się jakiś taki… oszołomiony.

– Poznałem przepiękną dziewczynę – odpowiedział zadumanym tonem.

– Gdzie?

– W Esher.

– Bardzo elegancko. Jak się nazywa?

– Edie Fielding. Jest spokrewniona z Milesem Culbone'em.

– Ale raczej go nie przypomina, jak przypuszczam?

– Nie, nie, ani trochę. Jest absolutnie czarująca. Ciemne włosy i zupełnie niezwykłe oczy, niebieskie, ale nie takie zwyczajne, lecz fiołkowoniebieskie. Jest przemiła i łagodna, i…

Pean ciągnął się długą chwilę; przy pierwszej pauzie Kay wtrąciła:

– Wielkie nieba, Tom, nigdy nie słyszałam, żebyś wypowiadał się z tak wielkim entuzjazmem o kimkolwiek… ani o czymkolwiek, jeśli już o tym mowa.

Zamrugał, robiąc zaskoczoną minę.

– Co? Tak o mnie myślisz? Że jestem niezdecydowany i bierny?

– Nie, niezupełnie, ale… nic cię szczególnie nie porywa.

Wydawał się urażony.

– Tylko dlatego, że nie wymachuję transparentami i nie wygłaszam przemówień…

– Po prostu dotąd nie zauważyłam w tobie żadnej pasji, nic więcej.

– Rozumiem, zaszufladkowałaś mnie jako przeraźliwie nudnego pracownika naukowego. Coś w rodzaju młodszej wersji Milesa Culbone'a.

– Nie bądź niemądry, Tom.

– A zatem jako niedbałego dyletanta.

– No a nie jesteś nim? – Teraz ona zirytowała się nieco.

Wyglądał, jakby poczuł się dotknięty.

– Nawet jeśli nie chodzę i nie wywrzaskuję haseł jak ty, próbując zmienić świat, to nie znaczy, że jestem obojętny.

Nieznośny człowiek, pomyślała Kay. To była, oczywiście, jego wina – zbyt łatwo się obrażał i, jak to mężczyzna, nie potrafił przyznać, że ma jakieś wady.

– No więc, Kay, co z tobą? – zapytał.

– Jak to, co ze mną?

– W związku z tym, jak mu tam? Twoim kawalerem.

– Laurence'em? – Musiała wyznać: – Zerwaliśmy z sobą.

– Ha! – Było to irytująco tryumfalne „ha".

– Nie pasowaliśmy do siebie, po prostu – powiedziała szybko. – Był uroczy, ale zbyt nieobecny myślami. Wydawało się, że ciągle przebywa w nierzeczywistym świecie. Jego uduchowienie i łagodność stały się aż męczące. W każdym razie, porzucił szkołę i zamieszkał w kolonii artystów w Kornwalii. – Uczciwość kazała jej dodać: –

Najbardziej dopiekło mi, że to Laurence pierwszy ze mną zerwał. Zastanawiałam się nad taktownym sposobem rozstania z nim, a zanim coś wymyśliłam, poinformował mnie, że poznał kogoś innego. – Spojrzała na zegarek. – Niestety, muszę lecieć. Zebranie Peace Pledge Union[2], kolejna z moich prób zmieniania świata. – Nigdy nie potrafiła się długo gniewać na Toma, więc pocałowała go w policzek. – Nie zapomnij napisać – powiedziała i wyszła z baru.

Edie Fielding czuła, że Tom jej się podoba, już tego pierwszego popołudnia, gdy poznali się w Esher. Lubiła ten typ ciemnej urody, a jego uczynność, gdy nadłożył drogi, by odwieźć jej matce obrączkę i pierścionek, poruszyła ją. Rzadko się zdarzało, by tak szybko poczuła pociąg do jakiegoś mężczyzny. Dawniej była równie zadowolona, spędzając wieczór w kółku znajomych, jak podczas kolacji sam na sam z adoratorem. Ostatnio jednak obudził się w niej pewien niepokój. W listopadzie skończyła dwadzieścia trzy lata. Obie jej starsze siostry były już w tym wieku zaręczone, a ona nie znalazła sobie nawet stałego adoratora. Zawsze miała wielkie powodzenie, ale nagle doznała wstrząsu, uświadomiwszy sobie, że może zostać starą panną. Choć były sobie z matką bliskie, nie zamierzała mieszkać z nią do końca życia. Chciała mieć męża, dzieci, własny dom.

Poprzedni konkurenci Edie pracowali w banku, biurze albo szpitalu. Wynajmowali mieszkanie w kamienicy w Highbury albo kupowali właśnie dom w Walton-on-Thames. W weekendy grali w tenisa albo w rugby, zapraszali ją na koktajle i do nocnych klubów, przedstawiali rodzicom podczas niedzielnego lunchu. Byli troskliwi, mili, przewidywalni i odrobinę nudni.

Tom różnił się od nich. Nie lubił koktajli i nocnych klubów. Na pierwszej randce poszli na przedstawienie do Wyndham Theatre. W następny weekend odbyli pieszą wycieczkę na Box Hill w ulewnym deszczu, a Edie, która nigdy nie uważała się za dobrego piechura, odkryła, że pysznie się bawi. Na pierwszą kolację zaprosił ją do dziwacznej restauracyjki w Soho, zamiast gdzieś w Ivy albo Connaught. Jeden z kelnerów położył dłoń na sercu i, patrząc jej

w oczy, odśpiewał fragment opery, a para przy sąsiednim stoliku wszczęła gwałtowną kłótnię, w końcu zaś dziewczyna spoliczkowała swego towarzysza i wyszła. Ale jedzenie było wyborne.

W marcu najstarsza siostra Edie, Laura, obchodziła trzydzieste urodziny. Edie musiała niemal wykręcić Tomowi rękę, żeby wziął udział w uroczystości, ze względu na jego awersję do nocnych lokali. Gdy spotkali się wcześniej, by wypić drinka w Amerykańskim Barze w hotelu Savoy, poprawiła Tomowi krawat, przygładziła włosy, rozprostowała pognieciony tył marynarki, powiedziała: „Może być", i dała mu całusa.

Później poszli do Café de Paris przy Leicester Square. Iskierki światła tańczyły w kieliszkach z szampanem i brylantowych naszyjnikach, a swingująca orkiestra grała „Goody, Goody". Laura i Tony już tam byli, gdy zjawili się Edie i Tom. Edie dokonała prezentacji. Nie mogła się doczekać, by przedstawić Toma Laurze, ukochanej siostrze. Laura, która wyglądała urzekająco w zielononiebieskiej atłasowej sukni, zamieniła z nim kilka słów, po czym posłała Edie pełen aprobaty uśmiech.

Grupki znajomych Laury napływały stopniowo. Lał się szampan, wznoszono toasty, a orkiestra zagrała „For She's a Jolly Good Fellow". Laura zatańczyła z Tonym, a potem podeszła do Edie, prowadząc pod ramię wysokiego, jasnowłosego mężczyznę.

– Edie, Tom, to jest mój serdeczny przyjaciel Charles Dangerfield. Charlesie, musisz opowiedzieć Edie i Tomowi o koncertach.

Charles Dangerfield miał ascetyczny wygląd, szczupłą, pociągłą twarz i bladoniebieskie, inteligentne oczy. I nosił monokl. Tom powtórzył:

– Koncertach? – a Dangerfield zapytał, mrugając:

– Czy lubi pan muzykę klasyczną?

– Tak, oczywiście – odparł Tom.

– Wymyśliłem to parę miesięcy temu – wyjaśnił Dangerfield. – W każdą pierwszą środę miesiąca organizuję koncert w moim domu przy Portland Place. To skromna impreza, najwyżej na czterdzieści osób, ale staramy się zadbać o dobry repertuar. Głównie muzykę kameralną, z uwagi na ograniczoną przestrzeń. Czy słyszał pan o Belgrave Quartet? Grali u nas w zeszłym tygodniu. Nowy, bardzo

utalentowany kwartet. Pierwszy skrzypek jest moim bliskim znajomym.

– Wspaniały pomysł – zauważyła Edie.

– Naprawdę sama przyjemność, warto przyjść. Wpół do dziewiątej wieczorem. Podajemy lekką kolację.

– Bardzo chętnie.

– A pan, panie Blacklock?

– Niestety, nie mogę – odparł Tom.

– Tom pracuje w Suffolk, na głębokiej prowincji – wyjaśniła Edie.

– Doprawdy? Wielka szkoda.

Bawili się w klubie do późnej nocy, a potem podążyli *en masse* do domu Laury przy Russell Square. Edie przypudrowała nos i zajrzała ukradkiem do pokoju dziecinnego. Helen spała smacznie, przytulona do ulubionej lalki. Edie zerknęła do kołyski z najmłodszą siostrzenicą, dwumiesięczną Grace. Słodkie maleństwo o delikatnych, doskonałych rysach i złocistym puszku na główce wsunęło kciuk do buzi i ssało mocno. Po chwili do pokoju weszła Laura.

– Wszystko dobrze – szepnęła Edie. – Ona jest absolutnie cudowna, Lo.

– Rozkoszna, prawda? Choć obawiam się, że będzie miała zęby jak królik, jeśli nie przestanie ssać palca. – Laura ujęła siostrę pod rękę. – Muszę zobaczyć, jak tam moja twarz, i zapalić papieroska. Chodź, pogadamy chwilę.

Weszły do pokoju Laury, która usiadła przed toaletką, wpatrując się ze zmarszczonymi brwiami w swoje odbicie. Zapaliła dwa papierosy i podała jednego Edie.

– Jeśli jesteś bardzo głodna, skarbie, tam w puszce są herbatniki. Jak się miewa mama?

– Bardzo dobrze. Robi na drutach sukieneczkę dla Grace. Z różowymi serduszkami przy szyi, na pewno ci się spodoba.

– To bardzo miło z jej strony – powiedziała Laura.

– No i co? – zagadnęła po chwili Edie, patrząc na Laurę niecierpliwie. – Co myślisz?

– O twoim Tomie? – uśmiechnęła się Laura. – Jest boski. Mroczny i zamyślony, lecz nie zasępiony, rozumiesz, o co mi chodzi.

– Ależ oczywiście.

– Zakochałaś się w nim do szaleństwa, Edie?

Edie nie odpowiedziała. Laura, która pudrowała twarz puszkiem z łabędziego puchu, obejrzała się na siostrę.

– Och. Zakochałaś się, tak?

– To możliwe.

– Jak długo się spotykacie?

– Od trzech miesięcy. – Edie rozłamała herbatnika na pół.

– Dobrze tańczy – zauważyła Laura.

– Prawda? Taką miałam nadzieję, ale nigdy nie odgadniesz z samej powierzchowności. – Edie zjadła pół herbatnika, zrzuciła buty i położyła się na łóżku siostry, podpierając ręką głowę. – Nie mogłabym poślubić mężczyzny, który nie potrafi tańczyć.

Laura, która właśnie odkręciła pomadkę do ust, odwróciła się na krześle.

– A więc to poważna sprawa?

– Och, nie – odrzekła Edie z zakłopotaniem. – Tom o niczym takim nie wspominał… mówiłam tylko, że… no bo nie widziałyśmy się tak długo… – Zebrała myśli i wyjaśniła: – Ułożyłam listę.

– Listę?

– Listę cech przyszłego małżonka. Ważne są umiejętności taneczne, podobnie jak łagodne usposobienie. Znajomość obcego języka pożądana, lecz niekonieczna. Co nie znaczy – dodała pospiesznie, widząc minę Laury – że odfajkowuję każdy punkt w notesie.

– Dzięki za to niebiosom.

– Staram się tylko być rozsądna – podjęła Edie obronnym tonem.

Laura powróciła do nakładania pomadki.

– I jak wysokie miejsce zajmuje Tom na twojej liście?

– Dość wysokie. Dobrze tańczy, zna dwa języki, umie prowadzić auto i ma dobre maniery. Jest trochę nieporządny, ale zawsze wygląda przyzwoicie. Uważam, że to bardzo istotne.

– Ideał. Powinnam była sama go złowić.

– Ale – podjęła Edie z westchnieniem – nie ma stałej posady, pracuje tylko u wuja Milesa.

– Może nie potrzebuje posady, bo ma własne dochody.

– Nie sądzę. O niczym takim nie wspominał. – Edie bawiła się bransoletką. – A ja nie chcę klepać biedy do końca życia.

Laura zacisnęła usta i poruszyła nimi, by równo rozprowadzić szminkę.

– Pieniądze są niesłychanie przydatne. Bardzo ułatwiają życie. Bieda jest taka ponura i nudna.

– Więc nie sądzisz – zaczęła niepewnie Edie – że miłość potrafi wszystko przezwyciężyć?

– O, na pewno – odparła Laura z wahaniem. – Opowiedz mi o rodzinie Toma. Jacy oni są?

– Nie wiem. Nie poznałam ich.

Laura zwinęła gęste, lśniące, kasztanowate włosy w węzełek nad karkiem.

– Nie rób takiej ponurej miny, kochanie. To nie ma żadnego znaczenia. Sama wspomniałaś, że spotykacie się od niedawna. Zanim ja poznałam rodziców Tony'ego, minęły wieki.

– Tak, ale oni mieszkali w Singapurze.

– A twój Tom zakopał się w Suffolk u koszmarnego wuja Milesa.

– I czasami w weekendy wyjeżdża, żeby pochodzić po górach – westchnęła Edie.

– Edie, najdroższa, mężczyzna musi mieć swoje hobby – zauważyła łagodnie Laura. – Wiesz, jak Tony przepada za tym swoim nieszczęsnym wędkowaniem.

Edie usiadła, podwijając nogi.

– Tomowi nie przeszkadza samotność, Lauro. Czy to u wuja Milesa, czy na szczycie jakiejś lodowatej góry, nie ma nic przeciw byciu samemu. Nie mówił mi tego, sama odgadłam. Problem w tym, że mnie by to dokuczało. Nie znoszę samotności, nigdy nie mogłam jej znieść, jestem wtedy nieszczęśliwa.

Laura ucałowała siostrę.

– Mężczyźni są zupełnie inni niż my, kochanie. To, że Tom czasami woli być sam, nie oznacza, że cię nie adoruje. No, a teraz przypudruj nos i wracamy do reszty towarzystwa.

Edie miała tego dnia nocować u Laury. O trzeciej nad ranem pożegnali się z Tomem w holu.

– Dobrze się bawiłeś, prawda? – zapytała.

– Wyśmienicie.

Otoczył ją ramionami; podobało jej się, że czubek jej głowy dotyka jego podbródka. – Polubiłeś Laurę, prawda? – szepnęła.

– Bardzo.

– Czyż nie jest piękna?

– Nie tak jak ty.

– Miło mi, że to mówisz – Edie lekko zarzuciła haczyk – ale zawsze uważałam, że jest najładniejsza z nas trzech.

– Nie. Ty jesteś znacznie ładniejsza.

– Oddałabym wszystko, żeby mieć takie włosy jak Laura.

– Wolę twoje loki. – Ucałował jeden z nich. – A twoja twarz ma więcej wyrazu.

– Laura nigdy się nie uśmiecha, z obawy przed zmarszczkami.

– Laura nie ma dołeczków w policzkach. Kocham twoje dołeczki. – Ucałował obydwa starannie.

– Pan Dangerfield to miły człowiek, prawda?

– Na mnie zrobił wrażenie nadętego nudziarza.

– Och, Tom.

– Zachowywał się protekcjonalnie. I ten jego pretensjonalny monokl.

– Och, doprawdy, Tom. Był przeuroczy.

Nie mogła się jednak na serio pogniewać, bo gładził jej plecy i muskał ramię w sposób, który budził w niej dreszcze wędrujące w górę kręgosłupa. Potem zaczęli się całować, dopóki Tony, który potrafił zachować się dość prostacko, nie wyszedł z salonu, wykrzykując na ich widok: „Oho, Lauro, przynieś wiaderko zimnej wody, bo korytarz zaraz się zapali!” – i odsunęli się od siebie.

Nadejście wiosny przyniosło odrodzenie. Gałązki drzew wypuszczały liście, a w ogródku za wynajętą willą żonkile i narcyzy wystawiały białe i żółte główki. Miranda przybrała nieco na wadze i nabrała trochę apetytu. Łagodniejsze, cieplejsze powietrze wywabiało ją z domu. Spacery do sklepów z madame Cloutier nie męczyły jej tak jak dawniej. Chodziła wydłużonym, szybkim krokiem, częściowo po to, by sprawdzić i wzmocnić swoją formę, a częściowo,

by dokuczyć przyzwoitce, która sapiąc, usiłowała nadążyć za podopieczną i spiesznie przebierała nogami w czarnych pończochach, gdy wszystko w niej buntowało się przeciw takiemu tempu.

Mimo to Miranda, choć odzyskiwała siły, wiedziała, że wszystkie jej problemy pozostały gdzieś wewnątrz nierozwiązane. To był tylko przejściowy spokój, czas na zaczerpnięcie tchu. Przez ostatnie pół roku jej stosunek do ojca uległ zmianie. Zawsze miała się przed nim na baczności, lecz do niedawna starała się być taką córką, jaką – w jej pojęciu – pragnął mieć: ładną, beztroską, zabawną ozdóbką. Ostatnio jednak ta chęć przypodobania mu się znikła. Ojciec sam ją zgasił, uznała, gdy odprawił Kay i uniemożliwił Mirandzie wszelkie spotkania z Olivierem.

Kilka lat wcześniej na plaży, na południu Francji, widziała dziewczynkę – ośmio- lub może dziewięcioletnią – która upadła i rozcięła sobie kolano o ostry kamień. Tata podniósł ją, pocieszył i owinął skaleczenie swoją chusteczką do nosa. Patrząc na nich, Miranda w pierwszej chwili czuła napięcie, spodziewając się, że ojciec skrzyczy córkę za płacz albo za nieostrożność. Potem przyszło zdumienie, że on nie jest na nią zły, tylko tak ją czule pociesza. A dalej – gorzka zazdrość. Jak by to było mieć ojca, którego nie musiałaby się bać? Jak by to było, czuć się bezpieczną w jego objęciach?

Wiedziała, że ojciec nie wybaczył jej odmowy poślubienia herr Reimanna. Przeciwstawiła mu się i nie mógł tego znieść. Nie miała wątpliwości, że pojawią się inni mężczyźni, inni wybrani przez niego kandydaci, w towarzystwie których będzie zmuszona przebywać, a jej szczęście czy potrzeby dla nikogo tak naprawdę nie są ważne. Jak długo jeszcze zdoła znieść wymagania ojca? Które z nich zwycięży w kolejnej próbie sił?

Nad rodziną wciąż wisiał kryzys. Telegramy przychodziły o każdej porze dnia i nocy, a dom w Paryżu został wystawiony na sprzedaż. W ostatnich dniach goście zapraszani na kolacje przez Konstantina Denisowa byli smukli, krzykliwie ubrani, mówili z nie najlepszym akcentem i raczej nie widziano by ich dobrze w salonach i restauracjach, w których ojciec bywał dawniej. Śledziły ją ich śmiałe, pożądliwe spojrzenia, a twarze przywodziły na myśl wilki.

Przerażał ją zwłaszcza jeden: milczący, ciemnowłosy mężczyzna, który nigdy się nie uśmiechał i raz złapał ćmę trzepoczącą przy lampie, po czym zdusił ją w palcach tak, że skrzydełka zmieniły się w pył.

Hrabia von Kahlberg zawitał do Berlina i odwiedził Denisowów, by zaprosić Mirandę z frau Cloutier na niedzielny piknik nad Wannsee. Dzieci chlapały się na brzegu jeziora, a kilku śmiałków wypłynęło na głęboką wodę. Rozłożono koce na trawie, babcie drzemały na leżakach otulone w sweterki i płaszcze, z nogami w grubych, czarnych, wełnianych pończochach.

Miranda poszła nieco dalej wzdłuż brzegu jeziora. Zsunęła pantofelki i pończochy i zanurzyła stopy w wodzie.

– Jest zimna? – zawołał Friedrich.

– Jak lód. – Przeszła kilka kroków dalej i parsknęła śmiechem. – Aż dech zapiera. Ale to wspaniałe uczucie.

– Przypomina mi pani kogoś – powiedział. – Pewną osobę, którą kiedyś znałem.

– Kogo? – Wróciła na brzeg jeziora.

– Miała na imię Elisabeth. Ale dla mnie od zawsze była Elli.

– Gdzie pan ją poznał?

– Przypuszczam, że w kołysce. – Uśmiechnął się. – Posiadłość rodziców Elli graniczyła z Sommerfeld. Moja matka przyjaźniła się z jej matką. Elli była młodsza ode mnie o dwa lata. W dzieciństwie przez cały czas bawiliśmy się razem.

Miranda usiadła na trawie i poklepała miejsce tuż obok.

– Proszę usiąść przy mnie, hrabio. Widzę, że madame Cloutier patrzy na mnie groźnie, ale niech sobie patrzy. Proszę mi opowiedzieć o Elli.

Usiadł obok Mirandy.

– Była taka ożywiona, pełna werwy. Tak jak pani nie lubiła, gdy się jej mówiło, co ma robić. Guwernantka beształa ją i zmuszała do odrabiania lekcji, lecz Elli zawsze znajdowała drogę ucieczki.

– A co lubiła robić?

– Pływać, tańczyć, ścigać się na łyżwach, grać w różne gry. – Jego twarz pociemniała. – I jeździć konno. Robiliśmy wszystko razem, Elli i ja. Nasze mamy były zachwycone, że tak się przyjaźnimy.

Zaplanowały, że kiedyś się pobierzemy. Obydwoje byliśmy jedynakami, nasze posiadłości graniczyły z sobą i wydawało się to idealnym rozwiązaniem.

– Co się stało? Oddaliliście się od siebie?

– Nie, co to, to nie. Wysłano mnie do szkoły w Poczdamie, ale nadal widywaliśmy się podczas wakacji. Po ukończeniu szkoły zwiedzałem Europę w towarzystwie mojego wychowawcy, a potem poszedłem prosto na uniwersytet w Heidelbergu. Więc, dodając jedno do drugiego, nie widzieliśmy się z Elli przez dwa lata. Po pierwszym roku studiów na letnie wakacje pojechałem do domu.

– Czy zastał pan tam jeszcze Elli?

– Gdy tylko ją ujrzałem, dostrzegłem, że się zmieniła. Nie była już małą dziewczynką w fartuszku i z warkoczykami. Wyrosła na piękną młodą kobietę. Kochałem ją już wcześniej, ale teraz było to inne uczucie. Uwielbiałem ją, pragnąłem ją poślubić, a ona jakimś cudem czuła to samo. Zaręczyliśmy się, nasze matki były wniebowzięte i wydano bal dla uczczenia naszych zaręczyn. Zamierzaliśmy się pobrać, gdy tylko skończę studia.

Tłum zaczynał rzednąć; część piknikowiczów pakowała manatki i zgarniała zmęczone dzieciaki. Friedrich zagadnął:

– Czy miałaby pani coś przeciw przechadzce, fräulein Denisow?

Ruszyli wzdłuż wybrzeża. Miranda niosła w ręku pończochy i pantofelki. Łódź przepłynęła obok z pluskiem wioseł; siedzące w niej młode kobiety piszczały z uciechy. Dalej na jeziorze blask słońca odbijał się od trójkątnych, białych żagli jachtów.

Gdy tak szli, Friedrich podjął swoją opowieść.

– Pół roku po naszych zaręczynach dotarła do mnie straszna wiadomość: Elli zginęła w wypadku. Jej koń źle wziął przeszkodę i spadła. Złamała sobie kark. Zginęła na miejscu.

– Och nie, to okropne! – Odwróciła się do niego. – I jakie straszne dla pana.

– Pojechałem na pogrzeb, a potem wróciłem do Heidelbergu. Cóż miałem robić? Kontynuowałem studia. Spotykałem się z przyjaciółmi. Ale w środku byłem martwy. Tak, tylko w ten sposób mogę to określić. Elli miała zaledwie dziewiętnaście lat, jej śmierć wydawała

się zupełnie pozbawiona sensu. Jakby wyszydzała wszystko, w co wierzyłem.

– Jak pan to zniósł?

– Robiłem to, co musiałem. Po odbyciu służby wojskowej wróciłem do domu i przejąłem większość obowiązków, które dźwigała moja matka. Zobowiązania wobec Sommerfeld i mojego kraju pomogły mi zmierzyć się z tym, co się stało. Inaczej zapewne umarłbym z żalu. A w ten sposób udało mi się przetrwać żałobę. Zacząłem znowu słuchać muzyki. Mogłem czytać poezję. Zacząłem odżywać, po trochu. Nasze zdolności regeneracyjne są niezwykłe, prawda? Skaleczony palec… złamane serce…

Skaleczenia pozostawiają blizny, pomyślała Miranda. A na złamanym sercu też zostaje blizna. Ujęła Friedricha pod ramię i szli dalej brzegiem jeziora. Tafla wody rozpościerała się przed nimi, przepyszne wille stały po drugiej stronie, a jachty i wycieczkowe parowce przecinały fale.

– To było dawno temu – powiedział. – Teraz trudno mi odtworzyć wyraźnie w pamięci jej twarz. Ale pani, fräulein Denisow… jest w pani coś, co mi ją przypomina.

Miranda odsunęła się od niego, podeszła po piasku do wody i przykucnąwszy, położyła dłoń lekko na powierzchni.

– Co pani robi? – zapytał.

– Widzi pan te małe rybki? Gdy byłam dzieckiem, pojechałam z mamą w odwiedziny do mojej babci do Anglii. Przez jej ogród przepływał strumyk. Potrafiłam godzinami leżeć na brzuchu i przyglądać się rybkom. Pragnęłam stać się cząstką ich świata, wydawał się taki spokojny, zielony i piękny. Kładłam dłoń na wodzie, o tak, zamykałam oczy i wyobrażałam sobie, że płynę między trzcinami jak te rybki. Myślałam, że kamyki i muszle są rybimi domkami, a wodne rośliny to ich las. – Uśmiechnęła się lekko. – Była to jedyna moja podróż z mamą. W pociągu z Londynu przypominała mi, jak powinnam się zachowywać. Powiedziała, że muszę przez cały czas mówić tylko po angielsku i nie wolno mi dygać przed babcią, ponieważ zostałoby to uznane za pretensjonalne. W dzieciństwie bez przerwy bujałam w obłokach, wciąż wyobrażałam sobie, że jestem księżniczką albo wróżką, a moja mama zapewne pragnęła, żebym się

zachowywała jak miła, skromna angielska dziewczynka. Usłyszałam też inne rzeczy, na przykład, że są tematy, których nie wolno mi poruszać. Nie wolno mówić babci o napadach gniewu papy ani o pewnych nieprawidłowościach w naszym domu. Oczywiście wtedy nie rozumiałam znaczenia słowa „nieprawidłowości". Teraz już rozumiem. – Spojrzała w dół na śmigające w wodzie małe rybki. Później dodała cicho: – Wcale nie jestem podobna do pańskiej Elli, hrabio von Kahlberg. Z pewnością była dobra, miła i niewinna. A ja wcale taka nie jestem.

Chmura przesłoniła słońce i na chwilę tafla jeziora przestała migotać. Miranda wstała.

– Może wrócimy? Bo inaczej madame Cloutier dostanie ataku histerii.

Ruszyli z powrotem po piaszczystym brzegu. Miranda nieoczekiwanie parsknęła śmiechem.

– Choć obiecałam mamie, że będę grzeczną, cichą dziewczynką, nie przypuszczam, by mi się to udało. Pamiętam, jak tańczyłam tarantelę w pokoju z różowym dywanem, a jakiś starszy pan z wąsami podkręconymi do góry klaskał w dłonie. Zawsze lubiłam się popisywać. I obawiam się, że babcia mnie nie polubiła, bo nigdy więcej jej nie zobaczyłam.

Kilka dni później wybrali się na konną przejażdżkę do Tiergarten w samym sercu Berlina. Szerokie, proste aleje przecinały lesisty teren, a kręta rzeczka rozszerzała się tu i ówdzie w staw lub jezioro. Friedrich jechał przed Mirandą trawiastą dróżką, odchodzącą od głównej alei i zwężającą się dalej w leśnej gęstwinie. Szara mgła zasnuwała kotliny, bażant wzbił się w powietrze z gwałtownym trzepotem skrzydeł.

– Jest pan dzisiaj wyjątkowo małomówny, hrabio – zauważyła Miranda.

– Naprawdę? – Friedrich odwrócił się do niej. – A zatem muszę panią przeprosić, fräulein Denisow, że jestem takim nudnym towarzyszem.

– Nie ma za co. Czy coś pana zmartwiło?

Dróżka zrobiła się szersza i jechali teraz obok siebie. Odpowiedział:

– Dostałem rano list od mojej matki. Wyniknęły pewne kłopoty w naszym majątku. Nic poważnego, lecz uświadomiłem sobie, że już zbyt długo przebywam w Berlinie.

– Musi pan wracać do domu?

– Pod koniec tygodnia, tak.

– Ja także wyjeżdżam. Ojciec zapowiedział, że za kilka dni musimy wyruszyć do Paryża.

– Kiedy spodziewa się pani powrotu do Niemiec, fräulein Miranda?

– Nie wiem. Nigdy tego nie wiem. Może za kilka tygodni, a może za rok.

– Czy odpowiada pani takie koczownicze życie? Chciałaby pani zawsze żyć w ten sposób?

– Kiedyś tak myślałam.

– A teraz?

– Teraz już nie jestem pewna.

Obserwowała życie innych ludzi. Zobaczyła, jak mieszkają, zapewne od lat, i że otacza ich krąg bliskich znajomych. Zastanawiała się, jak by to było, mieć jakieś stałe miejsce zamieszkania, dom, ulicę, miasteczko, wieś. Mieć jakieś miejsce – albo mieć kogoś.

– Muszę pani szczerze wyznać, fräulein Denisow – podjął Friedrich – że nie tylko list od matki przysporzył mi dzisiaj troski. Wczorajszego wieczoru wdałem się w niemądrą sprzeczkę. Dawny znajomy z uniwersytetu zaprosił mnie do siebie na obiad. Było nas tam kilku, większość studiowała razem w Heidelbergu, choć byli też inni, z którymi Bruno, mój kolega, zaprzyjaźnił się na zebraniach partyjnych. Mówię, naturalnie, o partii nazistowskiej, bo to jedyna frakcja polityczna tolerowana obecnie w Berlinie. Świadomość polityczna Bruna w ostatnich latach znacznie się zradykalizowała. Ale jeszcze na studiach należał do zapaleńców. W każdym razie, wypiliśmy sporo wina, jak to zwykle bywa przy takich okazjach, i rozmowa zeszła na zagadnienia wojskowe i obronę naszych granic. A potem, czego nie dało się uniknąć, na traktat wersalski i to, co się stało z naszym krajem.

Miranda miała zapewne dość zdezorientowaną minę, bo wyjaśnił:

– Mówię o traktacie z roku tysiąc dziewięćset dziewiętnastego, który po wojnie podzielił sporne terytoria.

– Ach, rozumiem.

– Prusy rozcięto na pół korytarzem, dającym Polsce dostęp do Morza Bałtyckiego. Prusy Wschodnie, gdzie mieszkam, są teraz jak wyspa oddzielona od reszty Niemiec. Uważamy się za osobną prowincję. Gdy podróżujemy do Berlina, mówimy, że jedziemy do Rzeszy.

– Czy to pana martwi, hrabio?

– W latach powojennych podróżowanie polskim korytarzem nie należało do przyjemności. Trzeba było spuścić rolety w wagonie i jechać po ciemku. Niemcy zawsze się bali, że zostaną oskarżeni o łamanie jakichś przepisów. – Friedrich westchnął. – Traktat odebrał nam dawne ziemie. Kiedyś byłem o to zły, jak wielu innych. Doszedłem jednak do wniosku, że warto zapłacić taką cenę za pokój. I tak powiedziałem wczoraj wieczorem. Ale jeden z gości, nowy znajomy Bruna, uważał, że zwrot utraconych terenów to sprawa honoru. – Twarz Friedricha spochmurniała. – Oskarżył mnie, że chcę za wszelką cenę uniknąć wojny. Powiedział nawet, że „za cenę dumy i honoru". Honoru! Co taki ktoś wie o honorze? Chełpliwy zarozumialec, który uwielbia wsłuchiwać się w brzmienie własnego głosu. Widziałem wyraźnie, że chodzi mu wyłącznie o prestiż i stanowisko w Berlinie. – Friedrich przyłożył dłoń do serca. – Prawdziwy szacunek dla rodziny i kraju czuje się tutaj. I ponad wszystko chce się je chronić, osłaniać.

– Mówi pan o tym z wielką pasją, hrabio.

– Obawiam się, że wpadłem w gniew. Teraz tego żałuję. Nie należy pozwalać sobie na wpadanie w gniew przez takich ludzi.

– Chyba nie ma nic złego w pasji, prawda?

– Pasja odbiera rozum. A ponadto – westchnął ponownie – on mimo wszystko miał słuszność. Pokojowe rozwiązania nie przyniosły nam żadnych korzyści.

Usłyszeli czyjeś głosy; ścieżką nadchodziła jakaś para, kobieta trzymała psa na smyczy. Gdy znowu zostali sami, Friedrich przemówił:

– Jestem w tym wieku, fräulein Miranda, że pamiętam wojnę. W roku tysiąc dziewięćset czternastym rosyjskie wojska wkroczyły do Prus Wschodnich. Pamiętam tłum ludzi uciekających przed armią carską, wypędzonych ze swoich gospodarstw, którzy jechali wozami załadowanymi dobytkiem. Sommerfeld cudem ocalało. Wojna niesie zniszczenie i chaos. A najsłabsi, kobiety, dzieci, ludzie starzy i niedołężni, cierpią wtedy najbardziej. Jednostki czasami bogacą się na wojnie, ale reszta społeczeństwa raczej nie. Zdarza się, oczywiście, że wojna jest nieunikniona. Ja jednak nie skazywałbym rodziny na to, by ponownie przeżywała takie czasy.

Dojechali do niewielkiej polany, upstrzonej króliczymi norami, i zatrzymali się, by nieco odetchnąć. Powietrze wydawało się chłodne, lecz Miranda wiedziała, że słońce niebawem rozproszy mgłę i świetliste groty przebiją się przez liście.

Gdy zsiedli z koni, usłyszała pytanie Friedricha:

– Czy mogę napisać do pani, fräulein Miranda, gdy pani wyjedzie?

– Ależ oczywiście, jeśli madame Cloutier pozwoli.

– Dziękuję. Pomówię z nią dzisiaj. I obiecuję, że nie będę pisał o nudnych sprawach, takich jak polityka.

Uśmiechnęła się do niego.

– Proszę pisać, o czym pan tylko zechce, hrabio. Uwielbiam dostawać listy.

Zmarszczył brwi.

– Rano, zanim do pani przyszedłem, myślałem o naszej rozmowie w Wannsee.

– O Elli?

– Tak, i o pani, fräulein Denisow. Przypomniałem sobie, co pani wtedy powiedziała. Osądza się pani zbyt surowo. Pani naprawdę jest dobra. Pani jest miła.

– Nie mogę się z panem zgodzić – odparła lekkim tonem. – Mam wiele wad. Jak już panu wspomniałam, lubię się popisywać i ojciec często mnie beszta, że za dużo wydaję na stroje.

Wyraz jego twarzy był pełen powagi.

– Wiem… proszę mi wybaczyć… że gdy się poznaliśmy, była pani bardzo nieszczęśliwa.

Miranda odwróciła oczy. Na czubku drzewa śpiewał kos.

– Byłam bardzo samotna – odparła cicho. – Pragnęłam machnąć czarodziejską różdżką i stać się kimś innym, przebywać w innym miejscu. Ale coś takiego zdarza się tylko w bajkach.

– Nie, to nieprawda. – Ujął jej dłonie i mocno ścisnął. – Kiedy jestem z panią, staję się kimś innym. Przy pani ożyłem na nowo. Mogę zacząć na nowo. Mogę wykorzystać drugą szansę. Proszę mi uwierzyć, teraz już to wiem. Jeśli zechce pani dzielić ze mną życie, fräulein Denisow, może pani zapomnieć o swoich nieszczęściach, o wszystkim, co pani przecierpiała.

Usłyszała, jak sama gwałtownie nabiera tchu, gdy Friedrich z zamkniętymi oczami przycisnął jej ręce do ust.

– Wyjdź za mnie, Mirando – powiedział. – Zapewnię ci przywiązanie i opiekę. Zapewnię ci dom i schronienie. Dam ci wszystko, co zechcesz. Zostań moją żoną.

2 Najstarsza świecka organizacja pacyfistyczna w Wielkiej Brytanii, zał. w 1934 roku.

Rozdział 5

Tom i Edie przyjechali do domu Blacklocków w Cambridge akurat na niedzielny lunch. Tom przedstawił Edie matce krzątającej się w kuchni i ojcu, który pracował w gabinecie. Minnie, siostra Toma, miała akurat wolny weekend, szkoliła się na pielęgniarkę w szpitalu Addenbrooke. Teraz siedziała w pokoju na tyłach domu, z widokiem na ogród, i czytała powieść.

Tom zapoznał Edie z Minnie.

– Cudownie, że mogę cię wreszcie poznać – powiedziała Minnie. – Tom od tak dawna opowiada o tobie.

– I o tobie, Minnie, też mi dużo opowiadał – zrewanżowała się Edie.

– Na pewno nie wszystko – odparła Minnie. – Chyba ci nie powiedział, że gdy byliśmy mali, pochował w ogrodzie moją ulubioną lalkę.

– Nie, o tym mi nie wspomniał. – Edie obejrzała się na Toma, który rzucał piłkę staremu labradorowi. – To było bardzo niegrzeczne, Tom.

– I założę się, że ci nie powiedział, iż pewnego razu tak się upił, że zgubił klucz od frontowych drzwi i przespał całą noc w szopie w ogrodzie.

– Cicho bądź, Minnie – wtrącił Tom.

– Padał śnieg, a on do rana tak zmarzł, że mama musiała posadzić go przed kuchennym piecykiem i obłożyć butelkami z gorącą wodą.

Tom rzucił w siostrę piłką. Minnie złapała ją szybkim ruchem i wystawiła język.

– A jak ci się podoba praca pielęgniarki? – zapytała Edie.

– Bardzo. W przyszłym tygodniu mam dyżur na męskim oddziale chirurgicznym, słyszałam, że to wielka uciecha. A ty, Edie, czym się

zajmujesz?

– No cóż, pomagam mamie w domu…

– Chodziło mi o twoją pracę.

– Nie mam pracy.

Mama Toma weszła do pokoju.

– Obiad będzie gotowy za dziesięć minut – oznajmiła. – Może czegoś się napijemy? Zostało trochę sherry, Tom?

Tom otworzył kredens i zajrzał do środka.

– Tarniówka… jakaś butelka bez nalepki… wermut… nie ma sherry.

– No więc wermut. Napijesz się wermutu, Edith?

– Tak, dziękuję, pani Blacklock.

– Właściwie to jestem doktor Blacklock, ale mów mi po imieniu, Angela. Podaj kieliszki, Tom.

– Sprawdzę, czy zostały nam jakieś wiśnie – oznajmiła Minnie i pędem wypadła z pokoju.

– I zawołaj ojca, proszę cię.

– Tata! Tata! Pora lunchu! – wrzasnęła Minnie już z dołu schodów.

Wróciła na górę z wiśniami, kandyzowanymi, nie koktajlowymi, co było dość dziwaczne, jak natychmiast zauważyła Edie. Gdy wypili wermut, przeszli do jadalni. Profesor Blacklock pokroił pieczeń, a doktor Blacklock podała jarzyny.

– Czy cię zwolniono, Edie? – Minnie podjęła przerwany wątek.

– Zwolniono? – Edie była zaskoczona.

– Z pracy. Zastanawiałam się, czy to dlatego nigdzie nie pracujesz.

– Straciłaś pracę, Edith? – Matka Toma miała współczującą minę.

– Nigdy jej nie miałam – odparła Edie.

– Nigdy? – Na twarzy Minnie odmalowało się niedowierzanie.

– Jest przecież ten sklep, Edie – przypomniał Tom.

– To tylko taki mały dobroczynny sklepik w Esher – sprostowała Edie, rumieniąc się z zakłopotania. – Pracuję tam raz w tygodniu, po południu.

Minnie wpatrywała się w nią szeroko otwartymi oczami.

– Ale jeśli nie pracujesz, to co robisz przez cały dzień?

– Latem gram w tenisa, a poza tym należę do kółka dramatycznego… jestem w nim sekretarką.

– I nie nudzi ci się?

– Nie, wcale.

– Mogłabym cię skontaktować z jakąś organizacją społeczną – zaproponowała doktor Blacklock.

– Dziękuję, to bardzo miło z twojej strony, ale ja naprawdę mam mnóstwo zajęć – odparła stanowczo Edie, która odzyskała pewność siebie. – Często pomagam moim siostrom przy dzieciach.

– Edie ma cztery siostrzenice – wyjaśnił Tom.

Edie zaczęła tłumaczyć z entuzjazmem:

– Helen ma cztery lata, a jej siostrzyczka, Grace, pół roku. Jest przeurocza. To córeczki mojej najstarszej siostry, Laury. Bliźniaczki Nicky, Cherry i Dawn, skończyły dopiero roczek, a Nicky znowu spodziewa się dziecka. Mają nadzieję, ona i Dan, że tym razem będzie chłopiec.

Edie oczekiwała gruchania i próśb o pokazanie fotografii, lecz Minnie zrobiła tylko znudzoną minę, a doktor Blacklock zapytała:

– Czy twoje siostry stosują odpowiednie środki antykoncepcyjne? Mam nadzieję, że tak. Ciało kobiety potrzebuje czasu, by się zregenerować po trudach porodu. Jeszcze groszku, Edith?

– Nie, dziękuję, Angelo… – odparła Edie, teraz już całkiem czerwona. – Jestem pewna, że… one chyba nigdy… – i umilkła.

– Uważam, że nikt nie powinien mieć więcej niż dwoje dzieci – oznajmiła Minnie.

– Ja jestem trzecim dzieckiem – powiedziała Edie, zebrawszy się nieco w sobie – więc trudno mi się z tym zgodzić.

– Czytałaś Thomasa Malthusa?

– Niestety, nie.

– Powinnaś go poczytać. Uważam, że ma absolutną słuszność. Jeśli liczba ludności nadal będzie rosnąć, nie wystarczy dla wszystkich żywności.

Ojciec Toma odezwał się teraz po raz pierwszy:

– Populacje dążą do równowagi, a sprzyjają temu wojny, choroby i głód.

– To jednak niezbyt dobre sposoby, nie sądzisz, drogi tato? – spytała wyniośle Minnie. – Z pewnością w dzisiejszych czasach potrafimy sobie lepiej poradzić. Chcesz pożyczyć Malthusa, Edie? Bardzo ciekawa lektura.

– Może doktor Stopes byłaby lepsza na początek – zasugerowała doktor Blacklock. – Na pewno mam tu gdzieś jej książkę „Miłość małżeńska”. Przypuszczam, że lubisz czytać, Edith?

– Tak, bardzo. – Edie poczuła, że stoi na znacznie pewniejszym gruncie. – Właśnie skończyłam „Gwiazdy patrzą na nas”[3].

– Ach, to – powiedziała Minnie pogardliwym tonem. – Czy ta książka nie wydała ci się okropnie melodramatyczna?

– Bardzo mi się podobała. Nie mogłam się od niej oderwać.

– Być może – wtrącił Tom – melodramat jest czasami niezbędny, by zwrócić uwagę na pewne krzywdy społeczne.

– Interesująca kwestia – zauważył profesor Blacklock. – Ale czy mocne przesłanie usprawiedliwia marną literaturę?

Nikt nie odpowiedział. Edie zastanawiała się, czy nie znaleźli stosownej repliki, czy po prostu tak zgłodnieli, że w końcu zabrali się do jedzenia. W panującej ciszy szepnęła:

– Uważam, że to było bardzo piękne. Historia miłosna była naprawdę bardzo wzruszająca.

Tamtego wieczoru posprzeczali się w drodze powrotnej. Kłótnia nie wybuchła z poważnego powodu, poszło o głupie przyjęcie koktajlowe, na które, jak Edie pamiętała, Tom zgodził się pójść, on zaś twierdził, że z miejsca odmówił. Całodzienne napięcie sprawiło, że powiedziała (i natychmiast tego pożałowała):

– Twoje nieszczęsne hobby jest dla ciebie ważniejsze niż ja.

Tom zesztywniał na chwilę i odparł z rozdrażnieniem:

– To kompletna brednia i dobrze o tym wiesz. – Po chwili dodał: – I to nie jest hobby. Mówisz tak, jakby chodziło o robótki ręczne albo zbieranie znaczków.

– A czy tak nie jest?

– Nie! To… to jest… – Nie mogąc określić różnicy, Tom popadł w jeszcze silniejszą irytację. Powiedział: – Tylko myśl o weekendowej ucieczce pozwala mi jakoś wytrzymać z twoim cholernym wujem Milesem.

Nie lubiła, kiedy przeklinał. Uważała, że w ten sposób okazuje brak szacunku. Odezwała się równie poirytowanym głosem:

– Nie musisz pracować u wuja Milesa. Mógłbyś sobie znaleźć lepsze zajęcie.

– Nie chcę lepszego zajęcia. To mi odpowiada.

– I zapewne uważasz, że jestem osobą płytką, bo nie pracuję – syknęła z gniewem. – Twoja siostra najwyraźniej tak myśli.

– Nie bądź śmieszna, Minnie nie powiedziała nic podobnego.

– Ależ ona tak myślała, Tom! Uznała mnie za idiotkę, wiem o tym.

– Co za bzdury, przecież robiła, co mogła, żeby cię serdecznie powitać – zaprotestował Tom wściekłym tonem.

I tak dalej. Tuż za St. Albans milczeli już ponuro, a na domiar złego pękła im opona. Tomowi udało się zapanować nad poślizgiem i zatrzymać auto na poboczu drogi. Edie stała tuż obok polnej ścieżki, gdy zmieniał koło. Wieczór był chłodny, a ona miała na sobie tylko lekki rozpinany sweterek, była przestraszona i nie mogła opanować dreszczy. Wreszcie Tom skończył, objął ją i powiedział:

– Hej, nie miej takiej zbolałej miny. – Po czym szepnął jej do ucha: – Przepraszam. Obiecuję, że pójdę na następne przyjęcie. – Na co ona, absurdalnie, miała ochotę się rozpłakać.

Jechali dalej – ostrożnie, najadłszy się strachu, gdy omal nie doszło do wypadku, i ze świadomością, że ich kłótnia uderzyła w czułe miejsca. Tom zapytał o siostry i siostrzenice; Edie zagadnęła uprzejmie, na jaką górę Tom zamierza się wspinać.

Była już dziesiąta, gdy dojechali do Esher. Tom zaparkował auto przy chodniku po drugiej stronie Laurel Court. Potem wziął Edie w ramiona i pocałował.

– Ktoś może nadejść – zaprotestowała, lecz w końcu zaczęła oddawać mu pocałunki.

Nie wiedziała, czy to z powodu ulgi, że dotarła do domu, czy ze wzburzenia wywołanego kłótnią, ale zaskoczyła ją siła własnych uczuć, zapomniała się i niewiele brakowało, by pozwoliła Tomowi posunąć się zbyt daleko. Z ogromnym wysiłkiem odepchnęła go od siebie, ściągnęła w dół brzeg spódnicy i wyszeptała:

– Nie, Tom, nie wolno, wiesz, że tak nie wolno. – Mocno zarumieniona i zgorszona własnym postępowaniem zaproponowała, by wstąpił na drinka przed snem, lecz odmówił, więc sama weszła do domu.

– To ty, kochanie? – Matka wyszła z salonu. – Już zaczynałam się niepokoić.

– Przepraszam, że wracam tak późno. Pękła nam opona. – Edie ucałowała mamę w policzek.

– Czy Tom nie wejdzie?

– Nie, bardzo się spieszył, niestety. Muszę się przebrać i wziąć ciepłą kąpiel. Te buty strasznie mnie cisną.

– Zrobić ci kakao?

– Tak, proszę. Dziękuję, mamo.

Edie poszła na górę. W swoim pokoju zrzuciła buty, wydobyła z torebki egzemplarz „Miłości małżeńskiej", otrzymany od matki Toma, i wepchnęła do szuflady. Potem wyciągnęła się na łóżku i zamknęła oczy.

Czuła wielką ulgę, że jest już w domu. Była wyczerpana, głęboko poruszona i okropnie chciało jej się płakać. Żałowała swego podszytego pretensją tonu podczas sprzeczki – nie chciała być zrzędą. I postąpiła niemądrze, krytykując Minnie, bo przecież wiedziała, jaki Tom jest lojalny wobec siostry. Ale Tom mógł jej bardziej pomóc. Mógł ją ostrzec, że jego matka pracuje na pół etatu w klinice świadomego rodzicielstwa. Mógł jej coś opowiedzieć o swojej rodzinie, która – wielkie nieba! – nie była taką zwyczajną rodziną.

Co za rodzina, co za dom! Edie była pewna, że nie okazała zdumienia – nawet przerażenia – na widok domu Blacklocków, ale przeżyła ciężkie chwile. Budynek był duży, przestronny i z widokiem na błonia, niedaleko od rzeki. Mógł być całkiem przyjemny. Ale nie był. Ten bałagan! Ten kurz – i, co tu ukrywać, brud! Wszędzie sterty książek i papierów, na stołach, szafkach, parapetach okiennych i podłogach. Książki mogła zrozumieć – przecież ojciec Toma wykładał na uniwersytecie – lecz zauważyła wazony z wysuszonymi, zbrązowiałymi kwiatami, tak starymi, że przypominały skamieliny, a także ogromną figę o zwisających gałęziach, niemal pozbawioną liści i oplecioną pajęczynami. Na jednej z gałązek ktoś – zapewne Minnie, jak podejrzewała Edie – zawiesił czerwony aksamitny kapelusz. Prawdę mówiąc, ubrania walały się porozrzucane gdzie popadnie po całym domu, płaszcze zwisały z balustrady schodów,

swetry leżały na sofach i fotelach, a czyjeś gumowe kalosze stały najwyraźniej bez przyczyny pośrodku salonu. Ulubione zwierzęta Blacklocków – pies, papużka, jakiś kłębek futra w klatce na toaletce oraz kilka kotów – również pozostawiły swoje ślady. Wszędzie były jakieś kłaki, a brudne miski na kuchennej podłodze przyprawiły Edie o dreszcze. Zmusiła się, by nie szukać w talerzu kociej sierści.

I jeszcze ta rodzina Toma. Edie była pewna, że mimo swych ekscentrycznych zachowań są przemili. Ale sweter profesora Blacklocka miał mnóstwo dziur i spodziewała się, że lada chwila sfrunie w strzępach na podłogę w jadalni, a choć profesor sprawiał wrażenie spokojnego człowieka, zadawał trudne pytania albo wyrażał ostry sprzeciw. Matka Toma była irytująco bezpośrednia, właściwie nawet impertynencka. „Czy twoje siostry stosują odpowiednie środki antykoncepcyjne?". I co ona miała odpowiedzieć na takie pytanie? Opisać szczegółowo najbardziej intymne aspekty życia Laury i Nicky przy rostbefie i puddingu?

I była jeszcze Minnie. Mimo wszelkich starań Edie nie potrafiła jej polubić. Nigdy nie spotkała dziewczyny tak pewnej siebie. Minnie, wysoka, smukła i ładna, miała na sobie – jak jej rodzice – niedobrane elementy stroju, takie jak fioletowa jedwabna spódnica, żółta bluzka, sweterek w paski i hiszpańska mantyla z frędzlami. Mówiła donośnym głosem i nie chodziła, tylko tupała. Aż nazbyt łatwo Edie wyobrażała ją sobie na męskim oddziale chirurgicznym, jak apodyktycznie komenderuje pacjentami.

Blacklockowie nie rozmawiali, oni po prostu rzucali opinie i sądy. Przy lunchu Edie odniosła wrażenie, że jej poglądy, osiągnięcia – całe jej istnienie zostało poddane ocenie i dostrzeżono w nim wady. To było bardzo wyczerpujące. Aż ją rozbolała głowa. Po obiedzie musiała wziąć udział w ich grze. Starała się spisać jak najlepiej – nie była głupia, czytała gazety i miała przyzwoitą wiedzę ogólną – ale i tak nie wypadła zbyt dobrze.

Przyszła mama z kubkiem kakao. Edie przytuliła się do niej – co za ulga znaleźć się w domu z miłą, normalną matką – a potem wygrzebała swoją piżamę, pantofle i szlafrok i poszła do łazienki. Napuściła sobie ciepłej wody do wanny, wsypując sporą garść drogich soli kąpielowych, które dostała od Laury na urodziny. Gdy

wanna się napełniła, Edie zsunęła z siebie ubranie i weszła do pachnącej kąpieli.

Rozchmurz się, nakazała sobie, sięgając po mydło i flanelowy ręczniczek. Tom nareszcie przedstawił ją swojej rodzinie. Co dowodziło, że ma poważne zamiary.

Ale, pijąc kakao w kąpieli, czuła się nieszczęśliwa i rozczarowana. Częściowo własną postawą – było dla niej kwestią honoru, by zachować pogodę ducha w każdych okolicznościach. Ale tak naprawdę rodzina Blacklocków nie była tą, którą ona sama wybrałaby dla Toma. Zabałaganiony, brudny dom – nie potrafiłaby mieszkać w takich warunkach. I ich brak taktu, a także uszczypliwy, szorstki sposób, w jaki zwracali się do siebie nawzajem, był jej zupełnie obcy.

Ojciec Edie zginął w wypadku kolejowym, gdy miała dziewięć lat. Zostawił wdowie i córkom jedynie ten dom oraz niewielką rentę. Po zapłaceniu szkolnego czesnego niewiele zostawało na życie czterem osobom. Matka Edie nieustannie oszczędzała i odmawiała sobie wszystkiego. Miały tylko jedną służącą, Muriel. Wszystkie kobiety w rodzinie Fieldingów sprawnie posługiwały się igłą i większość ubrań szyły sobie same. Raz na dwa tygodnie przychodził człowiek, który strzygł trawniki i żywopłoty, ale poza tym matka Edie sama zajmowała się dużym ogrodem. Pani Fielding znała się dobrze na nasionach i sadzonkach, więc zawsze wyglądał zachwycająco, choć na jego utrzymanie nie wydawano ani pensa. W domu nie odnawiało się pokoi, do których nie zaglądali goście. Edie własnoręcznie pomalowała salon i jadalnię, rozkoszując się szelestem pędzla i czystym, pachnącym świeżo pokojem.

Niezależnie jednak od ograniczeń finansowych dom był zawsze schludny, zadbany i gościnny. Stanowiły zżytą i przywiązaną do siebie nawzajem rodzinę. Zapewne miały talent do zjednywania sobie ludzi, ponieważ nieustannie ktoś je odwiedzał. Laura korzystnie wyszła za mąż, co ułatwiło sytuację. A choć Dan, małżonek Nicky, nie osiągnął jeszcze dobrego statusu materialnego, objawiał ambicję i rozmach, co wróżyło powodzenie w przyszłości. Dla czterech kobiet była to kwestia rodowej dumy, że nikt z grona przyjaciół i sąsiadów nie podejrzewał, ile ciężkiej pracy wymaga zachowywanie pozorów.

Było to trudne i matka Edie często sprawiała wrażenie wyczerpanej. A wstrętny wuj Miles, jedyny krewny, który posiadał jakiś majątek, nigdy nie zaoferował im pomocy. Ich wuj, pomyślała raz czy dwa Edie z poczuciem winy, zmierzał wygodnie ku skąpej, lecz za to zdrowej starości.

Wychowanie Edie nauczyło ją lęku przed ubóstwem – jego nieprzewidywalnością, zmartwieniami, wstydem. Instynktownie starała się chronić matkę, która często wydawała się bardzo krucha i zmęczona. Zwierzała się matce z pewnych rzeczy, lecz nie ze wszystkiego. Może jutro opowie jej o kilku zabawnych epizodach z Cambridge, pożartują sobie, ale nie zmartwi jej wyznaniem, jak się czuła, gdy całowała Toma.

Z pewnymi rzeczami trzeba się pogodzić, myślała, leżąc z zamkniętymi oczami w gorącej, pachnącej wodzie. Tom może i jest przystojny, inteligentny i zabawny, lecz Edie od początku wiedziała, że nie ma grosza w kieszeni. Czuła, że randki z Tomem Blacklockiem to strata czasu.

Wyszła z wanny i owinęła się ręcznikiem. Zaczęła myśleć o Charlesie Dangerfieldzie, którego poznała na urodzinach Laury. Poszła na dwa albo trzy koncerty do jego domu przy Portland Place. Od czasu do czasu chodziła do restauracji albo do teatru z jego znajomymi, którzy byli dobrze wychowani, inteligentni i kulturalni. Od pewnego czasu zdawała sobie sprawę, że podoba się Charlesowi, w ubiegłym tygodniu zaprosił ją na obiad. Odmówiła, wyjaśniając, że spotyka się z Tomem, na co Charles odparł: „Myślałem, że nie traktujecie tego poważnie". Coś mu na to odpowiedziała, ale za nic nie potrafiła sobie przypomnieć co. Zapamiętała jednak jego słowa. „Nie traktujecie tego poważnie". Okropnie się bała, że on może mieć słuszność.

A mimo to gdy Tom ją pocałował… Przypomniała sobie ich pożegnanie. Nigdy tak się nie czuła przy żadnym mężczyźnie. Z wielkim zakłopotaniem pomyślała, że omal nie straciła kontroli nad sobą, i to na przednim siedzeniu samochodu! Bardzo się tego zawstydziła.

Szczęśliwym trafem, wysiadając z pociągu na Gare du Nord w Paryżu, madame Cloutier pośliznęła się i upadła, skręcając sobie kostkę. Na okres, gdy dochodziła do siebie, wysłała Mirandę do znajomej, madame Robert. Robertowie i Denisowowie znali się od kilku lat i madame Robert zgodziła się zostać przyzwoitką Mirandy, w czasie kiedy madame Cloutier była unieruchomiona.

Robertowie mieszkali w Czwartej Dzielnicy. Madame Robert, tuż po czterdziestce, miała wyraziste, męskie rysy, które wydawałyby się brzydkie, gdyby nie jej nienaganny strój i doskonały makijaż. Nosiła lniane kostiumy w kolorze lawendy i sukienki w kropki z jasnozielonego jedwabiu. Jej lśniące czarne włosy były starannie ufryzowane i ukryte pod szykownym słomkowym kapeluszem z krótką woalką. Była życzliwa, pełna werwy i zawsze bardzo zajęta. Rano biegała między sklepem spożywczym a piekarnią – nie ufała służącej, że ta kupi dobry ser lub odpowiedni deser, jak poinformowała Mirandę. Po południu odwiedzała przyjaciółki albo szła do krawcowej.

Miranda głęboko zazdrościła madame Robert. Zamężna kobieta cieszyła się swobodą, której brakowało Mirandzie, zmuszonej do życia pod kuratelą. Madame Robert nie musiała mieć przyzwoitki. Mogła jeździć swoim małym renaultem, dokąd chciała – bez osoby towarzyszącej. Mogła chodzić do woli po sklepach albo siedzieć w domu przez cały dzień, pisząc listy lub przygotowując się do proszonej kolacji. Mogła pojechać do siostry do Lille albo spędzić dzień na wyścigach w towarzystwie przyjaciół. Mirandzie, niezamężnej młodej pannie, wszystko to było wzbronione.

Pewnego popołudnia siedziały w salonie, pijąc kawę i pogryzając ciasteczka. Madame Robert starła okruchy z ust i wyjaśniła Mirandzie, że monsieur Robert – *cher Maurice* – zawsze pracuje do późnego wieczoru. Piąta po południu była dla madame Robert najbardziej dogodną porą, by odwiedzić przyjaciela. Już od lat stale się spotykają, chyba Miranda to rozumie? Potrafi zorganizować sobie czas, *n'est-ce pas*?

O tak, odparła Miranda. Z pewnością potrafi zorganizować sobie czas.

Madame Robert przyjrzała jej się uważnie.

– Jeśli masz przyjaciela, z którym chciałabyś się zobaczyć, to oczywiście rozumiem. Bądź tylko rozsądna, pamiętaj, i musisz zawsze wracać przed siódmą.

Dawało to Mirandzie dwie godziny wolności. Tuż po tym, jak madame Robert opuściła dom z szelestem jedwabiu, w chmurze pudru i woni perfum Guerlaina, Miranda również wyszła. W kawiarnianej budce telefonicznej podała telefonistce numer Oliviera. Serce biło jej mocno i brakowało tchu ze strachu, oczekiwania i tęsknoty. Po chwili uzyskała połączenie. W słuchawce odezwał się dziewczęcy głos. To nie Agnés, zorientowała się natychmiast Miranda.

Zapytała o Oliviera Roussela. To pomyłka, madame, poinformowała żwawo dziewczyna. Na dalsze pytania Mirandy wyjaśniła, że magazyn wynajmuje obecnie niejaki monsieur Barthou, importer whisky ze Szkocji. Wynajmuje go od sześciu miesięcy. Nie, dziewczyna nie wie, dokąd przeniósł się poprzedni najemca.

Miranda odłożyła słuchawkę, wyszła z kafejki i poszła nad Sekwanę. Tam usiadła na ławce. Promy i barki sunęły po migoczącej wodzie. Paryż był taki, jakim lubiła go najbardziej – słoneczny i błyszczący, pewny siebie, szczęśliwy i pełen obietnic.

Pomyślała, jak bardzo przez te ostatnie dziesięć miesięcy tęskniła za chwilą, gdy znowu będzie mogła porozmawiać z Olivierem. Jak na początku układała plany, a później straciła nadzieję. A mimo to przed dziewięcioma minutami odłożyła słuchawkę i odeszła. Dlaczego nie wykorzystywała tych cennych godzin, by dalej próbować? Czemu nie poprosiła telefonistki o połączenie z każdym Rousselem w Paryżu, dopóki nie odszukałaby Oliviera? Dlaczego nie chodziła po ulicach i nie próbowała odkryć, gdzie on jest?

Ponieważ tylko złamałaby sobie serce po raz drugi. Mogłaby dodzwonić się do niego i powiedzieć: „Olivierze, mówi Miranda", a on by na to odparł: „Miranda… Miranda, *qui*?", tym pytającym tonem typowym w sytuacji, gdy się zapomniało czyjegoś imienia. W końcu, co ich łączyło? Lekki flirt, pocałunek, nic więcej. Znajomość, która dla niej tak wiele znaczyła, dla niego mogła nie znaczyć nic. Olivier był starszy i bardziej doświadczony. Ktoś tak przystojny i czarujący całował się zapewne z tuzinami dziewcząt.

Mógł przypuszczać, że wyjechała z Paryża z własnej woli. Mógł sądzić, że nie jest dla niej ważny. Z pewnością znalazł inną aktorkę do swojego filmu. Nie miało sensu czekanie na dziewczynę, która się nie pojawiała. Mnóstwo kobiet skwapliwie skorzystałoby z szansy zagrania w filmie. Z pieniędzmi było krucho, a czas, jak często podkreślał Olivier, to pieniądz. Nie miał innego wyboru niż wyszukanie drugiej Camille, dziewczyny, która będzie przemierzała stare, mroczne ulice Marais u boku kochanka.

Mógł w ciągu tych miesięcy, które minęły od ich ostatniego spotkania, zakochać się w kimś. Mógł się nawet ożenić.

A jeśli o niej nie zapomniał, co wtedy? Co by było, gdyby go odnalazła, a on jakimś cudem czułby to samo co ona? Gdyby spotykali się codziennie na godzinę, a po dwóch tygodniach lub po miesiącu musiałaby znowu opuścić Paryż? Czy potrafiłaby znieść ból kolejnego rozstania? Uznała, że nie. Teraz wiedziała, że gorąca miłość nie tylko odmienia, ale i parzy. Ona się poparzyła, niemal spłonęła żywcem. Powinna zapomnieć o Olivierze. Musi o nim zapomnieć.

Znaleźli kupca i teraz opróżniano dom ze sprzętów. Wysokie rzeźbione szafy i urocze pozłacane krzesełka miały zostać sprzedane albo oddane na przechowanie. Zasłony zdjęto, poskładano i spakowano, przetykając je kulkami naftalinowymi. W domu panował zamęt, nieustannie coś się zmieniało. Madame Cloutier kuśtykała o kulach, bez przerwy marszcząc nos, niezadowolona z hałasu i bałaganu. Pani Ingram nadzorowała pakowanie, zawsze z obszerną listą pod ręką. Stoły, krzesła i długie rulony zwiniętych dywanów wyniesiono z pokojów. W pustych, odbijających echo pomieszczeniach nie pozostał, jak się wydawało, żaden ślad kilkuletniego pobytu Denisowów. Kończyła się pewna epoka, została nakreślona linia graniczna. Co dalej, myślała Miranda, co dalej?

W swoim pokoju schowała biżuterię do szylkretowej szkatułki. Włożyła swój bursztynowy wisiorek do aksamitnego woreczka i również schowała. Gdy pakowała lalki, czuła się tak, jakby zamykała na klucz własne dzieciństwo. Otuliła kruche, woskowe

i porcelanowe buzie jedwabnymi i kaszmirowymi szalami. Potem ułożyła lalki w ich barwnych kokonach jedną obok drugiej w kufrze. Pomyślała, że powinna je rozdać. Była już o wiele za dorosła, żeby się bawić lalkami.

W kieszeni miała list od Friedricha von Kahlberga, w którym hrabia ponawiał propozycję małżeństwa. Tamtego przedpołudnia w Tiergarten uchyliła się od odpowiedzi. Zaskoczył ją; jego oświadczyny nastąpiły zbyt nagle, potrzebowała czasu do namysłu. I w końcu poważnie się zastanowiła. „Można zacząć od nowa – powiedział jej Friedrich. – Można rozpocząć inne życie, wykorzystać drugą szansę". Czy miał słuszność? Gdyby go poślubiła, czy zdołałaby sobie stworzyć inne, lepsze życie?

Ojciec zgodziłby się na jej małżeństwo z Friedrichem, pomyślała. Tytuł, posiadłość, pozycja, status społeczny – wszystko to czyniło zeń odpowiednią partię dla jedynej córki Konstantina Denisowa. Przypomniała sobie fotografię, którą pokazał jej Friedrich, przedstawiającą biały, baśniowy dom nad jeziorem. Prusy Wschodnie były oddzielone od reszty Niemiec – odległa i nieznana Mirandzie kraina. Z dala od utartych szlaków, można by rzec. I daleko, bardzo daleko od ojca.

Czy mogła pokochać tego wrażliwego, poważnego mężczyznę? Lubiła go, podziwiała, czuła się przy nim bezpieczna, dlaczego zatem nie mogłaby go pokochać?

Kolejny raz przeczytała ostatni akapit listu.

Jest jeszcze jedna sprawa, którą chcę postawić jasno. Będziesz miała, oczywiście, zupełną swobodę, jeśli chodzi o Twoje zainteresowania. Nie mam najmniejszego zamiaru Cię ograniczać. Będziesz mogła podróżować, widywać się z ojcem i przyjaciółmi. Moja matka prowadzi dom, ja zajmuję się majątkiem, nie musisz zatem się obawiać, że zostaniesz obarczona domowymi obowiązkami.

Na końcu listu dopisał trzykrotnie: „Kocham Cię. Kocham Cię. Kocham.

Tom telefonował do Edie z pełnej przeciągów budki telefonicznej w Lavenham. Pewnego deszczowego wtorkowego wieczoru wyszedł ze swego wynajmowanego mieszkania, by do niej zadzwonić. Przed budką stała kolejka; krople deszczu kapały mu za kołnierz płaszcza, bo zawieruszył gdzieś parasol.

W końcu dostał się do budki i poprosił telefonistkę o połączenie. Odebrała Edie. Wyjaśniła, że poszła na koncert i dlatego nie zastał jej w domu, gdy dzwonił wcześniej.

– Czy był dobry? – zapytał.

– Tak, bardzo.

Nastąpiła chwila ciszy; Tom usłyszał jakieś szelesty na linii. Może to telefonistka odwijała z folii herbatniki w czekoladzie; kobieta, która odnajmowała mu pokój, wspominała, że ta dziewczyna lubi czasem podsłuchiwać.

Rozmawiali przez kilka minut, po czym Edie powiedziała:

– Tom, muszę kończyć, zrobiło się późno i jestem trochę zmęczona.

– Zapomniałem, o której godzinie mam po ciebie przyjechać jutro wieczorem.

– Za kwadrans ósma. – W jej głosie pojawiła się nuta zniecierpliwienia. – Mówiłam ci, kiedy rezerwowałam stolik.

Wracając do mieszkania, Tom odtwarzał w myślach ich rozmowę. Wyczuwał jakiś dystans, coś było nie w porządku. Nie chodziło o to, co Edie mówiła, raczej o przerwy między zdaniami. Oczywiście połączenie było kiepskie, a ona również mogła zdawać sobie sprawę, że ich rozmowa nie jest tak całkiem prywatna. I wspomniała, że jest zmęczona. Ale źle spał tej nocy.

Niepokój nie opuścił go również następnego dnia. Miles Culbone akurat tego ranka kazał mu szukać zagubionej książki. Przepatrując biblioteczne półki, Tom wyczuwał oskarżycielski podtekst, sugestię, że to jego wina, co go niemile dotknęło.

Do najwyższych półek można się było dostać, tylko wchodząc po drabinie, równie starej i rozklekotanej jak sam Miles Culbone. Pajęczyny zasnuwały grzbiety książek nieotwieranych od dziesięcioleci; z biegiem czasu na szarych pajęczych niciach osiadł kurz.

Miles Culbone patrzył z dołu. Zdjął okulary, by przetrzeć szkła, i wbijał w Toma spojrzenie krótkowidza. Miał nadzieję, jak domyślał się Tom, na odnalezienie zaginionego skarbu. Sięgając ku najwyższej półce, Tom usłyszał głośny trzask i poczuł, że najwyższy szczebel drabiny łamie się pod jego ciężarem. Gdy drabina się przewróciła, runął na podłogę z wysokości dwóch metrów, a książki wysypały mu się z objęć.

– Ostrożnie! Niech pan uważa! – W głosie Milesa Culbone'a zabrzmiała histeryczna nuta. – To są cenne woluminy, a pan rozbija się tu jak jakiś goryl!

– Te książki? – Tom pozbierał się i wstał. Boleśnie uraził się w kostkę, a wszędzie wokół leżały połamane kawałki drabiny. – Martwi się pan o te książki? – Zaczął je rzucać z łoskotem, jedną po drugiej, na biurko Culbone'a, wzbijając obłoki kurzu: „Kalendarze farmera", „Wędrówki dżentelmena z Yorkshire po włoskich Alpach", „Żywot duchownego". – Wątpię, czy za którąkolwiek z nich dostałby pan więcej niż kilka pensów od handlarza starzyzną!

– Panie Blacklock – krzyknął piskliwie pełen furii Miles Culbone – pan się zapomina!

Tom miał ochotę walnąć go pięścią. Zamiast tego wymaszerował z pokoju, trzaskając drzwiami. Była pierwsza, pora lunchu. Wyjął kanapki i termos z chlebaka i wyszedł przed dom.

Przestało padać, niebo było błękitne, a ogród i całe otoczenie Zimnej Gwiazdki błyszczały w słońcu, czyste i odświeżone. Piękno zieleni i błękitu podziałało kojąco na Toma, kiedy, utykając, opuścił ogród przy kuchni i przez trawnik dotarł do lasku. Przysiadłszy na brzegu okrągłego podwyższenia, na którym znajdował się nagrobek z uśpionym marmurowym dzieckiem, postanowił złożyć wymówienie z końcem miesiąca. Od dawna zdawał sobie sprawę, że praca u Milesa Culbone'a jest zajęciem jedynie tymczasowym; i tak trwało zbyt długo. I Edie będzie zadowolona. Wiedział, że ostatnio nie układa się między nimi najlepiej. Ponadto miał już serdecznie dość Culbone'a; ten człowiek był osłem.

Gdy o drugiej wrócił do domu, pan Culbone siedział już przy swoim biurku w bibliotece. Tom miał właśnie rozpocząć pracę, kiedy jego chlebodawca odkaszlnął i przemówił:

– Jedno słowo, panie Blacklock, jeśli pan pozwoli. – Zaszeleścił papierami. – Niestety, pana usługi nie będą mi więcej potrzebne.

Tom wytrzeszczył na niego oczy.

Pan Culbone zaczął obgryzać skórkę przy paznokciu.

– Katalogowanie jest prawie ukończone, a przedmioty po moim bracie zostały sprzedane. Nie potrzebuję już pomocy.

– Czy pan mnie zwalnia?

– Tak, właśnie. Może pan iść, panie Blacklock.

– Chce pan, żebym odszedł dzisiaj?

– Tak, oczywiście, dzisiaj.

– Teraz? W tej chwili?

Pan Culbone westchnął ciężko.

– Nie widzę powodu, by odwlekać sprawę. – W kościstej ręce trzymał szarą kopertę. – Oto pana zaległe wynagrodzenie, panie Blacklock.

Tom otworzył usta, zamknął je i wyszedł z biblioteki.

Tamtego wieczoru zawiózł Edie do restauracji w Esher. W samochodzie, gdy wyjaśnił jej, co się stało, spytała:

– Jesteś zwolniony? Wuj Miles cię zwolnił?

– Tak.

– Wielkie nieba, Tom, co takiego zrobiłeś? Bazgrałeś po marginesie którejś z jego cennych książek? – Dotknęła jego dłoni. – Przepraszam za niepoważny ton, kochanie, ale przyznasz chyba, że ma to swoją zabawną stronę.

– Ma? Nie zauważyłem. – Uświadomił sobie, że w jego głosie brzmi ton urazy, i dodał ze złością, parkując przed restauracją: – Mogłem złamać nogę. A jego obchodzą tylko te cholerne książki.

Otworzył przed nią drzwi auta i weszli do restauracji. Kelner zaprowadził ich do stolika, odsunął krzesła, zręcznie przykrył im kolana serwetami i teatralnym gestem wręczył oprawione w skórę, ozdobione chwościkiem jadłospisy. Nastrój Toma pogorszył się jeszcze na widok wymyślnego wyposażenia wnętrza i równie wymyślnych dań w karcie, napisanych oczywiście po francusku. Nie znosił takich miejsc.

– Przedmieścia z pretensjami – mruknął do Edie, gdy kelner się oddalił.

– Tom, potrafisz być taki arogancki.

– To nieprawda. Nie jestem arogancki – zaprotestował ze zdumieniem.

Wrócił kelner z winem. Podczas zamętu z otwieraniem butelki, próbowaniem i wyrażaniem aprobaty Tom przypomniał sobie, że to Edie wybrała tę restaurację.

Kelner w końcu zostawił ich samych. Tom próbował naprawić swój błąd:

– Przepraszam, Edie. Ta sala wygląda całkiem ładnie, oczywiście. Ale nie rozumiem, dlaczego mówisz, że jestem arogancki.

– Bo jesteś, Tom. Tylko to nie jest zwykły rodzaj arogancji. Nie masz nic przeciw niższym warstwom społecznym i nie przeszkadza ci, gdy rzeczy są stare albo podniszczone, ale nie znosisz, kiedy ludzie albo miejsca starają się wyglądać na coś, czym nie są. Pogardzasz tym, co uważasz za przejaw złego smaku, tak jak dbanie o wygląd rzeczy, zachowywanie pozorów i maniery, które wydają ci się płytkie.

– Zapewne masz słuszność – przyznał. – Nie lubię pretensjonalności.

– Chyba nie ma nic złego w dążeniu do stania się lepszym? Czy jeśli Esher znajduje się na przedmieściu, oznacza to, że nie może tu działać dobra restauracja?

Podjął próbę wytłumaczenia.

– Takie miejsca bardzo często małpują dobre lokale, zaniedbując kwestie naprawdę istotne. Wydają majątek na srebrne sztućce i fraki dla kelnerów, a tymczasem jedzenie jest do niczego.

– Jeszcze nie spróbowałeś ani kęsa – przypomniała dość chłodno Edie.

– Słusznie. Więc zobaczymy. Słuszność teorii sprawdza się w praktyce, nieprawdaż?

Edie nie odpowiedziała. Po chwili wyciągnął rękę nad stolikiem i ścisnął jej dłoń.

– Przepraszam. Twój wuj Miles wprawił mnie w paskudny nastrój. – Zagwizdał. – Wiesz, nawet mi nie zapłacił za cały tydzień. Nawet za

dzisiejsze popołudnie.

– Kiedy byłyśmy małe – zaczęła Edie – przysyłał nam na Boże Narodzenie przekaz pocztowy na jedną gwineę. Nie na trzy, tylko jedną do podziału na nas trzy. I nigdy nie pamiętał o naszych urodzinach. Musiałeś go rozzłościć, Tom.

– Tak. – Zmarszczył brwi. – Zapewne tak.

Kelner podał zupę. Przełknęli kilka łyżek i Edie szepnęła:

– Raczej niesmaczna, prawda?

– Okropna. Przypomina pomyje. – Napełnił ich kieliszki. – Wypijmy, niech wino spłucze ten smak. Wiesz co, zabiorę cię w piątek do Carla, żeby to naprawić. – Restauracja Carla przy Piccadilly była ich ulubioną.

Edie jednak odparła ostro:

– Nie w ten piątek, Tom.

– A co, jesteś zajęta?

– Tom. Sztuka.

– O Boże, rzeczywiście. Zapomniałem.

– Na to wygląda. – W jej głosie brzmiało napięcie.

– Po prostu na chwilę wypadło mi to z głowy – powiedział szybko, usiłując ratować sytuację.

Edie wydawała się urażona.

– Nie rozumiem, jak mogłeś zapomnieć. To moja największa rola w życiu.

– Kochanie, bardzo głupio się zachowałem. Przecież nie mogę się doczekać tego przedstawienia. Nic na świecie nie powstrzymałoby mnie przed obejrzeniem cię w roli Tytanii.

– Przypuszczam, że dla ciebie to tylko jedna z wielu błahych amatorskich inscenizacji. Może tobie wydaje się nieważna, ale jest bardzo ważna dla mnie.

– Dla mnie również, ogromnie ważna. I wiem, że będzie świetna zabawa.

Tom zbyt późno zdał sobie sprawę, że znowu niewłaściwie dobrał słowa. Edie oznajmiła zimno:

– Właśnie o to mi chodzi. Udajesz bezstronnego, a patrzysz z góry na wszystko, co nie jest absolutnie wybitne.

– To zbyt ostre słowa – odparł dotknięty. – Nie można tak po prostu odrzucić krytycznego podejścia czy też, mówiąc metaforycznie, zostawić je za drzwiami jak płaszcz czy kapelusz. No i naturalnie nie oczekuję od amatorskiej inscenizacji takiego samego poziomu jak od profesjonalnej.

– Jak to miło z twojej strony – powiedziała Edie z ciężkim sarkazmem.

Tom wypuścił powietrze z krótkim, gniewnym sapnięciem i wyjął papierosy. Edie nie lubiła palenia w restauracji; spytała: „musisz?" – więc schował paczkę z powrotem do kieszeni.

Zbliżył się kelner, by zabrać talerze po zupie. Kiedy odszedł, Tom powiedział:

– Miałem na myśli tylko to, że raczej bym nie oczekiwał, iż na przykład twój Oberon osiągnie poziom gry Oliviera.

Edie, która nigdy nie potrafiła się długo gniewać, lekko się uśmiechnęła.

– Nasz Oberon pracuje w biurze ubezpieczeniowym w Guildford. I ma strasznie krzaczaste brwi. Nigdy sobie nie wyobrażałam króla elfów z krzaczastymi brwiami.

– Wybacz mi – poprosił łagodnie.

– To nie tylko twoja wina. – Spuściła oczy. – Obawiam się, że jestem dzisiaj trochę rozdrażniona.

– Martwisz się czymś?

– No, przedstawieniem…

– Będziesz wspaniała, wiem o tym.

– Nie, nie będę – odparła szorstko. – Zagram poprawnie, ale nic ponadto. Nauczyłam się tekstu i wiele osób mówiło mi, że pasuję do tej roli, lecz wiem, że żadna ze mnie aktorka. Nie chodzi jednak tylko o sztukę, Tom. Czuję… czuję się wytrącona z równowagi.

– Co cię niepokoi?

Zaśmiała się krótko.

– Rzecz w tym, że właściwie nie wiem. Niemądre, prawda? Martwię się o mamę. Ostatnio nie czuje się zbyt dobrze, choć to nic poważnego, po prostu przeziębienia i kaszel, ale za dużo pracuje, widzę to.

Pojawiło się główne danie. Tom zamówił stek, Edie zaś solę.

– Być może to, że wuj Miles cię zwolnił, okaże się szczęściem w nieszczęściu – uznała.

– Ponieważ daje mi swobodę, by zająć się czymś innym? Szczerze mówiąc, zbyt długo tam tkwiłem. Powinienem przejść do następnego etapu życia. Chyba potrzebowałem bodźca. Przyszło mi do głowy kilka pomysłów, kiedy tu jechałem z Suffolk.

– Naprawdę? – Edie rozpogodziła się nieco. – Ja również wpadłam na pewien pomysł. Jeśli zechcesz, mogę poprosić Laurę, by pomówiła z Tonym o tobie. Być może znajdzie dla ciebie zajęcie w banku.

– Nie widzę siebie w banku. Zastanawiałem się nad wyjazdem za granicę na pewien czas.

– Za granicę? – powtórzyła Edie.

– Tak, pomyślałem, że mógłbym zwiedzić Masyw Centralny. Nigdy tam nie byłem. Ani we francuskich Alpach, jeśli już o tym mowa.

– Na jak długo zamierzasz wyjechać?

– Nie wiem. Jeszcze się nie zdecydowałem.

– Ale co tam będziesz robił?

– Odbywał piesze wycieczki… wspinaczki… Gdybym potrzebował pieniędzy, mogę się podjąć wielu rozmaitych zajęć. Podczas studiów na uniwersytecie spędziłem raz lato we Francji. Zmywałem naczynia w restauracjach, zbierałem winogrona, pomagałem rybakom na kutrach.

– Przypuszczałam, że teraz, gdy odszedłeś od wuja Milesa, rozejrzysz się za przyzwoitą posadą – powiedziała Edie z irytacją w głosie. – Miałam nadzieję, że nie będziesz więcej marnował czasu.

– Ja nie marnuję czasu – żachnął się Tom. – I co rozumiesz przez „przyzwoitą” posadę? Codzienne dojeżdżanie do Londynu z całą resztą trutni?

– Myślałam o zajęciu z perspektywami na przyszłość i godziwą pensją.

– Nigdy nie przejmowałem się zbytnio pieniędzmi.

– Prawda – mruknęła. – Zauważyłam to.

– Wielu moich znajomych ze szkoły i uniwersytetu zatrudniło się na, jak to ujęłaś, przyzwoitych posadach. Pracują w administracji państwowej, w bankach albo przedsiębiorstwach od dziewiątej do

piątej, przez pięć dni w tygodniu. Spodziewają się tak pracować, być może w tej samej firmie, do sześćdziesiątego piątego roku życia. Czterdzieści lat wykonywania tych samych czynności. Nie tego chcę, Edie. Czuję, że życie ma mi więcej do zaoferowania. Czy to źle?

Przestała wybierać ości z soli i odłożyła sztućce. Patrząc mu prosto w oczy, zapytała:

– A co z nami, Tom?

– Mogłabyś pojechać ze mną.

– Och, nie bądźże niemądry! – powiedziała ze złością.

Jego uśmiech zgasł.

– Dlaczego?

– Gdzie byśmy mieszkali? Zapewne w jakiejś obrzydliwej klitce na poddaszu. I co bym robiła przez cały dzień? Sprzątała stoliki, podczas gdy ty będziesz zmywał? Nie, Tom, za nic. Nie należę do bohemy i nigdy nie będę należała.

Zaczął kroić stek, który okazał się twardy.

– Zmywanie to tylko przykład. Na pewno znalazłbym coś lepszego. Jeżeli nie odpowiadają ci góry, możemy się zastanowić nad czymś innym. Moglibyśmy na przykład wypożyczyć żaglówkę i opłynąć Morze Śródziemne. To by ci się podobało, prawda?

– Nie bardzo – oświadczyła zimno. – Podoba mi się życie tutaj.

– Skąd możesz wiedzieć, że nie byłabyś równie szczęśliwa, mieszkając za granicą, jeśli nigdy nie wyjeżdżałaś?

– Nie, Tom. – Jej głos brzmiał ostro. – Mam własne życie i jestem z niego zupełnie zadowolona. Mam rodzinę, siostry i siostrzenice, kocham je, jestem im potrzebna i nie opuszczę ich, żeby wędrować po Europie jak Cyganka. Och, żałuję, że nie jesteś bardziej ambitny!

– No więc nie jestem, trudno. – On również poczuł irytację. – Jak rozumiem, podziwiasz ambicję?

– Owszem, zawsze podziwiałam ludzi, którzy odnoszą sukcesy w życiu.

– Osiąganie sukcesów często wiąże się z tratowaniem innych. Przypuszczam, że twoi szwagrowie zepchnęli kilka osób z drogi w swym wyścigu do kariery.

– Tom, to okropne, co mówisz! Zupełnie jakbyś sugerował, że wyższe aspiracje są moralnie naganne!

– Czasami tak. Czy to źle, jeśli zadowalasz się tym, co masz? Kłopot z materializmem – dodał gorzko – polega na tym, że ludzie zawsze będą chcieli więcej.

– Nie jestem materialistką!

– Nie powiedziałem, że jesteś.

– Ale dałeś do zrozumienia – odparła, również z goryczą.

Umilkli. Po chwili Edie powiedziała cicho:

– Okazaliśmy się jedną z tych okropnych par, które sprzeczają się w restauracjach. Jakie to smutne.

Podszedł kelner, by zabrać talerze i zaproponować kartę deserów.

– Nie, dziękuję – odrzekła Edie. Była blada i wyglądała na nieszczęśliwą.

– Kawy?

– Nie, właściwie chciałabym już iść.

Tom uregulował rachunek i opuścili restaurację. W samochodzie, podczas krótkiej jazdy do domu Fieldingów nie odzywali się do siebie. Dopiero parkując przy Laurel Court, Tom powiedział:

– Zatem widzimy się w piątek.

– Nie, raczej nie.

– Przedstawienie…

– Wolałabym, żebyś nie przychodził, Tom. Prawdę mówiąc, nie wydaje mi się, abym chciała się z tobą nadal spotykać.

Coś szarpnęło go za serce. Zawsze uważał, że potrafi znaleźć właściwe słowa, teraz jednak szukał ich z wielkim trudem.

– Edie – zaczął. – Edie, na miłość boską. Przykro mi, że wieczór nam się nie udał. I przepraszam za swój paskudny humor, za to, że sprawiłem ci przykrość. Ale proszę, proszę, nie rób tego.

Powoli pokręciła głową.

– Nie chodzi tylko o ten wieczór.

– Więc o co? – Gdy milczała, wyszeptał: – Edie, kochanie, proszę.

– Nie, Tom. Nie zmienię zdania.

Wysiadła z auta. Tom również. Widział, że jest bliska łez.

– Nie rozumiem – powiedział.

Edie przygryzła wargę. Potem rzuciła mu wyzywające spojrzenie.

– To całkiem proste. Nie jesteś odpowiednim kandydatem, Tom. – I weszła do domu.

Johnny Gilfoyle nie był mężczyzną, w którym Kay spodziewała się zakochać. Poznała go na przyjęciu, jednym z tych naprędce zorganizowanych, zdarzających się wieczorami w Fulham. Ktoś postanowił rozpalić ognisko – w mieszkaniu – lecz sytuacja wymknęła się spod kontroli i zajęły się zasłony. Kay znalazła się na ulicy i stała, otrzepując ubranie z popiołu. Johnny – w lekko pomiętym stroju wieczorowym, z rękami w kieszeniach i z roześmianymi oczami – wyłonił się z domu mniej więcej w tym samym czasie i zapytał, czy nic jej się nie stało. I czy ma ochotę na drinka.

Nazywał się St John Gilfoyle, ale wszyscy mówili do niego „Johnny". Był wysoki i przystojny, miał patrycjuszowskie rysy i falujące włosy barwy jesiennych liści. Spojrzenie jego niebieskich oczu sprawiało, że jej serce zaczynało bić szybciej. W dzieciństwie miał piastunki, później uczył się w prywatnej szkole, a w dorosłym życiu wśliznął się z łatwością na miejsce, które dla niego wcześniej przygotowano. Mówił takie rzeczy, jak „brawo, stary", „dobra jest" i „pierwszorzędnie", i powinien wydawać się śmieszny, ale jakoś się nie wydawał. Obracał się z równą pewnością siebie w dwóch światach, za dnia pracował w rodzinnej firmie, nocami bawił się na przyjęciach lub grał na pianinie w klubach jazzowych.

Bywał w centrum wielu kręgów towarzyskich. „Musisz znać Johnny'ego Gilfoyle'a, wszyscy go znają". Przedstawił Kay swoim dawnym szkolnym kolegom, którzy mieli schludnie przystrzyżone wąsiki, włosy zaczesane do tyłu i wyglądali, pomyślała, jak postaci z książek Wodehouse'a. Natomiast jego znajomi muzycy stanowili zupełnie odmienną kompanię. Pochodzili z najrozmaitszych miejsc, jedni byli starzy, inni młodzi, jedni wylewni, inni zamknięci w sobie, kilku pod nieustannym wpływem alkoholu lub narkotyków. Wszyscy znali i kochali Johnny'ego. Nikt nigdy nie powiedział o nim złego słowa. Porzucone przyjaciółki trzepotały uwodzicielsko rzęsami albo roniły kilka łez.

Spotykali się przez dwa miesiące, a potem zostali kochankami. Johnny spędzał weekend w letnim domku na nizinie Norfolk Broads, gdzie łowił ryby, polował i pływał łodzią. Był to śmieszny, mały, drewniany domek. Od ozdobnie rzeźbionych desek szczytowych

odłaziła farba, a zaledwie kilka kroków od frontowego ganku pluskała rzeczka Bure. Znajomi Johnny'ego podwieźli tam Kay z Londynu; po długim wieczorze, gdy złote słońce tonęło w sitowiu, zabrali się w drogę powrotną. Kay ruszyła za nimi; Johnny złapał ją za rękę i powiedział: „Zostań".

Więc została. Johnny kochał się z nią tak, jakby grał na pianinie, z wyraźną przyjemnością, a jego rozkosz zachwyciła Kay. Za pierwszym razem nie potrafiła w pełni zrozumieć, o co ten cały szum, lecz później, gdy obydwoje obudzili się w środku nocy, już zaczęła rozumieć. Rano, kiedy jeszcze spał, owinęła się kocem i poszła nad rzekę. Światło zapalało w wodzie brylantowe iskry. Szczęście przeplatało się w równej mierze z niepokojem – a co, jeśli zaszła w ciążę? Johnny wprawdzie uważał, ale może coś poszło nie tak? Zsunęła koc i zanurzyła się w zimnej, jedwabistej wodzie. Gdy się wynurzyła, strząsając z włosów krople wody, zobaczyła Johnny'ego na ganku; siedział i palił papierosa. Uśmiechnął się po swojemu, uroczo i leniwie, i pomachał do niej ręką.

Tydzień później pewien lekarz, którego polecił Johnny, założył jej kapturek domaciczny. Nie powiedziała cioci Dot, że zostali kochankami – miała wrażenie, iż ciocia nie zaaprobuje Johnny'ego – lecz chwilami podejrzewała, że ciocia się domyśla. Szczęście, które ją odnalazło, pozostało z nią przez całe lato 1938 roku.

Pod koniec września jednak jej życie zaczęło biec dwoma torami. Z jednej strony Johnny i pełnia szczęścia, a z drugiej inne, codzienne życie, na które padał coraz mroczniejszy cień. Starała się o nim nie myśleć, jak wszyscy, lecz nie dało się od niego uciec. Smuga mroku biegła wzdłuż okopów, które mężczyźni kopali w parkach; działka przeciwlotnicze zagnieździły się na dachach najwyższych budynków niczym drapieżne czarne owady. Pasażerowie kolejki podziemnej byli jeszcze bardziej milczący niż dawniej, a z pierwszych stron ich złożonych gazet krzyczało słowo: „Czechosłowacja".

To wisiało w powietrzu od roku. W marcu, sześć miesięcy wcześniej, wojska Hitlera wkroczyły do Austrii. W Wiedniu tłumy wiwatowały na cześć niemieckiego Führera; reakcja międzynarodowa, choć naznaczona niepokojem, ograniczyła się do słownych protestów.

A teraz Czechosłowacja znalazła się w trudnym położeniu i Kay również było trudno. Ona także nie chciała wojny, brzydziła się nią i bała się jej, miała pewne pojęcie, co ona oznacza – grób na obcej ziemi, niedokończone życie. Ale jednocześnie… Było coś tchórzliwego w tym zlocie w letniej posiadłości Hitlera w Berchtesgaden. Zdjęcia z kroniki filmowej, pokazujące Chamberlaina na lotnisku Croydon, poważne twarze, kapelusze uniesione w geście pożegnania, gdy mały samolot wzbijał się w powietrze, wydały się Kay pełne rozpaczy. Było to aż nazbyt uprzejme. Uległe. Właściwie nawet bojaźliwe.

Później zaś, kiedy rosło napięcie i marynarkę wojenną postawiono w stan pogotowia, pojawiły się dodatkowe rozterki. Czy powinna stanąć w kolejce po maski przeciwgazowe przed którąś ze szkół lub fabryk, czy może oznaczałoby to, że popiera wojnę, zgadza się na przygotowania, czyniące konflikt zbrojny jeszcze bardziej nieuniknionym? Nie byłby to jednak zbyt konstruktywny protest, dać się zabić trującym gazem. Kto by rozpoznał, wyciągając jej zwłoki ze sterty innych, że zginęła w obronie swoich zasad? W końcu odebrała maskę, śmierdzącą nieznośnie gumą, i ukryła pod płaszczem na kołku wbitym w drzwi swojego pokoju. I czy powinna się zgłosić do cywilnej obrony przeciwlotniczej? W końcu to nie będzie przecież prawdziwa walka, tylko udzielanie pierwszej pomocy i gaszenie pożarów. To byłoby pożyteczne działanie, mogłaby pomagać ludziom, ratować im życie. Ale czy w ten sposób człowiek nie sprzyja wykluwaniu się katastrofy, nie akceptuje tego, co niewyobrażalne?

Dlaczego mielibyśmy walczyć za jakiś odległy kraj? Kay nie uważała tego za słuszne. Jej sprzeciw budziła jednak sama wojna, a nie to, że dotyczy odległego kraju. Zbyt subtelna różnica dla dziewczyny sprzedającej gazety w kiosku. Dziewczyna z kiosku nie potrafiła wymówić ani przeliterować nazwy „Czechosłowacja” i nie pojmowała, po co ryzykować życie i zdrowie w obronie „jakichś Czechów”. Powiedziała to z oburzeniem, jakby ci Czesi ponosili winę za konflikt i zastraszali inne kraje. Czyż nie było swego rodzaju luksusem owo rozróżnienie między zasadami a rozsądkiem? Z pewnością dla samych Czechów nie miało żadnego znaczenia.

Neville Chamberlain wrócił z Monachium, wymachując kartką papieru z obietnicą, że Wielka Brytania i Niemcy nigdy więcej nie będą prowadziły wojny, a kraj wydał zbiorowe westchnienie ulgi i wszyscy starali się nie zauważać worków z piaskiem wokół budynków parlamentu ani rowów przecinających królewskie parki. Kiedy Niemcy zaczęły, zgodnie z umową, okupować przyznane im tereny Czechosłowacji, Kay próbowała sobie wmówić, że teraz już będzie dobrze. Ofiara warta poświęcenia i tak dalej. tylko że to nie ona, Kay, składała tę ofiarę.

Niepokój: wyczuwała go wszędzie. Widziała go w oczach pasażerów kolejki podziemnej i znajomych w barze – świadomość, że stało się coś żenującego. Nie mogła porozmawiać o tym z Johnnym, bo nie rozmawiali o takich sprawach. Porozumiewali się w innym języku. Jej westchnień, gdy czuła jego dłoń na biodrze. Jego krótkich oddechów, gdy muskała ustami jego brzuch. Jej jęków pełnych rozkoszy, gdy leżeli spleceni, dopasowani do siebie jak fragmenty układanki.

Miesiąc później, ni stąd, ni zowąd, dostarczono jej list, który przebył długą i skomplikowaną drogę. List był od Mirandy, a adres na kopercie, teraz żałośnie pozaginanej, brzmiał: „Panna Kay Garland, c/o Brian, Księgarnia, Charing Cross Road, Londyn”.

Miranda wyrażała nadzieję, że Kay ma się dobrze i dotarła bezpiecznie do Londynu. Pisała, jak bardzo jej było przykro z powodu nagłego rozstania, jak tęskni i jak to niemądrze z jej strony, że zapomniała domowego adresu Kay. Przypuszczała, iż list dotrze do bliskiego znajomego Kay, Briana, który go je przekaże. Ufała, że Kay jej wybaczy i że o niej nie zapomniała.

Później Miranda napisała, że wyszła za mąż i mieszka teraz w pałacu w Prusach Wschodnich. To wspaniale, pomyślała Kay. A potem przypomniała sobie bzy w parku i to, jak Olivier patrzył na Mirandę – i zrobiło jej się smutno.

Martwiło ją jeszcze jedno. Prusy Wschodnie – musiała poszukać tej nazwy w atlasie. Leżały daleko, bardzo daleko od właściwych Niemiec, w pobliżu granicy z Rosją. I w dużej odległości od miejsc, które niegdyś razem odwiedzały.

Ale bardzo się ucieszyła, że dostała nareszcie jakąś wiadomość od przyjaciółki i poczuła ulgę na myśl, iż Miranda ma się dobrze, wydaje się zadowolona z życia i w końcu uwolniła się od ojca. Czytając list, Kay słyszała w myślach głos Mirandy, łagodny, rozbawiony, lekko kpiący. „Więc jestem hrabiną – to doprawdy groteskowe, nie sądzisz, Kay?”.

Miranda i Friedrich wzięli ślub w Paryżu. Miała na sobie suknię zaprojektowaną przez Coco Chanel, wyszywaną drobnymi perłami, oraz przejrzysty welon, również usiany perełkami. Po krótkiej urzędowej ceremonii, wchodząc do kościoła pod rękę z ojcem, widziała świat jakby przez śnieżną zamieć. Gdy zostali sobie poślubieni, Friedrich uniósł welon i pocałował ją – i wtedy zobaczyła wszystko wyraźniej.

Po ślubie zawiózł ją do Sommerfeld. Pokazał jej miejsca, które kochał od dziecięcych lat. Wypielęgnowane ogrody ze ścieżkami i żywopłotami rozpościerały się przed domem. Z tyłu był taras, następne ogrody i trawniki, a dalej brzozowy zagajnik. Za brzozami rozpościerało się jezioro z zatoczkami i małymi piaszczystymi plażami. Tafla wody sięgała aż po horyzont i wydawała się błękitniejsza niż niebo. Gdy Miranda weszła na drewniany pomost, trzciny rosnące wokół zaszeptały tysiącem głosów.

Pewnego dnia Friedrich obwiózł ją po wioskach i wydzierżawionych terenach majątku Sommerfeld. Wzdłuż dróg rosły wysokie drzewa i samochód sunął przez korytarz zielonych cieni, przeplatanych smugami słońca. Blask padał na pola pełne zboża i rozniecał w kłosach świetliste błyski. Gdy przejeżdżali przez wioskę, Miranda zobaczyła drewniane, kryte strzechą stodoły, domki z czerwonymi dachami i ceglany kościółek. Jakaś kobieta rozwieszała na sznurze haftowany obrus, koza wytrzeszczała żółte ślepia, a na kominach bociany zakładały gniazda.

Wybrali się do Rastenburga[4], by obejrzeć wielki zamek z czerwonej cegły, a potem do Angerburga[5], niewielkiego ruchliwego miasteczka nad jeziorem Mauer[6]. Pewnego dnia jechali długo przez łagodne, leśne okolice, spokojne i tajemnicze jak krajobraz z baśni. Miranda

zaczęła się zastanawiać, czy nie cofnęli się w czasie, czy któraś z tych długich, obsadzonych drzewami alei nie prowadzi ich przypadkiem w minione stulecie. Ciszę zakłócał jedynie stłumiony warkot silnika daimlera. Jechali i jechali – po drodze dostrzegła tylko staruszkę dźwigającą wiązkę chrustu, a potem dwoje dzieci chlapiących się w strumyku. Wszędzie panowały cisza i bezruch, jakby to nieprzeniknione, odległe miejsce na coś czekało. Lasy za oknami samochodu połyskiwały mrocznie. Krople deszczu zamigotały wokół kamiennego posągu porośniętego mchem, ociężałego, przygarbionego, niemal wzrostu Mirandy – a potem, gdy samochód pomknął dalej, posąg zniknął wśród drzew i wzgórz.

Odwiedzili Königsberg[7], miasto położone u ujścia rzeki Pregoły. Königsberg z brukowanymi uliczkami i wysokimi, wąskimi kamienicami był stolicą Prus Wschodnich. Na południowy zachód od miasta rozpościerał się Zalew Wiślany, wtulony między ujście Wisły a długą, wąską, piaszczystą mierzeję oddzielającą go od Zatoki Gdańskiej i Morza Bałtyckiego. Na bardziej stromej stronie, tej od Bałtyku, rosły róże i jodły, lecz wystarczył krótki spacer, by dotrzeć do zalewu, gdzie woda falowała spokojnie, obrzeżona frędzlą trzcin. Miranda wykąpała się w zimnym, szarym Bałtyku i wyszukała w bladym, jedwabistym piasku kilka odłamków bursztynu. Później zjedli kolację w pobliskim kurorcie.

W nocy, po powrocie do Sommerfeld, kochali się w pokoju wypełnionym malowanymi komodami i wielkimi, ciemnymi, rzeźbionymi szafami. Sufit z ozdobnymi gzymsami i dekoracją pośrodku znajdował się na wysokości sześciu metrów. Pąsowe adamaszkowe zasłony wisiały w wysokich oknach wychodzących na długą, prostą lipową aleję.

Friedrich okazał Mirandzie miłość w sposób uważny i pełen delikatności, zgodnie ze swoją naturą. Uwagę i delikatność mogła zaakceptować, być za nie wdzięczna, próbować je odwzajemnić. Ale chwilami dostrzegała w jego oczach mroczny płomień, który ją niepokoił i zdawał się wytykać jej jakąś wadę.

Miała wszystko, czego zawsze pragnęła – dom, rodzinę, bezpieczeństwo i kochającego męża. Czemu więc nadal czuła taką

pustkę? Wiedziała, że to się zmieni, gdy tylko urodzi dziecko. Bardzo chciała mieć dziecko. Chciała mieć kogoś, kogo mogłaby bezgranicznie kochać i kogo nie można byłoby jej odebrać.

Za młodu matka Fiedricha, owdowiała gräfin von Kahlberg, którą wszyscy nazywali hrabiną, była sławną amazonką, obecnie jednak reumatyzm nie pozwalał jej jeździć konno. Jeśli życzyła sobie odwiedzić Angerburg albo Rastenburg, szofer zawoził ją tam daimlerem. Hrabina wolała siedzieć z przodu, obok kierowcy, niż rozkoszować się samotnością na tylnym siedzeniu. Z przodu było bardziej interesująco, wyjaśniła Mirandzie. Mogła więcej zobaczyć i lubiła mieć z kim porozmawiać.

Hrabina miała prawie czterdzieści lat, gdy urodził się Friedrich. Straciła już nadzieję na posiadanie dzieci i narodziny syna stały się dla niej cudem. W jej małżeństwie, choć nie było ani przykre, ani tak zupełnie pozbawione uczucia, zawsze panowała pewna oschłość. Ojciec Friedricha nie należał do ludzi wylewnych, nawet gdy znajdowali się sam na sam, a fizyczna strona małżeństwa budziła w niej odrazę. Poczuła ulgę, kiedy – w wieku lat pięćdziesięciu pięciu – Paul znalazł sobie kochankę w Danzig (nagłe upodobanie do wody kolońskiej i jedwabnych kamizelek zdradziło jego tajemnicę) i „te rzeczy", jak to w duchu nazywała hrabina, przestały być jej obowiązkiem.

Paul zmarł w ostatnim roku wojny i hrabina szczerze go opłakiwała. Był dobrym człowiekiem i mieli wspólne poczucie obowiązku wobec nazwiska von Kahlberg oraz swej pozycji społecznej. Przed ponad pięćdziesięcioma laty, posłuszna woli rodziców, nie oczekiwała romantycznej miłości. Dobre zamążpójście miało umocnić albo podnieść pozycję jej rodziny. Graf von Kahlberg stanowił doskonałą partię. Rodzice hrabiny byli chłodnymi, budzącymi lęk istotami, mającymi upodobanie do długich podróży po Włoszech lub Bawarii i niespodziewanych powrotów, które zakłócały ustalony domowy porządek. Dzieciństwo – urodziła się i wychowała w Wiedniu – upłynęło jej właściwie w samotności. Jej brat Stefan był od niej starszy o osiem lat i prawie cały czas spędzał w szkole z internatem.

Wszystkie dziecięce uczucia przelała na swoją nianię, Irlandkę o imieniu Connie. Connie opowiadała jej o swej ojczyźnie, o srebrzystych jeziorach i szmaragdowych wzgórzach. Gdy hrabina po raz pierwszy zobaczyła Sommerfeld, lśniące tafle jezior i łagodnie falujące pagórki, przypomniały jej się opowieści Connie.

Miłość, która przyszła do niej w dniu narodzin syna, ogarnęła ją z przemożną siłą. Rozkwitła pod wpływem tego uczucia, lecz jednocześnie odsłonił się wewnątrz niej czuły punkt i odtąd ta jej cząstka pozostała podatna na zranienie. Jej spokój ducha zależał teraz od tego, co się dzieje z Friedrichem. Nieuniknione choroby i drobne wypadki okresu dzieciństwa wywoływały przerażenie – tak należało określić owo koszmarne uczucie zapadania się, to straszne wyobrażenie możliwej straty. Od najmłodszych lat uczono ją, by nie okazywała uczuć, tak więc hrabina dobrze ukrywała swą słabość, maskując cierpienie, które ją dręczyło, gdy Friedrich wyjechał najpierw do szkoły, a później, po kilku latach, na studia. Ilekroć jednak była sama, płakała gorzko.

Każda kobieta byłaby dumna z takiego syna. Pod wieloma względami Friedrich przypominał swego ojca – w jego charakterze dał się dostrzec ów rys ascetyzmu, pewnej surowości. Miał jednak dar odczuwania namiętności, którego zabrakło hrabiemu. Paul nigdy, ani razu, nie spojrzał na nią tak, jak Friedrich spoglądał na Mirandę. Dawno temu był ktoś, kto w ten sposób na nią patrzył, ale hrabina była już wówczas mężatką i nigdy nie dała mu poznać, jak bardzo topnieje pod jego spojrzeniem; a teraz trochę tego żałowała.

Skończywszy siedemdziesiąt pięć lat, hrabina zaczęła się obawiać, że Friedrich nie dojdzie już do siebie po śmierci narzeczonej. Że nigdy się nie ożeni i pozostanie ostatnim z rodu. Dlatego wiadomość o jego zaręczynach przyjęła z ulgą i zadowoleniem. Reumatyzm nie pozwolił jej pojechać na ślub do Paryża, poznała zatem synową dopiero w Sommerfeld. Kiedy witała Mirandę w progach domu, pomyślała przelotnie, że wolałaby, aby Friedrich wybrał dziewczynę o mniej eterycznej powierzchowności. Była piękna, bez wątpienia, lecz nie wydawała się nazbyt zdrowa i silna.

Hrabina oprowadziła Mirandę po jej nowym domu. Świeżo poślubiona żona Friedricha musiała wiedzieć najważniejsze rzeczy:

kto odpowiada za piwnicę z winami, gdzie trzyma się lekarstwa, jakiej porcelany należy używać przy różnych okazjach i w którym pokoju powinien spać ważny gość, na przykład dygnitarz. Zwiedzanie pałacu odbywało się bez pośpiechu. „Nie chciałabym cię męczyć, moja droga – tłumaczyła hrabina. – Zdaję sobie sprawę, że to wszystko może się wydawać przytłaczające. Ale kiedyś ten dom będzie należał do ciebie, więc powinnaś wiedzieć, gdzie się znajdują rozmaite rzeczy i co to oznacza".

Był tam specjalny pokój, przeznaczony w całości do przechowywania najlepszego serwisu obiadowego, używanego jedynie podczas wesel, chrzcin, odwiedzin członków rodziny panującej oraz urodzin hrabiny. Na kremowej biskwitowej porcelanie namalowano kolorowe kwiaty i owady. Na brzegu półmiska pszczoła zanurzała się w rurkowatym kwiecie wiciokrzewu; pośrodku talerza ważka przysiadła na nenufarze. W kredensach ze srebrami i szkłem stały kielichy o nóżkach poskręcanych niczym cukrowe pałeczki i przeplecionych jasnymi włókienkami, jakby w szkło wtopiono jedwabne nici. W kredensie z bielizną stołową i pościelową – był to nie tyle kredens, ile mały pokoik – leżały stosy schludnie złożonych prześcieradeł, obrusów i ręczników. Proste bawełniane powłoczki dla służby, poszewki z monogramami dla członków rodziny i komplet pościeli z wyhaftowaną koroną księcia, który nocował w pałacu przed osiemdziesięcioma laty.

Na piętrze, w szafach i drewnianych kufrach leżały koce, puchowe kołdry, futra, kurtki myśliwskie, szynele wojskowe, ubranka dla starszych dzieci i niemowląt. Po uchyleniu malowanego wieka w pokoju rozchodził się zapach cedru. W warstwy bibułki spowito jedwabną sukienkę, bladoniebieską i wyszywaną złotą nicią, o wąskim wcięciu w talii. I jeszcze pudła z nakryciami głowy. Zawierały cylindry, kapelusze filcowe i słomkowe damskie kapelusze o szerokich rondach, a także ekstrawaganckie, ozdobione atłasowymi wstążkami, strusimi piórami, nawet – o zgrozo – z małym wyblakłym ptaszkiem ze szklanymi oczami. W niewielkim, podłużnym pudełku leżała para koronkowych rękawiczek, pożółkłych ze starości i pachnących lawendą.

Były pokoje, których rodzina używała na co dzień, i takie, których nie używano wcale, gdzie rzeźbione nogi mahoniowych krzeseł wyzierały spod pokrowców, a dywany spłowiały do odcieni różu i szarości. W tych pokojach powietrze trwało nieruchomo, jakby czekając na kogoś. W pomieszczeniu o ciemnoczerwonym wystroju drobinki kurzu wirowały w wąskich smugach światła wpadających przez zaciągnięte rolety. „Nigdy nie lubiłam tego pokoju – wyznała Mirandzie hrabina. – Umarło tu dziecko, mały braciszek ojca Friedricha. Był zaledwie niemowlęciem. Zawsze mam wrażenie, że cień takiego smutku pozostaje, nie sądzisz?".

Hrabina szybko polubiła Mirandę. Pokochałaby ją tak czy inaczej, ponieważ kochał ją jej syn, lecz dostrzegła dobre cechy dziewczyny – starała się być uprzejma dla wszystkich, a prócz tego miała odwagę, charakter i rys wielkoduszności. Próbowała też uszlachetnić mniej korzystne cechy synowej, takie jak brak przywiązania do tradycji oraz – może nie pospolitość, lecz pewien dystans, rodzaj wiedzy o życiu, aurę osoby, która widziała zbyt wiele w zbyt młodym wieku.

Hrabina miała białe włosy, ułożone w staromodnym stylu i spiętrzone w sztywnych loczkach na czubku głowy. Ślady wielkiej urody nadal były widoczne w jej drobnych, delikatnych rysach. Miała szczupłe nadgarstki i kostki. Jej błękitne oczy często skrzyły się śmiechem, lecz te iskierki mogły zgasnąć w jednej chwili, zastąpione lodowatą wyniosłością. Miranda dotąd nie znała nikogo, kto miałby tak doskonałe maniery. Hrabina nigdy nie podnosiła głosu i wiedziała, co powiedzieć, by każdy – od niezdarnego wiejskiego parobka po wiekowego potomka arystokratycznego rodu – uspokoił się i odprężył. Albo, co również potrafiła, zrozumiał, gdzie jego miejsce. Pogardę zachowywała dla parweniuszy i nieokrzesanych prostaków. Miranda starała się naśladować teściową, chodzić tak jak ona miękkim, pewnym krokiem, wydawać polecenia stanowczym, modulowanym głosem, wyrażać niezadowolenie uniesieniem brwi.

Niektóre pomieszczenia w Sommerfeld były kameralne, jak ośmiokątny biało-zielony pokój tuż za oranżerią, inne natomiast miały wywierać wrażenie, wzbudzać podziw, onieśmielać.

W największej z oficjalnych komnat głos Mirandy odbijał się echem w rozległej, pustej przestrzeni, a wysokie obcasy jej pantofelków stukały głośno na marmurowych posadzkach. Stanąwszy na środku sali, uśmiechnęła się i wykonała ruch ręką, jakby to była scena teatru. Dygnęła przed surowymi antenatami w perukach i gładkolicymi damami w połyskliwych atłasowych sukniach, spoglądającymi na nią ze ścian. Czuła, że ją obserwują namalowanymi oczami i przystanęła, by przyjrzeć się sobie w lustrze oprawionym w ozdobne srebrne ramy.

Przez wieki von Kahlbergowie wypełniali ten dom skarbami. W bibliotece znajdowały się książki w skórzanych oprawach, a w pokoju obok stało wysadzane klejnotami jajko Fabergé. Miranda przypomniała sobie opowieści ojca o ucieczce z Rosji podczas porewolucyjnych zamieszek, jak na parowcu handlowym przepłynął Bałtyk przebrany za zwykłego marynarza i dotarł do Szwecji. Zabrał na pokład muszlę i kamyk z plaży, żeby przypominały mu o kraju. Były jego talizmanami, przynosiły szczęście; gdziekolwiek Denisowowie się zatrzymywali, muszla i kamyk zawsze leżały na kominku w gabinecie Konstantina.

Ulubione pokoje Mirandy znajdowały się po jednej stronie domu. W kuchni, umywalni i spiżarni trwała nieustannie krzątanina. Były pomieszczenia przeznaczone do prania i zmywania, suszarnie, izby do pieczenia i wekowania, do robienia serów i przechowywania jajek w żelatynie. Grzyby suszyły się na długich niciach jak nawleczone paciorki, plastry bekonu zwisały z haków, a ryby z jeziora obsychały na stojakach jak brązowe skórzane łachmany. Piwnice były zimne, oślizłe i tajemnicze, a pod ceglanymi łukami spoczywały zakurzone, osnute pajęczynami butelki wina. Jedną ze spiżarni wypełniały słoje moreli, malin i brzoskwiń, a także marynowanych cebulek, podobnych do zamglonych oczu, i miodu o barwie bałtyckiego bursztynu. Trzymano tam także złote krążki masła, wiaderka z mlekiem i kadzie wypełnione śmietaną. W wysokich kamiennych pomieszczeniach z drewnianymi stołami i obszernymi zlewami oraz kuchennymi piecami panował nieustanny gwar, służące paplały, szczękały tarami przy praniu, brzękały myte naczynia, a od czasu do

czasu rozbrzmiewała ludowa piosenka, gdy kobiety wyżymały pranie albo wtykały marchew w piasek na zimę.

Kawę, herbatę i wino trzeba było kupować, ale prawie całą resztę produktów potrzebnych rodzinie, służbie i gościom, wytwarzano na terenach należących do posiadłości. Uzyskane produkty rolne uzupełniały należności od dzierżawców gospodarstw. Pieniądze rzadko bywały w obrocie – robotnicy, którzy pracowali na rozległych, spokojnych polach, otrzymywali zapłatę w naturze. W Sommerfeld polowano na jelenie i zające, łowiono szczupaki i pstrągi, strzelano do bekasów, kaczek i bażantów. Posiadłość rządziła się, jak państwo, własnymi prawami, prowincja w prowincji, królestwo Friedricha. Znał tu każdy zakątek, każdą izbę, każde wydarzenie z długiej historii pałacu, każde pole, las i gospodarstwo. Można by powiedzieć, że Friedrich kocha Sommerfeld, ale kryło się w tym coś więcej: Friedrich wrósł w Sommerfeld, był jego cząstką.

Posiadłość rządziła się własnymi regułami i przestrzegała własnych zwyczajów. Każdego ranka budziła Mirandę pokojówka, która przynosiła kawę i rozsuwała zasłony. Friedrich całował żonę na dzień dobry, pytał, jak jej się spało, a potem myła się, ubierała i schodziła na dół. Dzień rozpoczynał się od krótkiej ceremonii w obecności rodziny i służby, gdy Friedrich odczytywał modlitwę, psalm albo kilka wersetów z Biblii. Przy śniadaniu rozmawiali o tym czy owym, o wydarzeniach dnia, obowiązkach towarzyskich, ślubach, narodzinach i pogrzebach. Żadnych plotek; hrabina nigdy nie plotkowała.

Po śniadaniu, kiedy Friedrich zajmował się sprawami związanymi z majątkiem, Miranda szła na spacer ze swoją suczką o imieniu Gisela. Później, po powrocie do pałacu, pisała listy albo czytała do wpół do drugiej po południu, kiedy nadchodziła pora lunchu. Po południu, jeśli ktoś we wsi zachorował, hrabina odwiedzała go i zawoziła lekarstwa. Miranda czasami jej towarzyszyła – nie dlatego, że pragnęła pielęgnować chorych, mówiąc szczerze, ale lubiła odwiedzać te wiejskie chaty, które w swej schludności przypominały jej domki dla lalek. Nawet najmniejszy, kryty strzechą drewniany dom otaczała działka, gdzie rosły na grządkach warzywa, biegało kilka kur i krowa pasła się na łące. Izba na parterze mieściła

niewielką wnękę z piecykiem, kranem i garnkami do gotowania. Pachniało pięknie pieczonym ciastem i kawą. Czasami Mirandzie i hrabinie podawano kromki chleba z twarogiem albo naleśniki ociekające miodem.

Miranda obserwowała tych ludzi i uczyła się tutejszego życia. Maniery obowiązujące w domu jej ojca tutaj nie zdałyby egzaminu. Żadnego flirtowania z panami przy stole, żadnych wybuchów gniewu, kąśliwych uwag ani ciosów. Czasami patrzyła na siebie jakby z pewnej odległości i wiedziała, że odgrywa jakąś rolę – ale w tym zawsze była dobra.

Pałac odwiedzali liczni goście. Niektórzy zatrzymywali się tu na całe tygodnie. Rozeznanie, kto jest kim, zajęło Mirandzie trochę czasu. Pewnego razu, zauważywszy na dole staruszka w sfatygowanym ubraniu, który wydał jej się jednym ze służących, poleciła mu, by przyniósł świece od gospodyni. Wrócił radośnie z pudełkiem świec, ale później, przy kolacji, zauważyła go siedzącego o kilka krzeseł dalej i dowiedziała się od swojego sąsiada, iż jest to właściciel sąsiedniego majątku. Za młodu przyjaźnił się z Hindenburgiem.

Pojawiali się także krewni von Kahlbergów, stryjeczni dziadkowie i babki, ciotki, wujowie i kuzyni. Przyjeżdżali do Sommerfeld mercedesami albo sportowymi autami, niekiedy konno lub starą, czarno-złotą bryczką. Stryjeczny dziadek Leo paradował z królewską brodą, nosił błyszczące czarne buty oraz równie błyszczący cylinder i przechadzał się po domu jak po polu bitwy. Drugi stryjeczny dziadek, Helmut, był niechlujnym, powłóczącym nogami, lecz miłym i nieszkodliwym staruszkiem, który zjadał ze smakiem posiłki i niewiele mówił. Oskar i Katrin, rodzeństwo, dzieci wuja Georga i ciotki Klary, obydwoje mieli rudawoblond włosy, jasną, piegowatą cerę i niebieskie oczy. Mieszkali w Königsbergu. Wuj Karl, Klaus, Max i Anna mieszkali w Waldhof[8], w domu tak pełnym ulotnego czaru i uroku, że Miranda podczas odwiedzin czuła się tam jak w baśniowej krainie. Bracia Klaus i Max byli przystojni i szykowni, świetnie tańczyli, ich siostra Anna, drobna i ciemnowłosa, mierzyła bez butów niewiele ponad metr pięćdziesiąt i miała na kości policzkowej bliznę

po upadku z konia, a jej brązowe oczy rozjaśniały się w uśmiechu z byle drobiazgu.

Miranda podziwiała ich odporność, wytrzymałość na chłód i zmęczenie. Kuzyni Friedricha kąpali się w zimnych jeziorach, polowali całymi dniami, a potem wracali zarumienieni i rozczochrani, zacierając ręce i pytając, czy wieczorem będą jakieś tańce. Była im wszystkim ogromnie wdzięczna za to, że zaakceptowali ją bez żadnych pytań, wciągnęli w swój ciepły, ożywiony krąg, zapraszali na pikniki i wycieczki nad morze.

Pewnego dnia, podczas spaceru po parku Sommerfeld, Anna wzięła Mirandę pod rękę.

– Tak się cieszymy, Mirando, że Friedrich cię znalazł – powiedziała. – Już prawie straciliśmy nadzieję. Baliśmy się, że do końca życia będzie żył jak mnich. Wierność jest cnotą, oczywiście, i to, co się stało z Elli, było tragedią, ale czuć się wciąż związanym z kimś, kto nie żyje od piętnastu lat… Mój kuzyn jest dobrym człowiekiem, Mirando. Rzadko się zdarza, żeby kogoś pokochał, lecz jeśli tak, to kocha głęboko. Gdybyś potrafiła go pokochać równie mocno jak on ciebie, byłoby to dla ciebie naprawdę wielkie błogosławieństwo.

Gdy kuzyni przyjeżdżali do Sommerfeld, każdego wieczoru urządzano przyjęcie. Ktoś nastawiał gramofon albo ciotka Klara grała na pianinie i tańczyli w reprezentacyjnych salach, wprawiając w drżenie kielichy ze szklanej przędzy.

Kiedyś Miranda zaśpiewała dla nich i nagrodzili ją hucznymi oklaskami. A kiedy skończyła recytować kwestię Mirandy z „Burzy” („Nie znam nikogo z płci mej; nie pamiętam/Twarzy kobiecej prócz mojej w zwierciadle”[9]), zapadło milczenie i zaczęła się zastanawiać, czy ich w jakiś sposób uraziła, czy może nie rozumieją angielskiego. Po chwili hrabina przemówiła cicho:

– Dziękujemy ci, Mirando. To było bardzo piękne. Czy zechciałabyś nam zadeklamować coś jeszcze?

– A czego państwo by sobie życzyli?

– To bez znaczenia. Cokolwiek wybierzesz.

Więc recytowała: była Julią, Desdemoną, później zaś, dla odmiany, Hamletem wpatrzonym z marsowym obliczem w blanki Elsynoru. Po

tym występie czuła euforię, jakby wypiła całą butelkę szampana. Nakłoniła ciotkę Klarę do zagrania quickstepa i wirowali obydwoje z Klausem niczym para derwiszy.

W spokojniejszych chwilach myślała: więc tak żyją inni ludzie. To jest normalne życie, ta spokojna, ponadczasowa, baśniowa kraina. Przewidywalność i bezpieczeństwo. W Sommerfeld nie istniały „nieprawidłowości". I to jej się podobało.

W drodze na przyjęcie, gdy szli skrótem przez Lammas Land, Tom wyjaśnił Minnie, co zaszło między nim a Edie.

– Jest zaręczona i wychodzi za mąż. Wczoraj na Piccadilly spotkałem jej siostrę i powiedziała mi o tym.

– Za kogo wychodzi?

– Za pewnego faceta, który się nazywa Charles Dangerfield. To idiota.

Musieli uważać, jak idą; mgła zalegała nisko nad ziemią i w mroku trudno było dostrzec ścieżkę. Znad rzeki unosił się słonawy zapach.

– Byłeś w niej zakochany, prawda? – zapytała Minnie – na co Tom odrzekł krótko:

– Chyba tak. – Przez chwilę szli w milczeniu.

Tydzień po zerwaniu z Edie Tom wyjechał do Francji. Z początku chodził na wycieczki w Alpy, lecz wkrótce uświadomił sobie, że nie ma do tego serca. Ostatnie pięć miesięcy spędził w Paryżu, pracując w agencji wynajmującej tłumaczy dla instytucji finansowych i kancelarii prawniczych. Wrócił do Anglii akurat na Boże Narodzenie.

– Nawet ją lubiłam – wyznała Minnie. – Na pierwszy rzut oka było widać, że to osoba, która potrafi robić wszystko jak należy. Była… kompetentna. Tak, to właściwe słowo.

– I wychodzi za mąż za kompletnego osła – zauważył z goryczą Tom. – Wygląda na to, że dobrze się stało, prawda?

Minnie spojrzała na niego z ukosa.

– Co właściwie między wami zaszło?

– Posprzeczaliśmy się i tyle.

Powalone drzewo zagrodziło im drogę. Minnie podkasała długą spódnicę i przedostała się na drugą stronę. Tom przelazł przez pień

tuż za siostrą.

– Cholerny Miles Culbone też się do tego przyłożył. Czy zdarzają ci się takie dni, kiedy nic, ale to nic się nie układa?

– O Boże, no pewnie. Pierwszego dnia na oddziale położniczym omal nie utopiłam noworodka. Wyśliznął mi się z rąk podczas kąpieli. I, oczywiście, zobaczyła to siostra oddziałowa.

– Tamtego dnia Culbone zwolnił mnie z pracy. Byłem zły.

Dotarli do ulicy i ruszyli chodnikiem; milczeli przez chwilę. W końcu Tom znowu się odezwał:

– Już wcześniej powinienem był złożyć wymówienie. Przynajmniej w tej sprawie Edie miała słuszność.

– Tom, nie musisz być taki szlachetny, nikt nie lubi, kiedy go wyrzucają z pracy. To było z pewnością upokarzające. – Minnie ujęła go pod ramię. – Przypuszczam, iż w naszej rodzinie przywykliśmy do tego, że we wszystkim jesteśmy dobrzy. Zniechęcamy się, kiedy coś nam nie wychodzi.

Prawie już dotarli na miejsce. W świetle ulicznych latarni Tom zauważył, że rąbek długiej czerwonej sukni Minnie jest ubrudzony błotem. Gdy jej to pokazał, stwierdziła beztrosko:

– Mniejsza z tym, wyschnie i się wykruszy. To i tak stara suknia mamy.

Kay do Mirandy:

Johnny mówi, że matka kupuje mu, tak jak jego braciom i siostrom, co roku takie same prezenty na Gwiazdkę: parasol od Jamesa Smitha i Synów oraz wieczne pióro marki Waterman. Jego siostra Louise, której się nie przelewa, ponieważ nie wyszła bogato za mąż, zamierza założyć na targu stragan z parasolami i wiecznymi piórami.

Miranda do Kay:

Śnieg, kochana… bardzo bym chciała, żebyś zobaczyła ten śnieg…

3 Powieść autorstwa Archibalda Josepha Cronina, wyd. w 1935 roku.

4 Obecnie Kętrzyn.

5 Obecnie Węgorzewo.

6 Obecnie jezioro Mamry.

7 Obecnie Kaliningrad.

8 Obecnie Korniewo, przed II wojną światową i w jej trakcie stacja klimatyczna Waldhof w obrębie uzdrowiska Cynty (niem. Zinten), będącego również miastem garnizonowym i ważnym węzłem kolejowym w Prusach Wschodnich.

9 W. Shakespeare, „Burza”, akt III, sc. 1, przekład: Leon Ulrich.

Rozdział 6

Tego ranka, gdy po raz pierwszy spadł śnieg, Miranda zabrała Giselę na spacer do jodłowego lasu. Drzewa rosły tak gęsto i były tak wysokie, że zupełnie zasłaniały światło. Było ciemno, zimno, w powietrzu unosiła się woń żywicy. W miejscach, gdzie nad głową splatały się gałęzie, śnieg nie pokrył ziemi, Miranda stąpała więc po miękkich igiełkach. Gisela trzymała się przy nodze, powarkując od czasu do czasu, gdy grudy śniegu zsuwały się na ścieżkę. Miranda nazbierała trochę szyszek, żeby je później wrzucić do kominka, gdzie będą wesoło trzaskały. Niższe gałęzie drzew były bezlistne, zbrązowiałe i kruche. Kiedy je potrącała, odłamane części spadały w leśne poszycie niczym wypalone zapałki. Dostrzegła jakieś poruszenie w oddali i wydało się jej, że widzi sarnę przemykającą przez tunel drzew. Za jej plecami ścieżka ginęła w mroku. Inne przecinały jej drogę. Miranda zdała sobie sprawę, że łatwo byłoby się tu zgubić, więc zawróciła.

Śnieg sprawiał, że pałac wydawał się jakby przybrudzony. Kiedy jako nowo poślubiona małżonka Friedricha ujrzała Sommerfeld po raz pierwszy, pomyślała, że budynek jest taki biały i pięknie jaśnieje na tle zielonych ogrodów, drzew i trawy. Ale śnieg okazał się bielszy niż wszystko inne, bielszy niż ściany, niż ulubiony koń Friedricha, niż lisie futro jego matki. A nawet bielszy niż niebo. Stojąc przy oknie, Miranda przyglądała się wirującym, tańczącym płatkom. Śnieżyca zasłoniła najpierw jezioro, potem brzozowy zagajnik, a jeszcze potem ścieżki i klomby w ogrodach, aż wreszcie wszystko utonęło w bieli.

Gdy obudziła się nazajutrz rano, do pokoju wpadało zimne, jaskrawe światło. Pokojówka wcześniej rozsunęła zasłony. Jak okiem sięgnąć, rozpościerało się białe pole. Śnieg utworzył zaspy, niektóre

pofałdowane tak ostro, że wyglądały jak zamarznięte morze, inne podchodziły pod ściany. Zimowe słońce zapalało w nich błyski, upodabniając je do waty cukrowej.

Po południu przyjechali kuzyni. Przywieźli ze sobą łyżwy. Max przydźwigał gramofon nad zamarznięte jezioro, a za nim przybiegły psy, przemykając między brzozami, dysząc i wystawiając różowe języki, póki nie przystanęły ze skomleniem na skraju lodowej tafli.

Klaus nastawił gramofon i włączył płytę. Gdy zabrzmiał walc „Nad pięknym, modrym Dunajem", Anna aż jęknęła.

– Klaus, przecież wiesz, że nie cierpię tej melodii! – Pomknęła po lodzie ku bratu, wysunęła dłonie i pchnęła go w pierś. – Kazali mi ją grać w szkole. Pom, pom, pom, pom, plink-plink, plink-plink. Doprowadzało mnie to do szału!

Max, Oskar, Katrin i Anna ślizgali się i krążyli po zamarzniętym jeziorze. Psy wróciły do brzozowego zagajnika, śmigając między drzewami. Klaus wprowadził Mirandę na lód i otoczył ramionami.

– Gdzie Friedrich?

– Musiał wyjechać do Königsbergu w interesach.

– To dobrze, będziemy mogli razem uciec. Wiesz, że jestem w tobie zakochany do szaleństwa, Mirando? Spójrz, oto całuję twoją dłoń. – I uczynił to, kładąc rękę na sercu.

– Nie bądź niemądry, Klaus – powiedziała pobłażliwym tonem. Blade promienie słońca rozpraszały się na lodzie. – Kocham śnieg – dodała już w tańcu.

– Za parę miesięcy go znienawidzisz, zapewniam cię. Nazywamy to „czasem lektury", gdy dni są zbyt krótkie, a śnieg zbyt głęboki, by wychodzić z domu.

– Nie wyobrażam sobie, jak siedzisz nad książką. Jesteś strasznym wiercipiętą.

Max i Anna wyśpiewywali w tańcu, w rytm muzyki: „Pom, pom, pom, pom, plim-plim, plim-plim!".

Klaus uśmiechnął się rozbrajająco.

– Aha. Może nie czytam. Może szukam dziwacznych rozrywek na zimowe miesiące, jak stryjeczny dziadek Leo.

– A co on robi?

– Wypycha ptaki i ustawia je w oszklonych gablotach. Chciałabyś to robić, Mirando?

– Raczej nie. Biedne ptaki.

– Jest jeszcze, oczywiście, wujek Karl – ciągnął Klaus. – W zimie pisze listy do naczelników wszystkich dworców kolejowych w Europie i prosi o fotografie.

– Co z nimi robi?

– Wkleja do albumu. Przy okazji mogłabyś poprosić, żeby ci go pokazał.

Parsknęła śmiechem. Widziała w tańcu białą równinę i brzozowy lasek. Niebo przybrało ciemny, z lekka brunatny odcień: tej nocy znowu mógł padać śnieg. Psy zaczęły szczekać w podnieceniu; spojrzawszy ku brzegowi, dostrzegła Friedricha.

Podjechała do niego po lodowej tafli.

– Jak twoje interesy, kochanie?

– Bardzo nudne. Nie chcę cię tym zamęczać.

Wziął ją w ramiona i mocno przytulił, a potem razem sunęli po lodzie w mroźnym zmierzchu.

Kiedy zrobiło się zbyt ciemno, by się dłużej ślizgać, wrócili do pałacu. Po kolacji Oskar zagrał Chopina, a Miranda zwinęła się w kłębek w rogu sofy najbliższym kominka i poczuła, że odpływa w sen, przyjemnie zmęczona po popołudniowym wysiłku.

Następnie, żeby wszystkich ożywić, Oskar przerzucił się na jazz i Miranda, słysząc ten rytm, nie mogła się powstrzymać, musiała zatańczyć. Tańczyli kilka godzin, aż wreszcie kuzyni, przypomniawszy sobie, że obiecali matce, iż nazajutrz rano pójdą z nią do kościoła, pozbierali się i odjechali po ciemku, zanim znowu zaczął padać śnieg.

Odtąd padał codziennie. Zamarznięte jezioro zdawało się rozciągać w nieskończoność i wtapiać w perłowe światło na horyzoncie. Miranda lubiła słuchać trzeszczenia i poskrzypywania lodu. W stajni stały stare sanie przystosowane do psiego zaprzęgu. Pomyślała, jakby to było wspaniale przejechać się nimi po okrytych śniegiem polach, otulić się futrami i słuchać dźwięku dzwonków. Hrabina powiedziała Mirandzie, że ta zima wcale nie jest taka surowa, gdyż pewnego roku śnieg całkowicie zasypał kamienne stopnie i utworzył zaspę przed frontowymi drzwiami. Musieli się odkopywać, żeby wyjść

z pałacu. Nierzadko w zimie, w najchłodniejszych miesiącach, termometr pokazywał dwadzieścia stopni mrozu.

Dni stały się krótsze, śnieg głębszy. Gdy Miranda wychodziła z domu, mroźne powietrze kłuło ją w twarz. Warstwa lodu pokrywała brukowany podjazd; z rynien zwisały sople. Kuzyni przestali przyjeżdżać do Sommerfeld, a drzewa wzdłuż alei, posrebrzone lodem, wyglądały jak powleczone cienką warstewką szkła.

Byli uwięzieni w pałacu i czekali, aż nadejdzie wiosna. Nastał „czas lektury".

W marcu 1939 roku wojska Hitlera wkroczyły na bezbronne resztki terenów Czechosłowacji. Przewracając strony gazety „Manchester Guardian" w pokoju nauczycielskim, Kay dowiedziała się o długich kolejkach przed brytyjskim konsulatem w Pradze, w których wystawali czescy Żydzi i polityczni dysydenci ubiegający się o wyjazd do Anglii. Czytała o późniejszej obławie gestapo na „szkodliwych osobników" i o ich uwięzieniu. Nadal uczęszczała na zebrania Peace Pledge Union, lecz coraz mocniej czuła, że to nie ma sensu. W pokoju nauczycielskim i na ulicach Londynu wyczuwało się atmosferę strachu. Człowiek zajmował się codziennymi obowiązkami, ponieważ właściwie nie miał innego wyboru, równie dobrze więc mógł starać się żyć normalnie, gdyż, patrząc realistycznie, nie wydawało się, by owa „normalność" jeszcze długo potrwała. Był jednak strach, mroczny i lodowaty, który wypływał od czasu do czasu na powierzchnię świadomości.

Nauczyciele dokładali starań, by ich obawy nie zatruły atmosfery w szkole, choć niekiedy zdarzały się nieoczekiwane, ostre sprzeczki. Kay nie była jedyną pacyfistką w Oaklands. Odnosiła wrażenie, że lęk udziela się nawet bywalcom nocnych klubów i przyjęć, na które chodziła z Johnnym. Jak gdyby ludzie usiłowali zatrzeć obawy niefrasobliwością albo wypijanymi koktajlami, żeby nie rozmyślać o tym, co czyha tuż za rogiem.

Bardzo rzadko ona i Johnny przebywali sam na sam. Wszyscy przyjaźnili się z Johnnym. Gdy spotykali się w Trocadero – Johnny przepadał za tamtejszą restauracją – Kay wpadała w tłum ludzi,

dziesięć albo tuzin osób, zabawnych, atrakcyjnych, beztroskich. Choć Johnny zawsze usprawiedliwiał spóźnienia albo dłuższą nieobecność – spotkał w klubie znajomego, którego nie widział od lat, albo pojechał do Paryża grać na pianinie – i choć mówiła zawsze: „Jak to miło" albo „Zazdroszczę ci Paryża, szczęściarzu", przyłapywała się później na sumowaniu godzin spędzonych razem. Jakby to się dało rozwiązać za pomocą rachunków.

Pewnego piątku w porze lunchu zajrzała do swojej przegródki, czy nie ma tam listu lub choćby pocztówki od Johnny'ego z wiadomością, że na nią czeka. Ale nie było nic. Gdy mijała pokój Virginii, przyszło jej do głowy, że mogłaby zadzwonić do niego do pracy – łatwy kontakt, Gilfoyle i Synowie w Surrey Docks – lecz coś ją powstrzymało, być może duma.

Lunch, później lekcje do czwartej, przerwa na podwieczorek, a następnie sprawdzanie prac domowych. Potem kolacja. Nikt nie telefonował, a w popołudniowej poczcie nie przyszły do niej żadne listy. Obiecała pomóc Virginii w wyborze utworów muzycznych na szkolny koncert, co też uczyniła. Długo siedziała na podłodze, przepisując partie i wkładając je do oddzielnych teczek. Kiedy skończyły, wybiła dziesiąta. Kay zapytała Virginię, czy może skorzystać z telefonu.

Gdy odezwała się telefonistka, Kay podała jej numer klubu w Soho. Po długim oczekiwaniu połączono ją z właścicielem. Słyszała w tle muzykę, podniesione głosy i śmiechy. Zapytała o Johnny'ego.

Znowu czekała długą chwilę. Wreszcie usłyszała jego głos:

– Halo?

– Mówi Kay. – Jak zwykle dreszcz przebiegł jej po plecach.

– Kay! Jak się miewasz, kochanie?

– Bardzo dobrze. Spotkamy się jutro?

– Jutro?

– Przyjęcie…

– A tak, jubel w klubie myśliwskim. Prawdę mówiąc, staruszko, chyba nie dam rady przyjść. To draństwo, ale muszę pojechać do Portsmouth.

– Och. – Coś ją ścisnęło w środku. – Wielka szkoda.

Z drugiego końca linii dobiegły stłumione głosy, Johnny'ego i kogoś jeszcze. Potem jakaś dziewczyna wykrzyknęła:

– Powiedzieć ci prawdę o Johnnym Gilfoyle'u? To skończona świnia, żebyś wiedziała!

– Cicho bądź, Sereno – rzucił Johnny i zapytał Kay: – Co teraz porabiasz? Może byś wskoczyła do taksówki i przyjechała do nas? Wszyscy tu są i pysznie się bawimy.

– Mam przyjechać? – Nabrała otuchy.

– Oczywiście. Pospiesz się, zabawa dopiero się rozkręca.

W swoim pokoju na górze zmyła atrament z palców i zrobiła makijaż. Nie miała czasu umyć włosów, więc wyszczotkowała je energicznie, aż zabłysły złocistym brązem, opadając w puszystych falach. Przebrała się w sukienkę z zielonego szyfonu, kupioną wieki temu w Paryżu, z Mirandą. Miała tylko niewielkie lusterko, lecz jeśli stanęła na krześle, mogła się częściowo przejrzeć.

Taksówki drogo kosztowały, więc pojechała kolejką podziemną – w swojej szyfonowej sukience i płaszczu przeciwdeszczowym – i przebiegła w deszczu ze stacji do klubu. Wąskie kamienne stopnie prowadziły w dół, do piwnicy, a przy wejściu postawny facet w źle dopasowanym wieczorowym stroju przyjrzał się Kay, po czym zaprosił ją gestem do środka. Jakaś kobieta o rudych włosach, mocno poskręcanych trwałą ondulacją, odebrała od niej płaszcz.

Zmysłowa, natarczywa muzyka poprowadziła Kay do ciemnego, zatłoczonego pomieszczenia. Przyćmione, różowawe światło rozjaśniało ściany ozdobione srebrzystymi zygzakami i kilka okrągłych metalowych stolików, na których stały świeczki w słoikach. Niedopałki papierosów walały się po podłodze, a na barowej ladzie odbiły się kółeczka od szklanek z napojami. Chmura dymu zasnuła niewielki parkiet do tańca. W kącie, na mikroskopijnej przestrzeni, ulokował się zespół: pianino, saksofon, kontrabas oraz piosenkarka, wysoka, smukła czarna kobieta, mieniąca się od stóp do głów srebrnymi cekinami, która kuliła ramiona i pieściła mikrofon, gdy śpiewała.

I nagle zjawił się Johnny; wziął Kay w ramiona, pocałował ją i powiedział:

– Tak bardzo się cieszę, że mogłaś przyjść. Czy to nie przecudowne miejsce?

– Jedna z twoich podejrzanych spelunek, prawda, Johnny?

Jego ciemne oczy rozbłysły.

– Lubię spelunki. Przepadam za spelunkami, Kay, przecież o tym wiesz.

Johnny i jego paczka pili szampana… w każdym razie coś musującego, co udawało szampan. Do stolika przysiadło się ponad pół tuzina znajomych; co rusz ktoś odchodził, a na jego miejsce przybywała jakaś para, wykrzykując o deszczu albo o przyjęciu, z którego wracają. Johnny zagrał na pianinie i wszyscy się ożywili; nawet pijaczek przy sąsiednim stole poruszył się i otworzył jedno oko. Później, gdy tańczyła z Johnnym, miała wrażenie, że wszystko, co istotne – miłość, pożądanie, bliskość – skrystalizowało się w tej jednej niezmąconej chwili.

Ale z upływem godzin jej zadowolenie słabło. Dwa tańce – i Johnny odchodził, by porozmawiać lub zatańczyć z kimś innym, jakąś blondynką, która zajrzała do klubu po kolacji w hotelu Claridge, czy też brunetką, która spędziła cały dzień w łóżku i wstała o piątej, żeby się wykąpać i przebrać w wieczorową suknię przed kolejnym koktajlem, kolacją i zabawą w nocnym klubie. Żadna z tych dziewczyn, jak przypuszczała Kay, nie musiała ścierać pumeksem z palców plam atramentu ani biec w deszczu do kolejki podziemnej. Żadna nie starała się z całych sił nie zasnąć o trzeciej nad ranem, będąc na nogach od siódmej poprzedniego dnia.

Chwilami łapała się na tym, że ich nienawidzi, tych Rosamund, Evelin i Angeli, które nalegały na „jeden krótki taniec” z Johnnym. Aż ją zaskakiwał gniew, wzbierający w niej na widok gładkich, upudrowanych twarzy i gdy słyszała ów wytworny akcent, typowy dla wyższych klas. Dziewczęta, które nigdy nie musiały przepracować ani jednego dnia, które miały największe powodzenie w szkole, a potem zostawały debiutantkami roku. Kay poczuła niechęć do samej siebie za to, że nie może ich znieść; nie przypuszczała, że potrafi być zazdrosna.

Miranda otrzymała list od ojca z wiadomością, iż Konstantin nie czuje się dobrze i prosi, by odwiedziła go w Paryżu. „Prosi”… Po raz pierwszy w jej życiu ojciec o coś poprosił, zamiast wydać rozkaz.

Wyszła na spacer z Giselą, usiłując podjąć jakąś decyzję. Poszarpane białe obłoki przesuwały się po niebie błękitnym jak chabry. Przecięła ogród, minęła brzozy, przez które przenikały falujące plamki światła, a potem zapuściła się w głąb wąskiego cypla, wbijającego się w jezioro. Przysiadła, wpatrzona w wodę, podczas gdy Gisela pobiegła brzegiem, płosząc stado kaczek, które z kwakaniem wzbiły się w powietrze. Wiatr unosił fale, a trzciny szeleściły niespokojnie, szepcząc do siebie nawzajem. Wzdłuż jeziora kroczyła dostojnie czapla, okrążając cypel. Nie było widać łódek, domów ani gospodarstw. Ani ludzi. Równie dobrze mogła być jedyną istotą na ziemi. Być może wszyscy inni uciekli, pozostawiając Prusy Wschodnie bocianom, zającom i sarnom.

Niczego nie była dłużna ojcu. Mimo to, ku swemu zaskoczeniu, chwilami za nim tęskniła. Życie bez niego wydawało się niekiedy – jak to nazwać? – bezbarwne. Jak mięso bez soli.

Jakaś jej cząstka nadal spodziewała się zmiany, zniknięcia tego wszystkiego w jednej chwili. Budząc się rano, wyobrażała sobie, że Friedrich powie nieoczekiwanie: „Za długo tu siedzieliśmy, dzisiaj wyjeżdżamy do Paryża”. Albo do Wiednia. Albo do Rzymu. Gdyby miała dziecko, czułaby się inaczej, pomyślała. Ale był już koniec maja, od dnia ślubu upłynęło dziewięć miesięcy, a ona jeszcze nie zaszła w ciążę. Słońce wynurzyło się zza chmury, roztaczając srebrzysty blask po drugiej stronie jeziora. Paryż, pomyślała tęsknie Miranda.

Ojciec chciał porozmawiać z nią o pieniądzach. Mieszkanie, w którym na kilka miesięcy się zatrzymał, było urządzone z elegancją z przełomu wieków. Zawsze wszystko co najlepsze dla Konstantina Denisowa, który leżał w łóżku wsparty na poduszkach, dochodząc do siebie po ataku apopleksji. Był blady, miał spuchniętą twarz i ręce, a jego głosowi brakowało mocy. Wyglądał, jakby utracił część energii

i woli życia. To, że ojciec naprawdę jest chory, wstrząsnęło Mirandą; wcześniej przypuszczała, iż w jego liście kryje się jakiś podstęp.

Przed rozmową z córką Konstantin odprawił pielęgniarkę. Kiedy odeszła, zwrócił się do Mirandy:

– Mam dom w Londynie, a niedawno kupiłem willę w Nicei. Są konta bankowe w Paryżu, Berlinie i Londynie, a także skrytka depozytowa w Szwajcarii. Kowłowski, podaj hrabinie von Kahlberg numery kont.

Księgowy ojca, monsieur Kowłowski, krętacz z popsutymi zębami, podsunął Mirandzie arkusz papieru.

– W banku w Genewie leży gotówka, złoto i obligacje – ciągnął Konstantin. – Gotówka jest we frankach szwajcarskich. Wody…

Miranda podała mu szklankę.

– Przepisałem tytuł własności londyńskiego domu na ciebie. – Konstantin pstryknął palcami i księgowy wręczył jej następne arkusze papieru.

Miranda spojrzała na dokumenty.

– Papo…

– Jest niezmiernie ważne, żebyś trzymała to w bezpiecznym miejscu, rozumiesz? Sprzedałem udziały w handlu zbożem, szkoda, ale miałem pewne długi do pilnego spłacenia. Zatrzymam pakiet udziałów kopalni i pól naftowych najdłużej, jak zdołam. Gdy wybuchnie wojna, armia będzie potrzebowała węgla i ropy.

– Wyzdrowiejesz, papo – zapewniła go. – Wiem, że tak będzie.

Gwałtownym ruchem złapał ją za nadgarstek, mocniej, niż można by się spodziewać po chorym człowieku.

– Nie wiesz nic a nic, Mirando. Nikt nie zna przyszłości. – Zniżył głos. – Jeśli Niemcy napadną na Rosję, musisz porzucić tego swojego męża. Niemcy nigdy nie pokonają rosyjskich wojsk na rosyjskiej ziemi. Jeżeli Niemcy postanowią walczyć z Rosją, zostaną rozgromione. A będą walczyć, prędzej czy później.

Minął tydzień. Miranda napisała do Friedricha, tłumacząc się, że musi zostać z ojcem. Przedpołudnia spędzała w mieszkaniu Konstantina, a po południu, gdy chory odpoczywał, odwiedzała znajomych i chodziła na przymiarki do salonu mody. Pokazywano jej jedwabie i inne tkaniny, urocze modelki spacerowały przed nią,

prezentując sukienki albo letnie okrycia. Paryż był rozgrzany, pełen ruchu i napięcia, prawdziwy wstrząs po sennym krajobrazie Prus Wschodnich. Chwilami czuła się tak, jakby na nowo powracała do życia.

Po długim lunchu ze scenarzystą w Café de Flore Olivier Roussel ruszył pieszo do swojego biura. Niósł w płóciennej torbie rybacką sieć, kilka szklanych pływaków i dwa tuziny gumowych rybek. Torba, acz niezbyt ciężka, była pokaźna i nieporęczna, zwłaszcza gdy musiał przepychać się z nią przez tłumy turystów i zakupowiczów na Pont de la Concorde. Przedzierając się przez ulice i omijając motocykl zionący czarnym dymem, omal nie zgubił gumowych rybek.

Na Polach Elizejskich zauważył dziewczynę w czarnym słomkowym kapeluszu. Szła mniej więcej dwadzieścia metrów przed nim, zdecydowanym krokiem, czarna torebka z lakierowanej skóry kołysała się na jej ramieniu, a wysokie obcasy czarnych lakierowanych pantofli stukały po chodniku. Olivier zwolnił, podziwiając jej nogi i ruch bioder. Miała na sobie kremową sukienkę z odkrytymi plecami i czarnymi wykończeniami, bardzo szykowną. Zatrzymała się przy witrynie z jedwabnymi szalami, lekko potrząsnęła głową i ruszyła dalej.

Ten ruch wydał mu się znajomy. W podobny sposób potrząsała głową Miranda, kiedy czegoś nie pochwalała, z czymś się nie zgadzała albo po prostu uznawała coś za niegodne jej uwagi. Ta dziewczyna miała nogi jak Miranda, była drobna i smukła jak Miranda, a choć jej głowę zakrywał kapelusz, dało się dostrzec pukle czarnych włosów, gdy oglądała wystawę.

Zrównał się z nią, spojrzał i powiedział:

– Mój Boże, Mirando!

Przystanęła i odwróciła się w jego stronę. Uniosła do ust dłoń w czarnej rękawiczce.

– Och.

– Bardzo się spóźniłaś – powiedział.

– Spóźniłam?

– Prawdę mówiąc, dwa lata. – Nie mógł przestać się uśmiechać. – Ale ty przecież zawsze się spóźniasz.

– Tak, rzeczywiście. – Wyrwało jej się coś między śmiechem a szlochem. – Och, Olivierze!

Ucałował ją w oba policzki. Otoczył go obłok perfum Shalimar, a jej włosy, nie wiadomo dlaczego, jak zawsze pachniały cytryną. Policzek, który musnął ustami, był chłodny i gładki.

– Co u ciebie słychać? Opowiedz mi wszystko. Dokąd idziesz? Jesteś zajęty? – zapytała.

– Muszę to zanieść do biura i zatelefonować. – Podniósł płócienną torbę. – Ale później jestem wolny. A ty? Moglibyśmy pójść na kawę.

– Jestem umówiona w salonie mody. – Spojrzała figlarnie. – Ale chyba mogę się spóźnić, prawda?

Biuro Oliviera mieściło się gdzieś w plątaninie uliczek między Place de la République i Marais. W metrze rozmawiali przez chwilę. Miranda poinformowała Oliviera, że jest w Paryżu od tygodnia. Bardzo miło spędza czas. I jak to cudownie znowu się spotkać! Próbowała do niego zatelefonować, gdy ostatnio tu była, przed rokiem, ale się wyprowadził. Wygląda tak samo jak dawniej – nie, prawie tak samo. Przyjrzała mu się w sposób, który sprawił, że zaschło mu w ustach. Wygląda, jakby… odniósł sukces.

– Och, ledwie udaje mi się przeżyć – odparł z szerokim uśmiechem.

– Co masz w tej torbie?

– Sieć rybacką, pływaki i dwa tuziny gumowych rybek.

Zachichotała.

– Po co ci te rybki, *chéri*?

Wymówiła to czułe słowo takim tonem, że zaczęła go mrowić skóra. Wyjaśnił:

– Pracuję jako asystent u Réne Claira.

– Kto to taki?

– Słynny reżyser filmowy, ignorantko. Kręcimy film gangsterski, główną rolę gra Jean Gabin. Bardzo kapryśny, prawdziwa zmora. Jest tam scena w chacie rybackiej nad zatoką w Marsylii. A gdy używa się reflektorów, prawdziwe ryby zaczynają ohydnie cuchnąć, więc…

Przeszli od stacji metra do budynku przy Rue Dupuis, między sklepem warzywnym a warsztatem, gdzie robiono smyczki do

skrzypiec. Gdy wspinali się wąskimi schodami do gabinetu na najwyższym piętrze, odsunęli się od siebie, lecz ich ręce pozostały złączone, jakby byli związani.

Dwie dziewczyny z zespołu maszynistek pracującego na pierwszym piętrze zagadały do Oliviera, kiedy przechodzili obok. Musieli usunąć się na bok, gdy z góry ciężkim krokiem schodziła kobieta z wiadrem i szczotką.

Olivier otworzył drzwi swojego pokoju. Rolety były spuszczone; w rozgrzanym powietrzu unosił się kurz.

– Mirando – powiedział Olivier i w tej samej chwili zatrzasnął drzwi. Uniosła ku niemu twarz, a wtedy ją pocałował.

Upuścił torbę i zaczęli nawzajem zrywać z siebie ubrania, szklane pływaki potoczyły się po podłodze, a z rybek usypał się mały srebrzysty kopczyk.

Kochali się na stojąco, a potem na sofie. A później usiadła mu na kolanach.

Nigdy przedtem tak się nie kochała. Z Friedrichem robili to zwyczajnie, w łóżku.

Po trzecim razie Olivier wciągnął spodnie i wyszedł, a chwilę później wrócił ze szklanką wody. Leżeli na sofie, tuż obok siebie i popijali wodę z tej wspólnej szklanki. Przesunął dłonią po piersiach, brzuchu i udach Mirandy. „Jak jedwab” – szepnął.

Następnym razem kochał się z nią powoli, czule, miłośnie. Kilkakrotnie dzwonił telefon, lecz Olivier nie zwrócił na to uwagi. Dotykał ustami każdego skrawka jej ciała: podbicia stóp, miękkiej skóry po wewnętrznej stronie ud. Tym razem, gdy osiągnęła szczyt, zapłakała. Zapytał, dlaczego płacze, lecz ona pokręciła głową, bo sama tego nie rozumiała. Powiedziała tylko:

– Przypuszczam, że zawsze uwodzisz tu kobiety.

– Codziennie. Spotykam je na ulicy i zapraszam do biura. – Pocałował ją w płatek ucha. – Nie, daję słowo, ty jesteś pierwsza. Choć raz czy dwa przespałem się tutaj, gdy pracowałem do późna.

– Straszny tu bałagan. – Na biurku piętrzyły się sterty papierów, a na podłodze i półkach leżały dziwne przedmioty: maski, kilka

parasolek w jaskrawych kolorach, łeb lwa, dwa rewolwery, które, jak przypuszczała, były atrapami.

Olivier leniwie pogładził ją po brzuchu opuszkami palców.

– Następnym razem posprzątam.

– Następnym razem pójdziemy do mnie.

– Gdzie się zatrzymałaś?

– W Crillon.

Obrócił się, by móc widzieć jej twarz.

– Dlaczego nie wróciłaś do Paryża?

Wzruszyła ramionami.

– Przez ojca.

Ujął jej lewą dłoń i pocałował. Dotknął kciukiem jej obrączki i pierścionka zaręczynowego.

– Opowiedz mi.

– Nazywa się Friedrich von Kahlberg. Hrabia von Kahlberg.

– Więc jesteś hrabiną?

– Tak. I mieszkam w pałacu. Czy to nie nadzwyczajne?

Zaśmiał się krótko.

– Ty zawsze byłaś niezwykła.

– Tak – potwierdziła z zadowoleniem. – To prawda. A co u ciebie, Olivierze? Ożeniłeś się?

– Nie. – Musnął ustami jej szyję.

– Masz narzeczoną?

– Nie.

– No to na pewno jakąś przyjaciółkę.

– Jedną czy dwie.

– Są ładne?

– Bardzo.

– Ładniejsze ode mnie?

Podparł się łokciem i popatrzył na nią z zastanowieniem.

– Hmmm…

– Olivierze. – Lekko trąciła go w pierś.

Złapał jej ręce i zarzucił sobie na szyję.

– Jak mogłyby być ładniejsze od ciebie? Ale ty nie jesteś ładna, Mirando, ty jesteś piękna. Jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką

widziałem w życiu. Pomyślałem tak już pierwszego dnia, gdy cię spotkałem w Parc Monceau.

Pocałował ją w usta i w dołeczek w szyi, a Miranda zamknęła oczy i westchnęła z rozkoszy.

Było już ciemno, gdy wreszcie się ubrali i wyszli coś zjeść. Olivier zabrał ją do restauracji na Marais, zupełnie innej niż te, do których zazwyczaj chodziła. Był tam jeden wielki stół, wokół którego siedzieli wszyscy goście, rozpychając się łokciami. Na końcu stołu kobieta karmiła niemowlę; mężczyzna obok Mirandy miał na sobie niebieski kombinezon i własnoręcznie skręcał papierosy.

Ale jedzenie podawano tu niebiańskie. Nie przyszło jej do głowy, że mogłaby być głodna – czuła się nasycona i z pewnością daleka od jakiegokolwiek głodu – lecz karczochy były soczyste i obficie polane masłem, a jagnięcina pływała w zawiesistym, ciemnym sosie. Olivier otaczał ramieniem talię Mirandy, przez co mogli używać jedynie widelców, ich ciała lgnęły do siebie, jej głowa spoczywała na jego ramieniu, wyczuwała słony, mydlany zapach jego skóry i najchętniej zakorkowałaby tę chwilę w butelce, by zatrzymać ją na zawsze.

Codzienne rano odwiedzała ojca. Zawsze posłuszna córka. Zaledwie Konstantin trochę się wzmocnił, spróbował znowu nagiąć ją do swojej woli.

Dlaczego zatrzymała się w hotelu? Powinna zamieszkać tutaj, przy ojcu.

– Nie, papo.

– Dlaczego nie?

Szczera odpowiedź brzmiałaby następująco: „Ponieważ wówczas nie mogłabym spędzać popołudni w łóżku z moim kochankiem”. Zamiast tego odparła:

– Lubię Crillon. Odpowiada mi.

Powinna przynajmniej zjeść z nim kolację. Wkrótce poczuje się dostatecznie dobrze, by wyjść wieczorem do restauracji.

Odmówiła; „Nie, papo, to by cię zanadto zmęczyło. Musisz być rozsądny”. Warknął, słysząc te słowa. Miranda obiecała, że zje z nim

lunch tutaj, w mieszkaniu, jeśli sobie życzy. Ponadto wieczorami jest zajęta. Spotyka się z przyjaciółmi z dawnych lat.

Była teraz kobietą zamężną, co oznaczało, że może się widywać, z kim tylko zechce. Ojciec już nie trzymał jej w szachu. Przedpołudnia należały do niego, lecz wieczory – oraz popołudnia, gdy pozwalała na to jego praca – poświęcała Olivierowi. Czasami jadali w restauracjach. Raz poszli do kina, a niekiedy spacerowali po parku. Przeważnie jednak pozostawali w łóżku. W jej łóżku w hotelu albo w jego łóżku w mieszkaniu na Marais. Albo na sofie w jego biurze, przez wzgląd na dawne czasy.

Odkryła, że można pomieścić całe życie w jednym dniu. Cenna była dla niej każda godzina, minuta i sekunda.

Na drzwiach pokoju w Crillon wisiała wywieszka „Nie przeszkadzać". Późne popołudnie przechodziło już we wczesny wieczór. Kochali się bez pośpiechu i z lubością, świadomi, że prawie wszyscy ludzie w mieście pędzą teraz z pracy do domu, a oni, para szczęściarzy, nie należą do tego grona.

Miranda wstała z łóżka i podeszła do okna.

– Jeśli jakiś taksówkarz będzie miał szczęście i spojrzy teraz z dołu – zauważył Olivier – zobaczy cudowny widok.

Stojąc nago, popatrzyła na ruch uliczny przy Place de la Concorde. Odwróciła się i uśmiechnęła do Oliviera.

– Uważasz, że powinnam się ubrać, kochanie?

– Skądże znowu. Lubię na ciebie patrzeć, gdy tak chodzisz. Jak gdyby nigdy nic.

– Tak naprawdę jestem bardzo skromna. Zazwyczaj sięgam po szlafrok, gdy tylko wyjdę z łóżka. Może dlatego, że w pałacu zawsze jest zimno.

Wróciła do łóżka i położyła się, opierając głowę o twardy brzuch Oliviera. Zapalił dwa papierosy i podał jej jednego. Lubiła palić w łóżku, czuła się wtedy rozkosznie dekadencko.

– O czym myślisz? – zapytał Olivier.

– O tym, że cię uwielbiam.

– Świetnie się składa, bo ja ciebie również. – Pogładził jej włosy. – Kocham cię, Mirando. Nigdy nie czułem czegoś podobnego. Kocham cię całym sercem.

Odgłosy ruchu ulicznego wdzierały się przez otwarte okno, a na korytarzu szczękał i terkotał przesuwany wózek. Gdy była z Olivierem, nie chciała być nigdzie indziej ani stać się kimś innym. Przy nim mogła być naga, ciałem, sercem i duszą.

Chciała dowiedzieć się o nim wszystkiego. Jaki jest jego ulubiony film, ulubiona powieść, co najbardziej lubi jeść.

Zastanowił się chwilę.

– Gotowanego kraba – odparł wreszcie. – Lubię rozbierać go na części. Wolałbym myśleć, że to z powodu wyzwania natury technicznej, ale obawiam się, że po prostu w głębi serca jestem dzikusem.

Otoczył Mirandę ramionami, aż pisnęła cicho.

– Kiedy w całym życiu najbardziej się nudziłeś, Olivierze?

– Podczas służby wojskowej – odparł. – Byliśmy w polach nad Marną. Mieliśmy wykopać rów i bronić go przed atakiem. Ale atakujący gdzieś się zagubili, więc przeczekaliśmy cały dzień, gotowi do działania. Był to bardzo chłodny zimowy dzień. – Zadygotał demonstracyjnie i pocałował Mirandę. – A pani, hrabino? Proszę powiedzieć, co panią nuży?

– Pewnego razu, gdy byłam jeszcze bardzo mała, nużyło mnie wszystko. Dokładnie pamiętam tamten dzień. Miałam trzynaście lat, jechaliśmy pociągiem z Berlina do Hamburga. Jako dziecko bardzo lubiłam podróże pociągiem, a wówczas nagle poczułam się zmęczona, uznałam, że to nudne. Myślałam, że umrę z nudów. Potem nudziłam się chyba przez cały czas, dopóki nie pojawiła się Kay. – I Miranda zadała ostatnie pytanie. – Kiedy byłeś najszczęśliwszy w życiu? Musisz się nad tym głęboko zastanowić, Olivierze.

– Teraz jestem – odparł.

Poinformował ją, że jego belgijski sponsor, monsieur Charlier, wycofał się wkrótce po tym, jak ona i Kay wyjechały do Berlina, i zabrakło pieniędzy na film. Biedny Olivier, powiedziała, choć w skrytości ducha ucieszyła się, że nie zastąpił jej inną Camille.

Później przez pewien czas było mu ciężko. Próbował sobie radzić, nakręcił parę filmów reklamowych i utrwalił na taśmie wiele ślubów, w końcu jednak musiał zrezygnować z magazynu. I nagle, ni stąd, ni zowąd, los się do niego uśmiechnął – René Clair zobaczył jego krótki film sprzed paru lat i zaproponował mu pracę. Większość jego codziennych zajęć nie zaliczała się do ambitnych, ale mógł się dużo nauczyć, obserwując mistrza. Było to bezcenne doświadczenie, a gdy film zostanie już ukończony, Olivier wskrzesi swoje przedsiębiorstwo, znajdzie nowego sponsora i wyprodukuje coś własnego, coś wspaniałego.

Opowiedziała mu o Sommerfeld. O długiej mroźnej zimie, kwitnących wiosennych sadach, kormoranie pikującym niczym czarna strzała prosto w jezioro za pałacem. O kuzynach Friedricha, przyjęciach i tańcach. O wizytach w wielkich rezydencjach u przyjaciół i krewnych męża.

– To naprawdę niezwykłe domy, kochanie – mówiła. – Okazałe i dostojne, stoją tam od niepamiętnych czasów, a oni w ogóle nie kupują nowych mebli ani nowych ozdób do postawienia na kominku. Wszystko po prostu już tam jest. Teraz widzę, że mój ojciec i ja jesteśmy straszliwymi nuworyszami.

Nigdy nie opowiadała mu o Friedrichu. Wydawało jej się, że byłoby to nielojalne. Być może dopuściła się większej nielojalności niż mówienie o mężu, ale tak to dla niej wyglądało.

Podwórze w sąsiedztwie mieszkania Oliviera oddzielały od ulicy masywne podwójne drzwi wysokości prawie czterech metrów. Marais była starą, bardzo starą dzielnicą Paryża, stały tu domu z zawilgoconymi tynkami i śladami po lampach naftowych na ścianach kamienic. W mieszkaniu Oliviera wisiały plakaty filmowe i znajdowała się ceramika w opalizujących kolorach – turkusowym, czerwonofioletowym, złotym.

– Czy to dzieła twojej matki? – zapytała Miranda, dotykając figurki kobiety w niebieskiej sukni, o falistych liniach i ciemnych oczach kształtu migdałów.

– Tak, wszystkie. – Parzył kawę w kuchni. – Podobają ci się?

– Bardzo. Choć na przykład to… – Wskazała wazon z wyżłobionymi czarnymi i czerwonymi, kanciastymi liniami, tu i ówdzie przerywanymi.

– Mama była ciężko chora, kiedy to robiła. Bardzo cierpiała.

– Biedaczka. Ile miałeś lat, kiedy umarła?

Olivier postawił dzbanek z kawą na stole i wyjął z kredensu dwie maleńkie filiżanki pomalowane w różnokolorowe paski.

– Piętnaście – odrzekł. – Ojciec zmarł rok później. Kiedy dorastałem, rodzice często się kłócili. Obydwoje mieli bardzo zdecydowane poglądy na świat i kompromis przychodził im z trudem. Ale mimo wszystko nie mogli bez siebie żyć.

Miranda pogładziła go po twarzy.

– My się nigdy nie pokłócimy, prawda?

– Nigdy. – Ucałował jej dłonie.

– Ach, te ptaki są cudowne!

Blisko okna kręciły się na bawełnianych tasiemkach dwa ceramiczne błękitnogrzbiete drozdy o złocistych dzióbkach, z rozpostartymi skrzydłami. Poruszały nimi łagodne powiewy wiatru.

Olivier stanął obok niej.

– Moja matka zrobiła je, gdy była w ciąży. Wisiały nad moją kołyską. – Trącił sznureczki i ptaszki zakołysały się tanecznie.

– Są piękne – powiedziała Miranda. – Jak to miło zasypiać, spoglądając na fruwające drozdy.

Mieli bardzo wiele wspólnego. Obydwoje ogromnie lubili długie, leniwe lunche i szperanie na straganach z książkami nad Sekwaną, nie znosili szarej, pochmurnej pogody i uwielbiali słońce. Lubili ekscentryków o nietypowych zainteresowaniach, ludzi, którzy hodowali papugi, kolekcjonowali zabytkowe gałki od drzwi albo fotografowali dworce kolejowe, jak wuj Karl. Obydwoje, oczywiście, przepadali za kinem, choć wynikła między nimi drobna różnica zdań, czy lepsze są filmy gangsterskie, czy też romanse. Film gangsterski z wątkiem romantycznym, rozstrzygnął Olivier, na co Miranda przyznała: tak, to jest to.

Rozpatrywali cechy charakteru, które podziwiają.

– Odwaga – powiedział Olivier.

– Naturalnie, odwaga – zgodziła się Miranda. – Ale także dobroć. Czasami myślę, że równie trudno jest być dobrym jak dzielnym.

Siedzieli przy ogródkowym stoliku przed kawiarnią. Promienie słońca przeświecały przez pasiastą markizę, rzucając cienie na chodnik. Miranda podjęła:

– To była jedna z pierwszych rzeczy, jakie w tobie pokochałam, twoja dobroć. Dostrzegłam ją już w chwili, gdy cię poznałam. Podobnie było z Kay. Kay jest dobra. Ja natomiast nie, staram się być, ale tak naprawdę nie jestem. Obserwuję siebie przez cały czas i próbuję wyczytać, co myślą o mnie inni, jakie sprawiam wrażenie, czy mnie lubią. A jeśli się obawiam, że nie bardzo mnie lubią, zmieniam się trochę. Ojciec powtarza, że jestem przebiegła. Przypuszczam, że ma słuszność. W końcu powinien wiedzieć. Nie można być dobrym, jeśli bez przerwy myśli się tylko o sobie. – Umilkła na chwilę, zaczęła kruszyć w palcach chleb i rzucać okruchy wróblom, które skakały pod stolikami. Wreszcie dodała: – Ale kiedy jestem z tobą, staję się lepsza. Nie staram się odgadnąć, co o mnie myślisz, bo wiem, że mnie kochasz. To zabawne: ponieważ się nie boję, że mnie nie polubisz, sama nie czuję do siebie niechęci.

Minęły dwa tygodnie. Ojciec Mirandy z każdym dniem nabierał sił. Już nie leżał rano w łóżku, gdy go odwiedzała, lecz przenosił się na fotel w salonie, mając na stoliku obok gazety i telefon. Napisała do Friedricha, informując go w liście, iż ojciec wraca do zdrowia.

Ostatni wieczór w Paryżu nadszedł o wiele za szybko.

Zjedli kolację w cichej restauracyjce, a później wrócili do mieszkania Oliviera. Kochali się, pospali trochę, potem się obudzili, znowu się kochali i znowu zapadli w drzemkę. W końcu blade światło brzasku przesączyło się przez żaluzje do pokoju.

Miranda powiedziała, że musi iść. Friedrich umówił się z nią w Berlinie; musiała się spakować i zdążyć na pociąg. Usiadła na łóżku, wpatrując się w Oliviera.

– Co robisz? – zapytał.

– Zapamiętuję cię. – Może jej oko zadziała jak obiektyw aparatu fotograficznego. Może jeśli będzie patrzyła dostatecznie długo,

w przyszłości wystarczy mrugnąć, a zobaczy Oliviera. Trójkąt jego torsu, szerokie ramiona i wąskie biodra, silne i kształtne ręce, wygięta górna warga, którą tak lubiła całować, oczy barwy karmelu i korsykańskiego miodu.

– Zostań ze mną – powiedział.

– *Chéri*, wiesz, że nie mogę. – Jej słowa zabrzmiały cicho jak westchnienie.

Wstał z łóżka, włożył spodnie, zaparzył kawę, zapalił dwa papierosy i podał jednego Mirandzie. Siadając obok niej na łóżku, zauważył z lekką goryczą:

– Powinniśmy byli uciec razem dwa lata temu, nie sądzisz?

Ścisnęła jego dłoń.

– Kochanie, przecież nie wiedzieliśmy. Nie rozumieliśmy.

– Kiedy cię znowu zobaczę? – Splótł palce z jej palcami.

– Nie wiem. – Zastanowiła się. – Mamy zobowiązania: święta, wizyty u krewnych Friedricha, wyjazd do Berlina. Przypuszczam, że to będzie wrzesień. Tak, Friedrich na pewno zrozumie, że we wrześniu muszę ponownie odwiedzić ojca.

Odsunął pukiel włosów, który opadł jej na twarz. Jego spojrzenie spoczęło na niej, skupione, poważne, pełne miłości.

– Jeśli wybuchnie wojna – powiedział – powinnaś wyjechać do Anglii.

– Kochanie, gdybym miała dokądkolwiek wyjeżdżać, pojechałabym do Paryża.

– Nie. Podczas ostatniej wojny Niemcy znaleźli się o tyle – pokazał minimalny odcinek między palcem wskazującym a kciukiem – od Paryża. Obawiam się, że teraz znowu będziemy musieli przechodzić przez to samo. – Potrząsnął głową z rezygnacją i gniewem. – Mirando, jeśli, nie daj Boże, Paryż upadnie, co zrobi twój ojciec?

– Kochanie…

– Chodzi mi o to, po czyjej stronie się opowie?

– Zapewne po tej, która da mu najwięcej zarobić.

Olivier zmarszczył brwi.

– Mam nadzieję, wierzę, że nic nam nie grozi, ale nie można mieć co do tego pewności. Jeśli jednak dojdzie do wojny, zostanę powołany. Jestem żołnierzem rezerwy. Nie przyjeżdżaj do Paryża.

W Anglii będziesz bezpieczna. Masz tam dom, prawda? I mieszka tam twoja przyjaciółka Kay, więc nie będziesz sama.

– Olivierze – zaczęła miękko – nie opuszczę Friedricha. Myślałam długo i nie zrobię tego. Już i tak źle postąpiłam, ale nie pogorszę sytuacji, opuszczając go. Nawet gdyby wybuchła wojna i nawet dla ciebie. Zatem, mój kochany – zmusiła się do uśmiechu – wróć do łóżka i przytul mnie, zanim będę musiała iść.

Później odprowadził ją do hotelu. Niebo miało bardzo blady odcień błękitu, powietrze było łagodne i chłodnawe, choć dawała się wyczuć zapowiedź upalnego dnia. Ulice świeciły pustkami. Nieliczne pojazdy przetoczyły się ulicą – konny wóz z kwiczącymi świniami, otwarta ciężarówka wioząca robotników na plac budowy albo do portu. Przemierzyli Place des Vosges i ruszyli Rue Saint Antoine ku rzece, mijając Hôtel de Ville. Paryż, pomyślała Miranda, nigdy nie wyglądał piękniej.

Oparła się o kamienną balustradę na nabrzeżu i spoglądając w stronę Île de la Cité i wielkiej bryły Notre-Dame, powiedziała cicho:

– Jeszcze tydzień temu, zanim ponownie spotkałam ciebie, myślałam, że jestem szczęśliwa.

– Żałujesz tego? – Olivier pogładził palcem jej policzek.

– Nie, ani trochę.

Usłyszała jego następne słowa:

– Mirando, chciałbym, żeby… – i uciszyła go, kładąc mu palec na ustach.

– Nie mów tego.

– Gdy następnym razem przyjedziesz do Paryża…

– Będziesz już żonaty, kochanie. – Starała się mówić lekkim tonem. – Ożenisz się z którąś ze swoich licznych przyjaciółek i będziesz miał ślicznego dzidziusia. Może nawet bliźnięta.

– Bliźnięta, to byłoby miłe. Chłopców czy dziewczynki?

– Chłopców, oczywiście, z kręconymi włosami i brązowymi oczami, takimi jak twoje.

Wziął ją w ramiona, szepcząc, że ją kocha, a Miranda zamknęła oczy, usiłując powstrzymać łzy.

– Gdybyśmy znowu stracili kontakt…

– Nie stracimy.

– Ale gdyby tak się stało, szukaj mnie w Parc Monceau. Będę tam na ciebie czekał.

– Obiecujesz?

– Obiecuję.

Wyjął z kieszeni małą paczuszkę i wsunął w dłoń Mirandy. Poprosił, żeby otworzyła ją dopiero w pociągu.

W hotelu wykąpała się, przebrała w podróżny kostium i spakowała walizki. Wszystko wydawało się takiże wyraziste i roziskrzone – połyskliwe mosiężne guziki uniformu portiera, który znosił na dół jej bagaże, poranne słońce po wyjściu z hotelu, gdy wsiadała do czekającej taksówki. Na Gare du Nord numerowy zabrał jej walizki oraz pudła z kapeluszami i umieścił w wagonie bagażowym, a konduktor zaofiarował się, że zaprowadzi ją do przedziału.

Na peronie Olivier otoczył ją ramionami. Z komina lokomotywy uniósł się pióropusz dymu, zawiadowca dmuchnął w gwizdek. Miranda wsiadła do wagonu.

Pociąg szarpnął i ruszył. Miranda przyłożyła dłoń do okiennej szyby; Olivier przycisnął swoją z drugiej strony. Pociąg wytoczył się z dworca; przez chwilę Olivier biegł obok, a potem zniknął.

Zapytał ją: „Żałujesz tego?”, a ona odparła: „Nie, ani trochę”.

Siedząc w przedziale, zasłoniła oczy ciemnymi okularami, a serce ciążyło jej niczym kamień. Czy powiedziała Olivierowi prawdę? Czy może jakaś jej cząstka pragnęła, by tamtego popołudnia na Polach Elizejskich nadszedł nieco później lub ona sama wybrała się do salonu mody nieco wcześniej, tak by nigdy się nie spotkali. Wtedy nigdy by się nie dowiedziała, co można czuć. Zadowoliłaby się dobrym mężem i pięknym pałacem.

A wszystko szło tak gładko, pomyślała. Czuła się bezpieczna. I nagle grom z jasnego nieba. Będzie musiała zadbać o to, by sprawy znowu potoczyły się gładko. Olivier pozostanie najcenniejszą, lecz na zawsze ukrytą cząstką jej życia. Mogła temu podołać; wszak przywykła do ukrywania tajemnic.

Wyjęła z torebki paczuszkę od niego i rozwinęła papier. Na jej dłoni spoczął mały ceramiczny drozd o błękitnym grzbiecie. Znalazła przy nim karteczkę: „Ja mam drugiego. Będę go zawsze nosił ze sobą i myślał o Tobie". Zamknęła oczy, przytuliła chłodną figurkę do policzka i pomyślała o Olivierze. „Mój Boże, Mirando… Bardzo się spóźniłaś. Prawdę mówiąc, dwa lata". Wyraz jego oczu. Wygięcie kącików ust, kiedy się uśmiechał. Sposób, w jaki jego palce muskały jej nagie ramię, przyprawiając ją o dreszcze.

Pomyślała o następnym liście do Kay.

„Przydarzyło mi się coś przecudownego – napisze. – Nikomu nie mogę o tym powiedzieć, ale Tobie muszę. Wtedy stanie się to dla mnie rzeczywiste".

Rozdział 7

Był piątkowy wieczór. Kay wcześniej otrzymała kartkę od Toma z informacją, że wraca do Anglii i propozycją, by spotkali się tam, gdzie zwykle. Czekając przed barem, wypatrywała przyjaciela w tłumie na chodniku. Gdy go dostrzegła, pomachała i zawołała do niego.

– Wspaniale cię widzieć, Tom!

– I ciebie. – Zdjął plecak i pocałował ją w policzek.

– Pachniesz morzem.

– To była wspaniała przeprawa. Prawie cały czas spędziłem na pokładzie. – Przesunął dłonią po podbródku. – Przepraszam za mój prymitywny wygląd.

W barze kłębił się tłum. Kay przysiadła na skraju ławki, a Tom podszedł do lady. Jego widok dodawał Kay otuchy.

– Jesteś bardzo opalony – zauważyła, kiedy wrócił z napojami.

– Dopiero co wróciłem z Prowansji.

– Z Prowansji? Szczęściarz. – Obrzuciła spojrzeniem klientów baru: urzędników w garniturach i kilka dziewcząt w bawełnianych kolorowych sukienkach. – Żałuję, że nie mogę stąd wyjechać – dodała tęsknie. – Tak bym chciała znowu pojechać do Francji.

– Jak się miewasz, Kay?

– Bardzo dobrze.

– A Johnny?

– Och. – Lekko wzruszyła ramionami i spuściła oczy ku szklance. – Zerwaliśmy ze sobą.

– Przykro mi. To pewnie dla ciebie trudne.

– Tak było, ale teraz już mam to za sobą.

– Co się stało?

– Nic wielkiego. Właściwie nic się nie zmieniło. Byliśmy dla siebie tacy sami jak zawsze. Zaczęłam się tylko zastanawiać, czy innym dziewczętom mówi to samo, co mnie. Czy kiedy z nimi tańczy, przytula je tak jak mnie? – Uśmiechnęła się do Toma, choć nie miała ochoty się uśmiechać. – Więc nie było żadnej gwałtownej kłótni, niczego dramatycznego. Chyba uświadomiłam sobie, że nie jestem dla niego tak wyjątkowa, jak on dla mnie. A potem wszystko między nami jakoś tak wygasło.

– Gdy Edie skończyła ze mną, jedliśmy kolację w koszmarnej restauracji w Esher. Powiedziała mi, że nie jestem odpowiednim kandydatem.

– Och, to przygnębiające.

– Owszem. Ale prawdopodobnie miała słuszność.

Wydał jej się ponury, co było do niego niepodobne. Dotknęła jego dłoni i odezwała się pocieszającym tonem:

– Ja uważam, że jesteś świetnym kandydatem. Bóg jeden wie, co by się ze mną stało, gdybyś mi nie pomógł wtedy w Berlinie.

Tłum wokół baru zgęstniał; rozległy się okrzyki, gdy ktoś wszedł do lokalu, a następnie fałszująca wersja „For He's a Jolly Good Fellow", która na pewien czas uniemożliwiła wszelkie rozmowy. Gdy śpiewy ucichły, Tom przemówił:

– Ciągle o niej myślę. Próbuję sobie wytłumaczyć, że tak jest lepiej, że nic by z tego nie wyszło, ale właściwie sam w to nie wierzę. Tu, w głębi serca – dotknął palcem klatki piersiowej – wiem, że to ja narobiłem bałaganu, że to moja wina. Gdybym nie tracił czasu, gdybym był bardziej zdecydowany i powiedział jej wyraźniej, co do niej czuję, może nawet nie spojrzałaby na Dangerfielda.

– Dlaczego z nią nie porozmawiasz?

– Bo teraz to bez sensu. Dzwoniłem do jej siostry Laury. Ślub odbył się dwa tygodnie temu.

– Och, Tom – westchnęła.

Goście w barze wznieśli kolejny okrzyk i tłum ludzi drgnął niczym wielonożny potwór, napierając na Kay.

– To zabawne, prawda – zwróciła się do Toma – przecież od razu doskonale wiesz, że coś jest nie tak i że od dawna było nie tak, ale mimo to koniec zawsze wygląda okropnie. Znienawidziłam samą

siebie za robienie tego wszystkiego, czego nigdy nie zamierzałam robić. Za czekanie na dzwonek telefonu i rozważanie każdego słowa, które Johnny powiedział, bo chciałam odgadnąć, czy naprawdę mnie kocha. Sam wiesz. Albo może nie wiesz. Może mężczyźni tak nie postępują.

– Może nie – przyznał. – My chyba też knocimy różne sprawy, ale w inny sposób. Nie zauważamy, że coś idzie źle, dopóki nie jest już o wiele za późno. Nie mogę się oprzeć strasznemu podejrzeniu, że zawsze będę żałował utraty Edie. Obawiam się, że tamten wieczór w restauracji był punktem zwrotnym, a ja po prostu wykonałem zwrot w niewłaściwą stronę. I nigdy nie zdołam cofnąć się do tego punktu.

– Ale jeśli ona nie czuła tego, co ty… – zaczęła niepewnie Kay.

– To chyba oczywiste, że nie czuła. Inaczej nie wychodziłaby za mąż za Dangerfielda. – Tom, marszcząc brwi, rozejrzał się po barowej sali. – Nie jestem dziś w odpowiednim nastroju, by tu siedzieć, a ty? Moglibyśmy przejść się po parku, jeśli zechcesz.

Założył plecak i razem z Kay wyszli z lokalu. Ujęła Toma pod ramię, gdy przechodzili przez ulicę, kierując się w stronę St James Park.

– Jak myślisz, czy ktoś kiedyś zechce któreś z nas? – zapytała. – To znaczy, naprawdę zechce, zakocha się bez pamięci i do szaleństwa?

Tom nie odpowiedział. Słoneczne światło przedzierało się między gęstymi liśćmi, tworząc plamki na ścieżce. Nie padało od kilku tygodni i trawa była szara od pyłu. Skwar miał w sobie coś ciężkiego i twardego; Kay czuła się tak, jakby napierała na nieustępliwą przeszkodę. Odezwała się nagle:

– Och, Tom, dlaczego zawsze popełniam błędy?

– Chodzi ci o Johnny’ego?

– Nie. Czasami się zastanawiałam, czy nie zakochałam się tak po uszy w Johnnym z powodu innych spraw… dlatego że wojna wydaje się coraz bardziej prawdopodobna. Tak się boję, Tom. Prawie cały czas czuję lęk. Nie potrafię spokojnie przeczytać gazety ani obejrzeć kroniki filmowej. Przy Johnnym przestałam się bać. Ale tylko na krótki czas.

– To wciąż możliwe, że nie dojdzie do wojny.

– Och, Tom, ona wkrótce wybuchnie i obydwoje o tym wiemy! Może nie teraz, ale już niedługo. Wyczuwam to samo, co wtedy w Berlinie, kiedy się poznaliśmy. Ten lęk, że stanie się coś okropnego, czego nikt z nas nie zdoła powstrzymać. A gdy już się stanie, nie wiem, co zrobię.

– Ani ty, ani ja, ani chyba większość z nas nie będzie miała wyboru.

Przystanęli obok ławki pod lipą. Tom zsunął z ramion plecak; nieco dalej jakaś kobieta pochyliła się i wycierała chusteczką buzię dziecka, umazaną lodami.

– Może się nam poszczęści – powiedział. – Może Hitler odczeka nieco, zanim zwróci się przeciw zachodniej Europie, do roku czterdziestego pierwszego albo drugiego, a wtedy już będziemy gotowi.

– Przecież o tym właśnie mówię! – krzyknęła. – Dlatego właśnie czuję się tak okropnie! Nie jesteśmy gotowi z powodu ludzi takich jak ja!

Spojrzał na nią ze zdumieniem i wybuchnął śmiechem.

– Chyba się nie obwiniasz za zaniedbanie remilitaryzacji?

– A jeśli pacyfizm przyczynił się do tego, że naziści doszli do władzy? Jeśli tak naprawdę zachęca ich do wojny?

– Kay, to śmieszne, co mówisz.

– Śmieszne? – Usiadła na ławce, mocno splatając ręce. – W ciągu tego czasu Hitler z pewnością się przekonał, że nikt nie stawi mu czoła. Z pewnością uwierzył, że może robić, co tylko zechce. Przypomnij sobie *Kristallnacht*, Noc Kryształową, kiedy zamordowano tak wielu Żydów. Przypomnij sobie Czechosłowację. Nie mogliśmy nic zrobić, bo nie byliśmy na to gotowi! No i jeśli polityka ustępstw okazała się do niczego, a tak właśnie jest, Tom, tak jest, jak to świadczy o pacyfizmie?

– Łatwo tak to oceniać z perspektywy czasu. Jeszcze niedawno nie potrafiliśmy przewidzieć przyszłości.

– Ty potrafiłeś. W pociągu, kiedy jechaliśmy z Berlina. – Widząc jego zdziwioną minę, przypomniała: – Pokłóciliśmy się. Rozmawialiśmy o Hiszpanii. Powiedziałeś, że jeśli tak łatwo wyrzekniemy się demokracji, niewiele zostanie nadziei na przyszłość. I miałeś rację.

Tom wyciągnął ramię wzdłuż oparcia ławki.

– A mogliśmy pójść z karabinami, poruszyć gniazdo szerszeni, stoczyć walkę i przegrać.

– Niektórzy, na przykład Churchill, już od dawna mówią, że powinniśmy byli uzbroić się na nowo. Ludzie tacy jak ja występują przeciw temu. A jeśli przez cały czas się myliłam? Jeśli to, w co wierzyłam najmocniej, wyrządziło niepomierne szkody? Jeśli zupełnie nie umiem ocenić sytuacji, jak zdołam ponownie zaufać samej sobie?

– Możesz zrobić tylko to, co większość z nas, słuchać instynktu, przestrzegać swoich zasad.

– Nie jestem pewna, czy jeszcze cenię swoje zasady – odparła z goryczą. – Wydają mi się… dość podejrzane.

– Odnoszę wrażenie, że cokolwiek uczynimy, nie będzie już teraz miało większego znaczenia.

– Ale, Tom – wykrzyknęła – co powinnam zrobić? Co robić, gdy wybuchnie wojna?

Uśmiechnął się lekko.

– Coś wymyślisz, Kay. Znam ciebie. Zrobisz, co musisz, najlepiej jak potrafisz, nawet gdyby to było coś, czego nienawidzisz.

– Ale ja już nie wiem, co jest właściwe! Nie wiem, co powinnam robić! Czuję się tak, jakby zmuszano mnie do niemożliwego wyboru, którego nie chcę dokonać i nawet nie rozumiem!

I nagle się rozpłakała. Tom wydawał się tym nieco wstrząśnięty, Kay również. Nie chciała płakać, nie przypuszczała, że się rozpłacze.

– Przepraszam – wyszlochała, szukając chusteczki w rękawie. – Bardzo cię przepraszam…

Przytulił ją, gładził po głowie, poklepywał po plecach i powtarzał:

– Hej, nie jest tak źle, jakoś przez to przebrniemy, zobaczysz – podczas gdy łzy spływały jej po twarzy. Gdy się wreszcie uspokoiła, powiedziała zduszonym głosem:

– Jakie to okropne… takie krępujące… to pewnie przez upał – i odwróciwszy się, zaczęła szukać czegoś w torebce.

W końcu wygrzebała chustkę i wydmuchała nos.

– Przepraszam. – Spróbowała się uśmiechnąć. – Okropny powrót do domu. Już wszystko w porządku, wzięłam się w garść. Daj mi całusa, Tom, i powiedz, że się nie gniewasz.

Gdy ją pocałował, przytuliła go, przesunęła palcami po jego włosach i obróciła twarz tak, że następny pocałunek musnął jej usta. Pachniał morzem. Pocałowali się ponownie.

I wtedy nagle Tom się odsunął.

– Nie – powiedział gniewnym tonem. – Nie chcesz tego, Kay. Tęsknisz za Johnnym i jesteś zdenerwowana, to wszystko. – Wstał z ławki. – Chodź, pora wracać do domu.

Oszołomiona, wstała niepewnie i wyszła za nim z parku. Teraz kroczyli w bezpiecznej odległości od siebie nawzajem. Przed Ritzem Tom przywołał taksówkę i nalegał, że zapłaci z góry należność za kurs. Wyglądając przez okno, gdy auto ruszyło, dostrzegła jego sylwetkę ginącą w wieczornym tłumie. Spróbowała przygładzić nieco włosy, wyjęła z torebki puderniczkę i zerknęła na swoje odbicie; miała zaróżowione policzki i zaczerwienione oczy. Dostrzegła w torebce list od Mirandy, otwartą kopertę, pochyłe czarne pismo na kremowej papeterii.

Przydarzyło mi się coś przecudownego. Nie mogę nikomu o tym powiedzieć, ale Tobie muszę, Kay…

O Boże, pomyślała Kay, żeby coś wiedzieć, cokolwiek, i mieć tę pewność, którą ma Miranda…

Berlin, 28 sierpnia. Friedrich i Miranda zatrzymali się na tydzień w hotelu Adlon. Miała nazajutrz wyjechać do Paryża. Walizki były już spakowane; po południu poszła do sklepu i kupiła pastę do zębów, pończochy, nowy szal.

Friedrich czekał na nią w holu, kiedy wróciła do hotelu.

– Kochanie – powitała go i ucałowała. Była rozgorączkowana; drżały jej ręce, gdy odkładała zakupy. Friedrich powiedział cicho:

– Obawiam się, Mirando, że będziesz musiała zrezygnować z podróży. Jutro wracamy do Sommerfeld.

Jej serce zaczęło walić jak młotem. Czyżby jakimś cudem się dowiedział? Miał dziwny wyraz twarzy – wstrząśnięty, posępny, nawet gniewny. Czy popełniła błąd? Zdradziła się w jakiś sposób?

Po chwili dodał:

– Ostatnie wiadomości… oznaczają, że wybuchnie wojna.

Słysząc te słowa, Miranda z trudem pohamowała uśmiech. Wojna? Tylko tyle? Bałam się, że chodzi o coś znacznie gorszego.

– To niemożliwe, kochanie. Cokolwiek się wydarzyło, z pewnością do tego nie dojdzie – przemówiła kojącym tonem.

– Tym razem dojdzie.

Pozbierał jej pakunki z zakupami. Wyminęli hałaśliwy tłum w holu, złożony głównie z mężczyzn stojących w kolejce do telefonu, i weszli do windy.

W hotelowym apartamencie Friedrich powiedział jej, że Niemcy i Związek Sowiecki podpisały pakt, w którym zobowiązały się do zachowania neutralności, gdyby druga strona zaangażowała się w działania wojenne.

Mimo to Miranda była pewna, że wszystko się ułoży, to jedynie kwestia wyjaśnień i gwarancji.

– Ale nie rozumiem – zaczęła – jaki ta sytuacja może mieć wpływ na moją podróż.

– Hitler przygotowuje się do wojny z Polską. Jest to dla niego ostatni fragment układanki. Nie mógłby zaatakować Polski, gdyby istniało najdrobniejsze ryzyko, że Rosja przyjdzie jej z pomocą. Teraz już tego ryzyka nie ma.

Dostrzegła, że jest głęboko zaniepokojony, i ujęła jego dłoń, próbując dodać mu otuchy.

– Jeśli nawet wybuchnie wojna, to chyba jeszcze nie teraz?

– Lada dzień.

Poczuła ukłucie lęku, odparła jednak spokojnie:

– Nawet jeśli to, co mówisz, okaże się prawdą, nie wiem, w jaki sposób wojna może nas dotyczyć. Nie powinna mi uniemożliwić spotkania z ojcem.

– Dotyczy nas w najwyższym stopniu. Francja i Anglia na mocy traktatu są zobowiązane bronić Polski. Nie będzie tak jak w Austrii czy Czechosłowacji, Mirando. Nie pójdzie łatwo. Polacy będą walczyć. Wojna ogarnie Europę.

– Ale chyba nie tej nocy? – Popatrzyła na niego z niepokojem. – Może będę musiała skrócić wizytę. Nie wyjadę na dwa tygodnie,

tylko na tydzień…

– Nie, to niemożliwe.

– Friedrichu, muszę zobaczyć się z ojcem.

Zacisnął usta i stanowczo pokręcił głową.

– To absolutnie nie wchodzi w rachubę.

Nigdy przedtem go takiego nie widziała – stanowczego, surowego, niewzruszonego. Dotychczas w każdej drobnej sprzeczce potrafiła go ugłaskać, przekonać.

– Nie rozumiem cię – powiedziała. – Wszystko zostało ustalone. Muszę jechać. – Jej głos podniósł się lekko. Olivier, pomyślała. Czekałam tak długo.

Usłyszała, jak Friedrich mówi:

– Nie sądziłem, że jesteś aż tak przywiązana do ojca.

Ostrożnie! Jego spojrzenie wzbudziło w niej niepokój. Przypomniała sobie herr Reimanna; to, jak się zdradziła, i katastrofę, która nastąpiła później. Spróbowała się opanować i przybrać chłodny ton.

– Niezależnie od spraw z przeszłości to jednak mój ojciec. Nie mam innych krewnych. Był bardzo chory i muszę go odwiedzić. Nic mi nie grozi. Wiesz, że przywykłam do podróżowania. Jeśli żywisz jakieś obawy, Friedrichu, skrócę pobyt w Paryżu.

– Nie. Może nie wystarczyć pociągów. Zostaną zarekwirowane na potrzeby wojska. Przykro mi. Zdaję sobie sprawę, że jesteś rozczarowana.

Poczuła wstrząs, przypominając sobie nagle mieszkanie Oliviera w Marais, łóżko, ciepło jego ciała. Powiedział wówczas: „Jeśli wybuchnie wojna, zostanę powołany. Jestem żołnierzem rezerwy. Nie przyjeżdżaj do Paryża".

Przyłożyła dłoń do ust, jakby chciała powstrzymać bolesny okrzyk i podeszła do okna, starając się zapanować nad sobą. Wyjrzała przez szybę i skupiła się na tym, co było widać na zewnątrz. Nieliczne listki drzewek lipowych – młodych i wątłych, które zastąpiły te znacznie starsze, wycięte przez nazistów kilka lat wcześniej – zaczęły żółknąć i opadać, zaścielając chodnik niczym pomięte, brudne skrawki papieru. Na ulicach, zawsze ruchliwych, panował jeszcze większy ruch niż zazwyczaj, samochody stały, a policjant machał ręką. Wokół kiosków z gazetami gromadziły się tłumy, na przystanku

tramwajowym i postoju taksówek utworzyły się kolejki. Przez okno dochodził szum kojarzący się z rojem pszczół, brzęczący pomruk pełen niepokoju i obawy.

Gdzie teraz jest Olivier? Czy siedział już w żołnierskim mundurze upchnięty w ciasnym wagonie albo w przyczepie ciężarówki podążającej na północ, w stronę granicy? Wyrwał jej się cichy jęk, nie potrafiła go stłumić. Usłyszała głos Friedricha:

– Mirando, dobrze się czujesz?

– Tak, oczywiście.

Z wysiłkiem odwróciła się i spojrzała na niego, lecz coś w wyrazie twarzy musiało ją zdradzić, ponieważ zapytał:

– Gdybyś była nieszczęśliwa, powiedziałabyś mi o tym, prawda?

– Nie jestem nieszczęśliwa, Friedrichu. Choć to wszystko… – Ponownie spojrzała w okno.

– Pamiętam, jak wyglądałaś wtedy po powrocie z Paryża. Byłaś szczęśliwa, widziałem to w twoich oczach.

– Wiesz, jak bardzo kocham Paryż. – Zaśmiała się niepewnie.

– Nie, w tym kryło się coś więcej. Byłaś zupełnie odmieniona. – Stał przy kominku i patrzył na nią. Podjął tonem swobodnej rozmowy: – Zastanawiam się, czy gdybyś teraz wyjechała do Paryża, chciałabyś jeszcze do mnie wrócić. – Wyjął z kieszeni papierośnicę. – Kiedy cię poznałem, Mirando, patrzyłaś na świat jakby przez szklaną taflę. Wycofałaś się i odgrodziłaś od rzeczywistości. Mogliśmy na ciebie patrzeć, podziwiać cię, ty jednak rzadko kogoś zauważałaś. Zadawałem sobie pytanie, co sprawiło, że ty, taka młoda, w ten sposób odbierasz świat. Pomyślałem, oczywiście, o własnej stracie i zacząłem się zastanawiać, czy nie przeżyłaś czegoś podobnego. Nigdy o tym nie mówiłaś, a ja nie chciałem się narzucać z wścibskimi pytaniami. Lub może nie śmiałem pytać. Wyobrażałem sobie, że mamy wspólne doświadczenia i że dzięki temu tylko ja jeden zdołam się przebić do ciebie. Więc czekałem przez cały okres naszych zaręczyn i małżeństwa. Czekałem długo. Raz czy dwa dostrzegłem w tobie zmianę, kiedy recytowałaś nam poezję pewnego wieczoru w Sommerfeld i kiedy patrzyłem, jak ślizgasz się z Klausem po jeziorze. Zobaczyłem, że twoja twarz na chwilę ożyła. Wyczuwam to czasami, gdy jestem z tobą, a tak bardzo tego wyczekuję. Ale ten

blask szybko gaśnie i znowu chronisz się za szklaną taflą. – Postukał papierosem w srebrną papierośnicę i zapalił. – Kiedy wiosną wróciłaś z Paryża, byłaś odmieniona. Coś się wtedy wydarzyło, Mirando. Coś, co spowodowało tę zmianę.

– Friedrichu – jej śmiech zabrzmiał fałszywie nawet dla niej samej – przecież każdy kocha wiosnę w Paryżu.

On jednak ciągnął nieustępliwie:

– Domyślam się, że spotkałaś kogoś. Może znałaś go wcześniej, może to on był przyczyną twojego smutku, kiedy cię poznałem. Rozmyślam o tym od kilku miesięcy.

– Nie, Friedrichu – szepnęła.

Wszystko w nim pozostało takie samo, swobodna i wytworna postawa, proste jasne włosy, zaczesane do tyłu, spokojny, przyciszony głos. Ale oczy… Nie mogła spojrzeć mu w oczy, bo w ich szaroniebieskiej głębi krył się straszny ból.

– Gdy cię poznałam, czułam się jak w więzieniu, dlatego byłam nieszczęśliwa. Ojciec nie dawał mi swobody, nie pozwalał na własne życie – powiedziała.

– Nie zapytam cię o jego imię – podjął Friedrich. – Prawdę mówiąc, wolałbym chyba nie mieć pewności, że ów ktoś naprawdę istnieje.

– Nie ma nikogo. – Pokręciła głową. – Mylisz się, Friedrichu. – Jej głos brzmiał jednak bezbarwnie, brakło mu wyrazu.

W ciszę, która zapadła między nimi, wdarł się dźwięk klaksonu i Friedrich wyprostował się, mówiąc:

– Żałuję, że nie mamy dziecka. Stworzyłoby więź między nami.

Byli małżeństwem od ponad roku, ale dziecko się nie pojawiło. Nawet namiętny romans z Olivierem, gdy nie zawsze pamiętali o ostrożności, nie zaowocował ciążą. Miranda pomyślała, że jej łono musi być zimne i odstręczające, mało gościnne.

Friedrich spojrzał na zegarek.

– Powinniśmy iść na kolację.

– Nie jestem głodna.

– Musisz jeść. Musisz się wzmocnić. – Otworzył szafę i wyjął koszulę.

W szafie wisiała tylko jedna wieczorowa suknia. Cała reszta została spakowana. W łazience Miranda odkręciła nad umywalką kran

z zimną wodą, podsunęła pod nią dłonie, a potem przycisnęła je do twarzy, powstrzymując łzy, tłumiąc w sobie ból.

Gdy zgodziła się poślubić Friedricha, widziała siebie jako pogodną, beztroską panią na włościach. Kogoś zupełnie innego niż w dotychczasowym życiu. Myślała, że będzie jej to odpowiadało. I odpowiadało, przez jakiś czas.

Ale w ciągu ostatnich czterech miesięcy pewne hasła i znaki zapalały w niej płomień. Słowa: „Paryż" i „wrzesień". Zdanie z powieści, kieliszek francuskiego wina, zapach bzu – zachowywała to wszystko dla siebie.

Przebrała się w wieczorową suknię, upięła włosy, upudrowała twarz, pociągnęła usta szminką. Nałożyła maskę, którą musiała nosić nie wiadomo jak długo.

Gdy wróciła do drugiego pokoju, Friedrich siedział przy biurku i porządkował papiery. Niektóre darł i wrzucał strzępki do kosza na śmieci, inne odkładał na bok. Oczy Mirandy powędrowały ku walizce stojącej przy drzwiach. Och, Olivierze, pomyślała w udręce, jak ja to zniosę?

Usłyszała głos męża:

– Jestem szczerze przekonany, że będziesz bezpieczniejsza w Sommerfeld, niż gdybyś podróżowała z ojcem po Europie. Sommerfeld przetrwało niejedną wojnę. Przetrwało wieki. Ale kiedy mnie tam nie będzie…

– Nie będzie? – powtórzyła.

– Muszę stawić się w swoim pułku.

– Och. Nie wiedziałam…

– Kiedy więc mnie nie będzie, powinnaś uważać Mirando. Musisz być ostrożna. Wszyscy powinniśmy teraz trzymać języki za zębami. Oczywiście w gronie rodzinnym, w Sommerfeld, możesz mówić, co zechcesz. Ale poza domem, wobec obcych osób, musisz być ostrożna, ponieważ nie jesteś Niemką.

– Tak, Friedrichu.

– Nie jestem zachwycony naszym przywódcą – podjął. – Razi mnie jego ordynarność i prostactwo. Wielu ludzi postrzega Hitlera jako naszego wybawcę, wierzy, że dzięki niemu Niemcy odzyskają dawną potęgę. Są tacy, którzy uważają się za ofiary niesprawiedliwości,

i inni, którzy nie interesują się polityką i myślą, że to, co się dzieje, ich nie dotyczy. No i są, oczywiście, tyrani, sadyści, prześladowcy Żydów, którzy w pełni wykorzystają możliwości oferowane przez reżim. A także ludzie tak próżni i nadęci pychą, iż gotowi są pchnąć nożem każdego, kto krzywo na nich spojrzy. Przypuszczam, że to wygodne obwiniać Żydów o wszystkie kłopoty państwa niemieckiego, że to użyteczne dla reżimu podsycać dawne urazy i wzbudzać lęk i odrazę do wszystkiego co odmienne i obce. – Prychnął wzgardliwie. – Jak zawsze, są jeszcze tacy, którym może się nie podobać ogólna sytuacja, lecz boją się o siebie i swoje rodziny. Będą siedzieli cicho, z nadzieją, że jakoś przetrwają, dopóki to się nie skończy. Zaliczam siebie do tej kategorii. Moja rodzina i dom są u mnie na pierwszym miejscu. Będę walczył, jeśli zostanę do tego zmuszony, ale będę walczył o Sommerfeld i o ciebie, Mirando. Mimo to – zniżył głos – pamiętam ostatnią wojnę. Tę dręczącą świadomość, że obce wojska wtargnęły na nasze ziemie. Niezależnie od wszystkiego jestem patriotą.

Podniósł jedwabny szal Mirandy i narzucił na jej ramiona. Jego dłonie znieruchomiały, ucałował jej szyję.

– Kocham cię – powiedział. – Nikt nie potrafi cię pokochać tak jak ja. Nikt. Nie pozwolę ci tak łatwo odejść, Mirando. Będę na ciebie czekał i będę o ciebie walczył. Nie wyrzeknę się ciebie bez walki.

Gdy ponownie ją pocałował, ujęła jego dłoń i przytuliła do policzka, zamykając oczy. Później bez słowa zeszli na dół na kolację.

Część druga

KTO SIEJE WIATR

1940 – 1945

Rozdział 8

Olivier nie miał pojęcia, gdzie się znajduje. Potrafił z grubsza określić datę – był chyba 26 maja 1940 roku, co oznaczało, że upłynęło szesnaście dni od inwazji niemieckich wojsk na Holandię i dziewięć dni od ich wkroczenia do Brukseli. Od czasu do czasu dostrzegał słupek milowy. Przejeżdżali przez wiele opustoszałych wsi, lecz zdarzały się i takie, które sprawiały wrażenie przeniesionych z innej epoki, nieświadomych klęski, która lada chwila miała na nie spaść; w tych wioskach wciąż jeszcze były piekarnie z pulchnymi bochenkami na wystawie, a z kościołów wychodziły starsze kobiety w czerni. Zza okiennic obserwowały ich zaciekawione oczy, gdy pili wodę ze studni; jakiś chłopczyk przebiegł przez drogę i wyhamował z poślizgiem, gapiąc się na ich zakurzone mundury i karabin maszynowy. Zaspokoiwszy pragnienie, wrócili na główny trakt.

Dzisiaj, przemierzając puste pola, nie widzieli żywej duszy. Po południu natknęli się na wiejski dom otoczony walącymi się szopami i stodołami. Zaczął ujadać pies, kury dziobały podeschłe źdźbła. Zawołali, wchodząc na podwórze, lecz nikt nie odpowiedział. Gaston zabębnił w drzwi, a potem zniknął na tyłach domu.

W murze z czerwonej cegły znajdowało się łukowate przejście; przedostawszy się przez nie, Olivier znalazł się w sadzie. Na bujną zieloną trawę opadały płatki kwiatów, powietrze było nieruchome, ciepłe i nasycone światłem. Olivier rozsznurował i zrzucił buty, a potem wyciągnął się na trawie. Pierre zrobił to samo. Źdźbła trawy pod rozpalonymi, obolałymi stopami Oliviera były chłodne i miękkie. Nad sobą widział błękitne niebo przetykane białymi kwiatami. Sfrunęło na niego kilka płatków, zaśpiewał jakiś ptak; prócz tego wszędzie panowała cisza. Zanim zamknął oczy i zapadł w sen, zadał sobie pytanie, czy nie mógłby w tym miejscu przeczekać wojny. Czy

przypadkiem oddziały wojsk maszerujące przez Francję nie rozdzielą się tuż przed tym domem, nie tykając go, jak strumień, który z dwóch stron opływa sterczący głaz.

Tamtego wieczoru upiekli kurę, którą złapał Gaston, i wypili kilka butelek czerwonego wina z piwnicy. Następnego dnia o świcie opuścili dom i sad i wyruszyli w dalszą drogę.

Olivier spędził zimę w północnej Francji jako jeden z rezerwistów w pułku piechoty. Była to najmroźniejsza zima od kilku dziesięcioleci. Wyrąbywali okopy w zamarzniętej ziemi i byli przeganiani to tu, to tam. I czekali, stłoczeni wokół piecyka w stodole, do którego dorzucali wilgotne drewno, a determinacja, jaką mieli, gdy wyruszali z domów po wybuchu wojny we wrześniu 1939, obumierała w śniegu, mgle i dręczącym oczekiwaniu.

W kwietniu, gdy poprawiła się pogoda i nadeszły wieści o niemieckiej inwazji na Norwegię oraz okupacji Danii, przeniesiono ich na północ, w pobliże granicy z Belgią. A później, dziesiątego maja, Luftwaffe zaatakowała Holandię, Belgię i Luksemburg, wspierając powietrzne bombardowanie ofensywą z lądu.

Olivier znalazł się na wzgórzach nad Mozą; wysoko nad nim stukasy śmigały po niebie i zrzucały bomby. Gdzieś w pobliżu bateria francuskiej artylerii podtrzymywała nieustanny ogień zaporowy. Ostrzeliwano niemieckie samoloty z karabinów maszynowych, z nikłym skutkiem. Wieczorem pojawiły się dwa francuskie samoloty, przepłoszyły stukasy, a wszyscy mężczyźni zaczęli wiwatować. Niedługo później przyszedł rozkaz przemarszu do wioski pięć kilometrów na południe, bo Niemcy przebili się na wschód.

Oddział Oliviera składał się z sześciu żołnierzy pochodzących z różnych stron Francji – dwóch było z południa, pozostali z Marsylii, Normandii i Alp. Przeciskali się między skałami i drzewami, dźwigając ciężki ekwipunek i starając się w miarę możliwości trzymać z dala od dróg. Skończyła im się woda; po kilku godzinach Olivier myślał już tylko o swoim pragnieniu. Gdy tuż przed świtem dotarli do jakiejś wioski, najpierw znaleźli studnię i pili, ile się dało.

Byli tam już inni żołnierze; spali przy drodze albo stali w grupach, paląc papierosy. Wszędzie panował zamęt, oficerowie niższego stopnia spoglądali na zegarki i mapy, od czasu do czasu wracali na drogę, jakby czegoś wyglądali. Nie otrzymali rozkazów albo wcale nie wysłano rozkazów. Telefony polowe zostały w okopach, które musieli opuścić, a nie zostali wyposażeni w radiostacje.

Kilka godzin później, dostrzegłszy niemiecki samolot zwiadowczy, oddział Oliviera opuścił wioskę, stanowiącą zbyt łatwy cel, i skierował się na południe ku wzgórzom, gdzie się okopali i czekali. Tego samego dnia żołnierz z Normandii wrócił do wsi, by napełnić wodą manierki. W czasie jego nieobecności zobaczyli pierwszy niemiecki czołg, z łoskotem przedzierający się przez las po lewej stronie. Zgasili papierosy i sprawdzili celowniki. Czołgi przetaczały się po leśnym podszycie. Olivier czuł, jak ziemia drży od pogłosu. Gąsienice miażdżyły zarośla i młode drzewka. Pocisk z moździerza trafił w jeden czołg, który stanął w płomieniach. Żar przypiekł twarze żołnierzy, zanim wygramolili się ze strzeleckich okopów.

Wczesnym rankiem zjawił się porucznik i dał sygnał do odwrotu. Ma błędny wzrok, pomyślał Olivier. Ze słów, których użył, dało się wyczytać: „Każdy dba o własną skórę".

Około południa schronili się w opuszczonym młynie, a Olivier wyruszył na poszukiwanie żywności. Kiedy wrócił niecałą godzinę później, nie zastał już swoich towarzyszy. Choć starał się ich odnaleźć, wędrując główną drogą i wypatrując w tłumie znajomych twarzy, nigdy więcej ich nie zobaczył.

Długie kolumny uchodźców blokowały główne drogi i utrudniały przejazd wozom francuskiej armii. Nie można było przypuścić kontrataku, ponieważ na drogach kłębił się tłum uchodźców – mężczyzn, kobiet i dzieci. Wydawało się, że cała północna Europa salwuje się ucieczką.

Nikt nie poinformował obywateli Holandii, Belgii i północnej Francji, co mają robić w przypadku inwazji, dlatego – nękani przez Luftwaffe – wzięli sprawy we własne ręce i załadowali rodziny i dobytek do samochodów, na wozy, wózki i taczki, po czym wyruszyli na

południe. Gdy kończyła im się benzyna, porzucali auta przy drogach, a przedmioty, które na początku wydawały się takie cenne – ozdobne lustro, zegar po dziadku – okazywały się zbyt nieporęczne i bezużyteczne, więc je również pozostawiano. Pobocza przywodziły na myśl wystawę surrealistycznych obrazów; akordeon tkwił pośród kompletu jadalnianych krzeseł, klatka dla ptaka z otwartymi drzwiczkami stała na spiętrzonych tomach encyklopedii. Żywy inwentarz błąkał się po polach, niewydojone krowy ryczały głośno. Na którychś rozstajach płakało dziecko w brudnym fartuszku; po usmolonej, zaczerwienionej buzi spływały łzy.

Odkąd zgubił swój pułk (niedbalstwo, żołnierzu!), Olivier, gdy tylko mógł, podczepiał się pod inne oddziały, uczestnicząc w szeregu rozpaczliwych drobnych potyczek. Człowiek zaszywał się na brzegu rzeki albo za wzgórzem, próbując powstrzymać kolumny niemieckich czołgów, wozy opancerzone i motocykle przedzierające się coraz liczniej przez granicę z Belgią. Gdy stawało się jasne, że albo cię zabiją, albo pojmają i zostaniesz jeńcem, wycofywałeś się i znajdowałeś sobie inną rzekę albo wzgórze.

Podczas samotnej wędrówki spotkał Pierre'a. W wyludnionej – jak niemal wszystkie – wiosce francuski żołnierz siedział przy stoliku pod reklamą papierosów Gitane. Pierre był niski, krępy, ciemnowłosy, około czterdziestki. Mundur miał, podobnie jak Olivier, zakurzony i podarty. Na głowie nosił słomkowy kapelusz.

Podali sobie ręce.

– Zgubiłem okulary pod Sedanem – wyjaśnił Pierre. – Nic nie widzę. Ale za to znalazłem ten kapelusz. – Uniósł wspomniane nakrycie głowy, odsłaniając łysinę na ciemieniu. – Zapobiega oparzeniom słonecznym. Kiedyś miałem bujną czuprynę. – Wzruszył ramionami i dodał, wskazując ruchem głowy wnętrze małej restauracji. – Zaparzyłem kawę. Jeśli masz ochotę…

Ciasne, mroczne pomieszczenie wypełniała woń świeżo zaparzonej kawy. Olivier nalał sobie filiżankę, wyszedł z salki i usiadł przy stoliku.

– Kilka dni temu piłem doskonałą brandy. Ktoś znalazł butelkę w jakimś *château*. Myślisz, że gdy to już się skończy, będziemy mogli żyć tak jak przedtem?

– To zależy – odparł Olivier – co rozumiesz przez „to”. Czy tę bitwę, czy całą wojnę.

Pierre uśmiechnął się sarkastycznie.

– Czy to nie to samo? – Obejrzał się w stronę niewielkiego brukowanego placu i dodał: – Jestem księgowym w Galerii Lafayette. Ludzie zawsze będą chodzili do sklepów, prawda? Nawet Niemcy chodzą do sklepów. W czasie wojny czy okupacji ludzie mimo wszystko robią zakupy. Moja praca opiera się na ustalonym, nudnym porządku, ale jest pewna, a w galerii pracuje mnóstwo ładnych dziewcząt. A ty? Czym się zajmujesz?

Olivier streścił mu pokrótce swoje życie zawodowe. Wydało mu się błahe, nieistotne. Potem zarzucili na ramiona plecaki i ruszyli w dalszą drogę.

Następnego dnia natknęli się na Gastona, który spał przy skrzyżowaniu. Gaston wychował się na farmie w pobliżu małego miasteczka, o którym Olivier nigdy nie słyszał, gdzieś niedaleko Auxerre. Dysponował kilkoma pożytecznymi umiejętnościami – potrafił zapaść w sen w każdej chwili, gdy tylko pozwalały na to okoliczności, był wyborowym strzelcem i niezłym kucharzem. Po spotkaniu z Gastonem zaczęli się odżywiać zadziwiająco dobrze, zważywszy że porwała ich wielka fala chaotycznej ucieczki. Przeważnie trzymali się bocznych dróg i wydeptanych ścieżek. Główne drogi, zapełnione uchodźcami, stanowiły zbyt łatwy cel dla bombardujących stukasów. W okresy spokoju, gdy kroczyli przez opustoszałe pola i lasy, wkradał się natarczywy lęk. Raz, tuż za rogiem, dostrzegli motocykl Wehrmachtu z przyczepą. Jeden z niemieckich żołnierzy dawał ulgę pęcherzowi pod murem; drugi, wysoki, młody, w długich butach z cholewami, łatał oponę motocykla. Podniósł głowę i dostrzegł ich. Jego oczy się rozszerzyły, sięgnął po karabin maszynowy oparty o mur, lecz wcześniej Gaston zdążył strzelić mu w głowę. A następnie jego koledze.

Niemcy byli wszędzie. Nadciągali z północy, wschodu, zachodu i południa. Pojawiali się niespodziewanie na motocyklach niczym kolumny brązowych zakurzonych chrząszczy podążających drogą albo ze stukasów razili z góry Francuzów pociskami, przed którymi Olivier i jego towarzysze chronili się w stogach siana. Ilekroć natrafili

na francuskie albo brytyjskie oddziały, zatrzymywali się i wymieniali kilka słów, próbując się dowiedzieć, co się dzieje, co mają teraz robić i dokąd iść. Łącząc strzępki informacji, musieli dojść do wniosku, że duża część armii francuskiej znalazła się w okrążeniu, odcięta od reszty kraju. Na północno-zachodnim wybrzeżu okręty zabierały wojska sojusznicze prosto z plaży do Anglii. Inne oddziały, które miały szczęście znaleźć się na południe od niemieckiego marszu na zachód, ku wybrzeżu, kontynuowały walki o Francję.

Na jakimś skrzyżowaniu dróg Olivier i Gaston rozstali się z Pierre'em, gdyż ten postanowił wyruszyć razem z napotkanym paryżaninem do stolicy. Zamienił wojskowy mundur na cywilne ubranie, znalezione na opuszczonym wozie. Uścisnęli sobie ręce i życzyli szczęścia. Pierre powiedział: „Kiedy następnym razem będziesz w Paryżu…" – i dotknął czoła w geście salutu. Olivier patrzył za nim, dopóki Pierre nie zniknął za zakrętem na drodze.

Olivier i Gaston weszli w skład jednego z wielu organizowanych naprędce oddziałów piechoty, które powstawały z rozproszonej francuskiej armii. W miarę zbliżania się do okolic Dunkierki coraz częściej dochodziło do akcji bojowych. Jeden z ich towarzyszy broni został postrzelony w nogę i nieśli go na zmianę na prowizorycznych noszach.

Późnym popołudniem znaleźli schronienie w jakimś gospodarstwie. Wieczorem obserwowali przez okno na górze posuwające się naprzód wojska nieprzyjaciela. Niemieccy żołnierze podbiegli zgięci wpół przez podmokłe pola ku tyłom farmy. Gaston zastrzelił kilku i reszta oddziału nie podeszła bliżej. Pozostawiwszy właścicieli w domu, Olivier i inni zajęli miejsca w zabudowaniach gospodarczych. Obserwując przez okno szybkie przemieszczanie się Niemców – tu błysk światła na sprzączce paska, ówdzie jakieś poruszenie wśród trzcin – poczuł się dziwnie odczłowieczony, jakby nie był już istotą ludzką, Olivierem, który kręci filmy czy Olivierem kochającym Mirandę.

Gdy jednak trzciny przestały falować i zaszło słońce, musiał się trochę przespać, rano zaś, kiedy opuszczali stajnię, nie dostrzegli

w okolicy żywej duszy. Ruszyli w dalszą drogę, trzymając się w miarę możliwości blisko rowów i żywopłotów, zmierzając na północny zachód, w stronę wybrzeża. Rozjaśnione niebo powiedziało im, że są już prawie nad morzem, co podniosło ich na duchu; po wielodniowej wędrówce docierali wreszcie do celu. Olivier wyobraził sobie, jak wchodzi na pokład statku płynącego do Anglii. Być może Miranda wyjechała do Anglii, jak jej doradził. Tak, może wyjechała.

Dołączyło do nich kilku francuskich i brytyjskich żołnierzy; nastąpiła krótka wymiana informacji, a później umilkli, zbyt zmęczeni, by rozmawiać. Parę godzin później, gdy szli wąską dróżką wśród drzew, rozległa się nagle seria z karabinu maszynowego i rzucili się w bok, szukając osłony. Przykucnięci w rowie, dopiero po pewnym czasie określili dokładnie położenie nieprzyjaciela, który ukrywał się w szopie – może był to kurnik – po drugiej stronie drogi. Po kilku krótkich wymianach ognia w kurniku zapadła cisza. Ostrożnie wydostali się z rowu.

I wtedy drogą, którą właśnie przybyli, runęło ku nim na pełnym gazie z tuzin motocykli. Zapiszczały opony, zawyły silniki, a gdy próbowali skryć się za żywopłotem, żołnierze z bocznych przyczep zasypali ich gradem kul.

W kilka minut było po wszystkim. Jeden żołnierz z Brytyjskiego Korpusu Ekspedycyjnego broczył krwią, znieruchomiałe ciała leżały skulone nad rowem i pod drzewami. Jakiś oficer wystąpił naprzód i przemówił najpierw po angielsku, a potem bardzo złą francuszczyzną. Wtedy pozostali jeden po drugim wyszli z kryjówek.

Przez sekundę lub dwie Olivier myślał, że może uda mu się uciec. Znajdował się w pewnym oddaleniu od towarzyszy. Niemcy mogli go nie zauważyć, przeoczyć, zgarnąć jeńców i odjechać bez niego, zostawić go, a wówczas popłynie do Anglii i do Mirandy, tak jak zamierzał.

Wtem usłyszał kroki, szczęk odbezpieczanej broni i wstał, unosząc ręce nad głową.

– Dla ciebie wojna się skończyła.

On to naprawdę powiedział, pomyślał Olivier. Gardło ścisnęło mu się od niemożliwych do wysłowienia emocji – strachu połączonego z wściekłością i rozbawieniem.

„Dla ciebie wojna się skończyła”.

W październiku 1939 roku Kay zgłosiła się do Służby Obrony Kraju.

Uczyniła to z kilku powodów. Dlatego że wszyscy wokół czymś się zajmowali, a ona nigdy nie lubiła stać z boku. Dlatego że mimo wysiłków Peace Pledge Union i innych organizacji pacyfistycznych wypowiedziano wojnę i może przy drobnym wkładzie Kay mogła się ona zakończyć nieco szybciej. A także dlatego, że jeśli człowiek odrzucał wszystko, w co dotychczas wierzył, równie dobrze mógł zrobić to z rozmachem i pójść na całość.

Być może jednak główną przyczyną jej decyzji było zażenowanie. Czy można zgłosić się do służby w wojsku z zażenowania? Ona to zrobiła. Ilekroć przypomniała sobie ów wieczór, kiedy pocałowała Toma Blacklocka, ilekroć słyszała w myślach jego głos: „Nie chcesz tego, Kay. Tęsknisz za Johnnym i jesteś zdenerwowana, to wszystko”, pragnęła zapaść się pod ziemię albo, jeszcze lepiej, zaszyć się w ciemnym kącie i umrzeć. Co w nią, u licha, wstąpiło? Z braku ciemnych kątów i perspektywy śmierci zdecydowała się na drugie w kolejności najlepsze wyjście. Uznała, że służba wojskowa pozwoli jej wyjechać z Londynu, zapewni jakieś zajęcie, odwróci myśli od pewnych spraw. Wybrała Służbę Obrony Kraju zamiast którejś z kobiecych służb pomocniczych, ponieważ w Oaklands Roger Lancaster nauczył ją prowadzić samochód i pomyślała, że ta umiejętność bardziej się przyda właśnie w tej formacji.

Ciocia Dot poparła jej decyzję. Wieczorem w przeddzień wyjazdu Kay rozmawiały o doświadczeniach cioci jako pielęgniarki w Étaples podczas poprzedniej wojny. Kay nie przyznała się, że aż ją mdli ze zdenerwowania i zaczyna nabierać przeświadczenia, iż popełnia straszny błąd. Poczucie destabilizacji nie opuszczało jej w drodze do obozu szkoleniowego. Zmieniło się życie tak wielu osób – szkołę w Oaklands ewakuowano do hrabstwa Devon, przyjaciel Kay z antykwariatu, Brian, wstąpił do marynarki wojennej, inni znajomi byli w wojsku, pomagali w obronie cywilnej albo bronili swego stanowiska w inny sposób, usiłując wytrwać przy pacyfistycznych zasadach.

A potem – przeszła podstawowe szkolenie i przynajmniej nie wystarczało jej czasu na rozmyślania. Uczestniczyła w ćwiczeniach albo spała, a w tych rzadkich chwilach, gdy nie robiła jednego ani drugiego, kiedy na przykład myła zęby albo jadła lunch, była niezmiennie dokądś spóźniona, więc niewiele czasu pozostawało jej na refleksje. Ku swemu zaskoczeniu odkryła, że najgorsze, najbardziej poniżające jest to, iż wszystko robi źle. Dotychczas we wszystkim była dobra. Może nie olśniewająca, ale zawsze sprawna. Przeraziła ją własna nieudolność. Musztra nie była taka zła, Kay maszerowała nie gorzej niż większość innych – w każdym razie lepiej niż pewna dziewczyna z Bolton, która nie potrafiła odróżnić lewej nogi od prawej i pewnego ranka uciekła z płaczem z placu apelowego. Nie przeszkadzało jej wspólne mieszkanie, baraki z blachy falistej, kantyny; potrafiła się z tym wszystkim pogodzić po półtorarocznym pobycie w Oaklands. Nie przeszkadzał jej również – za bardzo – okropny, szorstki mundur z nietwarzową czapką, którą trzeba było wieczorem zwilżać i prostować, by nadać jej jaki taki kształt.

To nieustanne czyszczenie i polerowanie, kontrole, salutowanie, rozkazy wywrzaskiwane w twarz tej obcej istoty, szeregowej Garland, którą się stała po wstąpieniu do kobiecej służby, działały jej na nerwy. Nie przypuszczała wcześniej, że tak bardzo będzie ją drażniło, gdy ktoś ciągle mówi jej, co ma robić, zwłaszcza jeśli wydawało się to głupie i bezcelowe. I ta skrupulatna dbałość o szczegóły, o błahe, nieistotne drobiazgi, tak ważne dla armii, wytrącała Kay z równowagi. Oglądano jej łóżko, żelazną ramę z twardym siennikiem, wyszydzano jego wygląd i kazano słać je na nowo. Jej mundur nigdy nie prezentował się jak należy, miała pogniecioną spódnicę albo oczko w pończosze. Buty i mosiężne guziki nie lśniły tak, jak powinny, a włosy nie dawały się w żaden sposób ułożyć, choćby cała głowa aż jeżyła się od szpilek.

Pewnego ranka, gdy Kay po raz kolejny otrzymała negatywną ocenę podczas kontroli ekwipunku, sierżant zwróciła się do niej z pogardliwym grymasem:

– Uważasz, że jesteś ponad to wszystko, Garland? Otóż nie. Jesteś do niczego, całkiem bezużyteczna, jedna z moich najgorszych

podkomendnych. Gdybym mogła cię gdzieś odesłać, to bym to zrobiła.

Ta groźba wstrząsnęła Kay, podobnie jak wyraz niechęci w oczach przełożonej. Poczuła gniew, potem urazę, a w końcu, gdy spojrzała prawdzie w oczy – wstyd. Ta kobieta miała słuszność. Istotnie Kay patrzyła na wojsko z góry. Lekceważyła dryl i musztrę. Bezmyślne posłuszeństwo było jej obce i właściwie uważała, że tylko głupiec mógłby coś takiego znosić. Oburzały ją upokorzenia, które armia mnożyła wobec rekrutów: kontrole stóp, kontrole włosów, dotkliwe, poniżające kary i bezrozumna dyscyplina – wszystko po to, by osłabić indywidualność. Cechy, którymi się szczyciła – niezależność myśli, oryginalność, spontaniczność – w armii nie były w cenie. Zarówno Sylvia, która wcześniej pracowała w drogerii Bootsa w Liverpoolu, jak i Jeanette, przed wojną służąca, były lepszymi żołnierzami niż Kay.

W trzecim tygodniu dwie rekrutki zdezerterowały. Dlaczego ona, Kay, nie zrobiła tego, co pragnęła zrobić, a mianowicie: nie przyznała, że popełniła błąd, a teraz powinna się spakować i wrócić do domu? Konsekwencje byłyby niewielkie; kobiety w armii nie podlegały takiej samej dyscyplinie wojskowej jak mężczyźni. Została przede wszystkim dlatego, że nie potrafiłaby znieść hańby związanej z niepowodzeniem, przyznaniem się do błędu. Ale była jeszcze inna przyczyna. W wojsku Kay znalazła przyjaciółki. Oprócz Sylvii z jej rubasznym śmiechem i rynsztokowym językiem oraz Jeanette, która miała album z wycinkami poświęconymi Clarkowi Gable, była także Josephine, w innym życiu przedstawiona u dworu, i Louise, która w czasie pokoju pracowała w biurze radcy prawnego w Cardiff. Podczas krótkich przerw w rozlicznych udrękach, jakie armia uznała za stosowne im zadawać, rozmawiały. O swoich rodzinach i domach, pracy i chłopakach, o strojach, filmach, książkach, muzyce. Łączyła je odraza do sierżant Preston i wojskowego jedzenia. Wzdychały, zwierzając się ze swoich pragnień – włożyć znowu ładną sukienkę, zjeść domowy obiad, nie budzić się o szóstej trzydzieści rano na przenikliwy dźwięk trąbki.

I pomagały sobie nawzajem. Pożyczały jedna drugiej pensy na telefon, szpilki do włosów, aspirynę, igły do cerowania i papierosy.

Pocieszały się nawzajem, dodając otuchy tej, która najbardziej miała dosyć – częstowały ją czekoladą z paczki otrzymanej z domu albo po prostu przytulały. Jeanette, która niegdyś spędzała całe przedpołudnia na czyszczeniu sreber, pokazała Kay, jak należy polerować guziki. Sylvia, z papierosem zwisającym z kącika ust, klękała na łóżku za Kay i upinała jej włosy. Josephine, niedawna debiutantka z dobrej rodziny, przyzwyczajona do wręcz przesadnej schludności, oglądała ją dokładnie przed apelem.

Kay zdobyła się na olbrzymi wysiłek, poskromiła swego buntowniczego ducha i pozwoliła, by wojsko wtłoczyło ją w taką formę, jakiej wymagało. Uświadomiła sobie, że to przede wszystkim kwestia nastawienia. Godzisz się z wrzaskiem, rozkazami i nonsensownymi poleceniami do wykonania. Zapominasz, że przedtem żyłaś w innym świecie. Zapominasz, że kiedyś siedziałaś na rozsłonecznionej plaży na południu Francji i przyglądałaś się przechodzącym mężczyznom. Robisz, co musisz. Starasz się wytrzymać. Wtedy nie lądujesz tak często w kuchni, obierając kilka wiader ziemniaków. Pod koniec podstawowego szkolenia sierżant Preston nie miała się do czego przyczepić, choć prześwietlała spojrzeniem ekwipunek Kay, ułożony na nienagannie zasłanym łóżku. W trakcie musztry na placu apelowym Kay i jej towarzyszki wykonywały zwroty jednym płynnym ruchem. Teraz, gdy spoglądała w lusterko, widziała w nim szeregową Garland.

Wraz z tuzinem innych ochotniczek została wysłana do ośrodka szkoleniowego transportu w Aldershot. Nauczyła się tam prowadzić wojskowe ciężarówki, uruchamiać pojazdy przez kręcenie korbą i podwójnie wysprzęglać bez rozwalania skrzyni biegów. Nauczyła się czytać mapę, wypełniać rejestr i kartę zadań, zmieniać olej w ciężarówce, a zimą nalewać wody do chłodnicy. Była to ciężka praca, lecz sprawiała satysfakcję dzięki nabyciu nowych umiejętności. W tym Kay widziała jakiś sens. Pewnego dnia jej umiejętności mogły nawet okazać się przydatne. Wysłała kartkę do Toma, radosną, przyjacielską kartkę z przeprosinami za brak kontaktu i z najlepszymi życzeniami. Tydzień później z wielką ulgą odebrała równie przyjacielską i radosną kartkę od niego.

Niezwykle mroźną zimę roku 1939/40 spędziła, przeprowadzając wojskowe pojazdy na stanowiska w południowej Anglii. Później, w kwietniu, „dziwna wojna” zakończyła się raptownie po atakach na Danię i Norwegię, a wkrótce potem nastąpiła inwazja na Holandię, Belgię i Francję. I wreszcie Dunkierka – kiedy cały naród patrzył ze zgrozą, jak oddziały Brytyjskiego Korpusu Ekspedycyjnego oraz znaczna część armii francuskiej ugrzęzły na ciasnym spłachetku, otoczone przez nieprzyjaciela. Groza przeobraziła się w nadzieję i wszyscy wstrzymywali oddech, gdy dzień po dniu okręty marynarki wojennej razem z liczną flotyllą małych łódek przemierzały kanał La Manche, ratując zagubionych żołnierzy i jednocześnie prowadząc nieustanne bombardowania. Mężczyźni, przewożeni do portów w południowej Anglii, okaleczeni, w łachmanach i ledwo żywi z wyczerpania, wsiadali do pociągów jadących w głąb kraju.

Wstrząs, gdy padła Francja – walka przegrana w tak niewiarygodnie krótkim czasie – przetoczył się po Wyspach Brytyjskich niczym zimna szara fala. Rozmyślając o losie Francji, Kay czuła żal, jaki można czuć na myśl o przyjaciółce, którą się zawsze podziwiało, chwilami trochę jej zazdrościło, a która przeżyła coś naprawdę okropnego. Zastanawiała się, jak to znoszą Olivier, Agnès i Benoît. W irytującej chwili między obudzeniem a zerwaniem się z łóżka i zgłoszeniem do warsztatu po dzienne rozkazy musiała sobie przypominać, że nic, ale to nic nie jest już takie samo i prawdopodobnie nie będzie takie samo w przyszłości.

Nie mogła się jednak nad tym głębiej zastanowić, ponieważ wszelkie dotychczasowe wydarzenia, takie jak reglamentacja, pobór, zaciemnienie, ewakuacja dzieci na wieś, przyćmiła najnowsza wiadomość, że w każdej chwili grozi im inwazja. Broszury zatytułowane „Jeśli wkroczy najeźdźca” wysyłano do każdego domu. „Kiedy otrzymacie rozkaz, upewnijcie się, że jest to prawdziwy, a nie fałszywy rozkaz”. Jak, u licha, sprawdzić coś takiego? – zastanawiała się Kay. Widziała różne rzeczy, których nigdy nie spodziewała się zobaczyć, gdy przeprowadzała furgonetki i ciężarówki. Posterunek ochotników obrony cywilnej w wąskim zaułku w Hampshire, ze strażnikami uzbrojonymi w koktajle Mołotowa. Barykady ustawione ze stogów siana, beczek po jabłeczniku i zwalonych pni przed

sennymi wioskami i miasteczkami. Betonowe bunkry i rowy przeciwczołgowe wzdłuż wybrzeża, gdzie klify i wydmy jeżyły się od drutu kolczastego. Zardzewiałe maszyny, koryta, narzędzia rolnicze rozrzucone jakby ręką olbrzyma po polach, z których dopiero co zebrano plony, by uniemożliwić lądowanie samolotom i szybowcom.

Niebo przeobraziło się w pole bitwy. W zatoce Portland, pod jasnobłękitną kopułą, stukas spikował niczym drapieżny ptak w stronę niszczyciela i wzbił się w górę w ostatniej chwili, gdy ciemny pióropusz dymu zmącił błękit. Widać było srebrzysty błysk skrzydła spitfire'a, zawracającego w podniebnym locie, kiedy nad hrabstwami Kent i Sussex toczyły się walki powietrzne. Na lotnisku wskutek nalotu hangary stanęły w płomieniach, a ze spalonego kłębowiska metalu na pasie startowym unosił się gęsty czarny dym. Lato wydawało się takie piękne, ale pewnego razu, zatrzymawszy się na kanapkę i papierosa w drodze skądś dokądś, Kay spojrzała ku morzu i zobaczyła samolot spadający w kuli ognia prosto do wody, gdzie pochłonęły go fale. Ani jednego spadochronu. Nie mogła dojeść kanapki, czuła w ustach metaliczny smak. Spokojnie i w skupieniu wypaliła papierosa, wrzuciła niedopałek do rowu i pojechała dalej.

W pociągu do Londynu mężczyźni i kobiety w mundurach tłoczyli się w korytarzach i przedziałach. Chłopak z sił powietrznych, który siedział obok Kay, wyznał, że to jego pierwszy od dwóch miesięcy wolny wieczór w Londynie i ma zamiar zaszaleć. Poprzedniego dnia katapultował się z samolotu. „Zobaczyłem, że skrzydło się pali i chwilę później już fruwałem z moją parasolką. Nie pamiętam, jak się wydostałem z kokpitu i otworzyłem spadochron, nic a nic. Zabawne, prawda?". Zaraz potem zapadł w sen, z głową opartą o ramię Kay, i obudził się, dopiero gdy go szturchnęła po przyjeździe na Victoria Station. Postawiła mu filiżankę herbaty w dworcowej restauracji i obiecała, że się spotkają w barze hotelu Berkeley. Kiedyś w przyszłości.

Na początku Luftwaffe bombardowała lotniska wojskowe i porty na południu. Nikt jednak nie czuł się bezpiecznie – powracający samolot, który być może zboczył z kursu, mógł zrzucić bomby gdziekolwiek, na jakąś oddaloną farmę lub osadę, na przeciętne,

niczym się niewyróżniające miasteczko. Od połowy sierpnia częstotliwość nalotów wzrosła i przesunęły się w głąb kraju, w stronę miast i wiosek. Pierwsze bombardowanie Londynu nastąpiło nocą siódmego września. Wieczorem tamtego dnia Kay jechała z konwojem przez Sussex. Ze wzgórz Downs za Brighton dostrzegła purpurową łunę nad horyzontem, czerwony cień płonącego Londynu na niebie.

Odtąd bomby spadały na stolicę przez pięćdziesiąt siedem kolejnych nocy. Ludzie szukali schronienia, gdzie tylko mogli – w piwnicach, w kolejce podziemnej, pod wiaduktami, w ziemiankach, kiedy doki i fabryki stawały w płomieniach, a ściśnięte kamienice East Endu obracały się w gruzy. Smutek budziły domowe drobiazgi, takie jak strzępy niegdyś starannie wybieranej tapety, odklejone teraz od mokrego tynku, urodzinowe kartki zrzucone z gzymsu nad kominkiem, wilgotne i poplamione, walające się między potłuczonymi kafelkami i rozbitymi cegłami.

Teraz, gdy Kay i Josephine jechały autostopem do miasta, by spędzić tam wolny wieczór, widziały sterty gruzu, leje po bombach i znaki ostrzegające przez nieprzejezdnymi ulicami i niewybuchami. Miały ustalony porządek działań, wszystko robiły sprawnie, szybko, żeby jak najlepiej wykorzystać czas. Najpierw udawały się do mieszkania rodziców Josephine w Clarence Gardens, gdzie przebierały się z mundurów w cywilne rzeczy. Rodzice Josephine postanowili przeczekać wojnę w swojej wiejskiej rezydencji w Wiltshire. Gin, kąpiel, strój i makijaż. Kay przechowywała wieczorową sukienkę w ich mieszkaniu, w którym stały wypolerowane mahoniowe stoły i obite aksamitem kanapy i które musiało być niegdyś nieskazitelnie czyste. Pewnego wieczoru znalazły w kominku martwego ptaka, wysuszonego i kruchego, którego bombardowanie wyrzuciło z miejsca wiecznego spoczynku i cisnęło w dół kominem. W szybach pojawiły się pęknięcia, a z sufitu na toaletkę sypał się piasek, tworząc miniaturowe piramidy między buteleczkami pudru w płynie i Blue Grass Elizabeth Arden.

Gdy już były gotowe, wyruszały najpierw do hotelu Berkeley na rogu Piccadilly. W barze Berkeley zawsze znalazł się ktoś, kogo znały. Podobnie w hotelach Dorchester i Ritz. Wypijały drinka, a potem szły

na kolację, na przykład do Mirabelle, po kolacji zaś do nocnego klubu 400 albo Café de Paris.

Oczywiście Kay nie wszystkie wolne wieczory spędzała z Josephine. W Mirabelle i 400 było drogo. No i ci znajomi z hoteli przy West Endzie i nocnych klubów byli przyjaciółmi Josephine, nie jej. W czasie pokoju mieli swoje zwyczaje, własny towarzyski kalendarz oraz upodobanie do zabijania zwierząt, co napawało Kay odrazą. Mieli też własny kodeks – Taksówki Są Niebezpieczne, Miłe Dziewczęta Tego Nie Robią. Ona to zrobiła z Johnnym Gilfoyle'em, czy zatem nie należała do miłych dziewcząt? Byli zawsze uprzejmi i umieli się bawić, Kay podejrzewała jednak, że znajomi Josephine potrafią w jednej chwili zmierzyć kogoś wzrokiem i ocenić, że nie należy do ich kręgu. Podziwiała ich zimną krew w kryzysowych sytuacjach, pozornie nieograniczoną zdolność znoszenia niewygód natury fizycznej, lecz wiedziała, że nie jest jedną z nich.

W inne wieczory szła z Sylvią na dancing przy East Endzie, gdzie tańczyła z chudymi, żylastymi chłopcami o zaczesanych do tyłu włosach, którzy częstowali ją woodbine'ami i prosili, żeby do nich napisała, kiedy już wrócą na swoje statki. Albo odwiedzała bary i restauracyjki w ekscentrycznej Fitzrovii czy inteligenckiej dzielnicy Bloomsbury, dokąd lubiła chodzić przed wojną.

Czasami nalot rozpoczynał się w chwili, gdy zbliżała się do restauracji albo stała w kolejce przed wejściem do nocnego klubu. Zaczynała wyć syrena, a potem słychać było w oddali grzmoty i wybuchy spadających bomb. Długie, białe snopy świateł reflektorów krzyżowały się na niebie, a balony zaporowe wzlatywały w powietrze, kołysząc się niczym olbrzymie srebrzyste paciorki. Pewnego wieczoru, gdy siedziała w restauracji, sala zadrżała w posadach, a butelki i kieliszki pospadały ze stolików i roztrzaskały się na podłodze. Potem rozległ się wybuch tak donośny, że Kay odczuła wibracje w całym ciele, gdy znalazła się na podłodze wśród potłuczonego szkła. Wybiegłszy na zewnątrz, zobaczyła, że wszystko błyszczy: odpryski szkła na rozpalonym chodniku, cekiny na sukienkach dziewcząt, strumienie wody z węży strażackich. W powietrzu unosił się rozgrzany pył i czuła ostry, gryzący smak

w ustach. Dygotała na całym ciele; nie mogła przestać. To drżenie wydobywało się z głębi niej samej, z jej serca, niczym gorączka.

Podczas silniejszych nalotów chowała się w tunelu kolejki podziemnej albo w publicznym schronie. W takich schronach, w tym innym, ogarniętym zamętem Londynie, napotykało się często dziwną mieszaninę ludzkich typów. Starsze panie w wytartych płaszczach i zrobionych na drutach beretach siedziały na ławkach, opierając spuchnięte, obandażowane stopy o cegły. Mężczyźni w wojskowych mundurach stali w pobliżu wejścia, rozmawiając o zobowiązaniach rządowych. Kobiety miały na sobie wieczorowe suknie jak Kay. Mogła przysiąść na ławce, wyjąć z kieszeni książkę w miękkich okładkach, włączyć latarkę i czytać, starając się nie zwracać uwagi na wycie syreny, huk dział obrony przeciwlotniczej, wizg, ryk i grzmiący pogłos bomb.

Tamtej dziwnej, chaotycznej jesieni i zimy 1940 roku Kay znalazła sobie kilkoro przyjaciół. Dziewczynę z Holborn, która pokiwała na nią, gdy zaczął się nalot; schroniły się razem pod kuchennym stołem i wymieniały opowieści o służbach pomocniczych i zakładach zbrojeniowych. Chłopaka z Balham, który stracił całą rodzinę, gdy bomba spadła prosto na ośrodek wypoczynkowy. Opowiedział Kay o swoich braciach i siostrach, o pewnym dniu w połowie lat trzydziestych, gdy jego ojciec zginął w wypadku w dokach. Potem matka pracowała jako sprzątaczka, żeby utrzymać rodzinę, on sam zaś porzucił szkołę w wieku lat piętnastu i poszedł do pracy w porcie, jak jego ojciec. Kay pocałowała go przed salą dancingową, gotowa niemal wyjść za niego za mąż, byleby się uśmiechnął. A później pojawił się amerykański dziennikarz, który obserwował bitwę o Anglię z południowego wybrzeża i powiedział, że Wielka Brytania w końcu wygra wojnę, lecz potrwa to wiele lat, może nawet dziesięć. I jeszcze ten polski żołnierz, Franciszek; podczas inwazji niemieckiej w ubiegłym roku jego rodzina uciekła z Warszawy na wschód, do krewnych. Dwa tygodnie później Rosjanie napadli na Polskę. Wraz z innymi ocalonymi żołnierzami z armii polskiej Franciszek uciekł przez Rumunię i na początku 1940 roku wylądował w Anglii. Nic nie wiedział o losach swojej rodziny. Leżąc z nim w łóżku, Kay zwinęła

się w kłębek i przytuliła do niego, podczas gdy on gładził jej udo i szeptał niezrozumiałe, czułe słowa.

W styczniu 1941 roku otrzymała rozkaz przeprowadzenia ciężarówki z Yorkshire do obozu w Amesbury. Zanim dotarła na równinę Salisbury, było już ciemno i czuła się bardzo zmęczona. Okolicę spowijała mgła, otulając wszystko nieprzejrzystą bielą. Kay widziała zaledwie skrawek drogi przed sobą w szarym świetle przyćmionych reflektorów, zwężonych do rozmiaru szparek dozwolonych przy zaciemnieniu. Jechała bardzo wolno, ocierając się o pobocze, lecz choć rozłożyła mapę tuż obok na siedzeniu, nie potrafiła dopasować zaznaczonych linii do pól i dróg. Nie było punktu zaczepienia, jedynie świadomość, że po jednej stronie wznosi się wzgórze, a po drugiej widać mroczny cień drzewa.

Szoferka ciężarówki była otwarta z obu stron. Mimo ciepłego płaszcza i skórzanych rękawic Kay bardzo zmarzła. Palce jej zdrętwiały, a twardy metal pedału sprzęgła zdawał się przebijać podeszwę buta. Jechała dalej, z nadzieją, że natrafi na wioskę lub farmę i będzie mogła zapytać o drogę. Nie widziała jednak żadnych zabudowań, żadnych domów, nawet stodoły. Straciła zarówno poczucie kierunku, jak i czasu. Zerknęła na zegarek i ze zdumieniem stwierdziła, że jest dopiero dziewiąta. Wydawało jej się, że minęła północ.

Zatrzymała wóz, ściągnęła rękawice i zapaliła papierosa. Zaczęła się zastanawiać, czy nie zaparkować na dłużej i poczekać do świtu. Ale wtedy by się spóźniła, a w armii spóźnienie należało do najcięższych grzechów, wszędzie należało się spieszyć, bo bez pośpiechu nie można wygrać wojny. Z drugiej strony, gdyby ruszyła w dalszą drogę, mogłaby znacznie oddalić się od celu. Ogarnęła ją wściekłość z powodu własnej bezsilności; pragnęła tylko wykonać zadanie i znaleźć ciepłe schronienie oraz gorący posiłek. Chyba nie żądała zbyt wiele? Z dzikim zapamiętaniem błagała, by wojna już się skończyła, a ona sama mogła odzyskać utracone życie.

Gdy spróbowała wyjrzeć w mleczną biel, mgła uniosła się nieco i przed przednią szybą zamajaczył krąg olbrzymich kamieni. Były tak wysokie i majestatyczne, że przez chwilę wpatrywała się w nie z nabożną zgrozą. Potem gwałtownym ruchem sięgnęła po mapę,

oświetliła ją latarką i odnalazła Stonehenge. Cel jej podróży, obóz wojskowy Bulford, znajdował się zaledwie kilka kilometrów dalej. Wrzuciła bieg w ciężarówce i ruszyła. Dotarła do obozu, przekazała pojazd, a ktoś podsunął jej talerz z jedzeniem i kubek kakao, kiedy rozgrzewała dłonie przy olejowym piecyku.

Kilka dni później dostała weekendową przepustkę. Po wieczorze spędzonym w mieście pomaszerowała pieszo do domu. Wojna jednak zmieniła znaną topografię Londynu, wymazując cały szereg domów i biurowców, zwalając kościelną wieżę, rozrzucając sklepy, ogrody, parki i drogi, tak że ich części składowe mieszały się jak w puddingu. Obrazy starej kobiety, która przywoływała swego kota w ruinach domu, i marynarza spoglądającego w dal z Blackfriar's Bridge, z twarzą rozjaśnioną blaskiem księżyca, wychynęły z ciemności niczym duchy. Rzeka, ze swymi czarnymi zakolami, była jedynym niezmiennym elementem. Kay poczuła, iż coś ją ciągnie ku wodzie. Zawróciła w stronę domu, pragnąc poczuć jego trwałość, tęskniąc za swoim małym pokojem zawierającym jej przeszłość, tęskniąc za schronieniem i bezpieczeństwem.

Rozdział 9

W kwietniu 1941 roku Tom zauważył ją na peronie dworca Waterloo. Edie Fielding – nie, upomniał się w duchu, od ponad półtora roku jest to już Edie Dangerfield. Mężatka, lecz na jej widok jego serce wciąż śpiewało i wiedział, że gdyby nawet było tam dziesięć razy więcej ludzi, i tak wyłowiłby ją z tłumu.

Zawahał się przez sekundę, a potem przepchnął się do niej przez ciżbę.

– Edie? – zagadnął.

Poderwała głowę zaskoczona.

– Tom. O rety. Ty tutaj?

– Jak się miewasz?

– Bardzo dobrze. A ty świetnie wyglądasz, Tom.

– Skąd przyjechałaś?

– Z Cricklade. Mieszkam u rodziny Charlesa.

Ludzie ją popychali; powiedział: „Pozwól, wezmę to", i odebrał jej walizkę. Jego dłoń lekko dotknęła jej ramienia, gdy przeprowadzał ją przez tłum.

Przed dworcem Edie powiedziała:

– Co za ścisk. – Posłała mu dziarski uśmiech. – To bardzo miło z twojej strony, że mi pomogłeś.

– Na jak długo przyjechałaś?

– Najwyżej na dwa dni. Moja mama jest chora i martwię się, co w domu… – Zerknęła w stronę przystanku autobusowego, gdzie ustawiła się już kolejka.

– Pozwól dziś zaprosić się na kolację.

– Tom… – Spojrzała na niego szybko.

– Nie masz chyba innych planów?

– Nie, ale…

– Ze względu na dawną przyjaźń.

Myślał, że mu odmówi, lecz po chwili szepnęła:

– Ze względu na dawną przyjaźń. – Popatrzyła mu w oczy. – Dobrze, czemu nie?

Tom zgłosił się do armii na samym początku wojny. Po podstawowym szkoleniu skierowano go do wywiadu wojskowego i dołączył do brygady stacjonującej w Buckinghamshire. Jego codzienna praca polegała na utrzymywaniu łączności i odczytywaniu sygnałów.

Tamtego wieczoru zarezerwował stolik w restauracji przy Park Street. Edie spóźniała się już kwadrans i Tom zaczął myśleć, że zmieniła zdanie. Wstał, gdy zobaczył ją w drzwiach.

– Bardzo cię przepraszam – powiedziała, gdy kelner odbierał od niej płaszcz i kapelusz. – Nie chciałabym, abyś pomyślał, że… no cóż, spóźniam się złośliwie czy coś w tym rodzaju.

– Nie widzę w tobie ani krzty złośliwości, Edie.

– Ale ją w sobie mam – oznajmiła, siadając i zdejmując rękawiczki. – Prawdę mówiąc, ta wojna wydobywa ze mnie wszystko co najgorsze. Szłam tutaj, gdy przy Wigmore Street znaleziono niewybuch, więc skierowano ruch w drugą stronę i myślałam, że będę tak krążyła całe wieki.

Miała na sobie srebrzystoszarą sukienkę, a wokół szyi zawiązała jedwabny szal kremowej barwy, ozdobiony bladoróżowymi i niebieskimi kwiatkami. Wyglądała ślicznie i Tom jej to powiedział. Lekceważąco spuściła oczy.

– Nic innego nie znalazłam. Większość moich ubrań została w Gloucester, choć nie wiem po co, bo i tak nigdzie nie bywam.

Zjawił się kelner, zamówili jedzenie i napoje. Edie omiotła spojrzeniem restaurację. W jej oczach Tom dostrzegł cień niezadowolenia, którego nie widział wcześniej.

– Jak to miło znaleźć się w cywilizowanym miejscu – powiedziała.

– Czyli mieszkasz teraz w Gloucestershire?

– Tak, w Taynings, to dom teściowej. Tkwię tam od sierpnia, Charles na to nalegał. – Skrzywiła się. – To już osiem miesięcy.

Osiem ponurych miesięcy.

– Chyba nie jest aż tak źle? – Parsknął śmiechem.

– Jest, Tom. Jest. Honoria, matka Charlesa, odnosi się do mnie bardzo miło. Ale jego siostra, Catherine, to prawdziwy koszmar. Zawsze myślałam, że z każdym się dogadam, dopóki nie poznałam Catherine. Nawet Charles przyznaje, że jest nieznośna. Chyba nie przepada za Rosalind. A mnie się wydawało, że wszystkie kobiety lubią dzieci.

– Rosalind?

– To moja córeczka.

– Gratuluję – powiedział.

– Dziękuję.

– W jakim jest wieku?

– Prawie trzynaście miesięcy. – Edie uśmiechnęła się promiennie. – Jest bardzo rozwinięta jak na swój wiek, już sprawnie chodzi. Teraz w Taynings opiekuje się nią niania. Nie chciałam podejmować ryzyka i zabierać jej tutaj. Tylko ze względu na Rosalind zgodziłam się pojechać do Taynings. Inaczej zostałabym w Londynie. Czasami wydaje mi się, że już lepsze bomby niż nuda.

– Czy twoja córeczka jest podobna do ciebie?

– Wszyscy tak twierdzą. Może chcesz zobaczyć jej fotografię?

– Bardzo bym chciał.

Edie wyjęła zdjęcie z torebki i podała Tomowi. Pulchne, uśmiechnięte dziecko w śpioszkach i płóciennym czepeczku siedziało na rozsłonecznionym trawniku.

– Będzie piękna – powiedział. – Oczywiście, po mamie.

– Och, Tom, wciąż potrafisz prawić komplementy – mruknęła kpiącym tonem. Lecz jej dłoń pomknęła ku twarzy, jakby coś sprawdzając.

Przyniesiono im drinki. Edie uniosła kieliszek.

– Na zdrowie.

– Twoje zdrowie. Cieszę się, że cię widzę, Edie.

Westchnęła.

– Mam dużo szczęścia i nie powinnam się uskarżać, zwłaszcza gdy tak wielu ludzi straciło dach nad głową.

Pomyślał, że jej głos brzmi, jakby recytowała wyuczoną lekcję.

– A ty, Tom? – zapytała. – Stacjonujesz w Londynie?

– Nie, choć często tu przyjeżdżam. Jeżdżę w różne miejsca.

– Nawet nie mów – odezwała się dość ostrym tonem. – Stacjonujesz w miejscu, którego nazwy nie wolno wymieniać i zajmujesz się czymś tajnym.

– Tak, chyba właśnie na tym rzecz polega. Naprawdę, to bardzo nudne. Właściwie tylko przekładam papiery. A co robi Charles?

– Pracuje w Ministerstwie Wojny. Chciał wstąpić do marynarki, ale go nie przyjęli z uwagi na słaby wzrok. Jest ciągle taki zajęty, że rzadko go widuję.

Kelner postawił przed nią półmisek z pasztecikami. Edie popatrzyła na nie i odezwała się cicho:

– Przepraszam. Nie powinnam narzekać.

– Wolno ci narzekać – odparł z uśmiechem. – Defetystyczne uwagi są, rzecz jasna, surowo wzbronione, lecz dopuszcza się narzekanie.

– To już trwa tak długo. Kiedy się zaczęło, pomyślałam, że to kwestia sześciu miesięcy, najwyżej roku. Niemądrze z mojej strony. A kiedy już się wydaje, że wydarzyło się coś dobrego, że coś zdobyliśmy, nazajutrz znowu słyszy się o czymś nie do zniesienia.

– Opowiedz mi o Taynings – zagadnął łagodnie. – Dlaczego tak nie znosisz tego domu.

– No cóż – jej twarz przybrała wyraz rozdrażnienia – przede wszystkim chodzi właśnie o sam dom. Zanim tam pojechałam po raz pierwszy, zanim jeszcze zaręczyłam się z Charlesem, myślałam, że będzie wspaniały. Że będzie podobny do domu wuja Milesa.

– Do Zimnej Gwiazdki?

– Tak, do Zimnej Gwiazdki. W dzieciństwie przepadałam za domem wuja Milesa. Wuj był koszmarny, ale uwielbiałam jego dom. Taynings jednak w niczym nie przypomina Zimnej Gwiazdki. Stoi w najbardziej ponurej i szarej dolinie w całym hrabstwie Gloucester i zawsze wydaje się zimne, wilgotne i spowite mgłą. Stary dwór wyburzono pięćdziesiąt lat temu, a nowy to zupełne okropieństwo, czerwona cegła, blanki, paskudne wieżyczki i obszerne, mroczne pokoje, których nie da się ogrzać, bo nigdy nie wystarcza węgla. Honoria i Lilian nie zwracają na to uwagi, mają dla rozrywki swoją filozofię, ale Catherine nienawidzi tego domu tak samo jak ja. Prawie mi jej

żal, choć taki z niej ponurak i tylko mnie złości. – Edie popatrzyła na Toma ze skruchą. – O rety, obawiam się, że skończę jak Catherine, samotna, nieszczęśliwa i zgorzkniała.

– Mają swoją filozofię? – zapytał Tom.

– Tak. Honoria i Lilian, która jest przyjaciółką Honorii i mieszka w Taynings od lat, wyznają wspólną… nie jestem właściwie pewna, czy religię, czy swego rodzaju teorię, którą nazywają Filozofią. Przez duże F, zawsze tak myślę. Nie bardzo ją rozumiem. Nigdy nie byłam szczególnie dobra w kwestiach teoretycznych. Honoria próbowała mi to kiedyś wytłumaczyć, ale gdy zaczęła mówić o bycie i wyższej świadomości, obawiam się, że przestałam słuchać. Tak czy inaczej, jest to z pewnością niezmiernie wartościowe. Wspierają działania marynarzy w Liverpoolu i Glasgow. Robię dla nich na drutach czapki i skarpety. – Edie zmarszczyła brwi. – Przypuszczam, że byłoby mi łatwiej żyć w Taynings, gdybym potrafiła wykrzesać z siebie entuzjazm dla Filozofii. Honoria i Lilian mają dzięki niej zajęcie. Wydają biuletyn, który rozsyłają do wszystkich znajomych, a niejaki pan Stockfish przychodzi do Taynings na ćwiczenia i spotkania. Nie śmiej się, Tom. – W kącikach oczu Edie pojawiły się zmarszczki rozbawienia. – Pan Stockfish jest ogromnie sympatyczny. Mieszka kilka kilometrów dalej. Prawie każdego ranka wyrusza przez pola do Taynings. Nosi getry, z uwagi na mokrą trawę.

Tom prychnął.

– A twoja szwagierka? Czy też jest zwolenniczką Filozofii?

– Absolutnie nie. Catherine uważa, że to śmiechu warte. I nie znosi robienia na drutach i pracy w ogrodzie, a tym się najczęściej zajmujemy w Taynings. Nie myślałam, że można ze złością robić na drutach, ale Catherine udowodniła, że tak. Nie wyszła za mąż, jest typem sawantki. Bardzo lubi rozwiązywać krzyżówki. Rozwiązuje krzyżówkę w „The Times” w ciągu kilku minut, to chyba godne najwyższego podziwu. Kiedy była młodsza, chciała pójść na uniwersytet, ale w rodzinie Charlesa dziewczęta nie studiują.

Umilkli, gdy kelner zabierał puste talerze. Tom pierwszy przerwał milczenie.

– Ale czujesz się osamotniona? Sama tak mówiłaś.

– Przypuszczam, że to brzmi niedorzecznie, jeśli w domu jest pół tuzina innych osób. Chciałam powiedzieć, że nie mam z nimi wiele wspólnego. Uświadomiłam sobie, jakie przedtem miałam szczęście, gdy tuż obok mnie byli ludzie, których lubiłam i z którymi mogłam porozmawiać.

Podano im główne danie.

– Przynajmniej w Taynings bardzo dobrze jadamy – powiedziała Edie, przyglądając się swojej potrawce. – Jest tam duży ogród warzywny. Nie musimy, dzięki Bogu, żywić się wyłącznie przydziałowymi racjami żywnościowymi. A jak tam twoja rodzina, Tom? Jak się miewają rodzice i Minnie? Są zdrowi?

– Tak, dziękuję. Mama pracuje w uniwersyteckim szpitalu Addenbrooke'a, Minnie jest pielęgniarką w miejskim szpitalu w Londynie. A twoje siostry?

– Nicky z dziewczynkami jest w Yorkshire. Mieszkają w domku niedaleko koszar, w których stacjonuje Dan. Ale armia ciągle go dokądś przenosi, a wtedy one również muszą się przeprowadzać, i Nicky zaczyna mieć tego dość. Laura przebywa w Ayrshire u przyjaciółki. Tony pływa w marynarce wojennej, w konwoju na Atlantyku. Wiem, że Laura strasznie się o niego niepokoi. – Jej oczy pociemniały. – Najgorsze jest to, jak ta koszmarna wojna rozdziela nas z ludźmi, których kochamy. Nie widziałam swoich sióstr od kilku miesięcy. – Edie obrzuciła Toma dość chłodnym spojrzeniem. – Przypuszczam, że ty odbierasz to inaczej. Zawsze unikałeś zbyt mocnych więzi, prawda?

W jej słowach wyczuł sugestię, która nie bardzo mu się podobała i zawierała element niewygodnej prawdy.

– Tak – przyznał. – Chyba tak. Musi ci być ciężko.

– Nie trzeba narzekać – odparła lekkim tonem. – Pani Parrish, która sprząta w Taynings, bez przerwy to powtarza. Skoro nie głoduję, mam dach nad głową, a mój mąż ani brat nie służą w wojsku, nie mam żadnych powodów do narzekań, prawda?

Tom widział jednak, że coś ją gnębi. Pomyślał, że się zmieniła; była szczuplejsza i może nieco bardziej surowa. Ale nie mniej piękna – jej rysy wysubtelniały, zniknęła miękkość młodości i niedoświadczenia, odsłaniając delikatność twarzy.

Niebezpieczny grunt, pomyślał. Znalazł inny temat.

– Jak się miewa twoja matka? – zapytał. – Przykro mi słyszeć, że zachorowała. Mam nadzieję, iż to nic poważnego.

Edie zrobiła zaniepokojoną minę.

– Obawiam się, że chodzi o jakieś okropne sprawy kobiece. Mama musi się poddać operacji, lecz ciągle ją odkłada. Jutro idę z nią do lekarza specjalisty. Martwię się, że jest całkiem sama. Gdyby Taynings było łatwiejsze do zniesienia, poprosiłabym Honorię, żeby mama mogła przyjechać na dłużej.

– Zatem do twojej matki nie przemawia Filozofia?

– Niestety, nie. No i mama zawsze lepiej się czuła w mieście, podobnie jak ja.

– A twój wujek? Co słychać u drogiego wuja Milesa?

– Nie sądzisz chyba, że taki drobiazg jak wojna mógł odmienić zwyczaje wuja, Tom?

– Nie, zapewne nie mógł – przyznał z uśmiechem.

Rozmowa zeszła na inne tematy, książki, filmy i przygnębiający rozwój działań wojennych. Gdy kelner podał kawę, rozległo się wycie syreny przeciwlotniczej. Choć wielu gości pozostało przy stolikach – mając najprawdopodobniej nadzieję, że to fałszywy alarm, ponieważ od pewnego czasu nie było ciężkiego nalotu – Tom zaproponował Edie, że zaprowadzi ją do schronu.

– Wolałabym wrócić do domu. – Zerknęła nerwowo w stronę ulicy. – Mamy piwnicę. Charles kazał mi tam schodzić w razie nalotu.

Uregulował rachunek i wyszli z restauracji. Przechodząc przez Wigmore Street, usłyszeli coraz bliższe wybuchy bomb. Nad horyzontem unosiła się ognistopomarańczowa łuna. Przyspieszyli kroku; Edie ujęła Toma pod ramię. Spojrzał na nią, gdy mijali publiczny schron, lecz pokręciła głową.

– Chcę iść do domu.

– Zaraz się tam znajdziesz, obiecuję.

Ruszyli przez plątaninę ulic prowadzących do Portland Place. Teraz huk dział, wybuchy i ryk nadlatujących nurkowców uniemożliwiały rozmowę. Szrapnel z brzękiem uderzył o chodnik, rozpryskując się na odłamki podobne do niekształtnych, szarych kulek gradu. Tom złapał Edie za rękę i pobiegli. Niebo nad nimi rozjaśniały białe, żółte

i szkarłatne gwiaździste rozbłyski niczym wielkie kolorowe żyrandole, oświetlające miasto na kilometry wokoło. Bomby zapalające cięły seriami powietrze i Tom poczuł, że Edie ściska mocno jego dłoń, kiedy, spojrzawszy w górę, dostrzegli wyraźnie okrągłe, ciemne kadłuby samolotów. Chodniki były całe zasypane potłuczonym szkłem, a w powietrzu unosił się drażniący zapach i pył osmalonych kamiennych ścian.

Donośny, grzmiący łoskot sprawił, że Edie krzyknęła. Tom rozejrzał się szybko w poszukiwaniu schronienia. Edie uniosła głowę i zamarła. Podążając za jej spojrzeniem, Tom zobaczył to, co ona – że bezpośrednio nad nimi niebo wydaje się stać w ogniu. Płomienie tańczyły w powietrzu, skacząc w gorących podmuchach. A potem kula dymu i ognia gwałtownie runęła w dół. Tom wciągnął Edie w pierwszą bramę i osłonił własnym ciałem. Okna pękały z brzękiem pod wpływem żaru, a powietrze stało się zbyt gorące, by nim oddychać. Poczuł, że pieką go plecy. Obejrzawszy się w stronę ulicy, zobaczył pełgające płomienie, słupki ognia, które wirowały i tańczyły. Nad chodnikami fruwały strzępy nadpalonego płótna, wzbijając się i pikując niczym ogniste jaskółki.

– To był balon zaporowy – powiedział Tom. Serce waliło mu mocno. – Już dobrze, nic nam się nie stało, to tylko balon zaporowy.

Edie dygotała na całym ciele.

– O Boże, Tom, myślałam, że spłoniemy żywcem!

– Już dobrze – powtórzył.

I pocałował ją. Zareagowała instynktownie, szukając ustami jego warg, przywarła do niego, oddychając szybciej. Żar i hałas przestały dla niego istnieć, czuł tylko miękkość jej skóry i wiosenny zapach błękitnych dzwonków.

Wtem odsunęła się od niego gwałtownie.

– Nie – powiedziała gniewnie. – Nie, nie wolno nam. Nie chciałam tego.

Wyswobodziwszy się z jego ramion, zeszła niepewnym krokiem po schodach i pobiegła. Strzępy poczerniałego płótna, upstrzone pomarańczowymi iskrami, unosiły się jak widma w wypełnionym dymem powietrzu. Tom zawołał za nią, lecz nawet się nie obejrzała. W świetle dogasających płomieni zobaczył ją, jak brnęła wśród

odłamków w stronę domu przy Portland Place. Przed frontowymi drzwiami poszperała w torebce, potem drzwi się otworzyły, szary płaszcz błysnął srebrzyście w mroku – i zniknęła.

Tom zauważył na stopniu obok, wśród zwęglonych resztek zaporowego balonu, coś jasnego. Podniósł to coś. Był to kremowy szal w różowe i niebieskie kwiatki.

Następnego dnia Londyn wydawał się ogłuszony, oszołomiony i zaszokowany siłą nalotu. Bomby trafiły w siedzibę Admiralicji i wyżłobiły kratery w Hyde Parku. Zginęło ponad tysiąc ludzi, ponad pięćdziesiąt tysięcy domów zostało uszkodzonych lub zniszczonych. Przechodząc przez Mayfair, Tom mijał ekipy ratunkowe przeczesujące gruzy w poszukiwaniu zabitych i rannych.

Pomyślał o Edie, o ich pocałunku. Czy była to jedynie reakcja na dramatyczną, pełną grozy chwilę, jak pochwycenie w niebezpieczeństwie ręki kogoś nieznajomego? Czy może coś więcej? Przez cały dzień stawiał sobie pytanie, czy powinien się z nią jeszcze raz spotkać, zdawał sobie sprawę, że nie powinien, a jednocześnie wiedział, że musi i że to zrobi. Zachował w myślach jej obraz, gdy wchodziła do domu poprzedniej nocy. Wydawała się taka drobna, taka krucha.

Przy Portland Place zobaczył dom, w który musiała trafić bezpośrednio bomba, pozostawiając tylko gruzy i odłamki drewna. Odruchowo dotknął jedwabnego szala w kieszeni, jakby to był talizman. Zbliżając się do domu Dangerfieldów, zauważył powybijane okna i brak części dachówek. Nacisnął guzik dzwonka, a następnie zastukał do drzwi.

Gdy Edie otworzyła, poczuł falę radości i ulgi.

– Przyszedłem sprawdzić, czy z tobą wszystko w porządku.

– Jak najbardziej. – Miała na sobie szarą spódnicę i niebieską wełnianą bluzkę z rękawami. Jedno i drugie było zakurzone. Kurz osiadł również na włosach Edie i wyglądała blado.

– Znalazłem to. – Wyjął jej szal.

– Dziękuję. – Wzięła od niego szal i dodała niezbyt zachęcającym tonem: – Może wejdziesz.

Ruszył za nią w głąb domu. Pomyślał, że dom sprawia wrażenie, jakby ktoś go podniósł, mocno nim potrząsnął i niezdarnie postawił z powrotem. Sufity i górne części ścian były popękane. Książki wysypały się z biblioteczek, na podłodze leżała sterta oprawionych rycin.

– Przepraszam. – Edie machnęła ręką. – Straszny tu bałagan. Próbowałam posprzątać, ale to niewykonalne. Większość okien wyleciała i wszędzie jest pełno szkła. Kiedy już mi się wydaje, że wszystko pozamiatałam, znajduję następne odłamki w szparach podłogi. I ciągle sypie się pył. Ledwie go pościeram, pojawia się nowa warstwa. Używałam wilgotnej szmatki i teraz oprócz pyłu jest jeszcze rozmazany brud. Zadałam sobie tyle trudu, wybierając zasłony i meble, a teraz tylko spójrz na to.

– Próbowałem zatelefonować – powiedział.

– Telefony nie działają. – Miała udręczony wyraz twarzy. – Co za nieznośne utrapienie.

Wszedł za nią do salonu. Obszerny, wysoki pokój wyglądał ponuro, cały zasypany szarym pyłem, z popękanymi szybami w oknach, za którymi zapadał zmrok.

Edie gniewnym, szybkim ruchem zaciągnęła kotary zaciemniające.

– Właśnie tutaj Charles przed wojną urządzał koncerty. To był piękny pokój. Najlepsze rzeczy wywieźliśmy, oczywiście, do Taynings, ale Charles musi co pewien czas przyjeżdżać do Londynu ze względu na swoją pracę, więc zostawiliśmy część mebli. Nawet zegary się potłukły. – Popatrzyła na głębokie pęknięcie w podmurówce kominka. – A to? Uważasz, że powinnam z tym coś zrobić?

– O czym myślałaś?

– Kłopot w tym, że nie wiem. Czy należałoby tę szczelinę czymś wypełnić? Czy tylko jeszcze bardziej się rozszerzy? Czy cały komin może się zawalić? Nie mogłam wezwać żadnego fachowca, bo telefon nie działa, a poza tym są podobno zamówieni na lata naprzód.

– Pomyślałem, że mogłabyś wrócić do Gloucestershire.

– Jeszcze nie teraz. – Edie podeszła do kredensu, wyjęła dwie szklanki i nalała do nich ginu. – Masz jakieś papierosy, Tom? – zapytała. – Zabrakło mi, a nie zdążyłam pójść do sklepu.

Zapalił dwa papierosy i siląc się na krzepiący ton, powiedział:

– To wcale nie wygląda tak źle. Wszystko da się naprawić.

– O tak, przynajmniej dom nadal stoi. – Zmrużyła oczy, wpatrując się w Toma z powściąganą furią, która zbiła go z tropu. – Ostatnimi czasy całe moje życie wydaje się upływać na mówieniu „przynajmniej". Przynajmniej mój dom nie zmienił się w stertę gruzu. Przynajmniej mój mąż nie służy w wojsku. Przynajmniej moje dziecko jest bezpieczne na wsi.

– Nie zamierzałem…

– A ja nie powinnam zważać na to, że nic, ale to nic nie wyszło tak, jak pragnęłam czy planowałam. Nienawidzę tego, co zrobili z moim domem. Nienawidzę tej sytuacji, że Rosalind i ja jesteśmy rozdzielone z Charlesem. – Zaciągnęła się szybko dymem z papierosa. Jej oczy płonęły, usta wykrzywił gniewny uśmiech. – Powiedzieć ci, Tom, czego najbardziej nienawidzę? Tego, że już nie jestem użyteczna. Wprost przeciwnie, do niczego się nie nadaję, jestem jeszcze jedną gębą do wykarmienia. Następną matką, którą należy wyekspediować w siną dal, bo do niczego innego się nie nadaje. Och, jestem nie tylko bezużyteczna, stanowię przeszkodę, odstawia się mnie na boczny tor i nigdy nie mówi mi o niczym ważnym. Czasami ta wojna wygląda jak klub, do którego nie mam wstępu. Matki z dziećmi muszą gnić na wsi, gdzie ktoś je od czasu do czasu głaszcze po głowie i wmawia, że powinny robić, co im się każe, bo to dla nich dobre. Ale ja tego nienawidzę, Tom, nienawidzę!

– Przypuszczam, że możesz to tak odczuwać – odparł rozsądnie – ale się mylisz. Jesteś potrzebna. Wojna się toczy o takie kobiety jak ty i o takie dzieci jak Rosalind.

– Nie. – Zacisnęła usta i powoli pokręciła głową. – To ty się mylisz, Tom. Matki z dziećmi nie uczestniczą w działaniach wojennych, przez co stają się ciężarem. Powtórzyć ci, co usłyszałam wczoraj w pociągu od pewnej kobiety? Zaczęłyśmy rozmawiać, pokazałam jej fotografię Rosalind i napomknęłam, że chciałabym, aby miała wkrótce braciszka albo siostrzyczkę. Wtedy ta kobieta powiedziała, że jej zdaniem w czasie wojny ludzie nie powinni mieć dzieci. Że to nierozważne i egoistyczne. Naprawdę tak się wyraziła. Zabawne, ale jej słowa wytrąciły mnie z równowagi bardziej niż ten nalot. Nic nie

odpowiedziałam, bo właściwa odpowiedź nigdy nie przychodzi człowiekowi na myśl w odpowiedniej chwili, lecz ogarnęła mnie wściekłość. Przed wojną pragnęłam tylko jednego: wyjść za mąż i mieć dzieci. Nigdy nie marzyłam o niczym innym. Nie wychowywano nas do tego, żebyśmy znalazły sobie pracę, co wydaje się obecnie dość idiotyczne, jeśli wziąć pod uwagę nasze ubóstwo, ale tak to wyglądało. I teraz mam o tym wszystkim zapomnieć, mam jakoś przeczekać tę koszmarną wojnę, nie zważając na to, że prawie wcale nie widuję męża, matka i siostry są daleko ode mnie, a ja sama i moja córeczka nie możemy nawet mieszkać we własnym domu. – Spojrzała mu wyzywająco w oczy. – No dalej, wytknij mi, ile mam szczęścia w porównaniu z wieloma innymi kobietami.

– Ani mi to w głowie. Lekko stuknięta teściowa i zrzędliwa szwagierka nie wydają się zbyt atrakcyjnym towarzystwem.

Nie zobaczył uśmiechu, usłyszał natomiast szydercze prychnięcie.

– Nie wiem, dlaczego właśnie tobie o tym mówię. Ciebie to przecież nic a nic nie obchodzi. Wojna zapewne bardzo ci odpowiada.

– Otóż wcale nie – zaprzeczył z irytacją.

– Och, Tom. – Zaśmiała się drwiąco. – Byłabym przekonana, że właśnie teraz jest ci dobrze. Nieustanne podróże i od czasu do czasu jakiś bohaterski czyn. Zawsze chlubiłeś się swoją niekonwencjonalnością. W wojsku to zapewne dość trudne. – Jej głos brzmiał gorzko i sarkastycznie.

– Ty i ja… to nigdy nie była kwestia niechęci do związku jako takiego – odparł dotknięty do żywego.

– Więc o co chodziło? Nie byłam dość ładna? Nie byłam dość inteligentna?

– Edie, mówisz od rzeczy. Przecież to ty mnie rzuciłaś, nie pamiętasz?

– Tylko dlatego, że dałeś jasno do zrozumienia, iż zupełnie nie myślisz o naszym życiu we dwoje.

– Co za nonsens! Oczywiście, że myślałem.

– Nie, Tom – odrzekła rzeczowym tonem. – Chciałeś dalej żyć tak samo jak wcześniej. Podróżować, wspinać się po górach i nigdy się nie ustatkować. Ani przez sekundę nie pomyślałeś, czego ja mogę chcieć.

– To nieprawda – mruknął, lecz poczuł ukłucie niepokoju.

Edie odwróciła się do niego plecami. Zobaczył, że wyrzuca niedopałek papierosa do kominka i usłyszał jej twardy, ostry głos:

– To, co się wydarzyło wczoraj wieczorem… wypływało z lęku. Ludzie robią dziwne rzeczy, kiedy są wystraszeni. Mam nadzieję, że niczego się w tym nie dopatrzyłeś.

– Nie, oczywiście, że nie.

– To świetnie.

Po chwili milczenia Tom powiedział:

– Tamtego wieczoru w restauracji w Esher tak bardzo oddaliliśmy się od siebie. Przedtem uważałem, że pragniemy tego samego.

– Kobiety, Tom, nie mogą czekać wiecznie. Mężczyźnie jest łatwiej, może poślubić dwa razy młodszą dziewczynę i nikt się z tego powodu nie oburza. Charles jest starszy ode mnie o dziesięć lat. Ale kobiety bardzo rzadko wychodzą za mąż za mężczyzn o dziesięć lat młodszych. Kobieta nie może sobie pozwolić na luksus czekania, powinna wyjść za mąż przed dwudziestym piątym, góra trzydziestym rokiem życia, inaczej ludzie zaczynają mówić, że jest starą panną. Znam kobiety, które zwlekały zbyt długo, lata po dwudziestce spędziły, dobrze się bawiąc, a potem przekonały się, że wszyscy przyzwoici mężczyźni są już zajęci. Czasami nawet spotykają kogoś odpowiedniego i wtedy odkrywają, że są już za stare, aby urodzić dziecko. Kobiety muszą być praktyczne. Nie możemy bujać w obłokach. Uważałeś, że jestem materialistką z ambicjami, dlatego się pokłóciliśmy. Wiesz o tym dobrze.

Poczucie krzywdy, gniew i uraza z powodu zerwania zakipiały w nim ponownie, wciąż świeże i bolesne.

– Materialistką z ambicjami? – powtórzył gniewnie. – Jeśli już mówimy szczerze, Edie, to czy nią nie byłaś? Charles jest człowiekiem ustosunkowanym, prawda? I przypuszczam, że raczej niebiednym. Nie czekałaś zbyt długo po tym, jak mnie zostawiłaś.

– Chyba powinieneś już sobie pójść, Tom – powiedziała zimno.

– Chyba powinienem. – Jego głos zabrzmiał gorzko.

Gdy jednak odwrócił się, by odejść, nieoczekiwanie się zawahała. Odezwała się nagle bezbarwnym, przygaszonym tonem:

– Tak, wydaje mi się, że istotnie chciałam dobrze wyjść za mąż. Chciałam czuć się bezpiecznie, zawsze tego pragnęłam. Ale dla ciebie byłam gotowa odsunąć to na bok.

– Nie wierzę ci. – Popatrzył na nią.

– Myśl, co ci się podoba. – Wydawała się mocno wytrącona z równowagi. – Ale to prawda.

Ścisnęło mu się serce. Głęboko poruszony, zapytał:

– Dlaczego nie powiedziałaś?

– Bo chciałam, żebyś sam do tego doszedł. Dowiódłbyś wtedy, że o tym myślisz, że ci zależy. – Sięgnęła po ścierkę i zaczęła machinalnie przesuwać nią po parapecie. – Nigdy nie miałam pewności. A gdy ze sobą zerwaliśmy, byłam przekonana, że napiszesz albo coś. Bardzo mnie zraniło, że tak po prostu o mnie zapomniałeś.

– Nie – zaprotestował. – Nie zapomniałem o tobie! Nigdy!

– Prawda jest taka – podjęła ze znużeniem – że nigdy nie czułam się dostatecznie dla ciebie ważna, Tom.

Zabrakło mu tchu i poczuł lekkie mdłości.

– Gdy usłyszałem o twoich zaręczynach, z trudem to zniosłem. Boże, Edie, gdybyś tylko powiedziała mi o tym wszystkim wcześniej!

– Och, Tom, gdybyś tylko zechciał słuchać – odparła ostro. Potrząsnęła lekko głową. – Jacy wtedy obydwoje byliśmy niemądrzy.

W ciszy, która zapadła, usłyszał szuranie i stukot, gdy Edie zgarniała płaty opadłego tynku na śmietniczkę. W posępnym milczeniu obserwował, jak wybiera pokryte sadzą odłamki szkła z obramowania kominka. Jeśli nawet wcześniej pragnął swego rodzaju odwetu, jej wyznania, iż także zawiniła, teraz odczuwał jedynie żal.

– Ale twoje małżeństwo jest szczęśliwe, prawda? – Pytając, nie był pewien, jaką odpowiedź chciałby usłyszeć.

– Bardzo szczęśliwe. – Założyła opadający kosmyk włosów za ucho; Tom zauważył plamkę szarego pyłu w jej lokach, kiedy wysypywała zawartość śmietniczki do tekturowego pudła.

Widzieć ją i nie dotykać. Widzieć ją i być świadomym jej pogardy. Widzieć ją i zdawać sobie sprawę, jakim był głupcem.

Wziął swoją czapkę.

– Powinienem już iść. – Wtem coś mu się przypomniało. – Twoja matka – powiedział. – Czy nie wybierałaś się z nią dzisiaj do lekarza?

– Tak.

– I poszłyście?

– Tak. – Na jej twarzy pojawił się nagle bolesny wyraz. Odłożyła szczotkę i śmietniczkę.

– No i jak było?

– Okropnie… po prostu okropnie. Poczęstujesz mnie jeszcze jednym papierosem, Tom?

Podsunął jej paczkę, podał ogień. Odetchnęła głęboko.

– Wyszłam po mamę na dworzec, lecz okazało się, że pociągi nie kursują. Wtedy wróciłam i spróbowałam zadzwonić, ale telefony, oczywiście, zostały odcięte. Zupełnie nie wiedziałam, co robić, więc przylepiłam do frontowych drzwi kartkę z informacją, że będę na nią czekała w szpitalu. Zajęło mi godzinę, aby tam dotrzeć, bo autobusy nie jeździły i musiałam iść. W każdym razie mama w końcu się pojawiła. Przyjechała z Esher samochodem, omijając wszystkie te zatarasowane drogi i leje po bombach. Miała pewnie bardzo mało benzyny, ponieważ zabrakło jej w Chelsea. Potem i tak musiałyśmy czekać kilka godzin, bo przesunięto wszystkie wizyty. Biedna mama była zupełnie wyczerpana, widziałam to. I wreszcie lekarz specjalista powiedział nam, że za tydzień powinna poddać się operacji. Nie pozwolą jej zwlekać ani dnia dłużej.

– Przykro mi – powiedział. – Prawdziwy pech.

– Prosiłam, żeby pojechała ze mną do Taynings, ale odmówiła. Powiedziała, że woli wrócić do własnego domu. Nie mogłam nawet zaprosić jej tu na noc przez ten cały bałagan.

– Bardzo mi przykro – powtórzył.

Wydawała się maleńka i zagubiona; ruszył ku niej, lecz zatrzymał go jej ostrzegawczy ton:

– Nie, Tom.

Pospiesznie kiwnął głową, przyjmując odmowę i powiedział:

– Mam nadzieję, że twoje sprawy jakoś się ułożą, Edie. Przekaż mamie moje najserdeczniejsze pozdrowienia. Zawsze bardzo ją lubiłem.

Opuścił pokój. Gdy dotarł do frontowych drzwi, usłyszał za sobą kroki. Odwrócił się.

Edie stała w przedpokoju.

– Przepraszam – rzuciła. – Przepraszam, że zachowałam się tak podle.

– Bez wątpienia zasłużyłem na to.

– Może istotnie zasłużyłeś. – Zacisnęła usta, a po chwili dodała nagle: – Przytul mnie, Tom. Chcę, żebyś mnie przytulił. Od wczorajszego wieczoru nie potrafię myśleć o niczym innym, tylko o tym, jak bardzo pragnę, żebyś mnie znowu przytulił.

Wziął ją w ramiona. Miała we włosach drobiny pyłu; nie pachniała wiosennymi dzwonkami, lecz kredą i płynem do czyszczenia. Zamknęła oczy i jej długie czarne rzęsy rzuciły delikatny cień na niebieskawobiałą skórę pod oczami. Tom wsunął dłoń pod jej wełnianą bluzkę, muskając palcami chłodny jedwab halki. Edie wydała cichy jęk i powolnym, naglącym ruchem otarła się o niego.

W gospodarstwie rolnym niedaleko Rastenburga pojawili się francuscy jeńcy wojenni. Jesienią, wracając do domu po wizycie u Anny, kuzynki Friedricha, Miranda zauważyła mężczyzn pracujących na polu. Jej koń przestąpił zgrabnie przez rów zasłany czerwonymi i złotymi liśćmi. Zawołała do jeńców, a kiedy podeszli, dostrzegła, jak ich oczy rozbłysły na dźwięk ojczystego języka. Zapytała, czy znają może Oliviera – paryżanin, trzydzieści lat, miodowo-brązowe oczy. Czy gdzieś go widzieli. Czy mogą jej powiedzieć, co się z nim stało. Pokręcili głowami, marszcząc brwi i wzruszając ramionami.

Na początku Miranda była pewna, że niebawem znowu się spotkają. Wojna się skończy, gdyż Hitler z pewnością zadowoli się podbojem Polski, dzięki któremu Prusy Wschodnie połączyły się na nowo z resztą Niemiec. A kiedy wojna się skończy, ona pojedzie do Paryża i znowu będzie z Olivierem, choćby tylko przez tydzień czy dwa. W Paryżu to możliwe, jeśli nawet otwarcie się tego nie aprobuje, by zamężna kobieta spotykała się z kochankiem, jak swego czasu madame Robert. A później wróci do Sommerfeld i Friedricha.

Lecz po bitwie o Francję w lecie 1940 roku wszystko się zmieniło. We wrześniu Miranda napisała do madame Robert. Wyobrażała ją sobie ubraną w żółtozieloną suknię w kropki, jak dzwoni do drzwi mieszkania i biura Oliviera. Po dwóch tygodniach dostała list z wiadomością, że biuro Oliviera stoi puste od ponad roku. A jego mieszkanie w Marais zajmuje teraz niemiecki oficer. *Désolée*, napisała Laure Robert, lecz nie udało jej się dowiedzieć niczego więcej. Miranda powiedziała sobie w duchu, że Olivier uciekł do Anglii i jest teraz w oddziałach wojskowych Wolnej Francji. Albo po zakończeniu walk wrócił do Paryża, znalazł inne zajęcie i zamieszkał pod innym adresem. Być może jego życie płynie niemal tak samo jak w czasie pokoju. Choć jakoś w to nie wierzyła.

Istniały, oczywiście, ewentualności, których nie chciała rozważać. Że został ranny w bitwie. Albo też jest w niewoli. Że zginął. Tliła się w niej jednak iskierka nadziei, połączona z przeświadczeniem, że gdyby coś się stało Olivierowi, ona by w jakiś sposób o tym wiedziała. Pamiętała jego obietnicę, że będzie na nią czekał w Parc Monceau, jeśliby los ich rozdzielił. W swojej sypialni wyjęła z szuflady ceramicznego ptaszka i dotknęła jego chłodnego, okrągłego ciałka.

Friedrich przez całą zimę stacjonował w Paryżu. Co za ironia, myślała często Miranda, wpatrując się w padający śnieg i długie, kryształowe groty sopli zwisających z rynien, że Friedrich jest w Paryżu, a ona nie może tam pojechać. Dostał tygodniową przepustkę na Boże Narodzenie, a potem wrócił do Francji. Wymieniali serdeczne i uprzejme listy – któż by się domyślił, czytając je, że od tamtego popołudnia w hotelu Adlon oddalili się od siebie?

Nadeszła wiosna, śniegi stopniały, a miejsce bieli na polach zajęły żywe barwy nowej pory roku: zieleń młodych listków na drzewach i żółć irysów nad jeziorem. W pogodne wieczory, o zmierzchu, Miranda lubiła wychodzić na taras z tyłu pałacu i obserwować pikujące jaskółki – niebieskawe błyski na ich piórach, wygięcie skrzydła, gdy słońce osuwało się za korony drzew. Często, słuchając wiadomości z Zachodu, odczuwała wdzięczność za błogi spokój

Sommerfeld. Żyzne ziemie oznaczały, że nie zabraknie im żywności. Położone daleko na wschodzie, poza zasięgiem brytyjskich bombowców, Prusy Wschodnie uniknęły nalotów, które dotknęły Berlin, Hamburg i inne zachodnie miasta.

Pewnego wieczoru na początku maja Miranda z hrabiną siedziały po kolacji w salonie. Miranda czytała głośno. Dobiegły je dźwięki z głębi domu, rozmowa, dźwięk otwieranych drzwi i hrabina powiedziała z uśmiechem:

– To zapewne Anna. Choć pora jest już dość późna. – W korytarzu rozległy się kroki, twarz hrabiny znieruchomiała i staruszka szepnęła – Friedrich…

Wszedł do pokoju, wysoki i opalony. Skłonił się przed matką, ucałował jej dłoń i musnął wargami usta Mirandy. Wyjaśnił, że nieoczekiwanie otrzymał rozkaz i nie miał czasu uprzedzić o swoim przyjeździe, a prócz tego chciał im sprawić niespodziankę. Nie był głodny; zjadł posiłek w drodze.

Przyniesiono dzbanek kawy i kieliszek brandy. Friedrich wyjął z kieszeni dwie małe paczuszki: broszkę z kameą dla matki i naszyjnik z czarnych pereł dla Mirandy. Zapiął go na jej szyi; spoglądając w lustro, zauważyła, jak kontrastują z jej skórą koloru kości słoniowej.

– Może napisać do kuzynów i zaprosić ich na kolację w piątek? – zaproponowała hrabina. – Byłoby jak w dawnych czasach.

Friedrich uśmiechnął się przepraszająco.

– Mamo, w piątek już mnie tu nie będzie. Jutro muszę wyjechać.

– Jutro… – Hrabina podniosła dłoń do ust.

Friedrich dotknął jej ramienia.

– Ale mam dobrą wiadomość. Będę stacjonował bliżej domu, przynajmniej przez pewien czas, więc możemy się częściej widywać w nadchodzących tygodniach. To chyba o wiele lepiej, że znajdę się bliżej domu?

– O wiele lepiej – przyznała hrabina i przytuliła rękę Friedricha do policzka.

Rozmawiali o sprawach rodzinnych, o niedawnych dniach niepogody i szkodach, jakie ulewne wiosenne deszcze wyrządziły uprawom. O dziesiątej hrabina udała się do sypialni.

Odprowadziwszy matkę na górę, Friedrich odprawił służących i wrócił do Mirandy.

– Moja matka wydaje się zmęczona – powiedział. – I słaba.

– Ma prawie osiemdziesiąt lat, Friedrichu. I martwi się o ciebie.

– Moja Miranda… – wyszeptał. – Moja piękna Miranda. Czy wiesz, jak bardzo za tobą tęsknię, kiedy jestem daleko?

– Mam nadzieję, że ogromnie. Tak jak ja za tobą, kochany.

Pocałowała go lekko w usta. Miał zakurzone buty i pachniał świeżym powietrzem.

– Dlaczego przeniesiono cię tutaj, Friedrichu? – zapytała.

– Być może przełożeni nareszcie wzięli pod uwagę moje życzenia. – Uśmiechnął się cynicznie. – Być może widzą moją nostalgię. Zrozumieli, jak bardzo tęsknię za tobą i zrobiło im się mnie żal.

– Byłoby to miłe z ich strony. Ale jakoś wątpię.

– W armii przerzucają człowieka z miejsca na miejsce. Nie zawsze podają nam przyczynę. Powinniśmy się cieszyć naszym szczęściem, dopóki trwa.

Friedrich rzadko wyrażał uczucia w sposób otwarty, uważając to za niesmaczne i prostackie, a nawet za przejaw tchórzostwa, zwłaszcza u mężczyzny. Miranda nauczyła się jednak odczytywać drobne sygnały.

– Friedrichu, rozumiem, że nie chcesz niepokoić matki. Ale mnie musisz powiedzieć prawdę. Musisz mi powiedzieć wszystko.

– Wszystko? – Utkwił w niej szaroniebieskie oczy, jasne i przejrzyste. – Tak jak i ty zawsze mówiłaś mi wszystko, Mirando?

Odwróciła głowę. Usłyszała, jak z syknięciem wypuścił powietrze.

– Przepraszam – mruknął. – Nie powinienem był tego powiedzieć. Jestem zmęczony, odbyłem długą podróż.

Miranda usiadła na sofie.

– Anna wspomniała mi o pociągach wojskowych przyjeżdżających do Rastenburga. Na początku było ich kilka, lecz potem coraz więcej. Setki pociągów, a każdy wypełniony żołnierzami. Nie jestem głupia, Friedrichu, i nie jestem już dzieckiem.

– Oczywiście, wiem o tym. – Westchnął. – Pragnę tylko oszczędzić ci zmartwień. Ta koszmarna, przeklęta wojna! Powinienem być tutaj z tobą.

– Może już niebawem.

– Nie, nie przypuszczam.

– Friedrichu, musisz mi powiedzieć.

– Mam nadzieję, że to nie nastąpi – rzekł miękko. – Modlę się, żeby nie nastąpiło.

– Co? Żeby co nie nastąpiło?

Po chwili milczenia wyznał:

– W tej chwili setki tysięcy naszych żołnierzy zajmują pozycje wzdłuż rosyjskiej granicy, od Bałtyku po Morze Czarne. Czołgi stoją ukryte w lasach, a działa polowe czekają pochowane w stodołach. W jakim celu tam są, jeśli nie po to, by zaatakować Rosję?

– Słyszałam takie pogłoski. Ludzie rozmawiają o tym we wsi i w kościele. Miałam nadzieję, że to nieprawda.

– Niełatwo ukryć armię. I trudno uwierzyć, by Stalin niczego nie zauważył.

Miranda przypomniała sobie hol hotelu Adlon, dziennikarzy tłoczących się w kolejce do telefonu i Friedricha tłumaczącego jej, że Niemcy i Związek Sowiecki podpisały pakt, w którym zobowiązały się do zachowania neutralności, gdyby któryś z krajów zaangażował się w działania wojenne. Pamiętała rozpacz, jaką poczuła, kiedy zrozumiała, że nie będzie mogła pojechać do Paryża, do Oliviera.

– Istnieje przecież traktat między Niemcami a Rosją, traktat o wzajemnej przyjaźni – przypomniała mu. – Wtedy w Berlinie, przed wojną, mówiłeś mi o tym.

– Traktat o przyjaźni? – Friedrich wykrzywił usta. – Tak bym tego nie nazwał. Chodziło raczej o względy praktyczne lub doraźną korzyść. Ponadto nasz Führer, jak sama wiesz, nie dba o traktaty. Zrywa je bez wahania.

– Czy to pewne?

– Jeszcze nie. Wciąż mam nadzieję, że może nie dojdzie do wojny. Niewykluczone, iż Stalin nie jest do niej gotów. Może zaoferuje Ukrainę jako okup. I może Hitler się tym zadowoli. Jednak…

– Powiedz.

– Tak jak nie można ukryć armii, nie można też kazać jej czekać. Wojsko trzeba zaopatrywać i karmić. Własna siła rozpędu popycha je do działania. Jeśli to ma nastąpić, nastąpi szybko. Generałowie będą

chcieli przeprowadzić letnią kampanię, krótki gwałtowny atak, który szybko zmiażdży Rosjan. – Usiadł obok niej na sofie. – Optymiści twierdzą, że za miesiąc będziemy w Moskwie. Część naszych żołnierzy jest o tym przekonana. Są pewni zwycięstwa. Po zwycięstwach w Europie uwierzyli, że możemy wszystko.

– A ty? Co o tym myślisz?

– Wszystko może się zdarzyć. Już nie bardzo wierzę w moją zdolność przewidywania rozwoju wypadków.

Wydawał się zmęczony; z bliska Miranda widziała siateczkę zmarszczek w kącikach jego oczu i pojedyncze srebrzyste pasemka w rudawozłotych włosach.

– Być może wojna z Rosją jest nieunikniona. Być może, jeśli będziemy zwlekać, wojska Stalina wzmocnią się i zaatakują Niemcy. My, mieszkańcy Prus Wschodnich, lękamy się Rosjan, Mirando. Obawiamy się, że chcą zająć nasze ziemie.

– Ojciec powiedział mi kiedyś, że Niemcy nigdy nie zdołają pokonać rosyjskich wojsk na rosyjskiej ziemi. – Przypomniało jej się ostatnie spotkanie z ojcem, jego choroba i plany zabezpieczenia majątku Denisowów na wypadek wojny.

Friedrich uśmiechnął się z goryczą.

– Wystarczy przywołać parę historycznych przykładów, by stwierdzić, że twój ojciec ma słuszność. Pamiętasz los armii Napoleona? Rosyjska zima może stanowić dla nas większe zagrożenie niż oddziały Stalina. Rosja to nie to samo co zachód Europy. Jest bezkresna, niewyobrażalnie rozległa i panuje tam bezlitosny klimat. I jeszcze jedno. Rosjanie zawsze żyli pod rządami jakiegoś tyrana. Co mają do stracenia prócz ojczystej ziemi? Człowiek walczy najbardziej zawzięcie, gdy nie ma już nic do stracenia. – Zniżył głos. – Obawiam się, że zmierzamy do klęski. Że to nas zniszczy. A przede wszystkim… obawiam się tego, kim się stanę.

– Ty? – Uśmiechnęła się do niego. – Zawsze będziesz Friedrichem. Zawsze będziesz dobry, łagodny i dzielny.

– Będę? – Wyraz jego twarzy wprawił ją w zakłopotanie. Tym razem nie potrafiła go odczytać. Usłyszała słowa: – Chciałbym, żebyś mi coś obiecała, Mirando.

– Tak, jeśli sobie życzysz.

– Obiecaj mi, że będziesz pamiętała, iż cokolwiek się stanie, dokądkolwiek pójdę i cokolwiek zrobię, zawsze pragnąłem tylko ochronić ciebie i Sommerfeld.

– Oczywiście. Tak, obiecuję.

Ciemność zniknęła z jego oczu; znowu był wytworny i opanowany.

– Nie zamierzałem mówić o tym z tobą, moja droga – podjął lekkim tonem. – Często zarzucano mi pesymizm. To moje złe przyzwyczajenie. Nie martw się. Czy zechcesz wyjść ze mną na chwilę? Chciałbym zapalić.

Światło z oranżerii padało na płytki, którymi był wyłożony tylny taras. Niebo poszarzało, a w górze nad ich głowami Miranda dostrzegła czarne cienie śmigających nietoperzy. Friedrich spoglądał na ogród. Włości Friedricha, pomyślała Miranda, jego małe królestwo. Spoza trawnika drzewa rzucały długie szaroniebieskie cienie. Wschodzący księżyc w pełni ukazywał bladozłotą tarczę.

Miranda usłyszała trzask zapalniczki i dostrzegła płomyk.

– Nic się nie zmieniło – powiedział Friedrich. – Wszystko jest takie samo jak dawniej.

– Dbamy o Sommerfeld, hrabina i ja, gdy cię tu nie ma. Choć nastąpiły pewne zmiany; niektórzy służący i robotnicy rolni zostali powołani do wojska, a Miranda i hrabina nie mogły jeździć do Königsbergu i Berlina tak często jak dawniej.

– Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo się cieszę, że jestem w domu. Paryż był, oczywiście, miłą placówką, ale Francuzi nas nienawidzą, czytałem to w ich oczach.

– Czy spotkałeś się z moim ojcem?

– Odwiedziłem go kilka razy, wyglądał bardzo dobrze. – Friedrich zaśmiał się krótko. – Wręcz kwitnąco.

– Papa jest twardy. Gdziekolwiek się znajdzie, potrafi dać sobie radę.

– Teraz to nie takie proste. Nawet twój ojciec mógł poczuć, że podcięto mu skrzydła.

– Zawsze był mądry. Gdyby Paryż przestał mu odpowiadać, przeniósłby się gdzie indziej.

Poczuła na sobie jego spojrzenie.

– A ty, Mirando? – zapytał. – Gdyby Sommerfeld przestało ci odpowiadać, wyprowadziłabyś się gdzie indziej?

– Friedrichu…

– Ilekroć wracam do domu, zadaję sobie pytanie, czy jeszcze cię tu zastanę?

Ogarnął ją nagły gniew.

– A dokąd miałabym się udać? – spytała z goryczą. – Do ojca, który porzucił mnie dawno temu? Do moich krewnych? Nie mam innej rodziny niż ty i twoja matka. A może do przyjaciółki, może powinnam kupić bilet na pociąg i pojechać do Londynu, by odwiedzić moją drogą przyjaciółkę Kay? Myślisz, że twoja armia mi na to pozwoli, Friedrichu?

– Czy dlatego tu zostałaś? Ponieważ nie masz dokąd pójść?

– Nie.

Gniew opuścił ją równie nagle, jak się pojawił, a jego miejsce zajęła melancholia.

– Wyszłam za mąż za ciebie, Friedrichu – powiedziała. – Sama ciebie wybrałam. – W jej samoobronie było coś fałszywego, jak pomyślała, coś tandetnego w wyborze zrodzonym z lęku i opuszczenia.

– Tak było. – Wyciągnął do niej rękę. – Chodź tu, nie sprzeczajmy się, Mirando. Nie powinienem się z tobą drażnić. Przepraszam. Chodź do mnie.

Po chwili ujęła jego dłoń.

– Jest ci zimno – zauważył. – Może wejdziemy do domu?

– Jeszcze nie. Lubię tutaj siedzieć.

– Weź to. – Zdjął marynarkę, narzucił na ramiona Mirandzie i objął ją. Wyczuwała bicie jego serca. – Moja piękna żona. – Przesunął palcami po jej czarnych włosach. – Może jesteśmy bardziej podobni do siebie nawzajem, niż myślisz. Ani mnie, ani tobie miłość nie przychodzi łatwo. Ja kochałem tak naprawdę tylko dwa razy w życiu. A ty? Ile razy kochałaś?

Uniosła rękę, dotykając każdego palca po kolei.

– Miałam takiego małego szczeniaczka, jeszcze w dzieciństwie. I ulubioną lalkę, z dużymi niebieskimi oczami. Nazwałam ją

Celestine, bo uważałam to imię za najpiękniejsze na świecie. No i, oczywiście, Gisela…

– Spryciarka z ciebie – zaśmiał się, przyciągając ją bliżej. – Ja mówię o nieśmiertelnej miłości, a ty o lalkach i pieskach.

Całowali się przez chwilę, a potem Miranda powiedziała:

– Tak się złożyło, że mnie uratowałeś, Friedrichu. Zaczęłam się pogrążać, a ty mnie ocaliłeś. Nigdy tego nie zapomnę.

– Wdzięczność… – mruknął. – Lepiej, żebym się tym zadowolił, prawda?

– Nie, coś więcej niż wdzięczność.

Rzucił niedopałek papierosa na rabatkę poniżej i wziął Mirandę w ramiona.

– Będę uparty – oświadczył. – Potrafię być bardzo cierpliwy, wiesz o tym.

Oparła głowę o jego pierś i zamknęła oczy.

– Tak bardzo chciałabym dać ci syna. To byłby mój najlepszy podarunek dla ciebie, a ja zawiodłam.

W każdą niedzielę modliła się w kościele o dziecko. Modliła się także za Oliviera, Kay, Friedricha i ojca, żeby przetrwali wojnę.

Od strony lasu dobiegł okrzyk sowy. Pocałunki Friedricha, szybkie i namiętne, spadały na jej usta, szyję, dołek pod obojczykiem i krągłość piersi. Poczuła, że reaguje na jego pragnienie.

– Już późno – powiedział cichym, schrypniętym głosem. – Powinniśmy wejść do domu.

Sześć tygodni później, w letnie przedpołudnie 22 czerwca Miranda poszła nad jezioro z Giselą. Psie łapy zostawiały ciemne ślady w rosie na trawniku. Słońce nad głową wyglądało jak przyćmiona, świetlista kula.

W chłodnej ciszy brzozowego zagajnika białe kolumny drzew migotały w promieniach słońca, a pasma mgły osnuwały doliny. Za lasem ruszyła przez wysokie mokre trawy w stronę jeziora. Na płyciznach rosły trzciny w kształcie szabli. Świat zdawał się odradzać na nowo, objawiał tego ranka nadzieję i obietnicę.

Popołudniową porą, po obiedzie, Miranda i hrabina popijały kawę, słuchając radia. Wtedy właśnie usłyszały, że wczesnym rankiem po najkrótszej nocy w roku niemieckie wojska weszły do Rosji. Najpierw był ogień artyleryjski, potem przejęto mosty i przekroczono rzeki. Samoloty wyleciały z baz, aby bombardować rosyjskie lotniska i pozycje wojskowe. Rozpoczęła się wojna na wschodzie.

„Jeśli Niemcy zaatakują Rosję, musisz porzucić tego swojego męża". Miranda powiedziała sobie, że ojciec ujął to przesadnie, patrząc na świat jak zawsze chciwymi, drapieżnymi oczami. Nie mogła teraz pozwolić, by niepokój nad nią zapanował. Musiała uważać na siebie.

Ponieważ wreszcie stał się cud. Przez wiele dni wstrzymywała oddech, a teraz nabrała pewności, że jest w ciąży, spodziewa się dziecka, którego i ona, i Friedrich tak bardzo pragnęli.

Po drodze do hotelu Tom wstąpił do baru na Strandzie. Stojąc przy kontuarze, zauważył przy jednym ze stolików znajomą twarz. Po chwili rozpoznał Charlesa Dangerfielda.

Odwrócił się, by wyjść – za późno. Dangerfield wstał i podszedł do niego.

– Blacklock? To ty, prawda?

– Tak, to ja. – Tom zaśmiał się nieco zbyt serdecznie. – Co za oko.

– Zawsze miałem dobrą pamięć do twarzy. Mogę ci postawić drinka?

„Wolałbym nie, bo mam romans z twoją żoną". Zamiast tego jednak odparł:

– Miło z twojej strony – i zamówił szkocką.

Usiedli przy stoliku w kącie sali. Bar był staroświecki, wyłożony drewnem, z oddzielonymi wnękami. Dangerfield zapytał:

– Stacjonujesz teraz w Londynie? – na co Tom pokręcił głową.

– Przyjeżdżam do miasta od czasu do czasu. A co u ciebie?

– Pracuję w Ministerstwie Wojny. Nie pozwalają mi wstąpić do armii ze względu na wadę wzroku. Jestem wściekły, że wszyscy prócz mnie noszą mundury. Czuję się przez to kimś drugorzędnym. Ale

będę drążył. Mam znajomych w Admiralicji, próbuję pociągnąć za kilka sznurków. – Posłał Tomowi porozumiewawczy uśmiech.

– Życzę szczęścia.

Dangerfield rozejrzał się po sali. W suficie były widoczne pęknięcia, a szybę w jednym z okiem zastąpiono płytą pilśniową.

– Biedny stary Londyn – stwierdził. – Strasznie poturbowany, prawda?

– Strasznie – przyznał Tom. A potem, ponieważ jego zdaniem byłoby dziwne, gdyby się nie zainteresował, spytał: – Jak się miewa Edie?

– Doskonale – odrzekł Dangerfield. – Cieszy się z powrotu do Londynu.

Od czasu ataku Niemiec na Związek Sowiecki naloty na Londyn w znacznej mierze ustały. Ludzie wracali do stolicy, podejmowali dawny tryb życia.

Rozmawiali o wojnie, inwazji państw Osi na Bałkany i Grecję, utracie Krety, okupacji Persji w celu zabezpieczenia rurociągów naftowych i niepowstrzymanym pochodzie żołnierzy Wehrmachtu w głąb sowieckiego imperium. Wtem, gdy Tom pomyślał, że już może użyć jakiejś wymówki i wyjść, Dangerfield nieoczekiwanie zagadnął:

– Myślisz, że to wszystko może być gorsze dla kobiet?

– Masz na myśli wojnę?

– Tak. – Dangerfield podrapał się po długim, cienkim nosie. – Kobiety bardziej się przejmują tym, że muszą opuścić dom, rozłąką z bliskimi, tego typu sprawami. Tymczasem my, mężczyźni… szczerze mówiąc, większość z nas skłonna byłaby przyznać, że w wojnie jest coś, co nas ekscytuje, co nam odpowiada.

– Być może.

– Wiem, że Edie się tym przejmuje. Nic nie mówi, ale ja to widzę. Nie jest szczęśliwa.

Tom poczuł bliskość niebezpieczeństwa. Zerknął na zegarek.

– Obawiam się, że muszę już iść.

Dangerfield wstał i wyciągnął rękę.

– Dzięki za towarzystwo. I powodzenia.

Tom wyszedł z baru. Niebo poszarzało i zaczął padać deszcz. W drodze do Strandu zaczepiła go kobieta z puszką na datki. Osierocone dzieci albo wdowy po marynarzach, nie przyglądał się uważnie, opróżnił tylko kieszenie z drobnych, jakby w wyrazie ekspiacji.

Gdy po raz ostatni spotkali się z Edie, nocował w małym hotelu w Maida Vale. Zjedli nawet obiad w hotelu – jedzenie było okropne, wodnisty gulasz i ciężki porzeczkowy biszkopt, wyraźnie pozbawiony porzeczek. Edie była zdenerwowana, podrywała głowę, ilekroć ktoś wszedł do jadalni, ale potem się odprężyła i razem śmiali się z podanych dań. Po kolacji poszli do jego pokoju. Gdy wychodziła godzinę później, pozostała tylko lekka woń perfum i wgłębienie w poduszce.

„Nie jest szczęśliwa", powiedział Charles Dangerfield. Przemierzając zalane deszczem ulice Londynu, Tom uświadomił sobie, że wspólna radość jego i Edie zawsze była ograniczona, z jej strony przez niepokój i poczucie winy. Ich spotkania odbywały się zgodnie z pewnym schematem: ona się martwi, on ją uspokaja, a potem nieme porozumienie w akcie miłosnym. Wiedział, że to, co dzielą, jest uwięzione w szczelnym pęcherzu, nie wyjdzie poza ściany pokoju hotelowego. Część jego umysłu zdawała sobie sprawę, że ten romans ją unieszczęśliwia, lecz głębia jego pragnienia usuwała w cień wszelkie inne względy. Myślał, że ona go aż tak nie potrzebuje. Może wynagradzał jej nieobecność rodziny, męża, domu. Rzadko rozmawiali na poważne tematy. Kiedy, raz czy dwa, spróbował podsunąć jej możliwość opuszczenia Charlesa, przerwała mu w pół słowa. Nie naciskał i nie nalegał, ponieważ obawiał się to zrobić. Co w gruncie rzeczy, jego zdaniem, sprowadzało się do tchórzostwa.

Rozdział 10

Życie Mirandy ograniczyło się do jednego toru i zamknęło w Sommerfeld. Friedrich, Klaus, Max i Oskar byli daleko, na froncie rosyjskim. Anna pracowała jako pomoc pielęgniarska w szpitalu w Rastenburgu. Choć w Prusach Wschodnich nadal nie brakowało jedzenia, zaczęto reglamentować benzynę. Daimlera miesiąc wcześniej skonfiskowali funkcjonariusze partii nazistowskiej w celu wykorzystania go na froncie wschodnim i w garażu pozostał tylko mały volkswagen. Szofera powołano do wojska; na szczęście sekretarz Friedricha, herr Bernard, którego oszczędzono, by zarządzał majątkiem, umiał prowadzić samochód. Ze względu na ciążę doktor Kornblum zabronił Mirandzie jeździć konno, a od rozpoczęcia wojny z Rosją trudno było liczyć na pociągi. Jedynie listy Friedricha i sporadycznie otrzymywane wiadomości od ojca z Paryża łączyły ją ze światem zewnętrznym. Oprócz radia, oczywiście, które tamtej jesieni nieustannie trąbiło o tryumfie Rzeszy, gdyż Wehrmacht posuwał się coraz dalej w głąb terytorium Rosji. „Bezprecedensowe zwycięstwo… całkowite unicestwienie armii sowieckiej". Upadł Smoleńsk, potem Kijów i Charków, a Leningrad znalazł się w pierścieniu oblężenia.

Chwilami Miranda zadawała sobie pytanie, czy nie zamieniła jednego więzienia na drugie, o wiele znośniejsze. Wojna musi się wkrótce skończyć, powtarzała sobie w duchu, a wówczas Friedrich wróci do domu, nadejdzie nowy rok i urodzi się dziecko. I nie będzie już więcej czuła, jak napierają na nią ściany tego wielkiego domu, tak że czasami, gdy nocą leżała samotnie w łóżku, cisza zdawała się do niej przemawiać, przypominając o nietrwałości życia i o tym, jak w mgnieniu oka wszystko może się zmienić.

Ruchy dziecka w jej łonie były na początku lekkie jak muśnięcia piórkiem. Wyobrażała sobie maleństwo, które obraca się i przekręca niczym ryba w podmorskiej jaskini. O czym myślało, oczekując i rosnąc tam, w ciemności? Co czuło? Za czym tęskniło?

Jeśli urodzi córkę… Będzie dla niej dobrą matką. Nie zostawi małej na długie tygodnie z niańką, która dawałaby jej klapsy za to, że płacze ze strachu przed ciemnością. Nie zatrudni guwernantki, która biłaby dziewczynkę po palcach i powtarzała jej, że jest głupia. Nie będzie jej stroiła w falbanki i wstążki, by kazać potem śpiewać i tańczyć przed gośćmi na przyjęciu, a następnego dnia ukarać za to, że się popisuje. Nie zmusi jej do siadania w wieku lat czternastu przy stole ze starszymi panami szczypiącymi ją w policzki i opowiadającymi niezrozumiałe dowcipy. Jej dziecko nie będzie musiało się nauczyć w zbyt młodym wieku, jak przyciągać uwagę takich gości, obdarzając ich całusem, i jak ich zniechęcać lodowatą wyniosłością, gdy zapragną czegoś więcej. Jej córka nie będzie ćwiczyła nieustannej samokontroli, dogadzania wszystkim, oceniania nastroju towarzystwa tuż po przekroczeniu progu pokoju. Nie będzie kładła się do łóżka nad ranem i zwijała w kłębek, tuląc lalkę i wspominając własny sztucznie dźwięczny głos oraz kokieteryjne uśmieszki. Nie nauczy się nienawiści do siebie samej.

Jej córka będzie miała dom. Pozna Sommerfeld równie dobrze, jak Miranda poznała stolice Europy. Sommerfeld stanie się jej światem, tak jak było światem Friedricha. A jeśli oznaczało to stłumienie niepokoju i pragnienia czegoś nowego, które aż nazbyt często wplatało się w nudę i przygnębienie, niech tam. Jakoś da sobie radę. Zapomni o Olivierze i Paryżu, zapomni o dawnej Mirandzie z jej marzeniami o miłości i sławie, o ciemnym, czujnym oku kamery filmowej, do którego mówiła w sposób, na jaki prawie nigdy jej nie pozwalano. Niech tak będzie. Zrobi to dla swojej córki.

A jeśli urodzi chłopca… Może syn i dziedzic Friedricha będzie jasnowłosy jak jego ojciec. Może latem Miranda zabierze go nad jezioro, pokaże mu rybki śmigające na płyciznach i dzikie ptactwo w sitowiu. Urządzą sobie piknik na łące, wśród maków i złocieni. A gdy będzie starszy, nauczy go jeździć konno i ślizgać się na łyżwach.

W lodowe zimowe popołudnia Miranda przesiadywała w oranżerii i szyła, grzejąc się w promieniach zimowego słońca. Dawno temu szwajcarska guwernantka nauczyła ją haftować. Jej dziecko będzie dziecięciem Północy, znającym śnieg, lód, szare morze i chłodne trawiaste równiny. Później, gdy on lub ona dorośnie, pojadą nad Morze Śródziemne, by rozkoszować się ciepłym słońcem i białym piaskiem, omywanym przez turkusowe fale. A tymczasem zamierzała wdychać zapach pomarańczy.

W środowe popołudnia Edie pracowała w sklepie Ochotniczej Służby Kobiecej przy Bishopsgate. Wracając do domu po pracy i mijając katedrę Świętego Pawła, widziała wokół obraz spustoszenia. Zdarzały się niekiedy pozory normalności, ulica z nietkniętymi domami, kilka odprysków i pęknięć, ale zaraz następna wyglądała już jak pustynia. Paternoster Row, swego czasu centrum handlu książkami, zostało zrównane z ziemią, a budynki ocalały tylko po lewej stronie Cheapside. W ruinach zakorzeniły się chwasty, wierzbówka kiprzyca, jeżyny i pokrzywy, zwarzone teraz przez pierwsze przymrozki. Na niszczejącej ścianie ktoś wymalował wielką literę V. Jesienne liście zgromadziły się w pozbawionej dachu nawie kościoła, a ich złote, czerwone i brązowe odcienie barwiły kamienne płyty z wyrytymi nazwiskami zmarłych. Zbombardowany kościół zawsze wzbudzał w niej szczególną melancholię. Edie zadrżała.

Przez cały dzień czuła się tak, jakby ktoś ją nieustannie poganiał. Po śniadaniu wyszła z domu, by ustawić się w kolejce do sklepu, podczas gdy pani O'Brien, wykonująca ciężkie prace, szorowała podłogi. Później pani Lumley, która żyła w zamęcie, lecz szyła śliczne koszulki dla niemowląt, zatelefonowała z informacją, iż ma pół tuzina gotowych rzeczy do przekazania, ale nie może wyjść z domu, bo jej najstarsze dziecko zachorowało na odrę. Zostało im niewiele wyrobów w zapasie, dlatego Edie pospieszyła do Battersea przed rozpoczęciem dyżuru o drugiej. W sklepie sprzedawano drobne upominki i odzież uszytą przez panie należące do Służby, aby zebrać pieniądze dla ofiar wojny. Edie podjęła się odbierania tych rzeczy od kobiet, które nie opuszczały domu, gdyż albo były stare i niedołężne,

albo miały sędziwych krewnych bądź dzieci, którymi należało się zaopiekować. Czasami zabierała Rosalind i pchała wózek nieznanymi jej dotychczas ulicami Londynu.

W środowe popołudnia, podczas dyżurów w sklepie, zostawiała Rosalind z nianią. Były to godziny dużego ruchu, zaglądało wielu klientów i sprzedały się prawie wszystkie nocne koszulki pani Lumley. Edie zerknęła na zegarek. Lubiła być w domu przed szóstą, żeby wykąpać Rosalind. Tego wieczoru sama zje kolację, ponieważ nie było Charlesa. A potem pójdzie do hotelu na spotkanie z Tomem.

Spotykali się w hotelach, których nazwy – Excelsior, Carleton – były przed wojną namalowane złotą farbą na półkolistych oknach nad drzwiami, lecz szyby zostały zasłonięte czarną maskującą tkaniną albo zdmuchnięte przez serię nalotów i zastąpione płytą z dykty. Hotele znajdowały się w dzielnicach nie na tyle nędznych, by nie potrafiła się wytłumaczyć, gdyby zauważył ją ktoś ze znajomych, ale nie zaliczały się również do miejsc, w których mogłaby spotkać w barze lub restauracji kogoś, kogo znała.

Pierwszy raz, gdy kochała się z Tomem Blacklockiem, dzień po nalocie, mogła złożyć na karb działań wojennych. Bliskość śmierci i utrata normalnego, codziennego życia pomniejszały wagę wszystkiego prócz namiętności i pożądania. Zupełnie jakby ta krytyczna sytuacja – huk wybuchów, zniszczenia i groza – udzieliła im pozwolenia. Jeśli masz lada chwila umrzeć, to co za różnica, że pójdziesz do łóżka z byłym chłopakiem? Później Edie odczuwała euforię połączoną ze świadomością winy. Z biegiem czasu euforia osłabła, wzmogło się za to poczucie winy.

Ale potem nastąpił drugi raz. Skończyły się ciężkie naloty na Londyn. Uwaga Hitlera skierowała się ku Rosji, a Edie z Charlesem i Rosalind wrócili do Londynu – do nieszczęsnego londyńskiego domu, poturbowanego i okaleczonego, nieprzypominającego już owej wykwintnej rezydencji sprzed wojny. Pewnego wieczoru Tom zatelefonował. Charlesa nie było w domu, a Rosalind ząbkowała. Był to dzień spotkania Ochotniczej Służby Kobiecej; dwudziestoletni syn jednej ze stałych pracownic zaginął na morzu – biedna pani Rice była blada i milcząca, choć ani razu się nie rozpłakała, Edie jednak przez cały czas ją obserwowała i parzyła herbatę. Martwiła się

również o matkę, która nie doszła jeszcze do siebie po histerektomii, a jej głos przez telefon wydawał się zmęczony i słaby. Edie zaproponowała, że przyjedzie pociągiem do Esher, lecz matka wyraziła sprzeciw. Pani Phillips obiecała do niej zajrzeć, nie ma się czym martwić.

Ale to nie było żadne usprawiedliwienie. Jadła kolację, gdy Tom zadzwonił. Zatrzymał się w hotelu Adelphi w Earl's Court – czy zechciałaby wypić z nim drinka? Odmówiła, powiedziała, że nie może i odłożyła słuchawkę. Wmusiła w siebie resztki kolacji, wspominając marynarzy floty handlowej, którzy mogli zginąć, przewożąc towary przez Atlantyk – wśród nich był syn pani Rice. Dom wydawał się pusty i cichy, a ona pomyślała o Tomie, siedzącym samotnie w ponurym hotelowym barze, i zanim się obejrzała, wkładała już płaszcz i kapelusz, po czym wyszła z domu, powtarzając sobie w autobusie, że tylko się przywitają, coś wypiją i pogawędzą. No a potem w hotelu, w recepcji, Tom ujął jej dłonie i szepnął: „Tęskniłem za tobą" – i poszli na górę do jego pokoju.

Nie, nic jej nie usprawiedliwiało, ponieważ była głęboko wdzięczna, że wróciła do Londynu, nawet tak zmienionego i okaleczonego. Bardzo lubiła pracę w Ochotniczej Służbie Kobiecej, sama siebie zadziwiała energią i entuzjazmem, które w sobie odkryła. No i nie była w końcu kobietą szukającą przygód, umawiającą się na spotkania z budki telefonicznej. Nie należała do kobiet, które kłamią. Romans był czymś złym, niebezpiecznym, zagrażał nie tylko dobru jej i Charlesa, ale także Rosalind. Czasami, budząc się w środku nocy i myśląc o tym, czuła mdlący strach. Dlaczego to zrobiła? Czy tylko z powodu barwy oczu Toma i brzmienia jego głosu?

Tylko pod jednym względem zachowała się uczciwie. Nigdy nie wmawiała sobie, że nie ma wyboru. „Poniosło nas, no i wtedy…". Gardziła takimi usprawiedliwieniami. Sama chciała się spotkać z Tomem i dobrowolnie poszła z nim do łóżka. Romantyczne uniesienia nie pozbawiły jej jednak zdolności myślenia. Widywała się z nim, ponieważ ją to uszczęśliwiało i budziło – naprawdę – namiętność, jakiej nie czuła nigdy przedtem. Ilekroć się spotkali, nie umawiali się na następny raz. Gdy tylko Tom zatelefonował, że jest w Londynie, była to cudowna niespodzianka, wspaniały dar,

odrywający ją od codziennych zajęć. I już następnego wieczoru zmierzała do Excelsioru albo Carletona.

W ciągu ostatnich siedmiu miesięcy wiele się dowiedziała o sobie. Że jest zdolna do najgorszego oszustwa i że seks, który uważała za uciążliwy obowiązek małżeński, może być wspaniały, oszołamiający i radosny. Odkryła, iż jedno dotknięcie potrafi rozpalić jak nieprzeparte pożądanie, że niemal wszystko inne – rozsądek, lojalność, a nawet poczucie godności – zostaje odłożone na bok. I że miłość – bo przypuszczała, że to miłość – odmienia wszystko.

Lecz jeśli to była miłość, co właściwie czuła do męża? Tamtego wieczoru, gdy zostali kochankami, Tom zarzucił jej, że poślubiła Charlesa dla pieniędzy. Istotnie, dom przy Portland Place oczarował ją natychmiast, gdy tylko zaczęła przychodzić na środowe wieczorne koncerty, i było też prawdą, że gdyby Charles nie miał grosza przy duszy, najprawdopodobniej nie wyszłaby za niego. Ale nie poślubiła go dla domu. Gdyby jej się nie podobał, gdyby go nie lubiła i nie znalazła przy nim zadowolenia, którego nieświadomie szukała, nie wyszłaby za niego. Czy było rzeczą aż tak naganną, że podobały jej się ładne domy? Po ślubie ze szczególną przyjemnością przeobraziła dom Charlesa z kawalerskiego gospodarstwa w rodzinne gniazdko. Irytowało ją, że urządzanie domu czy pokoju uważa się powszechnie za błahe kobiece zajęcie. Mimo to zielononiebieska adamaszkowa poduszka na obitej kremowym jedwabiem sofie i współgrające z żółtą zasłoną kitki złotokapu za oszklonymi balkonowymi drzwiami miały dla niej znaczenie i dawały jej więcej zadowolenia niż ryciny, które kolekcjonował Charles.

Zadowolenie zgasło jednak wraz z wygnaniem do Taynings. Charles był zupełnie inny niż Tom: rozsądny, pełen szczerego uwielbienia, kulturalny, zorganizowany, dojrzały i miał stanowisko w administracji państwowej. Pamiętała, że tak właśnie o nim myślała od początku – jaki jest dojrzały, ze swoim odpowiednim domem, odpowiednią pracą, odpowiednim życiem. Tom miał w sobie jakąś spontaniczność, nieprzewidywalność, która wzbudzała niepewność. Edie zerwała z nim z powodu owej niepewności – i zakochała się w nim ponownie, ponieważ wbrew samej sobie za tym właśnie tęskniła.

Często myślała, że nie trafiła im się dobra szansa, jej i Charlesowi. Edie zaszła w ciążę podczas miodowego miesiąca. W ciągu pierwszych kilkunastu tygodni chorowała i czuła się okropnie, a Charles, który był dobry i taktowny, spał w swojej garderobie. Zanim przyszła na świat Rosalind, Hitler zaatakował Norwegię i Charles musiał pracować do późnych godzin w Ministerstwie Wojny. Był bardzo sumienny i Edie wiedziała, że jest mu ogromnie przykro, iż słaby wzrok uniemożliwia w jego przypadku służbę wojskową. Podejrzewała, że starał się to zrekompensować wykonywaną pracą.

Lecz nawet gdyby nie spędzali tak wiele czasu osobno, Edie i tak byłoby chwilami trudno zrozumieć męża. Może gdyby nie straciła ojca w bardzo młodym wieku albo gdyby miała braci, lepiej rozumiałaby mężczyzn. Charles potrafił tak głęboko zaangażować się w jakieś zadanie, że zapominał o całym świecie. Posiadał zdolność koncentracji, której Edie brakowało i z powodu której czasami czuła się pominięta. Lubił rozmawiać na różne tematy, był oczytanym erudytą, władał kilkoma językami, a szczególny zachwyt budziły w nim Włochy – bardzo żałował, że sytuacja polityczna zmusiła ich do spędzenia miodowego miesiąca w Kornwalii zamiast w Toskanii – i miał szeroki wachlarz zainteresowań oraz rozmaite hobby, które, gdy się im oddawał, pochłaniały go całkowicie.

Edie zastanawiała się niekiedy, czy na nowo zakochała się w Tomie z powodu ponurej monotonii wojennego życia, przygnębiających wiadomości, o wiele za częstych klęsk, odwrotów i impasów. Inwazja na Rosję stworzyła nowy front i dała wreszcie Brytanii sojusznika, lecz wieści z Rosji brzmiały zniechęcająco, a siły Wehrmachtu zaczęły zagrażać samej Moskwie. Należało jakoś powetować sobie lęk przed przyszłością i brak rozrywek, prywatności oraz czasu dla siebie. Czemu nie z kochankiem w hotelowym pokoju? I jeszcze boleśnie odczuwana nieobecność – sióstr, przyjaciół, którzy przebywali daleko lub nie żyli, zabici na plażach Dunkierki lub przysypani gruzami domu w Chelsea.

Gdyby jednak traktowała ów romans tylko jako rozrywkę, mogłaby go skończyć. Niepokoiło ją głęboko, że nie była do tego zdolna; żywiła wobec samej siebie zróżnicowane uczucia. Czasami euforia i pożądanie dokonywały w niej cudownej przemiany, lecz w innych,

trzeźwiejszych chwilach czuła do siebie głęboką pogardę. Stale towarzyszyły jej wyrzuty sumienia i odraza do własnej osoby. Zadawała sobie pytanie, czy specjalnie nie wynajduje różnych zajęć, aby nie musieć stawiać czoła poczuciu winy. Wgryzało się w nią, nadwerężając dawny obraz samej siebie. Straciła nad sobą kontrolę, a kontrola zawsze była dla niej bardzo ważna. Jej pragnienia i emocje przestały być uporządkowane, ograniczone, ujawniane świadomie przy tej lub innej okazji; stały się bezładne, nieprzewidywalne i wymagające.

Edie wypatrzyła autobus i podbiegła ku niemu. Stojąc w zatłoczonym przejściu na dolnym piętrze i trzymając się kurczowo metalowej poręczy, czyniła sobie wyrzuty, że poprzedniego dnia nie wykazała się większą stanowczością. Powinna była powiedzieć Tomowi, że wszystko skończone, i odłożyć słuchawkę. Tylko że pani O'Brien sprzątała w sąsiednim pokoju, a w dodatku byłoby to tchórzliwe wyjście z sytuacji, zakończyć znajomość przez telefon – okrutne, prawdę mówiąc, więc nie mogła tak postąpić, nie wobec Toma.

Ale musiała z nim zerwać tego właśnie dnia. Nie miała wyboru – została go pozbawiona. Przed kolacją, siedząc przy toaletce, wpatrzyła się w swoje odbicie i ogarnęło ją nagłe przeczucie straty. Powinna włożyć najmniej twarzową sukienkę, nie układać włosów, nie malować ust. Może wtedy poszłoby łatwiej – on by jej nie pragnął. Zamiast tego jednak, wstawszy sprzed toaletki, wybrała ciemnoniebieską suknię z krepy, obszytą aksamitem, i zaczesała włosy do tyłu, upinając loki na czubku głowy. Jej odbicie spojrzało na nią z lustra – niebieskie oczy, biała skóra, pąsowe wargi. Dwulicowa. Ponętna.

– Niedługo wrócę! – zawołała do pani O'Brien przed wyjściem z domu. – Jeśli zatelefonuje pan Dangerfield, proszę mu powiedzieć, że wyskoczyłam na zebranie.

Podjechała autobusem do dworca Paddington i stamtąd ruszyła dalej pieszo. Temperatura spadła od popołudnia; czuło się, że w nocy będzie przymrozek. Hotel znajdował się w Bayswater. Obejrzawszy się pospiesznie przez ramię, Edie weszła do środka.

W recepcji nie było nikogo. Wtem zza załomu korytarza wynurzył się Tom i serce jej podskoczyło.

– Edie, kochanie. – Pocałował ją i przyciągnął do siebie, a potem poszli razem na górę.

Pokój był urządzony w odcieniach różu i żółci – różowe ściany, żółte zasłony i abażury, różowo-żółta puchowa kołdra.

– Zupełnie jakby się siedziało w misce z budyniem, prawda? – odezwał się Tom i dodał innym tonem: – Zawsze się boję, że nie przyjdziesz. Za każdym razem się tego boję.

Zadrżała, gdy wsunął dłonie pod jej płaszcz.

– Gdybyś mi tylko pozwoliła zaprosić się na kolację w jakieś przyzwoite miejsce, nie byłoby tak… tak…

– Przecież wiesz, że nie możemy. – Edie zdjęła płaszcz i odetchnęła głęboko. Już otwierała usta, by powiedzieć: „Tom, nie możemy się więcej widywać", lecz on przemówił pierwszy.

– Ale przyniosłem coś niemal równie dobrego.

Na niewielkiej toaletce ze szklanym blatem stała butelka szampana oraz podłużne, czerwono-żółte metalowe pudełko. Edie przyjrzała mu się bliżej.

– Wędzone omułki! – zaśmiała się. – Skąd je, u licha, wytrzasnąłeś?

– Z domu rodziców, leżały na tylnej półce w spiżarni wśród rozmaitych puszek. Moja matka nie pamięta, skąd się tam wzięły.

– Byłeś w domu?

– Tylko przez jeden wieczór. Otworzyć szampana?

Obserwowała, jak zrywał złotą folię.

– Co się stało? Dobrze się czujesz? – Usłyszała jego pytanie.

– Tak, oczywiście. – Zrzuciła buty i usiadła obok niego na łóżku, podwijając jedną nogę. – Bardzo chętnie się napiję, kochanie.

Wypili szampana z glazurowanego pucharka, a potem położyli się i zwinęli przytuleni do siebie. Pogładził krągłość jej biodra i uda.

– Jak ci minął dzień?

– Przeciętnie. Byłam po południu w sklepie. Aha, i niania Bronwen złożyła wymówienie.

– Niania?

– Tak. – Edie westchnęła. – Spodziewałam się tego, więc nie mogę mówić, że byłam zaskoczona. Prawie ją przekupywałam, żeby została u nas tak długo. Wszyscy uważają, że wkrótce kobiety będą musiały służyć w wojsku, Charles jest o tym przekonany. Dlatego postanowiła zgłosić się teraz, zanim służba stanie się obowiązkowa, aby mieć wybór i nie musieć pracować w jakimś okropnym miejscu. Nie mogę mieć jej tego za złe.

– To chyba trochę utrudni ci życie?

– No tak, utrudni. Rosalind będzie za nią bardzo tęskniła. – Powiedz to, nakazała sobie. Nadeszła odpowiednia chwila, powiedz to teraz. Ale milczała.

– Boże, jak ja za tobą tęskniłem – szepnął. Objął ją w talii i pogładził po brzuchu.

Zamknęła oczy – łzy piekły ją pod powiekami. Ostatni raz, pomyślała, niech kocha się ze mną ten jeden ostatni raz. Odwróciła się przodem do niego i zaczęli się całować, mocno i niespiesznie. Rozpiął zamek z tyłu i zsunął jej sukienkę z ramion, a potem bioder. Zdjął stanik i przykrył dłonią jej pierś, a Edie poczuła, że roztapia się z pożądania. Nastąpiła niezręczna chwila ściągania pasa do pończoch – nigdy nie potrafiła zrobić tego z wdziękiem – a potem już znalazł się w niej i poruszali się w zgodnym rytmie na różowo-żółtej puchowej kołdrze.

Później uświadomiła sobie, że płacze, a gdy Tom zapytał, co się stało, pokręciła tylko głową i pozwoliła mu scałować łzy. Leżeli na łóżku, ciasno spleceni. Karmił ją wędzonymi omułkami – odpowiadał jej ich słony smak i gumowata konsystencja.

– Charles telefonował wczoraj wieczorem – oznajmiła nieoczekiwanie. – Przyjęto go w końcu do marynarki wojennej. Sądzę, że nakłonił kogoś do pociągnięcia za sznurki. Wie, że nie dostanie się na okręt z powodu wady wzroku, ale twierdzi, że to nic nie szkodzi, przynajmniej będzie mógł nosić mundur. Tak czy inaczej, wysyłają go do Plymouth na szkolenie. Zapytał, czy z nim pojadę.

Palce Toma, przesuwające się wzdłuż jej kręgosłupa, znieruchomiały.

– I co odpowiedziałaś?

– Że pojadę. Cóż innego miałam odpowiedzieć? Charles nie chce rozłąki. Szuka dla nas hotelu w Plymouth.

– A zatem wyjeżdżasz z Londynu? – Tom wsparł się na łokciu.

– Niestety, tak. – Zmusiła się do uśmiechu. – To dla mnie cios, bardzo się cieszyłam, że wracam do domu, ale nic na to nie poradzę.

– Kiedy wrócisz…

– Tom, myślę, że to już koniec – powiedziała łagodnie.

– Proszę, nie mów tak. – Wzdrygnął się cały. – Wybierzesz się kiedyś do Londynu, a ja jeżdżę to tu, to tam. W zeszłym tygodniu byłem w Bristolu. Znajdziemy jakiś sposób, żeby się widywać.

– Nie, Tom. – Edie popatrzyła na różowo-żółtą kołdrę. – Nawet gdyby to się nie zdarzyło, zakończyłabym sprawę między nami. To nie może dłużej trwać, bo jest niedobre. Postępuję bardzo, bardzo źle.

– Jeśli nikt o tym nie wie, nikogo to nie rani, dlaczego źle?

Spierali się o to wcześniej już kilka razy. Teraz Edie oznajmiła beznamiętnie:

– Tak już jest. I to mnie rozdziera na strzępy.

Tom wyszedł z łóżka i zaczął się ubierać.

– Nie gniewaj się na mnie, proszę – dodała cicho. – Nie chcę, żebyśmy rozstali się w gniewie.

– Problem w tym – odparł – że cię kocham.

Po chwili milczenia Edie odezwała się miękko:

– Jeśli to prawda, nie stwarzaj mi trudności. Udawajmy. Udawajmy, że rozstajemy się na chwilę, jak zwykle. Nienawidzę pożegnań.

Delikatnie otarł kciukiem łzy z jej policzków. Złapała go za ten kciuk i ucałowała, czując smak własnych łez.

Pół godziny później wróciła do domu. Zdejmując w przedpokoju płaszcz, kapelusz i rękawiczki, czuła się oszołomiona i wyczerpana. Przez zamknięte drzwi salonu słyszała brzęczenie radioodbiornika i nagle ogarnął ją niepokój.

Weszła do salonu. Charles siedział na sofie, a niski stolik przed nim pokrywały papiery.

– Kochanie – powiedziała. Jej głos brzmiał chrapliwie, niezdecydowanie. – Myślałam, że wrócisz dopiero jutro.

– Spotkanie skończyło się wcześniej, niż myślałem, więc pobiegłem do pociągu. Chciałem jak najszybciej wrócić do ciebie i Rosalind.

Radio donosiło o militarnych klęskach Rosji. Edie ucałowała Charlesa w policzek i powiedziała machinalnie:

– Co za wspaniała niespodzianka. Jadłeś coś?

– Pani O'Brien zrobiła mi kanapkę. Spóźniłaś się, kochanie, już zaczynałem się o ciebie martwić.

– Przepraszam. – Zaśmiała się krótko. – Straciłam poczucie czasu. Te nieszczęsne zebrania…

– Dobrze poszło?

Ujrzała w myślach siebie i Toma, splecionych na różowo-żółtej kołdrze.

– Całkiem dobrze – odrzekła.

– Zajrzałem na górę do Rosalind, ale mocno spała. Przy odrobinie szczęścia spędzę z nią jutro kilka chwil, zanim będę musiał wyjść.

Edie krążyła po pokoju, to wyrównując stertę książek, to poprawiając poduszkę.

– Bronwen złożyła wymówienie – oznajmiła.

– A to cios. Moje ty biedactwo. Jeśli chcesz, porozmawiam z mamą, zapytam, czy nie zna kogoś odpowiedniego w Cricklade.

– Dobrze. Dziękuję ci, Charles.

Jego spojrzenie wróciło do papierów, zapisanych śmiałym, równym pismem. Zdjął monokl i przetarł oczy, otoczone cieniem.

– Wydajesz się bardzo zmęczony, kochanie – powiedziała.

– To był wyczerpujący dzień.

– Przynieść ci coś? Może kakao?

– Nie, dziękuję.

– Powinieneś się położyć, odpocząć trochę.

Mruknięcie. Wiedziała, że jej nie słucha. Gdyby powiedziała: „Spędziłam wieczór w łóżku z kochankiem, zerwaliśmy z sobą i czuję się okropnie" – czy w ogóle by to do niego dotarło?

– Wykąpię się i wcześnie pójdę spać – powiedziała. – A ty, Charles? Przyjdziesz do łóżka?

Uniósł głowę, zaskoczony, ponieważ podniosła głos.

– Ty też sprawiasz wrażenie wykończonej, kochanie. Połóż się pierwsza. Ja muszę najpierw przejrzeć to wszystko. Zaraz potem

przyjdę. – Zaczął pisać od nowa.

Wchodząc po stopniach, czuła się kompletnie wyczerpana, prawie nie miała siły stawiać stóp jednej za drugą. Weszła najpierw do pokoju dziecinnego, by zerknąć na Rosalind. Potwornie bolała ją głowa. Przecież nie powinna tak boleć po kieliszku szampana? Może złapała jakąś chorobę. Tak źle się czuła, bolał ją każdy mięsień.

Tym lepiej, powiedziała do siebie w duchu. Jutro będziesz sobie wdzięczna, że już z tym koniec.

Tego wieczoru jednak nie czuła ulgi. Była zdruzgotana. Przycisnęła dłonie do twarzy, lecz nie zdołała powstrzymać łez. Płynęły po jej policzkach, gdy napuszczała wodę do wanny. Wyszorowana, pusta w środku, przypomniała sobie ostatnie spojrzenie na Toma, kiedy rozstawali się przed dworcem Paddington, zanim wsiadła do autobusu. Prosiła, żeby jej nie odprowadzał, wolała pożegnać się w hotelu, on jednak nalegał. Pocałowali się w ciemności i spletli ciasno ręce, bojąc się rozdzielić.

Wyszła z wanny, mocno wytarła się ręcznikiem i włożyła nocną koszulę. W łóżku skuliła się, dygocząc, w pościeli. Pragnęła, by Charles do niej przyszedł, pragnęła ciepła i pociechy płynącej z bliskości drugiej osoby. Było to nierozsądne, zważywszy na okoliczności, ale właśnie to czuła. Charles nie przyszedł jednak, a wskazówki zegara przesuwały się powoli, póki wreszcie nie zasnęła.

– Teraz już tak bardzo nie boli – powiedział Klaus. – Na froncie w bazie medycznej podali mi morfinę i miałem zupełnie niezwykłe sny.

Wiadomość, że Klaus wraca do domu na rekonwalescencję po obrażeniach odniesionych na froncie wschodnim, dotarła do Sommerfeld na początku grudnia. Pewnego ranka herr Bernard zawiózł Mirandę do Waldhof, do wuja Karla. Spadł pierwszy zimowy śnieg i jego gładka warstwa przykryła pobocza. Czarne, wyglądające na osmalone kikuty drzew rysowały się wyraźnie na tle kredowobiałych pól. Herr Bernard jechał powoli i ostrożnie, trzymając się głównych dróg.

W gościnnej sypialni płonął ogień na kominku, a Klaus leżał w łóżku z drucianą siatką nad nogą, by koce nie przygniatały strzaskanej kości. Na czole miał bandaż, a pod oczami ciemne smugi. Anna, która siedziała na parapecie, machając nogami, miała na sobie ciemnozieloną jedwabną sukienkę, a czarne włosy związała z tyłu apaszką. Miranda przysiadła na brzegu łóżka Klausa i jedli razem słodkie migdałowe ciasteczka, popijając je mocnym, doprawionym korzeniami winem, które przysłała hrabina, by ranny szybciej wyzdrowiał.

– Przypuszczam, że pozostanie ci romantyczna blizna – powiedziała Miranda.

– Taką mam nadzieję. – Klaus uśmiechnął się krzywo. – Po co dać się zranić, jeśli nie pozostanie porządna blizna? Czy zakochasz się we mnie, Mirando, jeśli będę miał bliznę?

Anna zebrała z ciasta drobinki lukru.

– Nie przypuszczam, by Miranda ponownie cię odwiedziła, Klaus, jeśli nie zaczniesz zachowywać się grzeczniej.

– Wtedy mój stan się pogorszy. Będzie ci mnie żal i wreszcie zakochasz się we mnie, prawda, Mirando?

– Nie, drogi Klausie. – Ucałowała jego zapadnięty policzek. – I naprawdę nie wyobrażam sobie, żeby ktoś mógł mnie teraz pokochać, taka jestem gruba.

– Nie jesteś gruba. – Anna popatrzyła na brzuch Mirandy. – Musisz tam mieć, Mirando, bardzo małego dzidziusia.

– Doktor Kornblum mówi, że dziecko jest za małe na mój termin. Ale ja też jestem dość drobna, prawda? Przypuszczam, że to będzie dziewczynka, malutka jak ja. Biedny Klaus. Musisz czuć się naprawdę okropnie.

– Nie aż tak jak dwa tygodnie temu. – Przyłożył dłoń do czoła. – Nie pamiętam, co się wydarzyło. Znaleźliśmy się w mrozie i śniegu, a Iwany strzelały do nas ze wszystkich stron i potem nagle obudziłem się w szpitalu polowym. Zupełnie nie pamiętam, co się działo. Nawet szpitala dobrze nie pamiętam z powodu morfiny. Lekarz wyjaśnił, że musieli usunąć mi kilka odłamków z nogi. Zostawili jeden czy dwa w głowie, bo trudno było się do nich dostać. Więc jeśli kiedyś zachowam się jak wariat, to zapewne dlatego.

– Zawsze zachowywałeś się jak wariat – stwierdziła Anna. – Wątpię, czy zauważymy jakąś różnicę.

Klaus rzucił w nią winogronem.

– Jak się miewa hrabina?

– Niezbyt dobrze – odparła Miranda. – Ostatnio paskudnie się przeziębiła i choroba zaatakowała oskrzela. Przesyła ci serdeczne pozdrowienia i ma nadzieję, że wkrótce wydobrzejesz. Pisze do ciebie list, ale zajmuje jej to dość dużo czasu z powodu artretyzmu.

– A Friedrich? Miałaś od niego jakąś wiadomość?

– Wydaje się, że wszystko u niego w porządku. Przeważnie pyta o mnie, matkę i Sommerfeld. O sobie pisze niewiele.

– No bo chyba nie może, prawda? Nie może napisać prawdy. Wie, że jego listy zostaną ocenzurowane. – Czarne brwi Anny utworzyły jedną gniewną linię. – Nienawidzę takiego życia. Nie mogę mówić, co myślę, boję się pisać szczerze, bo wiem, że ktoś może przeczytać moje listy. Nienawidzę tego.

– Anno – upomniał ją łagodnie Klaus.

Wzruszyła ramionami.

– Jeśli nie możemy być wobec siebie szczerzy, to jaki sens ma cokolwiek?

– A co z innymi? – spytał Klaus. – Co słychać w Königsbergu? Widziałaś się z nimi, Mirando?

– Wuj Georg, ciotka Klara i Katrin przyjechali do Sommerfeld na urodziny mojej teściowej. Chyba wszystko u nich w porządku.

– Katrin związała się z jakimś okropnym nazistą. – Anna poczęstowała się jeszcze jednym ciastkiem. – Aż trudno teraz z nią rozmawiać. Nie powinnam się dziwić, zawsze miała naprawdę kiepski gust. Znowu się zsuwasz, Klaus. Pozwól, to cię podniosę.

Otoczyła brata ramieniem i pomogła mu usiąść, wygładzając poduszki i podając szklankę z winem.

– Tak chyba lepiej. – Czułym gestem starła krople potu z jego czoła.

– A Max? – zapytała Miranda. – Jak się miewa Max?

– Dawno nie mieliśmy od niego wiadomości. – Anna zrobiła zmartwioną minę.

– Pojawi się prędzej czy później – pocieszył ją Klaus. – Znasz Maksa. Zawsze był diabelnie leniwy. Prawdopodobnie nie chce mu się przyłożyć pióra do papieru.

– Czy spędzisz Boże Narodzenie w domu?

– Mam nadzieję, że tak. Wszystko zależy od tego, jak szybko zagoi się noga. Wyznaczą mi chyba lżejsze obowiązki na kilka tygodni. A później odeślą z powrotem na front.

– W takim wypadku, mam nadzieję, że twoja noga szybko się nie zrośnie – przemówiła ostro Anna, wyrównując stertę książek na stoliku przy łóżku Klausa. – Przepraszam, może nie powinnam tego mówić, ale nienawidzę samej myśli o twoim powrocie tam. Warunki są straszne, Mirando, radio o tym nie mówi ani gazety, oczywiście, o tym nie piszą.

– Anno, proszę cię – powtórzył Klaus.

– Co? Czy mam siedzieć cicho, jak grzeczna niemiecka dziewczynka? Wiedziałaś, Mirando, ż jest tam tak zimno, iż wartownicy, którzy zasną na posterunkach, czasami zamarzają na śmierć? Czy wiesz, ilu naszym żołnierzom amputowano kończyny z powodu odmrożeń?

– Friedrich nigdy o tym nie pisze… Biedny Klaus. – Miranda dotknęła jego dłoni.

Klaus odezwał się po chwili:

– Jeśli nie ma błota… a to błoto przypomina czarną melasę i boisz się, że cię wciągnie i nigdy się nie wydostaniesz, to jest mróz i śnieg. W śnieżycy widzisz zaledwie kilka kroków przed sobą, rano twój czołg nie chce ruszyć, a karabin nie chce wystrzelić, bo temperatura spadła w nocy do minus trzydziestu pięciu stopni. Człowiek opatula się cały, bo każdy odsłonięty skrawek ciała może zamarznąć. A żołnierze cierpią, bo nie mają odpowiednich butów i ciepłych szyneli, ponieważ zapowiadała się tylko letnia kampania. Zajęcie Moskwy w dwa miesiące, żadnego takiego bałaganu, mrozu i śniegu.

Oparł głowę o poduszkę i zamknął oczy. Miranda pogładziła jego dłoń.

– To się wkrótce skończy. Na pewno, Klaus.

– Nie, nie sądzę. – Ponownie otworzył oczy, znużone błękitne szparki. – W lecie było pięknie, maszerowaliśmy radośnie naprzód,

bohaterowie i zdobywcy. Tylko że pierwotny plan nie wypalił, a potem nadeszła ta ich niewyobrażalna, niekończąca się zima. I jeszcze partyzanci. Przez cały czas musimy zachowywać czujność, inaczej dostaniemy kulkę w łeb. – Zaśmiał się szorstko. – Nigdy bym nie pomyślał, że kilku wieśniaków na nartach może sprawić tak wiele kłopotu. Są jak rój szerszeni, napadają na ciebie, kiedy najmniej się spodziewasz. I są ich miliony, no właśnie, miliony przeklętych Rosjan wyłaniają się zewsząd niczym łby jakiejś cholernej hydry. Zabijesz jednego, a na jego miejsce wyrasta pięćdziesięciu innych.

Klaus zamknął oczy i zaczął oddychać wolniej. Po kilku minutach Anna wstała cicho i przywołała gestem Mirandę, by razem zeszły na dół.

W pokoju na tyłach domu Anna zapaliła papierosa. Była wychudzona, blada i zdenerwowana.

– Ciągle tak z nim jest – powiedziała. – Czytam mu albo z nim rozmawiam, podnoszę głowę, a on śpi. Przypuszczam, że potrzebuje odpoczynku. Bardzo ci dziękuję, że przyjechałaś, Mirando. To ogromnie miłe z twojej strony, że zechciałaś odbyć tę podróż. Mam nadzieję, że nie zmęczyłaś się za bardzo.

– Nic a nic.

– Dzisiaj rano lekarz zmieniał mu opatrunki. W nogę wdało się zakażenie. To było okropne. Słyszałam, jak krzyczał. – Anna wsunęła zabłąkane pasemko włosów z powrotem pod apaszkę. – A Klausowi powiedziałam prawdę. Mam nadzieję, że nie wydobrzeje w pełni, że jego noga nigdy się porządnie nie zrośnie. Wtedy nie musiałby wracać na front. Czy to naprawdę podłe z mojej strony?

– To zrozumiałe. Biedna Anna.

Anna uśmiechnęła się z wysiłkiem.

– Usiądź, Mirando, i porozmawiaj ze mną. Ostatnio odchodzę od zmysłów z niepokoju. Chodzi głównie o Klausa, ale o Maksa także zaczynam się martwić. – Westchnęła. – Kłopot w tym, że nie mam z kim porozmawiać. To znaczy tak naprawdę porozmawiać. Muszę uważać, co mówię w szpitalu, a mój ojciec żyje ostatnio we własnym świecie. Zupełnie jakby nie potrafił przyznać sam przed sobą, co się dzieje. – Nagle zerwała się na nogi. – Och, fatalna ze mnie

gospodyni. Czy mogłabym cię czymś poczęstować, Mirando? Napijesz się kawy? A może zjesz herbatnika z serem?

– Nie, dziękuję. Anno, gdy sytuacja się poprawi…

– Wierzysz w to? – Anna stanęła przy oknie.

– Nie, nie do końca – odparła ostrożnie Miranda.

– Ja też nie. I nie wiem, czy tak powinno się stać.

Widziały za oknem lasy otaczające Waldhof, ciemnozielone jodły i smukłe, srebrzyste gałęzie brzóz, oprószone śniegiem.

– Friedrich ciągle pisze w listach o Sommerfeld – odezwała się Miranda. – Czuję, jak bardzo chciałby wrócić do domu. Anno, co masz na myśli, gdy mówisz, że sytuacja nie powinna się poprawić?

Anna oparła się oburącz o parapet, wpatrzona w płatki śniegu wirujące w nieruchomym powietrzu.

– Czasami żałuję, że nie jestem tak głupia jak frau Hirsch – powiedziała łagodnym tonem. – Czasami chciałabym tylko ględzić o tym, jak będzie wspaniale, kiedy podbijemy Rosję. Byłabym wtedy szczęśliwsza.

– Gdybyś tak mówiła, Anno, wiedziałabym, że kłamiesz.

Zapadło milczenie. Miranda czekała. Po chwili Anna przemówiła:

– Usłyszałam o czymś. O czymś okropnym. Mam przyjaciół, wiesz, takich, którzy myślą jak ja, podzielają moje poglądy. Nie widujemy się zbyt często i oczywiście nie odważylibyśmy się pisać o tym ani dzwonić do siebie. Ale spotkałam się z jednym z nich kilka tygodni temu w Berlinie i do dziś nie zapomniałam, co mi powiedział.

– Co? Co ci powiedział?

Anna zerknęła w stronę drzwi i ciągnęła cicho:

– Mój przyjaciel Dieter jest lekarzem. Pracuje w szpitalu tuż za linią frontu. Dostał w tym roku tygodniową przepustkę i umówiliśmy się na spotkanie. Powiedział, że w Rosji codziennie morduje się Żydów i partyzantów. Nie w walce, tylko po prostu strzela się do nich z zimną krwią. I nie do kilku, lecz do setek, zabija się całe setki, może nawet tysiące. Dieter opowiedział mi, że zajmował się ciężko rannym żołnierzem. Nie mógł zrobić dla niego nic więcej, niż tylko zapewnić mu wygodę i spróbować go pocieszyć. Ale ten żołnierz chciał coś powiedzieć, zupełnie jakby musiał zrzucić to z serca. Wyznał Dieterowi, że kilka miesięcy wcześniej pilnował z innymi

żołnierzami ponad dwustu Żydów z pobliskiej wioski. Tym Żydom kazano wykopać rów. A potem musieli nad nim stanąć i zostali rozstrzelani. Nie tylko mężczyźni, ale także kobiety i dzieci. Najgorsze było to, że nie wszyscy umarli od razu, a wrzucono ich do rowu i przysypano ziemią. – Anna westchnęła. – Może nie powinnam ci o tym mówić. Kobiety w ciąży mają myśleć tylko o radosnych sprawach, prawda? Ale komuś musiałam powiedzieć, a kogo tu mam? Klaus jest bardzo chory. Ojciec nie wchodzi w rachubę. Tym bardziej Katrin i jej adorator z SS. A ty powinnaś znać prawdę.

– Słyszałam pewne… pogłoski – przyznała się Miranda.

– Jak my wszyscy. To znaczy ci z nas, którzy chcą słuchać. No i dlaczego to mną tak wstrząsnęło? W końcu to byli nie tylko Żydzi, ale także bolszewicy.

– Ale Klaus… i Max, i Friedrich. Oni przenigdy by czegoś podobnego nie zrobili.

Twarz Anny skrywał cień.

– Oczywiście, że nie. Żaden nie postąpiłby w tak straszny sposób. Ja jednak znalazłam się w położeniu bez wyjścia. Boję się, że przegramy tę wojnę i co się wtedy z nami stanie? Ale jednocześnie jak mogłabym pragnąć naszego zwycięstwa? – Usiadła obok Mirandy i ujmując jej dłoń, dodała: – Jeszcze z jednego powodu cieszę się, że dzisiaj przyszłaś. Nie miałam jak dotąd odwagi powiedzieć o tym Klausowi, ale gdy tylko poczuje się lepiej, wyjeżdżam.

– Dokąd?

– Do Berlina.

Przez trzy lata spędzone w Sommerfeld Miranda zdążyła polubić Annę.

– Och, naprawdę musisz wyjechać? – zawołała.

– Sądzę, że tak.

– Będzie mi ciebie bardzo brakowało!

– A mnie będzie brakowało ciebie, Mirando. – Anna się uśmiechnęła, wyraz napięcia zniknął z jej twarzy. – Rozśmieszasz mnie, co bardzo sobie cenię, zwłaszcza w obecnych czasach.

– Dlaczego chcesz wyjechać? I dlaczego właśnie do Berlina, gdzie teraz jest tak niebezpiecznie z powodu nalotów?

– Zamierzam iść na kurs pielęgniarski. Chcę się dobrze nauczyć tego zawodu, chcę robić coś więcej, niż tylko zamiatać podłogi i opróżniać baseny. – Anna zmarszczyła proste czarne brwi. – Jesteśmy tu osłonięci, bezpieczni. Zdałam sobie sprawę, że się tego wstydzę. Powinnam znaleźć się w centrum wydarzeń. Bo inaczej skąd miałabym wiedzieć, co robić? Ponadto nie bardzo mam wybór. Słyszałaś, że Hitler zbudował dla siebie małą fortecę w lesie niedaleko Rastenburga? To oczywiście wielka tajemnica, ale i tak wszyscy wiedzą. Dobrze znam te lasy, chodziliśmy tam na grzyby, kiedy byłam mała. Pamiętam, że nigdy mi się nie podobały. Nie było tak ładnie, jak w naszym lasku, drzewa wydawały się takie ciemne i rosły gęsto jedno obok drugiego, a komary omal nie zagryzły mnie na śmierć. W każdym razie tydzień temu odwiedził nas funkcjonariusz partyjny i wygląda na to, że Waldhof bardzo się spodobało jednemu z hitlerowskich lizusów. Zatem nasz dom zostanie zarekwirowany.

– To niemożliwe. – Miranda popatrzyła na nią z przerażeniem.

Anna owinęła wokół palców końce apaszki, którą związała włosy.

– W pierwszej chwili byłam wściekła, ale już oswoiłam się z tą myślą. Musiałam odegrać rolę zrozpaczonej siostry bohatera wojennego, żeby pozwolono nam zostać jeszcze dwa miesiące, dopóki Klaus nie wydobrzeje. Aha, i wspaniałomyślnie zaproponowali ojcu i mnie możliwość zamieszkania w jednym skrzydle. – Głos Anny ociekał ironią.

– Ale nie zrobicie tego?

– Ojciec tak. Papa nie wyobraża sobie życia gdzie indziej niż w Waldhof. Urodził się tutaj. Podobnie jak ja i Klaus, i Max. Ale nie potrafiłabym znieść przebywania pod jednym dachem z tymi ludźmi. Naprawdę bym nie potrafiła.

– Powinnaś przeprowadzić się do nas. Wszyscy powinniście. Mamy mnóstwo wolnych pokoi.

– Nie. – Anna uściskała Mirandę. – To bardzo miło z twojej strony i będę za wami strasznie tęskniła, ale nie. Pojadę do Berlina. Tak postanowiłam.

Pogłoski. W ostatnich dniach słuchali ich, odrzucali je albo karmili się nimi.

Wracając z Waldhof, Miranda przypomniała sobie pogłoskę o masakrze w Kownie na Litwie, około stu pięćdziesięciu kilometrów od Rastenburga. Podobno zamordowano jednego dnia ponad dziewięć tysięcy Żydów. Pacjentów szpitala w getcie i dzieci z żydowskiego sierocińca zamknięto w budynkach, które następnie podpalono. Patrząc na płatki śniegu sfruwające z ołowianego nieba, Miranda wspomniała tę wiadomość i pomyślała, jak wielkie przerażenie musiały czuć tamte dzieci, gdy budynek stanął w płomieniach.

Krążyły również inne opowieści. O ucisku i grozie wiedzieli wszyscy. Żydzi musieli nosić żółte gwiazdy, przez co byli nieustannie narażeni na obelgi i przemoc. Konfiskowano ich domy, zmniejszano racje żywnościowe i wolno im było robić zakupy w sklepach tylko przez godzinę dziennie. Bili ich gestapowcy, a jeśli popełnili jakieś wykroczenie – i nawet jeśli nic nie zrobili – szli do więzienia albo wywożono ich do obozów koncentracyjnych.

W domu ojca Mirandy w Paryżu czasami bywali Żydzi. Konstantin Denisow odnosił się do nich z mieszaniną niesmaku i podziwu dla ich inteligencji i przedsiębiorczości. Jak dużo, zastanawiała się Miranda, spoglądając przez okno na padający śnieg, dzieli niesmak od nienawiści? Jaką odległość trzeba przebyć, zanim pogrzebie się człowieka żywcem albo podpali budynek pełen dzieci?

Zadrżała i otuliła się futrem. Uświadomiła sobie, że wspomina wizytę sprzed lat, z czasów dzieciństwa, w domu dziadków w Wiltshire. Łagodne, ciepłe powietrze, zapach babcinego ogrodu po deszczu. Jeśli się mocno skupiła, niemal czuła miękką trawę na brzegu rzeki, widziała ryby pływające w chłodnej, zielonej wodzie, we własnym, obcym świecie, z którym nie miała nic wspólnego. Przypuszczała, że aby podłożyć w ten sposób ogień, trzeba najpierw uwierzyć, iż Żydzi to mniej niż ludzie. Aby kazać im wykopać ów grób, należało słuchać rok po roku gniewnych, oskarżycielskich przemówień w radiu, oglądać filmy i czytać brukową prasę, w której pisano, że Żydzi są przyczyną wszelkiego zła, sami ściągnęli na siebie kłopoty, a wojnę spowodował spisek żydowsko-bolszewicki.

Ostrożność, niezbędna swego czasu w domu ojca, teraz się jej przydawała. Miranda była czujna, uważna, dyskretna. Nazwisko von Kahlberg dawało pewną ochronę i naturalnie nigdy nie wspomniała nikomu, że jej ojciec był Rosjaninem, a matka Angielką. Ona, która uwielbiała znajdować się w centrum uwagi, teraz starała się wtopić w tło. Jeśli nie nienawidziła otaczającej wszystko zmowy milczenia równie mocno jak Anna, to może tylko dlatego, że do niej przywykła. Już w dzieciństwie nauczyła się uważać, co mówi – dobre przygotowanie do takiego życia, jakie wiedli obecnie.

Spojrzała przez okno samochodu na zimną biel krajobrazu. Przez chwilę pozwoliła sobie na luksus myślenia o Olivierze. Pieczołowicie przechowywała każde wspomnienie o nim: każde było oszlifowane niczym klejnot przez czas i dotyk. Rzadko na nie spoglądała, jakby się obawiała, że się zużyją. Przypomniała sobie, jak szła przez Pola Elizejskie, usłyszała głos mówiący: „Mój Boże, Mirando", odwróciła się i zobaczyła Oliviera. Cud tamtej chwili. Nieopisana radość odnalezienia się na nowo po tak długim czasie.

Tym razem jednak wspomnienie nie przyniosło pociechy, lecz poczuła falę tęsknoty i lęku. Nawet jeśli przeżył bitwę o Francję, jak mógłby znieść, on, tak bardzo przywiązany do Paryża, życie w okupowanym mieście? Olivier nie stałby z boku, wiedziała o tym. On by walczył, w każdy możliwy sposób.

Myślała, że Sommerfeld da jej schronienie, lecz się pomyliła. Było tak, jakby znalazła się jako pionek na obrzeżach szachownicy, podczas gdy w innym miejscu działy się wielkie i straszne rzeczy. Teraz jednak przesunięto ją bliżej centrum wydarzeń. Wojna dotarła do Prus Wschodnich, dotychczas spokojnych i odległych. Pojazdy wojskowe opanowały drogi, a ze stacji w Rastenburgu codziennie odjeżdżały pociągi z nowymi żołnierzami wysyłanymi na wschód i rannymi wiezionymi do szpitali na zachód. Pewnego razu, nastawiając radio, Miranda trafiła na audycję BBC dla odbiorców zagranicznych. Usłyszała tykanie zegara, a po każdym siódmym tyknięciu odzywał się głos: „Co siedem sekund w Rosji ginie Niemiec. Może to twój mąż? Twój syn? Twój brat?".

Kilka dni później nadeszła wiadomość, że Max, kuzyn Friedricha, poległ na froncie wschodnim. Podczas pogrzebu w kaplicy w Waldhof

Miranda myślała o dwudziestoletnim, przystojnym i pełnym werwy młodzieńcu, tańczącym z nią w sali balowej w Sommerfeld. Pamiętała Maksa niosącego gramofon nad zamarznięte jezioro i krążącego po lodzie z Anną przy dźwiękach walca „Nad pięknym modrym Dunajem". Obydwoje śmiali się wtedy głośno. Teraz Anna, stojąca w ławce o kilka metrów dalej, wyglądała tak, jakby nigdy więcej nie miała się roześmiać. Krąg von Kahlbergów, który – gdy Miranda zamieszkała w Sommerfeld – wydawał się odzwierciedleniem ponadczasowego sielskiego życia, został przerwany.

Niedługo później pojechali do lasu, aby wybrać bożonarodzeniową choinkę. Mężczyźni, polscy robotnicy przymusowi oraz francuscy i angielscy jeńcy wojenni, którzy zastąpili powołanych do wojska robotników rolnych z Prus Wschodnich, przyciągnęli drzewko z lasu i ustawili je w wielkim holu pałacowym, wyłożonym biało-czarnymi płytkami. Miranda przystroiła choinkę malowanymi ozdobami z drewna i świeczkami używanymi co roku. Świece zapalano w Wigilię. Ilekroć musnęła iglaste gałązki, czuła ich zapach, zimną, żywiczną woń lasu.

Całe wieki Kay nie miała żadnej wiadomości od Toma, aż wreszcie na początku grudnia do koszar przyszedł list z wiadomością, że jest na krótkiej przepustce przed zaokrętowaniem.

Nocny bar przy Piccadilly, gdzie Tom – jak napisał – miał na nią czekać, był nieduży i kameralny, mniej niż tuzin stolików. Kay dostrzegła go już od drzwi, siedział w kącie salki. Pomachała do niego i zaczęła się przeciskać między stolikami i krzesłami.

– Tom!

Wstał i ucałowali się na powitanie.

– Przepraszam, że tak się spóźniłam – powiedziała, siadając naprzeciw niego. – Musiałam dzisiaj jechać do Catterick i z powrotem. Zajęło mi to ładnych kilka godzin. Niestety, nie miałam czasu przebrać się w cywilne ubranie.

– Wyglądasz pięknie, jak zwykle. – Zerknął na jej naszywkę. – Młodszy kapral, no no! Moje gratulacje.

– Jestem teraz kierowcą sztabowym. Prowadzę samochody osobowe zamiast ciężarówek, to duża ulga. Przedwczoraj jechałam całkiem niezłym humberem snipe'em.

Tom zamówił drinki. Kay wypiła łyk ginu z cytryną i westchnęła z zadowoleniem.

– Jakie to miłe i cywilizowane. No więc, Tom, co u ciebie słychać?

Zaczął mówić o swojej pracy, rodzinie i o tym, jak się cieszy, że nareszcie płynie na kontynent.

– Mam nadzieję, że będziesz pisał nieco częściej, kiedy znajdziesz się na pustyni czy gdziekolwiek tam. Jako korespondent jesteś naprawdę do niczego – powiedziała.

– Przepraszam. – Zrobił zakłopotaną minę. – Byłem zajęty.

Spojrzała na niego z udawaną dezaprobatą.

– W porządku, wybaczam ci. Trochę się martwiłam, że to z powodu tego, co się wydarzyło, ale potem pomyślałam: „Nie, Tom nie jest taki".

– Co się wydarzyło? – Wydawał się skonsternowany.

– No wiesz. W parku.

Nadal sprawiał wrażenie zdezorientowanego, a potem twarz mu pojaśniała i uśmiechnął się szeroko.

– Ach, tak, w St James. Przypominam sobie. Prawdę mówiąc, Kay, uznałem wtedy, że za dużo wypiłaś.

– Czy wiedziałeś, że wstąpiłam do oddziałów pomocniczych z twojego powodu?

– Poważnie? Dlaczego?

– Czułam się taka upokorzona. Byłeś surowy, pełen dezaprobaty i wyekspediowałeś mnie taksówką do domu.

– Naprawdę?

– Wszystko dobrze, jeśli tylko się nie obraziłeś.

– Ja? Nigdy w życiu.

Umilkli na chwilę, słuchając orkiestry, gdy mężczyzna z zaczesanymi do tyłu włosami śpiewał „The Last Time I Saw Paris". Podczas przerwy w rozmowie Tom wydawał się mniej pogodny – niemal ponury i dość napięty. Ale wszyscy byli napięci po dwóch i pół roku wojny. Sama Kay wstała o piątej rano, by pojechać do Catterick. W drodze powrotnej jej pasażer, niejaki major Lansdowne,

nalegał, by mu powiedziała, jak jej na imię i zaczął rozwodzić się na temat żony, która go nie rozumie. Kay musiała się szczypać co pewien czas, żeby nie zasnąć, kiedy wyliczał wady małżonki. Po dotarciu do Londynu major zaproponował, że zabierze ją dokądś na drinka, a gdy odmówiła, wysiadł naburmuszony.

– Rozchmurz się, staruszku. – Dotknęła dłoni Toma.

– Wszystko w porządku. Chciałabyś coś zjeść, Kay? Postawić ci kolację?

Pokręciła głową.

– Lepiej nie. Ostatnio jadam ogromne ilości chleba i ziemniaków. – Przesunęła ręką po biodrze. – Dlaczego w kantynach wojskowych służb aprowizacyjnych są takie pyszne puddingi? Jeśli wojna potrwa dłużej, stanę się odrażającym grubasem.

– Ty? Nigdy. Nie potrafisz usiedzieć na miejscu dostatecznie długo, by obrosnąć tłuszczem.

Uśmiechnęła się do niego.

– Wiesz, na co mam ochotę? Chciałabym zatańczyć.

– No to chodź. – Wyciągnął do niej rękę.

Piosenka się skończyła, rozległ się głośny płacz trąbki, a potem zespół swingowy zagrał „Boogie Woogie Bugle Boy" i ciasny parkiet zapełnił się tańczącymi parami.

Później zabrzmiała znowu powolna melodia i Tom objął Kay. Oparła głowę na jego ramieniu. Przez jej zmęczony mózg przepływały oderwane myśli. Nigdy jeszcze nie tańczyła z Tomem… musi jutro wcześnie wstać, żeby wrócić do Aldershot… Tom jest naprawdę niezłym tancerzem… dobrze się tańczy z mężczyzną odpowiedniego wzrostu… poczciwy Tom, stęskniła się za nim…

– Hej – przemówił. – Ty usypiasz. Chodź, odwiozę cię do domu.

Zabrali płaszcze i wyszli. Kay miała nocować w domu cioci Dot. Ciocia była na północy Anglii, gdzie wygłaszała w imieniu Ministerstwa Aprowizacji wykłady dla grup Ochotniczych Służb Kobiecych. Część drogi przejechali autobusem, resztę przebyli pieszo. Noc była ponura i mroczna, deszcz wisiał w powietrzu. Rozmawiali o Pearl Harbor; poprzedniej niedzieli japońskie myśliwce zbombardowały amerykańską flotę na Hawajach. Zginęło ponad dwa tysiące ludzi, wiele okrętów zostało zatopionych lub poważnie

uszkodzonych, zniszczono znaczną liczbę amerykańskich wojskowych samolotów. Japoński atak w końcu wciągnął Amerykę w działania wojenne; Niemcy i Włochy wypowiedziały wojnę Stanom Zjednoczonym.

– To okropne – powiedziała Kay, gdy ostrożnie wybierali drogę wśród ruin po bombardowaniu – co się stało z „Księciem Walii" i „Repulse". Dlaczego właściwie klęski marynarki wojennej wydają się gorsze niż inne?

Tom podał jej rękę, pomagając przejść przez rozwalony mur.

– Ponieważ w tej dziedzinie zawsze byliśmy dobrzy. Brytania włada morzami i tak dalej. Potrafimy znieść jedną czy drugą porażkę na lądzie, lecz utrata okrętu zawsze jest szczególnie dotkliwym ciosem.

– Chwilami – zaczęła Kay – łapię się na myśli, że to normalne i że tak właśnie będzie wyglądało nasze życie. Ludzie mówią, że wojna szybciej się skończy, bo teraz Amerykanie przystąpili do działania, ale nie jestem tego taka pewna. Może to oznacza po prostu, że walki się rozprzestrzenią i że więcej krajów będzie musiało przejść przez to samo, co my. Czasami się boję, że tak już będzie zawsze.

Dotarli do ulicy; padało na nią przyćmione światło latarki Toma.

– Zwyciężymy – powiedział. – Może zajmie nam to lata, ale zwyciężymy.

– Skąd ta pewność?

Kay spodziewała się usłyszeć od niego o jakiejś tajnej strategii, jakimś planie, lecz odparł tylko:

– Ponieważ musimy. Po prostu. Wierzę, że dobro w końcu wygra. Choćby to trwało nie wiem jak długo. W głębi serca właśnie w to wierzę.

Znaleźli się przed domem. Otworzywszy boczną furtkę, Kay poprowadziła Toma na tyły posesji, ostrzegając przed znajomymi przeszkodami – gałęziami wiciokrzewu sterczącymi nad ścieżką, pustymi butelkami po mleku.

Weszli tylnymi drzwiami. W kuchni było tak zimno, że zostali w płaszczach. Kay przyrządziła kakao; Tom – wysoki i szczupły, zbyt wysoki, pomyślała, jak na to małe pomieszczenie – oparł się o kredens. Powiedział jej, że nazajutrz rano wybiera się do

Cambridge, aby spędzić parę dni z rodziną przed opuszczeniem kraju. I że nie może się doczekać wyjazdu.

Nagle zaniepokoiła się o niego.

– Tom, będziesz na siebie uważał, prawda?

– Oczywiście. – Uśmiechnął się szeroko. – Zsuwałem się z górskich zboczy, rozbijałem auta… spadam na cztery łapy, jak mówi moja matka. Nic mi się nie stanie. – Umilkł na chwilę; jego uśmiech zgasł. – W każdym razie muszę to zrobić. Muszę stąd wyjechać.

– Czy coś jest nie w porządku?

Pokręcił głową z cichym, rozpaczliwym westchnieniem i po chwili milczenia odparł:

– Edie i ja znowu zaczęliśmy się spotykać.

Kay popatrzyła na niego z zaskoczeniem.

– Edie? Myślałam, że wyszła za mąż.

– Wyszła. I ma dziecko, córeczkę.

Och, Tom, pomyślała, ale się zaplątałeś. I poczuła lekką urazę do owej Edie; nigdy jej nie poznała osobiście, lecz wyobrażała ją sobie jako cukierkowo ładną, próżną i rozpieszczoną kobietę. Dlaczego ta kokietka nie mogła zostawić go w spokoju? Kay usłyszała głos Toma:

– W każdym razie teraz już wszystko skończone. Zerwała ze mną miesiąc temu – oznajmił beznamiętnym tonem. – Zapewne nigdy nie powinniśmy byli zaczynać tego na nowo.

– Moje ty biedaczysko.

– Żal ci mnie? – Spojrzał na nią i wzruszył ramionami. – Powiedziałbym, że to moja własna cholerna wina. – Zaśmiał się krótko. – Bez pamięci i do szaleństwa, tak to określiłaś tamtego dnia w parku? Czy ktoś zakocha się w którymś z nas bez pamięci i do szaleństwa? Rzecz w tym, że ja tak pokochałem Edie.

Kay postawiła na tacy filiżanki z kakao i talerzyk z herbatnikami; Tom zaniósł tacę do salonu.

– Kiedy się spotykaliśmy – ciągnął – nie obchodziło mnie, co się wokół dzieje, wydawało mi się to bez znaczenia. Choćbym słyszał najgorsze wieści, czułem się tak, jakby nic nie mogło mnie złamać. Tamtej nocy, gdy Edie ze mną zerwała, nie potrafiłem tego pojąć. Odprowadziłem ją do autobusu, a potem spacerowałem przez wiele godzin. Zaczął padać deszcz. Od czasu do czasu coś przykuwało

moją uwagę i zapominałem o tym… to znaczy o tym, co się właśnie wydarzyło, ale tylko na kilka sekund, po czym znowu wszystko do mnie wracało. Bałem się zatrzymać i bałem się pozwolić, by ta prawda dotarła do mojej świadomości. Pamiętam, jak pewnego razu podczas wspinaczki w górach Cairngorm ześliznąłem się z nawisu skalnego. Pamiętam moment spadania, to, że nie miałem się czego przytrzymać, i uczucie ślepej trwogi. Jakbym został odcięty od liny i zapadał się w ciemność. Tak czy inaczej, w końcu przemokłem do nitki i musiałem wrócić do hotelu, żeby się przebrać. Spałem może z pół godziny, a potem musiałem stawić się u dowódcy. Nie nadawałem się tego dnia do niczego i solidnie mnie obsztorcował.

– Ludzie mówią – zauważyła niepewnie Kay – że czas leczy rany.

– Mówią tak, owszem. – Zmarszczył brwi. – Zastanawiam się, czy to prawda.

Przypomniała sobie, że raz zapytała ciocię Dot, czy żałuje, że nie wyszła za mąż. Ciocia odpowiedziała, że z biegiem lat praca w czasopiśmie i korespondencja z czytelniczkami nauczyły ją, iż choć miłość kobiety i mężczyzny może być ożywcza i radosna, może się również okazać destruktywna, wyczerpująca i osłabiająca.

Destruktywna, wyczerpująca i osłabiająca. Większa część uroku osobistego Toma, który Kay dostrzegła przy pierwszym spotkaniu w Berlinie – jego poczucie humoru, energia, entuzjazm – zszarzała teraz i przygasła.

Kay postawiła przed nim kakao. Zapytał, czy poznała kogoś wyjątkowego, na co pokręciła głową.

– O rety, jesteśmy dość beznadziejną parą młodych ludzi, nie sądzisz? – Otuliła się płaszczem i wyciągnęła na sofie. Była bardzo zmęczona, powieki zaczynały jej ciążyć.

– Fatalną – przyznał.

– Kiedy się zestarzejemy i będę starą panną, która hoduje koty, a ty stukniętym starym kawalerem z fajką i dziurawymi rękawami, zamieszkamy pod jednym dachem jak brat i siostra.

Podobała jej się ta wizja. Wiejski domek, róże przed drzwiami, rudy kot na słupku ogrodzenia, ostróżki i malwy, w promieniach słońca.

Kay usnęła.

Rozdział 11

Pewnego ranka Miranda poślizgnęła się na lodzie, gdy szła przez dziedziniec nakarmić Giselę, która zamieszkała w wygodnym kąciku w odległej części stajni. Jej stopa nagle pojechała naprzód i Miranda zderzyła się boleśnie z twardym brukiem. Chłopak stajenny pospieszył jej na pomoc i resztę dnia przeleżała na sofie w zielono-białym saloniku hrabiny, ze spuchniętą kostką na poduszce i z książką i robótką na stoliku obok.

Nocą, leżąc już w łóżku, obudziła się i uświadomiła sobie, że bardziej niż kostka bolą ją plecy. Pobolewały ją od wielu dni, teraz jednak ból nabrał pewnego rytmu, wzmagał się i słabł na przemian. Zapaliła światło i z szuflady nocnego stolika wyjęła broszurę od doktora Kornbluma. Przestudiowała ją wcześniej uważnie, choć śmieszyły ją porównania przyszłych matek do okrętów pod pełnymi żaglami. A niekiedy czuła się wytrącona z równowagi zaleceniami, by ciężarne starały się oderwać myśli od bólów porodowych, powtarzając sobie, że macierzyństwo to największa duma i chluba w życiu kobiety. Z kazaniami mieszały się praktyczne porady. Bóle pojawiają się i zanikają, informowała broszura, nasilając się stale, aż wreszcie matka jest gotowa przepchnąć dziecko przez kanał rodny. Ból Mirandy przeplatał się z chwilami ulgi, lecz niewątpliwie stale się nasilał.

Zaczęła się zastanawiać, czy jeśli będzie leżała zupełnie nieruchomo, ból zniknie i uda jej się znowu zasnąć. Nie mogła jednak znaleźć wygodnej pozycji. Czuła nerwowe rozedrganie w żołądku, które zmusiło ją do działania. Najpierw usiadła ostrożnie. Postawiła zdrową nogę na podłodze, a potem tę drugą, powoli, trzymając się jedną ręką obramowania łóżka, gdy zaczęła wstawać. Coś popłynęło spomiędzy jej ud i krzyknęła głośno.

A potem, gdy dzwonkiem wezwała pomoc, zaczęła się bieganina. Obudzono dwie pokojówki, żeby zagrzały wodę i przyniosły prześcieradła. Wysłano herr Bernarda do Angerburga po doktora Kornbluma, hrabina zaś przyszła posiedzieć przy synowej. W trakcie tego wszystkiego Miranda na przemian to chodziła po pokoju, wsparta na ramieniu służącej, by oszczędzać uszkodzoną kostkę, to znów – gdy powracały bóle – kładła się na łóżku, bo kiedy ją bolało, to bolało tak mocno, że nie potrafiła myśleć o niczym innym, nawet o chodzeniu. Zadawała sobie pytanie, dlaczego to aż tak boli, czy powinno aż tak boleć, a jeśli powinno, dlaczego nikt jej nie uprzedził – i wywnioskowała, całkiem rozsądnie, jak uznała, zważywszy na okoliczności, że kobiety nie chciałyby mieć dzieci, gdyby zawczasu wiedziały, jak bardzo będzie to bolało. Wydawało się, że otacza ją zmowa milczenia, sieć spraw, o których nie mówiono, choć należało, może dlatego, że były zbyt okropne.

Nie pozwoliła zaciągnąć zasłon, ponieważ chciała widzieć przez okno padający śnieg. Kiedy mogła patrzeć na śnieg, trochę mniej się bała. Ilekroć zaczynały się skurcze, obserwowała płatki śniegu i wzory kreślone przez nie na ciemnym niebie, gdy unosiły się, wirowały albo zbijały w białe, śmigające plamki. Między skurczami wpatrywała się w zegar, dużą tarczę ozdobioną porcelanowymi owocami i owadami. Gdy spojrzała nań po raz pierwszy, wskazywał wpół do drugiej w nocy. Czekała z utęsknieniem na doktora Kornbluma, wmawiała sobie, że słychać już warkot auta na podjeździe. Doktor Kornblum potrafiłby złagodzić ten ból, tego była pewna. Lecz jeśli dziecko urodzi się przed przybyciem doktora? Jeśli zadymka przejdzie w śnieżycę? Jeśli doktor wyjechał do innej pacjentki? Jęknęła przeciągle ze strachu, a hrabina, siedząca tuż obok, uścisnęła jej rękę i wyszeptała jakieś kojące słowa. Ból przybrał na sile, przetaczając się przez ciało Mirandy jak potężna, mroczna fala. Kiedy zelżał, spojrzała na zegar i stwierdziła ze zgrozą, że upłynęło zaledwie pięć minut.

Doktor Kornblum dotarł do Sommerfeld tuż przed trzecią nad ranem, w towarzystwie tęgiej kobiety w średnim wieku, ubranej w pielęgniarski uniform i futrzane botki. „Ach, moja droga młoda hrabino, zatem dzieciątko postanowiło przyjść na świat dwa tygodnie

przed terminem", powitał Mirandę. Uśmiechnął się promiennie i poczuła ogromną ulgę. Wyjaśnił, że pielęgniarka będzie asystowała przy porodzie, więc starsza pani może udać się na spoczynek. Hrabina opuściła pokój.

Zbadawszy Mirandę, co było dla niej zarówno bolesne, jak i niepokojące, poinformował ją, że wszystko idzie dobrze i nie powinna się martwić. Na jej pytania odpowiedział, iż dziecko nie urodzi się przed upływem kilku godzin, ona zaś musi się postarać odpoczywać między skurczami. „Kilka godzin?" – powtórzyła. Spodziewała się, że doktor powie, iż potrwa to godzinę, najwyżej dwie. „Jak długo?". Odparł, że nie sposób tego określić. Wyraził nadzieję, iż dziecko przyjdzie na świat jeszcze przed południem.

Nadeszły kolejne godziny bólu – był nie do zniesienia. Wskazówki porcelanowego zegara poruszały się teraz bardzo powoli. Miranda spróbowała skupić uwagę na czymś innym, wpatrując się w gładkie różowo-żółte jabłko lub lśniącą czarną muszlę ceramicznego ślimaka, lecz poczuła od tego mdłości. Zamknęła oczy, a pielęgniarka położyła na jej czole chłodną, wilgotną chustkę.

Zwolniono mnie z posterunku, pomyślała hrabina – i mogła za to być tylko wdzięczna doktorowi. Wsparta mocno na lasce, krocząc powoli korytarzem, uświadomiła sobie, że jej własne reminiscencje związane z porodem stały się już mgliste. Pamiętała, że ból był nie do zniesienia, choć nie potrafiła sobie dokładnie przypomnieć, co wówczas czuła. Wspomnienie owej ciężkiej próby zblakło i przetarło się niczym kawałek płótna nadgryziony zębem czasu.

To właśnie doktor Kornblum zajmował się nią, kiedy wydawała na świat Friedricha. Podobnie jak ona, urodził się w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku – znacznie łagodniejszego, uznała hrabina, niż obecna krzykliwa epoka. Doktor Kornblum powrócił z emerytury do zawodu, ponieważ młodsi lekarze pracowali teraz w szpitalach wojskowych albo na froncie. Hrabina wolałaby jednak, żeby jej synową zaopiekował się ktoś młodszy. Doktor Kornblum był życzliwy i delikatny, rzecz bardzo ważna dla rodzącej kobiety, lecz hrabina obawiała się, iż nie jest obznajomiony z najnowszymi

metodami postępowania w takiej sytuacji. Ponadto nie dało się zaprzeczyć, że w starszym wieku człowiek zaczyna być nieco mniej sprawny fizycznie. Hrabina zmrużyła oczy, wytężając wzrok w słabo oświetlonym korytarzu, i poczuła, jak drży jej ręka ściskająca poręcz schodów. Westchnęła. Doktor uczyni, co w jego mocy. Wiele ich łączyło. Przeżyli wojnę, klęskę i rewolucję.

A ponieważ hrabina pamiętała, co oznacza wojna, wstała jak zwykle o siódmej rano, zaledwie po czterech godzinach snu, i podjęła codzienne zajęcia. Po modlitwie i śniadaniu ruszyła do kuchni. Nie było dnia, żeby nie przyjrzała się doświadczonym okiem pracy w kuchniach Sommerfeld, sprawdzając, czy zapasy żywności są właściwie przechowywane i czy przestrzega się zasad oszczędnego gospodarowania. Wojna zawsze szła w parze z niedostatkiem, a obowiązkiem pani domu było dopilnować, by nikt w posiadłości nie głodował.

Przed południem wypiła kawę z herr Bernardem, sekretarzem Friedricha, omawiając kwestie związane z gospodarstwami rolnymi i warunkami dzierżawy. Później zabrała się do pisania listów do syna, do Anny przebywającej w Berlinie i do córki swego nieżyjącego brata Stefana, Susanne, która mieszkała w Szwajcarii. Ponieważ artretyzm zaatakował także jej ręce, pisanie stanowiło powolną i bolesną procedurę. Hrabina jednak z uporem prowadziła korespondencję, ponieważ opisywanie życia w Sommerfeld zawsze sprawiało jej przyjemność i ponieważ nie chciała ulec zachłannym żądaniom choroby, na którą cierpiała.

Tego przedpołudnia trudno jej było się skupić. Nieustannie nasłuchiwała jednym uchem kroków w korytarzu. Pierwsze porody najczęściej trwają długo, powiedziała sobie w duchu. Musi czekać cierpliwie. Przypomniały jej się nadzieje, jakie syn wiązał ze swoim potomkiem – że będzie podtrzymywał tradycje Sommerfeld i odziedziczy cnoty, które sam Friedrich zawsze starał się kultywować, takie jak uznanie dla dziedzictwa kulturowego i intelektualnego kraju i świadomość obowiązków wynikających z pozycji społecznej.

O pierwszej hrabina posłała po doktora Kornbluma; wkrótce potem zjawił się w jadalni.

– Musi pan coś zjeść, doktorze – powiedziała. – I trochę odpocząć, choćby pół godziny.

Wezwała służbę i kazała przynieść talerz zupy, białe bułki, kiełbasę, ser i kieliszek wina dla pana doktora. Dopiero gdy skończył posiłek, zapytała o synową.

Doktor Kornblum osuszył wąsy serwetką. Wolałby, aby poród młodej pani hrabiny postępował nieco szybciej, oznajmił. Nabrał obawy, iż jej siły zaczynają się wyczerpywać.

– Gdy tylko będzie wiadomo… – hrabina zawiesiła głos, na co doktor pochylił się w ukłonie.

– Tak, *gräfin*, naturalnie.

Kiedy wyszedł, starsza dama zamknęła oczy i zaczęła się modlić za Friedricha, Mirandę i nienarodzone dziecko. Siedząc w biało-zielonym ośmiokątnym pokoju, patrzyła, jak zapada zmierzch. Noc nadchodziła wcześnie o tej mrocznej porze roku. Hrabina musiała się zdrzemnąć, gdyż śniła, że jest znowu małą dziewczynką i spaceruje po Rathauspark w Wiedniu ze swą opiekunką.

Obudziła się nagle, zdezorientowana. Pokój tonął w ciemnościach – nikt ze służących nie przyszedł zapalić światła – a w progu stał doktor Kornblum.

– Dziecko… – Po omacku zaczęła szukać przycisku lampy.

– Niestety, jeszcze nic. Przepraszam, że zakłócam pani spokój. – Doktor odkaszlnął cicho. – Pan hrabia… czy można po niego posłać?

– Obawiam się, że nie. – Kątem oka, za szybą oranżerii, dostrzegła wirującą śnieżną zadymkę. Dodała: – Przypuszczam, że na froncie panują bardzo trudne warunki. Mogłabym napisać list, ale… – Dalszą część zdania pozostawiła niedopowiedzianą.

Zaciągnęli zasłony. Była zbyt zmęczona, by im powiedzieć, że woli patrzeć na śnieg i nie lubi pąsowego adamaszku, który zamyka ją w rozpalonej do czerwoności klatce. Chwilami zdawało jej się, że usypia, lecz nagle budził ją ból, niczym czarna bestia sprężona do skoku. Starała się nie krzyczeć, w niejasnym przeświadczeniu, zaczerpniętym nie wiadomo skąd, że krzyk jest czymś złym, lecz potem doktor Kornblum kazał jej przeć i zaczęła płakać, próbując im

powiedzieć, że już nie może, to za bardzo boli i gdyby zaczęła, pękłaby na pół jak przejrzała figa. Pielęgniarka wytarła jej twarz chłodną chustką i powiedziała, że dziecko już idzie, a ona musi tylko wypchnąć je na świat, więc Miranda wydobyła z siebie resztki odwagi i usiłowała spełnić polecenie.

Wciąż kazali jej przeć, wciąż próbowała, lecz dziecko nie chciało się urodzić. Po pewnym czasie, niezależnie od tego, jak bardzo się starała i choć było jej już wszystko jedno, czy będzie żyła, czy umrze, nie mogła przeć dłużej. Zaczęła płakać i przepraszać za swoje niepowodzenie, i uświadomiła sobie, że mówi po francusku, chociaż powinna zwracać się do doktora Kornbluma po niemiecku, była jednak zbyt zmęczona, by pamiętać niemieckie słowa. Ale doktor poklepał ją po ręce i powiedział: „Już dobrze, moja droga, jest pani bardzo dzielna i zaraz trochę panią wspomogę". Tuż potem usłyszała, jak zwraca się do pielęgniarki: „Tak, teraz"; na jej twarzy położono prostokąt białej gazy, poczuła słodkawy zapach i odpłynęła w ciemne i bezpieczne miejsce.

To trwało zbyt długo. Hrabina wciąż się modliła, lecz w głębi serca wiedziała, że to trwa za długo. Czekała, otoczona przez historię. Wieki odbijały się echem, wołały do niej, widziała je w malowanych twarzach na portretach i srebrnej łyżeczce ofiarowanej na chrzciny i ozdobionej emaliowanym herbem. Cały ten dom przesiąknięty był historią; wrosła w jego kamień, drewno i dachówki, wtopiona, nie do wyrwania, nie do wymazania. Historia przetoczy się przez nich wszystkich, upomniała samą siebie hrabina; zabierze ją, już wkrótce, i nawet w swoim czasie stłumi, gdyby do tego doszło, żal Friedricha po utracie żony i dziecka.

Słysząc kroki w korytarzu, zesztywniała i opanowała się. A później do pokoju wszedł doktor Kornblum z poszarzałą, starą twarzą i stanął, choć poprosiła go, by usiadł. Powiedział, że jej synowa zapewne będzie żyła, lecz musiał przeprowadzić poród kleszczowy i dziecko, chłopiec, urodziło się z sinicą i pępowiną owiniętą wokół szyi. Doktor walczył o jego życie, robił, co tylko mógł, lecz nie zdołał go uratować.

– Edie? Czy to ty?

Edie jechała w górę ruchomymi schodami przy Oxford Circus. Usłyszawszy swoje imię, rozejrzała się i ze zdumieniem popatrzyła na twarz młodej kobiety, jadącej dwa stopnie niżej.

– Wielki Boże – powiedziała. – Minnie Blacklock.

– Zauważyłam cię już w wagonie, ale było zbyt tłoczno, by zagadać. Cudownie cię widzieć, Edie, chyba minęły całe wieki. Ani trochę się nie zmieniłaś, od razu cię poznałam!

Rozdzielał je jakiś tęgi dżentelmen. Na samej górze ruchomych schodów Edie przesunęła się nieco w bok i zaczekała. Minnie, ubrana w pielęgniarski uniform, miała uczesanie z przedziałkiem z boku i gładkim jasnobrązowym kokiem z tyłu. Była wysoka i smukła, szczuplejsza, niż Edie pamiętała. Miała oczy brata, ciemnoniebieskie, okolone gęstymi rzęsami, i proste brwi. Edie poczuła ukłucie żalu, widząc Toma w twarzy jego siostry.

– Ty się za to zmieniłaś, Minnie – powiedziała. – Wyglądasz zupełnie inaczej, niż pamiętam.

Minnie uśmiechnęła się lekko.

– Chyba przechodziłam fazę artystycznego buntu, kiedy się poznałyśmy.

– Pracujesz w Londynie?

– Tak, w szpitalu w Whitechapel. A co u ciebie?

– Mieszkamy teraz z Charlesem w Liverpoolu. Przyjechałam na kilka dni do Esher, do matki.

Minnie zerknęła na zegarek.

– Pozwól, że spytam: co teraz robisz? Spieszysz się? Może znajdziesz chwilę, żeby pójść na kawę?

– Zamierzałam kupić włóczkę – wyjaśniła Edie. – Ale na pewno w żadnym sklepie nie znajdę takiej, jaką bym chciała, a jestem trochę zmęczona, więc wspaniale byłoby usiąść na chwilę i pogadać.

Ze stacji kolejki podziemnej poszły do małej cukierni, którą Minnie znała, tuż za roztrzaskanym gmachem Johna Lewisa. Kelnerka przyniosła kawę dla Minnie i herbatę dla Edie, która zaczęła popijać ostrożnie, małymi łykami.

– Tak naprawdę – wyznała – to spodziewam się dziecka.

– Winszuję ci.

Edie spojrzała nieufnie na Minnie.

– Więc nie zamierzasz wygłosić wykładu na temat mojego przyczyniania się do eksplozji demograficznej?

– Czy tak postąpiłam przy naszym ostatnim spotkaniu? – Minnie się skrzywiła. – O rety, byłam straszną idiotką. Nie, bardzo się cieszę z twojego dziecka. Kiedy przypada termin?

– We wrześniu. Miałam nadzieję, że tym razem nie będę tak się czuła, ale w tej chwili nawet herbata jest dla mnie wyzwaniem. Bez przerwy słyszę, że po trzech miesiącach przestanie mnie mdlić, lecz przy pierwszej ciąży wcale tak nie było, więc nie potrafię się zdobyć na optymizm.

– Biedactwo. Ponuro to brzmi.

– Może czuję się paskudnie – podjęła Edie – ale przynajmniej będzie to zakończone radosnym wydarzeniem. Nie powinnam narzekać, kiedy tak wielu ludzi przeżywa znacznie gorsze chwile.

Minnie obrzuciła ją lekko zdziwionym spojrzeniem.

– Sądzisz, że takie rozumowanie zdaje egzamin? Ja tego tak nie odczuwam. Jeśli jestem przygnębiona, to jestem i wcale nie mam pewności, czy myślenie o ludziach bardziej nieszczęśliwych niż ja poprawi mi nastrój. Właściwie może go nawet pogorszyć.

Minnie również nie wyglądała zbyt radośnie. Wydawała się zmęczona, wychudzona i smutna.

– Opowiedz mi o swojej pracy – podsunęła Edie.

– Na pewno chcesz posłuchać? Bo ja ostatnio myślę tylko o swoich doświadczeniach, a dla innych osób może to być nudne.

– Absolutnie nie. Pomagałam w sklepiku kobiecych służb, teraz jednak musiałam zrezygnować. Bardzo mi tego brakuje. Więc, proszę, opowiedz mi o pielęgnowaniu chorych. To zawsze brzmi interesująco.

– Bo jest interesujące. Bardzo to lubię. Jestem teraz siostrą oddziałową, co oznacza, że mogę rozstawiać wszystkie nieszczęsne ochotniczki po kątach. Myślałam, że to oznacza koniec słania łóżek i wylewania basenów, ale ciągle muszę pomagać, jeśli mamy więcej pacjentów. Pracuję na męskiej chirurgii. Pacjenci są ogromnie dzielni. Nawet kiedy ich boli, starają się uśmiechnąć albo zażartować. – Minnie umilkła na chwilę, po czym dodała: – To zabawne. Podczas

serii nalotów spadło na nas kilka bomb, co było oczywiście przerażające, ale w jakiś dziwny sposób mi tego brakuje. Życie wydaje się takie, bo ja wiem, bezbarwne. Posępne, nużące i ciągnące się z dnia na dzień.

Edie poczuła wstrząs, widząc łzy w oczach Minnie. Nagła myśl wbiła się w nią niczym nóż i nie mogła się powstrzymać od pytania:

– Minnie, co się stało? Coś złego? Czy chodzi o Toma?

– Tom miewa się dobrze, o ile mi wiadomo. – Minnie zamieszała kawę. – Mój przyjaciel, wiesz, dwa miesiące temu zaginął na morzu.

Edie uświadomiła sobie, że wstrzymuje oddech. Wypuściła powietrze i powiedziała:

– Bardzo mi przykro. To musi być dla ciebie straszne. Co się wydarzyło?

– Malcolm był na okręcie „Matabele". Eskortowali konwój do Murmańska i zostali storpedowani. Przeżyli tylko dwaj członkowie załogi. Morze było bardzo zimne i nawet gdyby zdołał wydostać się ze statku przed zatopieniem, zamarzłby na śmierć.

– Och, Minnie. Długo byliście razem?

– Pół roku. Malcolm miał dwadzieścia pięć lat, tak jak ja. To był taki związek z doskoku, widywaliśmy się sporadycznie, bo on często wyjeżdżał. – Minnie zdobyła się na uśmiech. – Poznaliśmy się w autobusie. Jechałam do szpitala, a on wsiadł i zapytał, czy dojedzie tą linią do Piccadilly. Oczywiście wybrał niewłaściwy autobus, ale zaczęliśmy rozmawiać. Malcolm pochodził z Aberdeen i nigdy wcześniej nie był w Londynie. – Poszperała w torebce, wyjęła paczkę papierosów i schowała ją z powrotem, mówiąc: – Nie, nie będę palić, nie przy tobie, jeśli źle się czujesz. W każdym razie, zamierzaliśmy się zaręczyć podczas jego następnej przepustki. Żałuję, że z tym zwlekaliśmy. Przyjaciółka, dziewczyna, nic nie znaczy. Jego rodzice nie zaprosili mnie nawet na nabożeństwo żałobne. Powiedzieli, że to tylko dla najbliższej rodziny. Nie zaliczyli do niej przyjaciółki syna. No i, oczywiście, wszystkie jego rzeczy odesłano im, więc nie zostało mi nawet zbyt wiele pamiątek.

– Tak mi przykro. – Edie ścisnęła jej rękę.

– Chyba nie spodobałam się rodzicom Malcolma. Są bardzo sztywni i staroświeccy, uważają, że dziewczęta nie powinny pracować. Jak

się zdaje, przede wszystkim nie aprobują pielęgniarstwa. Przypuszczam, że z uwagi na oglądanie nagiego ciała. W każdym razie, pozostała tylko okropna pustka. Nie ma żadnego grobu, oczywiście, ponieważ nie odnaleziono zwłok. I niewiele jest osób, z którymi mogę o nim porozmawiać, bo prawie wszyscy jego koledzy także utonęli. – Zmarszczyła brwi. – Wciąż myślę, jakie to musiało być straszne, kiedy znalazł się sam w tej wodzie. Nie potrafię wyrzucić tego z głowy.

Wiedząc, że cokolwiek powie, będzie niewłaściwe, Edie zaryzykowała uwagę:

– To musi być dla ciebie bardzo trudne.

– Na początku było, ale teraz już wszystko dobrze. – Minnie uśmiechnęła się dziarsko. – Praca, dzięki Bogu, wypełnia mi czas. Tom jest teraz w północnej Afryce. Z tego, co wiem, u niego wszystko w porządku, jeśli pominąć kłopoty żołądkowe. Napisałam mu, żeby wszystko gotował. A co w ogóle u ciebie? Jak się mają twoje siostry i siostrzenice?

– Od naszego ostatniego spotkania przybyły mi dwie nowe siostrzenice. Z czego wynika, że jest siedem kuzynek, same dziewczynki.

– Siedem. Wielkie nieba.

– My, kobiety z rodziny Fieldingów, przeważnie wydajemy na świat dziewczynki. Mama straciła już nadzieję na wnuka płci męskiej.

– Jak sądzisz, co się urodzi tym razem?

– Dziewczynka – zaśmiała się Edie. – Z całą pewnością dziewczynka.

Wkrótce potem Minnie wyruszyła do szpitala. Edie wypiła jeszcze parę łyków herbaty, która już zdążyła wystygnąć, i zaczęła się zastanawiać, czy nie zamówić kanapki – dziwne, czasami mimo mdłości czuła się głodna – uznała jednak, że nie zaryzykuje. Wsiadła do autobusu jadącego na Sloane Square i zajrzała do sklepu Petera Jonesa, gdzie kupiła różową włóczkę na sweterek dla Rosalind i szarą na sweter dla Charlesa na urodziny. Potem wróciła do Esher.

W wagonie kolejki rozmyślała o rozmowie z siostrą Toma. Minnie podobała jej się dziś o wiele bardziej niż przy poprzednim spotkaniu; pamiętała, jak tamtej niedzieli w domu Blacklocków zirytowała ją

swoją rozkrzyczaną żywiołowością. Złapała się na rozważaniu czegoś, co powiedziała Minnie. „Podczas serii nalotów spadło na nas kilka bomb, co było oczywiście przerażające, ale w jakiś dziwny sposób mi tego brakuje. Życie wydaje się takie, bo ja wiem, bezbarwne". Choć nie mogła szczerze powiedzieć, że tęskni za działaniami wojennymi – jedyne bezpośrednie doświadczenie, tamtego wieczoru z Tomem, było przerażające – wydawało jej się, że rozumie Minnie. Wszędzie wokół narastało uczucie, niewyrażone w słowach, że znaleźli się w długim mrocznym tunelu bez najmniejszego światełka na końcu. Zadała sobie pytanie, czy ona również sprawia wrażenie takiej znużonej, czy przeraźliwe klęski i racjonowanie opału, ubrań i jedzenia – różnych rzeczy niezbędnych do życia – wpłynęły w ten sposób na wszystkich.

Pierwsze trzy miesiące roku 1942 były dla aliantów katastrofą. W styczniu Rommel dokonał podbojów w Afryce Północnej, a na Dalekim Wschodzie Manila upadła i Japończycy zajęli Birmę, kolonię brytyjską. Potem, w połowie lutego, nadszedł druzgoczący cios – upadek Singapuru. Edie była w początkach ciąży – poczęli drugie dziecko w styczniu, jak przypuszczała, kiedy świętowali z Charlesem jego czterdzieste urodziny – i czuła się wyjątkowo kiepsko. Zatrzymali się w Plymouth w hotelu na obrzeżach miasta, z dala od doków – tam było bezpieczniej, stwierdził Charles, ponieważ zeszłego roku Plymouth zostało zbombardowane. W hotelu ciągle unosił się duszący zapach smażonego mięsa, który wydawał się Edie nie do zniesienia. Większość czasu spędzała na leżąco, próbując zabawić Rosalind opowieściami i książeczkami do kolorowania, a także starając się nie zwymiotować. W środku dnia, co było dla niej najlepszą porą, jeśli w ogóle miała takową, zabierała córeczkę na spacer. Ulice, których nie dotknęły bombardowania, wyglądały ponuro i było bardzo zimno. Ponieważ radio znajdowało się w hotelowym salonie, przegapiła wiadomości. Charles po powrocie do hotelu nic nie powiedział, ale w jadalni – zawsze starała się usiąść do stołu razem z mężem, nawet jeśli w połowie posiłku musiała pobiec na górę – wyczuwało się ponurą atmosferę. Pozostali goście wydawali się przygaszeni; nie było słychać zwykłej paplaniny. „Słyszałaś – zapytał Charles – o Singapurze?". Pomyślała, że

zapamięta tę chwilę do końca życia – kropelki sosu na obrusie, ciężkie, zwisające zasłony koloru śliwki w jadalni, zmęczona kelnerka w czarnej sukience i białym czepku i jeszcze Charles, który mówi, że Japończycy zdobyli Singapur.

Nie napływały żadne pocieszające wiadomości. Rangun został zdobyty, padła Jawa, codziennie szły na dno konwoje na Atlantyku i Morzu Śródziemnym i nic nie wskazywało, by drugi front, mający ocalić okupowane kraje Europy, na który wszyscy tak bardzo czekali, powstał w najbliższym czasie. Charles powiedział, że amerykańskie wojska i uzbrojenie w końcu zrobią swoje, lecz zajmie to sporo czasu. A walka musi się toczyć nadal.

Wszyscy walczyli, w ten czy inny sposób. Przed Bożym Narodzeniem Edie odwiedziła rodzinę Charlesa w Taynings. Catherine opuściła już dom i pracowała teraz w Bletchley, odeszły też dwie młode pokojówki. Teściowa Edie, która miała bóle reumatyczne w biodrze, oraz jej przyjaciółka Lilian przekroczyły już siedemdziesiąty rok życia. Pozostałe służące były w podobnym wieku. Większość pokoi stała niezamieszkana i zaczęła się ujawniać zła konstrukcja budynku, zbędne wieżyczki i ozdóbki. Na ścianach wykwitły ciemne plamy wilgoci, a dom, w którym zawsze panował chłód, nabrał nieświeżego, stęchłego zapachu. Edie zrobiła, co mogła, powyrywała chwasty w ogrodzie warzywnym i wyrzuciła, gdy nikt nie widział, jakieś zapleśniałe resztki odkryte w spiżarni. Pomajstrowała również przy wiekowej maszynie do pisania Olympia, na której wypisywano biuletyny Filozofii, i zdołała nawet ją naprawić. Honoria i Lilian zachowywały się wprawdzie rozsądnie i pogodnie, lecz sprawiały wrażenie kruchych i przemęczonych, uwięzionych w domu o wiele dla nich za dużym i za trudnym do prowadzenia. Wracając pociągiem do Plymouth, Edie czuła się przygnębiona i trochę winna, jakby opuszczała tonący okręt.

Decyzja o zajściu w następną ciążę po zakończeniu romansu z Tomem stanowiła po części próbę przeciwstawienia się przygnębieniu. Nowe dziecko uosabiało nadzieję, stawało się żywym dowodem, że sytuacja mimo wszystko musi się poprawić. Edie uznała również, że powinna zacząć od nowa. Chciała, żeby jej małżeństwo przetrwało. Charles uwielbiał Rosalind i był dobrym

ojcem. Ilekroć przebywał w domu na przepustce, zawsze chętnie zajmował się córeczką, kiedy Edie musiała wyjść. Nie każdy mężczyzna by to zrobił; wiedziała, że na przykład Tony, mąż Laury, nie chciał zostawać sam z dziećmi.

Charles był dobrym ojcem, lecz – być może – nie aż tak dobrym mężem. Sama przed sobą przyznawała otwarcie, że w łóżku nie jest najlepszy. Podejrzewała, iż pożycie małżeńskie nie ma dla niego znaczenia. Kłopot w tym, że dla niej miało. Czasami zadawała sobie pytanie, jak zniesie resztę życia bez namiętności. Nie myślała przed zamążpójściem, że seks będzie dla niej ważny – ale skąd, jeśli tak niewiele o tym wiedziała?

Wezbrała w niej fala mdłości. Edie popatrzyła w okno wagonu, usiłując skierować myśli ku czemuś innemu, lecz umykające fragmenty krajobrazu tylko pogorszyły jej samopoczucie. Pomyślała o Tomie na pustyni, o upale i muchach. Mdłości nasiliły się, pulsując. O Boże, przecież nie może zwymiotować w pociągu. Depcząc innym pasażerom po nogach i mamrocząc przeprosiny, ruszyła w stronę korytarza i toalety.

Na początku maja Tom został zaproszony na kolację do willi w ogrodowej dzielnicy Kairu. Niebo przypominało ciemnoniebieski aksamit; otoczony palmami, akacjami i drzewami palisandrowymi dom przypominał białą perłę. Noc była ciepła i bezwietrzna, a idąc przez ogród, poczuł unoszący się w powietrzu zapach, mocny i uderzający do głowy, niemal przyprawiający o mdłości. Wbiegając po szerokich marmurowych schodach między kolumnami, zaczerpnął tchu z nadzieją, że nie złapie go znowu ból brzucha, i zadzwonił do drzwi.

Służący wprowadził go do bawialni, gdzie został przedstawiony gospodarzom, pułkownikowi Brooke-Smithowi i jego małżonce. Pułkownik Brooke-Smith, smagły i pomarszczony od kairskiego słońca, zamienił z Tomem kilka słów na temat wspólnych znajomych z kwatery głównej. Ubrana w niebieską atłasową suknię pani Brooke-Smith była wyższa niż jej mąż. Na jej wydatnym biuście połyskiwały królewskie brylanty. Miała arystokratyczne rysy i jasnoniebieskie

oczy. Obdarzyła Toma przelotnym, chłodnym uśmiechem i odwróciła się do następnego gościa. Córka państwa domu, Delys, atrakcyjna, lecz sprawiająca wrażenie nadąsanej dziewczyna około dwudziestki, przystrojona w zielonkawo-szary szyfon, przyjrzała się Tomowi bez szczególnego zainteresowania.

Blacklock został polecony pułkownikowi przez doktora Peacocka, dawnego opiekuna naukowego z Cambridge. Obaj panowie poznali się za młodu w Harrow. Tom napisał list do Brooke-Smithów wkrótce po przybyciu do Kairu; otrzymał zdawkową odpowiedź, która zawierała słowa powitania i ogólnikowe zaproszenie na kolację w bliżej nieokreślonej przyszłości. Zastanawiał się, czemu zaproszono go w końcu na konkretny dzień i doszedł do wniosku, że zapewne jakiś gość płci męskiej odwołał swoje przyjście i pani Brooke-Smith musiała znaleźć kogoś na puste miejsce.

W kolacji uczestniczyło czternaście osób, wszyscy mężczyźni byli w mundurach. Toma posadzono między Delys a niejaką panią Fairbairns. Próby wciągnięcia w rozmowę panny Brooke-Smith spotykały się z monosylabami i wzruszeniami ramion, więc Tom zwrócił się ku pani Fairbairns. Była pulchną, sympatyczną kobietą w średnim wieku i działała w Czerwonym Krzyżu.

Kiedy podano pierwsze danie, chłodnik pomidorowy, pani Brooke-Smith, siedząca na jednym końcu stołu, zapytała Toma o jego rodzinę. Wyjaśnił, że jego ojciec, kolega doktora Peacocka, jest profesorem historii, matka zaś lekarką.

– Lekarką? – powtórzyła pani Brooke-Smith i obdarzyła Toma chłodnym, badawczym uśmiechem. – Jakie to niezwykłe. Ma pan na myśli doktora nauk medycznych?

– Tak, proszę pani. Moja mama odbywała praktykę w klinice Elizabeth Garret Anderson w Londynie.

Pani Brooke-Smith przetrawiła tę informację, po czym przemówiła:

– Pana rodzina mieszka w Cambridge, czy nie tak, poruczniku Blacklock? Z pewnością zna pan Gilesa i Hilary Potterów.

– Mama grywa z nimi w brydża.

– Brat Gilesa Pottera, Alexander, służył wraz z moim mężem w Indiach. Czy zna pan majora Pottera?

– Niestety, nie – odparł Tom.

Westchnęła z rozczarowaniem, a pułkownik Brooke-Smith powiedział:

– Nie widziałem poczciwego Lionela Peacocka od lat. Mam nadzieję, że dobrze się trzyma.

– Kiedy go ostatnio widziałem, trzymał się znakomicie – zapewnił go Tom.

Zainteresowanie pani Brooke-Smith przeniosło się na następnego gościa. Sąsiadka Toma, pani Fairbairns, zerknęła na jego talerz.

– Nie ma pan apetytu, mój drogi? Nowo przybyli często źle znoszą tutejszy klimat. Z czasem można się przyzwyczaić. Mnie na przykład pomaga filiżanka miętowej herbaty tuż przed snem.

– Spróbuję.

– A co pan sądzi o Kairze, poruczniku?

Niemożliwe, pomyślał, żeby tak szybko wyodrębnić wrażenia z tego rozległego, pięknego, chaotycznego miasta i ograniczyć je do kilku przymiotników.

– Fascynujący – odparł. – Niezwykły. Bardzo gorący i ruchliwy. Ciągle próbuję się w nim rozeznać.

Rozmawiali o Kairze, dopóki przenikliwy głos pani Brooke-Smith raz jeszcze nie przerwał ich konwersacji.

– Czy gra pan w tenisa, poruczniku Blacklock?

– Niezbyt dobrze, ale gram.

Tym razem w jej chłodnym uśmiechu pojawił się odcień aprobaty.

– Za tydzień albo dwa zamierzam wydać przyjęcie i umieszczę pana na liście.

Później, po kawie i brandy, gdy Tom podziękował gospodyni i zbierał się do wyjścia, Delys Brooke-Smith odciągnęła go na bok.

– Zdał pan egzamin, poruczniku.

– Co pani ma na myśli?

– Tenis. – Znaleźli się sam na sam, nie licząc służby, w obszernym marmurowym holu. Panna Brooke-Smith niedbale wzruszyła ramionami. – Może pan znaleźć jakąś wymówkę, jeśli pan chce. Niech pan powie, że ogłoszono nagły alarm albo coś w tym stylu.

Pod sufitem kręcił się wentylator, a prąd powietrza kołysał liśćmi palm w mosiężnych donicach.

– Nie przeszkadza mi to, jeśli nie znajdziecie panie nikogo lepszego – odrzekł zaskoczony Tom.

– Mama próbuje wybadać, czy nadawałby się pan dla mnie na męża. Nie chce pan się ze mną ożenić, prawda? Nic nie szkodzi, nie musi pan udawać. Ja z całą pewnością nie chcę wyjść za mąż za pana.

Jej jasne, szarozielonkawe oczy miały taki sam kolor jak sukienka. Kąciki pełnych, nieco nadąsanych ust opadały lekko acz uroczo w dół. Lecz jej bierność i aura znużenia odstręczały. Za dwadzieścia lat, pomyślał Tom, będzie kubek w kubek jak jej matka.

– Mama ostatnio jest zdesperowana – podjęła dziewczyna. – Na początku brała pod uwagę tylko ważnych i szanowanych kandydatów. Szczerze mówiąc, zamierzam poślubić pewnego mojego znajomego, Polaka. Mama tego nie pochwala, dlatego będę musiała zaczekać, aż skończę dwadzieścia jeden lat. – Przyjrzała mu się, marszcząc brwi. – Zna pan Coral Portman, prawda?

– Znam – potwierdził.

– Tak myślałam. – Kiwnęła głową. – Opowiadała mi o panu. Dobranoc, poruczniku Blacklock. – Odpłynęła w szyfonowej chmurze.

Tom wrócił pieszo do mieszkania, które dzielił z innym oficerem. O północy w Kairze nadal panował ruch. Taksówki śmigały ulicami z zawrotną prędkością, a na horyzoncie pojawiło się kilku pijanych rekrutów.

Tom przyjechał do Kairu pod koniec ubiegłego roku i przydzielono go do obsługi kwatery głównej, gdzie między innymi porządkował informacje o ruchach oddziałów feldmarszałka Rommla na pustyni. Trwało to godzinami i odczuwał frustrację ponownie uwięziony w biurze. Czasami myślał, że gdyby nie Kair – upalny, pachnący, hipnotyczny Kair – mógłby równie dobrze nadal tkwić w hrabstwie Buckingham. Jego prośby o przeniesienie do „Błękitu”, czyli na pustynię, były odrzucane.

Po upadku Francji północna Afryka pozostała jedynym terytorium, na którym wojska aliantów i państw Osi mogły zmierzyć się w bitwie. Od 1940 roku obie armie uprawiały pełen rozmachu, nierozstrzygnięty taniec na pustyni. Nastąpił szereg zwycięstw, których nie utrwalono, oraz klęsk, które nigdy nie przekształciły się

w prawdziwy pogrom. Walczono o dominację nad szlakiem do Egiptu i Kanałem Sueskim. Nie mogąc korzystać z kanału, transportowce wiozące żołnierzy i sprzęt do Indii i na Daleki Wschód musiały odbywać dłuższą podróż wokół wybrzeży Afryki i Przylądka Dobrej Nadziei. Na Morzu Śródziemnym niemieckie i włoskie okręty atakowały brytyjską flotę wiozącą broń i żywność na Maltę, obleganą od 1940 roku. Wyspa, potrzebna alianckim wojskom działającym w Afryce Północnej, zbierała mocne cięgi. Aż nazbyt często statki, paliwo, sprzęt i ludzie kończyli na dnie morza.

Początkowo alianci odnieśli całą serię zwycięstw nad armią włoską, lecz od lutego 1941 roku, kiedy Rommel przybył do Afryki, to oni właśnie musieli zacząć się wycofywać. Na początku roku oddziały Afrika Korps zajęły zachodnią część Cyrenajki. Znajdowały się obecnie niecałe sto kilometrów od Tobruku, który wojska alianckie odebrały Włochom niemal półtora roku wcześniej. Przez kilka miesięcy panował przejściowy zastój w działaniach wojennych, kiedy obie strony starały się przegrupować i zaopatrzyć swoje oddziały na ich pozycjach. Wojna na pustyni, jak wpajali Tomowi jego przełożeni, zależała przede wszystkim od aprowizacji. Duże odległości i nieprzyjazne warunki terenowe oznaczały, że strona, która zdoła szybciej i skuteczniej dostarczyć swoim żołnierzom paliwo, sprzęt i broń, zyska przewagę. Teraz w kwaterze głównej zapanowała nerwowa atmosfera. Wszyscy wiedzieli, że spokój nie potrwa długo.

Każdej klęsce aliantów towarzyszyła pogłębiająca się utrata pewności siebie. Żołnierze potrzebowali wiary w zwycięstwo. Z nadejściem kolejnej bitwy – a mogła się rozpętać już wkrótce – chęć zdobycia decydującej przewagi musiała jeszcze przybrać na sile. Należało koniecznie pobudzić do dalszych działań Związek Sowiecki, który rozpaczliwie starał się nie dopuścić bliżej wojsk Osi. Gdyby Moskwa i Leningrad padły, a nadciągająca armia niemiecka zdobyła Stalingrad, Hitler mógłby zawładnąć naftowymi polami Kaukazu. Największą katastrofą byłaby sytuacja, gdyby Kair i Kanał Sueski znalazły się w olbrzymich kleszczach po ewentualnym zwycięstwie wojsk Osi nad Rosjanami na ich terytorium, co utorowałoby przeciwnikowi drogę na Kaukaz, jednocześnie zaś oddziały Afrika Korps generała Rommla wydostałyby się z Libii i wkroczyły do

Egiptu. Wówczas mogłyby rozgromić wojska brytyjskie w Kairze i na Bliskim Wschodzie.

Należało wykorzystać front północnoafrykański, by odwrócić uwagę Niemiec i zaangażować w walkę siły zbrojne Osi, które inaczej brałyby udział w zmaganiach na froncie rosyjskim. O wiele za często w trakcie wojny państwa Osi zdobywały przewagę. Zwycięstwo na pustyni mogło to zmienić.

Pustynia oznaczała również wojnę ze skwarem, brakiem wody i muchami. Tom był chory mniej więcej od dnia przyjazdu do Kairu, czyli od końca ubiegłego roku. Wcześniej prawie nigdy nie chorował i uważał się za dość zaprawionego w bojach podróżnika, gdy wyruszał na pokładzie okrętu na Bliski Wschód, dlatego odkrycie, że pobyt w Egipcie mu nie służy, wywołało w nim rozczarowanie co do siebie samego. Zaledwie przybył do stolicy, zaczęła mu dokuczać ciężka biegunka i od tego czasu gorączkował i odczuwał dolegliwości żołądkowe. Dlatego wszystko, co powinno być przyjemne, nie sprawiało mu radości. Nawet pierwszemu spojrzeniu na piramidy, wyłaniające się w księżycowej poświacie z piasków pustyni, towarzyszyły pamiętne skurcze żołądka.

Poznał Coral Portman w Gezira, najbardziej ekskluzywnym klubie sportowym w Kairze. Popularny wśród oficerów klub znajdował się na jednej z wysp na Nilu, otoczony ogrodami. Wprowadził tam Toma ktoś z kwatery głównej. „To jest panna Portman – powiedział znajomy, wskazując mu ładną dziewczynę o brązowych lokach i orzechowych oczach. – Może postawisz jej drinka?”. Zrobił to. W ciągu następnych tygodni zabrał pannę Portman do kina i na tańce. Rozluźnił znajomość, gdy zauważył, że dziewczyna się w nim podkochuje. Płakała, a jej przyjaciele – Coral miała wielu przyjaciół – traktowali go odtąd ozięble.

Myślał, że randki z Coral Portman pomogą mu zapomnieć o Edie. W tym samym celu wdał się w krótki romans ze starszą, doświadczoną Francuzką z krajów Lewantu, która żyła w separacji z mężem i wydawała kameralne przyjęcia dla oficerów w mieszkaniu w Quba Gardens. Romans nie trwał długo. „Rzecz w tym, *chérie* – powiedziała mu pewnego wieczoru – że ty w ogóle nie skupiasz się na mnie”. Obrzuciła go chłodnym, taksującym spojrzeniem

i odrzuciła w tył długie, kruczoczarne włosy. „A gdy jesteśmy razem w łóżku, wydaje mi się to nieco obraźliwe”.

Tom przeciął ulicę i wszedł do budynku, w którym mieszkał. Wbiegając na górę, przypomniał sobie, co powiedziała Delys Brooke-Smith. „Mama ostatnio jest zdesperowana”. Niezły tupet, pomyślał Tom.

21 czerwca wojska feldmarszałka Rommla zajęły twierdzę w Tobruku i wzięły do niewoli tysiące alianckich żołnierzy. Niemieckie i włoskie oddziały przekroczyły granicę egipską i znalazły się o sto kilometrów od Aleksandrii. Armia brytyjska w całkowitym odwrocie zatrzymała się ostatecznie między depresją Al-Kattara a wybrzeżem, w pobliżu portu Al-Alamajn. W Kairze Europejczycy tłoczyli się na promach i w pociągach, uciekając z miasta do bezpieczniejszej Palestyny albo Libanu. W kwaterze głównej i ambasadzie brytyjskiej palono tajne dokumenty. Chmury popiołów spowijały szarym całunem biura, meczety i ogrody willi bogaczy, przez co ów dzień zyskał miano Środy Popielcowej. Mussolini zorganizował sobie przylot do Afryki, zabierając ulubionego białego ogiera, by móc przejechać na nim na czele parady dla uczczenia zwycięstwa państw Osi.

Mimo to alianci otrząsnęli się jakoś po klęsce i odpowiedzieli na atak. Artyleryjski ogień zaporowy Brytyjczyków zatrzymał pochód Afrika Korps. Rommel utracił linie zaopatrzenia i wsparcie sił powietrznych. Ci, którzy opuścili miasto, zaczęli z czasem powracać, dźwigając zakurzone, zniszczone walizki, niektórzy być może nieco zawstydzeni. Mussolini wrócił do Włoch, a na początku sierpnia Churchill odwiedził Kair, by ocenić sytuację. Przeprowadzono gruntowne zmiany w najwyższym dowództwie: generał broni, sir Harold Alexander, zajął miejsce generała Claude’a Auchinlecka na czele oddziałów bliskowschodnich, a generał broni Bernard Montgomery został mianowany dowódcą 8. Armii. Na początku września 8. Armia powstrzymała wojska Rommla w Alam el Halfa. Po katastrofie, jaką była utrata Tobruku, pojawił się wreszcie – pod silnym, stanowczym przywództwem Montgomery’ego – cień optymizmu. Rommel znajdował się jednak nadal o krok od

Aleksandrii: Alam el Halfa to było zaledwie preludium znacznie poważniejszego starcia, które miało nadejść.

W trakcie owych przetasowań, ku radości Toma, uwzględniono jego prośbę o przeniesienie. Nareszcie brał udział w operacji „Błękit". Przydzielony do dowództwa brygady jako oficer wywiadu, przekonał się, że pustynia nie jest – jak sobie wyobrażał – nieskończonym ciągiem falujących, rudozłotych, piaszczystych wydm, lecz składa się ze żwiru, kamieni i skał upstrzonych tu i ówdzie piaszczystym spłachetkiem z rosnącymi na nim krzewami o twardych gałązkach i wąskich listkach. Czasami bywała płaska, a czasami wznosiły się na niej wzgórza lub opadała, tworząc słone jeziora. Wiatr rzeźbił z piaskowca kolumny o niezwykłych kształtach. Migotliwe miraże, podobnie jak rozległa, otwarta przestrzeń, oddziaływały na umysł i utrudniały ocenę odległości. W dzień blady odcień ziemi kontrastował z jaskrawoniebieskim niebem. Gdy sierpień przeszedł we wrzesień, Tom nauczył się, jak przetrwać palący skwar dnia i dotkliwy chłód nocy. Gorsze jednak od różnicy temperatur były muchy. Roiły się wszędzie, czy człowiek spał, ubierał się, mył czy pracował. Nie dało się zjeść posiłku, by nie połknąć przy tym garści much. Niektórzy w skomplikowany sposób owijali się w śpiwory albo kurtki przed jedzeniem, lecz muchy zawsze jakoś się przedostawały do środka.

Po zwycięstwie w Alam el Halfa wysłano międzynarodowe oddziały 8. Armii – Hindusów, Australijczyków, Nowozelandczyków i Południowoafrykańczyków, a także Brytyjczyków – na odpoczynek do północnej Afryki, nad morze. W samym Al-Alamajn znajdował się węzeł kolejowy, trzy kilometry w głąb lądu od Morza Śródziemnego. Z nadbrzeżnej drogi widać było rozległe tereny otwartej pustyni. Sześćdziesiąt kilometrów na południe otwierała się depresja Al-Kattara, obejmująca ponad dziesięć tysięcy kilometrów kwadratowych słonych bagien i moczarów, niemal nie do przebycia dla czołgów i wozów opancerzonych. Na zachodzie znajdowały się pozycje żołnierzy państw Osi oraz „diabelskie ogrody" Rommla, rozległe pola min ukrytych pod piaskiem.

21 października wstrzymano wszelkie przepustki do Kairu i Aleksandrii. Wojska alianckie zajęły pozycje. Część ludzi pozostała

przez cały dzień w ukryciu, w wąskich liniach okopów. Wieczorem, pod osłoną ciemności, wygrzebali się na górę, żeby coś zjeść. W rozmowie następowały przerwy; niektórzy pisali listy, inni czytali albo palili papierosy. Pustynia stała się cichym, spokojnym morzem, skąpanym w srebrzystej księżycowej poświacie.

Tom uświadomił sobie, że upłynął już rok, odkąd rozstał się z Edie. W ciągu tego roku jego uczucia przeszły od gniewu i smutku do żalu, a potem pogodził się z sytuacją. Dostrzegł w swoim charakterze skazę, która doprowadziła do utraty Edie, fatalną w skutkach opieszałość, która nie pozwalała rozpoznać, co jest naprawdę ważne. Nie zaofiarował jej tego, czego pragnęła najbardziej – bezpieczeństwa. Dostał nauczkę, ale była to gorzka lekcja.

Skrajne warunki życia na pustyni, a także sytuacja, gdy wszyscy musieli skupić się na podstawach sztuki przetrwania, sprawiły, że nieco wyraźniej ujrzał ich związek. Dostrzegł, że nie zawsze pasowali do siebie. Nie te same rzeczy były dla nich ważne, pojawił się między nimi rozdźwięk, który prowokował kłótnie i różnice zdań. Pożądanie i wzajemna sympatia w końcu nie wystarczyły. Teraz nieco rzadziej o niej myślał. Całą uwagę poświęcał nadciągającemu starciu.

W pewnym sensie nawet go wyczekiwał. Jakaś jego cząstka pragnęła nowych wyzwań, oderwania się od obecnego życia i zmierzenia z czymś niezwykłym i groźnym. Oczywiście, odczuwał także niepokój. Chwilami zastanawiał się, czy ma dość odwagi, wytrwałości, siły, tupetu, by przetrwać nadchodzące dni i tygodnie. A analityczna część jego umysłu była po prostu zaciekawiona. Nazwy miejscowości, w których rozegrały się bitwy i których wyuczył się na pamięć w szkole, rozbrzmiewały w jego głowie niczym werbel: Azicourt. Malplaquet, Waterloo, Passchendaele. Czy ta bitwa sprawi, że Al-Alamajn do nich dołączy?

Później tego samego wieczoru pustynną ciszę przerwało dudnienie zbliżających się samolotów, bombowców skierowanych ku pozycjom nieprzyjaciela. Potem na niebie pojawiły się punkciki światła. Reflektory szperacze, przecinające się w ciemności, utworzyły na chwilę Krzyż Świętego Andrzeja.

A później, w błysku ognia, zaczęło się bombardowanie. Ziemia się zatrzęsła, a głowę Toma przeszył rozdzierający, przenikliwy,

nieznośny dźwięk. Białe i pomarańczowe eksplozje rozświetliły niebo, gdy działa okrętowe wspomogły lądowy ogień artyleryjski.

Rozpoczęła się bitwa.

15 listopada bicie kościelnych dzwonów, rozlegające się echem na pustych polach, dotarło do Edie, gdy rozwieszała pranie. Wiatr przynosił odległe dźwięki kurantów. Brunatne liście wirowały chmurą nad nieprzyciętym trawnikiem. Poprzedniej nocy padał deszcz i w głębokich koleinach między domem a drogą stały kałuże.

Edie weszła do środka. Zatrzymała się u Nicky, która wynajmowała domek w lasach Bere, na północ od Portsmouth. Nicky stała przy radiu w salonie i kręciła gałkami, lecz słychać było jedynie szum. Domek otaczały wysokie drzewa i radio źle odbierało. Podniosła głowę, gdy Edie weszła do pokoju.

– Słyszałaś? Słyszałaś dzwony?

Edie spojrzała na dzieci, które bawiły się w szkołę. Maluchy siedziały w rzędzie z lalkami na dywaniku; Cherry machała do nich palcem.

– Chyba nie sądzisz, że to inwazja? Chyba nie teraz, nie po tak długim czasie? – Edie zniżyła głos.

– Pojadę na rowerze do wioski, to się dowiem. Dasz sobie z nimi radę przez pół godziny, kochanie?

– Oczywiście.

Nicky wyszła z domu. Edie zajrzała do Henry'ego, który spał w wózku na korytarzu. Nadal nie mogła uwierzyć, że ma syna. Henry urodził się siódmego października i gdy powiedziano jej w szpitalu, że to chłopiec, pomyślała, że musieli się pomylić. Protestowała, dość słabo, ponieważ poród okazał się długi i trudny, a pielęgniarka oznajmiła żwawo: „Miły chłopaczek, pani Dangerfield, naprawdę śliczny maluch". Potem dali jej jakąś pigułkę, po której usnęła. Nazajutrz, gdy poczuła się nieco lepiej, rozwinęła dziecko z szala, koszulki, kamizelki i pieluch, i stwierdziła bez najmniejszych wątpliwości, że to chłopiec.

Opuściła szpital po tygodniu, wciąż jeszcze osłabiona, a Charles odwiózł ją z dzieckiem do domku Nicky, która opiekowała się

Rosalind, kiedy Edie przebywała w klinice. Domek znajdował się na odludziu, był niewygodny i panowały w nim prymitywne warunki – pompa dieslowska, która dostarczała wodę z podziemnego źródła, zamarzała w zimne poranki, a najbliższy wiejski sklepik był oddalony o trzy kilometry. Niekiedy przez kilka dni nie widywały nikogo prócz mleczarza i listonosza.

Edie bardzo się to podobało. Ona i Nicky żyły własnym rytmem, podyktowanym potrzebami dzieci. Odkryły na nowo dawną bliską więź, która stała się jeszcze bliższa, gdy podzieliły przyjemności i lęki związane z wychowywaniem maluchów. Edie nie przeszkadzało, że radio nie działa zbyt dobrze albo że nie co dzień mogły kupować gazetę, ponieważ przy piątce małych dzieci często nie wystarczało czasu, by skoczyć do wioski. Odkryła, jakie to przyjemne odizolować się od wojny. Mogła się skupić na rozkosznym procesie poznawania nowo narodzonego synka. Spędzała długie chwile, napawając się jego urodą. Miał niebieskie oczy jak ona i wysokie czoło, jak Charles. W ciągu ostatnich kilku dni zaczął wychwytywać jej spojrzenie i obdarzał ją rozmazanymi uśmiechami.

Odseparowana w małym domku, zdała sobie sprawę, do jakiego stopnia nieustanne wieści z frontu, przeważnie złe, szarpały jej nerwy. Ostatnio stwierdziła, że słuchanie wiadomości przez radio i czytanie gazet jeszcze bardziej ją drażni. Między innymi dlatego, że alianci zaczęli wreszcie zwyciężać. Na północnoafrykańskiej pustyni Montgomery zmusił Rommla do odwrotu, a następnie, tydzień temu, wojska alianckie – głównie amerykańskie – wylądowały w Algierze, Oranie i Casablance. Bataliony państw Osi uwięzły między dwiema armiami aliantów. Jednocześnie w Związku Sowieckim oblężone miasto Stalingrad broniło się zaciekle, każąc siłom Werhmachtu znosić kolejną przeraźliwie mroźną rosyjską zimę.

Zyskawszy więc nadzieję, iż los się odwróci, Edie bała się otworzyć gazetę. Gdyby po ostatnich zwycięstwach znowu nastąpiły niepowodzenia, jak to się wcześniej często zdarzało, i gdyby wątła radość, która się w niej zrodziła, została zdławiona, Edie nie wiedziała, jak zdołałaby to znieść.

Ale jeśli nastąpiła inwazja… W myślach Edie pojawiła się przelotna, straszna wizja jej samej i Nicky broniących domu przed wojskiem

nieprzyjaciela, być może za pomocą motyk i grabi. Zaledwie dostrzegła rower Nicky na wzniesieniu, wybiegła siostrze na spotkanie.

Inwazja jednak nie nastąpiła: dzwony zaczęły bić, by uczcić zwycięstwo w bitwie pod Al-Alamajn. Zwycięstwo. Edie i Nicky uścisnęły się mocno, a potem weszły do domku i nalały sobie po drinku.

Rozdział 12

Miranda była w spiżarni, sprawdzając, jak wyglądają szynki zwisające z haków przy suficie, kiedy nadszedł kamerdyner z informacją, że przyjechali goście. „Urzędowi goście", wyjaśnił cicho.

– Dziękuję, Georg – odparła. – Przekaż im, że zaraz przyjdę.

Oddalił się korytarzem, powłócząc nogami.

Gości było dwóch, obaj z gestapo. Jeden, niski i gruby, paplał i uśmiechał się bez przerwy; drugi, wyższy, szczuplejszy i młodszy, nie odzywał się wcale. Zabłądzili z powodu śnieżycy, no i te wiejskie drogi wszystkie wyglądają tak samo. Czy hrabina mogłaby – ten gruby wyraził nadzieję, iż nie sprawi jej to zbyt wielkiego kłopotu – udzielić im wskazówek?

Odparła, że chętnie to zrobi. Czy jednak najpierw nie zechcieliby przyjąć lekkiego poczęstunku?

Grubas zgodził się z zachwytem. Oznajmił, rozglądając się, że to bardzo piękny dom, na co Miranda przytaknęła.

Czy mieszka tu sama? Nie, jej teściowa również mieszka w Sommerfeld, lecz ostatnio, niestety, niedomaga. A małżonek? Hrabia von Kahlberg, wyjaśniła, walczy na froncie wschodnim.

Dały się słyszeć pomruki aprobaty. Powrócił Georg, niosąc tacę, i gdy przybysze sięgnęli po kanapki i wino, Miranda otarła kropelki potu znad górnej wargi.

Jedząc, wypytywali ją o Sommerfeld – o powierzchnię domu, liczbę dzierżawców rolnych, inne nieruchomości, wysokość plonów. Gruby zakaszlał cicho i zauważył, że przemierzając podjazd, dostrzegli mężczyznę na koniu. Może to brat albo kuzyn? Miranda odpowiedziała, że nie ma braci, a kuzyni jej męża służą w armii. Przypuszczała, że widzieli herr Bernarda, którego zwolniono ze służby, aby ktoś mógł zająć się posiadłością. Był jedynym sprawnym

fizycznie mężczyzną w Sommerfeld – panowie oficerowie z pewnością rozumieją, iż są takie zajęcia, których kobieta (tu uśmiechnęła się wdzięcznie) nie zdoła sama wykonać.

Grubszy zapewnił, że w zupełności rozumie i zapisał coś w notatniku, dodając, że w tych trudnych czasach należy się upewnić…

Miranda zmieniła temat rozmowy, poczęstowała ich jeszcze winem i opowiedziała kilka zabawnych anegdotek – jak to jej kapelusza z piórami omal nie uznano przez pomyłkę za ptaka podczas polowania na kaczki i tak dalej, a grubas wybuchał śmiechem. Gdy skończyli posiłek, wyjaśniła, jak dojechać do Rastenburga, on zaś wstał, ukłonił się i podziękował. Stojąc już w drzwiach, ten szczuplejszy przemówił po raz pierwszy.

– Pani akcent, hrabino… Mówi pani doskonale po niemiecku, lecz chyba nie pochodzi pani z Prus Wschodnich?

– W dzieciństwie wiele podróżowałam. Mój ojciec prowadził rozliczne interesy. Mieszkaliśmy w najrozmaitszych miejscach.

– Rozumiem.

– Bardzo się ucieszyłam, że po ślubie osiądę gdzieś na stałe. I to w tak pięknej krainie Niemiec.

Zastanowiła się, czy nie przesadziła, ale grubas uśmiechnął się promiennie.

– Tak, hrabino, tak. Można pani naprawdę pozazdrościć!

Pożegnali się i Georg odprowadził ich do drzwi. Miranda, gdy już została sama, przycisnęła dłonie do ust. Bolała ją głowa; nie lubiła pić wina w południe, czuła się jednak zobowiązana wychylić kieliszek w towarzystwie gości. Gdy usłyszała trzaśnięcie frontowych drzwi, weszła do jednego z frontowych pokoi, gdzie ukryła się w cieniu zasłony, obserwując samochód, dopóki nie zawrócił z dziedzińca w długą, obsadzoną drzewami aleję nieco dalej od pałacu. Choć auto zniknęło, dom wydawał się odmieniony, jakby obecność tych dwóch mężczyzn pozostawiła po sobie jakiś osad – może trochę gęściejszy mrok w kątach, chłodniejszy prąd w powietrzu.

Pospieszyła na górę do pokoju starej hrabiny. Na jej widok pokojówka zerwała się z miejsca. Miranda zapytała o zdrowie teściowej, na co pokojówka odszepnęła, iż pani hrabina czuje się

dzisiaj nieco lepiej i zjadła coś w porze obiadu. Miranda odesłała dziewczynę do kuchni na posiłek, a sama przysiadła przy łóżku chorej, ujmując w dłonie jej chudą, poznaczoną niebieskimi żyłkami rękę. Stara dama otworzyła oczy.

– Może mama zje teraz trochę zupy?

– Spróbuję.

Miranda pomogła jej usiąść. Trzy tygodnie wcześniej teściowa zapadła na nieżyt dróg oddechowych. Doktor Kornblum na początku obawiał się o jej życie, lecz zaczynała powoli powracać do zdrowia.

Zjadła trochę zupy i odłożyła łyżkę.

– Są może jakieś wieści?

– O Friedrichu? Niestety nie.

– Wydawało mi się, że słyszę auto.

– To nikt ważny. Jacyś ludzie, którzy zabłądzili w okolicy.

Hrabina skinęła głową, po czym oznajmiła:

– Muszę napisać do Susanne.

– Ja napiszę, jeśli mama zechce.

Miranda przyniosła pióro i papier. Teściowa podyktowała jej list do bratanicy w Szwajcarii. Później Miranda złożyła podpisany list i umieściła w kopercie. Hrabina uśmiechnęła się do synowej.

– Dziękuję ci, moja droga. Dobra z ciebie dziewczyna.

Miranda przystanęła i ucałowała półprzejrzysty, pergaminowy policzek staruszki. Wychodząc z pokoju, odtwarzała w myślach przedpołudniowe spotkanie, przypominała sobie pytania tamtych dwóch i swoje odpowiedzi. Wydawało jej się, że wszystko poszło dobrze. Zastanawiała się, czy funkcjonariusze gestapo naprawdę zabłądzili, czy też celowo przyjechali do Sommerfeld. Nie potrafiła tego stwierdzić. Zeszła na dół do gabinetu herr Bernarda.

– Franz, muszę z panem pomówić.

Zostali już wcześniej sojusznikami, ona i Franz Bernard. Herr Bernard był ranny podczas tamtej wojny i chodził kulejąc. Niegdyś był guwernerem Friedricha, potem zaś pozostał w Sommerfeld na stałe.

Gdy Miranda weszła do pokoju, wstał z krzesła i zamknął za nią drzwi.

– Georg przekazał mi, że mieliśmy gości – powiedział.

– Niestety, pytali o pana. Musiałam wyjaśnić, iż administruje pan posiadłością. Nie chciałam, żeby przeszukiwali dom. Mogliby zarekwirować nam żywność albo nasze ostatnie konie. I to by zdenerwowało hrabinę.

– Jak się czuje?

– Chyba trochę lepiej.

– Miło mi to słyszeć. – Franz wyjrzał przez okno. – Może teraz już myślą o czymś innym – mruknął.

– Jak pańska podróż do Rastenburga?

Franz zdjął okulary i przetarł oczy.

– Mówią, że utraciliśmy Stalingrad. Że generał Paulus się poddał.

Miranda słyszała wcześniej takie pogłoski, lecz mimo to odczuła wstrząs. Stalingrad był oblegany od pięciu miesięcy. Doszło tam niemal do walki wręcz. Każdy dom, zrujnowana fabryka czy zniszczony sklep stawały się polem bitwy.

– Sądzi pan, że to prawda? – zapytała.

– Trudno mieć pewność, hrabino. Ludzie boją się powtarzać złe wieści. Obawiam się jednak, że to prawda. W Rastenburgu jest dużo rannych żołnierzy, którzy oczywiście mówią różne rzeczy. Szpitale są przepełnione, a z frontu nieustannie przyjeżdżają pociągi z następnymi rannymi. Zamknięto szkołę, żeby urządzić w budynku prowizoryczny szpital. – Przecierając szkła okularów, Franz dodał spokojnym tonem: – Podobno 6. Armia razem z generałem Paulusem zginęła lub dostała się do niewoli i wycofujemy się na całym froncie wschodnim.

Miranda popatrzyła na niego z niedowierzaniem. Pomyślała o Friedrichu i Klausie. Z czterech kuzynów tylko oni dwaj nadal walczyli w Rosji. Max nie żył, a Oskar, brat Katrin, jesienią został ciężko ranny. Amputowano mu prawą nogę i teraz powoli wracał do sił w rodzinnym domu w Königsbergu.

– Co to oznacza dla nas? – zapytała.

– Jesteśmy bezpieczni – odparł Bernard. – Na razie.

Pomyślała o tym „na razie”. Potem rozmawiali o innych sprawach, o posiadłości. O rachunkach do zapłacenia i nieustannych wysiłkach, by znaleźć środki na naprawę zniszczonych maszyn i budynków oraz pracowników niezbędnych do utrzymania w należytym stanie tak

wielkiego majątku. Miranda podpisała kilkanaście listów przygotowanych przez Franza. Kiedy skończyła i wstała, by wyjść z pokoju, herr Bernard odezwał się zmęczonym głosem:

– Teraz biją nas na dwóch frontach. Ciekawe, jak to się skończy.

– Najlepiej o tym nie myśleć, Franz – powiedziała. – Staram się przeżyć każdy dzień i nie martwić się zbytnio o przyszłość.

– Bardzo mądrze, pani hrabino. – Posłał jej krzywy uśmiech.

– Chcę wrócić do Paryża – powiedziała.

Od śmierci dziecka upłynęło pięć miesięcy. Friedrichowi udało się wreszcie uzyskać przepustkę i przyjechał do Sommerfeld. Miranda zaczęła się wynurzać z czarnej chmury żalu i przygnębienia. Szybko udało jej się odzyskać siły po porodzie, ale potem musiała uczyć się życia na nowo, zmuszać się do jedzenia, spania, wychodzenia z domu i rozmawiania z ludźmi – to był powolny proces. Dostrzegła wyraźnie swoje położenie. Sommerfeld nie było dla niej odpowiednim miejscem i nigdy nie miało być. Odkąd poślubiła Friedricha, żyła w kłamstwie.

Nie kochała go tak, jak on ją. Miranda, która udawała hrabinę von Kahlberg, była postacią nieprawdziwą. W najmroczniejszych chwilach zastanawiała się, czy to nie dlatego umarło jej dziecko, czy Bóg jej nie ukarał za poślubienie mężczyzny, którego nie kochała, jednak została jego żoną, choć kochała innego.

Kłamała przez długi czas, lecz utrata dziecka sprawiła, że poczuła się pozbawiona wszystkiego, rozdarta, niezdolna do dalszego udawania, nawet przed sobą. Mówiła teraz prawdę, nie retuszowała jej i nie próbowała ukazać się w najlepszym świetle. Jej wcześniejsze nadzieje umarły wraz z dzieckiem. Dawne marzenia o zostaniu aktorką wydawały się teraz śmieszne. Utraciła Oliviera na zawsze.

Friedrich również wydawał się zmieniony. Jego twarz była poznaczona śladami odmrożeń z okresu minionej zimy i stracił na wadze. Przez kilka pierwszych dni po powrocie do Sommerfeld był wyczerpany i bardzo dużo spał. Później, gdy próbował z nią porozmawiać, za każdym razem ucinała rozmowę. Nie chciała do tego wracać; dziecko odeszło, więc nie było o czym mówić. W nocy,

w łóżku, spali, zachowując bezpieczną odległość. Jeśli nalegał, pozwalała mu się objąć na chwilę, lecz później się odsuwała. Kiedy próbował ją pocałować, przyjmowała to obojętnie. Choć ostatnio budziła się wcześnie rano, często po przebudzeniu dostrzegała, że jego strona jest pusta. Zastanawiała się, czy mąż jest na nią zły, czy wini ją za to, że pośliznęła się na lodzie, że nie zatroszczyła się lepiej o jego syna.

Dlatego powiedziała: „Chcę wrócić do Paryża". Siedzieli w salonie, słuchając muzyki Griega.

Friedrich spojrzał na nią zdumiony.

– To niemożliwe. Jeżeli pragniesz odpocząć, poproszę Franza, żeby zamówił dla ciebie pokój w którymś hotelu na wybrzeżu Bałtyku.

– Nie chodzi o wypoczynek. Chcę znowu tam zamieszkać.

– Nie rozumiem. – Zmarszczył brwi. – Co ty mówisz?

– Nie mogę tu zostać, Friedrichu.

Od dawna prześladowała ją ta świadomość. Często w ostatnich miesiącach przychodziło jej na myśl, że powinna była posłuchać Oliviera i pojechać do Anglii, do Kay, tak jak radził. Znalazła się tutaj, w Prusach Wschodnich, przez przypadek i własny nietrafny wybór. Czuła się zagubiona; przypomniała sobie, że czasami bywało tak w dzieciństwie, gdy po przyjeździe do nowego miasta nasłuchiwała nieznajomych dźwięków dobiegających z ulic i wdychała nieznane jej dotąd zapachy napływające przez otwarte okno: róż, ogniska, rynsztoków. W nocy, kiedy nie mogła usnąć, pojawiały się w jej pamięci wszystkie miasta, w których mieszkała. Kamienica w Paryżu, apartament w Rzymie, londyński dom przy Charles Street – przypuszczała, że nadal tam stoi, jeśli przetrwał bombardowania. Uświadomiła sobie jednak, że nie pamięta wyraźnie, jak wyglądały tamte mieszkania. Pamiętała szczegóły – żółte zasłony, perski dywan – lecz nie łączyły się one w całość. Potrzebowała czegoś swojskiego. Ze wszystkich miast zawsze najbardziej lubiła Paryż. Wyobrażała sobie, jak przyjeżdża do apartamentu ojca, puka do drzwi, lecz natychmiast odsuwała od siebie tę myśl. Nie, to byłoby niemądre z jej strony; nie potrafiłaby znowu żyć pod jego całkowitą kontrolą. Musiała wymyślić coś innego.

– Chcę wyjechać z Sommerfeld – powiedziała. – Czuję się tu obco.

Usłyszała jego westchnienie. Odstawił na stolik kieliszek brandy.

– Mirando, rozumiem, że poniosłaś wielką stratę. I bardzo żałuję, iż nie mogłem być przy tobie. Nie będę ci mówił, że to przebolejesz, nie powiedziałbym czegoś równie zdawkowego lub nieprawdziwego. Ale nabierzesz sił i za pewien czas moglibyśmy znowu spróbować. Nie istnieje powód, dla którego następne dziecko nie miałoby żyć. Rozmawiałem z doktorem Kornblumem i powiedział mi, że to, co się stało, było po prostu pechowym zbiegiem okoliczności. To tragedia, wiem, ale kiedyś zostawimy to za sobą.

– Nie chcę drugiego dziecka – oznajmiła.

– Może nie teraz, lecz później, kiedy już zupełnie wyzdrowiejesz.

– Nie, nie sądzę.

Siedział na sofie; Miranda zajęła fotel przy kominku. Friedrich wyjął papierosa ze srebrnej papierośnicy leżącej na stoliku i pstryknął zapalniczką.

– Mówisz tak, ponieważ nadal rozpaczasz.

– Nie. Proszę cię, żebyś pozwolił mi odejść.

– Nie.

Tak po prostu: „nie”.

– Proszę, Friedrichu.

Zaciągnął się dymem.

– Gdy tylko wojna dobiegnie końca, zaczniemy wszystko od nowa.

– Naprawdę w to wierzysz?

Wzruszył ramionami.

– Nie ma znaczenia, w co wierzę. Równie dobrze możemy zakładać, że nadejdzie jakaś przyszłość, bo gdybyśmy rozważali coś przeciwnego, czy warto byłoby cokolwiek robić?

– Mówiłam o naszym małżeństwie, nie o wojnie. Chyba widzisz, podobnie jak ja, że to była pomyłka.

– Pomyłka? – zaśmiał się. – Tak jak stłuczenie szklanki albo wynajęcie pokoju w kiepskim hotelu? Raczej nie. Uważam, że obydwoje dobrze wiedzieliśmy, co robimy. – Jego oczy nabrały surowego wyrazu i zatrzymały się na niej.

– Poślubiłam cię z niewłaściwych powodów – odparła spokojnie. – Teraz to rozumiem. Wówczas wydawały mi się słuszne, ale teraz już wiem, że się myliłam.

– Nigdy nie pomyślałem, że wyszłaś za mnie z dozgonnej miłości, Mirando. – Jego głos zabrzmiał cynicznie. – Nigdy nie żywiłem podobnych złudzeń.

– Więc pozwól mi odejść.

– Nie.

– Przecież cię zdradziłam, Friedrichu.

Jeśli jej słowa sprawiły mu ból, nie dał tego po sobie poznać, odwrócił tylko głowę i strząsnął popiół z papierosa.

– Mówisz o tej wiośnie sprzed wojny – upewnił się. – Mówisz o Paryżu?

– Tak.

– Kim on był?

– Kimś, kogo znałam, zanim spotkałam ciebie. Kiedy za ciebie wychodziłam, nie przypuszczałam, że go jeszcze kiedyś zobaczę. A tamtej wiosny to się stało.

– Kochałaś go?

– Tak. – Popatrzyła na swoje dłonie. – Przykro mi. Nie proszę o wybaczenie, wiem, że nie zasłużyłam na nie. Proszę, abyś pozwolił mi odejść.

Uśmiechnął się lekko.

– Wiedziałem, co robię, Mirando, kiedy się z tobą żeniłem. Zdecydowałem się na to całkowicie świadomie. Jeśli chcesz wiedzieć, zawarłem układ z samym sobą. Postanowiłem zadowolić się tym, co niektórzy mogliby uznać za namiastkę, ponieważ wydawało mi się o wiele lepsze niż nic. Oczywiście, miałem nadzieję, że z czasem mnie pokochasz. Jeśli to jednak niemożliwe, trudno.

– Ale ja nie mogę tak dalej żyć. – Usłyszała nutę desperacji w swoim głosie.

– Oczywiście, że możesz. – Jego ton był bezlitosny. – Bardzo wielu ludzi znosi znacznie gorszy los niż ty. Nie cierpisz niedostatku i cieszysz się swobodą. To znacznie więcej, niż przypada w udziale przeważającej liczbie mieszkańców Europy.

– Ale żyję w zakłamaniu!

Zaśmiał się tylko.

– Jak my wszyscy.

Jego śmiech ją rozdrażnił.

– Chcę rozwodu, Friedrichu.

– To wykluczone. W mojej rodzinie nigdy nie zdarzył się rozwód.

– Więc wolisz trwać w małżeństwie z cudzołożnicą?

W jego oczach błysnął gniew.

– Jak się wydaje, mam niewielki wybór – powiedział. – Nie zniosę jednak rozwodu w rodzinie. Nie poruszaj więcej tego tematu. I weź pod uwagę, Mirando, że, jak sama podkreślasz, nie masz dokąd pójść. Mówisz o Paryżu, ale czy naprawdę wyobrażasz sobie, że jest taki, jakim go zapamiętałaś? Kraje okupowane nie są, by tak rzec, przyjemnymi miejscami do życia. Niewielu Francuzów wita nas z radością. Grupy ruchu oporu stają się coraz bardziej aktywne i jedyny sposób radzenia sobie z nimi to terror. Czy wiesz, co mam na myśli? Otóż jeśli, powiedzmy, jeden niemiecki żołnierz albo oficer gestapo zostanie zastrzelony w paryskim metrze, wyprowadza się i zabija w odwecie dziesięciu zakładników. A nawet stu. W taki sposób, widzisz, pokazuje się ludziom, kto tu rządzi.

– Rozumiem, ale…

– Nie rozumiesz – przerwał jej twardym, gniewnym głosem. – Nikt, kto nie przeżył terroru, nie rozumie, jakich wyborów jest się zmuszonym dokonywać i jak to niszczy duszę. Powiedzieć ci prawdę, Mirando, o naszej małej próbie sił w Rosji? Powiedzieć ci prawdę, czy wolisz słyszeć wyłącznie tę wersję, którą zazwyczaj przedstawiamy rodzinie i przyjaciołom?

Przypomniała sobie, co jej opowiadali Anna i Klaus. O niekończącej się zimie, walkach z partyzantami, okropnościach. Spojrzała na męża.

– Powiedz mi prawdę, Friedrichu.

– Na pewno tego chcesz? Dobrze. Zawsze uważałem się za człowieka cywilizowanego. Kultura była moim światłem przewodnim. Ale w Rosji odziera się człowieka z całej powłoki kulturowej. Żyjemy jak zwierzęta i zabijamy jak zwierzęta. Liczy się tylko ciepło, jedzenie i schronienie. Kiedy tam jestem, nic stąd – rozejrzał się po pokoju – nie wydaje się rzeczywiste. Ten dom staje się wytworem mojej wyobraźni. I nawet teraz, gdy tutaj jestem, prześladuje mnie myśl, że to wszystko sen, że otworzę oczy i zobaczę mój dom w gruzach, wypalone zboża na polach, ty i moja matka nie będziecie żyły…

a może ty nigdy nie istniałaś. – Nuta gniewu znikła z jego głosu; dodał miękko: – Kiedy się dowiedziałem, że wreszcie dostanę przepustkę i zdałem sobie sprawę, że znowu cię zobaczę, płakałem. Płakałem z radości, Mirando.

Teraz nie potrafiła spojrzeć mu w oczy.

– Przykro mi – szepnęła. – Tak mi przykro.

– Zatem rozumiesz, że nie mogę pozwolić ci odejść. Byłaby to kpina ze wszystkiego, co wycierpiałem. Ponadto twoje uczucia czy twoje życzenia utraciły jakiekolwiek znaczenie. Musisz pozostać w Sommerfeld, ponieważ jesteś tu potrzebna. Ten majątek cię potrzebuje. Musisz zadbać, aby gospodarstwa wytwarzały żywność i by była ona sprawiedliwie rozdzielana, bo inaczej ludzie będą głodowali. Jeżeli Franz zostanie wysłany na front, to ty będziesz musiała się zająć Sommerfeld, Mirando. W przyszłości życie tutejszych ludzi może zależeć od ciebie. Swego czasu wahałbym się prosić cię o to. Kiedy się poznaliśmy, wydawało mi się, że jesteś krucha i potrzebujesz ochrony. Lecz potem zdałem sobie sprawę z twojego oddalenia, a nawet chłodu. Nie brak ci stanowczości ani siły. Uważam, że mogę mieć do ciebie zaufanie. Nie potrafię ci ufać jako żonie, lecz ufam, że zatroszczysz się o mój dom.

Wpatrzyła się w niego szeroko otwartymi oczami.

– Zarządzać majątkiem? Ja? Friedrichu, nie potrafię!

– Wszyscy musimy się teraz przystosować, w tych trudnych czasach, jak powiedziałby nasz Führer. – Skrzywił usta.

– Proszę cię, Friedrichu. – Złożyła ręce. – Proszę, pozwól mi odejść.

– Nie.

Miranda podniosła się z fotela.

– W takim razie po prostu opuszczę dom. Nie wiem, dokąd pojadę. Dokądkolwiek. – Słyszała, jak jej głos staje się ostry i histeryczny. – Nie wytrzymam tu dłużej bez… bez…

Chwycił ją za ramiona.

– Posłuchaj mnie. Jeśli spróbujesz się ubiegać o zezwolenie na podróż, otrzymasz odmowę. Zadbam o to. Nadal mam pewne wpływy.

Jej opór osłabł; zakryła twarz dłońmi. Puszczając ją, Friedrich dodał:

– Powiedziałaś kiedyś, że cię ocaliłem, Mirando. Jesteś mi coś za to dłużna.

I była. Rozumiała to. Gdyby nie Friedrich, co by się z nią stało? Mogła zagłodzić się na śmierć, a ojciec mógł ją zmusić do małżeństwa z człowiekiem, którego nienawidziła.

Utwór Griega dobiegł końca. Friedrich zdjął płytę z gramofonu i wsunął w okładkę. Usłyszała jego głos, teraz chłodniejszy.

– Musisz być rozsądna. Nie wolno ci tracić głowy. Jeśli ściągniesz na siebie uwagę albo nie będziesz współpracowała z władzami, możesz zostać internowana albo jeszcze gorzej. W fabrykach w całych Niemczech pracują robotnicy z okupowanych terytoriów. Słowianie znajdują się w szczególnie złym położeniu. Dziewczęta znacznie młodsze niż ty harują po dwanaście godzin na dobę. Dostają niewiele jedzenia i są bardzo źle traktowane. Dopóki będziesz ostrożna, nie masz się czego obawiać. Moje nazwisko wciąż coś znaczy. Mamy szczęście, bo tutaj w Sommerfeld możemy żyć tak, jak chcemy. Widzisz, moja droga, choć małżeństwo ze mną być może cię rozczarowało, przynosi ci pewne korzyści. Mogę cię chronić. Będziesz tutaj bezpieczna.

Spojrzała mu w oczy i wyczytała w nich kłamstwo. Wolno pokręciła głową.

– Nie sądzę, abyś w to wierzył, Friedrichu. Nie wierzysz ani trochę. Ludzie mówią różne rzeczy. Zastanawiają się, co by się stało, gdyby to Rosjanie wygrali wojnę. Co stałoby się na tych terenach.

Wyjął nową płytę z okładek.

– To szerzenie defetyzmu – powiedział. – Można zostać za to ukaranym.

– Gdyby przyszło nam się wycofać, gdyby Rosjanie odepchnęli nasze wojska z powrotem przez granicę, gdyby tu weszli… co by się z nami stało?

Położył płytę na tarczy gramofonu. Tym razem był to Czajkowski.

– Rosyjska muzyka – zauważył miękko. – Zawsze mnie zachwycała. Tak pełna żaru. Ciekawe, czy za te słowa mógłbym też pójść do więzienia? Jeśli Rosjanie tutaj przyjdą, będzie jeszcze gorzej niż ostatnim razem. Bo widzisz, oni się zemszczą. To, co im uczyniliśmy, oni uczynią nam. Posialiśmy wiatr, zatem możemy się spodziewać, że

zbierzemy burzę. Jeśli Rosjanie tu przyjdą, niech Bóg ma nas w swojej opiece. Ale nie przyjdą. Nie pozwolimy im. O to właśnie walczę. To jedyne, o co walczę.

Był czas, kiedy rozważała ucieczkę. Czas, kiedy myślała, żeby wsiąść do pociągu i wyjechać. Zostawić Sommerfeld, zostawić za sobą to małżeństwo i uciec wszystko jedno dokąd. Czyste szaleństwo – może była wtedy odrobinę niepoczytalna. Zezwoleń na podróż nie wydawano tak łatwo, a ponadto nie miała dokąd się udać.

Zresztą nawet gdyby ucieczka była możliwa, Miranda nie mogła zostawić teściowej. To hrabina namawiała ją do jedzenia, kiedy ona sama wolałaby zagłodzić się na śmierć, to hrabina pocieszała ją, kiedy płakała, i słuchała jej, gdy w końcu była w stanie mówić o swoim dziecku, maleństwie o błękitnawej skórze, które pielęgniarka umieściła w jej ramionach, by mogła się z nim przywitać i pożegnać. Podziwiała doskonałość jego rysów i całego ciałka i płakała, że nikt prócz niej go nie ujrzy. Już wtedy wiedziała, że nadejdzie dzień, kiedy nie zdoła sobie wyraźnie przypomnieć buzi synka, że jego twarzyczka zatrze się i rozmyje, że w jej pamięci będzie wyglądał jak każdy noworodek.

To hrabina wyciągnęła ją do ogrodu, gdy nadeszła wiosna, i kazała stajennemu zabierać ją na krótkie przejażdżki po polach i wokół jezior. Miranda może i była chłodna, jak powiedział Friedrich, a jej serce przypominało pusty orzech, ale nie mogła zostawić teściowej, ponieważ ją kochała.

W ciągu ostatniego roku hrabina stawała się coraz słabsza. Spacerując po ogrodzie, opierała się na ramieniu Mirandy. Od pewnego czasu Miranda jeździła do wsi, aby w imieniu teściowej podarować bezzębnej staruszce bochenek miękkiego białego chleba i butelkę nalewki z czarnej porzeczki albo złożyć kondolencje matce, której syn zginął na morzu. Friedrich miał słuszność. Byli tu ludzie, którzy jej potrzebowali. Dziwne uczucie – przedtem nikt jej nigdy nie potrzebował.

Od śmierci dziecka minął rok. W jej sercu pozostało puste miejsce, ciemne i skute lodem jak jezioro w zimie, lecz uważała, iż dobrze je

ukrywa.

Tamtego dnia, gdy w domu pojawili się funkcjonariusze gestapo, Mirandę gnębiło kilka trosk. Jedna z podkuchennych znalazła robaki na skórce szynki. Margarete, gospodyni, źle się czuła i chodziła rano zgięta wpół, tak bolały ją plecy, więc Miranda odesłała ją do łóżka. Kucharka zawiadomiła, że zaczyna im brakować drewna na opał – wydarzenie bez precedensu, ktoś musiał się pomylić; w Sommerfeld nigdy dotąd nie zabrakło drewna. No a potem nowina, którą przekazał jej Franz. „Podobno utraciliśmy Stalingrad. Wszyscy żołnierze, włącznie z feldmarszałkiem Paulusem, zginęli lub dostali się do niewoli".

Po obiedzie poszła znowu do spiżarni. Kazała podkuchennej odkroić zepsute mięso i powiesić uszkodzone szynki w przyległym pomieszczeniu. Być może przedtem wisiały zbyt blisko siebie.

Drewno na opał, pomyślała. Wróciwszy na dół, włożyła futro, kapelusz i botki, przywołała Giselę i wyszukała jednego z młodych pomocników, dwunastoletniego wnuka Margarete, miłego chłopca o imieniu Erich, by poszedł z nią do stodoły, w której trzymali drewno. W nocy przyszła odwilż i śnieg spiętrzony po obu stronach ścieżek był brudny i poznaczony wgłębieniami. Niebo na wschodzie miało ołowianoszary kolor.

Miranda otworzyła wrota i omiotła światłem latarki sterty drewna. Trudno było oszacować, ile polan i ile podpałki trzeba, aby ogrzać Sommerfeld przez pozostałe miesiące zimy. Spomiędzy drewna wybiegł szczur i Erich cisnął w niego kamieniem.

Miranda posłała chłopca po herr Bernarda i pobiegł do domu. Po chwili usłyszała skrzypienie śniegu pod ich nogami.

– Ciągle myślę – zwróciła się do Franza, gdy przyglądali się zapasom drewna – o ile byłabym użyteczniejsza, gdyby uczono mnie matematyki zamiast baletu albo prowadzenia domu zamiast gry na pianinie.

Zarządca uśmiechnął się do niej.

– Na uniwersytecie studiowałem filozofię, hrabino. – Przesunął spojrzeniem po stertach drewna. – Istotnie nie ma tego zbyt wiele.

– Może powinniśmy zamówić trochę węgla.

– Węgiel bardzo trudno teraz dostać. Większość otrzymują koleje, szpitale i fabryki. Zbiorę grupę ludzi i zobaczymy, co da się znaleźć w lesie. – Franz podszedł do drzwi i spojrzał w niebo. – Wygląda na to, że spadnie więcej śniegu.

Wkrótce potem mężczyźni ruszyli w stronę sosnowego lasu: Franz, jeńcy wojenni, stary stajenny Thomas, który był niski, żylasty i pokrzywiony niczym pierzasty liść paproci, oraz mały Erich. Zanim wrócili z konnym wozem wyładowanym kłodami i gałęziami, zaczął padać śnieg.

Wiele tygodni po upadku Stalingradu otrzymali list od Friedricha z wiadomością, że jest bezpieczny. Los Klausa pozostał nieznany.

Kay poznała Rowlanda Latimera na przyjęciu zaręczynowym Josephine. Był czerwcowy dzień, słońce na przemian z przelotnymi deszczami. Uroczystość odbyła się w domu rodziców Josephine w Wiltshire. Wieczorem wiekowe służące podały kieliszki sherry i kanapki w dużym kwadratowym pokoju o szafirowych ścianach. W środku lata było jeszcze widno i pokój wypełniał zapach róż i groszków ustawionych w wazonach z rżniętego szkła na gzymsie kominka i stolikach.

Kay dostała przepustkę na czterdzieści osiem godzin i przyjechała po południu do Covington Hall z przyjaciółką i koleżanką ze służby ochotniczej, łapiąc okazje i autobusy. Przepadł jej lunch i podwieczorek, więc gdy odkryła przeoczony pełny talerz, usiadła na ławeczce w wykuszowym oknie, jedząc kanapki. Spojrzała przez okno na ogród poniżej i zobaczyła, że ktoś przechadza się wąskimi ścieżkami wśród rabatek. Popołudniowe słońce rysowało na trawie długi cień mężczyzny. Od czasu do czasu pochylał się i przyglądał uważniej jakiejś róży. Kay obserwowała go przez chwilę. Był młody, nosił wojskowy mundur. Miał czarne włosy i stawiał zdecydowane, zręczne kroki.

Z talerzem w ręku opuściła pokój i zeszła na dół. Przebrnęła przez korytarze, najpierw pełne olejnych obrazów przedstawiających martwe bażanty i misy pełne owoców, później zaś obwieszone bardziej przyziemnymi przedmiotami – zobaczyła na hakach wielkie,

żelazne klucze i płaszcze przeciwdeszczowe oraz stojak z zardzewiałymi parasolami. Małe, niskie drzwi wypuściły ją na zewnątrz. Złociste płytki tarasu błyszczały po deszczu.

Czarnowłosy mężczyzna spojrzał i uśmiechnął się do niej.

– Dobry wieczór.

– Dobry wieczór. Poczęstuje się pan? – Podsunęła mu talerz z kanapkami. – Wydaje mi się, że są z pastą rybną.

– Wspaniale. – Wziął jedną. – Gdy pierwszy raz przyjechałem w odwiedziny do Freddiego, myślałem, że jedzenie będzie strasznie wykwintne, kawior i kuropatwy, tego rodzaju rzeczy. Ale okazało się niemal równie niesmaczne jak w szkole. – Wyciągnął rękę. – Nazywam się Rowland Latimer.

– Kay Garland.

– Bardzo mi miło panią poznać, panno Garland.

Miał ładne oczy, ciemnobrązowe, prawie czarne, duże i pełne wyrazu. Jego twarz była pociągła i szczupła, o regularnych rysach.

– Źle się pan bawił na przyjęciu? – zapytała Kay.

– Doskonale się bawiłem, ale pomyślałem, że wymknę się do ogrodu, póki jeszcze coś widać, i odszukam różę mojej matki. – Znowu się do niej uśmiechnął. – To znaczy, różę nazwaną imieniem mojej matki. Chciałaby pani ją zobaczyć?

– Bardzo.

Ruszyła za nim jedną z wąskich trawiastych ścieżek. Nazwy róż były wyryte na małych metalowych plakietkach przyczepionych do łodyg: *Empereur du Maroc*, *Gloire de Dijon*, *Fantin Latour*. Miały wielkopański wygląd, jak zauważyła Kay, a Rowland się z tym zgodził, i przypominały leniwe arystokratyczne osobistości w pełnych przepychu bogatych, pięknych strojach.

– Moja matka była aktorką – wyjaśnił Rowland. – Ludzie nieustannie się w niej zakochiwali. Jeden z jej wielbicieli był hodowcą róż i stworzył dla niej nowy gatunek. – Przystanął obok róży o fioletowawo-różowawych płatkach. Nazwa na metalowej tabliczce brzmiała: *Madeleine Latimer*.

– To dobre imię dla róży, nie sądzi pani?

– Doskonałe. Madeleine Latimer… – Kay zmarszczyła brwi i spojrzała na niego uważnie. – Więc pana ojciec jest…

– Był. Ale tak, Peter Latimer, dramaturg.

– Och. To nadzwyczajne! Widziałam jego dwie sztuki przed wybuchem wojny, „Jaśniejsze nieba” i „Fabrykę serc”. Uczyłam wtedy w szkole w Hampstead. Mój ówczesny chłopak przepadał za dramatami pańskiego ojca.

– Ojciec wzbudził na nowo zainteresowanie tuż przed wojną. W tamtej sytuacji politycznej jeden czy dwóch reżyserów wygrzebało i wystawiło jego sztuki.

– Pamiętam, że zalewałam się łzami, gdy Sally umarła w „Jaśniejszych niebach”.

– Prawdziwy wyciskacz łez, co? Zawsze uważałem, że to jego najlepsza rzecz. Ojciec nie odnosił zbyt wielkich sukcesów, dopóki nie poznał matki. To ich połączenie okazało się tak udane. Odkąd się spotkali, pisał tylko dla niej i tworzył wspaniałe role kobiece, pełne żaru i dramatyzmu. – Zerwał kwiat róży i wręczył go Kay. – Proszę, będzie pasował do pani sukienki.

– Ten kolor podobno nazywa się *feuille morte*. Josephine mówi o nim „zdechła mysz”.

– Jakkolwiek się nazywa, pasuje do pani.

Kay znalazła szpilkę do włosów.

– Proszę pozwolić – powiedział. Gdy przypinał różę do jej sukienki, poczuła, że jego palce muskają jej nagie ramię. Odetchnęła zapachem róży, mocnym, uderzającym do głowy i rozkosznym.

– Jest pani jedną z przyjaciółek Josephine ze służb ochotniczych, prawda?

– Tak, znamy się od dawna. Byłyśmy razem w Camberley, uczyłyśmy się prowadzić ciężarówki.

– Nadal prowadzi pani ciężarówki?

– Nie, dzięki Bogu, wożę teraz pewnego bardzo sympatycznego brygadiera[10]. A pan?

Rowland wyjaśnił, że służy w dywizji piechoty i stacjonuje obecnie na równinie Salisbury. Zna Freddiego, brata Josephine, od lat.

– Byliśmy razem w szkole – powiedział. – Covingtonowie zachowali się wobec mnie bardzo przyzwoicie. Po śmierci moich rodziców

zawsze zapraszali mnie na wakacje. Covington Hall jest dla mnie drugim domem.

– Co się przydarzyło pana rodzicom?

– Zginęli w wypadku samochodowym, kiedy spędzali wakacje na południu Francji. Jechali nad urwiskiem, zapewne źle ocenili zakręt i samochód spadł.

– To okropne. Ile pan miał lat?

– Jedenaście. Niezbyt dobrze ich pamiętam. Oderwane obrazki, niemal jak zdjęcia. A pani, panno Garland? Ma pani jakichś krewnych?

Kay opowiedziała mu o stracie rodziców, o cioci Dot i domu w Pimlico.

– Ja mam mieszkanie w Tufnell Park – powiedział.

– Szczęściarz z pana. Bardzo bym chciała mieć własne mieszkanie. – Pomyślała, że w wieku dwudziestu siedmiu lat wciąż nie ma miejsca, które mogłaby nazwać własnym.

– Była już tu pani kiedyś?

– Nigdy.

– Podobno w Covington Hall jest jedna z największych kolekcji starych gatunków róż w Anglii. Bardzo się starają je zachować. Prawie wszystkie rabatki z innymi kwiatami zostały przekopane i zasadzono na nich warzywa, ale proszę obejrzeć widok z tarasu. Jest cudowny.

Taras kończył się niskim ceglanym murkiem obrośniętym bluszczem. Stanęli przy nim, opierając łokcie o górną krawędź, i spoglądali na okolicę. W oddali zbocze wzgórza opadało ku zielonej dolinie. Kiedy Rowland pokazywał Kay charakterystyczne miejsca, uświadomiła sobie, że patrzy nie na strumień czy rzekę, lecz na jego twarz. Miał mały garbek na długim, cienkim nosie, a ciężkie powieki przesłaniały ciemne oczy. W chwilach zadumy oczy te, jak zauważyła, miały nieco smutny wyraz, lecz teraz były roziskrzone i ożywione.

Nagle powiedział:

– Ależ ja panią zanudzam. Przepraszam, zazwyczaj nie jestem tak gadatliwy. Zapewne marzy pani o powrocie do towarzystwa.

Pokręciła głową.

– Nie, wcale. Pan bardzo lubi to miejsce, prawda?

– Owszem. Powinniśmy jednak pokazać się w środku. Później mają być tańce w sali balowej.

Kay westchnęła.

– Jakie to nadzwyczajne mieć w domu własną salę balową.

– Prawda? Zatańczy pani ze mną, panno Garland?

Przez ten czas, który spędzili w ogrodzie, słońce zniżyło się na niebie i niebiesko-czarne cienie wysokich drzew rosnących po jednej stronie domu rozciągnęły się na tarasie. Kay poczuła na sobie spojrzenie Rowlanda. Coś w jego tonie powiedziało jej, że odpowiedź będzie dla niego ważna – i usłyszała własny głos: „Tak, oczywiście, bardzo chętnie". Kiedy powoli wracali do domu, przeszedł ją dreszcz emocji i oczekiwania, jakby znalazła się na jakiejś przyprawiającej o zawrót głowy wysokości, a nie na tarasie, skąd spoglądała w dół na przepyszny krajobraz, który nieoczekiwanie się przed nią rozpostarł.

Rozmawiali najpierw w tańcu, później przy kolacji. Rowland wszedł w posiadanie pieniędzy, które zostawili mu rodzice, przed dziesięcioma laty, gdy skończył lat dwadzieścia jeden, i wówczas kupił mieszkanie w Tufnell Park. Przed wojną pracował w Wolseley Motors, a następnie w biurze spedycyjnym. Zaśmiał się z lekką skruchą. Nie odziedziczył, jak się wydawało, po rodzicach ani krztyny teatralnego zacięcia. Za żadne skarby nie potrafiłby napisać sztuki ani w niej zagrać. Praca w biurze mu odpowiadała, czasami wydawała się trochę nudna, ale nie powiedziałby, że czuł się tam nieszczęśliwy. Zawsze miał wrażenie, że chciałby robić w życiu coś innego, lecz nie potrafił bliżej określić co. A potem wybuchła wojna i wstąpił do armii.

Tańcząc z nim, Kay czuła bicie jego serca tuż przy swoim i ciepło jego dłoni na plecach. Jedną ze ścian sali balowej znajdującej się na tyłach domu wypełniały okna i oszklone drzwi, które wychodziły na trawnik. Gdy zapadł zmierzch, z kątów wysokiej sali uniosły się cienie. Dopiero kiedy zapanowały ciemności, zaciągnięto kotary i zapalono świece w żyrandolach. Światło wprowadziło magiczny,

czarowny nastrój, maskując pęknięcia w tynku i wytarte obicia, i nadając sukniom dziewcząt stonowane odcienie szarości, srebra i płowego brązu.

Muzyka, bliskość Rowlanda i migotanie płomyków zahipnotyzowały Kay i obydwoje umilkli. Wyostrzona świadomość upływu czasu, którą wyrobiła sobie przez ponad trzy lata służby, gdzieś odpłynęła. Gdy w końcu rozejrzała się po sali, dostrzegła, że na parkiecie jest o wiele mniej par, a starsi Covingtonowie udali się na spoczynek.

– Która godzina? – Miała wrażenie, że od bardzo dawna nie otwierała ust; czuła się tak, jakby budziła się ze snu.

– Prawie trzecia.

Zamrugała.

– Tak późno? Nie miałam pojęcia.

– Jesteś zmęczona?

– Nie, wcale. – Jej siły zdawały się niewyczerpane. Nie mogłaby zasnąć, nawet gdyby chciała.

– Ja też nie. To zabawne, przez ostatnie dwa tygodnie ganiałem po Salisbury Plain na ćwiczeniach i dałbym słowo, że jestem wykończony.

– Przypuszczam, że to wpływ szampana.

– Może. A może to ty, może to taniec z tobą, Kay. Wyjdziemy odetchnąć świeżym powietrzem?

Ruszyła za nim ku oszklonym drzwiom. Znalazł pół butelki szampana i schował do kieszeni dwa kieliszki; trącili się nimi, idąc przez trawnik. Zapytał, kiedy będzie musiała wracać do Aldershot. Odparła, że ma się zameldować przed dziewiątą rano w poniedziałek. Wyjaśnił, że musi wyjechać z Covington Hall o szóstej rano – otrzymał tylko dwudziestoczterogodzinną przepustkę. O szóstej, pomyślała z żalem Kay. Zostały zaledwie trzy godziny.

Nie wolno jej niczego zakładać, nie wolno robić sobie nadziei. Spędzili razem wieczór, to wszystko, a ileż było w latach wojny takich wieczorów przetańczonych z mężczyznami, których imion nie potrafiłaby sobie teraz przypomnieć? Instynkt podpowiadał jej jednak, że coś się naprawdę zdarzyło, coś się zmieniło. Ale przecież czuła to samo już przedtem, przy Johnnym, i dopiero po długim

czasie uświadomiła sobie, że Johnny Gilfoyle nigdy nie czuł do niej tego samego, co ona do niego. Być może zbyt szybko się angażowała. Ujrzała nagle okropną wizję samej siebie jako emocjonalnego bluszczu, kobiety chwytającej się z wdzięcznością każdego przejawu uwagi lub uczucia, jaki napotka.

– Może zatem powinieneś trochę odpocząć – powiedziała.

Zerknął na nią ze zmarszczonymi brwiami.

– Nie wiem, jak ty, ale ja nie chcę tracić ani minuty… tego.

– Tego? – powtórzyła.

– Mam na myśli bycie z tobą. – Zatrzymał się i odwrócił twarzą do niej. – Czy uważasz, że możliwa jest miłość od pierwszego wejrzenia?

Jej serce zabiło gwałtownie.

– Nie wiem… nie jestem pewna. A ty?

Gdy się odezwał, dostrzegła jego inne oblicze, niepewne, bardziej bezbronne.

– Prawdopodobnie myślisz, że próbuję cię uwieść – powiedział – ale to nie to, daję słowo. Przypuszczam, że w innej sytuacji byłbym bardziej powściągliwy, nie dlatego, że nie jestem pewien własnych uczuć, ale dlatego, że ty być może nie czujesz tego samego. Możemy się jednak nie widzieć przez kilka miesięcy, Kay, więc od razu ci to wyznam. Zaparło mi dech, kiedy cię wcześniej zobaczyłem w ogrodzie. – Zaśmiał się krótko, z zakłopotaniem. – Ale musisz mi powiedzieć, czy uważasz, że gadam zupełnie od rzeczy, bo jeśli tak, zmienię temat i porozmawiamy o pogodzie albo o tym, jak ładnie wyglądała Josephine.

– Nie uważam, że gadasz od rzeczy – szepnęła.

Przyciągnął ją do siebie i musnął wargami jej usta. Całowali się przez chwilę lekko i niepewnie, ucząc się siebie nawzajem. A potem jego pocałunki stały się głębokie i palące, a cały świat z jego zgiełkiem i zamętem zniknął i byli tylko oni dwoje na trawniku skąpanym w księżycowej poświacie. Kay wiedziała, że dzieje się coś niezwykłego i tak cudownego, iż bała się, że gdy zacznie to rozważać, wszystko umknie niczym puch ostu z jej palców.

Nagle Rowland odsunął się od niej, mówiąc:

– Biedactwo, ty zamarzasz. Weź to.

Zdjął bluzę i narzucił jej na ramiona, gdy ruszyli na ukos trawnikiem. W altanie nalał szampana. Usiedli obok siebie na ławce, Kay oparła głowę o jego ramię. Przez okno widziała sierp księżyca.

– Pamiętam – odezwała się – moje pierwsze lato na południu Francji. Myślałam, jakie to wspaniałe, że o północy jest jeszcze ciepło.

– Dużo podróżowałaś? – zapytał.

Opowiedziała mu o Mirandzie i koczowniczych osiemnastu miesiącach, które spędziła, wędrując po Europie z Denisowami. Wyjaśniła, gdzie teraz jest Miranda i jak się o nią martwi.

– Tak często spotykał je najgorszy los – zauważył Rowland. – Te kraje środkowej Europy.

– Lepiej żyć na obrzeżach, jak my.

– Chyba tak. – Pogładził ją po włosach.

– Cudownie znaleźć się tutaj. Wszystko wokół wydaje się takie cywilizowane w porównaniu z tamtymi koszarami, prawda?

– Prawie nierzeczywiste. Jak oaza.

Kay westchnęła.

– Dom, muzyka i nikt nie wywrzaskuje do ciebie rozkazów. Ilekroć jadę do domu na przepustkę, czuję wielką ulgę, że znowu mogę być sobą. Boję się czasami, że jeśli wojna potrwa dłużej, nie zdołam sobie przypomnieć, jak być dawną Kay. Będę młodszą kapral Garland przez cały czas, a nieszczęsna Kay Garland stanie się daleką, niemal zapomnianą znajomą.

– Co zamierzasz robić, kiedy wojna się skończy?

– Nie myślałam o tym. Poskładanie wszystkiego na nowo zajmie strasznie dużo czasu. Ale chyba wrócę do uczenia w szkole. A ty?

– Chcę zostać farmerem.

– Farmerem? – Spojrzała na niego.

– Tak. Dziwi cię to?

– Owszem, trochę – odparła szczerze.

– Co, nie widzisz mnie jako krzepkiego wieśniaka?

– Powiedziałabym, że bardziej wyglądasz na intelektualistę.

– Pochlebiasz mi. Ale tak, myślę, że właśnie to chcę robić. Dopiero co przyszła mi do głowy ta myśl i nie daje się wyrzucić. Nie sądzę,

żebym potrafił powrócić do przedwojennego życia. Chcę spróbować czegoś innego.

– Więc co zrobisz? Kupisz farmę?

– Nie tak od razu. Nie wiedziałbym, jak ją prowadzić. Muszę najpierw skończyć szkołę rolniczą, a potem popracować u kogoś parę lat, żeby zdobyć doświadczenie. Później rozejrzę się za czymś własnym. Nawet chętnie poszukałbym czegoś tutaj. Ta okolica bardzo mi się podoba.

Kay zamknęła oczy. Wyobraziła sobie białe kaczki kroczące wśród wysokich traw w sadzie. Nagle obraz zafalował. Nabrał ostrości; na chwilę usnęła. Obudziło ją jednak ciepło ust Rowlanda. Usiadła prosto i pocałowali się znowu.

Świt wstał wcześnie: smuga światła na trawie, uniesienie zasłony ciemności. O wpół do szóstej ruszyli z powrotem do domu. Rosa perliła się na trawie, promyki słońca zapalały tęczowe kolory. Kay zdjęła buty na obcasach i szła boso przez trawnik, trzymając Rowlanda za rękę. Jej zmysły zdawały się tego ranka wyostrzone, słyszała śpiew ptaka i widziała z wielką wyrazistością jaskrawe kolory nowego dnia.

Gdy dotarli do domu, zapytał:

– Znasz francuski, prawda? Jest chyba francuskie określenie tego, jak po prostu spoglądasz na kogoś i już wiesz?

– *Coup de foudre* – odparła. – Grom z jasnego nieba. To właśnie znaczy: grom z jasnego nieba.

W ciągu następnego tygodnia Kay musiała zawieźć brygadiera najpierw do północnej Walii, później do Norfolk, a potem jeszcze do Londynu. Gdy samochód przemierzał wąskie, kręte wiejskie drogi, rozmyślała o Rowlandzie Latimerze. Pamiętała, jak na nią spojrzał, kiedy wyszła na taras, i jak przypiął różę do wycięcia jej sukienki. Pamiętała, jak tańczyli i siedzieli w altanie, a noc mijała i minęła. Pamiętała wszystko, co sobie powiedzieli i jak wydawali się idealnie do siebie dostrojeni. Pamiętała pocałunki, ciepło jego ciała i gwałtowność uścisku.

To śmieszne, próbowała tłumaczyć samej sobie, czuć taki pociąg do kogoś, kogo prawie się nie zna. A mimo to ona, która szczyciła się swoim rozsądkiem i doświadczyła siły uczucia, rozstań, zawodów, rozczarowań i łez, w rzadkich chwilach samotności, na które zezwalała armia, czuła, że się w to zsuwa, ześlizguje, nie mogła się zatrzymać, a co więcej nie chciała tego zrobić.

Bycie zakochaną miało swoje zalety. Teraz ledwo zauważała nudę i niewygody wojskowego życia. Wiadomości wojenne – lądowanie aliantów na Sycylii, a później, na początku września, zaokrętowanie i przeprawa oddziałów 8. Armii generała Montgomery'ego przez Cieśninę Messyńską do Reggio di Calabria na stałym lądzie – wszystko to mniej ją teraz poruszało.

W następnych tygodniach pisali do siebie. Wiozący brygadiera wokół kredowych wzgórz południowej Anglii, gdzie rozległy przestwór nieba górował nad polami i zagajnikami, Kay myślała, o czym napisać. Opowiadała Rowlandowi o zabawnych wydarzeniach dnia – o stadzie krów, które zagrodziło im drogę, przez co brygadier spóźnił się na naradę, albo o tym popołudniu, kiedy zabłądzili w najgłębszym, najbardziej odludnym zakątku Somerset. Obydwoje ślęczeli nad mapą, usiłując znaleźć wyjście z labiryntu wiejskich dróżek. Opisała pewien tydzień tak długi i męczący, że po przybyciu do celu, zbyt wyczerpana, by szukać wolnego łóżka, zasnęła na podłodze blaszanego baraku. „Na podłodze, kochanie! Pozostałe dziewczęta były tak miłe, że przechodziły nade mną".

Wyjmowała z kieszeni jego listy i czytała wciąż od nowa, gdy tylko miała minutę dla siebie. Nauczyła się ich na pamięć: „Zawsze uważałem myśl, iż gdzieś tam czeka na mnie ktoś idealny, za romantyczną brednię, dopóki nie poznałem Ciebie, Kay. Teraz wiem, że ja się myliłem, a inni mieli słuszność i wydaje mi się to cudem".

Pod koniec września Rowland napisał, że dostał tygodniową przepustkę i zamierza spędzić ten czas w swoim mieszkaniu w Tufnell Park. Ich przepustki nareszcie się zbiegły i w piątek po południu Kay przywiozła brygadiera z Yorkshire, a do Londynu dotarła późnym wieczorem. Spędziwszy noc w Pimlico, wyruszyła rano do Tufnell Park. W kolejce podziemnej ogarnęły ją pierwsze wątpliwości. Może tym razem nie będzie tak samo. Może oczarowała

ich magia owej letniej nocy, może tylko sobie wyobrazili, że coś ich łączy. Może tak na nich podziałał tamten dom, ogród, przyjęcie, tęsknota za czarem i romantyzmem; teraz, z nadejściem jesieni, powietrze stało się chłodniejsze. A może przez te tygodnie, które upłynęły od ich spotkania, otoczyła go romantyczną aurą, która po prostu nie istnieje. Może po prostu wymyśliła go sobie, stwarzając obraz czegoś, czego pragnęła. Może tym razem nie będzie go pociągała. Albo on nie będzie pociągał jej.

Mieszkanie Rowlanda znajdowało się w wysokim osiemnastowiecznym budynku wykładanym kamieniem. W małym frontowym ogródku leżał gruz, a jedna strona schodków prowadzących do głównych drzwi była przekrzywiona. Obok drzwi były trzy dzwonki. Kay przycisnęła ten z wizytówką „Latimer".

Pocałował ją w policzek na powitanie i wprowadził do środka. W korytarzu stał dziecięcy wózek, z jednego z pokoi na parterze dochodził płacz dziecka. Idąc za Rowlandem przez dwie kondygnacje schodów i opowiadając o podróży z Pimlico i jeździe z Catterick poprzedniego dnia, Kay przyłapała się na zerkaniu na niego, porównywaniu rzeczywistego Rowlanda ze wspomnieniem o nim.

Otworzył drzwi mieszkania i weszli.

– Jesteśmy na miejscu. Nie ma to jak w domu.

– Bardzo tu ładnie. Tak widno i przestronnie.

– Napijesz się herbaty albo kawy?

– Nie, dziękuję.

Banalność ich rozmowy przygnębiła Kay. Zaczęła się zastanawiać, jak zniesie rozczarowanie, jeśli dzień upłynie im na bezmyślnych dialogach przeplatanych chwilami milczenia.

– Pozwól, pokażę ci, dlaczego kupiłem to mieszkanie.

Na drugim końcu salonu były drzwi z szybkami, wychodzące na balkon. Mieściły się na nim dwa leżaki i mały stolik z kutego żelaza. Z balkonu roztaczał się widok na dachy okolicznych domów.

– To cudowne – powiedziała.

– Najpiękniejszy widok w Londynie, jak sądzę. – Namaszczonym tonem agenta nieruchomości oznajmił: – Dodatkowy walor lokalu mieszkalnego stanowi zachwycający balkon z widokiem na cały Londyn.

Dachówki i łupkowe płytki zdawały się wymyte do czysta przez deszcz, który padał poprzedniej nocy. Gołębie gruchały na kominach. Spoglądając w dół, Kay widziała, gdzie spadły bomby, pozostawiając puste place, gruz i poszarpane ściany bez dachów.

– Kiedy mieszkałem tu przed wojną – powiedział – miałem na balkonie doniczki z geranium.

– Twój podniebny ogród.

– Tak, właśnie. – I dodał z uśmiechem: – Kay, tak się cieszę, że tu jesteś, po prostu nie mogę znaleźć słów. Zupełnie jakbym znowu miał siedemnaście lat i umówił się na pierwszą randkę.

– To dobrze, że nie masz siedemnastu lat. Czułabym się jak uwodzicielka nieletnich.

Położył dłonie na jej talii, a gdy musnął ustami jej czoło, wszelkie wątpliwości znikły. Powiedziała:

– Byłam pewna, że coś pójdzie źle. Bałam się, że pęknie opona i ugrzęznę w Stamford albo brygadier nagle otrzyma wiadomość, że musi jechać do Szkocji.

– Przed wyjazdem z Covington Hall próbowałem zapisać cię w pamięci. Powtarzałem sobie: jest wysoka i smukła, ma jasne włosy do ramion i zielonkawoorzechowe oczy. Ale jesteś o wiele piękniejsza, niż zapamiętałem.

Miała na sobie bawełnianą sukienkę w kwiatki, a rozpuszczone włosy z przedziałkiem z boku opadały na ramiona. Gdy Rowland przesunął dłonią po jej plecach, dachy okolicznych domów zamgliły się na chwilę i zafalowały.

– Chciałabyś obejrzeć resztę mieszkania? – zapytał.

– Bardzo.

Salon był wysoki, a gipsowe fasety i rozetę na suficie zdobiły wijące się rzeźbione liście. W pokoju znajdowały się sofy, regały z książkami, gramofon i płyty. Jadalnia mieściła duży mahoniowy stół i krzesła oraz serwantkę, w której widać było sześć kieliszków do wina, różowych ze złotymi zdobieniami, i wazę Lalique. W matowym szkle pływały syreny o długich falujących włosach.

– Należały do mojej matki – wyjaśnił Rowland. – Ojciec kupił jej te kieliszki podczas miodowego miesiąca w Wenecji. Za każdym razem, kiedy wracam do mieszkania, spodziewam się, że zastanę je

roztrzaskane na drobne kawałki po bombardowaniach, ale jakoś dotąd przetrwały. Przypuszczam, że powinienem był je zapakować i schować, ale lubię na nie patrzeć. – Powiódł spojrzeniem po meblach. – Stół i krzesła też mam po rodzicach. Myślę, że powinienem tu urządzać wystawne kolacje.

Na ścianach wisiały oprawione fotografie i programy teatralne. Rowland pokazał Kay zdjęcie matki, Madeleine Latimer. Miała duże brązowoczarne oczy jak on.

Po południu pojechali autobusem do Green Park. Wyszło słońce i w powietrzu czuło się ciepło. Pary wylegiwały się na trawnikach albo spacerowały pod rękę po ścieżkach. Trzej amerykańscy żołnierze siedzieli na ławce, obserwując przechodzące dziewczęta, a kilku chłopców bawiło się samolocikami z drewna balsa, wydymając policzki i wydając odgłosy, które miały naśladować strzały i wybuchy, podczas gdy samolociki pikowały i nurkowały.

Rowland kupił lody i wyciągnęli się na trawie, słuchając orkiestry. Powiedział Kay, że w Green Park była kiedyś lodownia i dwie świątynie. Pamiętał też, że jako dziecko pojechał z rodzicami do okazałej rezydencji na północy Anglii, gdzie też była lodownia. Podczas gdy rodzice jedli lunch z gospodarzami, wyruszył sam penetrować teren. Znajdująca się nad jeziorem lodownia okazała się wąskim tunelem wydrążonym w ziemi. Zimą wyrąbywano lód z jeziora i przechowywano go w tym tunelu do lata. Wewnątrz było ciemno i zimno, a żyzny zapach gleby mieszał się z czymś mniej przyjemnym.

– Niespodziewanie – mówił Rowland – poczułem strach. Ogarnął mnie mroczny, okropny lęk. W pierwszej chwili nie mogłem się poruszyć, a potem wybiegłem na zewnątrz. Cały się trząsłem. Nigdy w życiu tak się nie bałem. Potem zastanawiałem się często, co mnie tam aż tak przestraszyło, czy wydawało mi się, że wpadłem w pułapkę, czy myślałem, nie do końca zdając sobie z tego sprawę, o grobach, trupach, duchach, tego rodzaju rzeczach. A może chodziło po prostu o samotność w ciemnościach.

– Biedny Rowland.

– Nie czułbym się samotny, gdybyś ty była tam ze mną. – Musnął nosem jej kark.

Pocałowali się i Kay zapytała:

– Dużo podróżowałeś w dzieciństwie?

– Przez cały czas, zanim poszedłem do szkoły. Rodzice zabierali mnie w każdy objazd, gdy wystawiali sztukę w różnych częściach kraju. Kilka razy byliśmy też w Le Touquet. Zabawnie pomyśleć, że prawdopodobnie następnym razem znajdę się we Francji, kiedy to wreszcie nastąpi. To znaczy, kiedy powstanie drugi front.

Spoglądając w górę, Kay widziała przez rozproszone światło słońca liście, tworzące geometryczny ornament, czarne na tle nieba. Czuła słodkawy zapach kasztanowca. Usłyszała głos Rowlanda:

– Ciekawe, czy będę się bał. Ludzie mówią o wojsku, że to mieszanka nudy i strachu. Cóż, nudy z pewnością zaznałem aż nadto. Jak myślisz, co jest gorsze: nuda czy strach?

– Nuda – odparła. – Kiedy się boisz, przynajmniej czujesz, że żyjesz.

– Masz rację. – Uśmiechnął się. – Przypomnę to sobie, kiedy będę miał pietra.

Dalszy ciąg dnia miał w sobie coś nieuchronnego. Obydwoje wiedzieli, czym się skończy i w oczekiwaniu na to kryła się jakaś leniwa przyjemność. Z parku poszli do restauracji na Piccadilly, gdzie ich palce stykały się nad stolikiem, bo nie mogli znieść nawet tak drobnego rozdzielenia. A później wrócili do mieszkania, w którym mieli się kochać, wiedzieli o tym, być może już od chwili, gdy stali obok siebie na balkonie, spoglądając na dachy poniżej.

Miał smukłe, śniade ciało, muskularne, ponieważ spędził sierpień i wrzesień na ćwiczeniach w hrabstwie Devon. Zadrżała, gdy przesunął palcami po jej piersi, talii i biodrze. Płonął w niej ogień; ich ciała się połączyły i poczuła twardość kości i ścięgien. Później ułożyli się twarzami do siebie. Odkrywała wypukłość jego kości policzkowej i zarys szczęki, zapach i gładkość jego skóry, małe gruzełki na prawym obojczyku, który złamał w pierwszym roku służby, białą bliznę na nodze po upadku z roweru, kiedy był mały. Całując dołeczek pod szyją Kay, przyciągnął ją do siebie otwartą dłonią, którą położył między jej łopatkami, a ona zamknęła oczy i pozwoliła mu kochać się raz jeszcze.

Ich romans można było nazwać zimowym. W nocnym barze dziewczyna śpiewała „The Way You Look Tonight” przy łagodnym akompaniamencie pianina i dudnieniu kontrabasu. Tańcząc z Rowlandem, Kay wyczuwała lekką szorstkość jego policzka. Gdy musnął wargami jej usta, wydało jej się to gestem tak intymnym, że straciła na chwilę dech.

Raz poszli do teatru na West Endzie, aby zobaczyć przedstawienie „Ta szczęśliwa rasa”[11]. Później odwiedzili Francuski Pub w Soho – lokal tak naprawdę nazywał się York Minister, lecz mówiono o nim Francuski Pub, ponieważ generał de Gaulle i żołnierze Wolnej Francji lubili tam się napić. Gdy wyszli z baru, Rowland kupił rybę z frytkami i zjedli ją po drodze do kolejki podziemnej.

Robotniczą jadłodajnię otwierano wczesnym rankiem. Tandetny barak postawiony na miejscu zniszczonego przez bombę budynku został sklecony byle jak ze skrzyń i metalowych tablic reklamujących sosy Bovril i lody Lyons Maid. W środku słychać było, jak wiatr świszcze w szczelinach. Klienci nosili fabryczne kombinezony albo mundury, a na chropowatych drewnianych stołach stały plastikowe solniczki i pieprzniczki oraz popielniczki zrobione z puszek po sardynkach. Plakaty na ścianach zachęcały do jedzenia marchewki i oszczędzania kości, z których można wyprodukować nawóz. Gdy wypili herbatę, ruszyli wąską boczną uliczką, będącą siedliskiem dzikich kotów i spekulantów. Rowland obejmował Kay ramieniem, obydwoje czuli się oszołomieni ze znużenia i pożądania.

Budząc się pewnego ranka w domu na weekendowej przepustce, Kay rozsunęła zasłony, spojrzała w dół i zobaczyła go siedzącego na niskim murku, który przylegał do frontowego ogródka cioci Dot. Ubrała się szybko i wybiegła na zewnątrz. Powiedział jej, że za godzinę musi być w pociągu i jechać do północnej Anglii. Dotknęła jego zimnej twarzy i usłyszała brzęk wozu mleczarza i szum samolotu wysoko na niebie. A potem było już tylko ich dwoje, samych w szarym świetle świtu, i zatraciła się w jego smaku, w jego dotyku.

W większej części tej zimy rytm jej życia – najlepszego okresu jej życia – wyznaczały dworce kolejowe. Na Liverpool Street Station

w poczekalni tłoczyli się żołnierze z tornistrami oraz tuzin ochotniczek Kobiecej Służby Pomocniczej, świergoczących niczym stadko szczygłów. Pociąg, na który czekała z Rowlandem, był opóźniony; mógł wjechać za pięć minut, powiedział im konduktor, cmokając pesymistycznie, a mógł przybyć za godzinę. Pomyślała, że nigdy w życiu tak się nie cieszyła ze spóźnienia pociągu. Chodzili po peronie, aby się rozgrzać; Kay trzymała Rowlanda pod rękę i opierała głowę na jego ramieniu, gdy wymijali czyjeś plecaki i walizki. Oficerowie marynarki ze złotymi galonami na rękawach spacerowali tam i z powrotem, zerkając na zegarki. Żołnierze grali w kości, marynarze drzemali na ławkach, nasunąwszy czapki na twarz. Dziewczyna w fioletowym płaszczu spała z otwartymi ustami, oparta plecami o drzwi. Pachniało dymem i pyłem węglowym, od czasu do czasu słychać było syk pary, gdy pociąg szykował się do odjazdu. Gwizdek konduktora wydawał przeraźliwy dźwięk, ruszały tłoki lokomotywy i kłęby dymu wzbijały się pod szklany dach.

W styczniu 1944 roku Rowland napisał, że odkomenderowano go na trzy miesiące do Szkocji, na ćwiczenia w górach Cairngorm. Powinien mieć w Londynie wolne pół godziny podczas przesiadki w drodze do koszar.

Brygadier był tego dnia w Londynie; Kay woziła go od jednej rządowej instytucji do drugiej. O szóstej zwolnił ją z obowiązków, o siódmej była już na Euston Station. Przyszła wcześniej, więc wstąpiła do toalety, by sprawdzić, jak wygląda. Potem wróciła do hali dworcowej.

Czas mijał. „Kwadrans po siódmej", napisał, ale było już dwadzieścia po i zaraz potem, w jednej chwili, przeleciało następne pięć minut. Wokoło niej kłębili się ludzie w mundurach. Od czasu do czasu Kay wspinała się na palce, usiłując wypatrzyć Rowlanda w tłumie mundurów khaki, granatowych marynarskich i błękitnych lotniczych. Czy coś jej się pomyliło? Może umówił się z nią na peronie, a nie w hali? Była pewna, że dobrze zapamiętała, lecz gdy minuty wciąż mijały i pociąg wjechał na peron, poczuła nagłe wątpliwości i pospieszyła w stronę bramek porozmawiać z kontrolerem biletów. Potem ruszyła szybkim krokiem wzdłuż peronu, zerkając to w jedną, to w drugą stronę, na ławki i pod

ściany, zaglądając do poczekalni, przypatrując się grupkom ludzi szykujących się, by wsiąść do pociągu, oraz tym, którzy tłumnie wysiadali z wagonów i odchodzili, a ich głosy cichły, zdławione mrokiem i zimnem.

Rowlanda nigdzie nie było. Zadrżała, wcisnęła ręce w kieszenie i odwróciła się w stronę bramek. Oczekujący pasażerowie zaczęli wchodzić jeden za drugim do pociągu i dał się słyszeć świst pary.

Wtem przez cały ten zgiełk przebił się wołający ją głos i zobaczyła Rowlanda biegnącego w jej stronę. Nareszcie był przy niej, obejmował ją, całował i powtarzał jej imię.

– Twój pociąg… – zaczęła.

– Tak. Posłuchaj, najpierw muszę cię o coś spytać.

Wzdłuż peronu maszerował konduktor, zatrzaskując drzwi wagonów. A Rowland mówił, jak bardzo ją kocha, jak będzie za nią tęsknił i jak bardzo jej pragnie. Gdy konduktor podniósł chorągiewkę i dmuchnął w gwizdek, Rowland zapytał Kay, czy zostanie jego żoną. Przyjrzała się jego ustom, jego śmiertelnie w tej chwili poważnym oczom i odpowiedziała: „Och, Rowlandzie, kocham cię, uwielbiam, oczywiście, że zostanę twoją żoną”. Wsunął w jej dłoń małe pudełeczko i wdrapał się do wagonu, a Kay machała do niego, gdy wystawił głowę przez okno, pociąg zaś przyspieszył i wreszcie opuścił dworzec.

Kiedy Rowland zniknął jej z oczu, otworzyła pudełeczko. W środku był pierścionek ze szmaragdem otoczonym brylancikami. Włożyła go na palec; pasował idealnie. Przycisnęła dłonie do piersi i patrzyła, jak pociąg wtapia się w czerń wieczoru.

10 Stopień wojskowy w armii brytyjskiej niemający polskiego odpowiednika, między pułkownikiem a generałem.

11 Sztuka Noela Cowarda z 1939 roku.

Rozdział 13

Gdy Franza powołano do służby wojskowej, odpowiedzialność za zarządzanie domem i majątkiem spadła na Mirandę i hrabinę. Przed opuszczeniem Sommerfeld zarządca przejrzał razem z Mirandą księgi rachunkowe, pokazał jej, gdzie zapisywać opłaty od dzierżawców, a gdzie wpinać listy od prawnika lub urzędników. Spoglądając na jego szczupłą, inteligentną twarz, gdy podkreślał z naciskiem konieczność przestrzegania nakazów rządowych, zastanawiała się, czy on się boi. I czy kiedyś wróci do Sommerfeld.

Nauczyła się również jeździć na rowerze. Nigdy wcześniej tego nie próbowała. Córkę Konstantina Denisowa wożono rolls-royce'em albo podróżowała pierwszą klasą ekspresem Złota Strzała. Gdy jednak zabrakło Franza, musiała poruszać się po okolicy samodzielnie. Nie mieli już paliwa do traktorów, a większość koni zarekwirowano na potrzeby armii, pozostawiając w majątku zaledwie tyle zwierząt, by mogły ciągnąć staroświeckie urządzenia rolnicze wygrzebane ze stodół.

W styczniu pojechała na rowerze do Angerbergu w sprawie związanej z posiadłością. Po ostatniej odwilży woda z roztopionego śniegu zebrała się w rowach i koleinach na drodze. Herr Steltzer, prawnik von Kahlbergów, powrócił do pracy z emerytury, by prowadzić rodzinną kancelarię, gdy synowie służyli w armii. Miranda spędziła godzinę w jego biurze, omawiając kwestię spornej granicy.

Po skończonej wizycie wyszła na ulicę. Od niedawna Angerberg uległ zmianie. Przed wojną było to przyjemne, niewielkie miasteczko, ciche i senne – zaścianek, można by rzec. Teraz jednak panowała w nim atmosfera miasta granicznego. Przez ostatni rok, od niemieckiej klęski pod Stalingradem, Armia Czerwona walczyła zaciekle, odzyskując utracone terytoria, i nieubłaganie parła na

zachód. Dla Niemiec był to rok wycofywania się i odwrotu. Charków, Kursk i Kijów ponownie znalazły się w rękach Sowietów. Armia Czerwona stała teraz zaledwie czterdzieści kilometrów od dawnej polskiej granicy.

Wszędzie w miasteczku widać było mundury wojskowe, żołnierze siedzieli w pojazdach, które przemykały tłuczniowymi drogami, okupowali miejscową gospodę albo kuśtykali o kulach po chodniku. Główną ulicą jechał czarny mercedes zachlapany błotem i Miranda dostrzegła siedzących w środku SS-manów. Trzej żołnierze, którzy stali przy węglowym koksowniku, jedząc kasztany, przyglądali się jej, gdy ich mijała. Czuła na sobie ich spojrzenia, kiedy brała rower spod ściany, gdzie go zostawiła. „Masz ojca Rosjanina i matkę Angielkę". W ostatnich dniach nieczęsto opuszczała Sommerfeld, a jeśli już musiała, zachowywała ostrożność.

Za miasteczkiem, gdy domy zostały w tyle, rozpostarły się przed Mirandą pola i zagajniki. Śnieg zalegał w dolinach i na północnych stokach pagórków. W kałużach na drodze odbijał się błękit nieba, zbrązowiałe resztki trzcin i sitowia ciągnęły się wzdłuż wypełnionych wodą rowów.

Ujechała około dwóch kilometrów, gdy nagle przystanęła. Wąską drogę wypełniała kolumna jeńców wojennych. Mundury mieli brudne i podarte, buty oblepione błotem. Niektórzy obwiązali ręce i nogi kawałkami szmat, próbując chronić się przed zimnem. Usłyszawszy zdanie wymamrotane cicho po francusku, Miranda zaczęła, jak zawsze, przypatrywać się każdej twarzy. Jej spojrzenie prześlizgiwało się po obliczach starych i młodych, przystojnych i przeciętnych, zatrzymując się czasami na sekundę, po czym wędrowało dalej. Znów nie było wśród nich tego, którego nieustannie poszukiwała.

Gdy jeńcy ją mijali, Miranda nagle zauważyła w środku kolumny falującą kasztanowatą czuprynę. Rzuciła rower i podbiegła bliżej. Spojrzała raz jeszcze. To mógł być Olivier. Brnąc przez grubą warstwę śniegu, próbowała lepiej przyjrzeć się jeńcowi. Jej serce zabiło gwałtownie. Jego wzrost, chód – tak, może to rzeczywiście on! Ślizgając się na poboczu, zaczęła się przepychać przez idących mężczyzn. Któryś strażnik zawołał coś do niej, lecz nie zwróciła uwagi. Przelotnie dostrzegła profil jeńca. To był on, z całą

pewnością! Miał włosy tego samego koloru i tak samo zarysowane kości policzkowe. Serce jej omal nie wyskoczyło z radości.

– Olivier! – zawołała. – Olivier!

Kolumna jeńców rozstąpiła się przed nią; znalazła się niemal przy nim.

I wtedy, gdy zwrócił twarz w jej stronę, zobaczyła, że to wcale nie Olivier, tylko ktoś zupełnie jej nieznany, o wiele młodszy, chłopiec zaledwie. Jeńcy wpatrywali się w nią, jeden ze strażników uniósł karabin. Zdała sobie sprawę, jak to musiało wyglądać – kobieta w futrze i botkach, krzycząca i wymachująca ramionami jak wariatka. Zmusiła się do uśmiechu i przeprosiła strażnika, tłumacząc mu, że się pomyliła.

Jeńcy pomaszerowali dalej. Patrzyła, jak znikają za zakrętem, a potem zakryła twarz dłońmi i wybuchnęła płaczem. To nie był on i teraz od nowa będzie musiała stawiać czoło pustce. Szlochała rozdzierająco.

Wreszcie drżąca i wyczerpana podniosła rower. To jej tęsknota, jej samotność sprawiły, iż uwierzyła, że ma przed sobą Oliviera, teraz to zrozumiała. Czy w ogóle potrafiłaby go rozpoznać po czterech latach rozłąki? Może obydwoje tak się zmienili, że już by się nie poznali? A gdyby rzeczywiście minął ją pewnego dnia, idąc w jednej z niezliczonych kolumn jeńców, czy nie miałby jej za złe życia pośród wrogów? Nawet gdyby jakimś cudem przeżył ten koszmar i gdyby, również cudem, udało im się spotkać, czy mógłby nadal ją kochać? Rozdzielało ich zbyt wiele strasznych doświadczeń, zbyt wiele okropności, antagonizmów i nienawiści. Nie można oczekiwać, że wszystko ułoży się jak dawniej. Nie można zakładać, że przyjaźń, miłość czy namiętność przetrwają okrucieństwa wojny. Trąba powietrzna porwała ich obydwoje i nie wiedzieli, gdzie ich ciśnie.

Mimo to on może nadal żyć. Tego nie dało się wykluczyć. Nie wolno jej tracić nadziei. I gdy zaczęła powoli jechać drogą, przyszło jej do głowy, że jest coś, co mogłaby zrobić. Obozy jenieckie rozrzucone były po całych Niemczech, przebywały w nich dziesiątki tysięcy ludzi, Francuzów, Anglików, Belgów, Holendrów, Rosjan i przedstawicieli różnych innych narodowości. Wielu z tych ludzi żyło od kilku lat z dala od domów i rodzin. Kto wiedział, jak długo jeszcze potrwa ta

rozłąka? Na każdego z nich ktoś czekał – matka, żona, siostra, dziecko, kochanka. Z pewnością niezliczone kobiety, tak jak ona, wiedziały niewiele lub zgoła nic o losie tych, których kochały. Życie jeńca nieustannie wisiało na włosku, zależało od zrządzenia losu i od kaprysu tych, u których przebywał w niewoli. Mógł umrzeć z odniesionych ran, wskutek choroby albo braku pomocy. Mógł zginąć przypadkiem podczas alianckich bombardowań. Mógł zostać zastrzelony przy próbie ucieczki.

Była jedna, jedyna rzecz, którą mogła zrobić dla Oliviera. Wojna pochłonęła bardzo wiele bezimiennych ofiar, lecz ona, dopóki starczy jej życia, dopilnuje, by on nie stał się jedną z nich. Postanowiła czekać na niego i tak właśnie postąpi. Czy żyje, czy zginął, ona odkryje, co się z nim stało. Będzie o nim pamiętać. Za jej życia nigdy nie zostanie zapomniany.

Szpital wojskowy znajdował się na równinie Salisbury. Wysiadłszy z autobusu, którym oprócz licznej grupy kobiet przyjechała garstka żołnierzy, Kay stanęła przed szeregiem krytych blachą baraków z cegły.

Pielęgniarka skierowała ją do sali numer cztery. Tam Kay zapytała oddziałową o kapitana Blacklocka.

– Tylko nie dłużej niż piętnaście minut. On łatwo się męczy – powiedziała siostra.

Kay przesunęła spojrzeniem wzdłuż rzędów łóżek i zobaczyła Toma. Wciągnęła powietrze z nagłą obawą, co zastanie, i podeszła do niego.

Bandaże przykrywały część jego głowy; wygolono mu włosy, a lewa ręka tkwiła w gipsie. Nogę miał ułożoną na wyciągu podwieszonym do sufitu za pomocą skomplikowanego połączenia drutów z kołem pasowym.

– Tom – odezwała się Kay cicho.

– Kay. Co za cudowna niespodzianka. – Otworzył oczy.

– Nie obudziłam cię?

– Nie, tylko drzemałem. – Dźwignął się niemal do pozycji siedzącej. – Mogłabyś… poduszki…

Poprawiła je tak, by mógł się lepiej oprzeć i usiadła przy łóżku.

– To dla ciebie – powiedziała, pokazując mu bukiecik fiołków owinięty bluszczem i mchem.

– Jakie ładne. Przypominają o wiośnie. Miło z twojej strony.

– Jak się czujesz?

– O, dzisiaj lepiej. – Rozejrzał się po sali. – Zaczynam mieć powyżej uszu tego miejsca. To chyba dobry znak, nie sądzisz?

– Z całą pewnością. To przykre, że tak ci się dostało. Bardzo cię boli?

– Nie jest źle.

– Co się stało?

– Byłem w Anzio. – Wykrzywił twarz.

– Tak mi przykro. – Słyszała o zaciekłym ataku Niemców na przyczółek aliantów w Anzio, między Monte Cassino a Rzymem, i o wielkiej liczbie ofiar po alianckiej stronie. – Jeśli nie chcesz o tym mówić…

– Nie o to chodzi. Po prostu niezbyt dokładnie pamiętam, co się stało.

– Bardzo miło ze strony Minnie, że do mnie napisała. – Ścisnęła jego dłoń.

– Prosiłem ją o to. Moja rodzina nie może tu zbyt często przyjeżdżać z uwagi na odległość, więc pomyślałem: kogo jeszcze chciałbym zobaczyć? Kay, oczywiście.

Dostrzegła cień jego dawnego, przelotnego uśmieszku.

– Dobrze cię widzieć, Tom. No i wreszcie wróciłeś do domu.

– Czy pobraliście się już z Rowlandem? Na pewno podałaś mi w liście datę, ale zapomniałem, niestety.

– Ślub odbędzie się w sobotę.

– Moje gratulacje. Żałuję, że nie mogę na nim być.

– Ja też żałuję. Będę o tobie myślała.

– Och, nie powinnaś marnować czasu. Zabaw się trochę, Kay. Wybieracie się w podróż poślubną?

– Tak, do małej miejscowości w górach Cotswold. Dostaliśmy przepustki na czterdzieści osiem godzin.

– Gdy wojna się skończy, możecie pojechać w jakieś fascynujące miejsce.

– Zapewne tak. – Po chwili namysłu dodała: – Choć szczerze mówiąc, wydaje mi się, że już nie chcę podróżować. Pragnę tylko żyć spokojnie, żeby wszystko znowu było zwyczajne i normalne. Chcę, żebyśmy zamieszkali u Rowlanda w Tufnell Park i żyli dzień po dniu, robili zakupy, chodzili do pracy i wieczorami słuchali radia. To wszystko, co kiedyś uważałam za takie nudne i typowe dla ludzi w średnim wieku.

– Jaki on jest, ten twój facet?

– Nigdy nie kończą się nam tematy. – Uśmiechnęła się. – I kiedy z nim jestem, nawet najzwyczajniejsze rzeczy wydają się cudowne.

Sanitariuszka popychająca wózek z herbatą przystanęła obok łóżka Toma.

– Herbaty, kapitanie Blacklock?

– Poproszę.

Gdy wózek pojechał dalej, Tom powiedział:

– Przedtem kazali mi pić przez cholerną rurkę. Gdy dostaję filiżankę i spodek, czuję, że awansowałem.

Kay zauważyła drżenie jego ręki, kiedy sięgnął po filiżankę i zasugerowała:

– Może niech najpierw trochę ostygnie.

– Dobrze.

– Kocham go, Tom. A co jeszcze bardziej zdumiewające, Rowland kocha mnie.

– Powinien. Szczęściarz z niego.

Gdy tak rozmawiali, pomyślała, że Tom wygląda na wyczerpanego i smutnego. W jego oczach dostrzegła gorączkowe błyski. Podała mu filiżankę z herbatą, a kiedy wypił kilka łyków, odstawiła ją na szafkę przy łóżku.

– Czy coś ci przywieźć, Tom? – spytała. – Czy mogę coś dla ciebie zrobić?

– Nie miałbym nic przeciw paru książkom, jeśli znajdziesz coś lekkiego. Albo krzyżówki, byle nie za trudne. Nie sądzę, żebym teraz wiele zrozumiał z tej w „The Times”.

– Przywiozę następnym razem – obiecała. Zawahała się lekko. – Zastanawiałam się…

– Nad czym?

– Czy nie chciałbyś, żebym skontaktowała się z Edie.

Milczał przez kilka chwil, a potem odrzekł z namysłem:

– Nie, chyba nie. Miła jesteś, że to proponujesz, ale nie.

Wypił jeszcze trochę herbaty i wreszcie Kay powiedziała, że musi już iść, aby wrócić na noc do obozu. Zapinając płaszcz, dodała:

– Aha, ten dom, w którym pracowałeś, kiedy się poznaliśmy w Berlinie…

– Zimna Gwiazdka?

– Tak. Przedwczoraj wiozłam brygadiera przez hrabstwo Suffolk i widziałam tę nazwę. Został zajęty przez Siły Powietrzne Stanów Zjednoczonych.

– O rety – mruknął Tom. – Ciekawe, co na to Miles Culbone?

– W każdym razie pomyślałam, że może cię to zainteresować. – Ścisnęła jego dłoń. – Muszę pędzić. Uważaj na siebie, Tom.

– Mam nadzieję, że w sobotę wszystko pójdzie wspaniale. – Uśmiechnął się do niej. – Na pewno będziecie z Rowlandem bardzo szczęśliwi.

Przed wyjściem z baraku Kay zapukała do drzwi pokoju siostry oddziałowej.

– Czy mogłaby mi siostra powiedzieć, jaki jest stan kapitana Blacklocka? To znaczy, jaki jest naprawdę. Nie chciał o tym rozmawiać.

Siostra wsunęła list do koperty.

– Papierki – mruknęła. – Zawsze jest za dużo papierkowej roboty. Prawda, pani młodsza kapral? – Była młoda i ładna, i przeciągała samogłoski.

– Ja tylko prowadzę samochody.

– Szczęściara. Czasami żałuję, że nie znalazłam sobie podobnego zajęcia. – Uśmiechnęła się dziarsko. – Z kapitanem Blacklockiem było bardzo źle. Chirurg wyjął mu z nóg i brzucha cztery kule i z pół tuzina odłamków. Jedna z kul utkwiła bardzo blisko serca. Na okręcie szpitalnym dostał wysokiej gorączki i pogarszało mu się coraz bardziej, zanim tu trafił. Następuje jednak ciągła poprawa, jest młody i silny, więc przy odrobinie szczęścia powinien z tego wyjść.

– Jak długo pozostanie w szpitalu?

– Tak na oko, sześć do ośmiu tygodni. Będzie mógł wyjść, gdy tylko noga zrośnie mu się na tyle, by dał radę chodzić o kulach. Jego matka jest lekarzem, więc możemy go odesłać do domu nieco wcześniej niż w innych przypadkach.

– Dziękuję, siostro.

Gdy Kay odwróciła się w stronę drzwi, pielęgniarka odezwała się ponownie:

– Czy kapitan Blacklock powiedział pani, jak został ranny? Ciężarówka wjechała na minę. Wybuch wyrzucił kapitana z szoferki, ale część ludzi uwięzła w płonącej ciężarówce. Próbował ich wyciągnąć. Wtedy go postrzelono. Pani przyjaciel to odważny człowiek.

– Nie mówił mi o tym – odrzekła Kay. – Dziękuję, siostro.

Wyszła z budynku i zdała sobie sprawę, że nie widzi dobrze, ponieważ łzy zamgliły jej oczy. Nie potrafiła zrozumieć, dlaczego płacze – Tom wraca do zdrowia i przynajmniej nie walczy już we Włoszech, a ona i Rowland mieli w sobotę wziąć ślub. Ale łzy wezbrały i popłynęły; musiała na chwilę przystanąć na zimnym, świeżym powietrzu, zmuszając się do myślenia o planach ślubnych, kwiaciarni i tortach, zanim wydmuchała nos i ruszyła w stronę przystanku autobusowego.

Tom czuł, że coraz bardziej boli go głowa. Zastanawiał się przez chwilę, dlaczego bóle głowy zawsze wydają się o wiele gorsze niż jakiekolwiek inne. Sanitariuszka zapytała, czy napije się jeszcze herbaty, Tom podziękował, a gdy poprawiono mu poduszki, położył się i zamknął oczy. Męczył go każdy drobiazg, a czując, iż tak łatwo się męczy, miał dość samego siebie. Zauważył, że jest coś, co musiał rozgryźć, coś ważnego, co mu się wymykało, bo był zbyt zmęczony, by się skupić.

Chętnie porozmawiałby z Kay trochę dłużej. Pomyślał, jak promieniała szczęściem. Bardzo dobrze, zasłużyła na nie. Miała wielką zdolność cieszenia się wszystkim, czerpała radość z najdrobniejszych rzeczy – takich jak kawałek *Apfelkuchen* w kafejce w Berlinie czy wygodne miejsce na nocnym promie. No

i przynajmniej Rowland Latimer wydawał się lepszy niż ten padalec Johnny Gilfoyle.

Usłyszał kroki i otworzył oczy. Stała przy nim pielęgniarka. Włożyla mu termometr do ust i zbadała puls.

– Obawiam się, że znowu ma pan podwyższoną temperaturę, kapitanie Blacklock. – Cmoknęła z niezadowoleniem. – Może jeszcze za wcześnie na przyjmowanie gości. Bardzo pana boli?

– Trochę – przyznał.

– Dam panu coś na złagodzenie.

– Nie – zaprotestował. Zabrzmiało to ostrzej, niżby chciał; pielęgniarka zrobiła wystraszoną minę. – Przepraszam – dodał pospiesznie. – Po prostu po tych pigułkach jestem otumaniony, a jeszcze przez chwilę chciałbym być przytomny.

– Więc zaczekam pół godziny – powiedziała. – Proszę się nie męczyć. – Poklepała go po ręce i odeszła.

Kiedy został sam, zaczął przetrząsać pamięć. Robił to kilka razy dziennie, chcąc wypełnić luki. We wrześniu ubiegłego roku był w jednym z oddziałów alianckich, które przepłynęły z Sycylii przez Cieśninę Messyńską na ląd. Sześć dni później amerykańska 5. Armia wylądowała w Salerno, na południe od Neapolu. Wojska napotkały zaciekły opór wroga i dopiero po kilku dniach ciężkich walk, gdy nadeszła z południa 8. Armia, przyczółek został umocniony. Pod koniec września alianci zajęli Neapol. Wycofując się z południowych Włoch, Niemcy zaminowali drogi. Rozbrajanie min było powolnym, żmudnym, niebezpiecznym zajęciem.

Przypominał sobie wszystko, co widział tamtej zimy, zmierzając na północ z czubka palców włoskiego buta. Smagane sztormem Morze Tyrreńskie, widoczne przez chwilę, gdy rozstąpiły się chmury. Szeroka ścieżka wyłożona brukowymi kamieniami, lśniąca od deszczu, która biegła w górę zbocza. Drzewka oliwne w popękanych terakotowych donicach, z odsłoniętymi korzeniami i szarozielonymi liśćmi, drżącymi pod kroplami deszczu.

Pewnego razu, gdy omijał leje po bombach i wyboje, wioząc dyplomatkę z dokumentami do kwatery głównej innej dywizji, zatrzymał się przed jakąś willą niedaleko Sorrento. Była otoczona lasem i zaroślami. Ciemne, smukłe zimozielone drzewa stały niczym

strażnicy wzdłuż ścieżek i wokół klombów. Ogrodowy murek z kamienia tak starego, że mógł tam się znajdować od czasów starożytnego Rzymu, częściowo się rozpadł.

Kiedyś musiało być przyjemnie chronić się przed żarem włoskiego słońca na werandzie willi, lecz teraz jedna strona budynku się zawaliła, a sterta kamieni i dachówek leżała obok tego, co ocalało. Jeszcze niedawno Tomowi nie przyszłoby na myśl, że w takich ruinach ktoś może żyć. Przekonał się jednak, iż ludzkie istoty potrafią wytrzymać w najbardziej niesprzyjających warunkach, że będą się trzymać swoich domów kurczowo i tak długo, jak to tylko możliwe – i teraz zobaczył przez zasłonę deszczu oznaki świadczące o tym, że w willi wciąż ktoś mieszka: w pustym kominku piętrzyła się sterta drewna, a ścierki do naczyń wisiały na sznurku rozciągniętym prowizorycznie pod poszarpanym fragmentem dachu. W pokojach wystawionych na działania żywiołów odłamki szkła zaścielały podłogi, mieszając się z brązowymi i szkarłatnymi liśćmi winorośli, plamiącymi marmur niczym krew i sińce. Pozostały resztki umeblowania niegdyś zapewne przyjemnego salonu – ciężka sofa z przemoczoną tapicerką, fortepian, którego drewniane pudło było spuchnięte i popękane od wilgoci.

Usłyszał lekkie uciekające kroki. Zawołał po włosku do mieszkańców willi, zapewniając, że nie zamierza wyrządzić im krzywdy. W trakcie podróży widywał dzieci, które mieszkały wśród ruin i buszowały w gruzach, grzebiąc w nich jak małe lisy. Zostawił na poręczy sofy tabliczkę czekolady i wrócił do dżipa.

Bardzo niewiele pamiętał z wypadku, podczas którego został ranny. Przypominały mu się oderwane obrazy, jak zatrzymane klatki filmowe – siedział w szoferce ciężarówki, wpatrując się przez przednią szybę w krajobraz okolicy na południe od Anzio, cały w zimowych brązach i szarościach. Było przenikliwie zimno, ale żołnierze z tyłu śmiali się i żartowali. Inny obraz: leżał w zaroślach na poboczu drogi, a ciężarówka płonęła. Dalej już nic. Zupełnie nie pamiętał punktu sanitarnego dla rannych, ale przypominał sobie niewyraźnie okręt szpitalny i długą podróż do kraju. Ze wspomnieniami przeplatały się gorączkowe sny, barwne i przerażające. Usłyszał od lekarza, że zdążył wyciągnąć jednego czy dwóch żołnierzy z ciężarówki, jednak

sam tego nie pamiętał. Zastanawiał się, czy to się liczy, jeśli zrobisz coś, co inni uważają za odważny czyn, ale ty sam nic nie pamiętasz. Drażniło go, że tak wiele zapomniał – na studiach, wkuwając do egzaminów, potrafił przywołać w pamięci całą stronę książki przez prostą wizualizację, a teraz, proszę, stracił obszerne fragmenty zdarzeń.

Najgorszą obawą Toma, odkąd obudził się zdezorientowany i wyczerpany z półomdlenia, było to, że jego umysł nie będzie już działał tak jak dawniej. Chirurg zapewnił go, że rana głowy nie była głęboka i że objawy wstrząśnienia mózgu z czasem miną, ale Tom nie mógł przestać o tym myśleć. Lekarze wyrazili również optymistyczne przekonanie, że jego noga się zrośnie, choć prawdopodobnie przez całe życie będzie kulał. Zakładano też, iż wszystkie uszkodzenia w brzuchu w końcu się zagoją. Ale przerażała go myśl, że już nigdy nie będzie miał w pełni jasnego umysłu.

– To przez to, kim jesteśmy – powiedziała Minnie, kiedy odwiedziła go w weekend. – My, Blacklockowie. Szczycimy się naszymi możliwościami intelektualnymi. Pamiętasz, jak tata, kiedy byliśmy mali, urządzał nam przy obiedzie sprawdziany z ortografii? Kazał przeliterować takie słowa, jak „archimandryta", „onomatopeja" czy „paralipomena". Jeszcze teraz, ilekroć jem pudding z melasą, mam wrażenie, że zaraz będę musiała przeliterować jakieś zawiłe słowo. W tym nasz kłopot: boimy się, że bez bystrości umysłu będziemy nikim. A ja myślę, że to nieprawda.

Myśleć. Musiał pomyśleć i spróbować coś zrozumieć. Co to było? Poprosił Minnie, żeby napisała do Kay. Wydawało mu się sprawą najwyższej wagi pamiętać o poproszeniu Minnie, żeby napisała do Kay – pielęgniarka zapisała to na karteczce i położyła na szafce przy łóżku, by mu przypomnieć. No i dzisiaj zobaczył ją, gdy tylko otworzył oczy. Widział ją po raz pierwszy od ponad dwóch lat. Poczuł przypływ ulgi i dobrego nastroju. Zapomniał o bólu i ranach. Kay była przy nim, taka sama jak dawniej, nietknięta przez wojnę i piękna jak zawsze, więc wszystko w porządku.

Jej propozycja zawiadomienia Edie go zaskoczyła. O kim myślał, za kim tęsknił, przemierzając zniszczone wojną Włochy? Nie o Edie, już nie o niej.

Żeby to pojąć, nie trzeba było geniuszu. Wyglądało na to, że w którymś punkcie drogi zakochał się w Kay. Czy można zakochać się *in absentia*? Może to uczucie zawsze istniało, niczym żyła złota w skale, a on był zbyt głupi, żeby je dostrzec. Jego wyczucie czasu, które nigdy nie było dobre, stało się wyjątkowo kiepskie. Za trzy dni Kay wychodzi za mąż. Jęknął głośno, na co pielęgniarka, która sprawdzała kartę innego pacjenta, odwróciła się do niego, kręcąc głową.

– Musi pan odpocząć, kapitanie Blacklock – powiedziała. – Zaraz przyniosę panu środek przeciwbólowy.

Miranda prawie codziennie chodziła do lasu zbierać drewno na opał. Czasami zabierała małego Ericha; w inne dni szła sama, mając jedynie Giselę za towarzystwo. Zima wprawdzie minęła, ale musieli mieć drewno do kuchennego pieca i grzania wody. Widziała, że ich przetrwanie może zależeć od tego, czy będą mieli dość drewna. Kazała mężczyznom, którzy pozostali w domu, starszym służącym i jeńcom wojennym składać drewno w różnych częściach domu i posiadłości, na wypadek, gdyby przyszli funkcjonariusze gestapo i zarekwirowali opał na potrzeby wojny.

Niekiedy szła do brzozowego zagajnika, innym razem do sosnowego lasu. Tego popołudnia wybrała sosnowy las. Kroczyła po ścieżkach wysłanych sosnowymi igłami, zbierając suche gałązki i gałęzie. Gisela biegła przed nią. Choć świeciło słońce, tutaj było zimno i ciemno. Powietrze pachniało żywicą i zbutwiałym drewnem. Miranda zapuszczała się coraz głębiej, szukając miejsc, do których nie dotarła wcześniej. Miała na sobie płaszcz przeciwdeszczowy i skórzane rękawiczki, ponieważ gałęzie, które zbierała, były twarde i ostre.

Gisela zawróciła do niej i zaskomlała.

– O co chodzi, kochanie? – spytała Miranda. W zimnym otoczeniu drzew jej głos brzmiał głucho.

Usłyszała nagły szelest i znieruchomiała, patrząc przed siebie. Jeleń, być może, albo dzik. Ale po chwili rozległ się następny dźwięk.

Męski głos.

Pochyliła się, zaczepiła smycz o obrożę i przyłożyła palec do ust.

– Cicho, Giselo – nakazała jej szeptem.

Sosnowy las należał do majątku Sommerfeld. Wyłącznie von Kahlbergom, ich służbie i dzierżawcom wolno było tu polować i zbierać drewno. Podeszła kawałek do miejsca, gdzie drzewa rosły rzadziej. Poczuła zapach dymu. Zza wąskich, czarnych, przypominających kolumny pni dostrzegła liczne postaci mężczyzn; jedni siedzieli na kłodach albo przed prowizorycznymi szałasami, inni stali, przechadzali się lub palili papierosy. Naliczyła ich ponad dwa tuziny. Byli ubrani w podarte, brudne koszule, płaszcze i kurtki, a niektórzy mieli bluzy mundurowe i marynarskie czapki. Kłąb dymu uniósł się z ogniska, nad którym zawieszono kociołek. Z gałęzi zwisały manierki. Od czasu do czasu któryś z mężczyzn coś mówił, lecz odległość zacierała głosy i Miranda nie potrafiła rozpoznać języka.

Gisela zawarczała cicho. Jeden z obcych podniósł głowę i sięgnął po coś do wnętrza szałasu. Przeszedł kilka kroków, oddalając się od pozostałych i zbliżając do miejsca, w którym stała Miranda. Kiedy nadchodził, zobaczyła go wyraźniej. Miał potargane włosy, rozwichrzoną brodę, oczy twarde i zmrużone. Jego karabin powoli zatoczył łuk. Miranda zrobiła krok w tył, uważając, by stąpać tylko po igłach i nie nadepnąć na suchą gałązkę, i odeszła czym prędzej.

Spiesząc z powrotem wąską ścieżką wśród drzew, z Giselą przy nodze i stertą gałęzi w ramionach, przez cały czas czuła za sobą obecność tamtych obcych i widziała czarny, okrągły wylot lufy karabinu. Nasłuchiwała miękkiego tupotu stóp, szelestu i trzaśnięcia złamanej gałęzi. Kim byli ludzie ukrywający się w lasach Sommerfeld? Dezerterami? Przestępcami? A może zbiegłymi jeńcami wojennymi albo Polakami bądź Żydami, którzy uciekli z transportu? Słyszała, że w głębokich, ciemnych lasach wschodniej Europy są obozy partyzanckie, miejsca schronienia dla uciekinierów, bazy wypadowe tych, którzy stawiają opór rządom terroru i walczą.

Nawet na otwartej przestrzeni Miranda wciąż wyczuwała niebezpieczeństwo. Padały na nią promienie wiosennego słońca, lecz było jej zimno w środku. Musiała prędko wrócić do domu i ostrzec

ludzi, żeby nie zapuszczali się w głąb lasu. Nadchodzili wrogowie, najeźdźcy. Sommerfeld przestało być bezpieczne.

Po pięciu tygodniach szpitala Toma odesłano do domu, do Cambridge. Matka opiekowała się nim, zostawiała mu lunch na przykrytym talerzu w spiżarni w te dni, kiedy pracowała w Addenbrooke i przypominała, żeby zażył lekarstwa. Ojciec zaglądał do domu między seminariami, żeby powiedzieć „cześć" i spędzić z synem przyjacielskie pół godziny przy dalszym ciągu partii szachów. Kiedy Tom zostawał sam – a zdarzało się to często – zmuszał się do kuśtykania o kulach po Midsummer Common i rzucania patyka psu. Dmuchał lodowaty wschodni wiatr; ludzie w Cambridge zwykli mówić, że wieje prosto z Uralu. Raz czy dwa ktoś go odwiedził, ale większość znajomych była daleko, we Włoszech albo w Birmie, albo na pokładzie okrętu prującego fale północnego Atlantyku i wiozącego zaopatrzenie do Archangielska lub Murmańska. Inni zaszyli się w obozach wojskowych w południowej Anglii i czekali. Oczekiwali dnia, w którym przepłyną kanał la Manche i zacznie się bitwa o oswobodzenie Europy.

Tom czuł się dziwnie odgrodzony od wszelkich wiadomości wojennych. Sąsiedzi zaglądali na pogawędkę, dowiadywali się o jego zdrowie. A potem zaczynali mówić o wojnie i pytali go, kiedy, jego zdaniem, to nastąpi – mając, oczywiście, na myśli desant i drugi front. „Wkrótce", odpowiadał zawsze, ponieważ zdawali się oczekiwać jakiejś odpowiedzi. Pewnego wieczoru jego matka przyjrzała mu się uważnie i zagadnęła: „Nie czujesz się nieszczęśliwy, prawda, Tom?" – a on mógł odpowiedzieć szczerze, że nie, ani trochę. Nie czuł się nieszczęśliwy ani też szczęśliwy – tak naprawdę w ogóle niewiele czuł. Zupełnie jakby wybuch miny przekręcił jakiś wyłącznik w mózgu, wymazując zdolność odczuwania. Nie miał pojęcia, co będzie robił dalej. Przypuszczał, że gdy skończy się okres rekonwalescencji – lekarz wojskowy powiedział, że upłyną prawdopodobnie następne trzy miesiące, zanim Tom w pełni wróci do sił – znajdą dla niego jakąś pracę przy biurku. Może tłumaczenia, bo znał języki. Ale później, po wojnie… Przyszłość wydawała się

mroczna i bezkształtna, całkowicie zniechęcająca. Nie przychodziło mu do głowy nic, czego mógłby pragnąć, nie miał żadnego celu w życiu.

Wschodni wiatr zelżał i zastąpiły go łagodne powiewy, a spoza przemykających po niebie chmur błysnęło słońce. Wielkie białe świece rozkwitły na gałęziach kasztanowców na błoniach. Tom mógł już odstawić kule i chodził tylko o lasce. Codziennie zmuszał się, aby przejść nieco dłuższy kawałek. Wzdłuż rzeki, wokół Backs, a później przez miasto. Wydawało mu się, że już mniej utyka. I uderzyło go, jacy mili potrafią być obcy ludzie. Raz, kiedy zatrzymał się, żeby odetchnąć, jakiś starszy gość w cywilnym ubraniu poczęstował go papierosem. Kiedy indziej znów, gdy noga tak go rozbolała, że nie mógł ustać i musiał przysiąść na stopniach jednego z domów przy Bateman Street, przez frontowe drzwi wyszła elegancko ubrana kobieta. Chciał wstać, ona jednak poklepała go po ramieniu, mówiąc, że może sobie siedzieć, jak długo zechce.

Czuł, jak powoli wraca do zdrowia. Mógł, jeśli nie wybierał się zbyt daleko, zostawić laskę w domu. Pewnego dnia pomaszerował ścieżką flisacką. Gdy dotarł do Bridge Street, mięśnie w jego nodze wyły z bólu, ale był cały i czuł się tak zadowolony z siebie, że uczcił to kuflem piwa w Pickerelu.

Zaczął wypuszczać się dalej. Zdawał sobie sprawę, że musi odzyskać wiarę w siebie, że tylko podejmując określony wysiłek każdego dnia, zdoła uwierzyć, iż jest w pełni zdrów. Plakaty na dworcu kolejowym pytały, czy jego podróż to naprawdę konieczność, lecz je zignorował – zrobił swoje i należała mu się od czasu do czasu przejażdżka pociągiem. Niczego nie planował, kupował bilet i wysiadał na pierwszej małej stacyjce na pustkowiu, jaka mu się spodobała. Potem włóczył się po polach, lasach, nad rzeką. Wydawało mu się, że samo chodzenie ma działanie lecznicze. Nie przeszkadzało mu oczekiwanie na pociągi, które były odwołane lub opóźnione, ani godziny spędzane w poczekalniach pełnych przeciągów.

Pewnego dnia pojechał do Lavenham. Ze stacji doszedł do centrum miasteczka. Dzień był piękny i żywopłoty okryte majowymi pąkami

dodały Tomowi ducha. Słońce przygrzewało łagodnie, zupełnie inaczej niż na pustyni.

Lavenham wyglądało tak, jak je zapamiętał, staroświecko i uroczo, lecz – podobnie jak reszta Anglii – wyraźnie podupadło. Część średniowiecznych budynków ze wspornikami na frontonach i wykuszowymi oknami znajdowała się w opłakanym stanie, ich kryte strzechą dachy były szare i porośnięte mchem, ozdobne wzory na tynkach odpadały od wapiennego podłoża.

Człowiek, który zamiatał chodnik przed sklepem, polecił Tomowi małą restaurację, gdzie można zjeść lunch. Czarny Kot mieścił się naprzeciw ratusza. W oknach wisiały zasłony w kratkę, a na drzwiach wywieszka „Otwarte". Rozległ się dźwięk dzwonka, gdy Tom wszedł do salki, w której siedziały przy stolikach wiekowe staruszki, popijając herbatę i jedząc lunch. Podłoga była nierówna, niewielkie stoliki stały blisko siebie, a krzesła miały wrzecionowaty kształt. Tom poczuł się wielki i niezgrabny; zaczął się obawiać, że źle postawi stopę i wywróci na podłogę stoliki i krzesła razem ze staruszkami.

Kelnerka w różowym fartuszku w kratkę podeszła, by przyjąć zamówienie. Wybrał jakieś danie z jadłospisu, po czym zapytał ją o Zimną Gwiazdkę. Kelnerka znała panią Bowles, gospodynię Milesa Culbone'a. Tom dowiedział się, że pani Bowles zrezygnowała z pracy, kiedy zarekwirowano dom. Przebywała teraz w Shropshire u siostry. Panu Culbone'owi pozwolono zostać w Zimnej Gwiazdce, zamieszkał nad garażem, w tak zwanych pokojach szofera – jak je określano w czasach, gdy Tom tam pracował – choć Miles nie zatrudniał szofera.

Po lunchu Tom poszedł na przystanek autobusowy. Studiując rozkład jazdy, przekonał się, że autobus przejeżdża obok Zimnej Gwiazdki tylko dwa razy w tygodniu, ruszył więc pieszo. Zostawiwszy miasto za sobą, znalazł się na znajomej drodze między wysokimi drzewami. Kiedy pracował u Milesa Culbone'a, jeździł tą drogą dwa razy dziennie, rano i wieczorem. W bukowym lesie jaśniały błękitne dzwonki, a słońce połyskiwało w strumieniach i stawach. Za żywopłotami na każdym skrawku żyznej ziemi zieleniły się uprawy.

Maszerował godzinę i zaczynał już odczuwać zmęczenie, gdy obok niego zatrzymał się dżip.

– Podwieźć pana? – zawołał czyjś głos.

W wozie siedzieli dwaj amerykańscy oficerowie. Tom poinformował ich, że zmierza do Zimnej Gwiazdki.

– No to masz szczęście, kolego. Właśnie tam jedziemy. Wskakuj.

Ruszyli drogą, a kierowca, prowadząc jedną ręką, podsunął Tomowi paczkę lucky strike'ów.

– Częstuj się. Zimna Gwiazdka, co za dom. Przedpotopowa instalacja, a ile razy wchodzę do pokoju, tłukę głową o nadproże.

Rozmawiali, oczywiście, o drugim froncie. „W każdej chwili – powiedział kierowca. – Ike czeka na ładną pogodę, ale czy w tym kraju miewacie ładną pogodę dłużej niż jeden dzień?".

Dżip zwolnił przed bramą z kutego żelaza, za którą zaczynał się kręty podjazd do Zimnej Gwiazdki. Kierowca porozumiał się z wartownikiem i auto wjechało na żwirowy trakt. Przez chwilę Tomowi zdawało się, że nic tu nie uległo zmianie, lecz zaraz potem, gdy wychynęli spomiędzy drzew i zobaczył dom, wiedział już, że zmieniło się wszystko. Dziedziniec był zastawiony dżipami, innymi autami i motocyklami. Kilku mężczyzn grało w piłkę na trawniku. Przez otwarte okno słychać było głos kogoś rozmawiającego przez telefon.

– Whitehall trzy sześć siedem. Powtarzam: trzy sześć siedem. Dzięki, skarbie. Zaczekam.

Telefon, pomyślał Tom. W Zimnej Gwiazdce.

Wysiadł, podziękował za podwiezienie i już ruszał w stronę garaży, gdy z domu wyłoniła się jakaś postać. Miles Culbone jakby się skurczył w ciągu tych sześciu lat, odkąd widzieli się ostatni raz. Zawsze szczupłej budowy, wydawał się teraz starszy i chudszy, niż Tom pamiętał, i poruszał się powoli, z laską w jednej ręce, podczas gdy drugim ramieniem obejmował troskliwie kilka książek. Jego siwe włosy były mocno przerzedzone, twarz zapadnięta i pobrużdżona, a tweedowa marynarka i spodnie łopotały luźno na przygarbionym, wątłym ciele. Tom podszedł do niego po żwirze.

– Dzień dobry, panie Culbone. Mogę panu pomóc z tymi książkami?

– Kto to? – Przestraszony Miles zamarł w bezruchu, przyciskając do piersi swój skarb. – Czego pan chce?

– Tom Blacklock, panie Culbone. Pamięta mnie pan?

– Oczywiście, że pamiętam – burknął starzec. – Uważa mnie pan za głupca?

Jego oczy przesłonięte grubymi szkłami okularów zwróciły się w stronę Toma. Nie potrafiły się jednak na nim skupić i Tom zadał sobie pytanie, czy wzrok Culbone'a, kiepski już wówczas, gdy u niego pracował, jeszcze się pogorszył.

– Po co pan tu przyjechał, panie Blacklock? – zapytał szorstko Culbone.

– Pomyślałem, że chciałbym jeszcze raz zobaczyć dom. Zawsze mnie zachwycał. Chciałem zobaczyć, czy wciąż jest taki sam.

Culbone prychnął wzgardliwie.

– Sam pan widzi, co tu się dzieje… Ci młodzi ludzie nie mają pojęcia o wartości mojego księgozbioru. To oburzające, że tego typu istoty wprowadza się do takiego domu jak Zimna Gwiazdka. Z pewnością można było znaleźć dla nich coś mniej cennego.

– Wątpię, by musiał pan ich jeszcze długo znosić – odrzekł Tom zimno. – Przypuszczam, że wkrótce zejdą panu z drogi.

– Mam nadzieję, że się pan nie myli.

Odwrócił się i książka z samej góry wyśliznęła mu się z objęć. Tom złapał ją, powiedział:

– Niech pan pozwoli – i wziął od Milesa całe naręcze książek.

– Tak, tak – mruknął Culbone z rozdrażnieniem i ruszył, utykając, w stronę mieszkania szofera. A potem, ku zdumieniu Toma, dodał niechętnie: – Dziękuję.

Tom poszedł za nim, niosąc książki. Cóż za parę muszą tworzyć, pomyślał z cierpkim humorem, stary i młody mężczyzna, obaj kuśtykający po żwirze.

Garaż i mieszkanie nad nim mieściły się w niewielkim kwadratowym budyneczku z cegły, stojącym przy odległym krańcu domu. Pan Culbone otworzył frontowe drzwi i wszedł do mieszkania. Tom podążył za nim stromymi, wąskimi schodkami. Gospodarz wspinał się powoli, trzymając się poręczy, wymacując drogę w przyćmionym świetle. Tom zrozumiał, że starzec jest już prawie ślepy.

Schody kończyły się niewielkim, niskim pokojem, w którym stały sofa i fotel. Książki upchane były na półkach i piętrzyły się w stertach na podłodze.

Culbone kręcił się wokół Toma, sprawdzając, czy układa książki dokładnie we wskazanym miejscu. Następnie, zaskakując go po raz drugi, przemówił:

– Przypuszczam, że napiłby się pan herbaty.

– Z największą przyjemnością. Dziękuję.

Starzec poczłapał wolno do przyległego pomieszczenia. Przez otwarte drzwi Tom dojrzał maleńką kuchnię. Była skąpo i, zdaniem Toma, przygnębiająco umeblowana: stół, krzesło i pojedynczy gazowy palnik, na którym gospodarz postawił imbryk. Siatka osłaniała resztkę bochenka chleba i słoik z pozostałościami czegoś, być może dżemu. Na półce stało pół tuzina puszek, a na parapecie okiennym butelka mleka. Naczynia stołowe piętrzyły się w zlewie w mętnej wodzie. Pomieszczenie wydawało się brudne, podobnie jak pokój, gdzie siedział Tom. Było to mieszkanie kawalera, mężczyzny, który przez całe życie trzymał służących i nie potrafi dać sobie bez nich rady.

Herbata okazała się szarawa i letnia. Po powierzchni pływały listki. Rozmawiali przez chwilę, Culbone narzekał na pogodę, nikłe postępy swoich badań, hałaśliwe zachowanie amerykańskich żołnierzy. Wtem, nieoczekiwanie, zakaszlał i dodał:

– Skoro już pan tu jest, może zrobiłby pan coś dla mnie, panie Blacklock.

– Owszem, jeśli będę mógł. – Tom zerknął na niego szybko.

Culbone zdjął okulary i zaczął przecierać szkła. Bez ich osłony szarobure, zmętniałe oczy starca wyglądały bezbronnie.

– Potrzebuję kogoś, kto napisze list do mojego notariusza. Mój wzrok… – umilkł na chwilę. – Widzi pan, nie czuję się dobrze.

– Przykro mi to słyszeć.

– Rak. – Culbone uciszył Toma pospiesznym gestem. – Twierdzą, że nie potrafią go wyleczyć. Ulżyło mi w pewnym sensie, bo całe życie nie znosiłem szpitali. Ale chodzi mi o dom. Muszę zabezpieczyć ten dom. – Sięgnął, niewątpliwie odruchowo, po książkę leżącą na stoliku. Przesunął opuszkami palców po oprawie, lecz nie spojrzał na kartki. – To niedopuszczalne, żeby Zimna Gwiazdka dostała się w nieodpowiednie ręce. Słyszałem o starych domach, które podzielono na pojedyncze mieszkania. – Wymówił to słowo z odrazą.

Splótł palce. – Dom powinien zostać w rodzinie. Sama myśl, że Zimną Gwiazdkę mógłby przejąć ktoś obcy, jest nie do zniesienia.

– Pani Fielding ma trzy córki. Czemu nie zapisze pan domu którejś z nich?

Culbone przybrał pogardliwy wyraz twarzy.

– Kobiety. Gdyby mój kuzyn zdołał spłodzić syna…

– Pani Edith Dangerfield ma syna. I zawsze bardzo lubiła ten dom. Mógłby pan zostawić jej Zimną Gwiazdkę. Raz czy dwa spotkałem męża pani Dangerfield, który jest człowiekiem kulturalnym, zainteresowanym historią i sztuką. Ponadto jest dobrze sytuowany. Ktoś, kto odziedziczy Zimną Gwiazdkę, musi posiadać środki na jej utrzymanie. Sądzę, że Edie i jej mąż zadbaliby o dom. – Tom wzruszył ramionami. – To tylko sugestia. Jeśli mi pan wskaże, gdzie trzyma pióro i papier, napiszę ten list.

Po zatęchłym półmroku mieszkania Milesa Culbone'a dobrze było znaleźć się znowu na świeżym powietrzu. Jakiś dżip wjechał na dziedziniec z rykiem silnika i piskiem hamulców, wzbijając fontannę żwiru.

– Lavallo, ty cymbale! – wrzasnął ktoś.

Trzasnęły drzwi i stado gawronów zerwało się do lotu z wysokich drzew.

Tom szedł przez teren posiadłości. W kieszeni miał list do notariusza z prośbą, by ten zechciał odwiedzić pana Milesa Culbone'a. Tom obiecał doręczyć list osobiście do biura notariusza w Lavenham.

W ziołowym ogródku lawenda wypuściła szarawe pączki, a pszczoły brzęczały wśród liści szałwi i tymianku. Na kamiennej ławce drzemał rudy kot, wyciągnąwszy leniwie jedną łapę. Tom spojrzał w stronę domu. Wykuszowe okna były ciemne i nieodgadnione; twarz Zielonego Człowieka, okrągła i obramowana liśćmi, patrzyła w dal z wysokiej ochrowej ściany.

Zimna Gwiazdka, która tak go oczarowała, gdy po raz pierwszy przyjechał tu do pracy, urzekała go nadal swą historią i wdziękiem. Gracze w piłkę weszli do domu i gdy Tom przeciął trawnik, kierując

się ku drzewom wyznaczającym granice posiadłości, w Zimnej Gwiazdce znowu panowała cisza. W pobliżu smukłych białych pni brzóz marmurowe dziecko, osłonięte kolumnami, spało na swoim katafalku. Tom okrążył grobowiec, odczytując napis. „Wzniesiono w roku żałoby, 1880, CC". Stracić ukochaną żonę i dziecko w ciągu kilku miesięcy – to istotnie powód do żałoby.

Dawne tragedie, które odeszły przed laty i zostały zapomniane. Przetrwa tylko ten dom, Zimna Gwiazdka. Dlaczego prosił Milesa Culbone'a o zapisanie Zimnej Gwiazdki Edie? Swoiste wyrównanie rachunków, pomyślał Tom. Koniec, kropka, gruba linia.

Sam zaś stał przez chwilę z zamkniętymi oczami. Bolała go noga, ale także serce. Odkrył, że miłość wiąże się czasami z wyrzeczeniem. Czasami bywa tak, że najlepsze, co można zrobić dla ukochanej osoby, to odsunąć się na bok i pozwolić, by żyła własnym życiem. Kay nie była jego i nie miał do niej żadnego prawa. Jedyne, co jej podaruje, to przyjaźń. Nic więcej.

Tom przeszedł na drugą stronę trawnika, pomaszerował podjazdem aż do bramy, po czym ruszył drogą prowadzącą do Lavenham.

Rozdział 14

Wyczekiwanie dobiegało końca. Unieważniono wszystkie przepustki, a oddziały, które miały brać udział w desancie na okupowaną Francję, zostały przeniesione do obozów wyznaczonych na miejsca bezpośredniego przygotowania całej operacji, otoczonych drutem kolczastym i patrolowanych przez wartowników. Odłączono telefony, zaplombowano skrzynki pocztowe, żołnierze otrzymali zakaz kontaktowania się ze światem zewnętrznym. W południowej Anglii, przekształconej na pierwsze sześć miesięcy 1944 roku w jeden wielki obóz wojskowy, zapanował spokój. Wydobyto zapasy amunicji ze składów w lasach Hampshire, z wojskowych pojazdów usunięto maskujące siatki i gałęzie i przetransportowano wszystko na właściwe miejsca. Zgromadzone okręty stanęły na kotwicy u wylotu kanału Solent, zacumowane szeregami po sześć i siedem, gotowe do przepłynięcia La Manche. W Londynie, podobnie jak w niezliczonych miastach i miasteczkach w hrabstwach Surrey, Hampshire, Wiltshire, Dorset i Devon, opustoszały ulice. Amerykańscy chłopcy z ich niewyczerpanymi zapasami słodyczy i gumy do żucia zniknęli, a wraz z nimi zespoły muzyczne, tak lubiane przez miejscowe dziewczęta. Pełni werwy polscy oficerowie, czarujący Wolni Francuzi, wysocy Kanadyjczycy i uśmiechnięci Australijczycy – wszyscy wyjechali. Wyludniły się wielkie dworce kolejowe Londynu, gdyż teraz przewożono jedynie oddziały żołnierzy, a na ulicach, wypełnionych aż do końca maja pojazdami wojskowymi, zapanowała cisza, którą mąciły jedynie od czasu do czasu terkot roweru albo stukanie kopyt kucyka ciągnącego dwukółkę. Tylko połamany żywopłot wzdłuż wiejskiej drogi albo ślad po odłupanym tynku na rogu domu w centrum miasteczka dawały nieme świadectwo przetaczania się

tędy czołgów, pojazdów gąsienicowo-kołowych i ciężarówek, które zmierzały do obozów wojskowych.

Rano, zaledwie się obudziłeś, włączałeś radio, żeby posłuchać wiadomości. Włochy, Rosja, Daleki Wschód, Pacyfik – to wszystko straciło dotychczasowe znaczenie. Ilekroć wychodziłeś z domu czy biura, twoje spojrzenie natychmiast wędrowało ku stoiskom z gazetami. Napięcie wisiało w powietrzu. Próbowałeś coś wyczytać z twarzy innych pasażerów w kolejce podziemnej i przechodniów mijanych na ulicy. Czekałeś.

Po upałach ostatnich dni maja nadciągnęły burze z piorunami. Ołowiane niebo, niespokojne morze w kanale La Manche. Przy złej pogodzie to niemożliwe, mówiono. Wszędzie panował nastrój wyczekiwania i lęku.

„Co jest gorsze? – zapytał ją Rowland – nuda czy strach?". „Nuda – odpowiedziała. – Kiedy się boisz, przynajmniej czujesz, że żyjesz".

Kay spędzała noc w obozie w hrabstwie East Anglia. Zbudziła się o świcie, wstała z łóżka i podeszła do okna. Odsuwając na bok kotarę zaciemnieniową, spojrzała w górę. Dziewczyna, która stanęła obok niej, powiedziała:

– O Boże, tam są ich całe cholerne tysiące.

Czerwone, zielone i żółte światła samolotów błyskały na niebie koloru stali. Czarnych kadłubów wciąż przybywało, niemal całkowicie przesłoniły chmury. Nadlatywały fala za falą, niezliczone, ryk silników narastał, a ogłuszające, pulsujące wibracje zdawały się przenikać cienkie ściany baraku, docierały do mózgu i kości. Kay nie mogła myśleć, nie mogła mówić. Czuła się tak, jakby stała na brzegu morza, o który uderzają gnane sztormem fale.

– Masz tam kogoś? – zapytała stojąca obok dziewczyna.

– Tak, męża. A ty?

– Jednego faceta, z którym się parę razy umówiłam. – Dziewczyna prychnęła lekceważąco. – To drań, wiem, że spotyka się z innymi. Ale jest uroczy.

Mieli dla siebie tak niewiele czasu. Wzięli ślub w urzędzie stanu cywilnego; bo żadne nie było w najmniejszym stopniu religijne. Rowland miał na sobie mundur, Kay włożyła suknię z kremowej koronki, przerobioną przez ciocię Dot z jednej z jej własnych wieczorowych kreacji. Freddie Covington został ich drużbą, a Josephine – starościną wesela. Kay trzymała bukiecik pierwiosnków przybrany bluszczem. Po uroczystości wrócili do domu cioci Dot, gdzie odbyło się przyjęcie. Państwo młodzi prawie nie mieli krewnych, lecz za to niezmiernie szerokie grono przyjaciół. Byli koledzy Rowlanda z wojska i znajomi z cywila, koleżanki Kay ze służby pomocniczej, brygadier, Brian z księgarni, starzy nauczyciele z Oaklands, sąsiedzi, a także koleżanki cioci Dot z czasopisma. Przyjęcie, jak napisała później w liście ciocia Dot, trwało długo w noc.

W podróż poślubną wyjechali do Castle Combe w górach Cotswold. Wąskie, kręte uliczki, domki ze złocistego kamienia, oficerowie RAF zakwaterowani w pensjonacie i łóżko, które głośno skrzypiało. W dzień wypożyczyli rowery i zrobili sobie wycieczkę po okolicy. A w nocy kochali się na skrzypiącym łóżku.

Po czterdziestu ośmiu godzinach każde wróciło do swoich koszar. Można by niemal pomyśleć, że nic się nie zmieniło, tylko Kay miała na palcu obrączkę. Była teraz młodszą kapral Latimer, lecz nadal spała sama i czekała z utęsknieniem na listy od męża. Dwa razy udało im się spotkać – raz na peronie dworca kolejowego, a pewnej niedzieli zjedli lunch w zabawnym niewielkim barze blisko Aldershot.

Później Rowland dostał urlop przed zaokrętowaniem. Spędzili go w mieszkaniu. Pierwszy raz Kay poczuła się naprawdę mężatką. Spali do późna, zjedli śniadanie w łóżku, a potem rozpakowała prezenty ślubne oraz walizki przywiezione z domu cioci Dot. Powiesiła swoje ubrania w szafie i położyła w łazience szczoteczkę do zębów. Postawiła na balkonie geranium w doniczce i przykryła sofę niebiesko-żółtą tkaniną kupioną kilka lat wcześniej w Prowansji. Postawiła swoje zdjęcia obok jego zdjęć na gzymsie kominka. Fotografię ślubną, zrobioną na schodach przed urzędem stanu cywilnego, i jej zdjęcie z Mirandą z pobytu w Antibes. Miały wtedy na sobie krótkie spodnie, bluzki z odkrytymi plecami i bardzo ozdobne

kapelusze z dużym rondem. Rowland uznał, że wyglądają jak gwiazdy filmowe. Po południu poszli na spacer. Powłóczyli się trochę po sklepach, a Rowland kupił Kay złoty medalion u jubilera w Hatton Garden. Później, w mieszkaniu, odcięła kosmyk jego włosów i schowała do środka.

I wtedy pojawił się strach: przyspieszone bicie serca, ucisk w żołądku. A jeśli, pomyślała, tylko to mi po nim pozostanie? Stłumiła w sobie ten lęk i zmusiła się, by być taką żoną, jaką powinien mieć żołnierz: promienną, pogodną i spokojną. Przygotowała kolację, która zjedli przy mahoniowym stole w jadalni. Rowland znalazł kilka świec; ich płomyki odbijały się w połyskującej, wiśniowobrązowej powierzchni stołu. Po kolacji przeciągnęli sofę na balkon i usiedli obok siebie, oglądając zachód słońca i kończąc butelkę wina, którą dostali w prezencie ślubnym od Freddiego Covingtona. Na sąsiednim dachu gruchał gołąb, a w oddali ostatnie promienie słońca zapalały srebrzyste błyski w balonach zaporowych. Rozmowa zaczęła się rwać i gasnąć, strzępić niczym pasemka białych obłoków wysoko na niebie.

Gdy się kochali, ich serca biły jedno obok drugiego i czuła jego ciepły oddech na policzku. Potem leżała w ramionach Rowlanda, a jego pierś unosiła się i opadała coraz wolniej, aż odpłynął w sen.

Obudziła się w środku nocy i zobaczyła, że Rowland siedzi na brzegu łóżka. Uklękła za nim i otoczyła go ramionami.

– Ciągle o tym myślę – powiedział. – Myślę o przeprawie przez kanał i jak to będzie wyglądało po drugiej stronie. Widzisz, jeszcze nigdy nie musiałem do nikogo strzelać. Tyle co na ćwiczeniach, a przecież tam tak naprawdę nie strzela się do ludzi, chyba że zdarzy się jakaś straszna pomyłka. A jeśli mimo tego wszystkiego, co się stało i co wiem, mimo bomb i tego, co robią z Żydami, nie będę w stanie nacisnąć spustu? – Pokręcił głową. – Myślenie jest teraz problemem, nie sądzisz? Gdybyśmy nie myśleli, nie czulibyśmy strachu. Wszystko byłoby o wiele łatwiejsze, gdyby człowiek nie miał wyobraźni albo mógł ją odłożyć gdzieś na bok do chwili, aż to się skończy. Chyba nie za bardzo się nadaję do życia w takich czasach jak te.

Zaczęła go całować i głaskać, dopóki pożądanie znowu nie buchnęło płomieniem, wymazując zwątpienie i lęk, tak że pozostało tylko ich dwoje w ciemności. Pociągnął ją z powrotem na łóżko i zamknęła oczy w oczekiwaniu rozkoszy.

Rano Rowland powrócił do koszar. Od tego czasu nie miała od niego wiadomości.

„Co jest gorsze, nuda czy strach?". Jakże się wtedy myliła. Strach był znacznie, znacznie gorszy.

Ponieważ brygadier dołączył do oddziałów, które miały zostać wysłane za kanał la Manche, Kay stacjonowała teraz w Camberley, szkoląc nowe rekrutki, ucząc je prowadzić ciężarówki. Czuła lęk zmieszany z podnieceniem, gdy słuchała o ósmej rano wiadomości w radiu. „Spadochroniarze wylądowali w północnej Francji". Zaczął się desant w Normandii. Lęk wciąż towarzyszył Kay, kiedy w garażu rekrutki powitały ją, salutując, i zaczęła im objaśniać, jak sobie radzić z ciężarówką. Wszystkie wyglądały tak młodo, niemal jak uczennice, bez przerwy poprawiały na sobie szorstkie, drapiące mundury albo przygładzały włosy. Czy ona też kiedyś była taka, młoda, przejęta i nieświadoma wielu spraw? Lęk sprawiał, że ściskało ją w żołądku, gdy stała w kantynie w kolejce po lunch, i podskakiwała, ilekroć któraś z dziewcząt upuściła klucz monterski. Nocą, leżąc bezsennie w ciemności, myślała o Rowlandzie. Wyobrażała go sobie w obozie, a potem jadącego do portu. Wszedł na pokład okrętu i czekał na poprawę pogody. Powiedział jej, że dobrze znosi podróże statkiem, więc przynajmniej nie męczyła go morska choroba. Czy było mu zimno? Czy czuł się samotny? Czy się bał, kiedy podniesiono kotwicę i wypłynęli z kanału Solent?

Gdzie był teraz? Stojąc wieczorem w kolejce po kolację, podsłuchała przypadkiem, że setki rannych zabrano już z powrotem do portów nad kanałem. Czy Rowland znalazł się w którymś z pierwszych oddziałów, czy może dopiero czekała go decydująca chwila skoku w nieznane? Czy lądowanie było łatwe i nie napotkali oporu, czy też musieli walczyć o każdy metr plaży?

Następnego dnia wyprowadziła rekrutki z garażu, by poćwiczyły uruchamianie ciężarówek i zmiany biegów. Na zewnątrz będzie lepiej, powiedziała sobie. Łatwiej oderwać myśli. Słońce zawsze poprawia nastrój.

Po południu jedna z instruktorek, drobna, ciemnowłosa kobieta imieniem Valerie, zajrzała na pogawędkę.

– Jak się spisuje twoja grupa?

– Nie najgorzej, kiedy się skupią.

– Jedna z moich rekrutek to kompletna idiotka. Stała i malowała paznokcie, kiedy próbowałam wytłumaczyć, jak działa gaźnik. – Valerie popatrzyła na Kay. – Denerwujesz się?

– Trochę.

– Ja też. Wypaliłam tyle papierosów, że moje usta przypominają popielniczkę. Rowland służy w piechocie, prawda? Ed jest w oddziałach powietrznodesantowych. Ktoś mi mówił, że połowa z nich nawet nie zdążyła wylądować.

Tego wieczoru Kay nie zawracała sobie głowy kolacją. Położyła się na brzuchu na łóżku i napisała list do Rowlanda, a potem wygrzebała „Rebekę”[12] i zaczęła czytać. Na pół drzemała, wędrując spowitą mgłami ścieżką w Manderley, gdy otworzyły się drzwi.

Usłyszała czyjś głos:

– Hej, Latimer, jesteś tam? Wszędzie cię szukam.

– Przepraszam, pani kapral. – Dźwignęła się na nogi.

– Oficer dowodząca chce się z tobą widzieć.

Kay poprawiła mundur i przeczesała palcami włosy. Kapral podniosła czapkę spod łóżka, otrzepała i wręczyła jej.

– Lepiej tego nie zapomnieć.

– Dzięki, pani kapral.

Ta drobna uprzejmość i coś w wyrazie twarzy tej kobiety sprawiły, że lęk powrócił, wypełniając i przejmując Kay chłodem. Ugięły się pod nią nogi, a ręce drżały, gdy wkładała czapkę.

Przed barakiem powiedziała sobie w myślach, że zachowuje się niemądrze. Kapral była po prostu sympatyczna, nie można tak przypisywać szczególnego znaczenia każdemu czyjemuś słowu i gestowi. Wszystko jest w porządku, pomyślała, chcą mnie pewnie

za coś obsztorcować. Albo znalazł się jakiś oficer do wożenia i nie będę dalej prowadzić szkoleń.

Jej kroki wybijały rytm werbla. Zbliżając się do biura dowódcy, czuła pulsowanie krwi w uszach. Jeśli to o niego chodzi, proszę, niech się okaże, że jest ranny. Proszę, proszę, niech się okaże, że jest ranny.

Od pewnego czasu napływali falami uchodźcy. Nadciągali z miast na zachodzie, opuściwszy domy obrócone w zgliszcza i popioły przez alianckie bombardowania, a także – wiosną i latem 1944 roku – coraz częściej ze wschodu, w miarę jak Armia Czerwona zbliżała się do Prus Wschodnich. Najpierw pojawili się Litwini, ciągnący za sobą wozy załadowane dobytkiem, z przywiązanym do nich postronkami żywym inwentarzem – krową lub kozą. Później mieszkańcy miasta Memel[13] leżącego nad Bałtykiem. Miranda mijała ich po drodze, wracając na rowerze z wioski. Stada bydła przetaczały się przez pola i drogi jak brunatno-czarne fale. Widziała niemowlęta w płóciennych nosidełkach, dźwigane przez wyczerpane matki, widziała drobne staruszki owinięte chustami i kocami, usadowione na wozach między garnkami a tobołkami z pościelą. Było ich tak wielu. Niektóre grupy uchodźców dostawały zakwaterowanie w Sommerfeld. I czasami rankiem odkrywano, że w kurniku nie ma ani jednego jajka albo że ktoś wydoił krowy do sucha, albo że ze stodoły znikły wiązki drewna na opał. Stajenny Thomas zaczął chodzić po polach ze śrutówką. W miasteczku szemrano ze złością o cudzoziemcach.

Funkcjonariusze gestapo ponownie przyjechali do Sommerfeld. Tym razem było ich czterech. Poinformowali Mirandę, że szukają zbiegłych więźniów. Zachowywali się uprzejmie, lecz odmówili poczęstunku i nie zamierzali słuchać anegdotek o kapeluszach wziętych przez pomyłkę za ptaki łowne. Kiedy przeszukiwali dom i zabudowania gospodarcze, Miranda siedziała w przedpołudniowym saloniku, na zewnątrz zachowując spokój, a w myślach zadawała sobie gorączkowe pytania. Czy odesłali rano wystarczającą ilość masła i mleka w ramach kontyngentu? Czy gestapowcy znajdą ukryty w pralni połeć boczku ze świni zarżniętej wbrew przepisom

zeszłej jesieni? I, co najistotniejsze, czy pamiętała o wyłączeniu radia? Była pewna, że tak, że spiker BBC, którego melodyjnego głosu lubiła słuchać, nie wylicza głośno w pustym pokoju niemieckich klęsk militarnych.

Jeden z funkcjonariuszy poprosił o udostępnienie ksiąg rachunkowych i rejestrów Sommerfeld. Poprosił, a może zażądał – jego ton oscylował między jednym a drugim. Słyszała za plecami ciężkie kroki, gdy prowadziła go do dawnego biura Franza. Oficer usiadł przy biurku i zaczął wertować księgi, podczas gdy Miranda zajęła krzesło naprzeciw z obojętnym wyrazem twarzy, złożywszy dłonie na kolanach, choć jej serce biło gwałtownie.

Nie znaleziono żadnych zbiegów i gestapowcy odjechali. Kilka dni później podano wiadomość, że wojska alianckie wylądowały na wybrzeżu Francji, niedaleko Cherbourga. Przed 13 czerwca Rouen znalazło się w rękach Anglików. To podniosło Mirandę na duchu – wojna z pewnością musiała się wkrótce skończyć. A potem porażka aliantów: wbito klin w środek wojsk, a południowo-wschodnia Anglia została zbombardowana nowymi pociskami. Radio poinformowało o masowych ucieczkach z Londynu, o karze za straszliwe naloty, jakie wcześniej spotkały Niemcy.

Pod koniec czerwca kuzynka Katrin przyjechała do Sommerfeld odwiedzić hrabinę, która od wiosny nie opuszczała łóżka. Drobny wylew osłabił prawą połowę ciała staruszki. Katrin na początku roku wyszła za mąż, nazywała się teraz frau Schäfer i oczekiwała pierwszego dziecka. Pod żółto-białym jedwabiem sukienki rysował się wypukły brzuch. Günter jest zachwycony, poinformowała Mirandę, gdy piły kawę w salonie. Obydwoje mieli nadzieję, że to będzie chłopiec.

Zapytała, czy Miranda miała jakieś wiadomości od Friedricha. Miranda wyjaśniła, że nie widzieli się od zeszłego lata, kiedy przyjechał na kilka dni wyleczyć niewielką ranę. Od tamtego czasu dostawała tylko krótkie listy, ostatni ponad trzy miesiące temu. Nie można było wykluczyć, pomyślała, lecz nie powiedziała głośno, że jej mąż nie żyje.

– Jestem pewna, że gdy już Rosjanie zostaną pokonani, będziesz o wiele częściej widywała Friedricha – powiedziała Katrin. – I musisz

urodzić następne dziecko, Mirando. Obdarzenie małżonka dziećmi jest obowiązkiem kobiety.

Z pełnym samozadowolenia uśmiechem osoby, która zdradza cudowną tajemnicę, dodała, że miała zaszczyt zostać zaproszona do loży gauleitera Kocha przedwczoraj wieczorem w teatrze. Herr Koch jest ujmujący i bardzo uprzejmy; zapewnił ją, że owa cudowna broń, eksplodujące pociski, które obracają Londyn w ruinę, wkrótce zmuszą Anglików, żeby błagali o litość. Katrin przygładziła jasne loki. Ludzie muszą zachować wiarę, dodała. Prusy Wschodnie muszą dać przykład reszcie Niemiec i zagwarantować, że żaden Rosjanin nie postawi stopy na niemieckiej ziemi.

Niedowierzanie Mirandy odbiło się zapewne na jej twarzy, gdyż Katrin obrzuciła ją ostrym spojrzeniem.

– Przypuszczam, że nie czujesz tego samego, co my – zauważyła.

– Co masz na myśli?

– Nie jesteś przecież Niemką, prawda?

– Właściwie niczym nie jestem. Jeżeli już, to beznadziejnym mieszańcem.

Niezbyt fortunnie to ujęła. Katrin skrzywiła się z niesmakiem. Sięgając po torebkę i rękawiczki, zapytała:

– Czy twój ojciec przypadkiem nie był Rosjaninem, Mirando? Jak się nazywałaś przed ślubem?

– Denisow – odparła Miranda i zaśmiała się pogodnie. – Miranda von Kahlberg brzmi znacznie bardziej dystyngowanie, nie sądzisz?

Gdy Katrin wyszła, Miranda pospieszyła na górę do sypialni. Stanęła przy oknie i odprowadziła spojrzeniem samochód, który po chwili zniknął w głębi obsadzonego lipami podjazdu. Katrin jeździła autem. Katrin miała paliwo i szofera, ponieważ wyszła za mąż za wysokiego rangą członka partii.

Oczy Mirandy powędrowały od okna do małego wiklinowego krzesełka, na którym siedziały dwie lalki, jedyne, jakie zatrzymała z kolekcji, którą miała przed zamążpójściem. Duża, niebieskooka lalka z porcelany, prezent od matki na szóste urodziny, oraz Czerwony Kapturek. Wzięła do ręki Czerwonego Kapturka i obróciła głowę pod szkarłatnym okryciem. Dziewczynka, staruszka i wilk: trzy oblicza spojrzały na nią po kolei. Dwa dni wcześniej, gdy wracała na

rowerze z Angerbergu do Sommerfeld, jakiś chłopiec obrzucił ją kamieniami. „Cudzoziemka – krzyknął za nią – brudna cudzoziemka!”. Kamienie wylądowały w kałuży, obryzgując błotem pończochy Mirandy.

W końcu naloty dotarły prawie do Sommerfeld. Każdego wieczoru Miranda obchodziła dom, sprawdzając zaciemnienie. Czasami słyszała odległe wycie syren przeciwlotniczych i huk bombowców nad głową. Teraz w gronie zaufanych osób ludzie zaczynali mówić o ucieczce. Dokąd jednak mieli uciekać – i kiedy? W którym momencie porzucić dom, gospodarstwo i cały dobytek, by wyruszyć w drogę – jeszcze jeden uchodźca wśród tysięcy innych?

Teraz żony dzierżawców i służące przychodziły do niej ze swoimi kłopotami. Jeśli zabrakło im jedzenia albo nie dawały rady przyodziać dzieci z wdowiej renty, prosiły o pomoc. W ostatnich dniach Miranda często jadała posiłki w kuchni z Margarete i pokojówkami. Kiedy były zajęte, pomagała w kuchni. Kałuże mroku rozlewały się w kątach wysokich komnat Sommerfeld.

Wciąż napływali nowi uchodźcy. Miranda karmiła głodnych i znajdowała odzież dla obdartych. W skórzanych butach świeciły dziury, ubrania mieli niewystarczające o tej porze roku, gdy często przechodziły burze z piorunami. W ich oczach zawsze tlił się lęk, przywodzący na myśl szczura przemykającego za drzwiami stodoły.

Bociany gnieździły się na kominach, a jezioro połyskiwało w blasku słońca. Pewnego ranka, gdy Miranda wracała do domu z wiązką chrustu pod pachą, wziąwszy Giselę na spacer, spojrzała ku lipowej alei i dostrzegła jakiegoś mężczyznę zmierzającego w stronę domu. Jeszcze jeden uciekinier, pomyślała. Jeszcze jeden nieszczęśnik wędrujący przez Prusy Wschodnie w poszukiwaniu bezpiecznego miejsca, którego już nigdzie nie znajdzie.

Popatrzyła na niego drugi raz. Choć ubranie miał brudne i poszarpane, a włosy zbyt długie, zauważyła w jego ruchach coś znajomego.

– Friedrich – szepnęła.

Powiedział, że może zostać tylko godzinę, potem musi wracać do jednostki. Umył się i ogolił, a następnie poszedł na chwilę do matki, podczas gdy Margarete przyrządzała dla niego coś do zjedzenia. Później Friedrich i Miranda usiedli w oranżerii na tyłach domu. Blask słońca wlewał się przez okna, a pnie brzóz w oddalonym zagajniku jaśniały niczym nitki białej przędzy na tle błękitu.

Rosyjskie wojska, poinformował Friedrich, znajdowały się teraz niewiele ponad sto pięćdziesiąt kilometrów od Rastenburga.

Miranda poczuła drgnienie lęku.

– Kuzynka Katrin chyba nadal uważa, że Niemcy wygrają wojnę.

– Katrin zawsze była niemądra.

– Jest blisko zaprzyjaźniona z gauleiterem Kochem. Wierzy we wszystko, co on powie.

Friedrich zerknął w stronę drzwi, sprawdzając, czy są zamknięte i odrzekł:

– Koch to fanatyk i zbrodniarz. Już jest odpowiedzialny za śmierć nieprzeliczonych rzesz ludzi na Ukrainie. Nie mam wątpliwości, że gdy przyjdzie co do czego, będzie ratował własną skórę, gwiżdżąc na wszystkich innych, z Katrin włącznie. Powstrzymamy Rosjan, jak długo zdołamy, w końcu jednak zwyciężą. Nasze wojska są wyczerpane i zdziesiątkowane. W tej chwili jedynym racjonalnym posunięciem byłoby przyznanie się do klęski.

– Kapitulacja?

– Tak. Ale obawiam się, że to nie nastąpi. Nasi przywódcy nigdy nie postępowali racjonalnie, a im dłużej tyrani i szaleńcy utrzymują się przy władzy, tym więcej zginie niewinnych ludzi. – Friedrich uśmiechnął się gorzko. – Przypuszczam, że wkrótce zaczną brać do wojska starców i dzieci. – Po chwili milczenia dokończył ściszonym głosem: – Marzyłem o tym. Marzyłem, żeby znaleźć się w domu jeszcze ten jeden, ostatni raz. Musisz opuścić Sommerfeld, Mirando. Rosjanie wszystko zrównają z ziemią. Musisz stąd uciec, zanim tutaj dotrą. Dlatego dzisiaj przyszedłem, żeby ci to powiedzieć.

– Friedrichu, ja nie mogę.

– Nie masz wyboru. Powinnaś pojechać do Anny, do Berlina. A później, jeśli tylko zdołasz, dalej na zachód.

– Nie mogę opuścić Sommerfeld, Friedrichu. Nie mogę zostawić twojej matki.

– Moja matka umiera – oznajmił szorstko. – Obydwoje o tym wiemy, ona również. Nie możesz poświęcać własnego życia dla umierającej staruszki. Matka nie oczekiwałaby tego od ciebie. Posłuchaj, Mirando. Ja wiem, co się stanie z Sommerfeld, kiedy przyjdą tu Rosjanie. Błagam cię, zrób to, co mówię.

– Nie mogę tak po prostu wyjechać. – A przecież przez ostatnie dwa lata często właśnie to sobie wyobrażała. Odejście, ucieczkę od małżeństwa, które dawno należało do przeszłości.

Friedrich westchnął i przesunął dłonią po włosach.

– Spróbuj zrozumieć. Przed inwazją w tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym poinformowano oficerów Wehrmachtu, że są pewne „specjalne rozkazy" dotyczące postępowania w Rosji. W praktyce oznaczało to pozbawienie schwytanych Rosjan wszelkich praw. Nasi żołnierze mogli robić, co im się żywnie podobało: gwałcić, mordować i rabować bezkarnie. Zapewniam cię, że rozkazy te zostały wykonane co do joty. Co więcej, sam w tym uczestniczyłem.

– Ty, Friedrichu? – Popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

– Nie spodziewałaś się tego po swoim szlachetnym i prawym małżonku? – Zaśmiał się cierpko. – Więc pozwól, że ci wyjaśnię, jak to się odbywa. Na początku odmawiasz. Później pojawiają się naciski i pogróżki. I w końcu mówisz sobie, że nie masz innego wyboru, niż wykonać rozkaz, bo inaczej ucierpi twoja rodzina. Że jeśli dalej będziesz się opierać, rozstrzelają cię i już do niczego się nie przydasz tym, których życie zależy od ciebie. Wmawiałem sobie nawet, że to, co robię, robię dla ciebie, Mirando. – Zacisnął usta w wąską, twardą kreskę. – Kiedyś wierzyłem, że mogę stać z boku. Że wojna nie będzie miała na mnie wpływu. Jakim byłem głupcem! Żałuję, że nie opowiedziałem się po słusznej stronie, niezależnie od konsekwencji. Gorzko tego żałuję. Wtedy przynajmniej mógłbym zginąć z honorem.

– Friedrichu – powiedziała drżącym głosem – proszę, nie mów tak.

– Inni mieli odwagę szukać sposobów uwolnienia nas od Hitlera i jego siepaczy, ale ja odmówiłem jakiegokolwiek udziału w tych planach. Powtarzałem sobie, że są beznadziejne, z góry skazane na porażkę. Mój Boże, jak ja okłamywałem samego siebie. Teraz,

spoglądając wstecz, dostrzegam jedynie tchórzostwo… a także pychę, arogancję i błędne przekonanie, że widzę jasno to, czego tamci nie dostrzegali. – Uderzył pięścią w otwartą dłoń i wolno pokręcił głową. – Zapłacę za swoje czyny. Zapłacę po stokroć. I nie będę kwestionował faktu, iż jest w tym jakaś sprawiedliwość. Czemu Rosjanie mieliby nas oszczędzić, jeśli my nie oszczędzaliśmy ich? Ty jednak nie powinnaś płacić, Mirando. Musisz opuścić Sommerfeld. Podejdź tutaj – poprosił. Wyjął zza pazuchy mapę i rozłożył ją na stole.

Miranda podniosła się i stanęła obok niego.

– Jeśli z jakichś przyczyn nie będziesz mogła dotrzeć do Anny do Berlina, są jeszcze inni, którzy ci pomogą. W Allenstein[14] mieszka kuzynka Marta. A w Braunsbergu[15] Lindnerowie, pamiętasz Hannę Lindner, odwiedziliśmy ją tamtego pierwszego lata. Prócz tego Kahnowie i Sussmanowie, to dobrzy ludzie. Rozumiem, że nie chcesz zostawić mojej matki, i to ci przynosi chlubę, ale… – Stuknął palcem w mapę. – Jeśli tu wejdą, nadciągną ze wschodu i być może również z południa. Istnieje niebezpieczeństwo, że Prusy Wschodnie zostaną odcięte od reszty Niemiec. Z Pillau[16] albo Danzig powinno ci się udać popłynąć na zachód, może do Stettina. A stamtąd już dojedziesz do Berlina. – Rzucił jej surowe spojrzenie. – Zrobisz tak, jak mówię?

– Tak, Friedrichu.

– Biedna Miranda. Pragnąłem podarować ci coś lepszego niż to. Powinienem był pozwolić ci wyjechać do Paryża na początku wojny. – Po chwili dodał: – Opowiedz mi o nim. Opowiedz mi o swoim kochanku. Nie będę się na ciebie gniewał. Chcę tylko znać prawdę.

Tak dawno nie wymawiała jego imienia. Trudno było powiedzieć je na głos. Wreszcie jej się udało:

– Nazywał się Olivier.

Przypomniała sobie z idealną wyrazistością ów dzień, gdy poszły z Kay do parku. Wiosenne słońce, zapach bzów, obietnicę, którą czuło się w powietrzu. I mężczyznę na ławce, czytającego gazetę.

– Mów dalej – poprosił Friedrich.

– Poznałam go, gdy mieszkałam z ojcem w Paryżu. To nie była długa znajomość. Kiedy ojciec się dowiedział, nie pozwolił mi się

widywać z Olivierem. Zwolnił Kay i zabrał mnie do Szwajcarii. Nie wolno mi było z nikim rozmawiać ani do nikogo pisać. – Rozluźniła dłonie ściśnięte w pięści. – A potem, po kilku miesiącach, spotkałam ciebie.

– Przyjęcie w Grünewald – zauważył. – Polonez.

– Tak. Byłeś dla mnie bardzo dobry. Nie myślałam wówczas, że jeszcze kiedyś zobaczę Oliviera. Nie wiedziałam nawet, czy mnie kocha. Kiedy zgodziłam się za ciebie wyjść, uczyniłam to w dobrej wierze.

Friedrich podszedł do okna.

– Chyba już wtedy wiedziałem – przemówił miękko – że nigdy nie będziesz do mnie należała.

Ostatnie lata go wyniszczyły. Jego niegdyś przystojna twarz była wychudła i poznaczona śladami odmrożeń. Włosy, rudozłote w czasach, kiedy Miranda go poznała, stały się srebrne.

Postąpiła krok w jego stronę, lecz odwrócił się od niej.

– Gdy zostaliśmy małżeństwem – podjął – i pojechałaś do Paryża odwiedzić ojca…

– Spotkaliśmy się przypadkiem, na ulicy.

– I wciąż go kochałaś?

– Proszę, Friedrichu. – Nastąpiła chwila ciszy, wreszcie Miranda odpowiedziała: – Wciąż go kochałam. A on kochał mnie. Teraz… przypuszczam, że nie żyje. Myślę tak już od dawna. Olivier kochał swój kraj. Nie stałby z boku, kiedy Francja upadła. On by walczył i nie zrezygnowałby z oporu.

Friedrich zwinął mapę i wsunął z powrotem pod mundur.

– Możemy być wierni zmarłym, Mirando.

Wzdrygnęła się, widząc wyraz jego oczu.

– Przykro mi, że nie byłam taką żoną, jakiej pragnąłeś – szepnęła. – Przykro mi, że cię skrzywdziłam.

– Z drugiej strony, przecież zawsze byłaś snem – powiedział łagodnie. – Upajającym snem, który pozwolił mi na chwilę zapomnieć o całym świecie. Ale mimo wszystko snem. – Zaśmiał się krótko. – Teraz to już bez znaczenia. Nie ma przede mną przyszłości. Nikt z tych, którzy tu pozostaną, nie ma przed sobą przyszłości.

– Co zrobisz, Friedrichu?

– To, co muszę. Będę walczył do końca.

– W radiu mówili…

– Wszystko, co słyszysz, to kłamstwa, Mirando. Nie możemy zwyciężyć. Cofamy się na wszystkich frontach. Brakuje nam paliwa i żołnierzy, podczas odwrotu porzucamy ciężarówki, czołgi i broń. Jedno, co możemy, to próbować powstrzymać Rosjan, dopóki nasi rodacy nie znajdą się w bezpiecznym miejscu.

– Jeśli Brytyjczycy i Amerykanie dotrą tu pierwsi…

– Stalin do tego nie dopuści. Będzie chciał zdobyć Berlin. Wywrzeć zemstę. A żeby dojść do Berlina, musi najpierw zająć Prusy Wschodnie.

Zrozumiała, w jak niepewnym znajdują się położeniu.

– Bez względu na to, co ludzie mówią i bez względu na trudności musisz opuścić Sommerfeld, zanim przyjdą tu Rosjanie – ciągnął Friedrich. – Musisz jechać na zachód, gdzieś, gdzie jest bezpiecznie. Nawet iść pieszo, jeśli to się okaże konieczne.

Niedługo potem wyszedł. Miranda odprowadziła go do frontowych drzwi.

– Wiedziałem od dawna, że pewnego dnia cię utracę – powiedział. – Ale to – objął spojrzeniem ogród i lipową aleję – utrata także tego… jest nie do zniesienia.

Ukłonił się, odwrócił i odszedł.

Na początku Kay odczuwała przede wszystkim gniew.

Gniew, że została sama. Gniew, że ich wspólne życie trwało tak naprawdę zaledwie kilka dni. Że mężowie innych kobiet wciąż żyją, a jej mąż zginął. Że Rowland, kochający, dobry i dzielny, musiał zginąć w taki sposób, z kulą w sercu na wybrzeżu Normandii, zaledwie kilka minut po zejściu z barki desantowej na ląd.

Po tygodniowym urlopie okolicznościowym wróciła do zajęć. W tym czasie gniew minął. Czuła się bez przerwy zmęczona, a gdy została sama, płakała. Nie mogła spać, nie mogła jeść, mdliło ją nieustannie i prowadziła szkolenia, nie wkładając w nie ani odrobiny serca i myśląc, jakie te rekrutki są bezbarwne, pozbawione wyrazu, jakie młode i naiwne. Czasami, kiedy do nich mówiła, zapominała, o czym

mówi. Jej myśli zaczynały dryfować i przenosiła się do różanego ogrodu, a Rowland znowu zrywał i podawał jej kwiat. Albo wracała jej w myślach owa noc przed jego wyjazdem do obozu, gdy siedział na brzegu łóżka i opowiadał o swoim lęku przed nadchodzącymi dniami. Kay mrugała, wspomnienia pierzchały i znowu widziała rekrutki wpatrujące się w nią ze zdziwieniem. Starała się zebrać myśli i mówić dalej.

Wieczorami próbowała czytać, ale nie mogła, mimo to siedziała z otwartą książką w fotelu, żeby nikt do niej nie zagadywał. Pewnego wieczoru dała się namówić Valerie na drinka, co zakończyło się płaczem, którego nie potrafiła powstrzymać; łzy spływały jej po twarzy, ręce i włosy miała mokre, nie mogła wydobyć z siebie słowa, przerażona pustką, która się przed nią otworzyła. Nie potrafiła znieść myśli o tym, co musiał przeżyć Rowland, gdy opuściwszy barkę, wskoczył do morza i biegł wśród fal ku brzegowi. By umrzeć.

W mieszkaniu, gdy przeglądała jego rzeczy, słyszała szepty duchów. Skarpetki, spodnie i chustki do nosa – dla Ochotniczych Służb Kobiecych. Stare części garderoby – szkolny podkoszulek do gry w rugby, który na pewno był od lat za ciasny, i dziurawy płaszcz przeciwdeszczowy – również trafiły do worka. Znalazła swoje listy w szufladzie komody, przewiązane sznurkiem. Ślubna fotografia stała nad kominkiem. „Ja, Rowland James Latimer… zaślubiam cię tą obrączką i będę cię wielbił swoim ciałem…”.

W kredensie w kuchni znalazła kilka puszek zupy; zjadła jedną bez odgrzewania, prosto z puszki. Włożyła jeden ze swetrów Rowlanda; mimo lata było jej zimno. W nocy skuliła się w łóżku, tuląc sweter, który zachował jego zapach.

Tom odwiedził ją w mieszkaniu. Kay zdobyła się na wysiłek, posprzątała trochę, upiekła pasztecik z resztką sera, połówką cebuli i groszkiem z puszki. Tom nadal utykał; słyszała jego nierówne kroki, gdy szedł po schodach. Dali mu pracę przy biurku, powiedział jej. Znowu się nudził dla Anglii.

– Ale jeśli mam być szczery – dodał – nie przeszkadza mi to. Dość już przeżyłem przygód.

Był chudy, wyglądał na zmęczonego i wydawał się równie wyciśnięty, pomyślała Kay, jak ona sama się czuła. Razem przejrzeli

papiery, rachunki i wyciągi z banku, dokumenty natury prawnej związane z dziedziczeniem mieszkania, które Rowland jej zostawił.

W Camberley, oczywiście, nie stanowiła wyjątku. Była tu dziewczyna, której narzeczonego zestrzelono podczas bitwy o Anglię, i druga, która straciła męża pod Al-Alamajn po sześciu miesiącach małżeństwa. Mąż Valerie wprawdzie przeżył desant, ale walczył teraz w oddziałach alianckich przebijających się w kierunku Paryża. Syn kobiety pracującej w magazynie trafił do japońskiego obozu jenieckiego na Dalekim Wschodzie; choć zawsze miło się uśmiechała, w oczach miała martwą pustkę. Cała społeczność kobiet wyczekiwała na wieści albo była pogrążona w żałobie. Kay nie znajdowała w tym pocieszenia – szczerze mówiąc, nie znajdowała go w niczym – ale przynajmniej ich towarzystwo jej nie drażniło.

Czasami na ulicy albo w Camberley zdawało jej się, że go widzi. Mężczyzna w mundurze, wydłużony krok, sposób odwracania głowy, błysk uśmiechu. Ich ulubiona piosenka – „The Way You Look Tonight" – i już niemal go widziała, niemal mogła dotknąć. A potem znikał i za każdym razem poczucie straty było nie do zniesienia.

Utraciła go, a razem z nim swoją przyszłość. Wszystko, co mogłoby się wydarzyć, obróciło się w proch i zapadło pod ziemię. Co jej pozostało? Kosmyk włosów, zasuszona róża o kruchych płatkach, złota obrączka, mieszkanie. Jego obecność, którą wciąż czuła w tych pokojach, będzie powoli się rozwiewać. Kosmyk włosów spłowieje.

Miała serdecznie dość służby w armii i wojny. Wykonywała teraz swoje obowiązki zaledwie znośnie, robiąc tylko tyle, by uniknąć reprymendy. Zastanawiała się, czy nie złożyć podania o przeniesienie; zaczynała nienawidzić Camberley. Nienawidziła jedzenia, munduru, rozmów, ponurej swojskości tego wszystkiego, a także nowych rekrutek, które – z poboru, a nie ochotniczki takie jak ona swego czasu – okazywały się często leniwe albo głupie. Raz, mając do czynienia ze szczególnie irytującą grupą, przyłapała się na tym, że na nie wrzeszczy. Własny głos, twardy i sarkastyczny, z czymś jej się skojarzył. Zdała sobie sprawę, że zachowuje się jak sierżant Preston, megiera z czasów jej podstawowego szkolenia. Pomyślała, że już wkrótce zetnie włosy na krótko. Wkrótce zapomni o istnieniu świata poza armią.

W końcu jednak nie poprosiła o przeniesienie. Stało się tak, ponieważ odkryła, dlaczego nie może zapiąć spódnicy i przez cały czas odczuwa zmęczenie oraz mdłości. Od maja nie miała okresu. Lekarz wojskowy potwierdził to w dniu wyzwolenia Paryża: była w ciąży.

W Sommerfeld hrabina śniła.

Śniły jej się żniwa. Grała muzyka, a ona, zgodnie ze zwyczajem, miała rozpocząć dożynkowe tańce w parze z sommerfeldzkim ekonomem. Pachniało świeżym sianem i we włosach swojego partnera widziała drobiny złocistego pyłku z kłosów pszenicy. Miała na sobie długą, fałdzistą spódnicę z liliowego jedwabiu, która szeleściła, muskając deski, a przy gorsie bukiecik kremowych różyczek. Wdychała ich woń. Zawsze bardzo lubiła tańczyć, lecz Paul za tym nie przepadał. Ekonom, wysoki, przystojny mężczyzna, uchodził za najlepszego tancerza w Sommerfeld. Kiedy ujął ją pod ramię i poprowadził na parkiet, czuła wzbierającą w sercu radość.

Hrabina otworzyła oczy. Muzyka jakby przycichła, lecz wciąż było ją słychać. Dźwięki piszczałek i smyczków brzmiały niewyraźnie, jakby dobiegały z bardzo daleka. Tak jakby ta muzyka ją wzywała. Przez okno wpadał blask słońca, tworząc wielkie złote kwadraty. Pragnęła popatrzeć na ogród, zobaczyć róże rosnące pod ogrodowym murem i skoszone pola, zamienione w rozległe, złocące się ścierniska. Pokojówka, która siedziała na krześle z boku, zapadła w sen. Gdyby tylko można było usiąść… Palce staruszki uchwyciły poduszkę, szukając punktu oparcia. Muzyka rozbrzmiewała teraz głośniej. Pachniały róże.

Rozdzierający ból w klatce piersiowej sprawił, że hrabina opadła z powrotem na poduszki. Ścisnął ją niczym imadło, aż wydała cichy okrzyk. Utkwiła oczy w blasku padającym z okna. Świetlisty złoty krąg jaśniał coraz mocniej. A potem zaćmiła go ciemność.

W dniu odejścia z armii Kay była w osiemnastym tygodniu ciąży. Oto, jak zawsze powtarzano, jedyny niezawodny sposób, żeby uzyskać zwolnienie ze służby: dać sobie przyprawić brzuch. Dziecko

musiało zostać poczęte na przepustce przed zaokrętowaniem. Ostatni podarunek od Rowlanda, myślała czasami Kay.

W innych chwilach nie miała pojęcia, jak sobie poradzi sama z dzieckiem. Nie wiedziała nic o pielęgnowaniu niemowląt. Nie należała do dziewczynek, które bawią się lalkami albo pukają do drzwi sąsiadów z pytaniem, czy mogą pospacerować z ich dzidziusiem w wózku. Co będzie, jeśli spoglądając po raz pierwszy na swoje dziecko, nic nie poczuje? I jak może pokochać to nieoczekiwane dziedzictwo, jeżeli jej się wydawało, że nie jest już zdolna do miłości?

W grę wchodziła jeszcze kwestia pieniędzy. Kay miała mieszkanie, wdowią rentę i skromne oszczędności, które Rowland trzymał w banku, dziedziczyła również prawa autorskie do sztuk Petera Latimera. Czy to wystarczy, żeby wyżywić ją i dziecko? A jeśli nie, jak zdoła pracować i jednocześnie opiekować się maleństwem?

Mdłości się skończyły; apetyt, gdy już powrócił, był nieprzewidywalny. Zachciewało jej się rzeczy nieosiągalnych albo reglamentowanych – pomarańczy, bananów, steku, kanapki z bekonem. Raz przyśnił jej się owoc granatu i obudziła się, niemal czując w ustach smak soku tryskającego z rubinowego miąższu wokół przypominających klejnoty pestek. Właściciel sklepu warzywnego, życzliwy człowiek, który mówił, że jej uśmiech umila mu dzień, odkładał dla niej przysmaki – woreczek śliwek, laskowe orzechy, a pewnego razu pigwę. Trzymała ją przy nozdrzach i wdychała mocny zapach, wracając z zakupami do domu.

Nadeszła jesień. Pierwszy pocisk V-2 spadł na Chiswick ósmego września. Pewnej nocy Kay obudził wybuch tak potężny, że zdawał się przeszywać ją niczym wstrząs elektryczny. Mieszkanie zadrżało, ziemia zawibrowała. Rano okazało się, że wyleciało kilka okien. Kay popatrzyła z balkonu na olbrzymi lej po uderzeniu bomby. Przedtem stał tam szereg wysokich domów; teraz nie zostało po nich śladu.

Po południu napisała list do Virginii Lancaster. Oaklands ewakuowano na początku wojny do hrabstwa Devon, do posiadłości, gdzie mieściła się prywatna szkoła podstawowa dla chłopców. Virginia odpowiedziała pocztą zwrotną, że Kay ma przyjechać i zostać, jak długo jej się spodoba. Gdyby zechciała trochę uczyć,

w niepełnym wymiarze godzin, byłoby wspaniale, lecz w żadnym wypadku nie powinna czuć się zobowiązana.

Kay spakowała walizkę, zamknęła mieszkanie na klucz i złapała pociąg do Devon. Gdy tylko dotarła do szkoły, wiedziała już, że znalazła azyl. Stary dom z przybudówkami i oficynami przycupnął w gęsto zalesionej dolinie na skraju Exmoor. Na wschód od doliny rozpościerało się wrzosowisko, na zachodzie był Kanał Bristolski. Przedpołudnia spędzała, ucząc w szkole, a popołudnia na przechadzkach po lesie. Liście koloru miedzi pokrywały ścieżki. Pod wąskimi mostkami płynęły rwące strumienie, a z biegiem tygodni w powietrzu dawało się już wyczuć chłód nadchodzącej zimy. Tej jesieni Kay wyspacerowała swój żal, wdeptując go krok po kroku w czerwoną devońską glebę.

Nie czytała więcej gazet ani nie słuchała radia. Wojna, która odebrała jej ukochanego mężczyznę, toczyła się dalej, miażdżąc na równi winnych i niewinnych, pokonanych i zwycięzców, Kay jednak nie zamierzała w niej uczestniczyć. Jej dawne przekonanie, że wojna jest niszcząca, niemoralna i należy jej unikać za wszelką cenę, teraz ugruntowało się jeszcze mocniej niż kiedykolwiek. „Chyba nie za bardzo się nadaję do życia w takich czasach”, powiedział jej Rowland. Ja też nie, pomyślała Kay. Ona też nie.

12 Powieść autorstwa Daphne du Maurier, wyd. w 1938 roku.

13 Kłajpeda. W latach 1923–1939 miasto było włączone do III Rzeszy; obecnie w granicach Litwy.

14 Olsztyn.

15 Braniewo.

16 Pilawa; od 1946 r. Bałtyjsk.

Rozdział 15

W październiku rosyjskie wojska przekroczyły granicę Prus Wschodnich. Gazety i kroniki filmowe donosiły o potwornościach, jakie się wydarzyły w Nemmersdorf[17] i innych przygranicznych miejscowościach. Prawie nikt z mieszkańców nie ocalał. Mordowano dzieci, kobiety gwałcono, a potem zabijano. Gdy niemieckie oddziały ponownie zajęły tamte tereny, odkryły zwłoki rzucone na pryzmy kompostu i poprzybijane do wrót stodół.

Teraz kobiety pracujące w kuchniach Sommerfeld rozmawiały nie o zdrowiu dzieci ani o listach od mężów, lecz o tym, skąd zdobyć truciznę. Ile strychniny należy zażyć, żeby umrzeć. Gdzie znaleźć grzyby przynoszące śmierć szybką i bez bólu. Choć Mirandzie brakowało hrabiny, która zmarła pod koniec września, była jednocześnie rada, że jej teściowa, tak kochająca Sommerfeld, nie dożyła tych dni.

Mimo że hrabina już nie żyła, Miranda wciąż nie mogła jeszcze opuścić posiadłości. W miasteczkach i wioskach rozlepiono obwieszczenia wydrukowane na rozkaz gauleitera Kocha. Każdy cywil podejmujący próbę ucieczki z miejsca zamieszkania lub przygotowujący się do opuszczenia domu może zostać zastrzelony na miejscu. Miranda połączyła się telefonicznie z urzędem, zgłaszając prośbę o pozwolenie na wyjazd do Berlina. Jej prośba została odrzucona.

Zabronione było nawet mówienie o wyjeździe z Prus Wschodnich, ponieważ oznaczało to przyznanie, że klęska jest możliwa. Radio nadal chwaliło niemieckie zwycięstwa i napomykało o cudownej broni, która odmieni bieg wojny. Gdy jednak, zamknąwszy drzwi salonu i ściszywszy dźwięk, Miranda nastawiała BBC, słyszała zupełnie co innego. Na zachodzie wyzwolono Francję, a także

Brukselę. Na wschodzie wojska Hitlera wycofały się z Estonii, Rumunia podpisała rozejm z aliantami, a wojska sowieckie zbliżały się do Budapesztu.

Tysiące chłopców z Hitlerjugend przysłano do Prus Wschodnich na rozkaz gauleitera Kocha, żeby kopali okopy. W miasteczkach i wsiach groza wojny ukazywała się w kuśtykaniu wspartych na kulach mężczyzn po amputacjach i w oszpeconych twarzach żołnierzy na ulicach. „Musisz uciec z Sommerfeld i wyjechać na zachód najszybciej, jak zdołasz", przykazał jej Friedrich. Zrozumiała. Układała plany.

W tych dniach w pałacu zebrało się osobliwe towarzystwo. Należała do niego stara ciotka Elsa, która – zaalarmowana zbliżaniem się frontu – porzuciła swój dom w Goldap na wschodzie i przeniosła się do Sommerfeld z walizkami, czarnym karakułowym futrem sięgającym do kostek oraz kanarkiem. Ciotka Elsa była niska i pulchna, miała łagodne szare oczy i zadarty nos osadzony wśród miękkich fałdek. Owdowiała przed ponad dwudziestoma laty, gdy jej mąż, wuj ojca Friedricha, zmarł na zapalenie płuc, zostawiając jej niewielką rentę, z której żyła. Zawsze pamiętała o Bożym Narodzeniu i urodzinach Kahlbergów, przysyłając list i starannie wybrany prezent. Po przyjeździe do Sommerfeld zapytała Mirandę o wieści o Friedrichu. Miranda odpowiedziała, że nie wie nic, na co stara dama ze łzami w oczach uścisnęła jej rękę.

Były też panny Kestner, znajome Katrin, trzy niezamężne siostry dobiegające czterdziestki. Ich dom w Königsbergu został zbombardowany w sierpniu przez RAF podczas nalotu, który zrównał z ziemią niemal połowę miasta. Nosiły sukienki do połowy łydki, uszyte z jakiejś sztywnej wełnianej tkaniny w kolorze butelkowozielonym, granatowym albo rdzawobrunatnym. Do płaskich piersi miały przypięte perłowe broszki. Narzekały na chłód, wydmuchując nosy w haftowane, pachnące lawendą chusteczki. Żarliwe nazistki, oddane wielbicielki Hitlera i gauleitera Kocha, zadowolone z siebie rozmawiały nad poranną kawą o tym, jak to każdy Rosjanin, który odważy się postawić stopę na niemieckiej

ziemi, zostanie przepędzony gdzie pieprz rośnie, tak jak po przekroczeniu granic w październiku.

I byli jeszcze uchodźcy, oczywiście, stale płynąca głównymi oraz bocznymi drogami rzeka ludzi, którzy stracili wszystko. Na początku Miranda umieszczała ich w stodołach i stajniach. Później, gdy zima stała się mroźniejsza, zaczęli się chronić w domu. W pokojach, które słyszały niegdyś jedynie stłumiony szelest jedwabnych sukien i stukot pantofelków na obcasie, rozbrzmiewał teraz płacz głodnych dzieci i chrapanie dorosłych wyczerpanych długą wędrówką. Babcie w czarnych chustach przepychały się ze służącymi w kuchni. Wybuchały sprzeczki o brakujący słoik pikli, o ślady zabłoconych butów na dywanie z Aubusson.

Otulona futrem, które dostała od ojca na szesnaste urodziny, Miranda krążyła po domu, przechodząc z pokoju do pokoju, zaglądając do serwantek i komódek. Szklany kielich na smukłej, ozdobnej nóżce, błękitny motyl usadowiony na porcelanowym dzbanuszku do śmietanki, srebrna syrena. Takie skarby gromadzili przez stulecia przodkowie Friedricha. Przesunęła wierzchem dłoni po chłodnym atłasowym obiciu sofy. Co powinna zabrać z sobą, gdy zdecyduje się na ucieczkę? Sztychy Dürera z gabinetu Friedricha? Figurki z miśnieńskiej porcelany?

Nic. Te rzeczy nigdy nie należały do niej i żadnej z nich nie weźmie. Konstantin Denisow opuścił Rosję z kamykiem i muszelką w kieszeni. Cóż, koniec końców była córką swego ojca. U siebie, w sypialni, wyciągnęła nieduży plecak i włożyła do niego latarkę, zapałki, mydło, chusteczki do nosa, ciepłe rękawice i skarpety, bandaże, maść i płaską butelkę wódki. Ponadto najcenniejsze rzeczy, jakie posiadała: paszport, akty własności domu w Londynie i papiery, które przekazał jej ojciec, z numerami jego kont bankowych. I ceramicznego ptaszka, okrągłego błękitnego drozda, który niegdyś kołysał się w oknie paryskiego mieszkania Oliviera. Przypominając sobie rosyjskich emigrantów, znajomych z Rue Daru i opowieści, jak to kobiety ukrywały biżuterię w ubraniach, uciekając z Moskwy i Petersburga, odpruła rąbek ciepłej wełnianej spódnicy i zaszyła w nim najbardziej wartościowe klejnoty: szmaragdową bransoletę,

wisiorek z szafirem należący kiedyś do jej matki i sznur czarnych pereł, podarowany jej przez Friedricha.

W stajniach stały furmanki do zwożenia siana, na których latem kobiety jeździły do lasu zbierać poziomki i grzyby. W Sommerfeld były tylko cztery konie; resztę zarekwirowano na potrzeby wojska. Miranda zaniosła do stajni wiklinowe kosze i zapakowała do nich żywność, która się łatwo nie psuje: sery, suchą kiełbasę, marynaty i przetwory z owoców. Rozłożyła mapę na biurku w gabinecie Friedricha. „Nadejdą ze wschodu i być może również z południa". Allenstein, Elbing[18], Braunsberg oraz porty, Danzig i Pillau – przesunęła końcem palca wzdłuż dróg prowadzących do tych miast. Przeprawy rzeczne, dworce kolejowe, adresy domów przyjaciół i krewnych: musiała je zapamiętać. Która z dróg będzie najlepsza do podróży zimą? Której nie zatarasują śnieżne zaspy i nie zaleje nagła odwilż? Ponieważ musiała wyruszyć w zimie. Musiała wyruszyć już wkrótce.

Przygotowania zbliżały się do końca, lecz pewnego ranka, gdy siedziała przy śniadaniu, weszła Margarete z wiadomością, że do pałacu przyjechał jakiś urzędnik.

Miranda wyszła do holu. Przybysz nosił okulary w metalowych oprawkach, ciemne włosy miał przylizane i lśniące jak sierść wydry. Przedstawił się jako pełnomocnik gauleitera.

– Otrzymałem informacje, pani hrabino – zaczął – że czyni pani przygotowania do opuszczenia obecnego miejsca pobytu.

Miranda poczuła nagły przypływ furii.

– Kto panu tak powiedział? – zapytała opanowanym głosem.

– Niestety, nie mogę wyjawić.

– Wprowadzono pana w błąd – oznajmiła zimno. – To nieprawda.

– Życzę sobie obejrzeć stajnie.

Słyszała za sobą jego kroki, gdy szła przecinającą dziedziniec ścieżką odmiecioną ze śniegu przez francuskich jeńców. Pomyślała o zapasach żywności, kocach i brezentowych płachtach umieszczonych na wozie. Jej umysł wydawał się równie zlodowaciały, jak sople zwisające z rynien. Pchnęła drzwi stajni. Pomyśl.

Urzędnik wyprzedził ją i zajrzał do bryczki i powozu. Potem zerknął na furmanki. Któryś z koni w przegrodach zarżał nagle i Miranda wstrzymała oddech. Urzędnik zmarszczył brwi, spojrzał ponownie, uniósł pokrywę jednego z wiklinowych koszy i z okrzykiem tryumfu wyciągnął słoik z marynowanym kalafiorem.

Miranda wzruszyła ramionami.

– Niestety, musimy przechowywać tutaj część zapasów ze względu na uchodźców. Widzi pan, ci ludzie wykradają różne rzeczy ze spiżarni. Musimy chować żywność. – Jej głos brzmiał pewnie, była w nim nuta lekkiego zniecierpliwienia.

Gdy mężczyzna odkładał słoik z powrotem do kosza i opuszczał pokrywę, zerknęła szybko w głąb wozu. Koce i brezent zniknęły.

– Czy to wszystko? – Nadała głosowi nieco bardziej znudzony ton.

– Na razie tak, pani hrabino. – Wyglądał jak lis, który nie może dostać się do kurnika. Oschle skinął głową. – Proszę zapamiętać, że za przygotowania do ewakuacji może pani zostać surowo ukarana.

– Tak – odparła. – Słyszałam o tym.

Margarete odprowadziła urzędnika do drzwi, a Miranda wróciła do jadalni. Zauważyła, że panny Kestner unikają jej wzroku, poświęcając całą uwagę jajkom na talerzach. Po śniadaniu odszukała gospodynię.

– Koce, brezent – szepnęła.

– Erich je schował – wyjaśniła Margarete. Wysłałam go do stajni, kiedy ten pan rozmawiał z panią w korytarzu.

– Dziękuję – Miranda uścisnęła jej rękę.

Niedługo później powiadomiła panny Kestner, że nie będą już dostawały przed południem świeżej kawy do popijania w salonie. Kawa się skończyła, skłamała; panie muszą się zadowolić erzacem. Przyjemnie było zobaczyć wyraz oburzenia na ich twarzach, a później, po południu, usiąść w kuchni z Margarete i ciotką Elsą przy wyśmienitej kawie zaparzonej z kurczącego się zapasu ziaren.

„Musisz opuścić Sommerfeld”. Dźwięczały jej w uszach słowa Friedricha, gdy zajmowała się swoimi obowiązkami. Ale jak? I kiedy?

Przyszło Boże Narodzenie. Panny Kestner wyjechały dwa dni wcześniej, tryumfalnie dzierżąc bilety do Berlina, przydzielone im jako członkiniom partii.

W tym roku obok szerokich schodów w Sommerfeld nie stanęła choinka udekorowana drewnianymi ozdobami i świecami. Miranda, ciotka Elsa, jeńcy i kilkoro uchodźców zjedli wspólny obiad. Miranda wyszukała prezenty w szafach i komodach: rękawiczki, wełniane szaliki, płaszcz, parę ciepłych butów. Zarżnęli i upiekli trzy kury, i otworzyli kilka butelek najlepszego wina z piwnicy – z jakiej racji, zauważył ktoś, zostawiać je Rosjanom.

Po obiedzie śpiewali kolędy w salonie przy kominku, na którym płonęły polana. Później Miranda nastawiła płytę, coś współczesnego i lekkiego, być może z jakiegoś musicalu, nie w guście Friedricha.

Jeden z jeńców, cichy, dobrze wychowany mężczyzna imieniem Henri, który przed wojną pracował w paryskim wydawnictwie, wziął ją na bok.

– Niektórzy z moich kolegów – zaczął – przebąkują o odejściu, zanim dotrą tu Rosjanie. Obawiają się, aby nie zwlekać zbyt długo i nie dać się zaskoczyć. – Przesunął dłonią po łysinie. – Wojska w odwrocie nigdy nie są zdyscyplinowane, pani hrabino. Pamiętam Francję w czterdziestym roku. Wycofujący się żołnierze, uchodźcy opuszczający domy, no i oczywiście ścigające nas szkopy.

– Powinno wam grozić mniejsze niebezpieczeństwo niż większości innych – odrzekła. – Jesteście Francuzami i jeńcami wojennymi.

– Wątpię, czy to będzie miało duże znaczenie. Mówimy o ludziach, którzy walczyli przez całą drogę od Moskwy do granicy. Są na wojnie – szczególnie okrutnej i niszczycielskiej wojnie – od trzech i pół roku bez chwili wytchnienia. Przeżyli wszelkie potworności, jakie może przeżyć ludzka istota. – Henri uśmiechnął się półgębkiem. – Nie sądzę, żeby się zatrzymali i pytali mnie o narodowość. – Dodał znacząco: – Panią również, madame.

Pewnego ranka okazało się, że jeńcy zniknęli. Tego samego dnia Miranda raz jeszcze zwróciła się do urzędu wydającego zezwolenia na podróż; i ponownie jej odmówiono. Pojawili się następni uchodźcy, zmierzający na zachód przez głębokie śniegi – niemieccy cywile z przygranicznych miasteczek. Armia Czerwona koncentruje

się wzdłuż granicy, poinformowali Mirandę. Zmarznięci i wyczerpani uciekinierzy schronili się na noc w stajniach, a nazajutrz ruszyli w dalszą drogę, przez cały czas kierując się na zachód.

Starszych mężczyzn oraz młodych chłopców wcielono siłą do Volkssturmu[19] i uzbrojono w nieporęczne dubeltówki oraz rewolwery z poprzedniego stulecia. Margarete płakała, gdy jej osiemdziesięcioletni ojciec, który pracował w mleczarni, i wnuk Erich, mający niespełna czternaście lat, wymaszerowali z posiadłości, by dołączyć do innych chłopców i starców.

Wieczorem Miranda obeszła stodoły i stajnie, upewniając się, że wrota są pozamykane. W przejmującym zimnie śnieg skrzypiał pod nogami, a oddechy jej i Giseli tworzyły obłoczki w lodowatym powietrzu. Panowały nieprzeniknione ciemności, jedynie przyćmione światło latarni Mirandy połyskiwało blado w tumanach śniegu. Ciszę zakłócał niski pomruk lecących samolotów i dobiegający z oddali klekot pojazdów wojskowych.

Otworzyła drzwi kurnika, zajrzała do środka i serce podskoczyło jej do gardła, gdy dostrzegła młodego nieogolonego mężczyznę o błędnym wzroku, siedzącego w słomie. Miał na sobie niemiecki mundur. Dezerter, pomyślała. Gramoląc się na nogi, sięgnął do kieszeni płaszcza i wydobył nóż. Kury na grzędach zagdakały niespokojnie.

Ostrze błysnęło w mroku. Miranda uniosła ręce, pokazując puste dłonie i powiedziała szybko:

– Wszystko w porządku, może pan tu zostać, nikomu nie powiem. – Zauważyła, że zerknął ponad jej ramieniem na wirujący śnieg. – Obiecuję.

Gdy się odwróciła, by odejść, przemówił do niej:

– Powinna pani opuścić ten dom. Oni nadchodzą. Już ich nie powstrzymamy. Nikt ich teraz nie powstrzyma. Nadchodzą.

Następnego ranka dezerter zniknął. Po śniadaniu Miranda przeszła lipową aleją do drogi. To, co zobaczyła, sprawiło, że zadrżała i przycisnęła do szyi uniesione klapy płaszcza. Ludzka rzeka wezbrała i zmieniła się w morze, kotłujące się i przelewające przez drogę.

Toczyły się po niej wozy i furmanki wyładowane rodzinnym dobytkiem. Wiejskie kobiety w czarnych chustach pchały wózki i taczki. Dzieci o twarzach ściągniętych z zimna przycupnęły w dwukółkach, końskie kopyta ślizgały się na oblodzonej ziemi. A ponad to wszystko wybijały się dźwięki exodusu, ryczenie krów, skrzypienie kół na śniegu i wysoki, cienki płacz niemowlęcia.

Oczy Mirandy wyłowiły z ludzkiej masy pojedyncze szare mundury. Jeden z żołnierzy dźwigał karabin maszynowy, inni mieli zwykłą broń ręczną.

Zatrzymała pierwszego z brzegu i zapytała, dokąd zmierza. Spojrzał na nią przelotnie.

– Nie słyszała pani? – spytał. – Rosjanie przerwali linię frontu.

– Czy zostaniemy ewakuowani? Czy wolno nam już wyjechać? – Lecz on nie odpowiedział, tylko pomaszerował dalej.

Miranda pospiesznie wróciła do domu. Żywność, koce i brezent czekały na wozach. Trasa została ustalona. Wszystkie kobiety opuszczą Sommerfeld jeszcze tego popołudnia.

Lecz ku jej zaskoczeniu i złości, służące odmówiły wyjazdu. Całe przedpołudnie straciła na bezowocnych sporach i namowach. Zwłoka ją przerażała, wprawiała w złość.

– Musisz przemówić im do rozumu – zwróciła się niecierpliwie do Margarete, odciągnąwszy ją w kuchni na bok. – Nie możemy dłużej zwlekać.

– One stąd nie odejdą – wyjaśniła łagodnie gospodyni. – Urodziły się tutaj. Nigdy nie mieszkały w innym miejscu. I jak ich ojcowie, mężowie czy synowie mieliby je odnaleźć, gdyby uciekły?

– Być może i tak już nigdy nie zobaczą swoich mężczyzn. Równie dobrze mogą spróbować ratować siebie. – Miranda zacisnęła dłonie w pięści. – Dobrze, w takim razie rozkażę im jechać.

Margarete zatrzymała ją, chwytając za rękaw.

– Nie, frau gräfin. Proszę zostawić je w spokoju. Będzie pani wystarczająco ciężko podróżować ze starszą panią.

Miranda wpatrywała się w gospodynię, uświadamiając sobie sens jej słów.

– Ale ty, Margarete, pojedziesz ze mną?

Gospodyni pokręciła głową.

– Zaczekam tu na mojego ojca i Ericha.

Miranda chciała już powiedzieć, że stary Helmut i Erich mogą przecież nie żyć, ale się powstrzymała.

A zatem wyjeżdżały tylko we dwie: ona i ciotka Elsa. W stajni Miranda przełożyła kilka koców i trochę jedzenia z wozu do dwuosobowej bryczki. Skórzana uprząż zesztywniała na mrozie. Przycupnięta w słomie Gisela zaskomlała.

Miranda uklękła i otoczyła ramieniem szyję suki.

– Nie mogę cię zabrać, kochanie – wyszeptała. – Bo widzisz, nie dam rady wziąć dość jedzenia dla ciebie.

Ciotka Elsa, ubrana w tweedy i swoje czarne karakuły, czekała na nią w holu. Miranda pomogła jej wsiąść do bryczki. Pożegnała się z gospodynią i służącymi, a potem po raz ostatni wyjechała z dziedzińca w lipową aleję.

Obejrzała się tylko raz, gdy dotarły na szczyt wzniesienia. Sommerfeld pozostało za nią, jasne i pełne uroku, okryty śniegiem dach mienił się w gasnącym popołudniowym świetle, filary i portyki lśniły lukrowaną bielą weselnego tortu – i wydawało się w tej ostatniej chwili równie czarodziejskie i nietknięte jak wtedy, gdy ujrzała je po raz pierwszy.

Skierowała się do Rastenburga. Wytłumaczyła ciotce Elsie, że w miasteczku wsiądą w pociąg do Elbing, a stamtąd pojadą do Danzig albo do Berlina, tam, gdzie to możliwe. Jak obliczyła, w ciągu godziny, może dwóch powinny dotrzeć do Rastenburga, oddalonego mniej więcej o trzydzieści kilometrów.

Jechały sześć godzin. Drogi były zablokowane przez pojazdy i tłumy pieszych, uciekinierzy wlekli się w ślimaczym tempie. Co pewien czas pojawiała się przeszkoda i trzeba się było zatrzymać – uszkodzony wóz albo samochód, w którym zabrakło benzyny. Na poboczach i polach leżały rozmaite przedmioty – komplet talerzy, komoda, maszyna do szycia – wyrzucone z wózków lub tobołków, gdy okazały się zbyt ciężkie, by je zabrać dalej. Całe rodziny siedziały na śniegu, dzieci przytulone do matek, pożywiając się resztkami chleba w chwili wytchnienia przed dalszą wędrówką.

Tak wiele kobiet. Kobiety powoziły, prowadziły konie. Kobiety dźwigały dzieci na plecach i pędziły żywy inwentarz. Bezzębne staruszki leżały na wózkach popychanych przez ich bardziej krzepkie córki, a małe dziewczynki z zaróżowionymi noskami i jasnymi warkoczykami wymykającymi się spod wełnianych czapek kroczyły obok matek. W tym tłumie kobiet trafiali się nieliczni mężczyźni, żołnierze w odwrocie, utykający starzec, który przystawał co parę kroków, opierając się na lasce, oraz kilku chłopców z czarnymi opaskami Volkssturmu na rękawach. Mieli gładkie dziecięce twarze o miękkich rysach, wyzierające spod czapek i z szalików. Jeden dźwigał karabin, pozostali nieśli szkolne tornistry.

Zapadł zmrok. Matowy, srebrny sierp księżyca na smoliście czarnym niebie przesłoniła w pewnej chwili rzadka mgła, która spowiła niżej położone miejsca. Zlodowaciałe palce Mirandy trzymającej lejce zastygły wygięte jak ten księżyc na niebie. Manewrując koniem i bryczką między pieszymi, zauważyła, że prawie nikt się nie odzywa. Cały wysiłek, każdą iskierkę energii wkładano w stawianie jednej stopy przed drugą. Odgłosy ucieczki sprowadzały się teraz do kwilenia dziecka, szczekania psa, cichego, miękkiego stąpania po śniegu, poskrzypywania koła u któregoś wozu.

Z nadejściem nocy nadleciały samoloty. Pogaszono latarnie, wyłączono latarki. Miranda wytężyła wzrok, usiłując wypatrzeć w ciemności drogę skręcającą do Rastenburga. Bała się, że to ludzkie morze ogarnie ją i porwie ze sobą, że się zgubi. Samoloty poleciały dalej. Błysk latarki, trzask zapalanej zapałki. Podążali zboczem długiego, niskiego wzgórza. Blisko wierzchołka kobieta kierująca wozem na przedzie obejrzała się przez ramię. Szept. Następna kobieta zerknęła pospiesznie za siebie.

Miranda nie rozumiała, co szepczą. Na szczycie wzgórza także spojrzała w dół. Pomarańczowa łuna, eksplozja koloru na tle czarnego jedwabiu nocy, jaśniała na horyzoncie. Miranda przycisnęła dłonie do ust. Teraz już wiedziała, co mówiły kobiety.

„Palą nasze gospodarstwa. Palą nasze domy”.

Rastenburg – i żadnej szansy przejechania nawet wąską bryczką przez zatłoczone, pogrążone w chaosie ulice. Każdy skrawek jezdni był szczelnie wypełniony, prywatne samochody napierały na pojazdy wojskowe – ciężarówkę, samochód opancerzony, lawetę działa. Trąbiły klaksony, mężczyzna w mundurze SS oddał strzał w powietrze i pojazdy wepchnęły się na chodniki, nie zważając na pieszych. W przyćmionym, rozproszonym świetle reflektorów na ludzkich twarzach kładły się cienie.

Miranda pomogła ciotce Elsie wysiąść z bryczki, założyła plecak na ramiona i wzięła wiklinowy kosz z jedzeniem i kocami.

– Dworzec? – spytała Elsa.

Miranda kiwnęła głową.

– Możesz iść?

– Ależ oczywiście. – Elsa uśmiechnęła się dzielnie, ujęła ją pod ramię i ruszyły.

Było bardzo trudno przebić się przez skłębioną masę ludzi. Żołnierze przeciskali się obok nich; Miranda czuła, jak staruszka wzdryga się, ilekroć ją potrącili. Mała dziewczynka otulona szalem i w chustce na głowie stała pod uliczną latarnią i płakała. Funkcjonariusz noszący na ramieniu opaskę ze swastyką i dmuchający w gwizdek władczo uniósł ramię, zatrzymując tłum, by przepuścić wielkiego czarnego daimlera. Siedzące w aucie kobiety miały umalowane usta, a na głowach eleganckie małe kapelusiki.

W okolicach dworca tłum zgęstniał. Karetki z namalowanymi czerwonymi krzyżami przebijały się przez ciżbę. Po przejeździe każdej z nich ludzie natychmiast wypełniali powstałą lukę. Miranda czuła się tak, jakby porwał je obie prąd, jakby fala niosła je ku skałom. Ciotka Elsa potknęła się nagle i Miranda musiała użyć całej swojej siły, by podtrzymać staruszkę i uchronić przed stratowaniem. Przełożyła wiklinowy kosz do prawej ręki, lewą zaś objęła Elsę w pasie, gdy pod naporem tłumu przesuwały się w stronę wejścia na dworzec. Elsa była niższa; od ciężaru kosza Mirandę rozbolały ramiona.

Wreszcie znalazły się w środku. Spróbowała przecisnąć się do kasy biletowej, lecz zdała sobie sprawę, że to bezcelowe i pozwoliła, by tłum poniósł ją w stronę peronów. „Musisz jechać na zachód”,

przykazał jej Friedrich. No więc wsiądzie do pierwszego pociągu zmierzającego na zachód, do Braunsberga. Elbing albo Marienburga[20]. Dokądkolwiek.

Tłum na peronie stał się jedną wielką, żywą istotą, która zbierała się w sobie i przelewała ku krawędzi peronu, a potem cofała, przygniatając tych w głębi, tak że trudno było oddychać. Dzieci, rozdzielone z matkami, płakały; na skraju tłumu jakaś dziewczyna podskakiwała, wołając coś i wymachując ramionami.

Stanąwszy na palcach, Miranda dostrzegła na odległym krańcu peronu kawałek wolnej przestrzeni. Wraz z Elsą zaczęły się przebijać przez skłębioną ciżbę, gdy z przeraźliwym piskiem i zgrzytem tłoków pociąg wjechał na stację. Tłum przesunął się ku krawędzi. Ogłoszono coś przez megafon – Miranda nie potrafiła rozróżnić słów. Rozległ się huk wystrzałów z pistoletu i ludzka fala cofnęła się gwałtownie.

Miranda parła ku wolnej przestrzeni, ciągnąc ciotkę Elsę za rękę. Ostatni ruch – i gdy znalazła się na skraju tłumu, zobaczyła po raz pierwszy mężczyzn ułożonych rzędem na noszach albo bezpośrednio na betonowej płycie peronu. Młodzieńcy, starcy i chłopcy w zakrwawionych, podartych, brudnych mundurach, całe setki rannych, niewyobrażalna liczba. Wyglądali strasznie, a ich cierpienie było niemal namacalne. Oczy Mirandy przesuwały się jak zahipnotyzowane od jednego do drugiego. Widziała przestrzelone twarze, okaleczone kończyny, ziejące dziury w brzuchach. Widziała nieruchomą postać z głową zmienioną w jedną masę czerwonawo-brunatnych bandaży; słyszała zawodzenie innego rannego, podobne do wycia wilka. W powietrzu unosiła się ciepła, mdląca woń krwi. Żołądek podszedł jej do gardła; Miranda odwróciła twarz, przygryzając mocno wargę. Gdy pociąg stanął, otwarto drzwi i sanitariusze zaczęli ładować rannych do wagonów.

Po pewnym czasie pociąg wytoczył się ze stacji. Ciotka Elsa chwiała się jak podcięte drzewo. Z boku peronu Miranda zauważyła niewielką poczekalnię. Przykazała Elsie, żeby trzymała się jej płaszcza i znowu zaczęła przedzierać się przez ciżbę. W poczekalni nie było miejsca, lecz znalazła wolny skrawek pod ścianą, postawiła tam kosz i pomogła staruszce na nim usiąść.

– Pójdę i sprowadzę bryczkę – powiedziała. – Dasz radę tu zaczekać?

– Nic się nie martw, kochanie – Elsa zdobyła się na uśmiech. – Trochę sobie odpocznę.

– Pojedziemy dalej na zachód i tam na jakiejś stacji złapiemy pociąg.

– Doskonały pomysł. Im dalej na zachód, tym zapewne będzie mniejszy tłok.

Znowu niekończąca się, wyczerpująca przeprawa przez tłum. Tym razem w stronę wyjścia. Przed dworcem przylgnęła do pnia młodego drzewka, usiłując sobie przypomnieć, gdzie zostawiła bryczkę. Ach, tak – przywiązała konia do barierki przed sklepem tekstylnym. Zaczęła przepychać się przez tłum, wciąż wlewający się na dworzec. Było to trudne, bo podążała w przeciwnym kierunku niż wszyscy, lecz bez staruszki i wiklinowego kosza mogła poruszać się swobodniej.

Przed sklepem stała grupa mężczyzn w szarych płaszczach i z walizkami. Miranda wytężała wzrok, próbując wypatrzyć miejsce, w którym zostawiła bryczkę.

Nie było jej. Przyjrzała się wszystkim barierkom przy ulicy. Były puste. Gwałtownie, rozpychając się łokciami, wyskoczyła na ulicę i spróbowała odszukać sommerfeldzkiego konia i bryczkę w natłoku innych pojazdów.

Nigdzie ich nie widziała. Oparła się bezwładnie o mur. Jej serce waliło jak młotem, była bliska łez. Ktoś zabrał jej bryczkę. Oczywiście, że tak. Jak mogła być taka głupia, żeby ją tu zostawić? Dygotała z wyczerpania, z gniewu na własną głupotę i przede wszystkim ze strachu. Co ma teraz robić? Czy wrócić pieszo do Sommerfeld i wziąć jedną z furmanek? Instynkt nakazywał jej dążyć naprzód, jechać na zachód najszybciej jak to możliwe. Otarła oczy rękawem i zawróciła w kierunku dworca.

Postanowiła mimo wszystko jechać pociągiem, zawiadomiła ciotkę Elsę, gdy w końcu dotarła na peron. Na pewno jakiś niebawem przyjedzie. Elsa wyjęła termos z kawą, napełniła filiżankę i wręczyła Mirandzie. Była pewna, że Miranda podjęła słuszną decyzję. Opowiedziała o podobnej sytuacji, gdy musieli opuścić dom we dwoje z mężem w czasie pierwszej wojny. Jechali przez całą noc

powozem zaprzężonym w czwórkę koni, uciekając przed carską armią. Było to emocjonujące, choć także przerażające. Gdy Elsa mówiła i popijały razem kawę pod ścianą poczekalni, paniczny strach Mirandy osłabł.

Mijały godziny. Pociągi przyjeżdżały i odjeżdżały. Zabierały wyłącznie rannych albo zmierzały na wschód, wioząc zaopatrzenie na front. Nad ranem wtoczył się na dworzec pociąg pełen żołnierzy. Po peronie rozeszła się wieść, że nie zabierze żadnych cywilów; oczekujący ludzie wydali chóralny jęk rozpaczy.

Miranda uświadomiła sobie, że wpatruje się w twarz żołnierza stojącego w drzwiach wagonu. Ich oczy się spotkały; poczuła, że samym ruchem warg szepcze słowo: „Proszę". I zdarzył się cud: żołnierz wyciągnął rękę i pomógł Mirandzie wdrapać się na stopień. Potem jeszcze raz – i ciotka Elsa z wiklinowym koszem znalazła się w pociągu.

Miranda zapytała, dokąd jadą, gdy pociąg już ruszył z peronu.

– Elbing – odrzekł żołnierz, na co głośno westchnęła z ulgą.

Znalazła w korytarzu miejsce na postawienie koszyka, posadziła na nim Elsę, a potem, podtrzymywana w pozycji stojącej przez żołnierzy, którzy ją otaczali, kołysząc się w takt stukania kół, zamknęła oczy i zmorzył ją sen.

Ocknęła się, gdy pociąg stanął. Rozejrzała się, oszołomiona i zdezorientowana. Na zewnątrz widziała tylko ciemność. Żołnierz, który pomógł im wsiąść, wychylał się przez okno i wyglądał na tory.

– Co się stało? – zapytała.

– Nie wiem. Nic nie widzę.

Nastąpiło długie oczekiwanie. Uświadomiła sobie, że koncentruje się mocno, jakby mogła zmusić pociąg do ruchu siłą woli, by dowiózł je do Elbing i bezpiecznego miejsca. W zatłoczonym wagonie było ciepło, czuło się woń ludzkich ciał i mokrych wełnianych szyneli. Ciotka Elsa drzemała przycupnięta na wiklinowym koszu.

Żołnierz ponownie wyjrzał przez okno. Przetarł oczy.

– Coś się pali – powiedział.

Podążając za jego spojrzeniem, Miranda ujrzała na tle czarnej nocy nienaturalną czerwonawą łunę, jaką widziała już wcześniej, gdy obejrzała się w drodze do Rastenburga.

Czekali. Wreszcie pociąg drgnął i ruszył. Lecz miejsce pierwotnej ulgi zajął po chwili niepokój: jechali w przeciwną stronę, na wschód, z powrotem tym samym torem, którym przybyli. Popatrzyła na żołnierza z przerażeniem; wzruszył ramionami, oparł się o drzwi i zamknął oczy.

Niedługo później pociąg znowu gwałtownie zahamował. Usłyszała szczęk otwieranych drzwi i podniesione głosy.

– Rosjanie zajęli Elbing – krzyknął ktoś. – Wszyscy cywile mają opuścić pociąg!

Otwarto drzwi wagonu, wpuszczając podmuch zimnego powietrza. Szorstki głos kazał im wysiadać. I znowu stała na peronie z ciotką Elsą i wiklinowym koszem u stóp, a pociąg oddalał się, aż zniknął jej z oczu.

Wstrząs wywołany lodowatym powietrzem nocy stłumiło poczucie, że znajdują się tak daleko od cywilizacji, że są same i zagubione. W pierwszej chwili widziały jedynie nieprzeniknioną czerń rozpościerającą się wzdłuż peronu. Potem, gdy oczy Mirandy zaczęły się oswajać z ciemnością, dostrzegła gromadkę uchodźców wysadzonych – jak ona i Elsa – z pociągu. Po obu stronach ciągnęły się płaskie pola, okryte śniegiem.

Nie wiedziała, gdzie się znajduje. Nie wiedziała, dokąd iść. Paniczny lęk ścisnął ją za gardło; tym razem trudno było go stłumić. Ciotka Elsa, wyczuwając rozpacz Mirandy, zauważyła, że przez kilka godzin jechały na zachód, więc musi tu być bezpieczniej, niż gdyby zostały w Sommerfeld lub Rastenburgu. Miranda była zbyt zmarznięta i przerażona, by się uśmiechnąć, zdołała tylko odpowiedzieć: „Tak, oczywiście, masz słuszność". Lecz ta myśl przyniosła jej niewielką pociechę. Jeśli Rosjanie zajęli Elbing… To miasto leżało w delcie Wisły, niecałe piętnaście kilometrów od zachodniego krańca Zalewu Wiślanego, oddzielonego od morza jedynie wąskim pasem lądu. Z wysiłkiem spróbowała sobie przypomnieć dokładnie, co jej powiedział Friedrich. „Nadejdą z zachodu i być może także z południa". Armia Czerwona musiała przesunąć się w bardzo szybkim tempie z południa w kierunku Wisły, odcinając Königsberg

i większą część Prus Wschodnich od reszty Niemiec. Świadomość tego faktu i jego konsekwencje niemal poraziły Mirandę.

Zmusiła się, żeby popatrzeć dookoła. Rozwiąż ten problem, nie myśl o następnych. Wszystko po kolei. Garstka cywilów, którzy jechali tym samym pociągiem, opuściła peron. Miranda dostrzegła ich ślady w śniegu. Wyciągnęła rękę do Elsy.

– Idź, moja droga – powiedziała staruszka. – Ja chyba zostanę tutaj.

Gdy Miranda zaprotestowała, Elsa pokręciła głową.

– Jestem zbyt zmęczona, by iść. – Twarz miała aż białą z bólu i wyczerpania. – Przyjedzie następny pociąg. Nie chcę cię spowalniać. Beze mnie będziesz szła o wiele szybciej.

Miranda zbliżyła się do krawędzi peronu, wąskiego betonowego bloku pośrodku pustkowia. Nie było tam żadnych budynków.

Wróciła do Elsy.

– To pewnie linia miejscowa albo przystanek dla pociągów wojskowych. Może tu nic nie jechać przez wiele godzin. Nie możesz tutaj czekać, bo umrzesz z zimna. Tak czy inaczej – popatrzyła groźnie na staruszkę – ja stąd nie odejdę sama. Jeśli się upierasz, żeby zostać, ja również zostanę.

Po kilku minutach Elsa wstała chwiejnie i poczłapała przez peron. Po obu stronach torów rosły topole. Woda w rowach zamarzła w szare, nieprzejrzyste tafle lodu. Śnieg zalegał grubą warstwą, nieubity jeszcze butami i kołami, tamując ruchy i utrudniając każdy krok. Miranda owinęła twarz szalem, by ochronić nos i usta przed zimnem, i pomogła Elsie zrobić to samo. Nie widziała ani śladu ludzi, którzy opuścili pociąg wraz z nimi dwiema. Księżyc, wyzierający od czasu do czasu, gdy przerzedzała się mgła, rzucał trochę światła na pola. Nigdzie nie było domów, jedynie tu i ówdzie stała jakaś stodoła lub obora. Miranda zadrżała, przypominając sobie złowieszczą czerwoną łunę widzianą z pociągu.

W końcu tory spotkały się z drogą i Miranda z dziwną mieszaniną zgrozy i ulgi zobaczyła, że obie z ciotką Elsą znowu dołączają do długiej kolumny uchodźców. Skład tej kolumny był jednak inny niż poprzednio. Tu pojazdy wojskowe wymuszały przejazd między wiejskimi furmankami i wozami. Niekiedy nadjeżdżała ciężarówka

i ludzie umykali przed nią na pobocza. Kolejna różnica: tym razem ona i Elsa wędrowały pieszo; tym razem dźwigała swoje brzemię jak stare wieśniaczki w czerni. Dokąd idą? – zapytała kogoś. Braunsberg, padła odpowiedź, nad Zalewem Wiślanym. A później? Nikt nie wiedział.

Szare światło na widnokręgu zapowiedziało nadejście świtu. Miranda wyjęła z kosza chleb i ser i podsunęła Elsie, lecz dłonie staruszki były zbyt sztywne, by utrzymać jedzenie. Jej palce po zdjęciu skórzanych, obramowanych futerkiem rękawiczek, okazały się białe, dziwnie twarde i pozbawione czucia. Miranda przeszukała plecak i znalazła parę ciepłych wełnianych skarpet, którymi owinęła ręce Elsy, a potem pomogła jej włożyć rękawiczki. W mroźnym powietrzu wirowały drobne płatki śniegu. Zauważyła, że dzieci już nie płaczą, tylko siedzą bez ruchu, z zamkniętymi oczami, na wozach albo tkwią na rękach u matek. Od czasu do czasu mijali grupy, które przystanęły przy drodze, nie zważając na śnieg, albo kuliły się pod skąpą osłoną nagich wierzb. Jakaś kobieta rozpaliła niewielkie ognisko i podgrzewała nad nim kociołek. Inna, w zaawansowanej ciąży, leżała na wozie ze złamanym kołem i jęczała.

Droga wiła się wzdłuż rzeki. Niebo pojaśniało i chmury zaczęły się rozchodzić. Teraz widać było rozrzucone wśród pól gospodarstwa i stodoły. Słońce rozproszyło mgłę i musnęło twarz Mirandy, dodając jej otuchy. W Braunsbergu pójdą do Hanny Lindner. Hanna, przyjaciółka Friedricha, znakomita pianistka i serdeczna gospodyni, będzie miała samochód albo przynajmniej konia i bryczkę. Odpoczną i pożywią się w wygodnym domu Lindnerów. A później, gdy Elsa odzyska siły, wyruszą dalej na zachód, do Danzig albo Stettina. Już niebawem będą bezpieczne, może jeszcze tego dnia. Gdy jednak spróbowała porównać przebieg drogi i rzeki z liniami na mapie Friedricha, wydało jej się, że do Braunsbergu wciąż jest daleko.

Posuwały się naprzód w nieznośnie powolnym tempie. Nieustannie zostawały w tyle – ludzie na wozach, a nawet piesi, z którymi wcześniej szły równo, wkrótce ich wyprzedzili. Miranda martwiła się o Elsę, która wydawała się bliska kresu swoich możliwości i coraz częściej musiała się zatrzymywać, żeby odpocząć. Choć staruszka ani razu się nie poskarżyła, Miranda widziała, jak wiele kosztuje

biedaczkę każdy krok. Pomogła jej włożyć jakieś zapasowe części garderoby, które z sobą wzięły, lecz mimo to fragment twarzy Elsy widoczny między szalem a kapturem był ściągnięty z zimna. Po południu Mirandzie udało się wybłagać dla staruszki miejsce na jednym z wozów. Sama już się nie zmieściła i szła obok.

Po drodze do procesji uchodźców przyłączali się kolejni uciekinierzy. Wyłaniali się z każdej bocznej dróżki i ścieżki, z pól, moczarów, zza pagórków i z wiosek. Jechały auta, wysokie furgony, na których piętrzyły się jaskrawo wyszywane koce, a nawet kobiety na koniach, czasami z dziećmi usadowionymi z przodu siodła. Pojawiły się również wszelkie oznaki świadczące, że armia jest w odwrocie: żołnierze o posępnych twarzach i w brudnych mundurach szli małymi grupkami, dwójkami lub pojedynczo; mijały ich ciężarówki, lawety, a nawet czołg. Wóz, na którym siedziała Elsa, zjechał ze szlaku, by zabrać krewnych z pobliskiej wioski; staruszka musiała zsiąść. I znowu szły z Mirandą ramię w ramię.

Niedługo później, słysząc nad sobą warkot, Miranda spojrzała w górę i zobaczyła samolot, czarną plamkę na białym niebie. Przez chwilę, zanim pojęła, co się zaraz wydarzy, patrzyła jak zahipnotyzowana na maszynę opadającą pięknym, szerokim łukiem. A potem rozległy się krzyki i werbel pocisków, gdy samolot ostrzelał kolumnę uchodźców. Ludzie rozpierzchli się, szukając osłony, upuszczając torby i tobołki. Konie rżały i stawały dęba, szarpiąc za uprząż, wywracając wozy i wyrzucając na drogę koce, skrzynie i pasażerów.

Samolot odleciał równie szybko, jak się pojawił. Miranda klęczała w rowie na lodowej powłoce, zwinięta w kłębek, osłaniając rękami głowę. Rozdygotana, uniosła oczy. Na drodze widać było skutki incydentu: potrzaskane drewniane wozy, samochód z równą linią dziur po kulach w poprzek maski, porzucone tobołki, pęknięte niczym przejrzałe owoce. A także zabici i ranni. Jakaś kobieta krzyczała, trzymając się za brzuch. Drobna staruszka leżała nieruchomo obok rowu, jej wątłe ciało trudno było zauważyć wśród koców i ubrań rozsypanych na szkarłatnym śniegu. Ciałko dziecka zwisało z tyłu wozu, bezwładne jak kukiełka.

Miranda wyczołgała się z rowu i stanęła obok ciotki Elsy. Przylgnęły do siebie bez słowa. Miranda czuła, że staruszka drży i była wdzięczna za pocieszającą obecność drugiej ludzkiej istoty. Po chwili ruszyły dalej. Krok za krokiem. Nie patrz na okropności zalegające pobocza, nie słuchaj krzyków i jęków. Nie waż się myśleć o tym, co może cię spotkać.

Spędziły noc w opuszczonym wiejskim domu wraz z kilkudziesięcioma innymi uchodźcami stłoczonymi w niewielkim budynku, ogołoconym z mebli i zapasów żywności. Krowy z wymionami wezbranymi od mleka zgromadziły się na podwórzu, rycząc. Rano jedna z kobiet wydoiła krowę i napoiła mlekiem swoje dzieci.

Miranda obudziła się zesztywniała ze zmęczenia i zimna. Stanąwszy w drzwiach, patrzyła na padający śnieg. Kiedy wróciła do środka, zobaczyła, że ciotka już nie śpi.

– Musimy ruszać – powiedziała.

– Nie mogę. – Elsa wymówiła te słowa szeptem.

Miranda poczuła nagły przypływ furii. Jak doszło do tego, że zabłąkana na pustkowiu musi ciągnąć za sobą powolną starą kobietę przez ścięty straszliwą zimą kraj? Nie mogła, nie potrafiła, nie czuła się na siłach, była pewna, że nie da rady.

– Elso, proszę cię – zaczęła. Nie udało jej się opanować władczego, apodyktycznego tonu. – Musisz wstać. Musimy iść dalej. Do Braunsbergu. Poczujesz się lepiej, jak coś zjesz.

– Nie mogę, moja droga. Bardzo mi przykro, że sprawiam ci kłopot. Ale widzisz, chodzi o moje nogi.

Staruszka miała na nogach krótkie czarne buty. Z wysiłkiem, tłumiąc gniew, Miranda przyklękła obok niej.

– Co się dzieje? Zimno ci w stopy?

– Bolą.

– Pewnie zrobił ci się pęcherz. Zabrałam maść. Pozwól, że rzucę okiem.

Zaczęła rozwiązywać staruszce sznurowadła. Następnie zdjęła jej skarpetę i zsunęła czarną wełnianą pończochę. Kiedy ściągała

pończochę z kostki, staruszka wydała cichy jęk bólu, a Miranda nie zdołała stłumić okrzyku przerażenia.

Stopa Elsy była czerwona i spuchnięta. Podeszwę i wierzch pokrywały duże sączące się pęcherze. Za to palce miały woskowoblady kolor, a gdy Miranda ich dotknęła, wydały jej się zlodowaciałe i pozbawione czucia. Rozpoznała odmrożenia, Margarete leczyła je u wielu uchodźców w Sommerfeld. Teraz Miranda zawstydziła się własnej niecierpliwości.

Miała w plecaku aspirynę; dała ciotce kilka tabletek, po czym posmarowała maścią i zabandażowała stopy staruszki. W trakcie tych czynności jej umysł gorączkowo szukał rozwiązania nowego problemu. Elsa nie zdoła iść – może udałoby się znaleźć porzucony wózek ręczny czy choćby dziecięcy albo znowu nakłonić kogoś, żeby ją podwiózł…

Głos ciotki przerwał jej myśli.

– Postanowiłam tu zostać. Jest mi całkiem wygodnie. Ty musisz, oczywiście, iść dalej, Mirando.

– Nie mogę cię tutaj zostawić. Rosjanie…

– Czemu Rosjanie mieliby zwracać uwagę na taką starą kobietę jak ja? Z pewnością mają coś lepszego do roboty. Nic mi się nie stanie. – Głos staruszki brzmiał spokojnie. – Już podjęłam decyzję. Zostaję.

Zjadły na śniadanie chleb z kiełbasą, a później Miranda podzieliła na pół resztę zapasu jedzenia i spakowała swoją część do plecaka. Dostrzegła zawiniętego w chusteczkę ceramicznego ptaszka od Oliviera i włożyła go do kieszeni swetra. Dla towarzystwa, w pewnym sensie. Potem zaprowadziła ciotkę Elsę do najzaciszniejszego pokoju w domu i otuliła ją dwoma kocami.

Pożegnały się i Miranda wróciła na drogę.

Znowu była cząstką długiej kolumny uchodźców. Pogoda pogorszyła się w nocy, temperatura gwałtownie spadła i puszyste płatki śniegu leciały z zasnutego szarego nieba. Śnieg wypełnił koleiny na drodze, pokrył drzewa i żywopłoty. Osiadał na karabinach i pojazdach żołnierzy, na włóczkowych czapkach dzieci i niemowląt dźwiganych przez matki na plecach. Mróz zdawał się wysysać tlen

z powietrza, sprawiając, że oddychanie stawało się bolesne, i wgryzał się w dłonie, stopy, twarz. Zdrętwiałe ręce nie mogły otulić twarzy z powrotem szalem, gdy przystanęłaś, by wypić łyk wody, męczarnią było rozpinanie metalowych klamer albo zdejmowanie końskiej uprzęży, udręka towarzyszyła każdemu krokowi, kiedy czułaś lodowate zimno przez pończochę, skarpetę i but. Niegdyś śnieg wydawał się Mirandzie piękny, teraz jednak stał się śmiertelnym wrogiem, może nawet gorszym niż Rosjanie.

Idąc krok za krokiem, recytowała w myślach poezję i zmuszała się do stawiania jednej stopy przed drugą w rytm kolejnych wersów. Szekspir, Keats i wiersz Swinburne'a powtarzany wciąż na nowo, jak mocne bicie serca.

Jaskółko chyża, siostro, moja siostro,
Tobie ku słońcu południa lot się śni,
Lecz mnie gdzie indziej zawiodło pragnienie,
Nad górą, doliną dźwięk się niesie ostro,
Gdy płowe ciałko drżące w swojej pieśni
Serce nocy syci płomieniem[21].

W miarę jak mijał dzień, Miranda wciąż szła przez białoszarą krainę, która wydawała się bezkresna. Tumany śniegu wirowały, przesłaniając horyzont i oślepiając tych, którzy odbywali niekończącą się wędrówkę przez lód i zaspy. Mirandzie przyszło do głowy, iż ze strony świata jest to kara za wojnę – wymazanie słońca, nadejście głębokiej, mrocznej zimy i ta nieskończenie długa podróż. Epicentrum wielkiego wiru zniszczenia przeniosło się w tym ostatnim, może najstraszniejszym stadium wojny do Prus Wschodnich.

A jednak to, co teraz znosiła, niezliczone rzesze innych zdążyły już poznać. Przez sześć lat wojny miliony ludzi oderwano od domów i rodzin i zmuszono do wędrówki w nieznane im, okrutne miejsca. Mijała od czasu do czasu takich ludzi, szare zjawy odbywające bezowocną, piekielną odyseję, maszerujące bez celu w jałowym pochodzie, który mógł się zakończyć jedynie śmiercią. Mijała jeńców wojennych z białymi epoletami usypanymi przez śnieg na mundurach; przenoszono ich z jednego obozu do drugiego przed

nadejściem Rosjan. Widziała więźniów obozu koncentracyjnego – istne duchy, mężczyzn, których zimno, głód i udręka zmieniły w ludzkie cienie. Mieli wychudłe twarze i błędne oczy, cienkie jak patyki kończyny wystawały z podartych łachmanów, gdy z trudem posuwali się naprzód, nieustannie poganiani i bici przez strażników, a jeśli się potknęli, rozstrzeliwani lub zostawiani przy drodze, gdzie zamarzali na śmierć.

Jedna okropność za drugą na trasie wędrówki. Para staruszków pod drzewem; siedzieli nieruchomo, ich ciała były okryte białym puchem. Kobiety i dzieci leżące na śniegu, ofiary jeszcze jednego nalotu. Mały tobołek na skraju drogi: Miranda pochyliła się, by odsunąć fałdę włóczkowego szala. Zobaczyła zastygłą twarzyczkę niemowlęcia, nieruchomą, białą i nieskalaną.

Tamtej nocy znalazła schronienie w stajni i gdy zamykała oczy, próbując usnąć, widziała twarz swojego własnego martwego synka. W owej chwili dalsza wędrówka nie miała dla niej sensu. Pomyślała, że zostanie i podda się losowi, jak uczyniła to ciotka Elsa. Utraciła wszystkich, którzy byli jej drodzy – Kay, Oliviera, dziecko, hrabinę. Friedrich mógł zginąć, broniąc Königsbergu. Ona sama zaś nie zasługiwała na to, by przeżyć. „Wierzyłem, że mogę stać z boku", powiedział jej Friedrich. Cóż, ona również oszukiwała się w ten sposób i była tak samo arogancka. Podobnie jak jej ojciec wytyczyła sobie własną drogę przez życie, wierzyła, że może dryfować z miejsca na miejsce, nie przynależąc nigdzie, biorąc to, co jej potrzebne, i niewiele ofiarując w zamian. Nigdy nie była dobrą żoną dla Friedricha, nie potrafiła nawet dać mu zdrowego syna. Miała w sobie coś zepsutego, zimnego, samolubnego i małodusznego. Jej serce zamarzło na kość, jak u martwego niemowlęcia.

Mimo to jakaś siła kazała jej wstać rano, wmusić w siebie parę kęsów jedzenia i iść dalej.

Po południu dotarła do Braunsbergu. Ale nie zastała już Lindnerów i choć długo dobijała się do drzwi, nikt jej nie otworzył.

W pewien sposób zaskoczyło ją to, że nie wpadła w rozpacz. Spoglądała teraz na siebie jakby z zewnątrz, jak na drobny mechanizm, całkowicie pozbawiony znaczenia w obecnej sytuacji. Ponownie dołączyła do trwającej w nieskończoność wędrówki

uciekinierów, którzy zmierzali ku Zalewowi Wiślanemu i poruszała się automatycznie, wyzuta z wszelkich emocji. Odczucia sprowadzały się do prostych doznań, jak zimno, głód i wyczerpanie. Opowieści innych uchodźców nie potrafiły jej już poruszyć. O piętnastoletnich dziewczętach rozkrzyżowanych na podłodze i gwałconych przez kilkunastu żołnierzy po kolei, o kobietach gwałconych, dopóki nie zaczęły błagać, by je zastrzelono, o wielkich, liczących setki lat domach, które plądrowano i palono, o gospodarstwach i wioskach zrównanych z ziemią; wydawała westchnienia zgrozy, ale nie czuła nic.

W nocy stanęła na brzegu skutego lodem zalewu, który oddzielał mierzeję u wybrzeża Bałtyku od głównego lądu. Żołnierze pomagali przeprowadzić wozy i furmanki przez lód. Pokonując osiem kilometrów zamarzniętego zalewu, Miranda czuła się tak, jakby wkroczyła w inny żywioł. Powietrze zastygło w bezruchu, a dźwięki, które jej towarzyszyły, odkąd opuściła Sommerfeld, uległy zmianie. Lód skrzypiał i naprężał się pod ciężarem idących po nim ludzi. Ich głosy rozlewały się po otwartej przestrzeni. Miranda wiedziała, że to zupełnie prawdopodobne, iż umrze tutaj, zawieszona między wodą a niebem. Już dawno straciła czucie w dłoniach i stopach, a sięgając do kieszeni, nie wyczuwała palcami krzepiącej obecności błękitnego ptaszka od Oliviera. Mdliło ją ze zmęczenia tak, że nie mogła przełknąć nic prócz łyku wody od czasu do czasu. Śmierć mogła w każdej chwili spaść z nieba albo, po stąpnięciu na cieńszy skrawek lodu, oczekiwała na nich w zimnej, ciemnej toni.

W połowie zalewu, między głównym lądem a mierzeją, zapanowała zupełna cisza. Nie zaskrzypiało koło od wozu, nie zadudnił silnik samolotu. Niebo było bezchmurne, a gwiazdy, ostre i jasne, lśniły niczym rozsypane brylanty. Serce nocy syci się płomieniem, pomyślała. Stanęła, spoglądając w górę, i poczuła, jak spływa na nią błogosławieństwo gwiazd.

Dwa dni później Miranda dotarła do Pillau, portu u wejścia do Zalewu Wiślanego. Przeszła do końca mierzeją. Po jednej stronie był zamarznięty zalew, po drugiej Bałtyk. Szare morskie fale rozbijały się

o piaszczysty brzeg, wyrzucając muszelki i kawałki drewna. Idąc plażą, przypomniała sobie letnie dni, które spędzili tutaj z Friedrichem, wyławiając złociste kawałki bursztynu.

Teraz ją samą chciano złowić. Za dnia rosyjskie samoloty ostrzeliwały uchodźców i żołnierzy, zmuszając ich do szukania osłony pod wąskim pasem sosen rosnących na grzbietach najwyższych wydm. Wędrowali przeważnie nocą, zmierzając na wschód, w stronę Königsbergu i jego portu Pillau. W Pillau tysiące żołnierzy i uchodźców tłoczyły się nad zatoką, w nadziei, że zabierze ich któryś z okrętów płynących na zachód.

Po ciszy zalewu i mierzei zgiełk w porcie poraził Mirandę. Otuliła się płaszczem, zastanawiając się, co robić dalej. Matki z płaczem szukały w tłumie zaginionych dzieci, żołnierze naciskali klaksony ciężarówek, przebijając się przez ciżbę, by wyładować w zatoce zapasy przywiezione przez statki parowe i frachtowce.

Teraz jednak, samej, było jej łatwiej. W przeciwieństwie do matek z dziećmi mogła prześliznąć się przez najmniejszą szczelinę w tłumie. W przeciwieństwie do starych kobiet we wdowiej czerni, podpierających się laskami, była dostatecznie młoda i zwinna, by dopchać się do trapu, uczepić barierki i nie puszczać jej, gdy się wreszcie przebiła w pobliże frachtowca płynącego na zachód, do pomorskiego portu Stettin.

Z nieba zanurkował samolot, zrzucając grad pocisków. Stłoczeni ludzie na pomoście zakołysali się, krzycząc. Miranda stała na skraju wąskiego trapu; rzucona nagle na klęczki poczuła, jak plecak zsuwa jej się z ramion.

Spojrzała w dół na morze. Jej plecak podskakiwał przez chwilę na wodzie, a potem przewrócił się na bok i pochłonęły go fale. Żywność, ubranie, papiery i paszport poszły na dno Bałtyku.

Jak łatwo, pomyślała, byłoby pójść za nim. Wystarczyłoby puścić to, czego się trzymała.

I wtedy czyjś głos przemówił gardłową niemczyzną: „Mam cię, złotko”. Silna dłoń złapała ją za ramię i pociągnęła do góry. Popchnięta od tyłu, znalazła się na pokładzie okrętu.

Syn Kay miał ciemnoniebieskie oczy, rzadkie czarne włoski i rączki jak maleńkie rozgwiazdy. Unosił je, pokazując otwarte dłonie gestem niemalże niedowierzania, kiedy płakał. Chwilami jego twarzyczka przybierała lekko zdziwiony i nieco zaniepokojony wyraz, jakby jeszcze nie do końca zdecydował, co sądzić o nowym miejscu. Paluszki jego stóp przypominały bladoróżowe perły, a paznokcie – odłamki morskich muszelek. Jego powieki pokrywała siatka niebieskich żyłek, usta poruszały się we śnie, różowy języczek pracował, niemal jakby malec zbierał słowa i zamierzał lada chwila przemówić. Na rękach i buzi miał bruzdki, jak gdyby w łonie matki był czymś zbyt ciasno owinięty. Po kilku pierwszych dniach bruzdki znikły, a na górnej wardze pojawił się perłowobiały pęcherzyk.

Kiedy karmiła synka, w pierwszych chwilach miał żarliwy i pełen napięcia wyraz twarzy. W miarę jak ssał, ciepłe mleko wprawiało go w błogostan. Kay mogła na niego patrzeć godzinami. Czym sobie wypełniała czas przed urodzeniem Jamiego? Teraz próbowała coś robić – napisać list albo przeczytać książkę – lecz jej uwagę rozpraszał szeroki, bezzębny uśmiech malca albo pulchne rączki, wykonujące powolne, okrężne ruchy, jakby falowały pod wodą.

Urodzony pod koniec lutego synek Kay spóźnił się dwa tygodnie z przyjściem na świat. Zauważyła teraz, że zawsze towarzyszyła jej pewna niecierpliwość; rzucała się pochopnie, bez chwili namysłu, w kolejne etapy życia, jak podróż za granicę z Mirandą, pierwszy romans, służba wojskowa. Teraz jednak musiała nauczyć się czekać. Jej dziecko miało się urodzić, kiedy będzie gotowe, nie wcześniej. Podczas ostatnich długich tygodni ciąży spacerowała powoli i ociężale po lesie, który zdążyła pokochać, ostrożnie stawiając stopy na śliskim, podmokłym gruncie, albo odpoczywała w swoim pokoju w szkole, przerzucając książkę z biblioteki. Urodziła synka w klinice położniczej ulokowanej w budynku, gdzie poprzednio mieścił się hotel, na północnym wybrzeżu hrabstwa Devon. Poród był długi i bolesny; leżała potem zakrwawiona i wyczerpana cierpieniem. Wsparta o poduszki przez okno pokoju widziała morze. Kiedy zaczęła stopniowo odzyskiwać siły, lubiła, karmiąc dziecko, spoglądać przez okno na statki, które płynęły Kanałem Bristolskim.

Po opuszczeniu kliniki wróciła z Jamiem do pokoju w szkole. Kupiła używany wózek dziecięcy od kobiety z pobliskiej wioski, a Roger Lancaster zrobił dla maleństwa drewnianą kołyskę. Rozważnie spożytkowała specjalny zasiłek w postaci pięćdziesięciu talonów na dziecięcą wyprawkę. Virginia uszyła śliniaczki i pieluchy ze starych ręczników, pocięła także prześcieradło i koc, by przerobić je na pościel do wózka i kołyski. Trudno było o węgiel, więc Roger z kilkoma starszymi uczniami chodzili codziennie do lasu i zbierali gałęzie strącone przez wiosenne burze. Kuchnia z dużym żeliwnym piecem na drewno była najcieplejszym pomieszczeniem w budynku. Pieluchy suszyły się nad ogniem, a Kay spędziła w kuchni większą część pierwszych sześciu tygodni życia swego synka, siedząc w starym wiklinowym fotelu i karmiąc Jamiego pod życzliwym okiem kucharki.

Gdy tylko odzyskała siły, zaczęła spacerować z wózkiem po terenie należącym do szkoły. Podczas spacerów układała plany. Postanowiła, że gdy skończą się bomardowania pociskami V-2, wróci do londyńskiego mieszkania. Przerobi drugą sypialnię, która służyła Rowlandowi jako gabinet, na pokój dla dziecka. Znajdzie pracę. Zapewni swojemu synkowi najlepszy możliwy start w życiu, żeby zrekompensować Jamiemu brak ojca. A przede wszystkim podaruje mu każdy okruch miłości, jaki w sobie znajdzie.

Wiosna wcześnie zawitała do Devon. Liście tojadu połyskiwały w zacienionych miejscach pod bukami, na żywopłotach pojawiły się stulone pąki. W krzewie tarniny wyśpiewywał drozd. Czasami, popychając wózek po wąskich dróżkach, Kay czuła, że coś wewnątrz niej zaczyna się zabliźniać.

W kwietniu, niedługo po tym, jak brytyjskie wojska na dalekim Wschodzie odbiły Birmę, alianccy żołnierze przekroczyli Ren i weszli do Niemiec. Tom obejrzał w kinie przy Leicester Square kronikę filmową pokazującą wyzwolenie obozu koncentracyjnego w Bergen-Belsen. Na widowni panowała absolutna cisza, gdy głos Richarda Dimbleby'ego mówił, co zastali tam Brytyjczycy. Cały teren obozu wypełniali zmarli i umierający. Patrząc na czarno-białą relację na

ekranie, Tom z najwyższym trudem rozpoznawał ludzkie ciała w tym, co leżało pod jodłami. Żywi, podobnie jak zmarli, przypominali szkielety, stłoczeni razem, tysiące ludzi wyrzuconych niczym odpadki, skóra i kości, łachmany, włosy. W obozie nie było jedzenia ani wody. Więźniowie żywili się chorobą i zarazą, wdychali odór śmierci.

Noga rozbolała Toma od siedzenia, lecz zmusił się, by obejrzeć ten film dwukrotnie. Gdy po raz drugi usłyszał ostatnie słowa komentarza Dimbleby'ego: „Ten dzień w Belsen był najpotworniejszym dniem mojego życia", wyszedł z kina. Na zewnątrz zmrużył oślepione światłem oczy. Zwyczajne widoki Londynu czasu wojny – ruch uliczny, ludzie na chodnikach, ruiny budynków – dopiero po chwili nabrały kształtów, raczej kojących niż drażniących. O to właśnie walczyłeś, powiedział sobie. O to w tym wszystkim chodziło. Znalazł jakiś bar i pił w nim, dopóki nie zatarły się obrazy w jego głowie, a alkohol nie tchnął ciepła w jego żyły.

Okręt, na który dostała się Miranda w Pillau, zabrał ją do Danzig; stamtąd udało jej się popłynąć do Stettina u ujścia Odry. Wraz z setkami innych uchodźców wsiadła do pociągu do Berlina. Gdy zbliżali się do miasta, popatrzyła przez okno na ruiny. Alianckie bombardowania spowodowały olbrzymie spustoszenia: widać było kościoły pozbawione wież, kamienice, którym brakowało ścian, odsłaniające teraz, niczym plaster miodu, ciasne, nędzne pokoje. Wszędzie zaś rozciągały się gruzowiska, wśród których szukali drogi przechodnie ubrani w wytarte płaszcze i sfatygowane czapki, mające ich chronić przed lutowymi mrozami.

Nie wszyscy berlińczycy miło witali przybyszów szukających schronienia w mieście – wszak uciekinierzy z Prus Wschodnich, jak podkreślali mieszkańcy stolicy, przeżyli prawie całą wojnę, nie znając reglamentacji ani bombardowań. Dobrze im zrobi, jeśli teraz trochę tego zakosztują – Miranda wyczuwała ową myśl, przeważnie niewypowiedzianą, przemykającą przez głowy berlińczyków. Lecz Anna powitała ją serdecznie. Anna, która pracowała jako pielęgniarka w szpitalu Charité, zabrała ją do siebie, nakarmiła, znalazła czystą odzież na miejsce brudnych i podartych rzeczy,

w których Miranda przyjechała, wreszcie zaś opatrzyła pokaleczone i pokryte pęcherzami stopy.

Po trzech tygodniach Miranda opuściła miasto. Armia Czerwona znajdowała się zaledwie sześćdziesiąt kilometrów od Berlina. Wiedząc, co Rosjanie zrobią z niemieckimi kobietami, kiedy wkroczą do stolicy, próbowała nakłonić Annę do wyjazdu, lecz ta odmówiła. Jej miejsce jest w szpitalu, który codziennie przyjmuje setki nowych ofiar nalotów, oświadczyła.

Zatem Miranda znowu wyjechała sama, tym razem na południe. Początkowo sprawy komplikowała biurokracja: konieczność posiadania talonów na żywność, dokumentu potwierdzającego prawo do zasiłku, zezwolenia na podróż. Po ucieczce z Prus Wschodnich, utracie paszportu i książeczki z kartkami żywnościowymi, utraciła również tożsamość. Wypełniając i podpisując niezbędne papiery, dzięki którym mogła dostać jakieś jedzenie, jeździć pociągami i przenocować w miasteczku lub wiosce, opuściła arystokratyczne „von” i została Mirandą Kahlberg. Po przyjeździe do domu znajomych Anny w niewielkim miasteczku pod Lipskiem rozchorowała się poważnie. Tydzień później, kiedy zaczęła wracać do zdrowia, spojrzała w lusterko i w czarnych włosach dostrzegła białe pasmo.

Gdy tylko poczuła się wystarczająco dobrze, pożegnała gospodarzy i wyruszyła w dalszą drogę. Podróżując, sypiała w dworcowych poczekalniach, na ławkach w parku, a także w lasach, otulona swoim starym futrem, wśród szeptów i pomruków nocy. Kiedy skończył jej się skromny zapas żywności od znajomych Anny, stawała w kolejkach do jadłodajni albo prosiła o chleb sklepikarzy i właścicieli gospód. Była ciągle głodna; zdarzało się, że przez cały dzień nic nie jadła. Piła wodę z wiejskich studni i leśnych strumieni. Gdy tylko mogła, jechała koleją, lecz pociągi kursowały rzadko i nieregularnie, ponieważ tory, stacje i bocznice zostały zniszczone przez alianckie bomby. Mogła czekać wiele godzin, potem przejechać zaledwie kilka kilometrów i stać godzinę na jakiejś ponurej równinie, porośniętej tu i ówdzie sosnami. Potem pociąg ruszał znowu, tak wolno, że szybciej poruszałaby się na piechotę. Gdy rozlegał się warkot lecącego nisko samolotu, lokomotywa i wagony cofały się pod osłonę lasu.

Jeśli nie było pociągu, łapała okazje. Furmanka podwiozła ją z jednej wioski do drugiej. Kiedy indziej zatrzymał się jakiś pojazd wojskowy i podrzucił ją kilka kilometrów dalej. Raz pozwoliła żołnierzowi kochać się z sobą – był uroczym chłopcem, bardzo młodym i pozbawionym złudzeń, a jego uśmiech w jakiś sposób przypominał jej Oliviera. Ponadto było jej zimno, teraz ciągle było jej zimno, a ten chłód wydawał się gorszy niż głód i zmęczenie, więc z przyjemnością wtuliła się w nocy w ciepłe ramiona mężczyzny. Gdy się rozstawali, pocałowała go, zanim odjechał.

Widziała obok siebie setki innych wędrowców; pojazdy wojskowe zmierzające na front, który zbliżał się z każdym dniem, grupy chłopców z Hitlerjugend, strzelających na chybił trafił do ptaków na gałęziach i wszystkiego, co się ruszało, a także wyczerpane rodziny, uciekające z bombardowanych miast. Jak tylko mogła, unikała wszelkiego rodzaju funkcjonariuszy i ruszała w przeciwną stronę, ilekroć dostrzegła mundur gestapo albo SS. Cel podróży rysował się przed nią coraz wyraźniej. Kiedy to było możliwe, słuchała radia – teraz przestawianego z gromkich peror Goebbelsa, wciąż obwieszczających rychłe zwycięstwo, na stację BBC. Alianci zajęli Kolonię i Frankfurt nad Menem. Armia Czerwona była już na przedmieściach Berlina. Monachium upadło. Krążyły pogłoski, że Hitler się zastrzelił.

Przyjaciel Toma, Willi Becker, który rozprawiał kiedyś o miłości w berlińskiej kafejce, wymknął się, by stanąć w kolejce po wodę. Kolejka ustawiła się przy Hermannplatz, niedaleko piwnicznego punktu opatrunkowego, w którym Willi operował. Składała się w przeważającej części z kobiet. Ilekroć odłamek pocisku trafił którąś z nich, pozostałe przesuwały się do przodu, zapełniając lukę.

Zdarzyła się chwila, gdy odgłosy rosyjskiego bombardowania ucichły, a Willi usłyszał śpiew ptaka i zobaczył po drugiej stronie placu złotokap o jaskrawożółtych kwiatach, rysujących się wyraźnie na szarym tle pyłu i gruzów. Potem walka zaczęła się od nowa, w górze wybuchł pocisk i tuż przed tym, gdy trafiły go odłamki, Willi

spojrzał w niebo. Błękit, zanim przesłonił go mrok, wydał mu się zadziwiająco czysty.

Anna von Kahlberg ukrywała się w piwnicy razem z kilkoma kobietami i dziećmi. Jedna z kobiet niedawno urodziła; Anna odebrała poród i dziecko popiskiwało teraz cicho przy matczynej piersi.

Za dnia młodsze kobiety na przemian stawiały czoło bombardowaniu i wybiegały po wodę lub kilka kęsów pożywienia. Teraz, w nocy, czekały. Ostrzał ucichł, zastąpiło go dudnienie pojazdów wojskowych. Żadna się nie odzywała.

Słysząc kroki, Anna mocno przytuliła dziecko siedzące na jej kolanach. Otworzyły się drzwi, piwnicę oświetlił promień latarki. Na szczycie schodów stanął rosyjski żołnierz z karabinem maszynowym. Był mocno zbudowany, miał ogoloną głowę i blizny na twarzy. Na wydany warkliwym głosem rozkaz wszystkie pospiesznie zdjęły biżuterię i zegarki i wręczyły żołnierzowi.

Światło latarki przesunęło się po sylwetkach kobiet i spoczęło na Annie. Gdy skinął na nią, szeptem nakazała dziewczynce iść do matki. Później wstała, drżąc, i wyszła za nim z piwnicy.

Olivier maszerował w długiej kolumnie więźniów, którym strażnicy kazali opuścić obóz jeniecki i wyjść na drogę. Nie wiedział, dokąd idą, i stracił rachubę, ile dni minęło – dwa, może trzy. Od czasu do czasu któryś z jeńców osuwał się na ziemię na skutek głodu, pragnienia, wyczerpania albo choroby. Wtedy jeden ze strażników wrzeszczał na niego. Jeśli jeniec nie podniósł się na czas, dostawał kulę.

Olivier chorował od zimy. Nabawił się kaszlu, który nie chciał ustąpić; nocami budził się na wąskiej pryczy zlany potem pomimo zimna. Teraz idąc, czuł, jak na jego klatce piersiowej zaciska się żelazna obręcz, utrudniając oddychanie. Wydawało się, że wojna dobiega końca – świadczyła o tym pospieszna ewakuacja obozu i tłumy niemieckich uchodźców spotykane na drogach – więc musiał

po prostu iść naprzód, dopóki, przy odrobinie szczęścia, nie natrafią na oddziały alianckie.

Problem polegał na tym, że nie był pewien, czy zdoła „po prostu iść naprzód". Szczęście odwróciło się od niego już wcześniej. Na początku, kiedy wyruszali, dodawał mu otuchy widok zielonych poboczy i pól rozpościerających się po drodze oraz fakt, że opuścił ciasny, wstrętny obóz. W trakcie marszu jednak świat Oliviera się skurczył, najpierw do współwięźniów idących po obu stronach, a następnie do samej drogi. Czynność stawiania jednej stopy przed drugą stała się najważniejszym zadaniem, wymagającym każdego okrucha koncentracji, woli i siły. Wspomnienia przemykające przez jego głowę – pierwszego obozu, do którego trafił w roku 1940, i drugiego, cięższego, w którym zamknięto go po próbie ucieczki, a także fabryki, gdzie przepracował wiele długich godzin, nasłuchując, jak alianci bombardują pobliskie miasto – skrystalizowały się na ułamek chwili i znikły. Tak wiele przetrzymał. Chciał wrócić do domu. Chciał żyć.

Dlatego gdy potknął się o jakąś koleinę i upadł na kolana, nade wszystko zapragnął wykrzyczeć swój gniew na całe to okrucieństwo. Usiłował wstać, lecz zgiął się aż do ziemi, jakby miał kości z gumy.

Strażnik uniósł karabin.

Kula trafiła Oliviera w pierś. Usłyszał własne westchnienie, cichy dźwięk przypominający lament. Z rany popłynęła krew, mieszając się z błotem na drodze. Nie taki los by sobie wybrał, pomyślał, śmierć w obcym kraju, tak daleko od domu. Zamknął oczy, czując, jak tryska krew, a wraz z nią wycieka z niego życie. Przynajmniej będzie mógł wreszcie odpocząć. Był taki zmęczony. Sekunda po sekundzie znikały uczucia i myśli, aż pozostała tylko skorupa wykrwawiająca się na śmierć na poboczu drogi gdzieś w Niemczech.

A później nastąpiła ciemność.

Jedną noc Miranda spędziła w pokoiku na tyłach gospody. Rano żona właściciela pozwoliła jej wyprać bluzkę w umywalce i wyprasować pogniecioną spódnicę. Był ciepły, słoneczny dzień i bluzka wyschła szybko, powieszona na sznurku.

Amerykanie, powiedziała żona właściciela, są o dziesięć kilometrów stąd. Chciałaby, żeby się pospieszyli; obawiała się, iż jakiś głupiec – tu zniżyła głos, ponieważ jeden pokój na górze zajmowali oficerowie SS – rozpęta bitwę i wszyscy zginą. Pragnęła, żeby to się wreszcie skończyło. Żeby życie wróciło do normy.

Miranda umyła twarz i ręce i wyszczotkowała włosy. Potem, gdy gospodyni poszła zanieść kawę oficerom SS, wyjęła swoje nowe dokumenty, dowód tożsamości, kartki żywnościowe i zezwolenia na podróż z niedużej walizki, którą dostała od Anny – i wrzuciła do kuchennego piecyka. Cienki papier zaszeleścił i spłonął. Miała dwadzieścia sześć lat, straciła kochanka, męża i dziecko, przeżyła wojnę i gehennę ucieczki, lecz być może trafi jej się szansa, by gdzieś zacząć wszystko od nowa. Włożyła czyste ubranie, wzięła walizkę i ruszyła pieszo w kierunku frontu.

Słyszała sporadyczne odgłosy strzelaniny i śpiew kosa. Szła długo. Świeciło słońce, co sprawiło, że po raz pierwszy od wielu miesięcy było jej ciepło. Żołnierze w mundurach khaki, nie w szarych barwach Wehrmachtu, przedzierali się przez las nieco w bok od Mirandy. Ruszyła wąską ścieżką przez łąkę z bujną trawą, usianą drobnymi białymi kwiatkami i chłodno muskającą kostki. Za łąką był las i przez chwilę szła w spokoju między drzewami, dopóki znowu nie dotarła do drogi. Rozejrzała się i zobaczyła wojskowe pojazdy zaparkowane na poboczu po tej stronie, z której właśnie przybyła. Żołnierze, wysocy mężczyźni, biali i czarni, w szarozielonych mundurach armii amerykańskiej, opierali się o ciężarówki, paląc papierosy. Słyszała ich głosy i hałaśliwe śmiechy. Nie zdając sobie z tego sprawy, przekroczyła linię frontu. Front opłynął ją, zagarnął i pochłonął.

Żołnierze wyrzucili niedopałki i wdrapali się do ciężarówek. Zawyły silniki i konwój ruszył drogą w kierunku Mirandy. Stała nieruchomo na poboczu, patrząc, jak ją mijali.

Wtem jedno z ostatnich aut zahamowało z piskiem opon, zaczęło się cofać i przystanęło obok Mirandy. Mężczyzna siedzący z tyłu wychylił się i zawołał:

– Dokąd chcesz jechać, skarbie?

Był młody, miał krótko ostrzyżone włosy, a spod rozpiętej kurtki khaki wysunął się zawieszony na szyi aparat fotograficzny.

– Tam. – Wskazała kierunek, w którym zmierzał konwój.

– No to masz szczęście. Wskakuj.

Podniosła walizkę, którą umieścił w ciężarówce. Potem podał rękę Mirandzie i wciągnął ją na siedzenie. Usiadła naprzeciw niego.

– Jak się nazywasz, skarbie?

– Agnès – odparła. Przypomniała sobie sekretarkę Oliviera, drobną, ciemnowłosą i elegancką. – Agnès Leblanc.

– Ja jestem Jake Brennan.

– Miło mi pana poznać, panie Brennan. Dziękuję, że mnie pan zabrał. To bardzo uprzejmie z pana strony.

Zaśmiał się.

– Do usług, Agnes. – Wymawiał to imię z angielska. – Jesteś Francuzką?

– Tak.

Jego niebieskie oczy przyjrzały jej się czujnie i z zaciekawieniem.

– Dobrze mówisz po angielsku.

– Dużo podróżowałam w dzieciństwie.

– Jesteś głodna, Agnes?

– Bardzo.

– Masz. – Rzucił jej tabliczkę czekolady.

Ostrożnie odpakowała czekoladę i ułamała kawałek. Poczuła w ustach eksplozję słodyczy. Gdy jadła, Brennan oparł łokieć o górną krawędź pudła ciężarówki i, wychylając się, robił zdjęcia. Słyszała trzask migawki i szelest przewijanej rolki filmu.

Skończywszy czekoladę, zwinęła się w kłębek w kącie i zamknęła oczy. Była bardzo zmęczona, a słońce, czekolada i kołysanie auta na zrytej koleinami drodze sprawiły, że ogarnęła ją senność.

Gdy się ocknęła, zobaczyła, że Jake otworzył jej walizkę i przegląda zawartość. Pomyślała o swoich perłach, szmaragdowej bransolecie i wisiorku z szafirem, zaszytych w obrąbku starej wełnianej spódnicy.

Musiała wydać jakiś dźwięk, bo spojrzał na nią.

– Przepraszam. – W jego uśmiechu było więcej wdzięku niż skruchy. – Jestem reporterem, mój zawód wymaga bycia wścibskim. Zaciekawiło mnie, kim ty jesteś.

– Przecież mówiłam. Nazywam się Agnès Leblanc i jestem Francuzką.

– Francuzką. Jasne, oczywiście, Francuzką.

Opuścił wieko walizki, a Miranda przyciągnęła ją do siebie i otoczyła ramionami.

Skierował na nią obiektyw aparatu.

– Francuzka, Angielka, Niemka, kimkolwiek naprawdę jesteś, Agnes Leblanc, masz bardzo ładną buzię. – Trzasnęła migawka.

Ciężarówka jechała naprzód. Słońce prażyło, powieki ciążyły jak ołów, oczy Mirandy same się zamykały.

Usnęła.

17 Wioska na północ od Gołdapi. Obecnie Majakowskoje.

18 Elbląg.

19 Niemieckie oddziały obrony terytorialnej tworzone od września 1944 r. W ich skład wchodzili mężczyźni od 16. do 60. roku życia niesłużący w Wehrmachcie.

20 Malbork.

21 Fragment wiersza „Itylus" Algernona Charlesa Swinburne'a (1837–1909) w przekładzie tłumaczki.

Część trzecia

BZY W PARKU

Maj 1947 – kwiecień 1948

Rozdział 16

Powojenny Londyn wyglądał jak wielka dama w podeszłym wieku, która straciła dawną urodę, popadła w ubóstwo i nie odzyskała jeszcze energii, pieniędzy, a także chęci życia na tyle, by zadbać o siebie. Choć zaczęto już odbudowywać miasto, pozostały jeszcze rozległe zrujnowane place, zarośnięte młodymi drzewkami i chwastami, miejsca, na których mali chłopcy bawili się w wojnę, a spekulanci handlowali czarnorynkowymi towarami.

Jakaś cząstka umysłu Kay wyobrażała sobie, że gdy tylko skończy się wojna, sklepy będą pełne wspaniałych towarów. Tymczasem teraz jadała gorzej niż w latach wojny. Wtedy służba w wojsku chroniła ją przed skutkami reglamentacji, która nadal obowiązywała. Chleb, w czasie wojny łatwo dostępny, w ubiegłym roku był racjonowany. Wojna doprowadziła kraj do bankructwa, podkreślali w prasie co posępniejsi eksperci, i Brytania będzie za to płaciła przez następne dziesięciolecia. Jakby dla spotęgowania ponurej atmosfery zima przełomu lat 1946 i 1947 okazała się najsroższa, jaką ludzie pamiętali. U wybrzeża hrabstwa Norfolk zauważono bloki kry, Tamiza zamarzła, a warzywa trzeba było wyrąbywać z zamarzniętej ziemi za pomocą młotów pneumatycznych. Niedostatek opału oznaczał, że wszystkim było nieustannie zimno. Kay skupiła całą energię na utrzymywaniu siebie i Jamiego w cieple i zdrowiu. Z nadejściem wiosny poczuła się tak, jakby wypuszczono ją z więzienia.

Wiedziała, że pod wieloma względami dopisało jej szczęście. W okresie dotkliwego braku przestrzeni mieszkalnej miała widne, obszerne mieszkanie. Nawet żołnierze powracający z kontynentu albo Dalekiego Wschodu uważali się za szczęściarzy, jeśli znaleźli pokój do wynajęcia. Wielu nowożeńców nie miało wyboru i musiało rozpoczynać życie małżeńskie w domu teściów.

W piątek po pracy Kay odebrała Jamiego od Liz. Liz, podobnie jak Kay, była wdową wojenną; utrzymywała siebie i córki, opiekując się dziećmi kobiet, które pracowały. Jamie za nią przepadał, a ponieważ mieszkała niedaleko Tufnell Park, układ okazał się dla nich obu korzystny. Jamie był krzepkim dwuletnim chłopczykiem, wysokim jak na swój wiek, o czarnych włosach Rowlanda i ciemnych, rozbrajających oczach. To Kay, nie Jamiemu, pękało serce, gdy po raz pierwszy zostawiała małego u Liz. Synek miał naturę ryzykanta. Kay przypominała sobie czasami, że też kiedyś taka była. Teraz już nie. Coś ją odmieniło – wojna, śmierć Rowlanda.

Od półtora roku pracowała w biurze tłumaczeń przy Golden Square. Tłumaczono tam dokumenty handlowe i prawne oraz dłuższe teksty z zakresu literatury faktu, zlecane przez wydawców i agencje literackie. Właściciel, Nigel Peagram, odnosił się z protekcjonalną uprzejmością do nielicznych kobiet, które zatrudniał. Jego styl bycia dyrektora szkoły oddziaływał na pracowników płci męskiej, którzy przeważnie zwracali się do siebie po nazwisku, jakby istotnie znajdowali się w jakiejś prywatnej szkole. Kay miała szczęście, że dostała tę pracę, powróciły bowiem niektóre społeczne ograniczenia, złagodzone wcześniej przez wojnę. Kobiety przestały być potrzebne dla funkcjonowania kraju i w większości znalazły się z powrotem w kuchni. To, co Kay miała teraz – pracę, niezależność, własne dochody – musiała sobie wywalczyć.

Tamtego wieczoru wybrała się z Tomem do teatru. Wstąpił po nią o wpół do siódmej, tuż po zjawieniu się opiekunki do dzieci, i poszli razem do teatru w Islington. Grano „Gorączkę sienną" Noëla Cowarda. Na widowni połowa miejsc świeciła pustkami; inscenizacja okazała się przeciętna, dekoracje i kostiumy były podniszczone, a aktorstwo drewniane. Myśli Kay zaczęły błądzić wokół innych spraw. Rachunek za prąd: musi pamiętać o zapłaceniu rachunku, który leży od tygodnia za zegarem na półce nad kominkiem. Warto by zanieść buty Jamiego do szewca. Raz widzieli z Rowlandem sztukę Noëla Cowarda – która to była? „Ta szczęśliwa rasa"? Tak.

Coś kazało jej nagle usiąść prosto i skupić uwagę na przedstawieniu. Na scenę wkroczyła nowa postać, śmiała panna Jackie. Widzowie przyjęli ją kaskadami śmiechu. Aktorka – drobna,

ładna platynowa blondynka – w przeciwieństwie do reszty obsady potrafiła grać. Po prostu była przedstawianą postacią – groteskową, sympatyczną i czarującą dziewczyną. Publiczność reagowała żywo, wreszcie zaciekawiona spektaklem.

Ale nie tylko niespodziewana zmiana poziomu przedstawienia sprawiła, że Kay poczuła dreszcz przebiegający po plecach. Coś rozbłysło jasno w jej pamięci – to zadziwiające, jak można sobie przypomnieć po latach brzmienie czyjegoś głosu – i pochyliła się naprzód, znieruchomiała, wpatrzona w aktorkę, usiłując wyraźniej zobaczyć jej twarz.

– Co się dzieje? – szepnął Tom.

– Nie wiem. Nie jestem pewna. – Pokręciła głową.

Ktoś z rzędu przed nimi zaczął ich uciszać. Kay umilkła. Drżała. Co za wstrząs. Choć widziała „Gorączkę sienną" na scenie kilka razy, to nie sztuka wydawała jej się tak drażniąco, nieoczekiwanie znajoma, lecz ta jedna aktorka.

W przerwie, gdy Tom poszedł kupić coś do picia, przekartkowała program. Zatrzymała spojrzenie na obsadzie; gdy znalazła nazwisko, którego szukała, jej serce zabiło gwałtownie.

Wrócił Tom z napojami.

– Co się stało? Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha.

– Bo chyba zobaczyłam. – Pokazała mu program. – Aktorka, która gra Jackie…

– Najlepsza w całym przedstawieniu.

– Prawda? Myślę, że to Miranda.

– Miranda… – Zmarszczył brwi.

– Moja Miranda. Pamiętasz, Tom.

Jesień 1937 roku. Berlin, dzień spędzony w ogrodzie zoologicznym, herr Reimann i ostatnia, fatalna w skutkach kolacja w mieszkaniu Denisowów. Kay niemal czuła mdły, wodnisty zapach akwarium, słyszała bębnienie deszczu o szyby.

– W programie jest wymieniona Miranda Marshall, a moja Miranda miała na nazwisko Denisow, ale „Miranda" to raczej rzadkie imię, prawda? To nie może być przypadek. Niewykluczone, że „Marshall" jest pseudonimem scenicznym.

– Jesteś pewna, że to ona?

– Prawie.

– Prawie? – Przyjrzał jej się uważnie.

– Wygląda inaczej. Po pierwsze, włosy. Miranda miała czarne włosy. – Kay zmarszczyła brwi. – Straciłam z nią kontakt w czasie wojny. Potem próbowałam ją odszukać, ale mi się nie udało.

Wrócili na widownię. Kay w skupieniu oglądała drugą połowę spektaklu. Ilekroć zamykała oczy i słuchała głosu aktorki – niskiego, głębokiego, ożywionego śmiechem – zyskiwała pewność.

Po przedstawieniu wyszli do foyer.

– No i co? – zagadnął ją Tom.

– To ona. Wiem, że to ona.

– Jeśli chcesz, porozmawiam z którąś bileterką. Poproszę, żeby zaniosła karteczkę za kulisy.

– Nie – wyrwało się Kay, zanim zdążyła się powstrzymać.

– Dlaczego?

– Nie mam czasu – powiedziała. – Muszę wrócić do domu i zwolnić opiekunkę.

Wiedziała, że robi unik. Czemu nagle zapragnęła się wycofać? Ponieważ nie widziały się od dziesięciu lat? Ponieważ, być może, nie miały sobie nic do powiedzenia – i być może nic ich już nie łączyło? Nie, żadna z tych rzeczy.

– Nie wiadomo, czy trafi ci się następna szansa – zauważył Tom. – Czego ty się boisz, Kay?

– Niczego – odparła ostro. Westchnęła i dodała: – Nie jestem pewna, czy chcę się ponownie angażować w tę znajomość. Miranda zawsze była… skomplikowana. W moim życiu nie ma teraz miejsca na skomplikowane sprawy.

– Aha – powiedział. – Rozumiem.

– Nie rozumiesz, Tom. Nie znasz Mirandy.

– Nie możesz przejść przez życie, próbując unikać zaangażowania, Kay.

– Nie próbuję! – Spiorunowała go wzrokiem. – To nieprawda!

– Nie? Bo dla mnie tak to wygląda.

Spojrzała na niego z wściekłością, po czym sztywnym krokiem przemaszerowała przez foyer. Czy pani bileterka zechciałaby

przekazać wiadomość pannie Marshall? Jeżeli panna Marshall pamięta Kay Garland, może byłaby tak uprzejma i przyszła do foyer.

Bileterka zniknęła za drzwiami, a Kay zaczęła postukiwać butem w posadzkę z niecierpliwości, czekając. Zauważyła, że Tom oparł się o filar i nagle zrobiło jej się wstyd. Zapomniała o jego nodze – on sam nigdy o niej nie wspominał. Podeszła, stanęła obok niego, uśmiechnęła się przepraszająco i wsunęła rękę pod jego ramię.

A potem drzwi się otworzyły i wyszła młoda kobieta. Kay usłyszała jej stłumiony okrzyk.

Miranda miała łzy w oczach.

– Och, Kay! – zawołała. – Wiedziałam, że pewnego dnia cię odnajdę!

Wieczorem Tom złapał pociąg powrotny do Cambridge. Była to osobówka, która zatrzymywała się na każdej zapyziałej stacyjce na trasie do King's Cross, a ponieważ poprzedni pociąg odwołano, w wagonach panował tłok. Tom ustąpił miejsca kobiecie objuczonej zakupami. Ktoś palił fajkę; gryzący siny dym kłębił się w wagonie, zmieszany z ostrą wonią sadzy z lokomotywy. Od długiego stania Toma rozbolała noga. Wyjął książkę, którą przed wyjściem z domu wsunął do kieszeni płaszcza, otworzył ją i zaczął czytać.

Po zwolnieniu ze służby wojskowej wrócił na uniwersytet, aby studiować prawo. Kupił także, dzięki odprawie oraz otrzymanemu w odpowiedniej chwili spadkowi po wuju, dom przy Priory Road w Cambridge. W wieku lat trzydziestu czterech z ulgą uwolnił się od wynajmowanych pokoi i kwater wojskowych. Dom był w stylu wiktoriańskim, stał w zabudowie szeregowej, blisko rzeki. Tom bardzo lubił bystry nurt wody i jego nieustającą zmienność.

Tego wieczoru jednak, gdy wszedł do domu, pokoje wydały mu się zimne, puste i niezbyt zachęcające. Zapalił światło, nalał sobie szkockiej i usiadł w fotelu. Dom potrzebował remontu, który Tom planował w wolnych chwilach. Wiedział jednak, że nie ma co winić za swoje przygnębienie ponurego wystroju wnętrz. Ilekroć spotykał się z Kay, nieodmiennie przechodził ten sam cykl nastrojów. Najpierw przyjemne oczekiwanie, potem wielka radość, gdy przebywał w jej

towarzystwie, i w końcu, jakby w ramach zapłaty, swego rodzaju opadanie euforii, żal i samotność.

Gdy Kay wróciła z Jamiem do Londynu, Tom starał się jej pomagać. Jego miłosne wyznania byłyby ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała wdowa z maleńkim synkiem. Ale w miarę upływu miesięcy i lat zaczął upadać na duchu, jego nadzieje słabły. Zawsze było dla niego zupełnie jasne, że Kay uważa go za przyjaciela i nikogo więcej. Poczciwy stary Tom, który wykonywał w mieszkaniu wszelkie naprawy wymagające męskiej ręki, od czasu do czasu zapraszał ją gdzieś i bawił się z Jamiem, tak jak robiłby to ojciec chłopca, gdyby żył. Przeważnie raz w tygodniu telefonowali albo pisali do siebie. Raz na miesiąc lub dwa wychodzili gdzieś razem. Tak wyglądał jego kartkowy przydział.

Odtworzył w myślach przebieg wieczoru. Kay wyglądała pięknie w swojej zielonej sukni. W drodze do teatru niewygodę jazdy zatłoczonym wagonem kolejki podziemnej równoważyła obecność Kay. Podczas przedstawienia musiał się pilnować, żeby nie patrzeć na nią zamiast na scenę. A potem nieoczekiwane odnalezienie dawnej przyjaciółki. „Nie możesz przejść przez życie, próbując unikać zaangażowania, Kay". Coś się zmieniło, pomyślał, coś go skłoniło, by zwrócił jej na to uwagę. Może nastąpił jakiś przełom.

Kiedy ją znowu zobaczy? Za kilka tygodni, może za miesiąc. Przygnębiała go ta myśl. Nalał sobie drugą szklaneczkę whisky.

Nie była to jednak kwestia tygodni; zobaczył Kay pięć dni później.

Od rana pracował nad zawiłym szkicem dotyczącym prawa własności. O piątej cały już zesztywniał od siedzenia. Ziewnął, przeciągnął się, spojrzał w okno – i zobaczył zardzewiałego hudsona, który zatrzymał się przy krawężniku przed jego domem. Z auta wysiadła Kay.

Tom wyszedł jej na spotkanie.

– Co za niespodzianka. – Ucałował ją. – Bardzo miła niespodzianka.

– Nie przeszkodziłam ci w pracy, Tom?

– Nie, wcale. Prawdę mówiąc, bardzo się cieszę z pretekstu, żeby zrobić sobie przerwę.

– Spędziłam cały dzień w Peterborough u klienta biura i Cambridge wypadło mi prawie po drodze. – Poklepała maskę samochodu. –

Niestety, nie jest mój. Należy do kolegi.

– Gdzie Jamie?

– Powinien być teraz u cioci Dot. Obiecała, że odbierze go od Liz. Tak naprawdę, Tom, chciałam porozmawiać z tobą o Mirandzie.

Miranda była pięknością, bez dwóch zdań, pomyślał Tom, przypominając sobie spotkanie w teatrze. Drobnej budowy, o jasnych włosach i czekoladowobrązowych oczach, co stanowiło pikantne połączenie. Miała w sobie jakiś niepokój i napięcie, lecz wyraźna i szczera radość na widok Kay sprawiła, że Tom poczuł do Mirandy sympatię.

Zmrużył oczy i popatrzył w niebo, które miało kolor niezapominajek.

– Jeżeli jesteś głodna, mogę ci zrobić filiżankę herbaty i kanapkę. A jeżeli wolałabyś rozprostować nogi, możemy przespacerować się nad rzeką.

Uśmiechnęła się promiennie.

– Spacer, bardzo proszę.

Ruszyli przed siebie Priory Road. Nad rzeką Kay oparła się ramionami o barierkę i obserwowała przemykającą po wodzie łódź z ośmioma wioślarzami. Potem poszli dalej, mijając gazownię i stare wodociągi z epoki wiktoriańskiej.

– Widziałam się z Mirandą wczoraj – powiedziała Kay. – Przyszła na herbatę.

– Od jak dawna jest w Londynie?

– Mniej więcej od pół roku. Mówiła, że próbowała mnie odszukać. Ale zmieniłam nazwisko i miejsce zamieszkania, więc jej się nie udało.

Tom uskoczył przed rozpędzonym rowerem.

– Czy zamierza tu zostać?

– Tak mi się wydaje.

– I jest aktorką?

– Zawsze chciała nią być. Zagrała kilka ról w półprofesjonalnych inscenizacjach, a potem w „Gorączce siennej”. Powiedziała mi, że w przyszłym tygodniu weźmie udział w przesłuchaniu do jakiegoś przedstawienia, zapomniałam tytułu. Była bardzo przejęta.

Mijali szereg niedużych domków. W maleńkim ogródku przed ostatnim z nich kobieta w czerwonej, jedwabnej, wieczorowej sukni siedziała na leżaku, słuchając „Wesela Figara” odtwarzanego na staroświeckim gramofonie na korbkę. Muzyka towarzyszyła im, gdy wchodzili przez bramę na Stourbridge Common. Krowy pasły się w wysokiej trawie, kwitły różowe i białe głogi. Przy brzegu rzeki stały zacumowane barki w jaskrawych kolorach, a ścieżką flisacką podążali rowerzyści, spacerowicze z psami i matki popychające wózki.

– Miranda straciła wszystko – podjęła Kay. – Po wojnie dotarła do Paryża. Dowiedziała się, że jej ojciec zmarł na udar mózgu kilka miesięcy przed końcem wojny. Nawiązała kontakt z Czerwonym Krzyżem i poprosiła, żeby sprawdzili, co się stało z jej mężem Friedrichem i Olivierem.

– Olivier był jej kochankiem?

– Tak. Poznałyśmy go w Paryżu. W każdym razie, Friedrich zginął podczas oblężenia Königsberga. A Olivier… to bardzo smutne, ale też nie żyje.

– Jak to się stało?

– Prawie całą wojnę spędził w obozie jenieckim. W tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym roku przeniesiono go do fabryki produkującej części do maszyn. Kiedy zbliżali się Rosjanie, jeńców popędzono na zachód. Dopiero co minęła zima i Olivier od pewnego czasu chorował. Musieli maszerować dzień i noc, a on nie mógł nadążyć. W pewnym momencie upadł i jeden ze strażników go zastrzelił. – Odwróciła się do Toma. – Niewiele brakowało, żeby przeżył. Właśnie to jest okropne. Jeszcze kilka tygodni i obóz został wyzwolony. Mogliby znowu być razem, Miranda czekała na niego przez te wszystkie lata… powiedziała mi, że nigdy nie straciła nadziei. A on był taki uroczy, utalentowany, przystojny i zabawny.

– Biedna Miranda.

– Musiała zaczynać od zera. Straciła paszport i wszystkie papiery w drodze z Sommerfeld do Berlina. Cały majątek jej ojca przepadł, więc została bez grosza przy duszy.

Szli ścieżką flisacką. Jaskółki przemykały w ciepłym powietrzu, zimorodek błysnął niebiesko, pikując do rzeki. Most kolejowy spinał brzegi; gdy pod nim przechodzili, nad ich głowami zadudnił pociąg.

Spod mostu wyszli na łąkę. Na jej przeciwległym krańcu wznosiła się ponad wierzchołkami drzew wieża kościoła w Fen Ditton. Było tu mniej spacerowiczów i rowerzystów; szum miasta zagłuszały ptasie śpiewy i brzęczenie pszczół.

– To jedno z moich ulubionych miejsc – powiedział Tom. – Często tu przychodzę.

– Szczęściarz z ciebie, że masz coś takiego niemal za domem.

– A zatem Miranda rozpoczyna w Anglii nowe życie?

Kay zaśmiała się trochę cierpko.

– Można to tak określić. Zupełnie nowe życie. – Stanęła nad samą rzeką, przyglądając się drobnym rybkom, które śmigały w przejrzystej wodzie. – Miranda nie tylko się zmieniła, Tom. Ona wymyśliła siebie na nowo. Stała się kimś całkiem innym.

– Co masz na myśli?

– Po pierwsze, jej wygląd. Powiedziała mi, że pod koniec wojny zaczęła siwieć, dlatego postanowiła rozjaśnić włosy. Reżyserzy nie powierzają głównych ról siwiejącym aktorkom. I odjęła sobie kilka lat. Mówi, że ma dwadzieścia pięć, choć naprawdę skończyła dwadzieścia osiem.

– Chyba nie ma aktorki, która by tego nie robiła.

– No i jeszcze jedna sprawa. Miranda Marshall to nie tylko pseudonim sceniczny. Ma paszport wystawiony na to nazwisko.

Tom zerknął na nią szybko.

– Wyszła drugi raz za mąż?

– Nie. Wymyśliła sobie to nazwisko przed przyjazdem do Anglii. Uznała, że ładnie brzmi.

– Więc jej paszport nie jest prawdziwy?

– Dostała go od jakiegoś fałszerza w Paryżu. Przypuszczam, że jej książeczka z kartkami żywnościowymi też jest podrobiona.

– Powiedziała ci to?

– Nie chce, żeby ktokolwiek wiedział, kim naprawdę jest. Prosiła, żebym nie mówiła nikomu. Ty, oczywiście, już wiesz i między innymi dlatego przyjechałam tu dzisiaj, żeby ci o tym wszystkim powiedzieć.

„Między innymi”, pomyślał.

– Jakie ona ma obywatelstwo? – zapytał.

– Wydaje mi się, że francuskie. A może kobieta przyjmuje obywatelstwo męża? Nie potrafię tego zapamiętać. W takim wypadku byłaby Niemką. Z drugiej strony miała matkę Angielkę, więc jest pół-Angielką i nie wydaje się to aż takim oszustwem, że przyznaje się do angielskiego pochodzenia.

– Choć to niezgodne z prawem.

– Tak.

Przeszli między rzędami głogów a krzakami jeżyn.

– Kiedy byliśmy mali, Minnie i ja, przychodziliśmy tu jesienią zrywać jeżyny – powiedział Tom.

– Coś cudownego. – Wysoka trawa upstrzona była jaskrami. Kay westchnęła z zachwytu. – Jak twoja noga, Tom?

– Całkiem nieźle.

– Możemy usiąść, jeśli chcesz. – Zdjęła żakiet i rozłożyła na trawie. Tom przysiadł obok. Po chwili powiedziała: – To, co mi mówiłeś kilka dni temu… – Urwała.

– Kiedy?

– W teatrze. Gdy nie mogłam się zdecydować, żeby sprawdzić, czy to rzeczywiście Miranda. Oświadczyłeś wtedy, że unikam zaangażowania. Odpowiedziałam ci, że to nieprawda. Ale myślałam o tym. Być może miałeś słuszność.

– Być może – wtrącił – powinienem czasami siedzieć cicho.

– Nie. Kiedy Miranda opowiadała mi o tym wszystkim, jakaś cząstka mnie pragnęła, żeby umilkła. Coś we mnie nie chciało wiedzieć. I niemal żałowało, że się odnalazłyśmy.

– Dlaczego?

Kay objęła rękami kolana.

– Ponieważ nie chcę wikłać Jamiego i siebie w żadne skomplikowane sprawy. Nie teraz, kiedy tyle się napracowałam, żeby zapewnić nam życiową stabilizację.

– Istnieje coś takiego, jak stabilizacja – zauważył – i coś takiego, jak popadanie w rutynę.

– Czy ja popadłam w rutynę? – Odwróciła się ku niemu. – Tak uważasz, Tom? Nie, nie odpowiadaj. Może wolałabym nie wiedzieć.

Wyjęła spinki podtrzymujące kok i potrząsnęła głową, tak że włosy rozsypały się na ramiona. Położyła się na trawie i zakryła twarz ręką,

osłaniając oczy przed słońcem. Przez długą chwilę obydwoje milczeli. Słońce przygrzewało, śpiewał drozd i pluskały wiosła, gdy samotna łódka płynęła z nurtem rzeki. Gdyby Tom nieco przesunął rękę, dotknąłby dłoni Kay. Gdyby wyprostował ramię, mógłby pogładzić jej włosy.

Czas mijał; wreszcie Kay usiadła.

– O rety, pewnie się zdrzemnęłam. – Zamrugała. – Lepiej już wracajmy.

Niewiele mówili, idąc z powrotem przez łąkę, a potem przez Stourbridge Common do Riverside. Tom cieszył się bliskością Kay, łączącą ich przyjaźnią i wzajemnym zrozumieniem; i był wdzięczny za te nieoczekiwanie podarowane godziny.

Musiała odczuwać to samo, bo przed domem odwróciła się do niego i powiedziała:

– Co za cudowne popołudnie! Czuję się taka wypoczęta. To była chwila prawdziwego wytchnienia. Tak się cieszę, że przyjechałam do ciebie.

– Wspomniałaś…

– O czym?

– Że przyjechałaś między innymi po to, żeby porozmawiać o Mirandzie. A po co jeszcze?

Zrobiła zdziwioną minę.

– Żeby spotkać się z tobą, oczywiście. – Pocałowała go w policzek. – Kochany Tom. – Następnie wsiadła do samochodu i odjechała.

W drodze powrotnej do Londynu Kay nadal odczuwała ów spokój, jaki ogarnął ją na łące. Migotliwy nurt rzeki, złote błyski jaskrów w trawie i łagodny, ciepły wietrzyk przeniknęły do jej świadomości, tak że nawet w mieście, nawet zatrzymując się na światłach i przed przejściami dla pieszych albo manewrując w wąskich uliczkach i wlokąc się za rowerzystami, nie zerkała, jak zwykle, na zegarek ani nie postukiwała niecierpliwie palcem w kierownicę, lecz z zadowoleniem przyjmowała swoje miejsce w ogólnym biegu rzeczy, pewna, że prędzej czy później dotrze do celu.

Miranda była ogromnie przejęta na myśl, że oto za chwilę stanie na scenie teatru na West Endzie. Zgłosiła się na przesłuchanie do roli w rewii zatytułowanej „Słońce i piasek”, która w lipcu i sierpniu miała być wystawiana na prowincji. Dwa miesiące pracy.

Chwila oszołomienia po wejściu na scenę – reflektory i rozległa czarna pustka widowni – a potem reżyser, mężczyzna o nazwisku Sammy Lewin, przemówił znudzonym głosem.

– Proszę zaczynać, jak będzie pani gotowa, panno Marshall.

Odśpiewała piosenkę, zatańczyła, a potem zadeklamowała monolog Orsina z „Wieczoru Trzech Króli”: „Jeśli muzyka jest miłości strawą/Dajcie mi waszej muzyki do zbytku”[22]. Kiedy skończyła, zapadła cisza, a po chwili Sammy Lewin zadał pytanie: „No i co myślisz, Piers?”, i Miranda po raz pierwszy zauważyła, że w teatrze jest ktoś jeszcze oprócz niej, reżysera i akompaniatora.

Siedział z boku w jednym z rzędów na parterze. Światła reflektorów sprawiały, że widziała tylko sylwetkę. Pochylił się naprzód, opierając ramiona o fotel przed sobą.

– Nie – odparł.

– Dziękuję, panno Marshall – powiedział Lewin.

Miranda zeszła ze sceny i wróciła do poczekalni. Tłoczyły się tam aktorki i tancerki biorące udział w przesłuchaniu; zalatywało nerwowym potem i tanimi perfumami.

– Udało się? – zagadnęła któraś z dziewcząt, na co Miranda pokręciła głową. Odszukała swój płaszcz i kapelusz i wyszła.

Gdy przechodziła przez foyer, usłyszała czyjś głos.

– Panno Marshall?

Rozpoznała ten głos. Należał do człowieka, który przekreślił jej szanse jednym potępiającym „nie”. Widziała go teraz wyraźnie. Wydawał się o kilka lat od niej starszy, miał falujące brązowe włosy i pełną, przystojną twarz.

– Tak? – odparła zimno.

– Ma pani wolną chwilę?

Miała dziesiątki niekończących się wolnych chwil, ale spojrzała na zegarek i oznajmiła:

– Niestety, bardzo się spieszę.

– Szkoda, bo miałem zamiar zaprosić panią na lunch.

– Nie przypuszczam. – Zmiażdżyła go spojrzeniem. I wyszła przez obrotowe drzwi.

Zrównał się z nią, gdy maszerowała Shaftesbury Avenue.

– Gniewa się pani na mnie, bo powiedziałem Sammy'emu, że pani się nie nadaje?

– Nie można uznać, że mi pan w ten sposób pomógł, prawda?

Nawet nie próbowała stłumić furii w głosie. Praca na dwa miesiące. Dwa pełne miesiące, a bilety do teatrów, w których miała być wystawiana rewia, zostały już wykupione, więc przedstawienie nie zeszłoby z afisza po dwóch czy trzech tygodniach jak „Gorączka sienna".

– Mogłam dostać tę rolę, gdyby nie pan – dodała.

– Owszem, mogła pani. Ale nie byłaby pani w niej dobra. Nie potrafi pani śpiewać. Nie fałszuje pani, lecz w tylnych rzędach nikt by pani nie słyszał.

Zatrzymała się raptownie, omijana z dwóch stron przez tłum przechodniów.

– Potrzebowałam tej pracy – oświadczyła. – Nie wiem, kim pan jest i dlaczego mi się pan naprzykrza, ale proszę zostawić mnie w spokoju.

– Nie wie pani, kim jestem? – Wydawał się zaskoczony.

– Nie mam pojęcia.

– Nazywam się Piers Hennessy. – Musiała mieć skonsternowaną minę, ponieważ jej rozmówca zaśmiał się z nutą zdziwienia i zapytał: – Dobry Boże, gdzie się pani podziewała w ostatnich latach? Nigdy pani o mnie nie słyszała, naprawdę? Proszę pozwolić się zaprosić na lunch, to opowiem pani wszystko o sobie.

– A właściwie dlaczego – jej głos brzmiał lodowato – miałabym się zgodzić?

– Ponieważ mam absolutną rację, nie potrafi pani śpiewać i ta rola nie jest dla pani. Ale przypuszczam, że potrafi pani grać. Ja zaś prowadzę własny niewielki, sympatyczny zespół teatralny. – Podał jej ramię. – Czy teraz pójdzie pani ze mną na lunch?

Zabrał ją do restauracji Savoy Grill. Była tam już kiedyś, dawno temu, z ojcem. Teraz zdawała sobie sprawę, że ma pocerowane rękawiczki i oczko w pończosze. Zamówiła przegrzebki i polędwicę wołową, gdyż była głodna jak wilk.

– Tak czy inaczej, to będzie szmira. Biedny stary Sammy nie zauważył, że rewia umarła w latach trzydziestych – odezwał się Piers Hennessy.

– Mnie się podoba – odparła sztywno.

– Naprawdę? Nie bardzo wierzę. Sądzę, że mówisz tak, aby mnie zirytować. Wyglądasz mi raczej na tragiczkę.

Obrzuciła go chłodnym spojrzeniem. Zaśmiał się i dodał:

– Twój Orsino był właściwie całkiem niezły. Dlaczego wybrałaś męską rolę?

– Podobają mi się słowa. I możliwe, że trochę mnie już zmęczyły bohaterki, które na końcu sztuki giną albo zostają pokonane, co jest niemal gorsze.

– Szkoda. Potrafię sobie wyobrazić, jak grasz Julię. – Po chwili wyjaśnił cierpliwie: – Gdybyś dostała się do grupy Sammy'ego, miałabyś pracę przez dwa miesiące, ale nic byś na tym nie zyskała. Następnym krokiem w dół byłyby okropne teatrzyki w nadmorskich kurortach, prowadzone przez miejscowe towarzystwa amatorów, oraz strawa w postaci sztuk z wątkiem kryminalnym i takich jak „Ciotka Karola”[23]. Widzisz więc, że powinnaś być mi wdzięczna.

– Doprawdy, panie Hennessy?

Zachichotał.

– Piers. Mów mi Piers.

Zjawił się kelner ze smażonymi szprotkami i przegrzebkami. Miranda tego dnia jeszcze nic nie jadła i z najwyższym trudem powstrzymała się od natychmiastowego pochłonięcia swojej przystawki.

– Wspomniałeś, że prowadzisz własny zespół teatralny – zauważyła.

– Zgadza się. To moje nowe przedsięwzięcie, Trupa Piersa Hennessy'ego. Zamierzam nie tylko grać, ale także reżyserować. Mam dość reżyserów, którzy nie wiedzą, o czym mówią. Widzę

możliwość powrotu do czystości i zapału teatru elżbietańskiego. Jeśli wyeliminujesz finansjerę i pozbawionych talentu ciołków, którzy tkwią w tym biznesie tak długo, że nie pozostała w nich nawet iskra życia, odkryjesz spontaniczność i magię. Zaczniemy od objazdów, żeby zespół popracował razem, a potem, jesienią, przeniesiemy się na West End. Mam już większość aktorów, lecz rozglądam się jeszcze za nowymi twarzami. To podtrzymuje zainteresowanie, zwłaszcza prasy. Kto chciałby oglądać rok w rok te same nudne stare babska? – Wziął palcami z talerza jedną rybkę. – No i co myślisz?

– O czym?

– O przyłączeniu się do nas, oczywiście.

– Mówisz poważnie? – Wpatrzyła się w niego.

– Tak. Będziesz musiała zgłosić się na przesłuchanie. Chcę zobaczyć, co potrafisz. Nie interesuje mnie mizdrzenie się przy jakiejś ckliwej piosence. Jeśli przesłuchanie wypadnie dobrze, czeka cię sześciotygodniowy okres próbny, dla sprawdzenia, jak sobie radzisz. Początkujący członkowie zespołu nie zarabiają dużo, ale na życie wystarczy. Wolę wyszukiwać aktorów, którzy dopiero pną się w górę, rozumiesz, odkrywać nowe talenty, niż płacić zawrotne sumy i dodatkowo pompować przerośnięte ego gwiazd. – Uśmiechnął się szeroko. – Ja jestem jedyną gwiazdą… i jedynym ego.

Obrzucił ją długim spojrzeniem; dostrzegła, że jego lekko skośne oczy w kształcie migdałów mają ciepły brązowy kolor i przelotnie przypomniał jej się Olivier.

– I co ty na to? Umowa stoi? – zapytał.

Miranda przytaknęła.

– Uważam, że trzeba to uczcić szampanem, nieprawdaż, Mirando? – Przywołał gestem kelnera. Po otwarciu butelki i napełnieniu kieliszków zachęcił: – Teraz bądź grzeczna i zjedz wszystko.

Kiedy jadła, opowiedział jej o sobie i wspomniał swoje dzieciństwo.

– Dość surowe północne warunki – wyjaśnił – a moja rodzina była okropnie biedna.

Jego ojciec pracował w kopalni, matka sprzątała po domach. Piers nie miał pojęcia, po kim odziedziczył swój talent. Żadne z rodziców w najmniejszym stopniu nie interesowało się aktorstwem. W szkole średniej zwrócił na niego uwagę życzliwy nauczyciel, który zachęcił

go do złożenia podania o przyjęcie do szkoły teatralnej. – Mojemu tacie to się nie podobało – dodał. – Uderzył mnie, kiedy mu powiedziałem o swoich zamiarach. Uważał, że do szkoły teatralnej idą tylko pedzie i mięczaki.

– Ojciec cię bił?

– O tak, i to dość często. Szokuje cię to?

– Nie. – Skończyła przegrzebki i kelner postawił przed nią talerz z polędwicą. – Mój ojciec także mnie bił.

Nie była pewna, dlaczego mu o tym powiedziała. Może po to, by zranić jego próżność, pokazać mu, że jego urazy nie są wyjątkiem.

Piers odchylił się na oparcie krzesła, patrząc na nią bystro.

– To zabawne, wydawałaś mi się typem rozpieszczonej księżniczki.

Potem zaczął opowiadać, jak szukał zajęcia po ukończeniu Królewskiej Akademii Dramatycznej i o pierwszym wielkim przełomie, jakim była rola w „Końcu podróży”[24]. O późniejszych propozycjach filmowych. O wojennych latach, ENSA[25] i patriotycznych dramatach, w których grywał pilotów myśliwców albo bohaterów legend o królu Arturze. Po wojnie jego „Makbet” odniósł wielki sukces na West Endzie.

– W dniu premiery – ciągnął – tak się bałem, co powiedzą krytycy, że nie odważyłem się pójść na bankiet po przedstawieniu. Zamiast tego poszedłem na spacer – sam nie wiem dokąd, po prostu się włóczyłem, usiłując o niczym nie myśleć. Bałem się, że mnie zniszczą. Gdy wróciłem do teatru, ukazały się już pierwsze wydania gazet i wszyscy otwierali szampana. Kiedy wszedłem, urządzili mi owację. Chyba nigdy w życiu nie byłem taki szczęśliwy. Wytwórnia Metro Goldwyn Mayer zaproponowała mi rolę w „Paszczy lwa”, gdy tylko sztuka zeszła z afisza. Pieniądze za film pozwoliły mi kupić dom, Foxhall.

– Gdzie on jest?

– Na wybrzeżu w hrabstwie Suffolk, między Aldeborough a Orford Ness. Ogród schodzi do samego morza. Znasz ten rejon Anglii?

– Ani trochę.

– Ja za nim przepadam. Jeżdżę tam, kiedy tylko mogę. Często wybieram się zaraz po sobotnim wieczornym przedstawieniu.

Urządzamy w Foxhall wspaniałe przyjęcia. – Napełnił jej kieliszek szampanem i uśmiechnął się do niej. – Może pewnego dnia cię zaproszę, Mirando.

Nie była na tyle głupia ani zarozumiała, by sądzić, że interesują go jedynie jej zdolności aktorskie, niemniej wracając autobusem do wynajętego pokoju w Finsbury Park, czuła radosne uniesienie. Piers Hennessy był atrakcyjny i gdyby miała w końcu pójść z nim do łóżka, bo przypominał jej trochę Oliviera, no to, cóż, istniało wiele powodów, dla których kobieta mogła znaleźć się w łóżku z mężczyzną. Na przykład głód, zimno, samotność i potrzeba bliskiej obecności drugiego człowieka, gdy powracały koszmary.

Wysiadła na przystanku i skierowała się do pensjonatu. Otworzyła drzwi i weszła na górę. Oprócz niej mieszkało tam jeszcze dziesięcioro innych lokatorów; wspólna łazienka znajdowała się na drugim piętrze. Miranda miała pokój na tyłach domu, okno wychodziło na ogródek. Pokoje od frontu, z widokiem na park, były przyjemniejsze, ale droższe.

Rozebrała się i włożyła starą spódnicę i bluzkę. Powiesiła na wieszaku na drzwiach najlepszą sukienkę, którą miała na sobie podczas przesłuchania, sprawdziwszy, czy nie odpada jakiś guzik i nie odrywa się obrąbek. Pewna artystyczna niedbałość stroju była dopuszczalna, lecz brak schludności już nie. Nieliczne ładne rzeczy, kupione na czarnym rynku w Paryżu, należało utrzymywać w dobrym stanie.

Miranda zaparzyła sobie herbatę i usiadła na łóżku. Czuła się zmęczona i niewyspana; parze mieszkającej obok urodziło się dziecko, które płakało przez całą noc, a ścianki działowe między pokojami były cienkie – ale po raz pierwszy od dawna nabrała nadziei. Może to przełomowy dzień? Może jej los wreszcie się odmieni.

Los, pomyślała, rzucił ją z Sommerfeld aż tutaj, do tego pokoju w Londynie. Gdyby ów żołnierz nie pozwolił jej wsiąść do pociągu w Rastenburgu… Gdyby nie wcisnęła się na pokład okrętu w Pillau… Gdyby Anna nie pomogła jej uciec z Berlina… i gdyby nie spotkała

amerykańskiego korespondenta wojennego Jake'a Brennana, nie znalazłaby się tutaj.

Była z Brennanem przez trzy miesiące. Zostali kochankami tego samego dnia, w którym zobaczył ją stojącą przy drodze i kazał zatrzymać ciężarówkę. Podróżowali wspólnie przez pokonane Niemcy, pogrążone w chaosie i ruinie. Porzuciła go, bo pod pozornie bezceremonialnym, niefrasobliwym sposobem bycia odkryła ciemniejszą stronę jego natury. Jake Brennan lubił sprawować kontrolę, lubił posiadać. Stała się jego własnością i nikogo innego; wynagradzał ją jedzeniem i papierosami, kiedy mu się spodobało. Dla niego była jedną ze zwyciężonych. Łupem wojennym.

Zostawiła go, bo musiała dostać się do Paryża, żeby szukać Oliviera. Jacyś amerykańscy lotnicy przemycili ją transportowcem z Niemiec do Belgii – szmuglowali broń, biżuterię i skrzynki wina, więc czemu nie mieliby zabrać kobiety? Z Brukseli, jako jedna z milionów wysiedlonych, których rzuciła tam wojna, mogła pojechać do Paryża.

Wiadomość o śmierci ojca była dla niej ciosem, lecz kolejne dni spędzone w Parc Monceau niemal ją dobiły. Tak długo czekała na Oliviera. Okruchy nadziei, że przeżył wojnę, powoli rozsypały się w proch. Codziennie, nawet gdy lato dobiegło już kresu, a potem jesień przemieniła się w zimę, przychodziła do parku. Gdy w końcu urzędniczka Czerwonego Krzyża pokazała jej list, w którym jeniec z tego samego obozu opisał śmierć Oliviera, Miranda także zapragnęła umrzeć. Zaczęła się głodzić – zawsze ten sam wewnętrzny przymus zredukowania siebie, ilekroć musiała znieść coś nie do zniesienia, jakby czuła odrazę do własnego ciała.

Lecz mimo całej rozpaczy nadal żyła, gdy nadeszła wiosna. Wciąż oddychała, mieszkała w pokoiku na Montmartrze i płaciła czynsz pieniędzmi uzyskanymi ze sprzedaży biżuterii, którą przemyciła z Niemiec. Znowu zaczęła jeść, odzyskiwać utraconą wagę. Pomogło jej kolejne przypadkowe spotkanie – siedziała w kafejce i jakiś nieznajomy zaproponował, że postawi jej kawę. Arnaud, właściciel kilku aptek, dwa razy od niej starszy i nieszczęśliwy w małżeństwie, był życzliwym, szczodrym przyjacielem w obolałym, wciąż do głębi wstrząśniętym mieście, gdzie bardzo wielu ludzi nie miało zupełnie

nic. Zostali kochankami. Zastanawiała się, czy Arnaud miał wcześniej inne kobiety w mieszkaniu, które oddał do jej dyspozycji – wyglądało dość stereotypowo, z czerwonymi aksamitnymi zasłonami, wymyślnymi stolikami i krzesłami – lecz gdy się w końcu rozstali (żona Arnauda nabrała podejrzeń i zaatakowała go nożycami krawieckimi), opłacił czynsz za trzy miesiące naprzód.

Tymczasem Miranda zaczęła sama zarabiać na życie. Nie mogła pracować w biurze, bo nie umiała pisać na maszynie, i nie znalazła zajęcia w sklepie, ponieważ sklepy miały niewiele towaru do zaoferowania i nie zatrudniały dodatkowego personelu. Za to przez kilka wieczorów w tygodniu pracowała w barze. Nalewała drinki, sprzedawała papierosy i rozmawiała z gośćmi. Patron zaproponował jej dodatkowy wieczór, gdy zauważył, jak chętnie klienci z nią rozmawiają. Pewnego razu dziewczynę, która śpiewała przy akompaniamencie pianina, rozbolało gardło i Miranda zaoferowała się, że ją zastąpi. Wiedziała, że nie najlepsza z niej śpiewaczka – Piers Hennessy miał słuszność – ale wykonywała lekkie, wesołe kawiarniane piosenki, ilustrowała je wesołymi gestami i tańczyła, a bywalcom baru to się podobało. Nawet bardzo. Przytupywali, uderzali pięściami w stół i pokrzykiwali z aprobatą. Odtąd śpiewała każdego wieczoru.

Później trafiły jej się inne zajęcia. Teatr przy Pigalle i zespół rewiowy, w którym pół tuzina dziewcząt wymachiwało nogami i pokazywało majtki z falbankami. Rola w sztuce egzystencjalistycznej, która zeszła z afisza po dwóch tygodniach. Solowy występ w kabarecie: miała na sobie krótkie spodenki i marynarską bluzkę, i śpiewała o ukochanym chłopcu. Nic wielkiego, ale po pewnym czasie miała już jakiś dorobek.

Bywała głodna, a pokój, w którym mieszkała, wielkością przypominał kredens. Często znajdowała sobie przyjaciela. Mógł to być amerykański oficer albo muzyk, intelektualista czy też właściciel nocnego klubu. Albo jeden z gwałtownych, smagłych przybyszów z Marsylii, którzy działali na czarnym rynku – gangsterów, można by rzec.

Za pośrednictwem kochanka z Marsylii poznała Tota. Jego specjalnością było podrabianie dokumentów. W czasie wojny działał

w ruchu oporu, utykał na jedną nogę i miał okropne blizny na twarzy. Spreparował dla niej brytyjski paszport i książeczkę z kartkami żywnościowymi. Miranda zdawała sobie już wówczas sprawę, że w Paryżu nie zrobi kariery, prawdziwej kariery. A zamierzała ją zrobić. Na scenie czuła, że żyje. Wpatrzona w nią publiczność nadawała jej tożsamość, której brakło w realnym życiu. Lubiła porywać widzów, skłaniać ich do śmiechu, płaczu i lęku. Unosić dłoń, by ich uciszyć. Wyrzucić w górę ramiona i słyszeć gromkie owacje. Po przedstawieniu ogarniała ją wielka radość i uniesienie. Dziwne, ale wyłącznie wtedy, gdy udawała, czuła się naprawdę wierna sobie.

Wiedziała jednak, że Paryż nie jest dla niej bezpiecznym miejscem. Zbyt wiele osób mogło rozpoznać Mirandę Denisow albo Mirandę von Kahlberg, albo nawet Agnès Leblanc. Nie mogła ryzykować. W powojennym zmęczeniu i goryczy tliły się jeszcze dawne nienawiści, były długi do spłacenia. Musiała uwolnić się od przeszłości.

Przestała farbować włosy na czarno i zmieniła się w blondynkę. Spodobała się sobie. Blond fryzura dodawała jej werwy i zdawała się również odpowiadać mężczyznom. Ubierała się inaczej, mówiła inaczej, chodziła inaczej. Unikała ludzi, którzy zadają pytania, i nadal tkwił w niej zrodzony w Niemczech w latach wojny lęk przed przedstawicielami władzy.

Pakując się przed wyjazdem do Anglii, przytuliła do policzka figurkę błękitnego drozda i zamknęła oczy. Zastanawiała się, jak można grać, chodzić, rozmawiać, śmiać się i udawać szczęśliwą, gdy twoja dusza jest martwa, a serce obróciło się w kamień. Nawiązywała przyjaźnie, lecz nie odkryła przed nikim tajemnic swojego serca. Miała kochanków, lecz nie pokochała nikogo.

Nigel Peagram zawsze zamykał biuro na cały sierpień. Ciocia Dot wynajęła domek na wyspie Wight i Kay z Jamiem do niej pojechali. Opalili się na brąz, chlapali się w morzu, budowali zamki z piasku i łowili kraby w skalnych sadzawkach. Gdy pod koniec miesiąca

wrócili do londyńskiego mieszkania, z rogu walizki Kay wysypała się wąska strużka piasku.

Miranda właśnie zakończyła tournée po prowincji z zespołem teatralnym Piersa Hennessy'ego. Dziś miała na sobie szeroką białą spódnicę sięgającą łydek, czarno-białą bluzkę w groszki i czarny słomkowy kapelusz z absurdalną krótką woalką.

– Wszystkie pieniądze wydaję na stroje – zwierzyła się Kay, gdy szły razem po zakupy. – Prawie co do pensa. A tylko tyle – zbliżyła kciuk do palca wskazującego – na jedzenie. To na wypadek, gdyby mnie zaangażowano do filmu. Jeśli masz choćby pół kilo nadwagi, kamera zrobi z ciebie grubasa.

W sklepach, gdy Kay płaciła za zakupy i oddawała kartki żywnościowe, Miranda opowiadała jej o swoim lecie. O teatrach i niedzielnych przejazdach pociągami z miasta do miasta. O pensjonatach przy obskurnych bocznych uliczkach, jadalniach z wiszącymi na ścianach fotosami aktorów i aktorek, i dedykacjami typu: „Kochanej Bee z miłością i wdzięcznością, Kenny" albo „Elli, która przyrządza najlepsze śniadania w Manchesterze, Pansy Bryant". I o próbach – o przejrzystej jak kryształ wizji Piersa Hennessy'ego i jego temperamencie. W piekarni przy Green Lanes Miranda przedrzeźniała Piersa, który kazał jej powtórzyć tę samą kwestię dwadzieścia razy. „Tylko siedem słów, Kay!". Klienci patrzyli i śmiali się, kiedy na przemian mówiła to burkliwym, to piskliwym głosem.

Próby każdego ranka, przedstawienia co wieczór z wyjątkiem niedziel, plus dwie popołudniówki.

– Przeważnie – dodała – grałam pokojówkę, halabardnika albo byłam dublerką. Ale pewnego wieczoru zachorowała aktorka, która grała Jane Bennet w „Dumie i uprzedzeniu" i Piers kazał mi ją zastąpić. Tak się bałam, że zwymiotowałam przed wyjściem na scenę.

– I jak ci poszło?

Miranda wzruszyła ramionami.

– Chyba nieźle. W gazecie napisali, że napełniłam przedstawienie orzeźwiającym musowaniem. Jakbym była kieliszkiem szampana. – Zachichotała i Kay ujrzała przelotnie dawną Mirandę, której świat wydawał się tak niedorzeczny.

Były sprawy, o których nie wspomniała Kay. Na przykład o tym, że gdy Piers zmusił ją do powtarzania kwestii wciąż na nowo, komentując z narastającym sarkazmem każdą jej niezadowalającą próbę, wymknęła się ze sceny najszybciej, jak mogła i znalazła sobie cichy zakątek w teatrze. Siedziała sama w dziale kostiumów i właściwie nie płakała – nie zapłakała od dnia, w którym się dowiedziała, jak umarł Olivier – lecz czuła lęk. Może nie jest wystarczająco dobra. Może nigdy nie będzie.

Usłyszała za sobą jakiś hałas, odwróciła się i zobaczyła Piersa.

– Szukałem cię, Mirando – powiedział. – Potraktowałem cię trochę surowo. Chyba się nie zdenerwowałaś, prawda? – Wszedł do pomieszczenia, w którym unosiła się lekko stęchła woń starych ubrań, jak w każdej teatralnej garderobie. – Wytykam wady tylko tym, co do których jestem zdania, że mogą być kiedyś dobrzy. Pozostałymi nie zawracam sobie głowy. – Ujął jej dłoń gestem, który mógł nieść pociechę, lecz mógł też oznaczać coś innego. – Nie próbowałbym wydobyć z ciebie tego, co najlepsze, gdybym nie uważał, że masz pewien talent.

– Trudno wykazać się talentem, jeśli moja najdłuższa kwestia liczy siedem słów.

– Nieprawda. Musisz nadać wagę każdemu słowu, czy jest ich siedem, czy siedemset. W przyzwoitej sztuce każde słowo zostało umieszczone w jakimś celu. Wybrano właśnie to, a nie inne. Jesteś to winna dramatopisarzowi, żeby wydobyć jak najwięcej z tekstu, który ci ofiarował. Rozumiesz, Mirando?

– Tak – odrzekła. Zrozumiała i była mu wdzięczna, że zwrócił jej uwagę na ten fakt.

Uniósł jej dłoń, przycisnął do ust i uśmiechnął się tym swoim szczególnym uśmiechem: „Piers Hennessy w najbardziej fascynującym wcieleniu” – jak określiła to z pewną goryczą inna dziewczyna z zespołu.

Ich trupa miała w repertuarze na obecny miesiąc dwie sztuki, w następnym miesiącu kolejne dwie i tak dalej, przez cały sezon zimowy. „Oho, nadchodzi czas załamań nerwowych”, mruknął ktoś, gdy Piers przedstawił plan spektakli. Tamtej soboty wieczorem grali „Henryka V”, co oznaczało, że Miranda była na zmianę damą dworu

oraz młodym posłańcem w trykotach i kaftanie. Piers stworzył olśniewającego Henryka, heroicznego i inspirującego, a zarazem zdolnego do czułości i troski. Zapisano całe szpalty w gazetach, porównując zalety Henryka w interpretacji Piersa i Laurence'a Oliviera.

Po przedstawieniu Miranda przebrała się i właśnie wychodziła z garderoby, gdy Piers minął ją w korytarzu. Szedł od strony garderoby aktorów, w której urządzano bankiet.

– Nie idziesz na przyjęcie, Piers? – zapytała.

Zamrugał i spojrzał tak, jakby ją widział po raz pierwszy. Jego oczy miały odległy, ekstatyczny wyraz.

– Właściwie – odparł – zamierzałem pojechać do Foxhall. Czy nie wybrałabyś się ze mną, Mirando?

Rozważyła tę propozycję z wszelkimi jej konsekwencjami.

– Tak – odpowiedziała. – Bardzo chętnie.

– Więc lepiej włóż płaszcz. Ubierz się ciepło. Lubię jeździć z opuszczonym dachem.

Gdy wyjeżdżali z Londynu, Miranda zawiązała na głowie jedwabny szal. Piers prowadził swoje sportowe auto bardzo szybko. W odludnym, tajemniczym Suffolk, wśród lasów, pól i łagodnych, falujących wzgórz, odezwał się nagle:

– Przepraszam, chyba jestem dość małomówny, prawda?

– Nic nie szkodzi.

– Zawsze chwilę to trwa, zanim ochłonę po przedstawieniu. Obiecuję, że w Foxhall będę się zachowywał w sposób bardziej cywilizowany.

Nad kępą drzew na wzgórzu ukazał się półksiężyc, przez drogę przebiegła sarna. Chwilami Miranda niemal zapadała w drzemkę, ukołysana jazdą.

Zdała sobie sprawę z bliskości morza; czuła słony zapach powietrza, na wodzie falowała srebrzysta księżycowa wstęga. Widziała nieliczne domy i wąskie zatoczki, wzdłuż których przejeżdżał Piers.

– To nie jest najkrótsza droga – wyjaśnił – ale ją lubię.

Gdy samochód zwolnił, Miranda usłyszała szepty trzcin na mokradłach; taki sam miękki szelest zdarzało jej się słyszeć nad

jeziorem w Sommerfeld.

Piers zatrzymał się przed niską, drewnianą bramą, otworzył ją i pojechał dalej trawiastą drogą. Na jej końcu stał jasno oświetlony dom. Był okazały, z górnym piętrem oszalowanym deskami i rzędem okien z okiennicami od frontu. Po jednej stronie rysowała się w świetle księżyca sylwetka wysokiej wierzby.

W holu Miranda zdjęła płaszcz. Gospodyni Piersa, pani Hutchinson, wyszła im na spotkanie. Kolacja czekała na nich w pokoju ogrzanym płonącym w kominku ogniem. Gdy popijali zupę i jedli grube, smakowite kanapki z zapiekaną szynką i musztardą, Piers wyjaśnił:

– Kiedy kupiłem Foxhall, dom był w dość nędznym stanie. Odnawiam go, ale to wymaga czasu. Mam, oczywiście, mieszkanie w Londynie, ale potrzebowałem miejsca, do którego mógłbym uciec. Czy chciałabyś czasami gdzieś uciec, Mirando?

– Często – odparła.

– Jest jakiś nieodparty urok w tym zawieszeniu domu między dwoma żywiołami, ziemią i morzem, jakby nie mógł podjąć decyzji, do czego przynależy. Zastanawiałem się, czy gdyby nadciągnął naprawdę silny sztorm, Foxhall by go przetrwało. Czy po prostu pochłonęłoby je morze.

Po kolacji Piers oprowadził Mirandę po domu. Pokoje były przestronne i wygodne, utrzymane w odcieniach błękitnozielonym, kremowym i szarym, ozdobione przedmiotami kojarzącymi się z morzem – jak kormoran wyrzeźbiony z kawałka drewna wyrzuconego na brzeg, ogromna różowo-kremowa koncha albo magiczny obraz Christophera Wooda przedstawiający łódź. Rozkład Foxhall był niekonwencjonalny, na dwóch poziomach w tylnej części domu mieściły się salony. Żeby w jak największym stopniu wykorzystać widok na morze, zewnętrzne ściany w obu tych pokojach wykonano niemal w całości ze szkła.

W salonie na parterze Miranda podeszła do okna i wyjrzała, kładąc dłoń na szybie.

– Przejdziemy się nad morze? – zapytał Piers.

Uśmiechnęła się do niego:

– Owszem, bardzo chętnie.

Otworzył drzwi i wyszli z domu. Kwiatowe rabatki i trawnik, okolone białym płotkiem ze sztachetek, przechodziły w ogródek wysypany kamykami, gdzie rosły dziwne rośliny o grubych liściach. Niskie, kuliste krzewy obramowane były białymi kamieniami. Z drewnianej łodzi napełnionej ziemią wyrastały wysokie łodygi ostów zwieńczone pierzastymi czapeczkami. Wdrapali się na usypisko z drobnych kamyków, oddzielające Foxhall od plaży. Miranda wybuchnęła śmiechem, gdy jej wysokie obcasy uwięzły między kamykami. Piers złapał ją za rękę i podtrzymał. Na górze uśmiechnął się do niej.

– Biedactwo, widzę, że zmarzłaś. Chodź tutaj, ogrzeję cię. – Pogładził ją po policzku. – Jesteś taka piękna, Mirando – powiedział miękko. – Wydajesz się utkana z księżycowej poświaty. Marzyłem, żeby cię tu przywieźć. Pragnąłem cię od chwili, gdy cię zobaczyłem na tym tandetnym przesłuchaniu.

Musnął wargami jej czoło, potem usta. Gdy się pocałowali, poczuła smak soli i usłyszała łoskot fal uderzających o brzeg.

Gdy obudziła się rano, Piers nadal spał głęboko. Jego silne, nagie ciało było do połowy przykryte prześcieradłem. Miranda ubrała się i zeszła na dół. Zerknęła na zegar; dochodziło wpół do siódmej. Wyszła z domu.

Dmuchał gwałtowny wiatr i w szarym świetle poranka zobaczyła przedmioty wyrzucone i naznaczone przez morze – blaszane puszki, kawałek liny, dziecięcą gumową piłkę. Miniaturowe spadochroniki odrywały się od koszyczków nasiennych ostów wyrastających z łodzi i ulatywały w podmuchach wiatru. Ziarnka piasku kłuły Mirandę w twarz, gdy wspinała się po kamieniach. Słońce wyzierające zza chmur rzucało złote plamki na powierzchnię morza. Ruszyła wzdłuż brzegu. W pewnej odległości od domu zdjęła buty. Woda była lodowato zimna.

Wróciwszy do domu, odbyła w kuchni pogawędkę z gospodynią, panią Hutchinson, jedząc przy tym grzankę i popijając herbatę. Zastanawiała się, ilu kochankom swojego pracodawcy pani Hutchinson przyrządzała posiłki i opowiadała o sztormach i katastrofach na morzu.

Przy śniadaniu Piers poinformował Mirandę, że postanowił zaryzykować i dać jej szansę.

– Zastanawiam się nad tym już od pewnego czasu – powiedział. – Chcę jeszcze raz zagrać Romea, zanim rzucą się na mnie krytycy i napiszą, że jestem za stary. Chciałbym, żebyś była moją Julią, Mirando. – Ujął jej dłoń. – Myślisz, że dasz sobie radę?

Tej jesieni, spacerując czasami po parku i rozrzucając stopą opadłe liście, Miranda trzymała Jamiego za rączkę i deklamowała na całe gardło: „Pędźcie, ognistokopytne rumaki, ku państwom Feba”[26]. Przechodnie oglądali się za nimi; Jamie wskakiwał na stertę liści i zaśmiewał się do rozpuku.

Zdarzały się również wieczory, kiedy Miranda, zbyt zmęczona, by jeść lub rozmawiać, zwijała się w kłębek w rogu sofy Kay, blada, krucha i przestraszona.

– A jeśli to się skończy klapą, Kay? Jeśli zapomnę kwestii? Albo po prostu mi się nie uda? Jeśli zawiodę Piersa? Jeśli to moja wielka szansa, a ja ją zaprzepaszczę?

Chwilę później, pod wpływem nagłej zmiany nastroju, wstawała, wygładzała sukienkę i mówiła z beztroskim uśmiechem:

– Co za brednie wygaduję. Musisz mieć mnie powyżej uszu, Kay. Nie zwracaj uwagi, to tylko trema, nic więcej. Wszystko będzie dobrze. A jeśli nie – pstrykała palcami – to puff, nie ma znaczenia.

Tom towarzyszył Kay na premierze. W teatralnym barze ludzie przekrzykiwali się wzajemnie. Wciśnięta obok Toma na miejsce z brzegu, Kay dość szybko wypiła swój gin z tonikiem i zaczekała, aż Tom przyniesie następne drinki. Po drugim ginie poczuła się, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, bardziej rozmowna, weselsza, opadło z niej biurowo-domowe napięcie.

– Opowiedz mi o swojej pracy, Tom. Opowiedz, co porabiasz przez cały dzień.

W lecie uzyskał dyplom i pracował teraz w kancelarii adwokackiej z Cambridge.

– Wszystko w porządku – wtrącił, gdy Kay umilkła dla nabrania tchu. – Nie musisz udawać. Zawsze zakładam, że to, co robię,

wydaje się innym nudne jak flaki z olejem.

Jej szklanka okazała się niemal pusta.

– Czy ja gadam bez przerwy?

– Trochę.

– O Boże. Pijana po dwóch ginach! Jakie to przygnębiające, tak wyjść z wprawy. Przepraszam cię, Tom.

– Nic nie szkodzi. – Uśmiechnął się. – Jesteś zabawna, kiedy się wstawisz, wiesz?

Dopili drinki i weszli na widownię. Mieli dobre miejsca, mniej więcej pośrodku parteru. Kay z napięcia czuła ucisk w żołądku. Pomogła Mirandzie nauczyć się tekstu, starała się uspokoić jej nerwy, posłała kwiaty, życząc powodzenia. Nic więcej nie mogła zrobić.

Światła pogasły, kurtyna poszła w górę, zaczęło się przedstawienie.

Dwa wielkie domy w uroczej Weronie,
Równie słynące z bogactwa i chwały…[27]

A później było już po wszystkim i w uszach Kay rozbrzmiewały huczne oklaski, gdy wraz z Tomem przesuwali się wzdłuż krzeseł w stronę wyjścia. Dobiegły ją urywki rozmów, kiedy tłum widzów wlewał się do foyer: „Ta dziewczyna, która grała Julię, była moim zdaniem wspaniała… ma w sobie coś z młodej Gertrude Lawrence… olśniewający występ”.

W holu kłębiła się zwarta ludzka masa. Tom torował sobie drogę, Kay podążała za nim. Mgła na zewnątrz zgęstniała, żółtawoszara zasłona skrywała drugą stronę ulicy.

Kay spojrzała na zegarek.

– Jest za dwadzieścia jedenasta. Obiecałam Cheryl, że wrócę przed jedenastą.

– Lepiej złapać taksówkę. – Przez mgłę przebiły się pomarańczowe księżyce reflektorów; Tom zrobił krok naprzód i uniósł ramię.

Gdy auto zwolniło, ktoś wepchnął się między Kay i Toma, spiesząc przez jezdnię, żeby podać adres kierowcy.

– Przepraszam, ale my byliśmy pierwsi – odezwał się w miarę uprzejmym tonemTom.

– Nie sądzę, stary. – Mężczyzna szarpnięciem otworzył drzwiczki i wsiadł, a za nim kilka kobiet w wieczorowych strojach i aksamitnych pelerynach. Taksówka odjechała i zniknęła we mgle.

Tom zaklął pod nosem.

– To nie ma znaczenia – powiedziała Kay.

– Nie znoszę takich ludzi – rzucił z furią. – Gruboskórni jak nosorożce, z tym ich cholernym, nie do wykorzenienia poczuciem, że mają prawo do wszystkiego. Można by się łudzić, że wojna czegoś ich nauczy, ale nie, oni się nie zmieniają.

– Tom, to nie ma znaczenia.

– Nic ci się nie stało? Ten przeklęty idiota wpadł prosto na ciebie.

– Wszystko w porządku. Nie pozwólmy sobie popsuć tego pięknego wieczoru. Proszę, Tom.

Nie pojawiła się druga taksówka, więc ruszyli w stronę stacji kolejki podziemnej. Posuwali się jednak powoli, a mgła w miejscach, w których była najgęstsza, przypominała gruby mur.

– Tom, nie musisz odprowadzać mnie do domu, słowo. To potrwa wieki. Powinieneś wracać prosto do King's Cross – powiedziała Kay.

– Nie.

„Nie" i koniec. Pomyślała o proteście, ale zrezygnowała. Poszli ramię w ramię na stację kolejki, gdzie Tom kupił bilety, a potem zjechali ruchomymi schodami do tunelu. W wagonie stanęli przy drzwiach, Tom jedną ręką złapał za uchwyt pod sufitem, drugą zaś podtrzymywał Kay, ilekroć pociąg szarpnął albo zakołysał się na zakręcie. Rozmawiali o przedstawieniu, o tym, jak dobrze grała Miranda, jaka była wzruszająca i prawdziwa. Ich rozmowa składała się z urywanych fragmentów, jedno kończyło zdanie za drugie, obydwoje przekonani, że razem znajdą właściwe słowo; przeplatali rozmowę śmiechem i krótkimi, przyjemnymi utarczkami, przyjemnymi, bo zawsze lubili z sobą rozmawiać.

W Tufnell Park mgła była jeszcze gęstsza. Kroczyli powoli, ostrożnie, niczym ślepcy w nieprzeniknionym mroku, wspierając się od czasu do czasu o metalowe barierki albo niski murek. W powietrzu pachniało mrozem i sadzą, Kay i Tom prawie się teraz nie odzywali, skupieni na pokonywaniu ręka w rękę przeszkód w postaci krawężników i wybojów.

Przed domem Kay zaśmiali się z ulgą.

– Udało nam się.

– Już się bałam, że wylądujemy w Shepherd's Bush albo gdzieś.

– Co z Cheryl?

– Może zostać na noc. Zadzwonię do Liz. Niezła z nas spółka, co? – Objęła go za szyję i ucałowała. – Dziękuję, Tom. Może wejdziesz?

– Lepiej nie. Muszę złapać pociąg. – Uścisnął ją. Patrzyła za nim, gdy znikał we mgle.

Sukces „Romea i Julii" odmienił życie Mirandy. Mogła teraz wynająć nieduże mieszkanie w Chelsea. Składało się z saloniku, sypialni, małej kuchni i łazienki. Wyszukał je dla niej Piers; należało do jego znajomej, która wyjechała za granicę. Miranda mogła tu urządzać przyjęcia, skromne, kameralne nocne imprezy, podczas których goście kręcili się po pokojach, jedząc, pijąc, rozmawiając i tańcząc. Rozbawiło ją odkrycie, że zaproszenie na przyjęcie do Mirandy Marshall stało się wyznacznikiem prestiżu.

Przyjęcia odbywały się również w Foxhall. Były znacznie bardziej wystawne i opisywano je w prasie z lubieżną fascynacją. Do Foxhall przyjeżdżali najrozmaitsi goście – aktorzy i gwiazdy filmowe, pisarze, muzycy, bywalcy salonów i co bardziej niekonwencjonalni politycy. Przyjęcia trwały do rana, a z upływem godzin nabierały nieco skandalicznego charakteru. Zanim nadszedł świt, część gości zapadała w drzemkę na fotelach i łóżkach, a inni grali jeszcze w pokera, tańczyli albo wędrowali do kuchni, by ściągnąć coś do jedzenia ze spiżarki. Puste kieliszki po winie leżały porozrzucane na podłodze, niedopałki papierosów wysypywały się z popielniczek. Gdy igła gramofonu dochodziła do ostatniej piosenki na płycie, pozostawała tam i ścierała się, tkwiąc w rowku.

Odkąd związek Mirandy z Piersem stał się faktem powszechnie znanym, fotoreporterzy robili im zdjęcia, gdy wychodzili z restauracji – „Złota para teatru, Piers Hennessy i Miranda Marshall" – a redaktorzy rubryk towarzyskich śledzili każdy ich krok. Nagłówki prasowe pytały: „Czy popędliwy Piers znalazł wreszcie miłość u boku swojej Julii?". Miranda zdawała sobie jednak sprawę, że cokolwiek

przyciąga ich do siebie nawzajem, nie jest to miłość. Ich romans był burzliwy, przeplatały się w nim kłótnie i pojednania, dąsy i gniewy z jego strony, z jej zaś – pochlebstwa lub wzgarda. Wiedziała, że Piers jest płytki, próżny, zapatrzony w siebie i że miał przed nią wiele innych kochanek. Wiedziała również, że pragnie jej, ponieważ jest piękna, a on pragnął wszystkiego, co było ładne, błyszczące i pożądane przez innych mężczyzn. Pod warstwą jego próżności kryła się głęboka niepewność i potrzeba nieustannego potwierdzania wciąż na nowo własnej wartości. Pewna starsza aktorka z zespołu powiedziała Mirandzie, że Trupa Piersa Hennessy'ego była ryzykownym przedsięwzięciem mającym na celu ożywienie jego kariery, która zdawała się – przynajmniej według niego samego – tracić rozpęd. Sukces Mirandy, uwydatniający jego własny, pomógł Piersowi przyciągnąć ponownie uwagę prasy.

– Straszni nudziarze, ci chłopcy z klasy robotniczej, którzy wspięli się wyżej – dodała aktorka, ziewając. – Zawsze tak cholernie niepewni siebie.

Jeśli chodzi o samą Mirandę, Piers ją pociągał – był w końcu przystojny, wysoki, dobrze zbudowany, a w łóżku doświadczony, pomysłowy i zupełnie pozbawiony zahamowań. Lubił rzeczy wyrafinowane, smaczne jedzenie, szampana i drogie, dobrze skrojone ubrania, tak jak ona. Jego pasja teatralna była szczera; mogli rozmawiać o teatrze godzinami. Ponadto, zajęty wyłącznie sobą i obojętny wobec innych, Piers nigdy nie pytał jej o przeszłość, z czego była zadowolona.

Kay słyszała o aktorach i aktorkach zostających gwiazdami w ciągu jednej nocy, lecz nigdy się nie spodziewała, że zobaczy coś takiego z bliska. Prasa jednomyślnie wychwalała grę Mirandy. „Miranda Marshall nasyca rolę Julii wzruszającą bezbronnością" – pisał jeden z krytyków, drugi zaś dodawał: „Miranda Marshall z najgłębszym przekonaniem ukazuje ekstazę i tragedię młodzieńczej miłości". Trzeci dość przesadnie opatrzył artykuł na dole pierwszej strony nagłówkiem: „Narodziny gwiazdy!".

Jej fotografie ukazywały się w gazetach i czasopismach plotkarskich – Miranda wychodząca z teatru, uśmiechająca się do obiektywów, Miranda krocząca po czerwonym dywanie przed premierą filmu. Miała na sobie mieniącą się różową suknię i trzymała Piersa Hennessy'ego pod ramię. Dobrze było dzielić z nią emocje i widywać ją co pewien czas, gdy wpadała z wizytą i opowiadała o wywiadach, sesjach zdjęciowych i przyjęciach.

Kay potrzebowała czegoś, co oderwałoby jej myśli od pewnego problemu. Przydarzyło jej się coś niedorzecznego i dość żenującego. Chętnie by o tym zapomniała, lecz nie mogła wyrzucić tej myśli z głowy. Wciąż pamiętała powrót do domu w towarzystwie Toma po premierze „Romea i Julii". I rozmowę w kolejce podziemnej, i jego ciepłą dłoń, gdy, potykając się, brnęli po omacku przez mgłę. Pożegnali się przed drzwiami domu. Pocałowała Toma, a on ją przytulił.

I zapragnęła go.

Choć próbowała to zlekceważyć, powiedzieć sobie, że coś jej się pomyliło, choć powtarzała sobie w duchu: och, na litość boską, przecież to niemożliwe, żeby pociągał cię Tom, no chyba nie on; i choć podkreślała sama przed sobą, że od ponad trzech lat nie była w łóżku z mężczyzną, więc poleciałaby zapewne nawet na listonosza, gdyby ją przytulił – nic nie pomagało. Pożądanie było zdradliwe. Zmusiło ją do przyznania się do uczuć, które w innej sytuacji skłonna byłaby zignorować. Pozostawało w niej, wzbogacając dni mieszaniną uniesienia i tęsknoty, wciskając się w zwyczajne życie, przeobrażając ustalony porządek. Czyniło ją – i w tym właśnie rzecz – szczęśliwszą.

To sprawa czysto fizyczna, powiedziała sobie, i dość kłopotliwa. Niczego nie oznacza. Kiedyś całe to szaleństwo minie, ta tęsknota i to coś.

Na Gwiazdkę Piers podarował Mirandzie naszyjnik i kolczyki z ametystami oprawionymi w złoto. Ona zaś dała mu kota, czarnego jak z opowieści o wiedźmach, ze skośnymi oczami w kształcie migdałów, podobnymi do oczu Piersa. Pomyślała, że Piers potrzebuje czegoś takiego jak kot, czegoś, co mógłby spróbować pokochać,

i miała zaufanie do pani Hutchinson, że w tygodniu zaopiekuje się zwierzakiem.

W styczniu zagrała rolę pierwszej naiwnej w sztuce kryminalnej Agathy Christie, a także małą rólkę w przedstawieniu dla dzieci na podstawie tekstu specjalnie zamówionego przez Piersa, zatytułowanym „Zimowa księżniczka". Zaczęły się próby do „Białej diablicy" Webstera, która miała zostać wystawiona na początku lutego. Miranda grała Vittorię Corombonę. „Zdało mi się, że w środku nocy zabłądziłam/Na cmentarz…".

Pewnego wieczoru, gdy wyszła przed kurtynę po przedstawieniu sztuki Agathy Christie, ktoś rzucił na scenę czerwone róże. Podniosła je, posłała kilka całusów, a publiczność zgotowała jej owację. Inne bukiety czekały na nią w garderobie. Jak zawsze po spektaklu czuła radosne uniesienie. Pomyślała, w jak niezwykły sposób może potoczyć się życie. Zaledwie rok wcześniej tańczyła w obskurnym teatrzyku przy placu Pigalle, cerowała pończochy i zastanawiała się, za co jutro kupi jedzenie.

Zmyła sceniczny makijaż i starannie umalowała się po raz drugi, tym razem delikatniej. Włożyła koktajlową suknię z szafirowego atłasu i płaszcz, wiszący na drzwiach garderoby. Po przedstawieniu była zaproszona na przyjęcie w Mayfair. Odbywało się niedaleko dawnego domu jej ojca przy Charles Street. Raz próbowała zajrzeć do niego przez okna, lecz zasłony były zaciągnięte. Wyobraziła sobie pokoje, meble przykryte prześcieradłami chroniącymi przed kurzem, sufity obwieszone girlandami pajęczyn.

Usatysfakcjonowana swoim odbiciem w lustrze wciągnęła rękawiczki, wzięła torebkę i kilka róż, a potem zgasiła światło w garderobie. Maszyniści teatralni życzyli jej dobrej nocy, gdy wychodziła bocznymi drzwiami na wąską brukowaną uliczkę. Rozległy się trzaski migawek, błysnęły oślepiające, białe światła fleszy. Miranda przybrała wdzięczną pozę, uśmiechając się przez ramię do reporterów i fotografów.

– Gdzie Piers? – zawołał jeden z nich.

– Kiedy usłyszymy weselne dzwony, Mirando? – chciał wiedzieć drugi. Zamrugała, by odzyskać ostrość widzenia po lampach błyskowych, powiedziała „dobranoc" i ruszyła naprzód.

I wtedy zobaczyła stojącego z boku Jake’a Brennana.

22 W. Shakespeare, „Wieczór Trzech Króli lub Co chcecie”, Akt I, sc. 1, przeł. Leon Ulrich.

23 „Charley’s Aunt", autor Brandon Thomas (1850–1914), sztuka z 1892 roku.

24 „Journey’s End”, autor Robert Cedric Sherriff (1896–1975), sztuka z 1928 roku.

25 ENSA: Entertainments National Service Association, organizacja założona w 1939 roku przez Basila Deana i Lesliego Hensona w celu dostarczania rozrywki żołnierzom armii brytyjskiej w czasie II wojny światowej.

26 W. Shakespeare, „Romeo i Julia”, Akt III, sc. 2, przeł. Józef Paszkowski.

27 W. Shakespeare, „Romeo i Julia”, Prolog, przeł. Józef Paszkowski.

Rozdział 17

Jima Reynoldsa spotkałem w północnej Afryce, w czterdziestym drugim – opowiadał Tom. – Nikt nadzwyczajny, ale porządny gość, absolutnie porządny, jak wielu z nich. Pogodny, praktycznie myślący, nigdy nie narzekał. Raz wynikła potyczka, po której obydwaj zgubiliśmy swoje jednostki, więc trzymaliśmy się razem i próbowaliśmy znaleźć drogę do miejsca, gdzie, jak nam się wydawało, stoją nasze oddziały. Szliśmy dwa dni przez pustynię, uważając na niemieckie czołgi i wydzielając sobie wodę. Każdy z nas opowiedział drugiemu historię swojego życia. Reynolds porzucił szkołę w wieku lat czternastu i odtąd pracował na farmie. Nigdy nie wyjeżdżał z Anglii, bardzo rzadko opuszczał Hampshire. A potem wybuchła wojna i ten wiejski chłopak z Hampshire znalazł się nagle w północnej Afryce. No i tak szliśmy we dwóch przez pustynię. Od czasu do czasu przystawaliśmy, żeby odpocząć i jeden z nas wspinał się wyżej, wypatrując jakichś punktów orientacyjnych. Reynolds miał pecha. Kiedy oglądałem mapę, oddalił się i wszedł na minę. Na szczęście dotarliśmy już prawie do samej linii frontu i znalazłem za następnymi wydmami punkt opatrunkowy, bo inaczej by nie przeżył. A tak, to stracił biedaczysko obie nogi. – Tom przesunął dłonią po twarzy. – Bóg jeden wie, jak on to znosi. Ja bym nie mógł.

Był pogodny, mroźny, styczniowy dzień. Siedzieli w pubie w wiosce pod Hungerford. Tydzień wcześniej Tom zatelefonował do Kay. Co roku, powiedział jej, mniej więcej o tej porze odwiedza kilku starych przyjaciół z wojska, którzy znaleźli się w trudnej sytuacji. Zawozi im drobne prezenty, życzy szczęśliwego nowego roku. Rozmawia, wspomina z nimi, jeśli chcą. Może by z nim pojechała? To by wiele zmieniło. Tom nie wątpił, że jego koledzy woleliby patrzeć na nią niż na niego, a poza tym będzie łatwiej rozmawiać.

Kay nie potrafiła odmówić. Poprzedniego wieczoru odwiozła Jamiego do cioci Dot, więc była gotowa, kiedy Tom o dziewiątej rano zadzwonił do drzwi. Przed południem odwiedzili dwóch przyjaciół Toma, pierwszego w Reading, drugim zaś był Reynolds, który mieszkał z matką w wiosce między Hungerford i Marlborough. Po wizycie u Reynoldsów wstąpili do wiejskiego pubu na kanapki i piwo.

– No cóż, przypuszczam, że biedny pan Reynolds raczej nie ma wyboru i musi to znosić – odrzekła Kay.

– Tak. Ale pogodzenie się z czymś takim wymaga męstwa.

Zerknęła na niego i zapytała z zaciekawieniem:

– Brakuje ci tego czasami?

– Czego? Wojny? Nie. Ale chyba są tacy mężczyźni. Pamiętam, jak ktoś mi kiedyś powiedział, że wojna ma w sobie coś, co fascynuje mężczyzn. Może na samym początku tak, ale przynajmniej ja po Afryce już tego nie czułem. Owszem, do dziś zdarzają się chwile, kiedy brakuje mi tamtej atmosfery koleżeństwa, ale prawdę mówiąc, miałem już dość na długo przed tym, zanim zostałem ranny. Widziałem śmierć zbyt wielu przyjaciół. – Rozerwał torbę frytek i położył na środku stolika. – A ty, Kay?

– Nawiązałam kilka bliskich przyjaźni – odparła. – Nadal jesteśmy w kontakcie i przypuszczam, że zawdzięczam to wojnie. Ale wojna również odebrała mi Rowlanda.

– Musisz za nim bardzo tęsknić. Zwłaszcza o tej porze roku.

– Nie spędziliśmy razem ani jednych świąt i nie witaliśmy nowego roku. W nasze jedyne Boże Narodzenie Rowland był w Szkocji, a ja w Aldershot. Pamiętam, że próbowałam telefonować, ale były straszne zakłócenia na linii i w końcu udało nam się pogadać tylko minutę, może dwie. Cudownie było jednak usłyszeć jego głos. – Przesunęła końcem palca po plamie rozlanego piwa na stoliku. – Tak to wyglądało przez większość czasu. Listy i telefony… przeważnie listy. Około tuzina wspólnych wieczorów i kilka weekendów. Pozostały czas spędziliśmy oddzielnie. Nawet po ślubie, jeśli zsumować wszystkie dni, wychodzi mniej niż tydzień. Zachowam na zawsze wspomnienia o Rowlandzie, nigdy go nie zapomnę. Ale nie zamierzam z niego robić jakiegoś świętego. Nie chcę, by stał się kimś, o kim rozmawiamy ściszonym głosem albo kto nas

powstrzymuje przed robieniem rzeczy, które pragniemy robić. Nie chcę, żeby Jamie żył z takim cieniem albo żeby czuł, iż odebrano mu coś wspaniałego, co powinien mieć, i nie potrafił tego przeboleć. Jego życie nie powinno być zbudowane na poczuciu straty.

– A ty, Kay? Co z tobą?

Niemal cofnęła się przed jego szczerym, otwartym spojrzeniem. A gdyby tak się domyślił?

– Dla siebie również tego nie chcę – odparła. Spróbowała sprecyzować myśli. – To, co mi powiedziałeś tamtego wieczoru w teatrze, o unikaniu zaangażowania…

– Ach, wtedy.

– Gdyby nie ty, mogłabym nie skontaktować się z Mirandą. Powiedziałabym sobie, że nie mam czasu i wyszłabym, nie próbując się z nią zobaczyć. A wszystko dlatego, że nie potrafiłam stawić czoła tym… tym…

– Kosztom emocjonalnym?

– Tak. Całemu temu niepokojowi, lękom i troskom, które wiążą się z kochaniem kogoś. I żałowałabym tego, Tom. Wiele bym straciła. Cudownie było zaprzyjaźnić się z nią na nowo. – Uśmiechnęła się. – Oczywiście, teraz to wygląda inaczej.

– I nic dziwnego. Związki między ludźmi ulegają zmianom.

W oczach Toma, gdy na nią spojrzał, było ciepło, od którego jej serce zabiło szybciej.

– Miranda zawsze była skryta – powiedziała. – Przypuszczam, że tak naprawdę i do końca znał ją tylko Olivier. Jest zupełnie inna niż ja. Może dlatego tak dobrze się między nami układa, bo bardzo się różnimy. Ja nigdy nie byłam ani trochę tajemnicza.

– Dla mnie jesteś. – Miał poważną minę.

Kay parsknęła śmiechem.

– Och, Tom. Nie ja. Często irytowaliśmy się na siebie nawzajem, czasami byliśmy na siebie źli, ale nigdy…

Urwała. Chciała powiedzieć: „nigdy nie czuliśmy wobec siebie fascynacji”. Co za brednia. Oczywiście, że ją fascynował. To, co myślał i mówił, jak się poruszał – fascynowało ją. Długa nieobecność Toma, kiedy wyjechał najpierw do Afryki, a potem do Włoch, sprawiła, że Kay zobaczyła go wyraźniej. Pamiętała, jak odwiedziła

go w szpitalu, kiedy został ranny. Pamiętała, jak płakała nad nim po wyjściu ze szpitala.

– Nigdy nie nudziliśmy się z sobą, prawda, Kay? – Usłyszała jego głos, niemal jak echo własnych myśli.

Wtedy właśnie kilka osób zajęło krzesła tuż obok nich, zdejmując okrycia i rozcierając zziębnięte ręce. Tom zaproponował:

– Lepiej ruszajmy w drogę. Następny kolega, Bob Parry, mieszka na zupełnym odludziu. Łatwiej będzie tam dotrzeć przy świetle dziennym.

Wyszli z pubu i odjechali. Droga zwężała się coraz bardziej i biegła przez las. W samochodzie słowa Toma zdawały się wypalać ślad w świadomości Kay. „Związki między ludźmi ulegają zmianom". Czy to możliwe, że mówił nie o Mirandzie, lecz o nich dwojgu? Nie miała odwagi tak myśleć.

Dom Parrych stał w kępie drzew po drugiej stronie pola. Tom zaparkował auto na skraju drogi. Przymrozek pobielił zaoraną ziemię; między koleinami zastygł lód.

– Spodoba ci się Bob Parry – powiedział Tom, gdy zmierzali w stronę domu. – Jest jedyny w swoim rodzaju. Powinienem cię ostrzec, że jest tam cały tłum Parrych. Rozejrzyj się dobrze, zanim usiądziesz, bo możesz wylądować na czyichś kolanach. Bob złożył podanie o dom komunalny, ale uważa, że to potrwa kilka ładnych lat.

Kay odniosła wrażenie, że Parrych są całe tuziny, w wieku od kilkutygodniowego bobasa po prababcię, która kuśtykała po saloniku, laską usuwając z drogi dzieci, koty i psy. Poznała Boba, szczupłego, ciemnowłosego, ruchliwego mężczyznę o bystrych, czarnych oczach, jego żonę i trójkę dzieci, jego rodziców, dziadków, siostrę i szwagra oraz ich dzieci. Chwila zakłopotania – już trzeci raz tego dnia – nastąpiła, gdy trzeba było wyjaśnić, że ona i Tom są tylko przyjaciółmi, po czym rozległ się chór mówiących prosto z mostu Parrych: „Ja bym ją łapał na twoim miejscu" i „Już czas, żeby pan założył rodzinę, kapitanie Blacklock, nie wiem, na co pan czeka". Potem napojono ich herbatą i nakarmiono ciastem z dżemem porzeczkowym, dzieci wyproszono na dwór, by pobawiły się w gasnącym świetle dnia, prababcia usnęła w fotelu, a Tom i Bob mogli w końcu spokojnie porozmawiać.

Obserwując go, Kay doznała olśnienia. To, co czuła, nie było jedynie przelotnym pociągiem fizycznym. Kochała go. Kochała w nim wszystko, jego życzliwość, wielkoduszność i opiekuńczość. Kochała z nim rozmawiać, spierać się i milczeć we dwoje. Kochała leżeć obok niego na rozsłonecznionej łące nad rzeką, przepływać z nim morza, jechać autem w zimowy wieczór. Nie chciała znajdować się nigdzie indziej, tylko tutaj, na powypychanej sofie w pokoju, w którym zalatywało tytoniem fajkowym, niemowlęcymi wymiocinami i psią sierścią – dlatego że on tu był.

Pożegnawszy się z Parrymi, opuścili dom i ruszyli w drogę powrotną. Zachodzące słońce osuwało się za czarne kontury drzew, przypominające koronkę na tle nieba, które płonęło koralową czerwienią i złotem.

W pewnej chwili Tom powiedział:

– To miejsce zawsze mi przypomina Zimną Gwiazdkę. Wysokie drzewa, cisza i to, jak musisz wypatrywać drogi do domu, żeby jej nie przeoczyć. Czy mówiłem ci już, że Zimna Gwiazdka należy teraz do Edie?

– Do Edie? – powtórzyła.

– Miles Culbone zmarł rok temu. Zapisał swój dom Edie.

Edie, pomyślała Kay. Skąd Tom wiedział, że Edie odziedziczyła Zimną Gwiazdkę? Czy nadal się z nią kontaktował? Nadal był w niej zakochany? Kay miała wrażenie, że nagły chłód sięga jej serca; teraz była zadowolona, że nie ujawniła swoich uczuć, że po raz drugi nie popełniła tego samego błędu, narażając się na gniew i odrzucenie, jak w roku 1939.

– Kay… – zaczął Tom, lecz odskoczyła od niego, pośliznęła się, a wtedy złapał ją za ramię.

Wyrwała się i przyspieszyła kroku, prawie biegnąc, póki nie rozdzieliła ich większa odległość, taka że Tom nie mógł dostrzec łez w jej oczach.

Niemal to wypowiedział, jego wargi już układały się w słowa: „Kay, musimy porozmawiać; Kay, musisz zrozumieć, co do ciebie czuję” – a potem w jednej chwili, po jednym geście cała przyjemność, jaką

czerpał z tego dnia, została unicestwiona. Ujął Kay pod ramię, gdy pośliznęła się na lodzie, a ona wyrwała się tak gwałtownie, jakby jego dotyk ją parzył.

Zaledwie przed paroma godzinami rozmawiali w pubie i pozwolił sobie na okruch nadziei. Jego starannie obmyślony manewr w celu sprawdzenia, czy kiedykolwiek zostaną kimś więcej niż przyjaciółmi, zdawał się przynosić pożądany efekt.

Wrócili do Londynu. Kay siedziała w milczeniu, z twarzą odwróconą w drugą stronę, wyglądając przez okno. Mijali wioski i miasteczka, zapadł zmrok, migotały światła. Słowa i zdania, które wymieniali, były krótkie i bez znaczenia. Tom zdawał sobie sprawę, że głupio się łudził, żywiąc nadzieję. Trudno byłoby wyrazić to dobitniej, pomyślał posępnie.

To nie mógł być Jake. Otrząsnąwszy się z pierwszego wrażenia, Miranda nabrała pewności, że popełniła omyłkę. Zresztą nawet jeśli to on, nie rozpoznał jej. Zmieniła się i w niczym nie przypominała już zabiedzonej żebraczki, którą znalazł w tym pogrzebowym stosie, w jaki Hitler zmienił Niemcy.

Wciąż próbowała oderwać myśli od bieżących spraw. Zawsze gdzieś w Londynie odbywało się przyjęcie, na które ją – najnowszą ulubienicę salonów – nieodmiennie zapraszano. Przyjęcie z okazji trzydziestych piątych urodzin Piersa pod koniec stycznia prześcignęło wszystkie inne organizowane w Foxhall. Zjawiło się ponad sto osób, muzyka i tańce trwały do późnej nocy. Co pewien czas oddalała się jakaś para, zamykając za sobą drzwi sypialni. O świcie następnego ranka goście, którzy jeszcze trzymali się na nogach, przebrnęli przez kamienne wzgórze nad morze i zrzuciwszy z siebie ubrania, zanurzyli się w wodzie. Chłód zapierał dech i sprawił, że Miranda zaczęła śmiać się i krzyczeć. Pływając, poczuła, jak zagarniają ją fale, unoszą i opuszczają, dopóki nie stała się słaba i bezwolna jak lalka. Wciąż się śmiała, gdy Piers wyniósł ją na rękach, mówiąc, że jest niemądra i na nic mu się nie przyda, jeśli utonie.

Na początku lutego wystawili „Białą diablicę". Mirandzie trzęsły się ręce, gdy robiąc makijaż, nakładała cienie i kreski na powieki.

W mieszkaniu pochorowała się ze zdenerwowania, a potem drugi raz w teatrze. Umalowana, w kostiumie z czerwonej tafty, czekała, drżąc na całym ciele. Nie pamiętała ani jednej kwestii. Nawet sygnału, kiedy ma wejść. Nie mogła grać i pomyślała, że Piers będzie musiał wystawić dublerkę.

A potem w mgnieniu oka było już po wszystkim i odbierała nagrodę: słyszała aplauz, wywoływano ją przed kurtynę, grzmiały oklaski i miała poczucie, że przeżyła coś wspaniałego i przeobrażającego. Wychodząc z teatru, rozejrzała się za Jakiem Brennanem, lecz nie dostrzegła go w tłumie fotoreporterów.

Mijały dni. Zaczęła lepiej sypiać, ukołysana powodzeniem sztuki. Znowu poczuła się bezpieczna.

Pewnego dnia po długim bankiecie spała do późna. Gdy światło słońca przeniknęło przez zasłony, drzemała tylko, na pół świadoma dźwięków wydawanych przez odkurzacz, który uruchomiła w holu dochodząca pomoc domowa.

Zadzwonił telefon. Miranda sięgnęła po słuchawkę.

– Halo?

– Czy to Miranda Marshall?

– Kto mówi? – Oprzytomniała w jednej chwili.

– Oho – odezwał się głos – a ja myślałem, że mnie rozpoznasz, gdy tylko wypowiem twoje imię. Choć to nie jest twoje imię ani nazwisko, prawda? Podobnie jak Agnes Leblanc. Myślę, że nadszedł czas na małą pogawędkę, Mirando.

Spotkała się z nim w parku. Siedział na ławce i czytał gazetę, którą na jej widok złożył i wstał. Miała na sobie stary futrzany płaszcz, na nosie ciemne okulary, a głowę owinęła jedwabnym szalem.

– Spójrz tylko na nas – powiedział. – Wyglądamy jak para sowieckich szpiegów.

Nie uśmiechnęła się na ten żart.

– Witaj, Jake.

– Witaj… jak powinienem się do ciebie zwracać?

– Mirando. To moje prawdziwe imię.

– Wiem.

W jego niebieskich oczach pojawił się pełen samozadowolenia, a zarazem czujny błysk, który pamiętała z Niemiec.

– Jest za zimno, żeby usiąść. Lepiej się przespacerujmy – zaproponowała.

Poszli ścieżką między kortem tenisowym a placem zabaw dla dzieci.

– Uciekłaś – odezwał się Jake – bez pożegnania. To było nieuprzejme z twojej strony, Mirando. Zraniłaś moje uczucia. Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłem.

– Miałam pewne sprawy do załatwienia.

– Dokąd pojechałaś?

– Tu i tam.

– Do Paryża. Pojechałaś do Paryża, prawda?

Rzuciła mu ostre spojrzenie.

– Jeśli wiesz, po co pytasz?

– Chciałem to usłyszeć od ciebie. Przecież byliśmy przyjaciółmi. Przyjaciele zawsze mówią sobie prawdę. – Wyjął paczkę papierosów i podsunął Mirandzie.

– Nie, dziękuję. – Pokręciła głową.

– Kiedy się poznaliśmy, gotowa byłaś na wiele dla papierosa.

Odwróciła oczy.

– To było wtedy, a teraz jest teraz. Ludzie się zmieniają.

– Naprawdę? Nie byłbym taki pewny. – Usłyszała trzask zapałki. Po chwili Jake mówił dalej: – Gdy mnie zostawiłaś, poleciałaś do Belgii. Wytropiłem gości, którzy zabrali cię do samolotu. Belgia, pomyślałem. Nikt nie wyjeżdża do Belgii, żeby tam zostać. Powiedziałem sobie w duchu: założę się, że pojechała do Paryża. Tam właśnie mogła się udać moja mała Agnes. Więc i ja tam pojechałem i rozejrzałem się trochę. Ślepy zaułek. Zniknęłaś bez śladu. Rozwiałaś się jak dym. A ja zostałem ze złamanym sercem.

– Nie wątpię, Jake – zauważyła chłodno.

– Potem wysłali mnie znowu do Niemiec. Pokazywałem twoje zdjęcie każdemu, kogo spotkałem. Wydaje mi się, że po prostu byłem ciekaw. Wiedziałem, że kłamałaś, chciałem poznać twoje prawdziwe życie. Opowiedziałaś mi wiele różnych historyjek, Mirando, lecz nigdy tej prawdziwej. Wciąż jednak – pokręcił głową –

nic nie udawało mi się odkryć. Zacząłem myśleć, że nigdy cię nie znajdę.

– Żałuję, że ci się udało, Jake.

– Nie mów tak, skarbie. W każdym razie, wtedy los się do mnie uśmiechnął. Byłem w Berlinie… Jezu, co za bałagan. Miasto duchów przetrząsających ruiny. Musiało tam być piekło w czasie bombardowania i później, kiedy weszli Rosjanie.

Miranda nic nie powiedziała. Pamiętała, jak będąc u Anny, podczas nalotu ukryła się w schronie. Razem z tysiącami innych ludzi spędziła tam dwa dni, kiedy rozpętało się zaciekłe bombardowanie. Pamiętała grozę, ciemność, tłok i smród, gdy ludzie zmuszeni byli załatwiać się tam, gdzie siedzieli. I pragnienie. Sprzedałaby własną duszę za szklankę wody.

– Byłem już bliski dania za wygraną – podjął Jake. – Myślałem, że nigdy się nie dowiem, kim naprawdę jesteś. I wtedy, jak wspomniałem, los się do mnie uśmiechnął. Pisałem artykuł o nazistkach. Rozpytywałem się i ktoś mnie skontaktował z pewną kobietą. Niebieskooka, włosy rudawoblond. Wyższa niż ty, niezła figura. Kiedyś musiała być ładna, ale wtedy nie było w Berlinie ładnych kobiet. Jej rodzina pochodziła z Prus Wschodnich, z Königsbergu. Byli niegdyś zamożni. Nazywała się… – zmrużył oczy, lecz Miranda wiedziała, iż Jake tylko udaje, że zapomniał. – Schäfer. Tak, frau Schäfer.

Schäfer. Miranda dopiero po chwili skojarzyła nazwisko. Przypomniała sobie Katrin, kuzynkę Friedricha. Po mężu nazywała się Schäfer.

– Co ciekawe, ona cię znała, Mirando. Frau Schäfer była wdową po jakimś mało ważnym funkcjonariuszu partii nazistowskiej. Pokazałem jej twoje zdjęcie i rozpoznała cię natychmiast. Na początku nie chciała ze mną rozmawiać, lecz potem, gdy odbyliśmy poufną pogawędkę i wyjaśniłem, co mogę zrobić, zmieniła zdanie. Opowiedziała mi o tobie wszystko. – Uśmiechnął się, pokazując równe, białe zęby. – Miranda von Kahlberg. O, rety. Kto by to pomyślał? Moja mała Agnes okazała się hrabiną!

Stanęli przy bramie parku. Miranda chciała wyjść, lecz złapał ją za ramię, zaciskając mocno palce.

– Rozważałem jak najszybszą publikację tej historii – powiedział. – Od hrabiny do dziwki, niezły tytuł.

Nigdy nie byłam dziwką, pomyślała. Wszyscy kochankowie budzili w niej, przynajmniej na początku, żywsze uczucia, pociąg albo potrzebę ludzkiego ciepła. Wiedziała jednak, jak to opisze Jake.

On tymczasem ciągnął:

– Tylko że, widzisz, mojej historii zabrakło końca. Potrzebowałem zakończenia. Rozejrzałem się jeszcze raz w Paryżu, ale nic nie wskórałem. Aż tu nagle, dwa tygodnie temu, siedzę sobie w hotelu, przerzucam „Paris Match" i nagle widzę ciebie, Mirandę Marshall, najnowszą londyńską gwiazdę. Co za sensacja! Ale nadal nie miałem stuprocentowej pewności, że to ty. Wyglądałaś znacznie, by tak rzec, wytworniej, niż w czasach, kiedy cię znałem. I te włosy… do twarzy ci w nich, swoją drogą. Wskoczyłem na prom i przypłynąłem, żeby się bliżej przyjrzeć. I okazało się, że to ty. Wreszcie cię odnalazłem.

Odsunęła się od niego, rozcierając bolące ramię.

– Co teraz zrobisz, Jake? To byłby świetny materiał dla prasy, prawda?

– Po prostu fantastyczny. Jeden z najlepszych. Sądzę, że dzięki temu wyrobiłbym sobie dobrą markę. Ulubienica Londynu okazuje się żoną oficera Wehrmachtu. Uhu, prawdziwa bomba. Ale nie chciałem ci tego robić, Mirando. – Uśmiechnął się do niej ponownie, lecz oczy miał zimne. – Chyba że mnie zmusisz.

– Zrób to, co uważasz za stosowne, Jake. Mnie to nie obchodzi.

– Kłamiesz. Oczywiście, że cię obchodzi. Chyba nie chcesz stracić wszystkiego, co zdobyłaś? Bo nie ma się co łudzić, tak właśnie będzie. Wszyscy ci ludzie, którzy powtarzają, jaka jesteś cudowna, ci reporterzy, którzy się tobą zachwycają, ukrzyżują cię, gdy tylko się dowiedzą, kim naprawdę jesteś. Powiedzą, że ich oszukałaś. Nie będą już oklaskiwali cię w teatrach, lecz zaczną się domagać twojej krwi. Twoja kariera – pstryknął palcami – rozwieje się jak dym. I nie wyobrażam sobie, żeby ten facet wytrwał długo przy tobie, gdy się dowie, że go okłamywałaś.

– Czego chcesz, Jake? – zapytała lodowatym tonem.

– Tylko zacząć od tego, na czym skończyliśmy, nic więcej. – Uśmiechnął się do niej. – Wydawca życzy sobie, żebym na parę

tygodni wrócił do Nowego Jorku. Przemyśl to, co ci powiedziałem. Zadzwonię do ciebie, jak znowu tu przyjadę.

– Gilesowi nie spodobała się papuga mamy – opowiadała Minnie. – Nie wiedziałam, że boi się ptaków, ta kwestia jakoś nie wynikła wcześniej. A potem tata zszedł na lunch w bluzie od piżamy. Nawet mama to zauważyła. Kazała mu iść się przebrać. Biedny Giles dał drapaka zaraz po deserze. Tłumaczył się nawałem pracy, ale myślę, że to rodzice go odstraszyli.

Tom i Minnie wracali nadrzeczną ścieżką do domu po koncercie w Trinity College. Było ciemno i zimno; odbicie księżyca w pełni falowało na wodzie niczym srebrna moneta rzucona na szarfę z czarnego jedwabiu.

– Zastanawiam się czasami – ciągnęła Minnie – czy ten dom nie zapadnie się pewnego dnia pod ziemię. Za dużo książek, za dużo kurzu, psów, kotów i papug. A może po prostu ześliznie się po łące i osunie do rzeki z bardzo głośnym bul, bul. Wiesz, każdego nowego chłopaka poddaję takiej próbie. Czy poradzi sobie z rodzicami.

– No i biedny Giles oblał egzamin.

– Na to wygląda. Skreślam go z listy.

Tom nie mógł się powstrzymać, by w myślach nie poddać tej próbie Kay. Wiedział, że pod przykrywką domowego bałaganu dostrzegłaby dobroć i wielkoduszność jego rodziców. Zauważyłaby ich nienasycony głód wiedzy i poczuła do nich szacunek. Nie raziłyby jej dyskusje przy stole, nie bałaby się ich. Chętnie by w nich uczestniczyła.

– No więc? – zagadnęła Minnie.

– Co: więc?

– Kim ona jest?

– Kim kto jest?

– Tom – Minnie westchnęła głośno. – Taki ponury bywasz wyłącznie wtedy, gdy zajdzie ci za skórę jakaś dziewczyna.

Ponieważ zawsze byli blisko, odpowiedział:

– To nie jest „jakaś dziewczyna”. To ta właściwa kobieta.

– Oho. – Przyjrzała mu się uważniej. – Mówisz serio, tak?

– Niestety, tak.

– Dlaczego „niestety”? Najwyższy czas, żebyś sobie kogoś znalazł. Nie możemy do końca życia pozostać samotnymi zrzędami.

– Chodzi o Kay – wyznał.

– Nareszcie! Od wieków opowiadasz o niej te same głodne kawałki. – Dotknęła jego ręki. – Przepraszam. Nie powinnam sobie z tego żartować. Czyli mam rozumieć, że…

– Jestem dla niej tylko przyjacielem. Poczciwym starym Tomem, który od czasu do czasu zaprasza ją na drinka. To cholernie irytujące. Chwilami mam wrażenie, że coś osiągam, a zaraz potem ląduję w punkcie wyjścia. Albo jeszcze dalej.

Gdy szli wzdłuż Riverside, a później skręcili Priory Road w stronę domu, Tom opowiedział Minnie o dniu, w którym odwiedzali z Kay jego dawnych kolegów z wojska. I o tym, jak po opuszczeniu domu Parrych ostatecznie rozwiały się jego nadzieje.

Gdy weszli do domu, Minnie zdjęła szal i rękawiczki.

– Może powiedziałeś coś, co ją zdenerwowało?

– Ja? Nie sądzę.

Spojrzała na niego uważnie.

– O czym rozmawialiście?

– Nie pamiętam. Chyba o Parrych. – Wszedł do kuchni i nastawił wodę w czajniku. – Aha, i o Zimnej Gwiazdce.

– O Zimnej Gwiazdce?

– Powiedziałem Kay, że Edie odziedziczyła dom.

Minnie usadowiła się na krawędzi kuchennego stołu i machała nogami.

– Kay wie o Edie, prawda?

– Wszystko. Pełną, nieocenzurowaną, niezłagodzoną wersję.

– Och, Tom!

– Co? – Przestał wsypywać kawę do kubków i odwrócił się do Minnie.

– Rozmawiałeś z Kay o swojej byłej dziewczynie. O swojej kochance.

Popatrzył na nią skonsternowany i w końcu zapytał:

– Myślisz, że mogła mnie źle zrozumieć? Przecież ja od lat nie myślałem o Edie w tych kategoriach.

– Ale czy Kay o tym wie?

Odtworzył w myślach całą scenę. „Miles Culbone zmarł rok temu”, poinformował Kay. „Zapisał swój dom Edie”. I wtedy właśnie Kay pośliznęła się, a gdy ją podtrzymał, gwałtownie się wyrwała. I przez dalszy ciąg drogi powrotnej prawie na niego nie patrzyła.

– Na miłość boską, Tom – naciskała Minnie, szukając w kuchennych szafkach herbatników – porozmawiaj z nią.

„Wydawca życzy sobie, żebym na parę tygodni wrócił do Nowego Jorku. Zadzwonię do ciebie…”. Miranda nie miała wątpliwości, że Jake to zrobi. Niezależnie od motywów – czy było to pożądanie, poczucie władzy, czy chęć odpłacenia jej za ucieczkę sprzed dwóch lat – nie dałby za wygraną. Jake Brennan będzie ją ścigać, póki nie dostanie tego, czego chce.

A ona nie zamierzała iść ponownie do łóżka z Jakiem Brennanem. Już sama ta myśl budziła w niej odrazę, co wydawało się dziwne, bo przecież wcześniej nie miała nic przeciw temu. Uświadomiła sobie, że się zmieniła. Może nareszcie zaczynało się rozwiewać otępienie emocjonalne, które ogarnęło ją w ostatnich strasznych miesiącach wojny.

A jednak, nie stając się ponownie kochanką Jake’a Brennana, utraciłaby to życie, które sobie stworzyła, tę fikcję, w której funkcjonowała Miranda Marshall. Siedząc na kamykach wyrzuconych na plażę przy Foxhall wczesnym rankiem i popatrując na morze, usiłowała zdecydować, co dalej robić. Z tyłu z domu słychać było stłumioną muzykę i śmiechy. Za kim by tęskniła, gdyby raz jeszcze musiała zaczynać wszystko od nowa? Nie za Piersem, który wkrótce znajdzie sobie kogoś innego. I na pewno nie za innymi członkami grupy ani uczestnikami jego bankietów. Tęskniłaby jedynie za Kay, lecz wiedziała, że ich przyjaźń przetrwa każdą próbę niczym złota nić wpleciona w kawałek tkaniny.

Nie żałowałaby właściwie niczego. Miranda Marshall zniknie, lecz gdzieś tam, kiedyś inna aktorka zajmie jej miejsce. Ufarbuje znowu włosy na czarno albo na rudo – uśmiechnęła się na tę myśl. Stanie się kimś innym. Bądź co bądź odegrała w swoim dwudziestoośmioletnim życiu wiele rozmaitych ról. Posłusznej córki,

pani na włościach, uciekinierki, wschodzącej gwiazdy teatru. Zawsze grała i będzie grała. Nie zatęskni za sławą – przekonała się, że to fałszywa przyjaciółka, która żąda coraz więcej, zajmuje coraz bardziej rozległe obszary jej duszy. Coś w niej pragnęło, a zarazem brzydziło się spojrzeń publiczności. Oklaski po zakończonym przedstawieniu z trudem równoważyły udrękę zwątpienia, którą przeżywała przed wejściem na scenę. Kobieta uśmiechająca się z fotografii w gazetach była prawdziwą Mirandą w nie większym stopniu niż córka rękawicznika, którą udawała podczas pierwszego spotkania z Olivierem.

Tylko przy Olivierze była naprawdę sobą. W głębi serca wiedziała, że nigdy nie pokocha nikogo innego. Czasami mężczyźni ją wykorzystywali, a ona wykorzystywała ich, czego zdarzało jej się żałować. Skrzywdziła Friedricha, a on mimo to w końcu próbował ją uratować. Teraz myślała o mężu z czułością. Jedynie wobec Oliviera zdobyła się na szczerość, odsłoniła przed nim swoje tajemnice. Mogła to zrobić, ponieważ on jeden nie starał się jej sobie podporządkować. Kochał ją dostatecznie mocno, by dać jej swobodę.

Było zimno. Wstała i podeszła po kamykach na brzeg morza. Zrzuciła pantofelki na wysokich obcasach i zsunęła pończochy; morze, tak zimne, że zapierało dech w piersi, obmyło jej stopy. To nie takie złe zaczynać od zera. W końcu była do tego przyzwyczajona.

Przypomniała sobie drogę z Sommerfeld. Żywiła głęboką nadzieję, że nigdy więcej nie będzie zmuszona do odbycia podobnej wędrówki – ani ona, ani nikt inny na całym świecie. Ocalała i czasami wstydziła się tego. Uczyniła, co musiała, by się ratować. Pod pewnymi względami, myślała, wdała się w ojca. Jeżeli coś jej się nie udawało, zostawiała to i szukała czegoś innego. Odkryła jednak, że istnieją pewne sprawy, które tkwią w człowieku do końca życia i o których nie mówiła nikomu, nawet Kay. Stojąc na plaży, wspomniała swoje dziecko, maleńkie, doskonałe martwe ciałko, spoczywające w jej ramionach. Uśmiechnęła się, lecz w oczach miała łzy. Podniosła buty i pończochy i poszła do domu.

Wróciła do mieszkania w poniedziałek rano. Wykąpała się i właśnie nawijała włosy na wałki, kiedy przez otwór w drzwiach wpadły

przesyłki pocztowe. Przejrzała je, idąc do sypialni. Rachunki, listy od wielbicieli i mała paczuszka. Były na niej francuskie znaczki. Miranda znalazła nożyczki, przecięła sznurek, odwinęła szary papier. W środku znajdowało się coś otulonego ciasno w bibułkę. Nie było żadnego listu. Następny sznurek i kilka nowych warstw bibułki. Ktokolwiek przysłał ten prezent, wyraźnie życzył sobie, by dotarł on do adresatki w całości.

Gdy wyczuła kształt przedmiotu pod ostatnią warstwą bibułki, jej serce zaczęło walić gwałtownie. Kiedy przecinała ostatni kawałek sznurka i odwijała przesyłkę, dłonie miała śliskie od potu. Usiadła, przyciskając drżącą rękę do ust.

Mały, niebieski ceramiczny drozd był bliźniaczo podobny do tego, którego trzymała na nocnym stoliku – tego, którego podarował jej przed laty Olivier.

Nie udało mu się porozmawiać z Kay, co wprawiało Toma w złość. Nie było jej w domu – albo nie odbierała telefonu – albo on miał zbyt wiele zajęć. Koledzy rozchorowali się na grypę, zostawiając go samego na posterunku. Przez ostatni tydzień nie opuszczał biura przed dziewiątą wieczorem i musiał pracować również przez weekend.

Pewnego popołudnia, gdy wyskoczył, by zaczerpnąć trochę świeżego powietrza i wysłać kilka listów, zauważył nagłówki na afiszach przy kioskach z gazetami. „Aktorka mogła utonąć”. Mijając kiosk, zerknął z roztargnieniem na stos gazet.

Rozpoznał twarz patrzącą na niego z pierwszej strony. Była to jedna z tych twarzy, których – raz widzianych – nie można zapomnieć. Oszołomiło go na chwilę jej niezwykłe, nieziemskie piękno, delikatny uśmiech i oczy o udręczonym wyrazie. Poszukał w kieszeni drobnych, kupił gazetę i przeczytał ją w drodze powrotnej do biura.

Następnie odesłał maszynistkę do domu, włożył płaszcz, zamknął biuro na klucz i pomaszerował czym prędzej na stację.

– Dzwoniłam do ciebie – powiedziała Kay, otworzywszy drzwi. – Och, Tom – zarzuciła mu ramiona na szyję – tak się cieszę, że jesteś!

– Przyjechałem, gdy tylko zajrzałem do gazety. Tak mi przykro, Kay. Wiem, co to musi dla ciebie oznaczać.

Wszedł za nią po schodach. Jamie bawił się autkami w kojcu. Na widok Toma wykrzyknął jego imię i zaczął podskakiwać, trzymając się prętów.

Tom podniósł chłopca.

– Próbowałem telefonować kilka razy, ale nie odbierałaś.

– Byłam zajęta – powiedziała z rozdrażnieniem. – Nie, to nieprawda. Nie podnosiłam słuchawki, bo się bałam, że to możesz być ty. Ale z nikim innym nie porozmawiam o Mirandzie, więc musisz to być ty, Tom, cokolwiek myślę o Edie.

Jamie sięgnął do kieszeni Toma i wyciągnął wieczne pióro. Ratując je, Tom powtórzył pytającym tonem:

– O Edie?

– Uważam, że popełniasz błąd. – Kay chodziła tam i z powrotem po pokoju; w jej głosie brzmiał gniew. – Tylko znowu się unieszczęśliwisz. Powiesz mi zapewne, że to nie moja sprawa, ale mylisz się!

– Nie widziałem się z Edie ani nie miałem od niej wiadomości od ponad sześciu lat – odparł spokojnie. – Spotkałem na kolacji w Izbie Adwokackiej notariusza, który zajmował się majątkiem Milesa Culbone'a. Powiedział mi, że jego klient zapisał swoją posiadłość Edie. Ucieszyłem się, bo zawsze kochała ten dom. I to wszystko, Kay.

– Och. – Usiadła na sofie i nieoczekiwanie zaczęła się uśmiechać. – Och, Tom. Naprawdę?

– Naprawdę. – Usiadł obok niej. – Teraz opowiedz mi o Mirandzie.

Większość z tego, co Kay wiedziała, znalazło się w artykule w gazecie. W sobotę wieczorem w Foxhall, domu Piersa Hennessy'ego, odbywało się przyjęcie. Rano obecni odkryli, że Miranda zniknęła. Na początku przypuszczano, że wybrała się na spacer, potem jednak gospodyni zauważyła jej płaszcz wiszący w sieni. To gospodyni znalazła na plaży najpierw buty, a następnie ubranie Mirandy, schludnie złożone i przyciśnięte kamieniem.

Wszczęto alarm, zawiadomiono straż przybrzeżną i policję. Piers Hennessy potwierdził, że Miranda lubiła pływać w morzu. Przeszukano wybrzeże, lecz nie natrafiono na żaden ślad.

Słuchając Kay, Tom zauważył, że wydaje się nie tyle pogrążona w żalu, ile zatroskana, może również zaintrygowana. Kiedy skończyła, zaproponował:

– Zrób nam kawę, a ja położę tego młodego człowieka do łóżka. Wtedy pogadamy spokojnie.

Jamie usnął podczas drugiego czytania opowiastki o trzech koziołkach. Tom otulił go i wrócił do salonu.

– Teraz opowiedz mi wszystko – poprosił.

Kay nalała kawy.

– Najpierw usłyszałam o tym w radiu, kiedy szykowałam się rano do pracy. Bardzo się zdenerwowałam, możesz sobie wyobrazić. W biurze wszyscy o tym mówili. Żaden z kolegów nie wie, że znam Mirandę. Nigdy się z tym nie zdradziłam, jeśli chcesz tak to określić, i zachowałam niektóre z jej tajemnic. W każdym razie, rozmawiano o tym, co mogło się wydarzyć. Ktoś zasugerował, że Miranda i Piers mogli się posprzeczać, Piers stracił panowanie nad sobą i ją utopił, ale większość uznała to za szalony pomysł. A zatem w grę wchodzi wypadek lub samobójstwo. Ja znam Mirandę, Tom. Nie jest głupia i nie wierzę, by postanowiła kąpać się nago w morzu w zimną kwietniową noc. Jeśli pomyśleć, jak wiele przeżyła, dlaczego miałaby w ten sposób narażać życie? Pozostaje więc samobójstwo.

– Masz powody, by sądzić, że była w nastroju samobójczym?

Kay zacisnęła usta i powoli pokręciła głową.

– Z pewnością miała straszne przeżycia. Z pewnością o wielu rzeczach mi nie powiedziała. I nigdy nie otrząsnęła się po utracie Oliviera. Po czymś takim nie można się otrząsnąć. Jeśli masz szczęście, znajdujesz coś innego, co nadaje życiu sens, ale nie zapominasz. – Spojrzała na Toma. – Mnie dopisało szczęście, miałam Jamiego. I… inne rzeczy.

Tom wziął ją za rękę gestem tak naturalnym, jakby od lat byli kochankami.

– Inne rzeczy? – powtórzył.

– Innych ludzi. – Poczuł uścisk jej palców. – Na przykład ciebie, Tom.

– Kay…

– Nie teraz. Nic jeszcze nie mów. Muszę pomyśleć o Mirandzie. Muszę się nad tym zastanowić.

Lecz Tom objął ją i przyciągnął do siebie, Kay zaś oparła głowę o jego ramię, zamykając na chwilę oczy. Przypomniała mu się ich wspólna przeprawa sprzed lat przez kanał La Manche nocnym promem, ciepło i bliskość Kay, i to, jak dotykał jej włosów, gdy spała, czując opuszkami palców ich delikatną miękkość.

– Nie sądzę, by Miranda była w samobójczym nastroju. Zawsze miała dużo sił żywotnych. Nigdy ich nie straciła. To było w niej najlepsze – powiedziała.

– Myślisz, że wszystko upozorowała, prawda?

– Próbowałam sobie wyobrazić, co się wydarzyło tamtej nocy. Posłuchaj, Tom. Coś cię gnębi, wychodzisz w środku nocy na plażę i postanawiasz z tym wszystkim skończyć. Czy poskładałbyś ubrania w schludną kupkę i przycisnął kamieniem, by nie zwiał ich wiatr, gdybyś nie zamierzał wrócić? Czy w ogóle zawracałbyś sobie głowę rozbieraniem? Powiedz szczerze, gdybyś zamierzał się utopić, czy po prostu nie rzuciłbyś się w fale?

– To raczej dramatyczne, nie sądzisz? Zniknięcie w środku nocy, ubranie zostawione na plaży.

– Miranda zawsze miała skłonność do dramatycznych gestów. Wygląda to tak, jakby chciała, aby ludzie uwierzyli w jej śmierć. Wciąż myślę, że ona po prostu się zjawi. Że ktoś zadzwoni do drzwi i to będzie ona. Uśmieje się z całego tego zamieszania, a następnie opowie mi jakąś zadziwiającą historyjkę o tym, co się wydarzyło.

– Ale – zaczął Tom – dlaczego teraz? Właśnie teraz, kiedy wszystko jej się tak dobrze układało?

– Nie wiem. – Po chwili milczenia Kay dodała powoli: – W Paryżu, kiedy się poznałyśmy, Miranda miała lalkę o trzech obliczach: Czerwonego Kapturka, babci i wilka. Z Mirandą nic nie jest takie, jak się wydaje, Tom. Już wtedy miała swoje tajemnice. Musiała, żeby móc przetrwać. Jej ojciec był tyranem. Potrafił zachowywać się czarująco, kiedy chciał, ale nie wybaczał nikomu, kto mu się

sprzeciwił. Dlatego mnie zwolnił, gdy odkrył, że skłamałam. Biedna Miranda przeszła tak wiele. Miała różne żywoty, można by rzec. Różne żywoty, różne nazwiska, różne odmiany losu. Może to wchodzi w nawyk. Może, jeśli żyjesz w ten sposób, nigdzie nie znajdziesz stałego miejsca dla siebie. A może coś się stało – nie mam pojęcia co – i pomyślała, że nie zostanie tu dłużej, że musi uciec.

– Dokąd by pojechała?

– Do Paryża – odparła Kay. – Z wszystkich miejsc to było dla niej najbliższe domu. – Wyprostowała się. – Chcę jej poszukać, Tom. Może mnie potrzebować.

– Pojadę z tobą.

– Tom, najdroższy, jesteś bardzo miły, ale niewykluczone, że będę szukać wiatru w polu. Miranda mogła udać się dokądkolwiek. Nawet jeśli jest w Paryżu, nie wiem, czy zdołam ją odnaleźć. Lubię myśleć, że siedzi w jednej z kafejek, do których razem chodziłyśmy, i popija kawę, ale nie wydaje mi się to zbyt prawdopodobne. Jadę do Paryża dla kaprysu. Zapewne z powodu tego kaprysu stracę zajęcie. Ty natomiast nie musisz dezorganizować sobie życia.

– Nie? – Delikatnie przesunął palcami po jej policzku. – A mnie się wydaje, że muszę. Co dwie głowy, to nie jedna. Możemy się rozdzielić, jeśli chcesz, wtedy ogarniemy większy teren. Będę nosił twoją walizkę, będę cię pocieszał, jeśli nie znajdziemy Mirandy. Postawię ci *kir royale* w Les Deux Magots. Pójdzie na to większa część gotówki, jaką wolno nam wywieźć z kraju, ale niech tam. Kupię ci nawet bilet do domu, jeśli znowu stracisz pieniądze. I jest jeszcze jeden powód. Kocham cię, Kay. Kocham cię od lat. Nie chcę stracić cię z oczu. Kocham cię.

– Jako przyjaciółkę? – zapytała szeptem.

– Tak, jako przyjaciółkę. Ale nie tylko. Kocham cię na wszystkie możliwe sposoby. Kocham cię, pragnę i, szczerze mówiąc, chciałbym spędzić z tobą resztę życia.

Przez chwilę wydawało się, że zawiśli nad krawędzią otchłani. Cóż za zdumiewający obrót spraw. A potem się pocałowali, Kay westchnęła: „Och, Tom” – i pocałowali się ponownie.

Nie został na noc. Zgodzili się obydwoje, że powinni działać powoli, choćby ze względu na Jamiego. Aczkolwiek, jak zauważyła Kay, nikt nie mógłby im zarzucić nadmiernego pośpiechu: znali się od ponad dziesięciu lat.

Miłość ją odmieniła. Powróciła nadzieja; Kay znowu widziała przed sobą przyszłość. Następnego ranka, gdy odprowadziła Jamiego do Liz, a później usiadła w biurze przy pracy, powracały do niej jasne, napełniające otuchą myśli. Być może zamieszkają w Cambridge, w domu Toma, na obrzeżach miasta, blisko rzeki. Pokaże Jamiemu barki i łodzie i krowy na błoniach. Może pewnego dnia wypożyczą łódkę i popłyną w dół rzeki do Ely. Może kiedyś Jamie będzie miał siostrzyczkę.

A pod koniec dnia, gdy wychodziła z biura – sensacja. Z afiszów przy kioskach z prasą krzyczał ten sam nagłówek: „Miranda. Cała prawda!".

„Może coś się stało – powiedziała wcześniej Tomowi. – Nie mam pojęcia co. Może coś się stało i pomyślała, że nie zostanie tu dłużej, musi uciec".

Teraz zrozumiała. „Specjalnie dla naszej gazety, reportaż Jake'a Brennana". Kay przeczytała go w zatłoczonym autobusie, wracając do domu, do Tufnell Park. Jake Brennan poznał Mirandę trzy lata wcześniej w Niemczech. Fotografia ukazywała zabiedzoną kobietę o wymizerowanej twarzy i zapadniętych oczach, siedzącą w wojskowej ciężarówce. „Nawet wtedy owa kobieta o wielu obliczach nie zdradziła mi, swemu wybawcy, prawdziwej tożsamości. W czasie, gdy ją znałem, przybrała nazwisko Agnes Leblanc".

Dalej Brennan donosił, że w latach wojny Miranda była żoną wysokiego rangą niemieckiego oficera, Friedricha von Kahlberga. Wygrzebał z jakiegoś archiwum zdjęcie Sommerfeld. Opisał potworności, do jakich dochodziło niedaleko granicy Prus Wschodnich, gdzie mieszkała Miranda. Rzezie ludności cywilnej w okupowanej Polsce. Obóz koncentracyjny w Stutthof nad Bałtykiem, gdzie wymordowano dziesiątki Polaków i Żydów.

W trzecim akapicie artykułu Brennana Friedrich przeobraził się we „wpływowego nazistowskiego funkcjonariusza”.

Wszystkie warstwy skomplikowanej tożsamości Mirandy zostały ujawnione, a sama jej istota wystawiona na widok publiczny. Do jutra, pomyślała Kay, podziw i pochlebstwa zmienią się w nienawiść. Miranda, niedawna ulubienica Londynu, zacznie budzić odrazę. Niewykluczone, sugerował Jake Brennan w ostatnim akapicie, że Miranda nie utonęła, lecz opuściła Anglię, by rozpocząć nowe życie gdzie indziej. Brytyjska publiczność, która przyjęła ją do swych serc, dała się oszukać.

Kay i Tom szybko przygotowali się do wyjazdu. Koledzy Toma wyzdrowieli, mógł zatem na kilka dni zwolnić się z pracy. Ciocia Dot zgodziła się zaopiekować Jamiem w czasie długiego weekendu. Nigel Peagram odmówił Kay dodatkowego urlopu, ale do diabła z Nigelem Peagramem.

Podczas przeprawy przez kanał La Manche snuli wspomnienia.

– Gdy cię poznałam w Berlinie – zaczęła Kay – pomyślałam, że jesteś okropnie przemądrzały.

– Ja przemądrzały? – Tom się uśmiechnął. – Cóż, pewnie byłem. Ty za to wydawałaś mi się cudowna. Kiedy cię pierwszy raz zobaczyłem w tamtej kawiarni w Berlinie, miałaś na sobie zieloną bluzkę i czytałaś książkę.

– „Bez echa”. Posprzeczaliśmy się o nią.

– Naprawdę? Nie pamiętam.

– Naprawdę. W pociągu też się sprzeczaliśmy. O pacyfizm.

– To pamiętam – odrzekł. – Ale już się więcej nie pokłócimy?

– Nigdy.

Dzień był pogodny, więc siedzieli na pokładzie, na ławce z drewnianych listewek.

– Czy nadal chciałabyś pożeglować po Morzu Egejskim? – zapytał Tom.

– Oczywiście. Dlaczego pytasz?

– Bo to mi wtedy powiedziałaś na promie. Że chciałabyś pożeglować na greckie wyspy. Pomyślałem, że moglibyśmy wybrać się latem, ty, ja i Jamie. Na miesiąc. Moglibyśmy wynająć łódź.

Pomyślała o tym – o łodzi, turkusowym morzu, bladoróżowej piaszczystej zatoczce.

– Bardzo chętnie – odpowiedziała.

I siedzieli tak razem, czekając, aż wybrzeże Francji wyłoni się z mgły.

W Paryżu panowała wiosna.

Wynajęli pokoje w hotelu na lewym brzegu Sekwany – osobne, zgodnie z nakazem przyzwoitości. Następnego ranka, po śniadaniu złożonym z bułek i kawy, udali się najpierw do dawnego domu Denisowów w Ósmej Dzielnicy. Gdy szli tam ze stacji metra, zaświeciło słońce i Kay zdjęła płaszcz, a potem podwinęła rękawy. Trzymali się za ręce, jak wszyscy kochankowie w Paryżu, i przystawali od czasu do czasu, by obejrzeć z bliska jakiś wyjątkowo piękny widok albo się pocałować. Znad murów ogrodów wyzierały różowe i białe pąki. Na progu któregoś z domów wygrzewał się rudy kot.

Okna dawnego domu Denisowów były zasłonięte okiennicami, a gdy Kay zastukała do drzwi, nikt nie otworzył. Spoglądając na budynek, przeniosła się nagle w przeszłość. Znowu miała osiemnaście lat i po raz pierwszy w życiu wyjechała za granicę. Przypomniała sobie, jaka czuła się podekscytowana, wyglądając przez okno, i jak bardzo pragnęła zwiedzić to miasto. W jednym dniu, podczas podróży Złotą Strzałą do Paryża, dorosła i pozostawiła za sobą dzieciństwo, zakochała się w przygodzie i podróżach. Poznała smak, zapach, barwę i dźwięk innych krajów, uczestniczyła w życiu osób zupełnie innych niż ona sama. Półtora roku w towarzystwie Mirandy uformowało ją. Bez tego nie stałaby się tą Kay, którą teraz była. Coś wślizgnęło się do jej duszy tamtego dnia, gdy stały obie na pokładzie promu, wpatrzone w majaczące we mgle wybrzeże Francji. To coś nadal w niej było, jasne i optymistyczne uczucie, oczekujące na chwilę uwolnienia, jak ptak.

– Madame Baranowa podawała nam herbatę z konfiturami – opowiadała Kay Tomowi. – Taki był zwyczaj rosyjskich emigrantów.

Ojciec Mirandy zawsze pił herbatę z mlekiem i cukrem. Uważał się za Europejczyka.

Siedzieli w kawiarni przy Rue Daru i popijali kawę. Wcześniej przeszli obok cerkwi Świętego Aleksandra Newskiego z mozaikowym wizerunkiem i złotymi, cebulastymi kopułami. Obcy ludzie zajmowali teraz dawne mieszkanie Aleksandry Baranowej, z jego wysokimi oknami i wypłowiałymi czerwonymi zasłonami. Kay zastanawiała się, gdzie są fotografie chłopców w marynarskich ubrankach i smutnych dziewczynek w białych sukienkach z wysokimi stójkowymi kołnierzykami.

– Czy wiesz – zapytał Tom – że to dopiero drugi dzień, który w całości spędzamy razem? Pierwszy był wtedy, gdy wyjeżdżaliśmy z Niemiec w tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym. Odtąd miewaliśmy dla siebie tylko po kawałku dnia.

Ich palce się splotły.

– Powinniśmy to uczcić.

– Uczcimy.

Pogładził kciukiem jej dłoń; poczuła, że rumieni się jak podlotek i odwróciła głowę, spoglądając w okno. Zapragnęła nagle, żeby ukazała się w nim Miranda. Zdała sobie jednak sprawę, iż myśli o dawnej Mirandzie, o dziewczynie, którą tamta niegdyś była, z lśniącą grzywą czarnych włosów i roześmianymi oczami. I w miarę, jak mijał dzień, gdy oglądali stoiska bukinistów nad Sekwaną, przechodzili przez Pont Neuf na lewy brzeg albo zwiedzali po południu Marais, gdzie mieszkał swego czasu Olivier, w otoczeniu wysokich murów, brukowanych uliczek i zabudowanych podwórek – Kay czuła, że atmosfera miasta wsącza się w nią i ją odmienia. Teraz już mniej przyglądała się twarzom w tłumie. Zdjęcie Mirandy, które przywiozła, by je pokazywać sklepikarzom i właścicielom kafejek, pozostało w torebce.

W nocy Tom przyszedł do jej pokoju. Już nie mówili o zwolnieniu tempa. Pragnęli i potrzebowali się nawzajem. Odpadły zerwane guziki, rozsunęły się szarpnięte zamki błyskawiczne. Akt miłosny nie był subtelny i poetyczny, lecz pospieszny, desperacki, namiętny, niemal bolesny w swej intensywności. Później, leżąc na poduszkach i łapiąc oddech, Kay dostrzegła skrawek księżyca między

okiennicami. Pomyślała o Jamiem w domu cioci Dot i o Mirandzie, gdziekolwiek się znajdowała. W pewnej chwili Tom znowu ją pocałował i wzięła go w ramiona, powitała, ogarnęła, przyjęła w siebie z miłością.

Gdy obudziła się rano, leżała dalej nieruchomo – czy istniała cudowniejsza rzecz, niż obudzić się u boku ukochanego? Pomyślała o Parc Monceau i przypomniała sobie tamten dzień, gdy spotkały Oliviera, jak wstał z ławki i ruszył w ich stronę. Nie zbudziła jednak Toma pocałunkiem, nie wstała i nie poszła do parku. Niech Miranda sama zdecyduje, pomyślała. Niech to ona wybierze. Jeśli zechce, ujawni się prędzej czy później. Pewnego dnia przyjdzie list z opisem wielkich przygód i niezwykłych wydarzeń. Albo Kay zauważy znajomą twarz na ruchomych schodach czy w zatłoczonym sklepie i popatrzą na siebie z uśmiechem.

A może, ze względu na dawną przyjaźń, zatrzymają się na pogawędkę.

Wewnątrz domu można było nadal dostrzec ślady bytności tych, którzy go zajmowali w latach wojny. Przechodząc z pokoju do pokoju, Edie wciąż znajdowała jakąś wiszącą na kołku manierkę w kolorze khaki, odczytywała graffiti nabazgrane pod oknem, a w szafce łazienkowej odkryła amerykańskie mydło do golenia. Przez ostatnie pół roku życia Miles Culbone tkwił przykuty do łóżka w sypialni, pod opieką zmieniających się pielęgniarek. Gdy jej matka widziała go po raz ostatni, tracił już świadomość i wzrok, a jego bóle stale łagodziła morfina. Pierwszymi rzeczami, jakie zrobiła Edie, gdy weszła rano do domu, było zdjęcie pościeli z łóżka i wylanie resztek lekarstw do klozetu. Następnie otworzyła okna i wpuściła do domu światło słońca.

Nadal uważała za nieprawdopodobne, że to właśnie jej wuj Miles zapisał swój dom. Nigdy nie okazywał, że jest do niej przywiązany, nie wyróżniał jej spomiędzy sióstr. Wchodząc do rozsłonecznionego pokoju na tyłach, spoglądała uważnie, wyobrażając sobie, co mogłaby tu zrobić, na jaki kolor pomalować ściany, jak go umeblować, by wydobyć cały jego urok.

Wykuszowe okno wychodziło na ogród. Edie widziała przez nie trawnik, na którym Charles bawił się z dziećmi. Przyniósł kijek i piłkę i grał w małego krykieta z pięcioletnim Henrym. Rosalind, która zbliżała się do dziewiątych urodzin, zwiedzała ogród. Od czasu do czasu podbiegała do ojca, żeby mu coś pokazać – zapewne listek albo kwiatek. Edie uśmiechnęła się i położyła dłoń na brzuchu. Była w czwartym miesiącu ciąży – najgorsze już za nią, powtarzała sobie. Musiała usilnie namawiać Charlesa na następne dziecko, bo przy poprzednich ciążach zawsze bardzo chorowała. Tłumaczyła, że tym razem pójdzie łatwiej, skoro on będzie w pobliżu, no a poza tym, jakie to cudowne mieć wreszcie dziecko w czasie pokoju.

Zeszła na dół do biblioteki. Na biurku wuja wciąż leżały sterty książek i papierów. Podniosła naręcze dokumentów, zdmuchując kurz. Bezmyślnie powiodła po nich spojrzeniem. Był to nudny katalog książek ze zbiorów Milesa Culbone'a.

Edie przewróciła stronę i jej serce stanęło na chwilę. Rozpoznała pismo Toma; widywała je często, jako że pisał do niej listy w początkach znajomości i później, gdy ich romans trwał. Nieoczekiwanie ostro przypomniał jej się rok 1941 z jego osobliwą mieszaniną obaw, poczucia winy i euforii.

Czy to jej wystarczy? Czy Zimna Gwiazdka i dzidziuś co cztery albo pięć lat zrekompensują małżeństwo pozbawione namiętności, choć nie do końca miłości?

Tak. Edie zwinęła kartki i wepchnęła je do kosza na papiery. To musi wystarczyć. Otrzymała tak wiele, życie pełne miłości i zainteresowania, a teraz ten dom, na równi z trwałą i nieodłączną świadomością, że cała jej rodzina – matka, siostry, szwagrowie, siostrzenice – przetrwała wojnę. Nikt nie może mieć wszystkiego. Byłoby niesłusznie z jej strony domagać się więcej.

Wyszła z biblioteki do ogrodu. Charles ruszył jej na spotkanie.

– I co myślisz?

Uśmiechnęła się do niego.

– Niestety, chyba nadal uwielbiam ten dom.

– Będzie wymagał wiele pracy… i kosztów. – Charles miał zmartwioną minę. – Dopóki nie uda mi się sprzedać Taynings, musimy się zajmować dwoma zrujnowanymi, starymi domami.

– Ale powiedz mi szczerze, Charles, gdybyś musiał wybierać między Zimną Gwiazdką a Taynings… – odezwała się Edie figlarnym tonem.

– Z góry wiadomo. – Obejrzał się na dom. – To fascynujące miejsce, Edie.

– I nie tylko dla nas. Myślę, że należy do całej rodziny. Nicky i Laura przyjeżdżałyby tu z dziewczynkami, i pomyśl tylko, jak mama by się cieszyła, gdyby mogła popracować w ogrodzie.

Kiwnął głową.

– Jeśli jesteś pewna…

– Absolutnie pewna.

– Więc zatrzymamy ten dom.

Poczuła falę szczęścia. Kochany Charles. Zarzuciła mężowi ręce na szyję i ucałowała go, a wyraz twarzy Charlesa zdradzał przyjemne zaskoczenie.

Zostawiwszy ubranie na plaży i wróciwszy na palcach do domu, Miranda wzięła stare spodnie i bluzkę z pralni – goście zawsze zostawiali w Foxhall jakieś części garderoby – oraz parę gumowych kaloszy z ganku. Paszport, chustkę na głowę oraz francuskie i angielskie pieniądze, które zawsze trzymała przy sobie na wszelki wypadek, miała w torebce. Wyjęła pieniądze, chustkę i paszport, zostawiając w domu torebkę i portfel. Potem ruszyła drogą, którą wcześniej wyszukała na mapie, a która doprowadziła ją do lokalnej linii kolejowej. Był to długi spacer i słońce świeciło jasno, zanim dotarła do stacji. Wsiadła do pociągu do Ipswich. Stamtąd złapała połączenie do Colchester i dalej do Londynu. Przepłynęła kanał La Manche w wystrzępionych sztruksowych spodniach, swetrze koloru khaki z łatami na łokciach i w gumowych kaloszach. Włosy ukryła pod chustką. Zgarbiła się, powłócząc nogami, stwarzając pozory niezdarnej i nieatrakcyjnej kobiety w nieokreślonym wieku. Nikt się za nią nie obejrzał.

W Paryżu wynajęła pokój w tanim pensjonacie. Następnego dnia wstała wcześnie i kupiła kilka rzeczy – sukienkę, torebkę, sandały, pończochy. Przebrała się i poszła do Parc Monceau.

Czasami, tuż po wojnie, niemal czuła jego obecność, jakby siła jej tęsknoty mogła wyrwać go z niebytu. Pamiętała ich wzajemną obietnicę, że gdyby los ich rozdzielił, będzie czekała na niego w parku, tam, gdzie się poznali. Przypomniała sobie, jak po wojnie przychodziła tu codziennie, nawet gdy już nie miała nadziei, gdy wiedziała o jego śmierci, o tym, że go straciła. Chodziła tam, bo czuła się bliżej niego.

I nagle, tydzień temu, nadzieja powróciła. Miranda postawiła dwa niebieskie drozdy, jej i tego z tajemniczej paczki, obok siebie na stole. Były identyczne; ich błękit i złoto odpowiadały sobie nawzajem. Gdy zamknęła oczy, widziała, jak unoszą się i kołyszą w mieszkaniu Oliviera.

Czy to możliwe? Nadzieja ją odmieniła, lecz także przeraziła. Wydawało jej się, że nie zniosłaby już drugiego zawodu. Zaczęła sobie gorączkowo przypominać, co wie o okolicznościach śmierci Oliviera. Obóz jeniecki, przymusowy marsz, byle dalej od nacierającej Armii Czerwonej. „Widziałem, jak strażnik go zastrzelił" – napisał jego towarzysz niedoli. „Było mi przykro, że zginął; Olivier był porządnym człowiekiem". Są w tym pewne luki, pomyślała, a więc i możliwości. Jest miejsce na cud.

W parku kwitły bzy. Miranda podeszła do ławki, usiadła i czekała. Elegancko ubrane kobiety spacerowały z groteskowymi małymi psami, piastunki popychały wózki. Świeciło słońce.

Uniosła oczy i nagle zobaczyła go w parkowej alejce. Olivier. Jego kasztanowate włosy posiwiały nieco na skroniach, lecz uśmiech rozkwitł na jej widok.

Zerwała się z płaczem, przycisnęła dłonie do ust i tak czekała na niego.

Lubili chodzić po parku wczesnym rankiem. Podczas spacerów opowiadali sobie wciąż na nowo swoje dzieje, wyjaśniając brakujące fragmenty i wypełniając lata rozłąki.

Oliviera zostawiono przy drodze na pewną śmierć. Leżał nieruchomo, z zamkniętymi oczyma, gdy strażnik do niego strzelił; modlił się tylko, by nie uznano go za wartego kolejnej kuli. Krwawiąc

z rany w piersi, doczołgał się do stodoły. Wieczorem przyszła kobieta, by wydoić krowy i znalazła go tam. Opatrzyła mu ranę i nakarmiła go zupą. Dwa dni później zjawili się amerykańscy żołnierze i zabrali go do wojskowego szpitala.

Potem przez długi czas ciężko chorował. W ranę wdało się zakażenie, a ponadto cierpiał na gruźlicę, której nabawił się w obozie. Przez kilka tygodni jego życie wisiało na włosku. Zanim jeszcze opadła gorączka, w szpitalu zjawił się jego brat Marc. Gdy tylko uznano, że już nic mu nie zagraża, Marc zabrał go do Brazylii. Olivier nie miał siły się sprzeczać, a prócz tego czuł się zmęczony Europą.

Powiedział Mirandzie, że wyleczyło go słońce. Przesiadywał na słońcu w ogrodzie w Brazylii i rozmyślał. Na początku jego myśli były pełne goryczy. Zmarnował życie, uwięziony w obcym kraju. Stracił zdrowie i wszystko, co było dla niego ważne: młodość, karierę, sztukę. Znienawidził nawet ją, Mirandę. Zapomniała o nim. Zdradziła go. Nie mógł jej kochać, ponieważ była żoną wroga, jednego z oprawców. Lecz w miarę jak mijały miesiące i powracało zdrowie, zaczynał myśleć inaczej. Robiłeś, co mogłeś z tym, co dano ci do wyboru. Podejmowałeś ryzyko, jeśli miałeś szansę je podjąć. Było najzupełniej możliwe, pomyślał, że on, jako żołnierz, zabijał, a ona, w swoim pałacu – nie. Kto miał stwierdzić, które z nich bardziej zawiniło?

Przesiedział w Brazylii półtora roku. Wrócił do Francji na początku roku 1947, niedługo po wyjeździe Mirandy do Anglii. Podobnie jak ona chodził codziennie do parku. Wypytywał tu i ówdzie, lecz niczego się na jej temat nie dowiedział. Sommerfeld spłonęło do fundamentów; wydało mu się najbardziej prawdopodobne, że i ona wówczas tam zginęła.

Zaczął powracać do dawnego życia. Miał trochę pieniędzy – poczciwy Marc wzbogacił się w Brazylii i spodobał mu się pomysł zainwestowania we francuskie przedsiębiorstwo filmowe. Olivier wynajął biuro, odnalazł niektórych członków dawnego zespołu – Agnés, która wyszła za mąż, urodziła bliźnięta i nudziła się śmiertelnie na paryskim przedmieściu; oraz Benoît, który przeżył

wojnę w państwie Vichy i nie kochał maquisów[28]. Przeczytał kilka scenariuszy i zaczął mu się formować w głowie pewien pomysł, jeszcze niewyraźny i w zalążku, lecz powracający w sposób charakterystyczny dla dobrych pomysłów.

I wtedy zobaczył zdjęcie w „Paris Match". Miranda, piękna jak dawniej, mieszkająca w Anglii i zdobywająca sławę jako aktorka. Przeżył chwilę zazdrości, czytając o jej kochanku. Lecz to minęło i zdecydował się wysłać jej błękitnego drozda. Ucałował go przed zawinięciem w bibułki. Pomyślał, że poleci do niej jako posłaniec miłości i nadziei.

O tym właśnie Miranda zamierzała kiedyś napisać do Kay: że tak wiele razy się mijali. Że wyjechała do Anglii zaledwie kilka tygodni przed powrotem Oliviera z Brazylii. Że przychodził do parku codziennie, tak jak wcześniej ona. Że on również wpadł w rozpacz. I że we dwoje potrafią znieść wszystko. Pewnego dnia, jeśli on doda jej sił, pozbiera w całość wszystkie oblicza swej istoty i wyjdzie z cienia. Wtedy świat będzie mógł ją osądzić.

To kiedyś opowie Kay. Resztę zachowa w sercu. Radość ze spotkania Oliviera, szczęście płynące z odkrywania siebie nawzajem na nowo. Tych rzeczy, wiedziała, nie da się ująć w słowa.

28 Maquis: członkowie francuskiego ruchu oporu walczący w oddziałach partyzanckich w czasie II wojny światowej.

Spis treści

Podziękowania
Część pierwsza. PRZYJACIÓŁKI
- Rozdział 1
- Rozdział 2
- Rozdział 3
- Rozdział 4
- Rozdział 5
- Rozdział 6
- Rozdział 7

Część druga. KTO SIEJE WIATR
- Rozdział 8
- Rozdział 9
- Rozdział 10
- Rozdział 11
- Rozdział 12
- Rozdział 13
- Rozdział 14
- Rozdział 15

Część trzecia. BZY W PARKU
- Rozdział 16
- Rozdział 17